

Światowy bestseller  
o wielomilionowym nakładzie



# SYLVIA DAY

## SO CLOSE

SERIA CZARNA LILIA



SYLVIA  
DAY  
SO CLOSE

Z angielskiego przełożyła  
Anna Szafran

  
Świat Książki  
wydawnictwo

## Spis treści

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44

Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Podziękowania



CHOMIKO\_WARNIA

Tytuł oryginalny: *So Close*

Redakcja: *Mira Rosiak*  
Korekta: *Marzenna Klos*

Copyright © 2023 by Sylvia Day, LLC.  
All rights reserved.  
Copyright © for the Polish translation by Danuta Śmierczalska, 2024

Wydawnictwo Świat Książki  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

ISBN 978-83-8031-870-0-999  
Warszawa 2024

Księgarstwo internetowe [www.swiatk-siazki.pl](http://www.swiatk-siazki.pl) [www.ksiazki.pl](http://www.ksiazki.pl)

Dystrybucja  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91  
e-mail: [dys-try-bu-cja@dres-sler.com.pl](mailto:dys-try-bu-cja@dres-sler.com.pl)  
tel. +48 22 733 50 31/32  
[www.dres-sler.com.pl](http://www.dres-sler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Cóż z nas za para,  
wewnątrz-nie roz-bici,  
ale zwią-zani ze sobą  
pożq-da-niem  
i śmier-cią.*

Lily

*Dla Shanny*

*Fakty nie istnieją, są tylko inter-pre-ta-cje.*

Frie-drich Nie-tz-sche

## WITTE

Wśród tłumu na ban-kie-cie panuje nastrój oży-wie-nia, ale dosko-nale wyczu-wam jedną wyją-tkowo zna-czącą obec-ność – żony mojego pra-co-dawcy, kobiety, która nie żyje od wielu lat. Świa-tła Man-hat-tanu lśnią w prze-past-nej czerni nocy spo-wi-ja-ją-cej pen-tho-use na szczy-cie wie-żowca. Chmury kłę-bią się w się-ga-ją-cych od pod-łogi do sufitu oknach, na prze-mian zasła-nia-jąc i uka-zu-jąc pogrą-żony w gro-bo-wych ciem-no-ściach Cen-tral Park ze sztucz-nym jezio-rem w oddali. Budy-nek chwieje się lekko w pory-wach wie-czor-nego wia-tru, wyda-jąc jękliwe skrzy-pie-nie zagłu-szane muzyką i morzem roz-mów.

Pośród szkła-nych ścian atmos-fera jest gęsta od napię-cia. Powie-trze nała-do-wane groźną ener-gią to nie-unik-niony sku-tek zamknię-cia rywali w neu-tral-nej prze-strzeni. Powstrzy-my-wani przez dobre maniery i obawę przed utratą twa-rzy, prze-ciw-nicy jeżą się, a ich pazury i kły są tylko na krótko i nie-chęt-nie scho-wane.

To wystawne przy-ję-cie uświet-nia wpro-wa-dze-nie nowej linii kosme-ceu-ty-ków. Uczest-nicy, zgro-ma-dze-nie zbyt pięk-nych i zbyt boga-tych, należą do naj-bar-dziej zna-nych spo-śród mło-dej elity Man-hat-tanu. Wśród nich są zarówno sły-nący z przy-jaźni, jak i jaw-nie zwa-śnieni, co świad-czy o tym, że pan Black potra-fił zebrać w swoim domu tak zróz-ni-co-waną – i podzie-loną – grupę osób.

Goście, niczym sza-chi-ści, zajęli pozy-cje dające im jak naj-więk-szą prze-wagę. Ryan Lan-don, z któ-rym pan Black przy-jaźni się naj-dłu-żej, stoi po dru-giej stro-nie prze-stron-nego salonu naprze-ciw jego biz-ne-so-wego part-nera Gide-ona Crossa. Dwaj męż-czyźni pod-trzy-mują wro-gość prze-ka-zaną im przez ojców. Choć ta waśń jest godna poża-ło-wa-nia, podzi-wiam czy-stość ich otwar-tej wza-jem-nej nie-chęci.

Nato-miast główni prze-ciw-nicy pana Blacka – jego przy-rodni bra-cia Ramin i Darius – pod-ko-pują jego auto-ry-tet, kiedy tylko przy-nosi im to korzyść. Jest też Amy, żona Dariusza, jedyna kobieta w tym pomiesz-cze-niu, która nie patrzy na pana Blacka. Nawet nie zerka dys-kret-nie.

Prze-strzeń mię-dzy tymi głów-nymi gra-czami wypeł-niają oso-bo-wo-ści tele-wi-zyj-nych pro-gra-mów typu reality show, influ-en-ce-rzy, modelki i muzycy. Bły-ski świa-teł odbi-jają się w lśnią-cych suk-niach i sze-ro-kich oknach, pod-czas gdy tele-fony komór-kowe utrwa-lają nie-zli-czone sel-fie, które będą udo-stęp-niane milio-nom obser-wu-ją-cych. Więk-szość firm słono płaci za taką foto-gra-ficzną pro-mo-cję, ale dziś tak nie jest. Zapro-sze-nie do pen-tho-use’u ozna-cza towa-rzy-ski suk-ces, podob-nie jak prze-by-wa-nie w pobliżu Crossa i jego żony Evy, bodajże naj-po-pu-lar-niej-szej na świe-cie pary, jeśli za kry-te-rium przy-jąć ich obec-ność w mediach.

Roz-glą-dam się po salo-nie, by mieć pew-ność, że obsługa jest obecna, ale nie rzuca się w oczy, poda-jąc kanapki i napoje, jed-no-cze-śnie usu-wa-jąc porzu-cone krysz-ta-łowe kie-liszki Bac-ca-rat i tale-rze z por-ce-lany Limo-ges.

Wspa-niałe bukiety czar-nych lili i azja-tyc-kich zdo-bią srebrne blaty sto-łów z afry-kań-skiego hebanu, two-rząc struk-turę i splen-dor bez koloru i zapa-chu. W powie-trzu prze-pły-wają musu-jące dźwięki naj-po-pu-lar-niej-szej ostat-nio muzyki. Pio-sen-karz jest obecny. Oparty o ścianę, z ramie-niem wokół talii dziew-czyny, war-gami dotyka jej policzka.



Wzrok ma zwrócony na pana Blacka, ale przesuwam go na mnie, gdy wibracja smarowidła na moim nadgarstku informuje o przybyciu nowych gości.

Przechodzę do holu.

W chwili, gdy elegancka brunetka na niebotycznych obcasach płynnym krokiem wchodzi przez frontowe drzwi, wiem, że mój pracodawca ją uwieści. Pojawiała się wsparta na ramieniu atrakcyjnego dżentelmena, ale to bez znaczenia. Ulegnie. One wszystkie ulegają.

Przy pomocy zmarłą panią Black: kruczoczarne włosy, zmysłowe spojrzenie zielonych oczu, szkarłatne usta. Piękność, tak, ale błada imitacja kobiety uwiecznionej na portrecie, który pan Black traktuje jak skarb. One wszystkie są imitacjami.

Witam ich oboje skiniem głowy i proponuję, że wezmę jej okrycie. Stoję obok, gdy towarzyszy nowo przybyłej troskliwie pomagając jej zejść.

– Dziękuję – mówi brunetka, gdy mężczyzna podaje jej połykskiwą pelerynę.

Zwraca się do mnie, ale pan Black już przykuł jej uwagę i wzrok skierowała na niego. Mimo że celowo wycofał się w głąb salonu, nie sposób nie dostrzec jego wysoce sylwetki. Energia, którą emanuje, jest jak pożar kontrolowany jedynie ogromną siłą woli. To mężczyzna o oszczędnych ruchach, a jednak w jakiś sposób robi wrażenie poruszonego. Widzę, jak naszemu nowemu gościowi trudno odebrać od niego wzrok i przyglądać się uroczystości.

Siostra pana Blacka, Rosana, zajęła główne miejsce pod oknami. Jest wysoką, ciemnowłosą piękną. Ma na sobie turkusową suknię ozdobioną koraliakami. Lśniące pukle w odcieniu mahoni opadają jej na ramiona, uderzając kontrastując z platynowym blond Evy Cross, która stoi obok niej – drobna, o apetycznie zaokrąglonych kształtach, ubrana w elegancki białoróżowy jedwab. Eva i Rosana są ambasadorkami nowego przedsięwzięcia. Te dwie kobiety bardzo się różnią, jednak obie są ulubienicami tabloidów i mediów społecznościowych.

Patrzę na pana Blacka, szukając jego reakcji na ostatnią przybyłą osobę. Widzę to, czego się spodziewałem: skąpione spojrzenie. Kiedy ją nim tak suje, zaciśnięte szczęki. Oznaki są subtelne, ale wyczuwam jego straszliwe rozczarowanie i przyływ samooskarżenia.

Przez chwilę miał nadzieję, że to ona, Lily. Kobieta, której wyjątkowa uroda została uwieczniona na jedynym portrecie wiszącym w jego prywatnych pokojach, ale której głęboce znaczenie nie daje spokoju temu domowi i mężczyźni będącemu jego panem. To, że nadal szuka jej we wszystkich kobietach, jest bardzo bolesne.

Lily przeżyła być obecna w życiu pana Blacka, zanim skończył z moich usług, więc znam ją tylko pośmiertnie, ale moje stanowisko pozwala mi wiele usłyszeć przypadkiem. Powszechnie wiadomo, że miała ogromny urok. Wielu mówi, że nigdy nie widzieli większej piękności. Choć i tak jej imię sugeruje delikatność i kruchość, znają ją jako niezależną, bystrą i odważną. Została zapamiętana jako miła i potrafiąca podnosić na duchu, zabawna i głęboko zainteresowana innymi, co według mnie jest cechą o wiele cenniejszą niż bycie interesującą.

Przez jakiś czas znałem tylko te skąpe wrażenia i opinie, aż do pełnej udręki nocy, kiedy pan Black, pijany i na wpół szalony, nie potrafił już stłumić w sobie wściekłego żalu. Zrozumiałem wtedy, jak niezwykłą wciąż ma nad nim władzę. Wyczuwam jej moc, kiedy patrzę na ogromną, przeniesioną na płótno fotografię, która domiňuje na ścianie naprzeciw jego łóżka.

Jest jedyną plamą koloru w jego pokoju, ale nie dlatego portret Lily robi tak wielkie

wra-że-nie. Cho-dzi o spoj-rze-nie jej oczu, pło-nące i prze-ni-kliwe.

Kim-kol-wiek była, jej miłość do Kane'a Blacka pochło-nęła ich oboje. Ta obse-sja po dziś dzień pozo-staje naj-bar-dziej nie-bez-piecz-nym ele-men-tem jego życia.

Patrzę, jak nowo przy-była prze-dziera się przez tłum innych gości i pozo-sta-wiw-szy swego towa-rzy-sza, idzie w stronę pana Blacka. W szkar-łat-nej sukni wygląda jak pło-mień, ale jest ćmą, a on ogniem.

Popu-larny maga-zyn nie-dawno ogło-sił go jed-nym z naj-sek-sow-niej-szych męż-czyzn świata. Pan Black wkrótce skoń-czy trzy-dzie-ści trzy lata i jest wystar-cza-jąco bogaty, by pozwo-lić sobie na mnie, major-do-musa w siód-mym poko-le-niu, bry-tyj-skiego pocho-dze-nia, dosko-nale wyszko-lo-nego, by radzić sobie w każ-dej sytu-acji, od pro-za-icz-nych po eks-tre-malne kry-zysy. Kane Black jest nie-przy-stępny i nie-prze-nik-niony, a jed-nak przy-ciąga kobiety kom-plet-nie pozba-wione instynktu samo-za-cho-waw-czego. Pomimo ich naj-więk-szych sta-rań, pozo-staje nie-osią-galny. To wdo-wiec, który pozo-staje głę-boko, w pełni żonaty.

Jego naj-częst-sza towa-rzyszka, smu-kła blon-dynka, krąży w pobliżu, lśniąc w sukni w odcie-niu kości sło-nio-wej i per-łach. Jest jego matką, cho-ciaż nikt nie podej-rze-wałby tej rela-cji, gdyby nie była powszech-nie wia-doma. Wiek to jedna z rze-czy, którą Aliyah dobrze ukrywa. Jedyną wska-zówką na temat jej natury jest mani-cure, dłu-gie paznok-cie opi-ło-wane w modny kształt mig-dała, przy-po-mi-na-jące szpony.

Gdy odwra-cam się od szafy na płasz-cze, sły-szę odgłos strze-la-ją-cego korka od szam-pana. Wąskie krysz-ta-łowe kie-liszki podzwa-niają wesoło na tle szmeru roz-mów. Warte małej for-tuny buty od pro-jek-tan-tów stu-kają w obsy-dia-nowe płytki pod-łogi, tak nie-ska-zi-tel-nej w swoim płyn-nym bla-sku, że przy-po-mina naj-spo-koj-niej-szą nocną wodę. Rezy-den-cja pana Blacka to stu-dium mak-sy-ma-li-zmu: ciemne drewno, natu-ralny kamień, kosz-towne skóry... Wszystko w naj-ciem-niej-szych odcie-niach, two-rząc prze-strzeń tak ele-gancką i męską, jak jej wła-ści-ciel.

Moja córka zapew-nia mnie, że został pobło-go-sła-wiony nie-zwy-kle atrak-cyj-nym wyglą-dem i prze-kłęty czymś, co ona uważa za jesz-cze bar-dziej pocią-ga-jące: posępną, ner-wową namięt-no-ścią. To, że kie-dyś kochał tak głę-boko i pozo-staje tak pogrą-żony w żalu, ma potężny urok. Mówi, że jego aura nie-osią-gal-no-ści jest nie do odpar-cia.

Nie ma w tym uda-wa-nia. Pomi-ja-jąc jego liczne rela-cje sek-su-al-nej natury, pan Black jest zwią-zany w naj-głęb-szym zna-cze-niu tego słowa. Wspo-mnie-nie Lily pusto-szy jego duszę. Stał się sko-rupą czło-wieka, jed-nak poko-cha-łem go tak, jakby był moim synem.

Jakaś kobieta śmieje się zbyt gło-śno. Naj-wy-raź-niej zbyt dużo wypła. I nie tylko ona sobie fol-guje. Kie-li-szek wypada z czy-jejs nie-ostroż-nej dłoni i roz-bija się z cha-rak-te-ry-stycz-nym dyso-nan-so-wym brzę-kciem odłam-ków szkła.



## WITTE

– Odpro-wa-dzi-łeś ją, Witte?

Pan Black wcho-dzi do kuchni naza-jutrz rano ubrany w gar-ni-tur z Savile Row i z per-fek-cyj-nie zawią-za-nym kra-wa-tem, które nie były czę-ścią jego stroju, dopóki nie zaczą-łem u niego pra-co-wać. Uczy-łem go o sub-tel-nych aspek-tach szy-tej na miarę odzieży dla džen-tel-me-nów, a on był zapa-lo-nym uczniem.

Patrząc na niego, led-wie poznaję nie-okrze-sa-nego mło-dego czło-wieka, który zatrud-nił mnie sześć lat temu – nie-dawno owdo-wia-łego i tak spa-ra-li-žo-wa-nego żalem, że moim pierw-szym zada-niem było zaj-mo-wa-nie się każ-dym, kto przy-cho-dził z pyta-niami czy kon-do-len-cjami. Z cza-sem zmie-nił swój ból w pło-mienną ambi-cję. To – oraz wyjąt-kowa inte-li-gen-cja – oży-wiło firmę far-ma-ceu-tyczną, którą jego ojciec poprzez defrau-da-cję dopro-wa-dził do ban-kruc-twa.

Wbrew wszel-kim prze-ciw-no-ściom udało mu się zna-ko-mi-cie.

Odwra-cam się i sta-wiam jego śnia-da-nie na wyspie pokry-tej bla-tem z czar-nego mar-muru, ide-al-nie mię-dzy uło-žo-nymi już srebr-nymi sztuk-cami. Jajka, bekon, świeżo wyci-śnięty sok – to, co zawsze.

– Tak, panna Fer-rari wyszła, kiedy był pan pod prysz-ni-cem.

Jedna ciemna brew się unosi.

– Fer-rari? Naprawdę?

Nie dzi-wię się, że wcze-śniej nie zapy-tał o jej nazwi-sko, tylko jestem smutny. Kim są te kobiety, nic dla niego nie zna-czy, liczy się tylko to, że przy-po-mi-nają mu Lily.

Ni-gdy nie widzia-łem, żeby oka-zy-wał praw-dziwe uczu-cie jakiej-kol-wiek kobiecie poza swoją sio-strą Rosaną. Zawsze jest uprzejmy wobec kocha-nek. Tro-skliwy, gdy je uwo-dzi. Ale związki ogra-ni-czają się do jed-nego wie-czoru. Ni-gdy nie posłał kochance kwia-tów, ni-gdy nie flir-to-wał przez tele-fon ani nie zapro-sił kobiety na kola-cję. Nie mam poję-cia, jak trak-tuje damę, z którą jest intym-nie zwią-zany. Jest to luka w moim rozu-mie-niu jego osoby, która być może ni-gdy nie zosta-nie wypeł-niona.

Sięga po kawę, którą przed nim posta-wi-łem, naj-wy-raż-niej prze-gląda szybko w gło-wie plan dnia, a ostat-nia kochanka na zawsze została usu-nięta z jego myśli. Mało śpi i pra-cuje zde-cy-do-wa-nie za dużo. Głę-bo-kie bruzdy po obu stro-nach jego ust nie powinny się poja-wić u kogoś tak mło-dego. Widzia-łem, jak się uśmie-chał, a nawet sły-sza-łem, jak się śmieje, ale w jego oczach ni-gdy nie poja-wia się roz-ba-wie-nie. On nie żyje, on cierpi z powodu życia.

Nama-wia-łem go, by poświę-cił chwilę na czer-pa-nie rado-ści ze swo-ich osią-gnięć. Mówi mi, że bar-dziej będzie cie-szył się życiem po śmierci. Jego jedyne praw-dziwe pra-gnie-nie to ponow-nie połą-czyć się z Lily. Wszystko inne to po pro-stu zabi-ja-nie czasu.

– Świet-nie się spi-sa-łeś na wczó-raj-szym przy-ję-ciu, Witte – mówi z roz-tar-gnie-niem. – Zawsze tak jest, ale jed-nak. Ni-gdy nie zaszko-dzi powie-dzieć, że cię doce-niam, prawda?

– Nie. Dzię-kuję.

Zosta-wiam go, żeby zjadł śnia-da-nie i prze-czy-tał codzienną gazetę, a sam dłu-gim kory-ta-rzem z lustrza-nymi ścia-nami idę do pry-wat-nej czę-ści rezy-den-cji, któ-rej z nikim nie

dzieli. Uro-cza panna Fer-rari spędziła noc w sypialni na dru-gim końcu pen-tho-use'u, w nie-ska-zi-tel-nie bia-łym i pozba-wio-nym wyrazu pokoju, meto-dycz-nie zapro-jek-to-wa-nym tak, by nie przy-po-mi-nał reszty domu. Jest to prze-strzeń, która nie byłaby w guście Lily, jakby to wystar-czyło, by jej widmo nie patrzyło i nie wie-działo.

Pan Black kupił pen-tho-use wkrótce po tym, jak mnie zatrud-nił, gdy wie-žo-wiec był jesz-cze w budo-wie. Nad-zo-ro-wał pro-jekt suro-wego wnę-trza w naj-drob-niej-szych szcze-gó-łach, od umiej-sco-wie-nia ścian i drzwi po dobór mate-ria-łów. Nie mogę jed-nak powie-dzieć, że ta prze-strzeń odzwier-cie-dla jego oso-bi-sty styl. Wszyst-kie meble i akce-so-ria dobie-rał z myślą o upodo-ba-niach swo-jej uko-cha-nej Lily. Nie chciał nowego początku, wol-nego od pamięci o niej; po pro-stu chciał mieć apar-ta-ment w mie-ście i dopil-no-wał, żeby nale-żał rów-nież do jego zmar-łej żony. Wspo-mnie-nia o niej są wszę-dzie, nie-mal na wszyst-kim. Dla-tego czuję, że ją znam.

Ele-gancka. Ude-rza-jąco piękna. Zmy-słowa. Tajem-ni-cza, zawsze tajem-ni-cza.

Przy-staję na progu sypialni pana Blacka, czu-jąc utrzy-mu-jącą się w powie-trzu wil-goć po prysz-nicu, który nie-dawno wziął. Apar-ta-menty jego i jej zaj-mują całą stronę pen-tho-use'u, z sąsia-du-ją-cymi gar-de-ro-bami, z bliź-nia-czymi łazien-kami wyło-żo-nymi mar-mu-rem i z wspól-nym salo-nem.

Z sypialni pani, ze stóp sze-ro-kiego, głę-bo-kiego łóżka, roz-ta-cza się widok na Bil-lio-na-ires' Row i rzekę Hud-son, a po pra-wej stro-nie na Dolny Man-hat-tan. Zachody słońca roz-pło-mie-niają ume-blo-wane z prze-py-chem pomiesz-cze-nie, ocie-pla-jąc wystrój, który co kilka dni na prośbę pra-co-dawcy odświe-żam buj-nymi bukie-tami. Jej pokój jest zawsze przy-go-to-wany, cze-ka-jąc na kobietę, która ode-szła, zanim zda-żyła w nim zamiesz-kać. Jej mono-gram LRB jest wytło-czony lub wyha-fto-wany na pra-wie wszyst-kim, jakby po to, by zapew-nić Lily, że ta prze-strzeń należy tylko do niej. Jej ubra-nia wypeł-niają gar-de-robę i szu-flady. Jej pry-watna łazienka jest w pełni wypo-sa-żona.

Wpraw-dzie głu-che echo opusz-cze-nia powinno szpe-cić piękny apar-ta-ment, ale jest tu dziwna ener-gia, pre-kur-sor samego życia.

Lily wciąż tu pozo-staje, nie-wi-doczna, ale wyczu-walna.

W porów-na-niu z tym sypial-nia pana ma oszczędny wystrój. Pan Black śpi na wąskiej plat-for-mie, którą wybrał, aby nic nie odry-wało uwagi od ogrom-nego foto-obrazu domi-nu-ją-cego na ścia-nie dokład-nie naprze-ciwko miej-sca, gdzie w nocy spo-czywa jego głowa. Heral-dyczne lilie zdo-bią uchwyty szu-flad i są wyha-fto-wane na pościeli. Nowy Jork leży u jego stóp niczym pre-zent za oknami, ale usta-wił łóżko tyłem do tego widoku, tak aby mieć przed sobą wize-ru-nek Lily. To sym-bol tego, jak żyje: obo-jętny na świat i opę-tany przez dawno zmarłą kobietę.

Pan Black każdy dzień koń-czy z Lily. Jej obraz jest ostat-nią rze-czą, którą widzi, i budzi się na jej widok. W prze-ci-wień-stwie do pokoju żony, ten działa przy-gnę-bia-jąco, jest chłodny i nie-sa-mo-wi-cie cichy, pozba-wiony życia.

Gdy się odwra-cam od pół-nocno-wschod-niego widoku na Cen-tral Park, kobieta, któ-rej nie-śmier-telna dosko-na-łość sku-pia całą uwagę, przy-ciąga mój wzrok. To intymny, bez-pre-ten-sjo-nalny por-tret. Lily natu-ral-nej wiel-ko-ści spo-czywa na roz-rzu-co-nej pościeli; jej ciało okrywa białe prze-ście-ra-dło, a dłu-gie czarne włosy oplą-tują smu-kłe koń-czyny. Usta ma opuch-nięte od poca-łun-ków, policzki zaru-mie-nione, w na pół przy-mknię-tych oczach jest pożą-da-nie i zabor-czość. Na tle popie-la-tej ściany wabi syre-nim śpie-wem piękna, obse-sji i znisz-cze-nia.

Nie-je-den raz przy-ła-pa-łem się na tym, że się w nią wpa-truję, zafa-scy-no-wany jej nie-ska-zi-tel-nymi rysami i potężną zmy-sło-wo-ścią. Nie-które kobiety chwy-tają męż-czyzn

w sieci przez zwy-kły akt swego ist-nie-nia.

Była bar-dzo młoda, led-wie dwu-dzie-sto-pa-ro-let-nia, ale wywarła głę-bo-kie wra-że-nie na wszyst-kich, któ-rzy się z nią zetknęli. I zosta-wiła męża w udre-ce, znisz-czo-nego przez wąt-pli-wo-ści, poczu-cie winy i roz-dzie-ra-jące serce pyta-nia... na które odpo-wie-dzi zabrała do swego wod-nego grobu.

## WITTE

Gdy włą-czam range rovera do ruchu, pan Black prze-ka-zuje pole-ce-nia przez komórkę. Jest led-wie ósma rano, a on już zaj-muje się zarzą-dza-niem swoim rosną-cym impe-rium.

Man-hat-tan prze-lewa się wokół nas stru-mie-niami samo-cho-dów i ludzi pędzą-cych we wszyst-kich kie-run-kach. W nie-któ-rych miej-scach na chod-ni-kach pię-trzą się worki ze śmie-ciami cze-ka-jące na wywie-zie-nie. Ten widok znie-chę-cił mnie, kiedy po raz pierw-szy przy-je-cha-łem do Nowego Jorku, ale teraz to tylko część żywego obrazu.

Polu-bi-łem to mia-sto, tak bar-dzo różne od malow-ni-czych zie-lo-nych wzgórz mojej ojczy-zny. Jest tu wszystko, czego dusza zapra-gnie. Ener-gia, róż-no-rod-ność i bogac-two oso-bo-wo-ści jego miesz-kań-ców nie mają sobie rów-nych.

Mój wzrok wędruje tam i z powro-tem, od pojaz-dów do pie-szych. Przed nami samo-chód dostaw-czy blo-kuje jed-no-kie-run-kową ulicę. Na chod-niku po lewej stro-nie bro-daty męż-czy-zna wypro-wa-dza grupę pod-eks-cy-to-wa-nych psów na poranny spa-cer, wpraw-nie manew-ru-jąc pół tuzi-nem smy-czy. Po pra-wej mama w spor-to-wym stroju pcha w kie-runku parku dzie-cięcy wózek do jog-gingu. Świeci słońce, ale wyso-kie budynki i gęsto ulist-nione drzewa tłu-mią świa-tło.

Wciąż tkwimy w korku.

Pan Black pro-wa-dzi dalej swoje inte-resy ze swo-bodną pew-no-ścią sie-bie, ton jego głosu jest spo-kojny i sta-now-czy. Auta powoli ruszają, a potem nabie-rają prę-d-ko-ści. Kie-ru-jemy się do cen-trum. Przez krótki czas mamy kolejne zie-lone świa-tła. Szczę-ście koń-czy się nam tuż przed dotar-ciem do celu, gdy zatrzy-muje mnie czer-wone.

Przed nami prze-pływa rzeka ludzi, więk-szość ze spuszczo-nymi gło-wami, nie-któ-rzy ze słu-chaw-kami w uszach, które, jak sądzę, dają chwilę wytchnie-nia od kako-fo-nii ruchli-wego mia-sta. Rzu-cam okiem na zegar, upew-nia-jąc się, że jeste-śmy zgod-nie z pla-nem.

Nagły, bole-sny dźwięk mrozi mi krew w żyłach. To na wpół zdu-szony jęk, tro-chę nie-ludzki. Szybko odwra-cam głowę i z nie-po-ko-jem spo-glą-dam na tylne sie-dze-nie.

Pan Black sie-dzi nie-ru-chomy i niemy, oczy ma ciemne jak węgiel, krew odpły-nęła mu z twa-rzy. Jego wzrok prze-suwa się wzdłuż prze-jścia dla pie-szych, śle-dząc coś. Patrzę w tamtą stronę, pró-bu-jąc to dostrzec.

Posą-gowa bru-netka oddala się od nas w pośpie-chu. Jej włosy są krót-kie i gład-kie, przy-cięte na boba, który muska wyra-zi-ście zary-so-waną szczękę. To nie są bujne pukle Lily, abso-lut-nie nie. Ale kiedy kobieta się obraca, by wejść na chod-nik, myślę, że mogłaby to być jej nie-zrów-nana twarz.

Tylne drzwi gwał-tow-nie się otwie-rają. Tak-sów-karz za nami wykrzy-kuje prze-kleń-stwa przez opusz-czoną szybę.

– Lily!

To, że mój pra-co-dawca posu-nął się tak daleko, że wykrzyk-nął imię swo-jej żony, wstrząsa mną jak huk wystrzału. Szok odbiera mi dech.

Kobieta rzuca spoj-rze-nie w naszą stronę. Potyka się. Zastyga w miej-scu.

Podo-bień-stwo jest nie-zwy-kłe. Nie-sa-mo-wite. Nie-moż-liwe do poję-cia.

Pan Black wyska-kuje z auta aku-rat w chwili, gdy świa-tło zmie-nia się na zie-lone. Jego

reakcja jest instynktowna; mnie paraliżuje konsternacja. Wiem tylko, że mój pracodawca nie panuje nad emocjami, a ja tkwię uwięziony za kierownicą range rovera, podczas gdy z obu stron trwa nowojorskie szaleństwo porannych dojazdów do pracy.

Jej twarz, dotąd blada jak porcelana, staje się bezkrywa. Odczytuję ruch jej soczyskie czerwonych warg: „Kane”.

Jej zdumienie, gdy go rozpoznaje, wskazuje na zażyłość i jest niewątpliwe.

Tak jak i strach.

Pan Black zerka na jeźdźcę, po czym całym ciałem rzuca się między jadące samochody. Ryk klaksonów staje się ogłuszający.

Te ostre dźwięki wyraźnie ją wstrząsają. Zrywa się do biegu i przezierza przez gęstwą ludzi, a jej szmaragdowa sukienka jest jak znak świetlny w tłumie.

Mój pracodawca, człowiek, który wszystko zdobywa bez wysiłku, rusza w pościg. Czarna limuzyna dogania ją pierwsza, przekraczając prędkość.

W jednej chwili Lily jest smugą zieleni w surowej szarości miejskiej dżungli. W następnej jaskrawą plamą na brudnej nowojorskiej ulicy.

## AMY

Uśmiecham się do kel-nera powol-nym, lek-kim wygię-ciem ust.

– Pro-szę jesz-cze raz man-hat-tan.

– O Boże – jęczy dra-ma-tycz-nie Suzanne, pocie-ra-jąc skro-nie. Jej mocno skrę-cone, lśniące czarne loki tań-czą przy tym ruchu. – Nie wiem, jak to robisz. Gdy-bym wypła alko-hol o tej porze, musia-ła-bym pójść się zdrzem-nać.

Rzu-cam tęskne spoj-rze-nie na jej wide-lec do kok-tajli i wyobra-żam sobie, jak dźgam ją nim w oko. Zamiast tego uży-wam słów.

– Jak ci idzie książka?

Krzywi się, a ja ukry-wam uśmiech. Gdy zaczyna paplać o orga-nicz-nej kre-atyw-no-ści i uzu-peł-nia-niu ducho-wej ener-gii, wyobra-żam sobie jej ładną buzię z dziurą zie-jącą w miej-scu, gdzie przed-tem była gałka oczna, oraz ciemną pustką za nią, gdzie powi-nien znaj-do-wać się mózg.

– Jestem wielką fanką – zachwyca się Erika Fer-rari.

Czy ona, kurwa, żar-tuje? Musia-łam wczoro-raj dzia-łać szybko, żeby zła-pać Erikę i zapro-sić ją na lunch, zanim Kane wycią-gnie ją z przy-ję-cia, by wsadzić w nią swego fiuta. Świa-do-mość, że przy-jęła moje zapro-sze-nie tylko po to, by poznać Suzanne, dopro-wadza mnie do wście-kło-ści. Ta głu-pia cipa mnie wyko-rzy-stała!

Dla pod-kre-śle-nia tych słów Erika pochyla się do przodu, jaw-nie włą-żąc jej w dupę.

I nagle, tak po pro-stu, obawy Suzanne zni-kają, zastą-pione pro-mien-nym uśmie-chem. Ma naj-pięk-niej-sze usta – mięk-kie, z natu-ral-nie ciem-niej-szym obry-sem deli-kat-nie różo-wego wną-trza, jakby to była natu-ralna kon-tu-rówka.

– Och, dziekuję! Bar-dzo się cie-szę, że moja praca ci się podoba.

Prze-ska-kuję wzro-kiem zatło-czone sto-lik, by zna-leźć bar, mając nadzieję, że doj-rzę, jak bar-man robi mi drinka. Jesz-cze jeden łyk i będę się gapić w dno pustego kie-liszka. Bez alko-holu nie zdzierzę ani minuty Pokazu Wza-jem-nego Uzna-nia w wyko-na-niu Suzanne i Eriki. Dzięki Bogu mam dar usu-wa-nia idio-ty-zmów z mojego banku pamięci. Przy odro-bi-nie szczę-ścia pošlę ten lunch w zapo-mnie-nie jesz-cze przed kola-cją.

„Wiesz, czego potrze-bu-jesz, Amy?“, zapy-tała mnie kie-dyś moja teściowa z typową dla niej, dwu-znaczną sło-dy-czą. „Kul-tury. Spró-buj zna-leźć przy-ja-ciół, któ-rzy mogą pod-nieść twój poziom. Pisa-rzy, arty-stów, muzy-ków... Ludzi, któ-rzy mogą cię cze-goś nauczyć”.

Jak-bym na niczym się nie znała. Tak, cho-dzi-łam do szkoły publicz-nej, a potem dwa lata do poli-ce-al-nej, zanim ukoń-czy-łam mar-ke-ting na uni-wer-sy-te-cie. To prawda, nie wie-dzia-łam, że mój kie-li-szek do wody stoi z pra-wej strony czy że widelce kła-dzie się po lewej. Nic z tego nie czyni mnie bez-war-to-ściową.

Aliyah myśli, że nie jestem wystar-cza-jąco dobra dla jej dro-giego Dariusa. Gdyby tylko wie-działa – prze-le-cia-łam wszyst-kich trzech jej synów.

Tak więc Suzanne – która uro-dziła się jako zwy-czajna Susan – jest moją odro-biną lite-rac-kiego wyra-fi-no-wa-nia. Pisze tan-detne romanse o miliar-de-rach, któ-rzy pie-przą jak mistrzo-wie, i o kobie-tach, które ich oswa-jają. Jest ide-alną odpo-wie-dzią środ-ko-wego palca na moją teściową sukę.

Przez Aliyah – i Kane’a – mar-nuję dwie godziny życia z dwiema kobie-tami, któ-rych



nie mogę znieść. Erika i Suzanne dys-ku-tują obec-nie o sek-su-al-nych wyczy-nach fik-cyj-nych postaci z pod-nie-ce-niem, które ja rezer-wuję dla praw-dzi-wego życia. To oczy-wi-ste, że panna Fer-rari pota-jem-nie wspo-mina, jak Kane wyru-chał ją do nie-przy-tom-no-ści i wyobraża sobie, że prze-żyła scenę z książki. Stara się być dys-kretna, spraw-dza-jąc tele-fon, bez wąt-pie-nia zоста-wiła swój numer, zanim Witte wypro-wa-dził ją za drzwi ze swoim, och, jakże bry-tyj-skim opa-no-wa-niem.

Wiem, jak ta scena by się roze-grała, mam to wyryte w pamięci. Uprzejme puka-nie do drzwi. Ide-al-nie wypo-le-ro-wana srebrna taca z ele-ganc-kim ser-wi-sem do kawy i poje-dyn-czą białą różą wygląda olśnie-wa-jąco. Biały jedwabny szla-frok czeka w łazience zaopa-trzo-nej we wszystko, czego kobieta może potrze-bo-wać, by ukryć nie-uchronne zaże-no-wa-nie po jed-no-ra-zo-wej przy-go-dzie. A wró-ciw-szy do sypialni po prysz-nicu, Erika zasta-łaby ubra-nia, które Kane z niej zdjął, sta-ran-nie uło-żone na bia-łej aksa-mit-nej ławce, a jej pospiesz-nie zrzu-cone buty u stóp już prze-ście-lo-nego łóżka.

Witte jest co naj-mniej dosko-nale kom-pe-tentny.

I Kane. Taki prze-wi-dy-walny. Już w chwili, gdy Erika się poja-wiła, wie-dzia-łam, że ją zali-czy. Wygląda jak jego zmarła żona i ja. Ona o tym nie wie, ale jest naj-now-szym przed-mio-tem grun-tow-nych badań, które piesz-czo-tli-wie nazy-wam: „Kobiety, które Kane Black dymał i wydał”.

Jak dotąd powierz-chowne podo-bień-stwo wydaje się wszyst-kim, czego Kane potrze-buje, by prze-le-cieć kobietę na roz-ma-ite spo-soby. To kom-pletny świr. Suzanne powinna napi-sać o nim książkę. Wła-ści-wie mogła-bym uży-czyć tytułu moich badań do jej następ-nej powie-ści. Potra-fię być hojna, kiedy nie sie-dzę obok sobo-wtóra, który pro-mie-nieje, ma opuch-nięte usta i zaspane oczy.

Boże, jestem w paskud-nym nastroju.

Erika Fer-rari. To głu-pie nazwi-sko musi być fał-szywe.

Zerka ukrad-kiem do swo-jej torby Cha-nel, gdzie jej tele-fon leży ekra-nem do góry. Suzanne rzuca mi dys-kretne, poro-zu-mie-waw-cze spoj-rze-nie.

Roz-glą-dam się despe-racko po zatło-czo-nej restau-ra-cji, szu-ka-jąc swo-jego drinka. Więk-szość męż-czyzn jest ele-gancka. Kobiety mają świetne fry-zury i mar-kowe stroje – ale te w maki-jażu sta-no-wią rzad-kość. Nie potra-fię zro-zu-mieć, dla-czego uwa-żają to za dopusz-calne. Po co się tru-dzić ukła-da-niem wło-sów, jeśli nie masz ochoty uma-lo-wać twa-rzy? Nie ma nic gor-szego niż nie-do-ro-bie-nie.

– Jak pozna-łaś Dariusa? – pyta mnie Erika, się-ga-jąc do koszyka po kolejną bułeczkę.

– Kane nas sobie przed-sta-wił.

Oży-wia się na wspo-mnie-nie jego imie-nia.

– A jak pozna-łaś Kane’a?

Odcze-kuję chwilę dla efektu, po czym mówię:

– Wycho-dzi-łam z restau-ra-cji, a on zatrzy-mał mnie na ulicy. Wyglą-dam jak jego żona. To jego bzik. Ciemne włosy i zie-lone oczy. Czer-wona szminka też na niego działa.

Uśmiech Eriki nieco słab-nie.

– Cóż, nie-któ-rzy męż-czyźni mają swój typ.

Z zaże-no-wa-niem unosi dłoń do opa-da-ją-cych ciem-nymi falami wło-sów, które się-ga-łyby dołu sta-nika, gdyby go nosiła. Nie nosi i nie musi tego robić; ma małe piersi, jak ja. I jak żona Kane’a, która chwy-ciła go za jaja i już nie puściła.

Kane nie dba o nikogo. Jeśli nie sto-isz bez-po-śred-nio przed nim, już o tobie zapo-mniał. Jeśli ist-nieje ktoś, o kim można powie-dzieć, że żyje chwilą, jest to Kane. Wczo-raj już odrzu-cił, ma gdzieś jutro i zain-te-re-so-wa-nia wystar-cza mu na tyle, by prze-trwać dzi-siaj.

Ale psy-cho-tycz-nie trzyma się wspo-mnie-nia o Lily.

Co dla mnie nie ma żad-nego sensu.

Nie jest typem faceta, który z chę-cią cierpi, więc muszę wie-rzyć, że przy-po-mi-na-nie sobie o jej śmierci w jakiś spo-sób spra-wia mu przy-jem-ność. Lub jest to sztuczka, by przy-cią-gnąć kobiety, jak sek-sowny facet z uro-czym szcze-niacz-kiem. Jak bar-dzo jest to chore?

– Szybko się zaprzy-jaź-ni-li-śmy – cią-gnę lek-kim tonem. Bar-dziej niż przy-jaź-ni-li-śmy! Przez całą noc. – Potem wpa-dli-śmy na sie-bie kilka razy – dodaję. Sle-dzi-łam go. – Pew-nego razu był z nim Darius.

A mój obecny mąż od razu został cia-łem zastę-pczym w łóżku. Na tym powinno było się skoń-czyć, ale Aliyah zadbała, by jej średni syn dostał to, czego chciał – pier-ścio-nek na moim palcu. I aby ona dostała to, czego chciała – moją firmę zarzą-dza-jącą mediami spo-łecz-no-ścio-wymi, Social Cre-amery. Teraz żałuje, że jestem. To moja jedyna pocie-cha.

– Jaka ona była? – pyta Erika. – Jego żona.

– W lite-rac-kim świe-cie nazwa-li-by-śmy ją Mary Sue – mówi z chi-cho-tem Suzanne.

– Amy woli nazy-wać ją Mary Pop-pins.

Na twa-rzy Eriki poja-wia się wyraz zmie-sza-nia.

Wyrwa się ze mnie pozba-wiony humoru śmiech.

– Prak-tycz-nie dosko-nała pod każ-dym wzglę-dem.

– Och.

– Przy-naj-mniej tak prze-ko-nują ludzie, któ-rzy ją znali. Nikt z rodziny ni-gdy jej nie spo-tkał, ponie-waż od lat nie utrzy-my-wali kon-tak-tów z Kane'em. Jej przy-ja-ciele powie-dzą ci, że była cudowna, mądra, zachwy-ca-jąca, ide-alna gospo-dyni, świetna we wszyst-kim i tak dalej, i tak dalej, bla, bla, bla... – wymie-niam uszczy-pli-wie. – Wszy-scy ją kochali.

– Nikt nie lubi mówić źle o zmar-łych – odpo-wiada sztywno, patrząc na mnie z przy-ganą.

– Ide-ali-zo-wa-nie nie czyni nikogo mniej zmar-łym. I, co dziwne, Kane w ogóle nie chce o niej roz-ma-wiać. Nawet nie wspo-mi-naj jej imie-nia w zasięgu słu-chu, bo robi się zimny jak lód.

– No tak, cóż... Może jest gotowy pójść naprzód – zauważa z zado-wo-lo-nym z sie-bie uśmie-chem, który spra-wia, że mam ochotę ścia-gnąć ją z krze-sła za włosy i wal-nać w zęby. Poko-nuję pra-gnie-nie, by poka-zać jej sel-fie, które zro-bi-łam ze wszyst-kimi kobie-tami wyglą-da-ją-cymi jak nasze sobo-wtóry, tylko dla-tego, że nie chcę, by pomy-ślała, że mi odbiło.

Odpo-wia-dam jej tym samym zaro-zu-mia-łym uśmie-chem.

– Jestem pewna, że dla-tego wciąż nosi obrączkę. Nie zauwa-ży-łaś wzoru na por-ce-la-nie? Kom-po-zy-cji kwia-to-wych? Miała na imię Lily i wszystko, co on posiada, jest ozdo-bione liliami.

Leciutko wzru-sza ramio-nami. No wła-śnie. Te istotne szcze-góły jej umknęły. Nie wiem, dla-czego nikt inny nie widzi tego, co ja. Po pro-stu bez-myślni igno-ranci. Kiedy wspo-mnia-łam o eks-plo-zji lilii na całym dobytku Kane'a, Darius stwier-dził, że wyobraź-nia mnie ponosi. „Ma dziew-częcy gust i co z tego?“, zapy-tał.

Samo-za-do-wo-le-nie Eriki wypa-ro-wuje. Zanim skoń-czymy lunch, nie będzie już taka roz-pro-mie-niona. Poczuje się wyko-rzy-stana i dużo mniej wyjąt-kowa. Jej pew-ność sie-bie pozo-sta-nie nad-szarp-nięta przez długi czas, może na zawsze. Nie mogę znieść tego, że spała z Kane'em, ale miło wie-dzieć, że nie jestem jedyną osobą na tyle auto-de-struk-cyjną, by ulec jego uro-kowi.

Kel-ner, przy-stojny, ale onie-śmie-lony, przy-nosi mi drinka i dostaje ode mnie szczery

uśmiech. Prze-ły-kam, zamy-ka-jąc na chwilę oczy, by delek-to-wać się chłod-nym bour-bo-nem zmie-sza-nym ze słod-kim wermu-tem. Cie-pły szum alko-holu w gło-wie łągo-dzi moją zło-śli-wość i nagle oczy pieką mnie od sło-nych łez.

Jezu. Prze-ga-niam smu-tek gnie-wem.

To żało-sne, jak jedna noc z Kane'em Blac-kiem zde-fi-nio-wała moje życie. Mój psy-cho-ana-li-tyk mówi, że mam pro-blemy z porzu-ce-niem przez tatę, które wypa-czają mój pro-ces decy-zyjny. To mnie jesz-cze bar-dziej wku-rza. Co za kobieta pozwala męż-czy-znom tak bar-dzo namą-cić sobie w gło-wie?

Kane ni-gdy nie zro-zu-mie ani nie przy-zna, jak to jest być zabra-nym z ulicy wprost do pen-tho-use'u przez męż-czy-znę, który wygląda i zacho-wuje się tak jak on. Tej jed-nej nocy poczu-łam, że mogę być coś warta dla kogoś nie-zwy-kłego, że każde moje życze-nie może się speł-nić. Była-bym panią Kane Black. Żyła-bym w spek-ta-ku-lar-nie pięk-nym apar-ta-men-cie, wita-ła-bym w swoim domu jako gości tych samych ludzi, któ-rzy kie-dyś kazali mi się przed sobą płasz-czyć, gdy chcia-łam pozy-skać w nich klien-tów. Z pew-no-ścią znał to uczu-cie. Dla-tego mnie wybrał, a potem ocza-ro-wał tak kom-plet-nie, że w ciągu paru godzin zna-ła-złam się pod jego nacie-ra-ją-cym cia-łem.

Ponad rok póź-niej Aliyah poka-zała Dariu-sowi pota-jem-nie zro-bione zdję-cie por-tretu Lily ukry-tego w sypialni Kane'a. Nikt z nas go nie widział, ponie-waż Witte zawsze jakimś cudem się mate-ria-li-zuje, jeśli ktoś zabłą-dzi w ten koniec pen-tho-use'u. Zer-k-nę-łam ponad ramie-niem Dariusa, gdy patrzył na Lily, i w odle-głej czę-ści mojego umy-słu roz-brzmiał krzyk, który ni-gdy nie ustał.

Erika dotyka mojego ramie-nia, pró-bu-jąc zwró-cić na sie-bie moją uwagę.

– Pra-cu-jesz z Kane'em w budynku Cross-fire?

To, że nie nazywa go panem Blac-kiem, dopro-wa-dza mnie do szału. Kogo obcho-dzi, że go pie-przyła? Już o niej zapo-mniał. Nie są przy-ja-ciółmi i ni-gdy nie będą.

– Sie-dziba Social Cre-amery mie-ści się w Cross-fire – odpo-wia-dam, prze-su-wa-jąc języ-kiem po dol-nej war-dze, by zli-zać resztki drinka. Czuję zna-jomy przy-pływ wście-kło-ści, gdy wymie-niam nazwę swo-jej firmy. – Ale nie muszę tam bywać codzien-nie. Zbu-do-wa-łam biz-nes tak, by dzia-łał jak maszyna.

I był kolej-nym try-bi-kiem w rosną-cym impe-rium Baha-ran Phar-ma-ceu-ti-cals.

Nie mogę mówić o fir-mie, którą stwo-rzy-łam od pod-staw, bez urazy ści-ska-ją-cej mi gar-dło. Social Cre-amery była moją nie-za-leż-no-ścią, dowo-dem na to, że mogę odnieść suk-ces. Grun-tow-nie prze-stu-dio-wa-łam trendy w mediach spo-łecz-no-ścio-wych, fine-zyjne spo-soby wyko-rzy-sta-nia moc-nych i sła-bych stron plat-form, zbu-do-wa-łam zespół influ-en-ce-rów, któ-rzy mogli pro-mo-wać i sprze-da-wać nie-mal wszystko, zatrud-ni-łam copyw-ri-te-rów, któ-rzy byli dow-cipni i umieli, kurwa, pisać – świat naprawdę jest pełen nie-wy-kształ-co-nych idio-tów – i cho-dzi-łam od drzwi do drzwi ze swoim natu-ral-nym uro-kiem, aby prze-ko-nać klien-tów, by powie-rzyli mi pro-mo-cję swo-ich marek.

Potem Aliyah wpeł-zła jak wąż i zasu-ge-ro-wała wzię-cie Social Cre-amery pod skrzy-dła Baha-ran, aby stały się połą-czoną firmą rodzinną, dzięki czemu mia-ła-bym dostęp do więk-szej ilo-ści zaso-bów. Dariusz pomy-słał, że wspa-niale byłoby pra-co-wać ramię w ramię, a ja nie zna-łam Aliyah na tyle dobrze, żeby zacho-wać ostroż-ność.

Nie minęło dużo czasu od pod-pi-sa-nia doku-men-tów, gdy zaczęła pod-ko-py-wać zaufa-nie do mnie i moich pomy-słów oraz kwe-stio-no-wać moją etykę biz-ne-sową. Skra-dła lojal-ność moich pra-cow-ni-ków pre-zen-tami i pre-miami, z któ-rych więk-szość była moim pomy-słem, ale zasłu-gę przy-pi-sała sobie. Moi nie-do-szli sojusz-nicy zdy-stan-so-wali się, aby unik-nąć reper-ku-sji z jej strony, aż w końcu cała firma była prze-ciwko mnie.

Suzanne i Erika pochylają się ku sobie, rozmawiając z zachwytem o sukience kobiety, która mija nasz stolik w drodze do toalety. Dopaśowana – w stylu bodycon, z abstrakcyjnym nadrukiem, jest interesującym ubraniem, które o wiele lepiej wyglądałoby z bielejącą modelemującą tuszującą wypukłości.

Upijam powoli kolejny długi łyk i mruczę z rozkoszy. I na samą myśl o czymś.

Już nie długo całe moje życie się zmieni. Odyskam Social Creamery i wszystko inne, co zabrała mi moja „rodzina”, plus odsetki. Tymczasem bardziej niż ślubna przysięga i obrączka, którą noszę, z Dariusem, jego braćmi i Aliyah wiąże mnie moja firma. Niech to szlag, jeśli odejdę bez niej.

Dzwoni komórka i Erika rzuca się po swoją torebkę z idiotycznym pośpiechem. Jej rozczarowanie, kiedy wszystkim zdajemy sobie sprawę, że to mój telefon dzwoni, sprawia, że śmieję się w duchu.

Wesołość znika, gdy na ekranie widzę imię Aliyah.

– Cześć, mamó – witam się z nią, wiedząc, jak bardzo nie nawidzi, gdy ją tak nazywam.

– Amy – odpowiada zadziwiająco głębokim i ochrypłym głosem, który często mnie zaskakuje. – Próbowalam znaleźć twojego męża, ale właśnie sobie przypomniałam, jaki jest dzień.

Nie zbyt subtelnie przypominam, że Darius ma piątkową popołudniową randkę ze swoją asystentką, otrzeźwia mnie. Nagle czuję gorycz w ustach.

To boli. Na dobre i na złe Darius jest mój. Myślę nawet, że mnie kocha i byłby dla mnie lepszym mężczyzną, gdybym tylko mogła przestać myśleć o tym, jak Kane pieprzył mnie tak mocno, jakby miał umrzeć, gdyby przestał. Ale nie mogę, a mój mąż dyma teraz swoją bardzo sprawną asystentkę. Ta ładna blondynka zawsze przynosi mi kawę dokładnie taką, jaką lubię, i jest tak miła, że mam ochotę pobić ją do krwi torebką.

– Może ci pomogę? – pytam słodko.

– Nie przejmuj się tym. Wyślę mu esemes. – Jej głos jest gładki jak miód, gdy nagle wstrząsa moim światem. – Żona Kane’a powróciła z martwych.

## ALIYAH

Przyglądam się swojemu odbiciu, ostrożnie ścierając z ust szminkę w jasno-różowym odcieniu „Rosana” i zamieniam ją na cielisty błyszczak. Cofając się, spojglądam na rezultat i z aprobatą kiwam głową – o wiele bardziej pasuje do okoliczności. Uśmiecham się, wyobrażając sobie minę Amy, kiedy się rozłączyłam. Jeśli istnieje coś, w czym mogę polegać na mojej synowej, to to, że do piętej zawsze jest już pijana. Jeśli dobrze rozegrałam tę rozmowę, jeszcze przed trzecią urwie jej się film.

Dziewczyna jest piękna, ale bezużyteczna. Ma jedną umiejętność, którą wykończyliśmy. A jej fiksjna na punkcie jednego z moich synów rani drugiego. Choćby tylko dla tego chcę, by zniknęła z naszego życia. To już nie potrwa długo. Coś, co zaczęło się jako kieliszek wina do kolacji, stało się dwoma. Potem była cała butelka. Czemu by nie dodać kapki whiskey rano, aby rozpuścić dzień? Następnie koktajl do lunchu. To wszystko jest zbyt łatwe, naprawdę. Sama chciała upaść tak nisko. Ja ją tylko odrobinię popchnęłam, żeby jej pomóc.

– Jesteś gotowa? – pyta Darius, pojawiając się za moimi plecami. Wkłada marynarkę, marszcząc czoło. Jego woda kolońska jest subtelna i kojąca, drzewny zapach, który zaprojektowałam specjalnie dla niego. Pasuje mu. Jest niewzruszony jak sekwoja, silny i niezłomny. On naprawdę stał się moją chlubą. Zbyt wiele matek wychowuje synów bez szacunku dla kobiet.

Odwracam się do niego.

– Zamknąłeś te projekty?

– Tak, oczywiście. Jak myślisz, gdzie byłem?

Jego ciemne włosy stylowo opadają na czoło. Szczerpła twarz przypomina moją, ale blady błękit oczu ma po ojcu: taka silna cecha, te oczy. Ramin i Rosana też je mają.

– Prawie skończyliśmy – mówi, marszcząc brwi. – Moglibyśmy już dziś przebrać architekta nasze uwagi.

– I nie otworzy ich aż do poniedziałku. – Wyglądzam klapy jego marynarki.

Gdyby tylko Amy wiedziała, że jej mąż spędza piątkowe popołudnia, pracując ze mną nad projektem naszego ośrodka badawczego w Seattle. Zamiast tego myśli o nim jak najgorzej. Wystarczy mała sugestia, by wywołać u niej paranoję.

Darius nie jest niewierny jak Paul, mój pierwszy mąż. Podejrzewałam, że ojciec Kane’a miał romans, ale nie mogłam tego udowodnić. Postanowiłam wieść, że nie tylko jako matka jego dziecka, ale także dla firmy, którą pomagałam mu zbudować, jestem dla niego zbyt ważna, by kiedykolwiek zakończył nasze małżeństwo. Baharan Pharma-ceuticals była dla Paula wszystkim, naszym wspólnym dziełem życia, no i uwielbiał Kane’a – przynajmniej tak myślałam aż do chwili, gdy dowiedziałam się, że wyciągnął z firmy ostatniego centa i uciekł do Ameryki Południowej.

Poprawiam krawat Dariusza.

– Rozczarowujesz mnie.

– Dlaczego?

– Bo jesteś taki zirytowany, że musisz wspierać brata w czasie osobistego kryzysu.

Unosi brwi.

– Nie mogę i nie będę tego robił, bo on ni-gdy nie oka-załby mi takiej samej uprzej-mo-ści.

– Darius. – Mój ton usuwa z jego twa-rzy wszelki ślad nadą-sa-nia. – Tego nie wiesz. A jeśli nie chcesz zro-bić tego dla niego, zrób dla mnie. Dla mnie też jest to przy-kre.

Rzuca mi uszczy-pliwe spoj-rze-nie, ale nie obcho-dzi mnie, czy myśli, że jestem hipo-krytką. Zro-bi-łam to, co musia-łam zro-bić, by prze-trwać. Ze względu na to, jak zmie-ni-łam się po zdra-dzie Paula, z dru-gim mał-żeń-stwem poszło mi lepiej. Dotrwa-łam do czasu, gdy warunki inter-cyzy prze-stały obo-wią-zy-wać, więc dosta-łam to, co mi się nale-żało. I nie jest tak, że nie wspie-ra-łam Kane’a aż do doro-sło-ści.

W każ-dym razie nie ma sensu wska-zy-wać, że Darius ni-gdy nie prze-cho-dził żad-nego kry-zysu, ponie-waż Kane chro-nił go, odkąd ponow-nie wkro-czył w nasze życie. Darius mnó-stwo zawdzię-cza star-szemu bratu – wol-ność od dłu-gów stu-denc-kich, środki do życia, a nawet żonę.

Gdy sześć lat temu Kane zwró-cił się do mnie w spra-wie wskrze-sze-nia Baha-ran Phar-ma-ceu-ti-cals, pomy-śla-łam, że w końcu możemy zostać rodziną. Mój drugi mąż – który nie był ani tro-chę zain-te-re-so-wany wycho-wy-wa-niem syna innego męż-czy-zny – w końcu znik-nął z pola widze-nia. Kane sko-rzy-stał z mojej rady, aby jego bra-cia kształ-cili się, by móc zająć klu-czowe sta-no-wi-ska w fir-mie. Pomy-śla-łam, że może moje dzieci wresz-cie będą razem, ale tylko Rosana cie-szyła się z ponow-nego spo-tka-nia z naj-star-szym bra-tem. Darius i Ramin od początku przy-jęli wobec Kane’a nie-chętną postawę, mając za złe, że są postrze-gani jako powin-ność.

Wąt-pię, czy nawet zde-tro-ni-zo-wa-nie Kane’a jako szefa firmy zmniej-szy-łoby urazę drę-czącą Dariusa. Nie może prze-stać czuć, że jego odpo-wie-dzial-ność za młod-sze rodzeń-stwo została mu ode-brana. I rze-czy-wi-ście chyba naj-le-piej, żeby bra-cia nie byli ze sobą bli-sko. Mógłby powstać pro-blem, gdyby kie-dyś utwo-rzyli wspólny front.

– Po pro-stu nie rozu-miem, dla-czego musimy się tam spie-szyć – spiera się. – Będzie potrze-bo-wał czasu, aby wyja-śnić swoją nową sytu-ację, a jego żonę leczą teraz na to, co tam jest z nią nie tak. Odkła-damy coś waż-nego bez powodu.

– Czyżby? Naprawdę sądzisz, że to nic takiego, że Kane przed-sta-wia się wszystkim jako wdo-wiec, kiedy ewi-dent-nie nim nie jest?

Nie-mniej Lily naj-wy-raż-niej była bli-ska śmierci na ulicy i mogła jesz-cze umrzeć. Kie-rowca, który ją potra-cił, nie zaha-mował i uciekł z miej-sca zda-rze-nia, jak powie-dział Witte, kiedy zadzwo-nił, gdy zabie-rano ją do karetki. Nie mówię Dariu-sowi, że coś w gło-sie Witte’a przy-pra-wiło mnie o dresz-cze, jakby ktoś cho-dził po moim gro-bie.

– Jesteś zasko-czona, że Kane kła-mie? – drwi mój syn. – Daj spo-kój. I nie mówię, że jego żona nie jest pro-ble-mem. Mówię tylko, że nie jest pro-ble-mem w tej chwili. Kane od lat radzi sobie w życiu bez nas. Będzie umiał zro-bić coś z tą ściemą. To nie jest mój kło-pot.

Mówi tak, bo nie-wiele wie o prze-szło-ści. Cho-dził jesz-cze do liceum i był w szkole, kiedy poli-cja z Gre-en-wich przy-szła do naszego domu w Sad-dle River, pyta-jąc o mojego naj-star-szego syna, któ-rego nie widzia-łam ani nie roz-ma-wia-łam z nim od lat.

Detek-tywi powie-dzieli, że ich pyta-nia doty-czące cha-rak-teru i tem-pe-ra-mentu Kane’a są tylko „ruty-nowe”. Być może były. Kiedy szybko oka-zało się, że nie-wiele wiem o doro-słym życiu swo-jego syna – nawet tego, że praw-nie zmie-nił nazwi-sko – zapy-tali mnie, dla-czego nie mamy ze sobą kon-taktu, a ja wyzna-łam im prawdę: nie doga-dy-wał się z moim męż-em, jego ojczy-mem. Spoj-rzeli na sie-bie, podzię-ko-wali mi za poświę-cony czas i wyszli.

Na-dal nie wiem, czy ich wizyta miała coś wspól-nego z jego żoną. W cza-sie prze-słu-cha-nia nawet nie mia-łam świa-do-mo-ści, że jest żonaty. I ni-gdy nie roz-ma-wia-łam

o tym z nikim, nawet z Kane'em, który kilka dni później pojawił się na moim progu, aby omówić odbudowę Baha-ran.

Nasze stosunki są w najlepszym razie luźne i nie zaryzykuję rozłamem, który może zagrozić mojej pozycji w Baha-ran, dopóki nie przejmę firmy.

– Oczywiście, że to twój problem – podkreśliłam. – To problem nas wszystkich. Co spowodowało ją teraz z powrotem? Co robiła przez te wszystkie lata?

– Mogę ci powiedzieć, dla czego wróciła. Ten głupi magazyn z listą najseksowniejszych mężczyzn świata jest wszędzie. Kane może mieć z tego więcej niż Dwayne Johnson! Więc ona widzi artykuł, myśli, że teraz, kiedy stał się bogaty, jest korzystniejszą opcją, i wraca do domu. Nie jestem idiotą, mam. Po prostu nie widzę w niej zagrożenia, chyba że przeżyje i spowoduje kłopoty.

Postarałam się, żeby Social Cre-amery nagłośniło obecność Kane'a w wydaniu o seksownych mężczyznach, ponieważ sława równa się bogactwu. Irytowało mnie, że nie przewidziałam, iż byli przyjaciółmi i kochankami – nie wspominając o rzekomych małżonkach – wynurzą się z cienia, by pławić się w jego blasku. Ale jak mogłam spodziewać się czegoś takiego?

Nawet nie znam jej panińskiego nazwiska. Po jej śmierci nie było żadnego nabożeństwa żałobnego – to znaczy po rzekomej śmierci. A przy najmniej niczego, na co zostałabym zaproszona lub o czym mogłam znaleźć ogłoszenie. A Kane nie chce o niej rozmawiać. Wściekał się za każdym razem, gdy choćby napomknęłam o jego małżeństwie, więc przestałam. W ostatnim rozrachunku ukończona ze studiów, której nigdy nie spotkałam, nie miała ze mną nic wspólnego.

– Sądzę, że go została – kontynuuje Darius – a on przez cały ten czas wszystkich okłamywał, żeby zachować twarz.

– To byłaby lekka przesada, nie sądzisz?

– Tak jak pen-tho-use! I zatrudnienie Witte'a, do cholery. Kane jest groteskowy pod wieloma względami. Mar-twisz się o nic.

Ogarnia mnie gniew. Nie dam się traktować protekcjonalnie ani nie pozwolę, aby moje myśli i uczucia były bagatelizowane. Nie słuchałam swojego instynktu przy Paulu i dostałam gorzką lekcję, której nigdy nie zapomnę.

– Uwaga na ton, Dariu-sie. Nie histeryzuję, jestem ostrożna. Ochrona Baha-ran i tej rodziny jest dla mnie ważna i nie będę za to przepraszać.

– W tej kolejności – mruczy pod nosem.

– Nie zapomnij o klauzuli moralności w umowie naszej ECRA+ z Cross Industries. Jeśli zostaniemy uwięzieni w skandal – a sfingowana śmierć w rodzinie jest oczywiście skandalem – będzie to dla nas zgubne. Nie możemy sobie pozwolić na utratę tego, w co zainwestowaliśmy, nie mówiąc już o restytucji, której Gideon Cross mógłby zażądać.

Cross dobrze pamięta o defraudacji Paula, mimo że unika bezpośrednio wzmianki o tym. Jego ojciec, Geofrey Cross, zasłynął z kierowania piramidą finansową, która przyniosła inwestorom miliardowe straty. Kiedy teraz ktoś wspomina nazwisko Cross, myśli przede wszystkim o Gideonie, a on nie pozwoli, aby cokolwiek – lub ktokolwiek – zepsuło wizerunek człowieka sukcesu, nad którym tak pilnie pracował.

Darius marszczy brwi i widzę w jego oczach, że analizuje możliwe konsekwencje.

– Nie uprzedzajmy faktów. Wszystko idzie zgodnie z planem. Rosana jest twarzą nowej linii kosmetyków, a Eva Cross chce udowodnić mężowi, że potrafi prze-wodzić udanej współpracy z firmą wielkości ECRA+ Cosmetics. Jeśli wizerunek Rosie pozostanie bez skazy, Eva zadba o to, by wszystko szło do przodu. Potrzebujemy tylko

częściowo wia-ry-god-nej histo-rii, która przy-kryje sytu-ację mał-żeń-ską Kane'a, więc coś wymy-ślimy.

– Cóż, chyba nie możesz być tego pewien, zwa-żyw-szy, że nie wiesz nic o Lily ani o tym, co w prze-szło-ści zaszło mi-ędzy nią a Kane'em.

– Zachowu-jesz się, jakby to ona była pro-ble-mem, ale, o ile wiemy, to nim musimy się mar-twić.

Rzu-cam mu szyb-kie spoj-rze-nie.

– W każ-dym razie jedziemy do szpi-tala, prawda? – Uśmie-cha się. – Wkrótce się cze-goś dowiemy.

Nie prze-pra-sza, że począt-kowo się temu sprze-ci-wiał, a ja do tego nie wra-cam. Ale też nie zapo-mnę.

Żadne z moich dzieci ni-gdy się nie dowie, przez co prze-szłam, żeby odzy-skać patenty che-miczne Paula od wspól-nika, któ-rego zruj-no-wał, i z powodu tej igno-ran-cji ni-gdy nie zro-zu-mieją, jak ważna jest dla mnie Baha-ran. Pew-nego dnia może powiem Rosa-nie. Będzie musiała przy-go-to-wać się na to, co zna-czy być kobietą w tym świe-cie, jak bar-dzo jeste-śmy bez-bronne i jak łatwo padamy ofiarą dra-pież-nych męż-cyżn.

Nie wiem, co moje naj-star-sze dziecko mogło zro-bić, a czego nie. W końcu Kane to męż-czyzna: nie ma dla niego rze-czy nie-moż-li-wych. Ale nie popeł-nię tego samego błędu, co z Pau-lem. Nie zostanę bez środ-ków do życia. Baha-ran będzie dzia-łać dalej, a ja z nawiązką zasłu-ży-łam na prawo do kie-ro-wa-nia nią oso-bi-ście.

– To może mieć swoją dobrą stronę – mówi Darius. – Ten wypa-dek wygląda na poważny, prawda? Kane już bie-rze tydzień wol-nego, czego ni-gdy wcze-śniej nie robił. Może wycofa się na dłu-żej i da nam szansę prze-ko-nać zarząd, że nowy obiekt w Seat-tle to świetny pomysł.

Wtedy dopil-nu-jemy, żeby wyko-nawca, który wygra prze-targ, był tym, w któ-rego mocno zain-we-sto-wa-li-śmy. Doda-li-śmy do pro-jektu tyle nie-po-trzeb-nych ozdob-ni-ków, które można usu-nać, że będziemy bez-piecz-nie licy-to-wać taniej niż kto-kol-wiek inny. Dzięki zyskom z budowy mogę nabyć wię-cej udzia-lów, a kiedy wszy-sczy zoba-czą, co wnosi ten obiekt, przy-po-mną sobie, że Kane był zbyt ostrożny.

Omi-jam Dariusza i idę po koper-tówkę leżącą na kon-soli z połowy stu-le-cia. To mój ulu-biony mebel w tym biu-rze, tak dobrze pasu-jący do zawie-szo-nego nad nim obrazu Jaspera Johnsa. Popra-wiam włosy i spraw-dzam zapię-cie kol-czy-ków, sta-ra-jąc się uzy-skać non-sza-lancki wygląd, gdy będę stąd wycho-dzić, co chwilę potrwa, bo mam naj-więk-sze biuro w Baha-ran. Z obu szkla-nych ścian mojego naroż-nego gabi-netu roz-ta-cza się impo-nu-jący widok na cen-trum mia-sta.

– Jeśli sprawa jest naprawdę poważna, może ona umrze – suge-ruje Darius. – I nie będziesz się o nic mar-twić.

Wsu-wam torebkę pod pachę, łapiąc w szy-bie odbi-cie moich bia-łych cyga-re-tek i zło-tego jedwab-nego topu. Dyfu-zor z olej-kami ete-rycz-nymi wypeł-nia powie-trze zapa-chem aza-lii.

– Poważ-nie, mamo. Nie stre-suj się tym. Nikt nie potrafi zain-te-re-so-wać Kane'a na długo. – Darius stoi przy zamknię-tych drzwiach, wysoka, ciemna postać na tle lśni-cej powierzchni orze-cho-wego panelu. – Lubi poło-wa-nie. Jeśli ona tym razem zosta-nie tu wystar-cza-jąco długo, Kane się znu-dzi i ją spłaci.

Miłość i piękno prze-mi-jają. Mał-żeń-skie przy-sięgi są nic nie-warte. Krew to życie. Moje dzieci są jesz-cze młode, ale w końcu poznają te lek-cje.

Gdy pod-cho-dzę, Darius otwiera drzwi.



Zatrzy-muję się na progu i doty-kam jego przed-ra-mie-nia.  
– Napisz ponow-nie do Ramina. Dopil-nuj, żeby się tam z nami spo-tkał.  
– Zadzwo-nię do niego. – Wyciąga tele-fon.  
Opusz-czam rękę i z pod-nie-sioną głową wycho-dzę z biura.



## LILY

Budzi mnie odgłos bicia mojego serca. Jest powolne i rów-no-mierne, towa-rzy-szy mu nie-ustanne kom-pu-te-rowe pika-nie. Wynu-rza-jąc się z głę-bo-kiej, gęstej ciem-no-ści, sły-szę odle-głe głosy, ale dystans tłumi słowa, a w mojej głó-wie poja-wia się potworny łomot.

Zapach medy-ka-men-tów zdra-dza, gdzie się zna-la-złam. Zmu-szam się do otwar-cia oczu, mru-ga-jąc, by usu-nąć ziar-ni-sty film zaciem-nia-jący mój wzrok. Coś zatyka mi gar-dło i wal-czę z przy-ci-ska-ją-cym mi ręce cię-ża-rem, by móc chwy-cić szyję, a potem brodę. Jed-no-stajne bicie serca przy-spie-sza. Kaszlę, zry-wa-jąc paznok-ciami taśmę mocu-jącą rurkę, która tło-czy tlen do moich płuc.

– *Seta-reh*, nie rób tego!

Twój głos... ta czu-łość...

Mój wzrok omiata zaciem-niony pokój, prze-śli-zgu-jąc się po bla-do-nie-bie-skich ścia-nach. Spo-strze-gam twoją wysoką, ciemną postać, która wyła-nia się z cie-nia w rogu i szybko rusza do drzwi.

– Pie-lę-gniarz! Pro-szę tu przyjść. Obu-dziła się.

Pla-ster odrywa się od moich ust, a szorstka rurka prze-suwa się w głąb dróg odde-cho-wych. Ból ogar-nia całe ciało. Mózg i klatka pier-siowa wiją się w męce.

– Prze-stań! – roz-ka-zu-jesz, a twój głos jest mi tak bole-śnie drogi. Wcho-dzisz w krąg świa-tła i lzy napły-wają mi do oczu.

Moja miło-ści... Co to za sen?

Zmarszczki obra-mo-wują twoje jędrne, pełne usta. Oczy, tak ciemne, poważne jak zawsze, wygłą-dają na pod-si-niałe. Stra-ci-łeś mło-dzień-czą chu-dość. Wypeł-ni-łeś się, twoje ramiona i klatka pier-siowa są teraz szer-sze, a włosy krót-sze. Niczym naj-lep-sze gatunki whi-skey posta-rza-łeś się w coś wytraw-niej-szego i moc-niej-szego.

Chwy-tasz mnie za nad-garstki i powstrzy-mu-jesz, twój dotyk jest jak wstrząs elek-tryczny, który poraża mi mię-śnie. Twoja skóra jest jak cie-pła, szorstka satyna, a siła przej-mu-jąco deli-katna. Dusząc się, wcią-gam powie-trze przez nos i czuję twój odu-rza-jący zapach, któ-rego ni-gdy nie zapo-mnę. Zmy-słowy i abso-lut-nie męski.

Moje serce się kur-czy i pika-nie moni-to-rów zmie-nia się w syrenę alar-mową.

– Niech pan się cof-nie – rzuca krótko męż-czy-zna.

Pusz-czasz mnie i robisz miej-sce pie-lę-gnia-rzowi. Wystar-czy dla niego, ale nie dla lekarki, która szybko do nas dołą-cza.

– Panie Black. – Poja-wia się w polu widze-nia, wkła-da-jąc latek-sowe ręka-wiczki.

– Pro-szę pozwo-lić nam dzia-łać. Pań-ska żona jest w dobrych rękach.

Nie spuszc-zasz wzroku z mojej twa-rzy, gdy się wyco-fu-jesz i zni-kasz w ciem-no-ści. Czuję go na sobie, ogni-ście gorący i prze-szy-wa-jący, kiedy osu-wam się w upra-gnioną nie-świa-do-mość.

## WITTE

Pan Black wycho-dzi ze szpi-tal-nej sali, ale ogląda się przez ramię, zaglą-da-jąc do niej przez szybę w drzwiach. Prze-ciera twarz dło-nią, a potem opusz-cza rękę i zaci-ska pię-ści, jakby szy-ko-wał się do ataku. Stopą wystu-kuje na pod-ło-dze nie-cier-pliwe, jed-no-stajne stac-cato.

Kiedy się pozna-li-śmy, był w cią-głym ruchu – bez końca na zmianę cho-dził, sie-dział i stał, śmieci wrzu-cał do minia-tu-ro-wych obrę-czy do koszy-kówki, które lubił umiesz-czać na kubłach. Z bie-giem lat stał się bar-dziej sto-no-wany. Był zapal-czy-wym nie-gdyś czło-wie-kiem, który powoli har-tuje się w twardą, nie-ugiętą stal.

Tylko raz widzia-łem go w chwili sła-bo-ści – tego wie-czoru, gdy opo-wie-dział mi o Lily. Nie-ustan-nie krą-żył po biblio-tece. W tę i z powro-tem. W tę i z powro-tem. To była jakaś rocz-nica, czy to jej śmierci, czy waż-nego wyda-rze-nia w ich związku, i nie mógł się powstrzy-mać od mówie-nia o niej.

Byłem zasko-czony, kiedy przed-sta-wił pie-lę-gniarce prawo jazdy swo-jej żony, by jako naj-bliż-szy krewny móc decy-do-wać w spra-wie opieki nad nią. Nie wie-dzia-łem, że nosił w port-felu jej dowód toż-sa-mo-ści, cho-ciaż z per-spek-tywy czasu nie dziwi mnie to; chce ją mieć przy sobie wszę-dzie. Doku-ment będzie ważny nawet przez kolejne dwa lata, ponie-waż został zak-tu-ali-zo-wany w kilka dni po ich ślu-bie, gdy przy-jęła nazwi-sko po mężu. Los chciał, że jego sen-ty-men-tal-ność przy-nio-sła korzyść.

Odwraca głowę w moją stronę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jestem w pobliżu.

– Witte.

– Tak, pro-szę pana.

– Jest przy-tomna.

Spo-gląda znów na okienko w drzwiach i wpa-truje się w nie, bez mru-gnię-cia, bar-dzo długo.

Pamię-tam wzrok Lily, gdy zauwa-żyła go na ulicy, czy-ste, skrajne prze-ra-że-nie, tak okrutne, że kazało jej biec pro-sto pod nad-jeź-dza-jące samo-chody. Nie potra-fię dopa-so-wać jej reak-cji do męż-czy-zny, któ-rego znam.

„Stra-ci-łem ją tam, gdzie ją zna-la-złem”. Ni-gdy nie zapo-mnę tych słów ani tego, jak krą-żył jak dzi-kie zwie-rzę w klatce, kiedy w końcu opo-wie-dział mi o jej śmierci. Jego udręka była tak wielka, że zro-zu-mia-łem, jak go kusiło, by podą-żyć za nią, a jego wola życia z dnia na dzień coraz głę-biej tonęła w duszą-cej ciem-no-ści. Teraz wkrada się we mnie wąt-pli-wość, pod-stępna czarna mgła wśli-zguje się przez wąskie szcze-liny.

Przy-po-mina mi się, że ni-gdy nie zle-cił mi zor-ga-ni-zo-wa-nia pogrzebu czy nabo-żeń-stwa żałob-nego. Wraż-liwy na jego bez-brzeżny żal, cze-ka-łem, aż zaini-cjuje takie publiczne poże-gna-nie, ale w następ-nych latach ni-gdy nie poru-szył tego tematu. I cho-ciaż jej grób byłby pusty, nie została upa-mięt-niona nawet pomni-kiem.

Razem cier-pli-wie zno-simy to cze-ka-nie, sto-jąc obok sie-bie. Zapach środka dezyn-fek-cyj-nego jest wszech-obecny, ale nie ukrywa głów-nego zapa-chu cho-robry i roz-kładu. Gdzieś w pobliżu jakiś męż-czy-zna w cier-pie-niu wykrzy-kuje prze-kleń-stwa.

Nie ma innych człon-ków rodziny, któ-rzy mar-twi-liby się o Lily. Rodzi-ców ani

rodzeństwa, żadnych dalszych krewnych. Nikogo. Przy najmniej tak powiedziała mojemu pra-co-dawcy, kiedy byli razem. Rze-czy-wi-ście, przez lata nie pytał o nią nikt, kto przed-sta-wiłby się jako jej rodzina. Pytania zadaje tylko poli-cja, sku-pia-jąc się przede wszystkim na ryso-pi-sie kie-rowcy, który zbiegł z miej-sca zda-rze-nia. Reszty dowie-dzą się dzięki zezna-niom świad-ków i nagra-niom z kamer ulicz-nych: żona cał-kiem stra-ciła świa-do-mość zagro-że-nia, ponie-waż więk-szy strach wzbu-dził w niej ści-ga-jący mąż. Wtedy prze-słu-cha-nie pana Blacka przy-bie-rze zupeł-nie inny ton.

To przy-pa-dek, że wypa-trzy-łem smu-kłą torebkę pani Black pod pod-wo-ziem zapar-ko-wa-nego przy kra-węż-niku sedana i mogłem nie-zau-wa-że-nie scho-wać ją pod mary-narkę. Naj-le-piej, żeby wła-dze nie wie-działy, że zna-la-złem w środku prawo jazdy z Nevady, w któ-rym wid-nieje zdję-cie pani Black pod przy-bra-nym nazwi-skiem Ivy York. Sama torebka rodzi-łaby dal-sze pyta-nia, ponie-waż jest marną pod-róbką luk-su-so-wej marki. Detek-tywi z pew-no-ścią uzna-liby za oso-bliwe, że żona wyjąt-kowo boga-tego męż-czy-zny zamiast naj-droż-szych dodat-ków nosi tanie pod-róbki.

Jeśli pani Black poczuje się lepiej, detek-tywi zada-dzą jej pyta-nia. To, jak na nie odpo-wie, może zade-cy-do-wać o losie męż-czy-zny, za któ-rego odda-ł-bym życie.

Pan Black krzy-żuje ręce.

– Musimy zor-ga-ni-zo-wać w domu nie-zbędny sprzęt medyczny i per-so-nel, z cało-do-bową opieką.

To stwier-dze-nie nasuwa milion pytań. Zadaję tylko jedno.

– Jak szybko?

– Jak tylko prze-ko-nam leka-rzy, że tak będzie naj-le-piej, i kiedy zała-twimy papier-kową robotę. Chcę ją mieć pod swoim dachem, cały czas.

Język ciała to potężna rzecz. To, co widzę u niego, jeży mi włosy na karku. Nie wydaje się praw-do-po-dobne, aby pani Black była w sta-nie wkrótce opu-ścić szpi-tal. Czy prze-no-siny mogą zagro-zić jej zdro-wiu? Należy zadać to pyta-nie. Moje roz-le-głe szko-le-nie obej-muje pro-ce-dury w nagłych przy-pad-kach medycz-nych i reguły postę-po-wa-nia z pacjen-tem. Nie-mniej, czy to moje zdol-no-ści spra-wiają, że żąda-nie mojego pra-co-dawcy jest moż-liwe do speł-nie-nia, czy też jest to jego nie-zbyt wielka tro-ska o dobro żony?

Prze-raża mnie, że jedno spoj-rze-nie Lily wstrzą-snęło fun-da-men-tem mojej głę-boko oso-bi-stej, wewnątrz-nej wie-dzy o czło-wieku, któ-rego moje serce przy-jęło za syna. Żyłem w prze-ko-na-niu, że żaden męż-czy-zna ni-gdy nie kochał kobiety tak głę-boko, jak pan Black kochał – kocha – swoją żonę. Czy to moż-liwe, że ona boi się wła-śnie jego mi-ło-ści?

– Zajmę się tym. – Zaczy-nam wysy-łać wia-do-mo-ści do tych osób spo-śród moich kon-tak-tów, które mogą mi pomóc w reali-za-cji prośby pana Blacka.

– I postaw dwóch ochro-nia-rzy w przed-sionku windy do pen-tho-use'u. Nikt nie wycho-dzi ani się nie poja-wia bez mojej wie-dzy.

Spo-glą-dam na niego zdez-o-rien-to-wany. Lily ma być nie tylko pacjentką, ale także więź-niem.

Kolejny lekarz spie-szy do pokoju pani Black. Więk-szość per-so-nelu medycz-nego nosi nie-bie-skie szpi-talne stroje i spor-towe lub orto-pe-dyczne obu-wie. Ten męż-czy-zna ma dro-gie moka-syny i porząd-nie skro-jone spodnie. Siwe włosy na skro-niach kłó-cą się z pozba-wioną zmarsz-czek mło-do-ścią jego rysów.

Mój pra-co-dawca zagra-dza mu drogę, góru-jąc nad nim groź-nie ze swoją prze-wagą co naj-mniej trzy-dzie-stu cen-ty-me-trów we wzro-ście.

Przed-sta-wiw-szy się jako dok-tor Sean Ing, neu-ro-log zaczyna roz-ma-wiać z panem Blac-kiem. Odsu-wam się nieco, aby zapew-nić im pry-wat-ność. Wymiana zdań jest krótka, po

czym lekarz wcho-dzi do pokoju Lily, z cichym klik-nię-ciem zamy-ka-jąc za sobą drzwi.

– Jest zdez-o-rien-to-wana i prze-ja-wia symp-tomy para-noi – mówi pan Black, wpa-tru-jąc się w widok za szybą. – Tomo-gra-fia kom-pu-te-rowa nie wyka-zała urazu mózgu, ale objawy są nie-po-ko-jące.

Pie-lę-gniarka bie-gnie kory-ta-rzem w naszą stronę i dołą-cza do pozo-sta-łych osób w pokoju Lily.

Minie sporo czasu, zanim dwoje leka-rzy wyj-dzie i dołą-czy do nas.

– Panie Black. – Dok-tor Hamid zdo-bywa się na znu-żony uśmiech. – Chodźmy do gabi-netu dok-tora Inga.

– Jak ona się czuje?

– Jest sta-bilna. Dali-śmy jej coś na uspo-ko-je-nie i teraz odpo-czywa.

– Nie spuszc-zaj jej z oka – mówi do mnie pan Black, rzu-ca-jąc szyb-kie spoj-rze-nie na drzwi oddzie-la-jące go od żony. Mię-sień szczęki mu drga, ale idzie za leka-rzami kory-ta-rzem do wind.

Wciąż patrzę w tamtą stronę, kiedy jego matka i bra-cia wyła-niają się z windy obok tej, którą odje-chał mój pra-co-dawca. Pani Armand kro-czy z wło-sami blond koły-szą-cymi się wokół ramion, jej zmy-słową figurę pod-kre-ślają dopa-so-wane białe spodnie.

Na mój widok obraca się zgrab-nie, a jej młodszy syno-wie z nie-mal woj-skową pre-cy-zją zaj-mują tylne pozy-cje z obu jej stron. Podo-bień-stwo mię-dzy nimi jest ewi-dentne, ale ona jest jak poły-skliwa perła na tle ich ciem-nej kar-na-cji i czar-nych gar-ni-tu-rów.

Aliyah sub-tel-nie zmie-nia zacho-wa-nie, spo-wal-nia-jąc krok i łągo-dząc wyraz twa-rzy. Bez wysiłku nagle staje się spięta z nie-po-koju. Spek-takl jest prze-zna-czony dla per-so-nelu medycz-nego i gości, któ-rzy kręcą się wokół dyżurki pie-lę-gnia-rek, i jej publicz-ność jest zachwy-cona. Ludzie wodzą za nią spoj-rze-niami. Głowy się odwra-cają.

Igno-ruje mnie, gdy pod-cho-dzi do drzwi pokoju Lily i zagłąda w okno. Zanim per-so-nel szpi-tala zdąży inter-we-nio-wać, cofa się, nie wcho-dząc do środka, stwier-dziw-szy nie-obec-ność męż-czy-zny, któ-rego szuka.

– Gdzie on jest, Witte?

Iry-ta-cja w jej tonie jest karą dla mnie za to, że zanie-dba-łem ją poin-for-mo-wać, zanim o to zapy-tała.

Wsu-wam komórkę do kie-szeni, moje wstępne zada-nia są zakoń-czone.

– Oma-wia roko-wa-nia co do stanu pani Black z leka-rzami, któ-rzy nad-zo-rują opiekę nad nią.

Szybko odwraca do mnie głowę.

– Co wiemy?

– Miejmy nadzieję, że dowiemy się wię-cej, kiedy pan Black skoń-czy roz-ma-wiać.

Ramin par-ska nie-we-so-łym śmie-chem.

– Mógł-byś być jesz-cze mniej kon-kretny?

– Abso-lut-nie – odpo-wia-dam gładko.

– A więc będziemy po pro-stu sie-dzieć i cze-kać? – Darius opiera ręce na bio-drach, roz-chy-la-jąc kurtkę i uka-zu-jąc umię-śniony tors okryty dopa-so-waną koszulą. – Wolał-bym spędzić czas z moją wła-sną żoną.

– Ja też – przy-znaje Ramin ze zło-śli-wym błý-skiem w nie-bie-skich oczach. Ponie-waż nie jest żonaty, suge-stia jest jasna.

– Wal się – war-czy Darius.

– No co? Amy robi świetne mar-tini.

– Jesteś gnoj-kiem.

Aliyah pstryka palcami, nieznacznie łągąc napięcie między braćmi.

– Dość. Ramin, przynieś nam porządną kawę. Darius, zdoładź nazwi-ska leka-rzy.

Gdy bra-cia odda-lają się w róż-nych kie-run-kach, Aliyah prze-nosi swoje mroczne spoj-rze-nie na mnie.

– Tylko ty i ja naprawdę mar-twimy się o Kane’a. Musimy mieć oko na wszystko, zapew-nić, żeby był chro-niony.

– Tak jest, pro-szę pani.

Moje myśli są jed-nak przy kobie-cie za drzwiami, mają-cej tylko męż-czy-znę, któ-rego opieki ewi-dent-nie się boi.

## AMY

– Wspomniały gest, pani Armand.

Witte odbiera ode mnie ogromny bukiet żółtych róż, który przyniosłam do pen-tho-use'u. Będą kolidować ze wszystkim innym w sypialni Lily, sprawiając, że Kane nie będzie mógł zignorować mojego cennego prezentu – jeśli w ogóle zaglądał do jej pokoju. Wpadłam do niej prawie codziennie przez ostatnie trzy tygodnie, odkąd była w domu, i nie mam pojęcia, czy Kane w ogóle wie o moich staraniach.

Gestem wskazyjąc mi salon, Witte zamyka frontowe drzwi.

– Proszę się rozgościć, a ja wstawię je do wody.

Wchodzę głębiej w królestwo Kane'a, cicho stukając obcasami. Z trudem pokonuję chęć, by przyspieszyć kroku. Irytuje mnie moje streśnienie.

Cholerny Witte. Nie wiem, jak ten sztywniak to robi, ale jest nawet lepszym łgarzem niż Aliyah. Gdybym miała mniej rozumu, mogłabym się nabrać na to ciepłe powitanie w jego głosie, ale nie jestem idiotką. Wiem, że nie może mnie znieść.

– Jak ona się czuje? – pytam, odwracając się w pół kroku przez ramię i poprawiając pasek torebki. Znałoby się tego cholerstwa zajęło mi wieczność. Kompletnie nie stój na tyle swobodnych, by móc spędzać czas z kobietą w sypialni, a jednocześnie na tyle wyfinansowanych i twarzowych, by wyglądać dobrze, gdy wpadnę na Kane'a, to prawdziwe utrapienie. Przy najmniej zdążyłam tu dotrzeć, zanim zaczęło padać. Nadciąga letnia burza. Na dwoje jest straszna wilgoć, ciśnienie spada.

– Stan pani Black się nie zmienił.

– Przykro mi to słyszeć. – Wkurza mnie, że nie potrafię się zdecydować, czy naprawdę tak myślę, czy nie. Leży tam jak trup. Albo umrzyj, albo wreszcie się obudź. – Po prostu dalej będziemy myśleć pozytywnie.

Gdy wchodzę do salonu, kręcę głową, widząc, jak cholernie czyście jest tu wszystko. Nigdzie ani odrobiny kurzu. Podłoga lśni jak lustro.

Zrzucam jeden kłapek na wysokim obcasie i przycisquam stopę do gładkiej czerni. Spodziewam się, że kafelek będzie chłodny w dotyku, ale ma idealną temperaturę.

Czuję nagłe pożądanie. Ekstrawagancja ogrzewanych podłóg w całym pen-tho-usie przypomina mi, jak zmysłowy jest Kane.

Jezu, jestem groteskowa.

Pot, który obrysuje kształt palców moich stóp, szybko wyparuje, pozostawiając tylko nikłą smugę. Jest tak cicho, że słyszę swój oddech. Pen-tho-use wydaje się niczym grób pełen tajemnic, które ujawnię. W ten czy inny sposób.

Tak wiele pytań. A jedyna osoba, która może na nie odpowiedzieć, jest zamknięta we własnym umyśle.

Wsuwam z powrotem but, kiedy mężczyzna, którego nie mogę prześledzić, pojawia się, jakbym wyczarowała go w gorącym śnie. Zmuszam się do odwrócenia wzroku, gdy Kane się zbliża. Jak mężczyzna tak duży porusza się tak cicho?

I, Boże, jaki on wysoki... Wszystko na świecie musi mu się wydawać za małe.

– Amy.

Przebiega mnie dreszcz. Jego głos jest niczym brzoź, rozkosznie niski, i przecina mnie

jak dobrze naostrzona klinga. Odwracam głowę, mój wzrok pada na oksfordy, które są równie wypo-le-ro-wane jak podłoga, potem unosi się i zatrzymuje w górnej części nóg. Jego krawcy znają jakąś sztuczkę, by ukryć maczugę między jego udami. Zgaduję, że tego wielkiego fiuta odzie-dzi-czył po swoim ojcu, ponieważ ani Darius, ani Ramin nie są tak spektakularnie wypo-sa-żeni.

Może dla tego Aliyah jest taką suką. Kiedyś była orana przez potężnego kutasa, dopóki tata Kane'a nie miał jej dość i nie spie-przył stamtąd.

Podnosząc wzrok, próbuję znaleźć w sobie odpowiedni uśmiech. Szukam szczerego współczucia, ale kiedy patrzę mu w oczy, mam pustkę w głowie. Jest diabelnie nieskazitelny, jakby powiedziałby Witte. Jest absurdalnie i totalnie niesprawiedliwie perfekcyjny od stóp do głów. Jego trzyczęściowy garnitur wygląda na świeżo wyprasowane, ale jakimś cudem nadal zaborczo układa się na mięśniach, o których wiem, że są twarde i wyraźnie zarysowane. Szafiry osadzone w liliach migoczą w spinach do mankietów i spince do krawata. Węzeł windsorski jest tak doskonały, że wygląda jak przeobiony w photoshopie, i mam ochotę poluzować go zębami.

Jego lśniące ciemne włosy byłyby falujące, gdyby je wystarcząco zapuścił, ale zawsze wyglądają jak świeżo po wizycie u fryzjera, ponieważ Witte zajmuję się strzyżeniem, goleniem i Bóg wie czym jeszcze. Pamiętam, jak te czarne pasma czułam w swoich dłoniach, gęste i jedwabiste. Ma silnie zarysowaną, kwadratową szczękę i mocny podbródek, a wyraziście kości policzkowe kierują uwagę na okrutne, zmysłowe usta.

Niektórzy mężczyźni byłiby zbyt robociznie i psychicznie przez żonę, która w cudowny sposób powróciła z martwych, żeby przejechać się tym, jak wyglądają. Nie Kane. Nie, on jest bardziej seksowny niż kiedykolwiek. I wygląda tak dobrze, pracując w domu, co robi przez ostatnie trzy tygodnie, odkąd załamała, że została wypisana ze szpitala. Aliyah jest z tego powodu wściekła. Nie może znieść, że w życiu Kane'a może istnieć inna kobieta, którą on uważa za ważniejszą. Nie ma samo to wystarczyć, żebyś cieszyła się obecnością Lily.

– Cześć.

Chcę powiedzieć więcej, ale nie mogę. Godzinami planuję, co zrobię, będąc sam na sam z Kane'em, ale kiedy tylko nadarzy się okazja, moje cholerne usta przestają się poruszać.

Nie da się tego uniknąć: Kane Black jest nieśmiały. Jest wspaniały na swój sposób niekontrolowanego ognia, tak destrukcyjnie hipnotyzujący, że spłoniesz na popiół, zanim zdasz sobie sprawę, że jesteś w niebezpieczeństwie. Potrafi być dziwnie nieuchwytny, jednoznacznie sprawiając, że czujesz się, jakby wiał wokół ciebie jak tornado. Nie jestem psychoanalizką, ale założę się, że kobiety – w tym ja – podnieca zarówno strach, jaki budzi, jak i jego fizyczna atrakcyjność. Ten rodzaj seksapilu obiecuje nie tylko rozkosz, ale i zniszczenie.

Prze-suwa po mnie wzrokiem. Oczy Kane'a zawsze przyominęły mi węgiel. Beznamienne, twarde i niewyobrażalnie czarne.

Czy zauważa moje włosy? Ich odcień jest dokładnie taki jak u niej, dopasowany do kosmyka, który jej odcięłam podczas swojej pierwszej wizyty. Różnica jest na tyle drobna, że nikt, kogo spotkałam, niczego nie zauważył, ale Kane jest bardziej spostrzegawczy niż większość. Nie skróciłam włosów tak mocno, tak jak teraz u niej, zdecydowałam się na styl, który Kane widzi od lat, patrząc na to stare zdjęcie.

W tym momencie bardziej przyominę Lily, za którą szaleje, niż ona sama, i mam nadzieję, że to działa na moją korzyść.



Nagle jego twarz łagodnieje, a ja tracę dech. Nie sędzę, żeby naprawdę na mnie patrzył, odkąd wyszłam za Dariusa, ale na pewno patrzy teraz. Mój puls przy-spie-sza i prze-stę-puję z nogi na nogę. W tor-bie mam flaszkę wódki i ślinka mi ciek-nie na myśl o niej. Nie obcho-dzi mnie, co kto mówi; w płyn-nej odwa-dze nie ma nic złego.

Nie-dbale wsuwa rękę do kie-szeni i od razu jest zarówno bar-dziej sek-sowny, jak i bar-dziej przy-stępny.

– Witte mówił mi, że kilka razy w tygo-dniu przy-cho-dzisz posie-dzieć z Lily.

Chcę poka-zać, że to nic wiel-kiego – po pro-stu jestem dobrą osobą, która robi coś dobrego – ale nagle myślę, że w tych oko-licz-no-ściach byłaby to zbyt obo-jętna reak-cja.

– Szkoda, że nie mogę zro-bić wię-cej.

– Czy-ta-łaś jej. – To stwier-dze-nie, nie pyta-nie.

Się-gam do torby, wycią-gam e-czyt-nik i kilka maga-zy-nów plot-kar-skich, które kupi-łam w kio-sku na rogu.

– Nie wiem, co ona lubi, więc pró-buję wszyst-kiego po tro-chę.

Kącik jego ust unosi się w lek-kim uśmie-chu, ale spoj-rze-nie jest chłodne.

– Romanse.

– Och... – Mia-ła-bym szczę-ście, gdyby Lily oka-zała się kolejną fanką Suzanne. Z tru-dem udaje mi się nie prze-wró-cić oczami. – Dobrze wie-dzieć. Było ich kilka. Dodam kolejne.

Opo-wie-dzia-łam też Lily dzie-siątki histo-rii o jej sobo-wtó-rach, które Kane pie-przył, opi-su-jąc uczest-niczki mojego bada-nia z naj-drob-niej-szymi szcze-gó-łami. Jeśli to prawda, że pod-świa-do-mość jest zawsze świa-doma i reje-struje infor-ma-cje, poda-łam Lily mnó-stwo soczy-stych szcze-gó-łów do wyko-rzy-sta-nia w pro-ce-sie roz-wo-do-wym.

A jed-nak zosta-wiła go z jakie-goś powodu. Może już dokład-nie wie, za jakiego męź-czy-znę wyszła. Jeśli tak, być może wró-ciła dla-tego, że ona też nie może trzy-mać się z daleka od niego.

Niech to dia-bli. Fakt, że nie znam jej histo-rii, dopro-wa-dza mnie do szału.

Kane pod-cho-dzi bli-żej, a ja robię szybki, zasko-czony wdech. Czuję jego zapach, tę wyjąt-kową mie-szankę cedru i plaży. „Jest na zamó-wie-nie”, powie-dział mi Witte, kiedy zapy-ta-łam. I uza-leż-nia. Oddy-cham głę-boko, by go pową-chać, sta-ra-jąc się nie wyglą-dać, jak-bym spa-zma-tycz-nie chwy-tała powie-trze.

Bar-dzo długo uni-ka-łam jego obec-no-ści, a nawet patrze-nia na niego, żywiąc się wspo-mnie-niami zamiast czło-wie-kiem z krwi i kości. To jedyny spo-sób, by nie robić z sie-bie głupka.

Nie ma nic bez-piecz-nego w byciu teraz tak bli-sko niego. Adre-na-lina zalewa mój krwio-obieg. Walcz albo ucie-kaj. Albo, jesz-cze lepiej, pieprz. Moje bro-dawki tward-nieją bole-śnie, a łech-taczka nabrzmiewa i zaczyna pul-so-wać.

– Doce-niam to – mówi ści-szo-nym, niskim gło-sem, nie-spiesz-nie wyma-wia-jąc słowa. Wyciąga rękę i deli-kat-nie obej-muje dło-nią moje ramię, zsuwa ją po jedwab-nym rękawie mojej bluzki, by z naj-więk-szą deli-kat-no-ścią ująć mój nad-gar-stek.

To jest intymne. Zmy-słowe. Domi-nu-jące. I jestem zachwy-cona. Total-nie. Marzy-łam o tej chwili od pra-wie dwóch lat. Pochy-łam się ku niemu z otwar-tym zapro-sze-niem. Mam ochotę rzu-cić się na niego, żło-bić paznok-ciami tę śniadą skórę, aż zalsnią jaskra-wo-czer-wone kro-ple. Spodo-ba-łoby mu się. Lubi ostry, zwie-rzęcy seks – jest jak zwierz na ryko-wi-sku, który cie-szy się zabi-ja-niem tak samo jak orga-zmem.

Opusz-cza wzrok na moją klatkę pier-siową i na uła-mek sekundy odsła-nia zęby w uśmie-chu. Chło-pię-cym, szel-mow-skim i cał-ko-wi-cie roz-bra-ja-ją-cym.

– Cza-sami dobrze mieć rodzinę – mru-czy z roz-tar-gnie-niem. I tak po pro-stu Kane opusz-cza rękę i się wyco-fuje. W jed-nej chwili zosta-łam odrzu-cona.

Rodzinę?!

Moje prze-ra-żone spoj-rze-nie wywo-łuje iskierkę szy-der-czego roz-ba-wie-nia w jego oczach. Na mgnie-nie oka, a potem znika.

– Panie Black. – Witte stoi u szczytu dwóch scho-dów pro-wa-dzą-cych do po-ło-żo-nego poni-żej salonu. – Przy-była dok-tor Hamid.

Pod-nie-ce-nie zamie-nia się we wście-kłość i gotuje się w moich wnętrz-no-ściach, by palić mi gar-dło. Chcę krzy-czeć, ale się powstrzy-muję. Wszystko, co poszło nie tak w moim życiu, wynika z tego, że nasze ścieżki się skrzy-żo-wały.

– Spo-tkam się z nią w moim gabi-ne-cie – infor-muje Witte’a Kane, odwra-ca-jąc się ode mnie.

To wszystko jest dla niego, sady-stycz-nego dra-nia, cho-lerną grą. Świat jest pełen ludzi, któ-rzy są tylko narzę-dziami lub zabaw-kami, rze-czami, któ-rych można użyć, kiedy mu to pasuje. Fizycz-nie jest dużym męż-czy-zną, ale ciało nie jest jego bro-nią. Nie pod-nosi głosu ani nie wyma-chuje pię-ściami. Nie, wybrane przez niego narzę-dzie znisz-cze-nia jest bar-dziej pod-stępne – woli mącić ludziom w gło-wach.

W porządku. Lubię gry. Zbu-do-wa-łam swój biz-nes na algo-rytmach i per-cep-cji gier, zapew-nia-jąc korzy-ści moim klien-tom. Jeśli nie mogę pie-przyć Kane’a w łóżku, spie-przę mu życie. I tak zamie-rza-łam zro-bić to dru-gie. Po pro-stu roz-pro-szy-łam się, przy-po-mi-na-jąc sobie, jak dobre było pierw-sze.

Gdy-bym tylko zro-zu-miała, czym jest dla niego Lily, co dla niego zna-czy. Czy jest jego sła-bym punk-tem? Jeśli nie, czy mogę ją nim uczy-nić? Obse-sja na jej punk-cie jest jego sła-bo-ścią, ale w jakim sen-sie? Nie obcho-dzi mnie, czy zła-mie mu serce, czy po pro-stu unu-rza w bło-cie jego publiczny wize-ru-nek. Nie obcho-dzi mnie, czy jego życie oso-bi-ste się roz-pad-nie, czy Baha-ran odczuje tego skutki. Tak czy ina-czej, Kane będzie cier-pieć. Jeśli spra-wię, że i Lily będzie cier-pieć, to będzie bonus. I zasłu-guję, kurwa, na niego.

Wykrzy-wiam usta na myśl o Kanie zepchnię-tym z pie-de-stału i zła-ma-nym.

Ruszam w stronę kory-tarza pro-wa-dzą-cego do pokoju, w któ-rym leży pogrą-żona w nie-świa-do-mo-ści Lily.

– Amy! – woła za mną, zatrzy-mu-jąc mnie.

Oglą-dam się przez ramię i spo-ty-kam jego wzrok. Ocze-ki-wa-nie nara-sta we mnie, jak-bym go nie stłu-miła i nie przy-się-gła, że to był ostatni raz. Uno-szę brwi pyta-jąco.

– Dzię-kuję. – Kane wygląda i brzmi, jakby mówił to szcze-rze.

Nie kupuję tego. Ani tro-chę.

## AMY

Lily Black leży w luk-su-so-wym łóżku na tyle dużym, że jej dłu-gie ciało wygląda, jakby nale-żało do dziecka. Pomiesz-cze-nie jest tak prze-stronne, że nawet wypo-sa-żona w pokaż-nych roz-mia-rów sprzęt medyczny prze-strzeń nie spra-wia wra-że-nia cia-snej. Ściany i zagłó-wek pokrywa ten sam kobal-towy aksa-mitny ada-ma-szek, pozo-sta-wia-jąc łóżko i nie-przy-tomną bladą kobietę jako jedyne jasne punkty w stłu-mio-nym mroku.

Na tle jasno-nie-bie-skich jedwab-nych podu-szek ufry-zo-wane włosy Lily wyglą-dają na atra-men-to-wo-czarne. Jej twarz prze-cina prze-zro-czy-sta, cienka rurka z tle-nem, ale usta zostały poma-lo-wane soczy-stą czer-wie-nią, podob-nie jak per-fek-cyj-nie wypie-lę-gno-wane paznok-cie.

„To upiorne”, powie-działa mi kosme-tyczka, kiedy przy-by-łam aku-rat w porę, by zastać ją przy pracy. „Jak-bym mało-wała zwłoki”.

Taa, upiorne. I sza-lone. Całe pomiesz-cze-nie wygląda jak mau-zo-leum dla jej zwłok. Niebo na zewnątrz pociem-niało, wywo-lu-jąc wra-że-nie, że jest zmierzch zamiast połu-dnia. Lampy pod-ło-gowe i sto-łowe są włą-czone, ich smu-kłe sre-brzy-ste pod-stawy zwień-czone są okrą-głymi aba-żu-rami w kolo-rze indygo. Krysz-ta-łowe żyran-dole rzu-cają pro-mie-nie świa-tła na ciemne ściany.

Zasta-na-wia-łam się, czy Kane pie-przy ją, gdy jest nie-przy-tomna, ale kiedy wspo-mnia-łam o tym Dariu-sowi, powie-dział mi, że jestem nie-nor-malna, jeśli w ogóle o tym pomy-śla-łam. Mniej-sza z tym. Cała rodzina ma uro-je-nia, a ja się nie zga-dzam, by robiono ze mnie wariatkę.

Firanki zwi-sają z kar-ni-szy z powłoką ze szczot-ko-wa-nego niklu. Cięż-kie aksa-mitne zasłony w tym samym odcie-niu co ściany ota-czają okna i pod-łogę wyło-żoną wypo-le-ro-wa-nym soda-li-tem. W gra-na-to-wym fotelu ze srebr-nymi pinez-kami Frank – pie-lę-gniarz – sie-dzi cicho z table-tem w rękach. Z uśmie-chem pod-nosi wzrok, gdy wcho-dzę głę-biej do pokoju, po czym wstaje, zgod-nie z przy-jętą zasadą. Kiedy się poja-wiam, on robi sobie prze-rwę.

W chwili, gdy opusz-cza pokój, wycią-gam pier-siówkę i drzą-cymi pal-cami odkre-cam zakrętkę. Wciąż jestem wście-kła na Kane’a; mam ochotę coś znisz-czyć. Przy-glą-dam się Lily, pod-no-sząc do ust chłodne alu-mi-nium, ale zamy-kam oczy, gdy odrzu-cam głowę do tyłu i przy-ja-zne cie-pło roz-cho-dzi się w moim żołądku. Torba zsuwa mi się z ramie-nia i z łosko-tem spada na ciem-no-nie-bie-ski dywan. Druga pier-siówka jest na-dal pełna. Dzięki Bogu.

Zrzu-ciw-szy klapki na wyso-kich obca-sach, które wło-ży-łam, by mniej wię-cej dorów-nać Lily wzro-stem, biorę kolejny łyk wódki i idę w stronę łóżka, prze-su-wa-jąc pal-cami po mija-nych meblach. Pod-czas gdy głę-bia barw pokrywa się z resztą pen-tho-use’u, w tym pokoju są struk-tury i wzory w fak-tu-rach. To pra-wie jak pły-wa-nie głę-boko pod wodą, w miej-scu, gdzie świa-tło sło-neczne jest odle-głym migo-ta-niem. Powie-trze wypeł-nia zapach bia-ło-ró-żo-wych i czar-nych lilii, wyraż-nie oddzie-la-jąc prze-strzeń od reszty apar-tamentu, która pach-nie Kane’em.

Wystrój łatwo można by nazwać męskim, ale rezul-ta-tem jest zmy-słowa, arty-styczna kobie-cość. Pokój jest urzą-dzony wystaw-nie. Drogo. Na fote-lach leżą sztuczne futra,

a mar-mu-rowe blaty sto-li-ków zdo-bią krysz-ta-łowe ostro-słupy. Na toa-letce przed jed-nym z okien kom-plet zło-żony ze srebr-nego ręcz-nego lusterka i dwóch szczo-tek do wło-sów z wyry-tymi z tyłu ini-cja-łami LRB czeka, aż jego wła-ści-cielka się, kurwa, obu-dzi i ich użyje. Pióro i notat-nik na szafce przy łóżku mają te same ini-cjały.

Ktoś prze-my-słał aran-ża-cję tego pomiesz-cze-nia. Nie wydaje się moż-liwe, aby powstała z dnia na dzień, a nawet w ciągu tygo-dnia, co nasuwa mi pyta-nia. Czy Kane zapro-jek-to-wał to dla niej, czy Witte? Może w tym celu wynajęto pro-fe-sjo-na-li-stę? Mam nadzieję, że tak wła-śnie było, a Kane'owi nie zale-żało na tyle, by sam miał to wszystko urzą-dzić.

W oddali ciem-nie-jące niebo grzmi ostrze-że-niem.

Spo-glądajac na postać bez życia leżącą w łóżku, zer-kam na biżu-te-rię, którą nosi na lewej ręce, bez-piecz-nie poni-żej wenflonu z pod-łą-czoną kro-plówką. Z początku kpi-łam z pier-ścionka, który Kane dał swo-jej uko-cha-nej Lily.

Rubin. Naprawdę?

Nie obcho-dzi mnie, jak duży jest klej-not; żona powinna dostać dia-ment, do kurwy nędzy. I nie obwódkę z małych bry-lan-ci-ków, ale duży, oka-zały kamień, który dekla-ruje: „To miłość mojego życia”. Nawet Darius to wie-dział.

Dopiero gdy przy-mie-rzy-łam ten pier-ścio-nek, zda-łam sobie sprawę, że kamień zmie-nia kolor pod wpły-wem świa-tła.

Alek-san-dryt, odkry-łam po spraw-dze-niu. O wiele rzad-szy niż dia-menty, zwłasz-cza w roz-mia-rze, który dał jej Kane. I kosz-tuje o wiele wię-cej za karat niż pra-wie każdy inny kamień na świe-cie.

– Jesteś dup-kiem, Kane – mru-czę, zli-zu-jąc wódkę z ust. – A ty jesteś suką – mówię do niej.

Wra-cam do swo-jej torby, odsu-wam pier-siówkę i wyj-muję maga-zyn. Korzy-stam z oka-zji, żeby zaj-rzeć do szu-flady szafki noc-nej i uśmie-cham się, znaj-du-jąc bute-leczkę lakieru uży-tego do jej paznokci. Śmieję się, gdy roz-po-znaję jeden z nowych odcieni ECRA+ Rosany. „Krwawa Lilia”.

Oczy-wi-ście.

Sia-dam na brzegu łóżka, wycią-gam rękę i prze-cze-suję pal-cami włosy Lily. Ich pasma są lśniące i pełne życia. Wyśli-zgują mi się z dłoni, zgrab-nie ukła-da-jąc się na poduszce, kiedy je pusz-czam. Jej skóra jest jak biały atlas. Nie-ska-zi-telna i gładka, miękka jak ptasi puch i wolna od uszko-dzeń sło-necz-nych, z któ-rymi wal-czy każda inna kobieta w jej wieku, w tym ja.

Gdzieś jest worek zbie-ra-jący mocz z jej cew-nika. I ma pie-lu-chę do robie-nia kupy. Więc... może jed-nak nie jest tak cho-ler-nie ide-al-nie, co?

– Stwier-dzi-łam, że chcę, żebyś się obu-dziła – mówię jej swo-bod-nym tonem. – Muszę wie-dzieć, co zro-bi-łaś, by aż tak mu naje-bać w gło-wie.

Bo ja chcę mu zro-bić to samo.

Cien-kie ramiączka czer-wo-nej noc-nej koszulki odsła-niają jej ramiona. Jej paznok-cie są szkar-łat-nymi pla-mami na zmarsz-czo-nym jasno-nie-bie-skim jedwa-biu koł-dry. Zakle-jony taśmą wenflon kie-ruje mój wzrok na żyłę, która wyraż-nie pul-suje, pro-wa-dząc bez-po-śred-nio do serca i mózgu. Doty-kam ją, czu-jąc, jak chłodny jest płyn, który w nią kapie, jak chło-dzi skórę Lily.

– W dotyku jesteś jak trup – mówię.

Ale ona nie pach-nie jak zwłoki. Pochy-lam się niżej i pocią-gam nosem, wyczu-wa-jąc nikły ślad per-fum, coś kwia-to-wego z domieszka-piżma i tro-pi-kal-nej bryzy. Podoba mi się.

Moja twarz znaj-duje się cen-ty-me-try od jej twa-rzy, widzę każdy szcze-gół. Jej rzęsy leżą na policz-kach jak czarne koron-kowe wachla-rze.

Pio-run roz-rywa niebo i pen-tho-use drży. Jej oczy otwie-rają się nagle, jasno-zie-lone, i wpa-trują się we mnie z dzi-ko-ścią węża.

Z krzy-kiem upa-dam na pod-łogę.

## ALIYAH

– Wir-tu-alne meta-mor-fozy są wszech-obecne, a my zmak-sy-ma-li-zo-wa-li-śmy tę funk-cję za pomocą fil-trów.

Ryan Lan-don naci-ska przy-cisk na pilo-cie trzy-ma-nym w dłoni i zdję-cie Rosany na ekra-nie natych-miast zmie-nia się z jasno oświe-tlo-nego w ciemne i nastro-jowe.

– Stwa-rza-jąc klient-kom moż-li-wość zoba-cze-nia, jak ich wybór wygląda w świe-tle dzien-nym, przy świe-cach, w wie-lo-barw-nym oświe-tleniu klu-bów noc-nych, przy świe-tle flu-ore-scen-cyj-nym lub LED, w pochmur-nym lub sło-necz-nym dniu i w wielu innych warun-kach, zwięk-szamy szanse, że będą sze-rzej korzy-stać z naszej oferty.

Eva Cross się uśmie-cha.

– A ponie-waż ofe-ru-jemy palety moż-liwe do przy-sto-so-wa-nia dla kon-kretnej osoby, mogą stwo-rzyć dla sie-bie zestawy do pracy i po godzi-nach lub do ślubu i na przy-ję-cie.

– Moż-li-wo-ści są nie-ogra-ni-czone! – wykrzy-kuje rado-śnie Rosana.

Ryan się uśmie-cha i wszyst-kie jeste-śmy ocz-a-ro-wane. Naj-bliż-szy przy-ja-ciel Kane’a to przy-stojny męż-czy-zna o falu-ją-cych brą-zo-wych wło-sach i piw-nych oczach. Znają się od cza-sów stu-diów. I cho-ciaż Lan-Corp Ryana jest naj-bar-dziej znana z gier wideo, firma ta była jedy-nym wybo-rem, który Kane roz-wa-żał przy two-rze-niu apli-ka-cji mobilnej wspie-ra-jącej naszą nową linię kosme-ceu-ty-ków.

Eva była prze-ciwna Ryanowi. Rosana też. Firma Evy, Cross Indu-stries – zało-żona przez jej męża Gide-ona – jest uwa-żana za lidera branży, bar-dziej zna-czą-cego i dys-po-nu-ją-cego o wiele więk-szymi zaso-bami niż Lan-Corp. Pozo-stałe osoby w Baha-ran gło-so-wały za jego kan-dy-da-turą.

Nale-ga-nie na Ryana – i zdo-by-cie go – było odwe-tem, naszym sprze-ci-wem wobec suro-wej klau-zuli moral-no-ści Cros-sów. Pod-czas gdy takie klau-zule we współ-nych przed-się-wzię-ciach są stan-dar-dem, to sfor-mu-ło-wa-nie brzmi jak pre-wen-cyjna cen-zura. Osąd mojej rodziny, spo-sobu, w jaki wycho-wa-łam dzieci, i nie-wia-ry-god-no-ści Paula. Słuszna czy nie, dopro-wa-dziła mnie do wście-kło-ści, więc wyko-rzy-sta-łam Ryana, żeby wku-rzyć Cros-sów. Jego udział gwa-ran-tuje rów-nież, że mamy u steru kogoś, kto jest zmo-ty-wo-wany do zmi-ni-ma-li-zo-wa-nia ich wkładu i zmak-sy-ma-li-zo-wa-nia naszego.

W nazwie ECRA+ na początku znaj-dują się ini-cjały Evy: Eva-Cros-sRo-sa-na-Ar-mand. Plus ozna-cza moc Baha-ran, sil-nych skład-ni-ków, które pod-no-szą kosme-tyki codzien-nego użytku do poziomu serum i elik-si-rów. Eva jest obec-nie ulu-bie-nicą mediów i dys-po-nuje dużym kapi-ta-łem, fakt ten nie ma jed-nak więk-szego zna-cze-nia niż to, co bada-nia Baha-ran wno-szą do tego part-ner-stwa. I cho-ciaż pomysł Kane’a pole-gał na roz-sze-rze-niu dzia-łał-no-ści na branżę beauty i zwró-ce-niu się do Evy, bez-po-średni nad-zór nad każ-dym aspek-tem tej współ-pracy spra-wują ja. A Ryan to inwe-stor Baha-ran, nawet jeśli jest zbyt zajęty wła-sną firmą, by zasia-dać w naszym zarzą-dzie.

Kiedy myślę o Amy i Lily, sta-ram się igno-ro-wać złe prze-czu-cie, które tkwi w moim brzu-chu jak bryła lodu. Obie moje synowe są obcią-że-niem. Mogą też być siłą, która prze-wróci domek z kart, który tak sta-ran-nie uło-ży-li-śmy.

Ryan szuka mojego wzroku, a ja kiwam głową z apro-batą. Kilku towa-rzy-szą-cych mu pra-cow-ni-ków to główni pro-jek-tanci, dzięki któ-rym apli-ka-cja jest tym, czym jest.

W nor-mal-nych oko-licz-no-ściach to oni pro-wa-dzi-liby pre-zen-ta-cję, a nie Ryan.

– Dosko-nały pomysł. Pięk-nie zre-ali-zo-wany – chwałę.

– Dzię-kuję. Teraz to, jak kolory wyglą-dają na Rosa-nie i Evie, wiele two-ich klien-tek zachęci do zaku-pów. – Naci-ska pilota i znaj-du-jące się obok sie-bie obrazy dwóch dziew-czyn ponow-nie się zmie-niają. – Szyb-kie dotknię-cie ekranu pozwoli użyt-kow-nicz-kom apli-ka-cji zoba-czyć różne kom-bi-na-cje.

– Pozwo-le-nie im, by nas zmie-niały, może się oka-zać naprawdę zabawne – mówi Eva ze śmie-chem. – Chyba że zro-bią to w bar-dzo nie-po-chlebny spo-sób.

– Pomy-śle-li-śmy o tym – zapew-nia ją Ryan. – Jeśli użyt-kow-nik spró-buje celowo stwo-rzyć nie-po-chlebną kom-bi-na-cję obrazu któ-rejś z was, apli-ka-cja wyświe-tli zdję-cie bez twa-rzy – mówi, demon-stru-jąc. – Gdy linia pro-duk-tów do pie-lę-gna-cji skóry ECRA+ będzie gotowa do wpro-wa-dze-nia na rynek, zaczniemy umiesz-czać te pro-dukty jako domyślne.

– Super! – Rosana śmieje się z zachwytu. – To fan-ta-styczne.

– I jest zin-dy-wi-du-ali-zo-wane dla każ-dej z was. Pod-czas gdy nie-które kom-bi-na-cje nie są korzystne dla Evy, u Rosany mogą wyglą-dać wystrza-łowo i na odwrót. Widzi-cie?

Eva kiwa głową, gdy Ryan prze-łą-cza się z przy-kła-do-wego obrazu jej twa-rzy na obraz Rosany.

– Im-po-nu-jące.

– Pamię-taj-cie, że mamy rów-nież tema-tyczne zdję-cia was obu i pięć-dzie-się-ciu wybra-nych przez was mode-lek o róż-nych odcie-niach skóry, odmien-nym pocho-dze-niu etnicz-nym i w róż-nym wieku. Ten ostatni aspekt oka-zał się bar-dzo popu-larny pod-czas wewnętrz-nej ana-lizy. Nie zda-wa-łem sobie sprawy, że klientki z siwymi wło-sami są w dużej mie-rze igno-ro-wane w branży kosme-tycz-nej. Jest pustka, a wy ją wypeł-ni-cie.

– Taki jest plan. – Eva się uśmie-cha, ale spoj-rze-nie ma prze-ni-kliwe. – Kto zde-cy-do-wał, co dla każ-dej z nas jest korzystne, a co nie?

– Wszyst-kie moż-liwe kom-bi-na-cje prze-ana-li-zo-wa-li-śmy w tym samym wewnętrz-nym zespole do spraw este-tyki, który pomaga kształ-to-wać wygląd naszych awa-ta-rów.

– To dosko-nały punkt wyj-ścia – odpo-wiada spo-koj-nie Eva. – Chcia-ła-bym jed-nak sama przej-rzeć wszyst-kie te moż-li-wo-ści. Jeśli nie masz nic prze-ciwko.

– Oczy-wi-ście, że nie. Wasz wize-ru-nek to wasza marka i my to rozu-miemy. Obie otrzy-ma-cie dostęp pod-czas testów i będzie-cie mogły bez ogra-ni-czeń korzy-stać ze wszyst-kich funk-cji. Będzie-cie mogły zoba-czyć kom-bi-na-cje ozna-czone do usu-nię-cia i doda-wać lub odej-mo-wać je z tej listy. – Uśmiech Ryana nie słab-nie, ale patrzy na nią zauwa-żał-nie bar-dziej inten-syw-nie. – Nasze opro-gra-mo-wanie jest zastrze-żone, dla-tego pro-simy o prze-te-sto-wanie apli-ka-cji na miej-scu.

– To dość kło-po-tliwe. I praw-do-po-dob-nie będzie nie-zwy-kle cza-so-chłonne, jeśli wziąć pod uwagę liczbę moż-li-wych kom-bi-na-cji.

– To krok zapo-bie-gaw-czy i chroni nas wszyst-kich.

Sku-pie-nie, z jakim się jej przy-gląda, komuś nie-zo-rien-to-wa-nemu mogłoby pod-su-nąć myśl, że Eva mu się podoba. W końcu jest uro-czą kobietą o blond wło-sach i ciem-no-sza-rych oczach. Drobną i szczu-płą, ma figurę uzna-waną dziś za ide-alną: pełne piersi, wcię-tą talię, wypu-kłe pośladki. Nie jestem pewna, czy te krą-gło-ści są rów-nie natu-ralne jak odcień jej wło-sów. Eva ma w sobie rów-nież wyraźną zmy-sło-wość, co widać w spo-so-bie, w jaki się poru-sza, w pożą-dli-wym śmie-chu i gar-dło-wym tonie gło-su. Za dużo tego, naprawdę.

Ryan jest jed-nak oddany swo-jej żonie. Tym, co wrze mię-dzy nim a Evą Cross, jest

wro-gość.

Mam ucie-chę, obser-wu-jąc, jak razem pra-cują.

– Ale nie chcemy, aby użyt-kow-niczki nad-mier-nie pochła-niała zabawa waszymi zdję-ciami – kon-ty-nu-uje Ryan. – Chcemy, żeby kupo-wały, więc po każ-dych trzech kom-bi-na-cjach apli-ka-cja prosi o prze-sła-nie ich zdję-cia do wypró-bo-wa-nia. Tu może-cie zoba-czyć, jak to wygląda. – Obser-wuje je, gdy wpa-trują się w moni-tor, a potem spo-gląda na mnie. Jest wystar-cza-jąco bystry, by wie-dzieć, że cho-ciaż dziew-czyny są twa-rzami ECRA+, mam prze-możny wpływ na Rosanę. Zawsze słu-cha moich rad.

– Kiedy postą-pią zgod-nie z tą wska-zówką – cią-gnie – przed-sta-wiamy szcze-gó-łowe instruk-cje doty-czące prze-sła-nych przez nie sel-fie, a następ-nie opro-gra-mo-wa-nie poka-zuje im, jak dzia-łają na nie kolory. Mogą wybrać dowolne kom-bi-na-cje dla swo-ich zdjęć. Bez ogra-ni-czeń.

– Pomy-śla-łeś o wszyst-kim! – woła Rosana, pod-ska-ku-jąc z pod-nie-ce-nia na jed-nym z moich nie-bie-skich skó-rza-nych foteli klu-bo-wych.

Pod-czas gdy kolo-ry-styka mojego biura jest pia-skowa, z odcie-niami brą-zo-wej sza-ro-ści, tur-kusu i kre-mo-wego, wystrój pocho-dzi z połowy stu-le-cia. Ściany wyło-żone boaze-rią i meble w stylu vin-tage ocie-plają to, co w prze-ciw-nym razie byłoby nowo-cze-śnie asce-tyczną prze-strze-nią biu-rową. Ogólne wra-że-nie jest męskie, co roz-pra-sza gości na tyle, że daje mi prze-wagę. Służy też pod-kre-śla-niu mojej kobie-co-ści, co zawsze jest plu-sem.

Nie ma tu sofy. Pro-jek-tantka prze-ko-ny-wała mnie do dwóch, mówiąc, że grupa poje-dyn-czych foteli wywo-ły-wa-łaby wra-że-nie zagra-ce-nia. Znała się na pro-jek-to-wa-niu, ale nie znała mnie. Sama myśl, że mam w swoim biu-rze kuszącą powierzch-nię do leże-nia, przy-pra-wia mnie o gęsią skórkę.

Niebo ciem-nieje do głę-bo-kiej sza-ro-ści i kro-ple desz-czu zaczy-nają ude-rzać o szyby.

– Tak sądzimy – zga-dza się Ryan. – Ale ostroż-no-ści ni-gdy za wiele. Od mie-sięcy pro-wa-dzimy testy beta apli-ka-cji, ale nad-szedł czas, aby-ście obie ją wypró-bo-wały. Gdy uzna-cie, że jeste-ście gotowe, udo-stę-pnimy ją ogra-ni-czo-nej liczb-ie osób – mode-lek i influ-en-ce-rek, które wnio-sły swój wkład na eta-pie przy-go-to-wań. Zin-te-gru-jemy ich opi-nie, a następ-nie ją uru-cho-mimy.

– Czy osią-gniemy cel w zapła-no-wa-nym ter-mi-nie? – pytam. We wpro-wa-dza-niu na rynek nowej linii kosme-ty-ków uczest-ni-czą cele-bryci, dla-tego z dnia na dzień w branży beauty panują coraz więk-szy tłok i kon-ku-ren-cja.

– To zależy od tego, ile czasu zaj-mie wam przy-go-to-wa-nie opi-nii i jak obszerne będą wyma-gane zmiany.

– Już jestem zachwy-cona. – Moja córka wyciąga rękę i ści-ska dłoń Ewy, a jej piękna twarz pro-mie-nieje rado-ścią.

Wzdy-cham w duchu. Nie doświad-czyła jesz-cze wystar-cza-jąco dużo prze-ciw-no-ści losu, aby być ostrożną. Nie potrafi sobie wyobra-zić przy-szłych kłótni, utrzy-mu-ją-cych się nie-po-ro-zu-mień ani odmien-nych wizji. Powin-nam była stwo-rzyć jej wię-cej prze-szkód, gdy doj-rze-wała, tak jak zro-bi-łam to z jej braćmi, ale wtedy wskrze-sze-nie Baha-ran przez Kane’a wywo-łało szum – i zaczęło przy-no-sić pie-nią-dze. Musia-łam wró-cić do mojego naj-star-szego syna, aby roz-po-cząć odbu-dowę firmy jako rodziny. Nie było mowy, żebym stra-ciła Baha-ran po raz drugi.

Rosana jest więc naiwną opty-mistką. Eva wygląda na rów-nie pełną nadziei, ale wilk, któ-rego poślu-biła, zapew-nia jej ochronę.

Po pro-stu będę musiała cię-żej popra-co-wać nad Rosaną. Jak dotąd ziarna nie-uf-no-ści, które pota-jem-nie w niej zasia-łam, nie zapu-ściły korzeni, ale się nie pod-dam. Dobra matka nie



chroni swo-ich dzieci przed krzywdą; wysta-wia je na nią, aby bli-zny stward-niały na ich skó-rze.

Nagły błysk roz-pra-sza mnie i moją uwagę przy-ciąga burza na zewnątrz. Świa-tło sło-neczne prze-sło-niły kłę-biące się szare chmury, które spo-wiły mia-sto mro-kiem niczym o zmierz-chu. Jest śro-dek dnia, ale wydaje się, że jest znacz-nie póź-niej.

Kiedy ponow-nie przy-glą-dam się pre-zen-ta-cji, widzę, że powia-do-mie-nie tek-stowe roz-świe-tla ekran mojego wyci-szo-nego tele-fonu. Otwie-ram je kciu-kiem na ska-ne-rze linii papi-lar-nych i poja-wia się komu-ni-kat.

*Obu-dziła się.*

## WITTE

Deli-kat-nym puka-niem w otwarte drzwi do gabi-netu pana Blacka oznaj-miam poja-wie-nie się ser-wisu do her-baty, który przy-go-to-wa-łem przed przy-by-ciem dok-tor Vanyi Hamid. Na ski-nie-nie pra-co-dawcy wta-czam wózek i zabie-ram się do pracy, odmie-rza-jąc odpo-wied-nią ilość her-baty Nil-giri do dzbanka ze świeżo zago-to-waną wodą.

Pan Black sie-dzi za swoim ele-ganc-kim biur-kiem z drewna kon-ser-wo-wa-nego tra-dy-cyjną japoń-ską metodą yaki-sugi, opa-lone ogniem drewno ma odcień głę-bo-kiej, lśni-ącej czerni. Mebel jest zro-biony na miarę, aby pomie-ścić jego dłu-gie nogi i tułów. Fotel rów-nież został wyko-nany na zamó-wie-nie, z pod-ło-kiet-ni-kami dopa-so-wa-nymi do biurka i tapi-cerką ze skóry w kolo-rze koniaku. Mój pra-co-dawca tkwi w nim z pło-ną-cym spoj-rze-niem, sku-piony na każ-dym sło-wie, które pada z ust lekarki.

Węzeł jego kra-wata jest polu-zo-wany, spinka prze-krzy-wiona. Włosy wyma-gają przy-cię-cia, na szczę-ce widać cień zaro-stu. Zwy-kle strzygę go i golę z usta-loną regu-lar-no-ścią, ale ostat-nio jest zbyt nie-spo-kojny, by usiąść i pozwo-lić odpo-wied-nio zadbać o jego wygląd. Mar-twi mnie, że wygląda tak nie-chluj-nie pod-czas wide-okon-fe-ren-cji, ale dostrze-gam też nie-za-mie-rzoną korzyść z zasia-nia przy-naj-mniej ziarnka wąt-pli-wo-ści w umy-słach detek-ty-wów. Wpa-dają tu co kilka dni, żeby spraw-dzić, czy mogą prze-słu-chać panią Black. Zamiast tego widzą męż-czy-znę, który wygląda, jakby z tru-dem pozo-sta-wał przy zdro-wych zmy-słach, męża prze-peł-nio-nego stra-chem i nie-po-ko-jem o żonę.

Nie-wąt-pli-wie przy-wy-kła do radze-nia sobie z zatro-ska-nymi człon-kami rodziny dok-tor Hamid jest swo-bodna i wylu-zo-wana, cho-ciaż w jej melo-dyj-nym gło-sie sły-chać tro-skę. Ciemne włosy ma mister-nie zacze-sane do góry, a jej zgrabna syl-wetka wspa-niale wygląda w bla-do-nie-bie-skim sal-war kamiz, tra-dy-cyj-nym połu-dnio-wo-azja-tyc-kim stroju, skła-da-ją-cym się ze spodni i tuniki hafto-wa-nych błysz-czącą złotą nicią.

Gdy lekarka koń-czy mówić, pan Black wstaje, zwra-ca-jąc się w stronę pano-ramy mia-sta zato-pio-nego w sza-rej mgle desz-czu. Duże liścia-ste bana-nowce obra-mo-wują pozba-wioną ozdób ścianę z oknami, prze-no-sząc tro-chę zie-leni z poło-žo-nego poni-żej Cen-tral Parku do chmur, w któ-rych mieszka. Pociera kark; wyraźny znak, który w pełni zdra-dza jego fru-stra-cję i nie-po-kój. Nie ma odpo-wie-dzi na wie-lo-krot-nie zada-wane przez niego pyta-nie: „Dla-czego ona się nie budzi?”.

Od chwili, gdy w dniu wypadku odzy-skała przy-tom-ność, Lily śpi bez prze-rwy. A z każ-dym mija-ją-cym dniem pan Black jest coraz bar-dziej zde-ner-wo-wany.

Pio-run z rykiem roz-dziera niebo, jakby było ura-żone aro-gancką wyso-ko-ścią wie-żowca, w któ-rym miesz-kamy. Grzmot jest tak wszech-ogar-nia-jący, że pra-wie zagłu-sza pełen prze-ra-że-nia krzyk kobiety.

Pan Black mija mnie bie-giem, zwinny jak gazela, poka-zu-jąc spraw-ność fizyczną i szyb-kość, które kie-dyś cecho-wały jego grę jako roz-gry-wa-ją-cego w koszy-kówce. Cze-kam, pozwa-la-jąc dok-tor Hamid wyprze-dzić mnie spiesz-nym, rów-nym kro-kiem, a potem podą-żam za nią, prze-glą-da-jąc w myślach moż-liwe sce-na-riu-sze i wyni-ka-jące z nich wyma-gane dzia-ła-nia. Przez otwarte drzwi widzę okna ocie-ka-jące łzami desz-czu.

Amy Armand stoi oparta o ścianę, obej-mu-jąc się rękami. Mój pra-co-dawca już

przy-siadł na brzegu łóżka, dło-nie ma zaci-śnięte na koł-drze po obu stro-nach smu-kłych bio-der żony. Lily sie-dzi pro-sto, jej blade ręce ota-czają jego ramiona, poli-czek przy-ci-ska do jego policzka, a łzy błysz-czą na jej czar-nych rzę-sach. Jaskrawa czer-wień jej paznokci lśni jak kro-ple krwi wśród ciem-nych pasem wło-sów pana Blacka.

W obec-nych oko-licz-no-ściach Lily Black ucie-le-śnia naj-ja-śniej-szą z pełni księ-życa w naj-ciem-niej-szą z nocy.

Pochy-liw-szy się, zbie-ram z pod-łogi torebkę i buty młod-szej pani Armand i pod-cho-dzę do niej, lekko obej-mu-jąc jej ramię peł-nym sza-cunku uści-skiem.

– Pani Armand – mówię cicho. – Pro-szę pozwo-lić, że odpro-wa-dzę panią do drzwi.

– Co? – Wzrok ma przy-kuty do żywego obrazu na łóżku.

W jej odde-chu czuję alko-hol i wzdy-cham w duchu. Taka uro-cza dziew-czyna, z tak dużym poten-cja-łem, ale wal-czy z demo-nami, któ-rych nie jestem świa-domy.

– Lekarka będzie musiała zba-dać panią Black – szep-czę, deli-kat-nie wypro-wa-dza-jąc ją z sypialni Lily – i musimy zapew-nić jej pry-wat-ność.

Opiera się, kiedy wywie-ram lekki nacisk, a jej oczy są sze-roko otwarte i wpa-trzone w tę parę. Ja też chciał-bym patrzeć. To takie rzad-kie i dziwne widzieć pana Blacka w obję-ciach, z pochy-loną głową i pobie-la-łymi z napię-cia knyk-ciami. W mimo-wol-nym bła-ga-niu.

Nie jest wylewny. Unika fizycz-nego kon-taktu w miej-scach publicz-nych poza tym, czego wyma-gają zasady ety-kiety i grzecz-ność. Czę-sto wyobra-ża-łem sobie, że ota-cza go nie-wi-dzialny mur, który trzyma innych na bez-pieczną odle-głość.

Naj-wy-raż-niej jed-nak nie ma barier, które mogłyby ochro-nić go przed Lily.

Niebo się otwiera i zrywa się ulewa.

## LILY

Przy-ci-ska-jąc poli-czek do two-jego, wydy-cham powie-trze. Prze-cho-dzi cię dreszcz, gdy mój oddech pie-ści twoje ucho. Nie-spo-kojne ruchy two-ich pal-ców na koł-drze spra-wiają, że drzę i nie mogę prze-stać. Potrzeba, by się w cie-bie wczoł-gać, zjed-no-czyć się z tobą w miło-ści, jest prze-można. Trzy-mać cię w ramio-nach to wszystko, czego kie-dy-kol-wiek pra-gnę-łam czy potrze-bo-wa-łam.

Wtu-lasz nos w moją szyję i bie-rzesz głę-boki, nie-równy wdech, wcią-ga-jąc w płuca zapach mojej skóry. Muskasz mnie nosem, robiąc wydech. Nie odwza-jem-niasz mojego uści-sku, ale to nie jest konieczne. Nazna-czasz mnie jak zwie-rzę i w zamian przyj-mu-jesz mój znak. Czuję, jak znów mnie wdy-chasz, potem jesz-cze raz, jak-byś zbyt długo był zanu-rzony i pozba-wiony powie-trza. Dusząc się.

Znam to uczu-cie, kochany. Aż nadto dobrze.

Twoje ciało przy moim jest twarde i jak w gorączce roz-pa-lone, niczym kamienna kolumna godzi-nami wysta-wiona na ostre słońce. Wibru-jesz, każdy mię-sień reaguje na nacisk mojego ciała. Wdy-cha-jąc powie-trze, napeł-niam zmy-sły twoim zapa-chem, który prze-nosi mnie z powro-tem do nocy, kiedy się pozna-li-śmy. Ogni-sko i słone powie-trze, ostry podmuch burzy nie-siony wie-czorną bryzą.

Ach, i lilie. Klatka pier-siowa boli mnie od tłu-mio-nego szło-chu.

Nie zapo-mnia-łeś Lily.

## WITTE

Cze-kam z młod-szą panią Armand, aż wej-dzie do windy z pustym, oszo-ło-mio-nym wyra-zem twa-rzy. Gdy drzwi się zasu-wają, gorącz-kowo grze-bie w torebce, nie patrząc na mnie i nie żegna-jąc się.

Mija-jąc dwóch ochro-nia-rzy sto-ją-cych przy wej-ściu do apar-ta-mentu, kiwam im głową i bez-sze-lest-nie zamy-kam za sobą drzwi. Gdy jestem sam, mogę przy-znać, że scena, któ-rej byłem świad-kiem, wstrzą-snęła mną do głębi.

Nie potra-fię powią-zać kobiety, która ucie-kła przed panem Blac-kiem w sercu śród-mie-ścia, z żoną czule tulącą się do niego w sypialni. Te reak-cje są tak szo-ku-jąco różne, że wymy-kają się logice.

Odsu-wa-jąc na bok nie-po-kój, idę dłu-gim, lustrza-nym kory-ta-rzem do sypialni pani Black. Mój pra-co-dawca stoi teraz w naj-dal-szym, naj-ciem-niej-szym kącie. Wpa-truje się w dwie kobiety, które roz-ma-wiają przy-ci-szo-nymi gło-sami, i nie dostrzega mojego powrotu. Stoi ze sku-pioną uwagą, w roz-kroku i ze skrzy-żo-wa-nymi ramio-nami. Wład-czy. Agre-sywny. Pie-lę-gniarz Frank w pogo-to-wiu czeka za lekarką. Odwo-łuję się do lat doświad-cze-nia, aby znik-nąć w oto-cze-niu.

Dok-tor Hamid trzyma palec w górze, poru-sza-jąc nim z boku na bok, a Lily podąża za nim spoj-rze-niem. Widok pani Black, tak sta-ran-nie wypie-lę-gno-wa-nej, że wygląda, jakby po pro-stu pozwo-liła sobie na krótką połu-dniową drzemkę, zamiast całe tygo-dnie leżeć nie-przy-tomna, zbija mnie z tropu.

Jest bez wąt-pie-nia naj-bar-dziej zachwy-ca-jącą istotą, jaką kie-dy-kol-wiek widzia-łem. Por-tret, który pan Black trak-tuje jak skarb, jest cie-niem ener-gii obec-nej w żywej, oddy-cha-ją-cej kobiety.

Oprócz tego, że osza-ła-mia urodą, Lily jest prze-ra-ża-jąco opa-no-wana w sytu-acji, która pra-wie każ-demu nape-dzi-łaby porząd-nego stra-cha. Znaj-duje się w nie-zna-nym sobie miej-scu z nie-zna-jo-mymi ludźmi. Nawet mąż musi wyda-wać jej się obcy; ich roz-sta-nie trwało długo, a on bar-dzo się zmie-nił. A jed-nak to młod-sza pani Armand krzy-czała w szoku.

– Ile pal-ców trzy-mam? – pyta lekarka.

– Dwa.

– A teraz?

– Na-dal dwa. Gdzie ja jestem?

– Jest pani w domu. Może mi pani powie-dzieć, jak się nazywa?

– Lily Rebecca Yates. W którym domu? – Patrzy na pana Blacka. – Kane...?

– Naszym – odpo-wiada szorstko.

Na jej twa-rzy poja-wia się zdu-mie-nie, oczy błysz-czą od łez.

– Naszym – powta-rza szep-tem.

Tak jak i ja, dok-tor Hamid zasta-na-wia się, sły-sząc nazwi-sko panień-skie Lily. Jestem też zasko-czony jej gło-sem. Sądząc z wyglądu tej kobiety, spo-dzie-wa-łem się, że będzie ochry-pły, zabar-wiony papie-ro-sami i szkocką. Tym-cza-sem jest wysoki i dziew-częcy, z leciutką nutą gar-dło-wo-ści. Ni-gdy cze-goś takiego nie sły-sza-łem, a jed-nak reaguję z zaska-ku-ją-cym entu-zja-zmem. Chciał-bym długo słu-chać jak mówi, mieć czas na zapa-mię-ta-nie niu-an-sów głosu, który z zało-że-nia powi-nien draż-nić, a zamiast tego

zachwyca.

– Czy zawsze podaje pani swoje panieńskie nazwisko? – pyta lekarka.

Lily mruga powoli, potem unosi lewą rękę i przygląda się pierścionkowi. Przełyka ślinę, po czym odpowiada:

– Nie jestem mężatką.

Głuchy pomruk wydobywa się z piersi mojego pracodawcy.

– Wszystko w porządku – mówi doktor Hamid stanowczo. – Nie ma złych odpowiedzi. Ile masz lat, Lily?

– Dwa-dziesiąt siedem.

Pan Black sztywnieje obok mnie. Lekarka zerka na Franka, szukając potwierdzenia, ale ten przecząco kręci głową.

Doktor Hamid siada głębiej na skraju łóżka.

– Pamiętasz wypadek?

– Wypadek?

– Jakiś miesiąc temu zostałam potrącona przez samochód.

Lily nie rucho mieje na dłuższą chwilę, po czym pyta:

– Jaki jest dzisiaj dzień?

Przechwytnię spojrzem na lekarki, która zerka na Franka. Ma zaciśnięte usta i ściągnięte brwi. Wszyscy odwracamy głowy w stronę pana Blacka. Jest śmiertelnie blady i spięty, tak bardzo, że niemal mógłbym przyśiąc, że powie trze wibruje wokół niego.

Lily też mu się przygląda. A potem drżącą dłoń – z bezcennym kamieniem, który we wnętrzu ma odcień głęboko purpurowy, a w świetle słonecznym tak samo zielony, jak jej oczy – wyciąga do męża.

– Kane...

Pan Black stoi nieruchomo przez długą, pełną napięcia minutę. Potem opuszcza ręce i robi niepewny krok w kierunku łóżka, jakby opierał się pokusie i mu się to nie udało.

Nie wiem, co począć, gdy gwałtownie się obraca i wychodzi z pokoju długimi, szybkimi krokami.

## WITTE

– No cóż. – Deli-katna dłoń Lily miękko jak motyl opada z powro-tem na łóżko. Mój wzrok na chwilę zatrzy-muje tatuaż w postaci skor-piona na wewnątrz-nej stro-nie jej nad-garstka, mniej wię-cej dwu-ipół-cen-ty-me-tro-wej wiel-ko-ści. Wes-tchnąw-szy głę-boko, odzy-skuje pano-wa-nie nad sobą. – Wygląda na to, że nasze mał-żeń-stwo wymaga pracy.

– Pamię-tasz teraz, że byłaś mężatką? – pyta dok-tor Hamid.

– Byłam ubrana na biało czy na czarno?

– Kiedy?

– Na ślu-bie.

– Nie wiem. Jesteś pod moją opieką już pra-wie mie-siąc, ale tak naprawdę dopiero się pozna-ły-śmy.

Pani Black patrzy na mnie i łapię się na tym, że nie mogę ode-rwać wzroku od tych ude-rza-jąco szma-rag-do-wych oczu.

– Byłaś tam? To zna-czy na weselu.

– Nie, pro-szę pani. Nie mia-łem tej przy-jem-no-ści, ponie-waż to nie było za moich cza-sów.

Mruży lekko powieki i spo-gląda w stronę okien.

– Jeste-śmy w Lon-dy-nie?

– Na Man-hat-ta-nie – odpo-wia-dam. – Ale jestem Angli-kiem, zgod-nie z pani przy-pusz-cze-niem.

Roz-gląda się uważ-nie po pokoju, jakby reje-stro-wała każdą powierzch-nię. Jest pra-wie w wieku mojej córki, ale w jej lśni-ącym jak klej-not spoj-rze-niu jest twar-dość, na szczę-ście nie-obecna u mojego dziecka.

– Pani Black...

Nagle Lily trzę-sie się ze śmie-chu, który wkrótce gra-ni-czy z histe-rią. W jej oczach wzbie-rają łzy i spły-wają niczym strużki płyn-nych dia-men-tów. Roz-pacz odbiera jej siły, rzu-ca-jąc nie-po-ko-jący cień na nie-zwy-klą urodę tej kobiety. Zaci-ska powieki i wsuwa się pod koł-dre.

– Chcę się już obu-dzić.

Lekarka nie spuszcza wzroku z pacjentki, gdy pyta:

– Frank, co z karetką?

Pie-lę-gniarz pod-nosi wzrok znad komórki, usta ma zaci-śnięte w wąską linię.

– Jest tutaj. Wnie-śli nosze do windy i jadą na górę.

– Zabie-rzemy cię do szpi-tala, Lily – mówi uspo-ka-ja-jąco dok-tor Hamid. – Teraz, kiedy już się obu-dzi-łaś, musimy prze-pro-wa-dzić dodat-kowe bada-nia. Będę z tobą przez cały czas.

– Pro-szę wyba-czyć – mówię do pani Black, bar-dzo nie chcąc jej zosta-wiać. Jest deli-katna jak wata cukrowa, cien-kie nici zdro-wego roz-sądku są napięte do gra-nic wytrzy-ma-ło-ści. – Przy-pro-wa-dzę ich tutaj.

Wycho-dzę z pokoju i gwał-tow-nie zatrzy-muję się na kory-ta-rzu, żeby unik-nąć zde-rze-nia z panem Blac-kiem.

Prze-staje cho-dzić tam i z powro-tem. Jego ciemne oczy są wil-gotne jak u Lily

i wyglą-dają rów-nie nie-przy-tom-nie.

– Powi-nien pan być ze swoją żoną – mówię mu. – Ona pana potrze-buje.

– To nie jest moja żona.

Coś zim-nego i śli-skiego owija się wokół moich wnętrz-no-ści.

– Panie Black...

– Wygląda jak Lily. Ma jej głos. Jej skórę. Jej zapach. – Obiema rękami prze-cze-suje włosy i chwytą się za głowę. – Ale jest coś w jej oczach... Nie widzisz tego?

Wpa-truję się w niego skon-ster-no-wany. Cudowna twarz jego żony nie ma sobie rów-nych. Co wię-cej, patrzy na niego tak jak zawsze na swoim por-tre-cie, z gorącz-kową miło-ścią, zabor-czym gło-dem. Spał pod tym spoj-rze-niem przez wszyst-kie lata, odkąd go znam. Jak może tego nie dostrze-gać?

Jego ręce ciężko opa-dają na boki.

– Zor-ga-ni-zuj pry-watną ochronę w szpi-talu – roz-ka-zuje, a jego słowa brzmią ostro, jakby miał w gar-dle rżnięte szkło. – Żad-nych gości. Każdy, kto o nią zapyta, powi-nien być śle-dzony, dopóki nie zosta-nie ziden-ty-fi-ko-wany i spraw-dzony.

Kiwam głową na potwier-dze-nie.

– Zajmę się teraz ratow-ni-kami, a potem ochroną. Czy chce pan utrzy-mać dyżury ochro-nia-rzy rów-nież tutaj?

– Tak.

– Poje-dzie pan z nią do szpi-tala?

– Oczy-wi-ście. – Marsz-czy gniew-nie brwi. – Za kogo mnie masz? Myślisz, że puścił-bym ją samą?

Wichura ude-rza w budy-nek, który skrzypi i jęczy jak sta-tek na wzbu-rzo-nym morzu. Oglą-dam się jesz-cze za sie-bie, zanim skręcę do holu wej-ścio-wego.

Mój pra-co-dawca krąży przed poko-jem swo-jej żony, wyraż-nie bar-dziej udrę-czony przez jej upiora, który powró-cił, niż kie-dy-kol-wiek przez jej wspo-mnie-nie.



## AMY

– Kocha-nie, musimy iść.

Sły-sząc głos Dariusa, drgam prze-stra-szona. Jego ramiona od tyłu ota-czają moją talię i muszę poko-nać chęć, by się obró-cić i zamach-nać pię-ścią w jego przy-stojną twarz.

Serce mi wali, gdy wal-czę z gnie-wem.

– Boże! Nie pod-kra-daj się do mnie w ten spo-sób!

Czuję jego cie-płe ciało, jego cha-rak-te-ry-styczny zapach wypeł-nia powie-trze w gar-de-ro-bie. To moje ulu-bione pomiesz-cze-nie w naszym miesz-ka-niu, dawny pokój gościnny, który oddzie-li-łam od głów-nego kory-ta-rza i otwo-rzy-łam na naszą sypial-nię. Jest całe w bieli i wyło-żone lustrami. Otwarte półki eks-po-nują moje torebki i buty, a wie-szaki są pre-cy-zyj-nie uło-żone zgod-nie z zale-ce-niami pro-fe-sjo-nal-nego orga-ni-za-tora. To gar-de-roba moich marzeń, ale nie mogę zna-leźć nic, co mogła-bym wło-żyć.

Jestem pewna, że poko-jówka krad-nie i dowol-nie prze-kłada moje rze-czy, więc trud-niej zauwa-żyć, co zabrała, ale Darius mówi, że to sobie wymy-ślam. Mam cho-ler-nie dość tego, że nikt nie wie-rzy w ani jedno moje słowo. Oprócz Suzanne. Jakie to pokre-cone, że jedyną osobą będącą po mojej stro-nie jest ktoś, kogo nie mogę znieść? Ale przy-naj-mniej mogę jej zaufać.

– Jesteś dzi-siaj ner-wowa – mru-czy mój mąż, jędr-nymi war-gami muska-jąc moje ramię.

– W co, do cho-lery, mam się ubrać?

To takie ważne, żebym dobrze wypa-dła. Aliyah będzie tam ze swoim osą-dza-ją-cym spoj-rze-niem. I Kane. Co naj-waż-niej-sze, Lily wró-ciła ze szpi-tala po kilku tygo-dniach fizjo-te-ra-pii i też może się poja-wić. Prze-szu-ka-łam jej gar-de-robę co naj-mniej tuzin razy i wiem, że jej styl jest mroczny, zmy-słowy i zwra-ca-jący uwagę, cał-ko-wite prze-ci-wień-stwo upodo-ba-nia Aliyah do jasno-ści, sek-sow-no-ści i kla-syki.

A więc... jak mogę przy-ćmić Lily, nie sły-sząc pasywno-agre-syw-nych, dwu-znacz-nych kom-ple-men-tów od mojej teścio-wej suki? Wyobra-żam sobie głowę Aliyah owi-niętą taśmą kle-jącą, która zale-pia jej wredne usta, i pra-wie wybu-cham śmie-chem. Chłodna sza-rość taśmy ide-al-nie współ-gra-łaby z cie-płymi, neu-tral-nymi kolo-rami, które nosi. I jak bajecz-nie wyglą-da-łyby kosmyki jej tle-nio-nych wło-sów przy-wie-ra-jące do kleju, kiedy odrywa je swo-imi szpo-nia-stymi paznok-ciami?

– Nie ma zna-cze-nia, co wybie-rzesz – szep-cze Darius, jego głos jest niski i chra-pliwy, gdy dło-nie wci-skają się w miseczki mojego sta-nika. – Zawsze będziesz naj-pięk-niej-szą kobietą w pomiesz-cze-niu.

Przy-glą-dam się naszemu odbi-ciu w dużym lustrze, które pokrywa całą ścianę w naj-głęb-szym miej-scu mojej gar-de-roby. Mam na sobie nowy kom-plet bie-li-zny w odcie-niu głę-bo-kiej szma-rag-do-wej zie-leni z czar-nymi paskami i czarną koronką. Ostat-nio pozby-łam się więk-szo-ści swo-jej bie-li-zny i koszul noc-nych, kre-mowy i złoto z poprzed-niej palety zastę-pu-jąc bar-dziej ponu-rnymi kolo-rami. Kane nie będzie roz-cza-ro-wany, jeśli jesz-cze kie-dyś roz-biorę się dla niego.

Patrzę, jak czubki pal-ców mojego męża odnaj-dują moje bro-dawki i deli-kat-nie je pocią-gają, wywo-łu-jąc szarp-nię-cie mię-dzy moimi nogami. Jego usta są teraz na mojej szyi,

na skórze czuję jego wilgotny oddech.

Czy właśnie tak Dariusz zaczął bzykać swoją asystentkę? Czy ktoś-re-goś dnia weszła do jego biura, kołysząc biodrami i wysyłając te wszystkie sygnały „pieprz mnie natychmiast”? Jak szybko i łatwo zdecydował się podciągnąć jej spódnice i pochylić ją nad biurkiem? Czy zaczęło się od obciążania, czy też przeszedł od razu do głębockiego wiercenia w cipce?

I dla czego miałyby go nie chcieć?, pomyślałam gorzko. Jest wysoki, ciemnowłosy i zachwycający ze wspólnym uśmiechem. Kiedy jego głos staje się ochrypły, a wyrzeźbione ciało rozgrzewa się z żądzy, nie można mu się oprzeć. Moja obrączka na jego palcu prawdopodobnie czyni go jeszcze bardziej pociągającym.

W lustrze przed nami widzę fantastycznie uzupełniającą się parę. Mój odcień włosów, przez stylizację zbliżony do koloru Lily, jest ciemniejszy niż u Dariusza, chłodniejszy, bo on ma ciepły. Jego złociста skóra podkreśla błękitne oczy, które są cechą Armandów. Szerokie ramiona otaczają moje, tak że czuję się w nich krucho. W głębi garderoby, otoczone niezliczonymi odcieniami beżu i bieli, domiňuje i sprawia, że krew pulsuje mi w żyłach.

– Czy możesz porozmawiać z matką przez FaceTime i zobaczyć, co ma na sobie?  
– Wstrzymuję oddech, gdy jego palce przesuwają się po moim brzuchu.

– Kogo to obchodzi? – odpowiada, boleśnie zaciśniętą dłoń na moim biodrze, by mnie skarcić.

– Ją! Zawsze robi popieprzone komentarze na temat tego, jak wyglądam i jak się zachowuję, co jem i piję, gdzie chodzę i kim są moi przyjaciele!

Ucisza mnie.

– Amy... Będę pierwszym, który przyzna, że jest apodyktyczna i uparta. Ale rodzina zna czy dla niej wszystko.

Zgrzytam zębami. Wszyscy są, kurwa, ślepi, każde z jej dzieci. Kane jest jedyną osobą, która wie, do czego jest zdolna, ponieważ porzuciła go, gdy jej drugi mąż nie chciał zajmować się bachorem innego mężczyzny.

– Ona nie uważa mnie za rodzinę.

– Oczywiście, że uważa. Jesteś moją żoną.

Poruszam ramionami, próbując się uwolnić z jego objęć.

– Ni-gdy nie zobaczysz jej taką, jaka jest naprawdę.

– Och, widzę ją. – Jedną ręką zaciśniętą na mojej piersi, trzymając mnie w niewoli. Jego wzrok spotyka się z moim w lustrze, gdy druga ręką wsuwa się w moje majtki i rozchyła wargi cipki. – Widzę, jak bardzo chce, aby wszystkie jej dzieci pracowały razem i żyły razem. Chce, żebyśmy wszyscy byli zawiązani w zgrabny mały supeł, aby mogła tylko pociągnąć za nitkę, a wtedy wszyscy będziemy ciasno zawiązani.

Plecy mi sztywnieją, gdy jego palce odnajdują lechtaczkę i zaczynają wykonywać koliste ruchy. Gniew buzuje w mojej krwi.

– Pieprzyć ją. I ty też się pieprz, jeśli myślisz, że będę tak żyła.

Zatapia zęby w mojej delikatnej skórze między szyją a ramieniem.

– Będziesz mnie rznąć, a przynajmniej ja cię zerznę, i to, kurwa, już.

– Dariusz...

Dwa długie palce wsuwają się we mnie, odkrywając, że jestem mokra za sprawą mistrzowskiej mani-pulacji moimi sutkami i mrocznej nuty groźby w jego głosie. Zna wszystkie moje przyćmienie, wie, jak je naciśnąć. Nie nawidzę go za to. Wyobrażam sobie, jak odrzucam głowę do tyłu, łamię mu nos i czuję, jak gorąca krew tryska na moją skórę.

– Myślisz, że tylko Kane może unieważnić umowę i przywrócić ci kontrolę nad twoją

cenną firmą? – syczy mi do ucha, a jego palce zaczy-nają wyko-ny-wać pchnię-cia. – Moja matka zachowuje się, jak-by-śmy wszy-scy byli wielką, szczę-śliwą rodziną, ale dobija ją myśl, że Kane stoi na czele Baha-ran. Podej-muje dzia-ła-nia, kocha-nie, sekretne gierki, które pró-buje przed-sta-wiać jako pomocne, ale tak naprawdę cho-dzi o prze-ję-cie wła-dzy.

Wiot-czeję w jego ramio-nach; moje kolana miękna, aby dać tym genial-nym pal-com łatwiej-szy dostęp. Jego dłoń naci-ska i pociera łech-taczkę przy każ-dym pchnię-ciu i wyco-fa-niu, dopro-wa-dza-jąc mnie coraz bli-żej orga-zmu.

– Doku-men-tuję wszystko – mówi zdu-szo-nym gło-sem. – Jej elek-tro-niczny pod-pis jest na każ-dym kroku. Wszyst-kie drogi pro-wa-dzą do niej.

Wyrywa się ze mnie cichy jęk pod-da-nia. Pod-nie-cił mnie swo-imi rękami i pod-eks-cy-to-wał sło-wami. Jego palce już nie wystar-czają.

– Zdej-mij bie-li-znę i pochyl się – naka-zuje, puszcza-jąc mnie.

Wyśli-zguję się z maj-tek i patrzę, jak roz-pina pasek i roz-po-rek jasno-sza-rych spodni. Opie-ram się o wypęę pośrodku gar-de-roby. Chłodny mar-mur chło-dzi moje dło-nie, gdy wypinam się, by mu się zapre-zen-to-wać.

Dariusz mru-czy, ści-ska-jąc penisa i pocie-ra-jąc jego główką śli-skość mojej cipki. Potem pochyła się, wcho-dząc we mnie drę-cząco powol-nym wśli-zgiem. Zamy-ka-jąc oczy, robię gwał-towny wdech, a mój umysł wypeł-niają gorące wspo-mnie-nia innego sek-su-al-nego kon-taktu z innym męż-czy-zną. Kane nie był deli-katny ani powolny. Prze-wró-cił mnie, szarp-nię-ciem pocią-gnął na koniec łóżka i wszedł we mnie mocno i szybko.

Mąż wplata mi palce we włosy i pod-nosi głowę.

– Patrz, jak cię pie-przę – żąda ochry-płym gło-sem, jakby wie-dział, dokąd zawę-dro-wały moje zdra-dziec-kie myśli.

Spo-glą-dam na niego i widzę, jak wygląda, sto-jąc za mną – nie-bie-ski kra-wat fachowo zawią-zany, świeżo wypra-so-wana biała koszula. Na zdję-ciu od klatki pier-sio-wej w górę wyglądałby jak biz-nes-men w pracy. Tym-cza-sem jest męż-czy-zną wbi-ja-ją-cym swego nabrzmia-łego kutasa w pożą-dliwą kobietę pra-gnącą orga-zmu. Jestem poza swoim cia-łem i obser-wuję. Widok jest tak ero-tyczny, że aż drzę z pożą-da-nia.

– Kiedy przyj-dzie odpo-wiedni czas, użyję wszyst-kiego prze-ciwko niej, by wycią-gnąć z Baha-ran to, co zostało z Social Cre-amery – mówi gniew-nie, akcen-tu-jąc słowa ryt-micz-nymi pchnię-ciami. – Potem dopil-nuję, żeby Kane się dowie-dział, co ona knuła. Kiedy ją odsunę, będę mógł zapla-no-wać, co dalej.

Otwie-ram usta, z tru-dem łapiąc oddech. Bez-li-to-sne pocią-gnię-cie za skórę głowy, kiedy używa moich wło-sów, by trzy-mać mnie nie-ru-chomo, dopro-wa-dza mnie do sza-leń-stwa. Zanu-rza się we mnie i wyco-fuje roz-kosz-nie. Wszystko w moim wnętrzu napręża się i zaci-ska, spragnione satys-fak-cji. Wię-cej, zawsze wię-cej. Moc-niej. Bru-tal-niej.

Pró-buję się poru-szać, przy-spie-szyć rytm, ale trzyma mnie w bez-ru-chu, roz-ła-do-wu-jąc emo-cje wywo-łane swoją zazdro-sną ambi-cją. Pod-nieca mnie bycie wyko-rzy-sty-waną, tak jak myśl o znisz-cze-niu Kane'a i matki spra-wia, że Dariusz jest tward-szy niż stal.

Pobu-dzony fan-ta-zjami o znisz-cze-niu brata, mój mąż pie-przy mnie, aż zaczy-nam dygo-tać w orga-zmie.

## LILY

W pen-tho-usie utrzy-muje się cięż-kie napię-cie wstrzy-my-wa-nego odde-chu, gdy snuję się przez jego lustrzane kory-ta-rze. Po nie-koń-czą-cych się dniach fizjo-te-ra-pii, zado-mo-wić się w tym kuszą-cym schro-nie-niu jest po pro-stu bosko. Ide-alny kwa-drat roz-ciąga się na pra-wie sied-miu-set pięć-dzie-się-ciu metrach kwa-dratowych, z arte-riami – windą, zsy-pem na śmieci, klatką scho-dową i prze-wo-dami kana-li-za-cyj-nyymi – bie-gną-cymi przez śro-dek. Pokoje przy-le-gają do ścian zew-nętrz-nych, każdy z zapie-ra-ją-cym dech w pier-siach wido-kiem.

Kiedy poru-szam się w śmier-tel-nej ciszy, spo-wija mnie zapach lilii, kłę-biąc się w miej-scu, gdzie moje bosc stopy doty-kają ogrze-wa-nej pod-łogi, i wno-sząc się, by szep-tać wokół mojej szyi jak zazdro-sny kocha-nek. Za tym zapa-chem jesteś ty, ożyw-cze nuty mor-skiej bryzy i opa-la-nego drewna. Wdy-cham je i wydy-cham z przy-jem-no-ścią. Mój puls przy-spie-sza z rado-snym przy-pły-wem emo-cji, która naj-bar-dziej przy-po-mina strach.

W biblio-tece jest z tobą kilka osób, ale w pen-tho-usie panuje cisza jak w gro-bowcu. Żaden dźwięk nie odbija się echem ani nie nie-sie. Wyraż-nie sły-chać tylko odgłosy samego domu – ciche zawo-dze-nie pod ude-rze-niami wichury, jękliwe skrzy-pie-nie, gdy wie-żo-wiec jak tan-cerka koły-sze się na wie-trze. Cho-ciaż nie wyczu-wam żad-nego ruchu, budy-nek mówi mi o swo-ich zma-ga-niach. To smu-kła trzcina sma-gana siłami natury, a jed-nak jestem utu-lona i bez-pieczna od tych tur-bu-len-cji.

Teraz zagro-że-nia, przed któ-rymi stoję, są wewnątrz murów, nie na zew-nątrz nich.

Czy dla-tego, że pen-tho-use roz-brzmiewa dźwię-kami przy-po-mi-na-ją-cymi sta-tek na wzbu-rzo-nyim morzu, wybra-łeś go na swój dom? Lily poszła na dno ze swoją łodzią. Czy leża-łeś nocą w łóżku, wpa-tru-jąc się w jej por-tret i słu-cha-jąc budynku, wyobra-ża-jąc sobie, że razem żeglu-je-cie na pokła-dzie „la Tempête”, a kiedy ocean domaga się statku, ona też dopo-mina się o cie-bie?

To nie-zdrowo roman-tyczny pomysł wska-zu-jący na bez-gra-niczną miłość, a jed-nak mnie uni-kasz.

Po pro-stu nie mogę pogo-dzić się z tą nową rze-czy-wi-sto-ścią; pen-tho-use jest tak bar-dzo inny od spo-sobu, w jaki cię widzia-łam. Czy potrze-bo-wa-łeś takiego uprzy-wi-le-jo-wa-nia, by uwie-rzyć w sie-bie, spraw-dzić się? Kon-struk-cja budynku unie-moż-li-wia spo-glą-da-nie w dół na zie-mię. Ta sztuczka nie jest po to, by zapo-biec uszko-dze-niu zro-bio-nych z wosku i piór skrzy-deł miliard-ów. Nie ma chro-nić ich przed wzno-sze-niem się zbyt wysoko, ale przed tru-dem i bru-dem cięż-kiego życia w dole.

Nie chcę powie-dzieć, że nie lubię tego, co kryje się wewnątrz murów, które nas ota-czają. Ta pozła-cana klatka jest tak tajem-ni-czo piękna, że chcę zamknąć drzwi od środka, aby żadna wycią-gnięta ręka nie mogła mnie pochwy-cić i zabrać. Albo wypchnąć, żebym spa-dła na zie-mię.

To sur-re-ali-styczne, tak jak ty. Czę-sto sły-szę w gło-wie głos, młod-szy i cich-szy, mówiący mi, że to tylko świa-domy sen. Macham ręką, chcąc, aby obsy-dia-nowa pod-łoga zmie-niła się w prze-zro-czy-ste szkło, pod któ-rym pły-nie gra-na-towa woda. Doty-kam ściany, każąc jej zmie-nić kolor. Nic, co robię, myślę czy mówię, nie może odmie-nić mojego oto-cze-nia, ale wydaje mi się nie-moż-liwe, że zna-la-złam się tutaj, w domu, który wygląda na

moje naj-głęb-sze pra-gnie-nie, ale nim nie jest, z mężem, który wygląda jak moja miłość, ale nią nie jest.

Uwa-żaj, czego sobie życzysz.

Czyż nie jest to wszyst-kim, czego kie-dy-kol-wiek pra-gnę-łam? Odzy-ska-łeś kon-trolę nad swoim dzie-dzic-twem, nad Baha-ran. Noszę twój pier-ścio-nek i twoje nazwi-sko. Miesz-kamy w tym impo-nu-ją-cym apar-ta-men-cie. Takie życie z tobą to pakt z dia-błem i dokąd to zapro-wa-dzi? Masz Baha-ran, ale do niego doszła rodzina, która cię porzu-ciła. Jeste-śmy mał-żeń-stwem, ale obcy sobie. I mamy olśnie-wa-jące gniazdo ponad chmu-rami, ale pozba-wione miło-ści i śmie-chu. Marzy-łam o takim nie-bie. Zamiast tego zna-la-złam się w pie-kle.

Gdy wcho-dzę do głów-nej czę-ści miesz-kal-nej, otwiera się przede mną pano-rama Nowego Jorku w naj-lep-szym wyda-niu. Przy-staję na chwilę, chło-nąc wra-że-nie prze-strzeni. Przy-po-mina mi się las nocą i blask księ-życy w pełni na buj-nym mchu i nie-zmą-co-nej powierzchni pry-wat-nego stawu. Ten widok jest głę-boko tajem-ni-czy i bez-wstyd-nie zmy-słowy.

Skrę-cam z ofi-cjal-nej jadalni z rusty-kal-nym sto-łem z litego drewna i pokry-tymi zie-loną skórą krze-słami, po czym wcho-dzę do kuchni, która spra-wia wra-że-nie prze-strzeni ist-nie-ją-cej poza cza-sem.

Wyspa to antyk o nowym prze-zna-cze-niu. Ciemne drewno, mno-gość szu-flad, mosiężne uchwyty – być może ze sta-rej apteki lub biblio-teki. Nacię-cia i wyszczer-bie-nia nadają mu cha-rak-teru, a czarny mar-mu-rowy blat ze zło-tymi żył-kami dodaje szyku. Piec jest masywny i nowo-cze-sny w swo-ich funk-cjach, ma czarne wykoń-cze-nie, este-tyką przy-po-mi-na-jące stare żeliwo. Górne szafki są z bej-co-wa-nego drewna i pasują do wykoń-cze-nia wyspy, a dolne zostały poma-lo-wane na błysz-czącą czerń. Otwarte półki eks-po-nują zioła i przy-prawy w jed-no-li-tych szkla-nych sło-ikach z nalep-kami.

Docho-dzę do zamknię-tych drzwi i prze-krę-cam gałkę. Po męskim zapa-chu roz-po-znaję, że pokój należy do Witte'a. Zamy-kam go, nie wcho-dząc. Przy-stojny major-do-mus o bystrym, oce-nia-ją-cym spoj-rze-niu nie jest kimś, kto mnie w tej chwili inte-re-suje. Mimo to decy-zja, którą obaj pod-ję-li-ście, aby umie-ścić go w apar-ta-men-cie, a nie na niż-szych pię-trach dla per-so-nelu, jest intry-gu-jąca.

Następny jest pokój gościnny. Paletą głę-bo-kiej zie-leni i złota łączy się z wido-kiem Cen-tral Parku za oknami. Kolejny pokój gościnny pyszni się odcie-niami ame-ty-stu i lawendy, a mgli-ste myśli z tyłu głowy nabie-rają kształtu, dopiero gdy widzę te pomiesz-cze-nia jedno po dru-gim. Oba są zdu-mie-wa-jąco podobne do pokoi gościn-nych Lily w domu na plaży w Con-nec-ti-cut i jej miesz-ka-nia w West Vil-lage. Tej inspi-ra-cji nie można nie zauwa-żyć. Czy twoja pamięć jest tak żywa? A może są to moje sny?

Gdzie jesteś ty w tym luk-su-so-wym domu? Nie widzę ani śladu cie-bie.

Kiedy zauwa-żam twoją wysoką postać prze-cho-dzącą kory-tarzami, jest tak, jakby same ściany się od cie-bie odsu-wały, zatrwo-żone nie-spo-kojną ener-gią, która się za tobą kłębi. Czy mój umysł cię wyma-zał? Czy to tylko moja obse-sja, która wyobraża sobie, że dostrze-gam prze-bły-ski cie-bie, gęsty słup dymu, który szybko się roz-pra-sza?

Czy to miłość wro-śnięta jak cier-ni-sty korzeń w moją duszę wycza-ro-wuje cię w tym fan-ta-stycz-nym ist-nie-niu, które pró-buję poznać?

Po otwar-ciu następ-nych drzwi odsła-nia się przede mną pokój prze-siąk-nięty zapa-chem farby. Już od progu zauwa-żam plan-deki i dra-biny, wia-dra i wałki. Osłe-pia-jąco białe ściany po poma-lo-wa-niu będą sza-fi-rowe. Nie-kom-pletny stan tego pomiesz-cze-nia dez-orien-tuje mnie. Po co mia-ła-bym two-rzyć nie-do-koń-czoną prze-strzeń, skoro to wszystko

jest wytwo-rem fan-ta-zji? Co zamie-rzam z tym zro-bić?

Mijam domową siłow-nię, nie zatrzy-mu-jąc się, ale kiedy wcho-dzę do two-jego gabi-netu, czuję, że w końcu cię zna-la-złam. Jest tu kolor i życie. Opa-lane drewno biurka wpro-wa-dza mrocz-ność reszty pen-tho-use'u, ale to jedyny ele-ment, który mógłby wto-pić się gdzie indziej. Krze-sła są obite skórą w cie-płym odcie-niu koniaku, a rdzawy aksa-mit pokrywa sofę na smu-kłych mosięż-nych nóż-kach. Uśmie-cham się, gdy widzę minia-tu-rową obręcz do koszy-kówki wiszącą nad koszem na śmieci.

Okrą-ża-jąc twoje biurko, zauwa-żam, że na okrą-głych lakie-ro-wa-nych uchwy-tach są wzory lilii. W rogu stoi jej opra-wione zdję-cie. Jest to zbli-że-nie, na któ-rym wiatr zawiewa jej włosy na twarz, widać śmie-jące się oczy i usta w sze-ro-kim uśmie-chu. Nawet tutaj cię prze-śla-duje.

Czuję na karku chłód jej odde-chu, ale nie mam odwagi się odwró-cić.

Być może nie jestem sama w tej klatce.

Może klatka należy do niej, a ty jesteś w niej uwię-ziony. Ze mną.



## ALIYAH

Znad brzegu kie-liszka mar-tini ukrad-kiem przy-glą-dam się mojemu śred-niemu synowi i jego żonie.

Jest tu poufa-łość, która mnie nie-po-koi. Darius i Amy zwy-kle sie-dzą bli-sko sie-bie, ale zacho-wują zimną rezerwę. Dziś on przy-siadł na pod-ło-kiet-niku obok niej, z bio-drem opar-tym o jej ramię.

Ramiona ma skrzy-żo-wane, a jego przy-stojne rysy wyra-żają znu-dze-nie. Ona wygląda na raczej trzeźwą, cho-ciaż też pije mar-tini. Ma na sobie obci-słą gra-na-tową sukienkę bez ręka-wów, przy-zwo-itej dłu-go-ści do kolan, która jest inte-re-su-jąca dzięki pomy-słowo skrę-co-nym ramięcz-kom. Ciem-niej-szy kolor pasuje do niej bar-dziej niż neu-tralna paleta, którą sko-pio-wała ode mnie. Jej dłu-gie włosy są uło-żone w luźne fale i opa-dają na jedno ramię.

Wię-k-szość ludzi pomy-śla-łaby, że ma klasę, ale ja wiem swoje. Szczur kana-li-za-cyjny w szpil-kach Loubo-utina to na-dal szczur kana-li-za-cyjny.

Ramin sie-dzi na dru-gim końcu sofy i prze-gląda tele-fon. Jego włosy są za dłu-gie, ale nie wygłą-dają nie-atrak-cyj-nie, ciemne pukle wpa-dają mu do oczu, więc cią-gle je odsuwa. W prze-ci-wień-stwie do Dariusa, który ma na sobie ład-nie skro-jony jasno-szary gar-ni-tur, Ramin poja-wił się w ciem-nych dżin-sach i koszulce hen-ley z kamu-fla-żo-wym wzor-em.

Rosana, moja naj-młod-sza, jest ubrana w kom-bi-ne-zon bez ramięcz-ek, który eks-po-nuje jej pełne wdzięku ramiona i kształtne nogi. To jeden z nowych kap-su-ło-wych stro-jów, które zapro-jek-to-wa-li-śmy we współ-pracy z naj-więk-szym na świe-cie inter-ne-to-wym sprze-dawcą. Błysz-cząca, cie-li-sta kolo-ry-styka wyprze-dała się w ciągu kilku minut. Rosana dobrała do tego spor-towe buty, które nie zostały jesz-cze wypusz-czone na rynek. Jej zdję-cia w tej sty-li-za-cji zwięk-szą liczbę zamó-wień w przed-sprze-daży.

Nauczy-łam ją, żeby nie mar-no-wała oka-zji. Wpływ influ-en-ce-rów wzra-sta, a potem słab-nie. Mam nadzieję, że dzięki współ-pracy takiej jak z ECRA+, któ-rej pro-duk-tów rów-nież teraz ofi-cjal-nie używa, oraz modzie, uda jej się utrzy-mać obecny styl życia. Ni-gdy nie będzie zmu-szona pole-gać na żad-nym męż-czyź-nie.

– Gdzie on, kurwa, jest? – pyta Ramin. – Nie mam całego dnia, żeby tu sie-dzieć.

– Nie musisz nam przy-po-mi-nać, że wolał-byś opier-ni-czać się gdzie indziej. Wiemy to. – Darius wstaje i wyciąga rękę po pusty już kie-li-szek Amy, mil-cząco ofe-ru-jąc, że go ponow-nie napełni. Mój współ-uza-leż-niony syn ma nadzieję, że w ten spo-sób ura-tuje ich mał-żeń-stwo.

– Pier-dol się, bra-cie.

Jestem tak samo znie-cier-pli-wiona jak Ramin. Pen-tho-use jest teraz jakiś inny. Cho-ciaż wygląda dokład-nie tak samo, szklane ściany powstrzy-mują sza-loną, na gra-nicy cre-scendo, ener-gię ocze-ki-wania. Wszy-scy czu-jemy, jak prze-biega nam po ple-cach, a napię-cie jest nie do wytrzy-mania. Czy to ener-gia Kane’a, uwię-zio-nego tutaj przez wła-sny wybór, by pozo-stać w domu? Czy jej?

Lily. Jej obec-ność, nawet nie-wi-doczna, mar-twi mnie.

W ciągu ostat-niego mie-siaca roz-ma-wia-łam ze swoim naj-star-szym tylko na wide-okon-fe-ren-cjach. Moje obawy, że cokol-wiek – lub kto-kol-wiek – może być cen-niej-sze

dla mojego syna niż Baha-ran, wydają się bez-pod-stawne. Nie popeł-nił w pracy ani jed-nego błędu. Nie-pewny stan zdro-wia żony nie wpły-nął na jego ambi-cje. Mimo to jego wyco-fa-nie się do pen-tho-use'u jest nie-po-ko-jące. Pra-cow-nicy osią-gają lep-sze wyniki, gdy kar-mią się jego ener-gią.

Kostki lodu grze-cho-czą w sha-ke-rze, gdy Kane wcho-dzi do biblio-teki ubrany w gra-fi-to-wo-szary gar-ni-tur, białą koszulę i srebrny kra-wat. Jego postawa jest dosko-nała, krok wład-czy. Natych-miast prze-jmuje kon-trolę nad poko-jem, a te ciemne oczy – oczy Paula – są nie-prze-nik-nione.

Kane jest twar-dym czło-wie-kiem, pozba-wio-nym emo-cji i zdy-stan-so-wa-nym. Jego przy-stojna twarz sku-pia naj-lep-sze rysy moje i jego ojca bez żad-nej z naszych wad. To połą-cze-nie olśnie-wa-ją-cej fizycz-no-ści i rezerwy zawsze dobrze nam słu-żyło. Jeśli czuję ukłu-cie żalu, że przy-czy-ni-łam się do jego bru-tal-nej obo-jęt-no-ści, to tylko przez chwilę. Baha-ran nie byłaby tym, czym ma wkrótce być, bez jego bez-dusz-nej kal-ku-la-cji.

Witte dołą-cza do nas, idąc za moim synem jak cień.

Major-do-mus jest wysoki i dobrze zbu-do-wany pod uni-for-mem skła-da-ją-cym się z bia-łej koszuli, czar-nej kami-zelki i czar-nych spodni. Jego śnież-no-białe włosy są gęste, z wysoko wygo-lo-nymi bokami i zacze-sa-nym do tyłu obfi-tym czu-bem, który pod-kre-śla jego wzrost. Broda ma wię-cej pie-przu niż soli i jest dosko-nale utrzy-mana. Nie-omal widać oznaki napi-na-nia mię-śni, gdy się poru-sza, kusząc kobietę, by wyobra-ziła sobie spraw-ność ciała pod pro-wo-ka-cyj-nie sto-sow-nymi ubra-niami. Jest nie-zwy-kle atrak-cyjny i bar-dzo sek-sowny.

Wszedł jed-nak do pokoju bez wózka z napo-jami i nie stara się nikogo obsłu-żyć, więc Kane popro-sił go, by pozo-sta-wał tu wyłącz-nie jako jego pod-pora. Myśl, że potrze-buje wspar-cia słu-żą-cego prze-ciwno wła-snej rodzi-nie dopro-wa-dza mnie do szału.

– Przy-kro mi, że musie-li-ście cze-kać – mówi Kane bez cie-nia skru-chy, sia-da-jąc w nabi-ja-nym ćwie-kami skó-rza-nym uszaku i z umyślną swo-bodą zwraca się do reszty z nas.

– Nie, nie jest ci przy-kro – cedzi Ramin, nie racząc nawet pod-nieść wzroku znad ekranu.  
– Ale skoro już tu jesteś, przejdźmy do rze-czy. Co to za pilna sprawa rodzinna?

– Nie ma w tym nic pil-nego. Znamy już sytu-ację mojej żony i teraz łatwiej jest wyja-śnić ją raz, wam wszyst-kim, zamiast roz-ma-wiać z każ-dym z osobna.

– Zasad-ni-czo tak jest wygod-niej dla cie-bie. Kogo obcho-dzi, co reszta z nas sobie zapla-no-wała? – Ramin odkłada tele-fon i pochyła się do przodu, opie-ra-jąc łok-cie na kola-nach, nagle sku-piony i poważny.

Może narze-kać na zwią-zaną z tym fatygę, ale jeśli cho-dzi o rodzinę, Ramin jest pierw-szą osobą, która poja-wi-laby się z łopatą, by zako-pać ciała. Ta lojal-ność to praw-dziwa zasługa spo-sobu, w jaki go wycho-wa-łam.

– Wiesz, że wszy-sczy cię wspie-ramy – mówi bez-myśl-nie Amy.

– Cóż za uro-cze przy-po-mnie-nie, Amy – mówię jej łagod-nym, słod-kim tonem.  
– Nawet jeśli jest zupeł-nie nie-po-trzebne. – Uśmie-cham się sze-rzej, gdy rzuca mi mor-der-cze spoj-rze-nie.

– Poznamy naszą nową szwa-gierkę, czy nie? – dopy-tuje się Ramin. – A może to jest była szwa-gierka? Czy została uznana za zmarłą? Albo roz-wie-dzioną zaocz-nie?

– Koń-czy spo-tka-nie z gościem, ale wkrótce do nas dołą-czy – odpo-wiada Kane.  
– I nie, nie jest nowa, zmarła ani roz-wie-dziona. Jestem żonaty od sze-ściu lat.

– Kto ją odwie-dził? – pytam ostro.

Nagra-nie z ulicz-nej kamery uka-zu-jące potra-ce-nie Lily poja-wi-ło się w lokal-nych kana-łach infor-ma-cyj-nych w tydzień po wypadku, a poli-cja popro-siła o wska-zówki dla ziden-ty-fi-ko-wa-nia kie-rowcy i pojazdu, który miał tablice zare-je-stro-wane na inną markę



i model samo-chodu. Na szczę-ście nie ujaw-niono nazwi-ska Lily. Nie-zwy-kle ważne jest, aby-śmy trzy-mali ją w tajem-nicy, dopóki nie dowiemy się wystar-cza-jąco dużo, aby zaże-gnać wszel-kie ewen-tualne nie-bez-pieczne rewe-la-cje. Pró-bo-wa-łam prze-dys-ku-to-wać z Kane'em potrzebę zacho-wa-nia dys-kre-cji, ale trudno było spo-tkać się z nim na osob-no-ści, a kiedy już mi się to udało, zbył mnie nie-uprzej-mie.

Ziry-to-wa-nym mach-nię-ciem dłoni uspo-kaja moje obawy.

– Ktoś, kto pobie-gnie po rze-czy, któ-rych potrze-buje.

– Dla-czego Witte nie może tego zro-bić?

– Może zоста-wisz mi pro-wa-dze-nie wła-snego domu? – odpa-ro-wuje.

Mój puls przy-spie-sza. Spo-sób, w jaki jej strzeże, nie rokuje, że uda się prze-mó-wić mu do roz-sądku. Jeśli jest prze-ko-nany, że jest waż-niej-sza od Baha-ran i jego rodziny, będę musiała zmie-nić jego spo-sób myśle-nia.

– Czy mogę zapy-tać, gdzie Lily była przez cały ten czas?

Dariusz wraca na swoje miej-sce przy Amy, two-rząc z żoną wspólne front.

Kane nie-dbale wzru-sza ramio-nami, jakby to nie miało wiel-kiego zna-cze-nia.

– Nie wiemy.

– Jak to nie wiesz? – pytam. – Nie powie ci?

– Zdia-gno-zo-wano u niej amne-zję dyso-cja-cyjną.

– Co zna-czy „dyso-cja-cyjny”? – Rosana pod-ciąga nogi na kanapę i przy-ci-ska kolana do piersi.

Kane bawi się swoją obrączką, obra-ca-jąc ją wokół palca. Takie ner-wowe ruchy są do niego nie-po-dobne. Dawno temu tak, ale nie od czasu, kiedy znów jeste-śmy razem.

– Uważa się, że kiedy jej nie było, nie pamię-tała swo-jego wcze-śniej-szego życia. Teraz wie, kim jest i odzy-skała więk-szość wspo-mnień, ale żyła jako ktoś inny i nie pamięta tam-tego okresu.

Ramin pro-stuje się.

– Zatem ma uszko-dzony mózg.

Kane rzuca bratu ostre, prze-szy-wa-jące spoj-rze-nie.

– Jesteś elo-kwentny, jak zwy-kle, Ramin. Oma-wiamy stan psy-chiczny, który wpływa na pamięć auto-bio-gra-ficzną osoby, zwy-kle wywo-łany traumą.

– Cóż, to wyja-śnie-nie wyszło pro-sto z ust leka-rza – mówi Ramin, prze-cią-ga-jąc słowa. – Czyli że jej mózg jest w porządku, po pro-stu jest sza-lona. Rozu-miem.

– Ramin. – W moim tonie sły-chać ostrze-że-nie.

– Co?

Rosana marsz-czy brwi.

– Nie jestem pewna, czy rozu-miem. Lily stało się coś, co było tak okropne, że jej umysł kazał jej zapo-mnieć o tobie i waszym wspól-nym życiu...? Dla-czego myśla-łeś, że nie żyje, skoro nie było ciała?

Twarz Kane'a przy-biera wście-kły wyraz.

– Wybacz – mówi szybko Rosana. – Nie chcia-łam, żeby to zabrzmiało w ten spo-sób.

Poświęca chwilę, by opa-no-wać gniew, zanim zwróci się do sio-stry.

– W porządku, Rosie. Lily wypły-nęła swoją żagłówką i nie wró-ciła. Dzień zaczął się pięk-nie, ale na połu-dnie zapo-wia-dano deszcz i tak też się stało. Straż przy-brzeżna roz-po-częła wyczer-pu-jące poszu-ki-wa-nia, które trwały kilka dni i w końcu zna-leźli szczątki łodzi, ale to wszystko. Po dłu-giej ana-li-zie ofi-cjal-nie uznano, że uto-nęła w morzu.

– Łał. Utknię-cie na oce-nanie pod-czas sztormu... – Rosana wzdryga się. – Prze-ra-ża-jące. Czy ona to pamięta?

– Jej ostatnie wspomnienie, zanim odyszała przytomność kilka tygodni temu, dotyczyło tego, co wydarzyło się kilkanaście dni przed jej zaginięciem. – Milknie na chwilę. – Kiedy jeszcze się spotykaliśmy.

Amy pochyla się do przodu.

– Nie pamięta, że za ciebie wyszła? Nie wie, że jest twoją żoną?

– Teraz wie, ale nie pamięta szczerze-gółów.

– Łał – powtarza Rosana. – Jak bardzo szalone jest to wszystko?

– To jakiś obłąd. – Ramin rzuca się z powrotem na czarną skórzaną sofę i opiera stopę na kolanie drugiej nogi. – To jedna z najbardziej szalonych rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Porządkuję w myślach przebieg wydarzeń, który nam przedstawił.

– Zniknęła kilka dni po waszym ślubie?

– Tak. – Z każdym wypowiedzianym słowem staje się twardszy i bardziej nie-do-stępny.

– Dla czego z nią nie byłeś? – pyta Amy.

– Przez cały dzień miałem zajęcie, potem ćwiczyłem. Nie było w tym nic niezwykłego, że sama wypłynęła łodzią. Często żeglowała.

– Och, serce mi pęka! – mówi z płaczem Rosana. – Dopiero co się pobraliście. Musieliście być tacy szczęśliwi, a potem ona zniknęła. To takie smutne, Kane. Tak mi przykro, że przez to przeszedłeś! Że oboje przez to przeszliście.

– Dziękuję – odpowiada cicho. – Mnie też jest przykro.

Onie-miałam, zaszkodziła, że nam obojgu przydarzyło się coś tak dzwaczego – zaginiony małżonek.

– Możliwe, że terapia może pomóc w dostępie do jej wspomnień lub mogą one naturalnie powrócić z czasem... – podejmuje Kane. – Ale ograniczenie wszelkiego stresu lub napięcia będzie kluczowe dla jej uzdrowienia. Proszę was, żebyście zminimalizowali wszelkie tarcia, dopóki ona nie dojdzie do siebie.

– I dla tego nas tu wszystkich wezwalesz? – Dariusz mruga, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Martwisz się o jej ochronę? A co z ochroną rodziny? A przy najmniej Baharan?

– Z ust mi to wyjąłeś – mówi Ramin, kiwnąwszy głową. – Masz intercyzę? Jeśli nie, musimy przedyskutować umowę poślubną.

– Prześtańcie. Wszyscy. – Jestem kłębkiem nerwów, a atmosfera tego pen-thouse'u jeszcze to podsyca. – Powiedziałeś, że Lily dużo żeglowała... Czy była właścicielką łodzi?

Jego wzrok jest skupiony na mojej twarzy.

– Tak, należała do niej.

– Nie żeby jedno miało coś wspólnego z drugim, ale... czy była bogata?

Cisza zapada tak zupełna, że biblioteka staje się niczym grobowiec. Budynek trzeszczy, chwytając się na wieź. Nauczyłam się ignorować ten dźwięk, ale w jakiś sposób dziś jest boleśnie drażniący.

Jego odpowiedź jest szorstka.

– Niezwykłe. Czy nikt z was się nie zastanawiał, jak Baharan stała się tym, czym jest dzisiaj?

Poza Kane'em wszyscy w pokoju zeszywnieli. Amy jako pierwsza dochodzi do siebie, przechylając kieliszek, by wypić ostatni łyk drinka.

– O, łał! – wzdycha Rosana.

– Mamy inwe-sto-rów – argu-men-tuję, jakby cokol-wiek, co powiem, mogło zmie-nić fakty. – Ja też zain-we-sto-wa-łam. Ryan mówił, że dba-łeś o kon-takty biz-ne-sowe przez cały czas stu-diów...

Ale ni-gdy nie pyta-łam. Nie obcho-dziło mnie, skąd ma pie-nią-dze. Chcia-łam tylko odzy-skać Baha-ran. Chcia-łam jak naj-wię-cej z tego, co Paul mi zabrał. Sprze-da-łam za to swoją duszę.

Kane kręci głową.

– Lily jest fun-da-men-tem Baha-ran.

A Kane posiada pięć-dzie-siąt jeden pro-cent udzia-łów, co ozna-cza, że Lily, jako jego żona, trzyma ręce mocno na gar-dle firmy.

Mam wra-że-nie, że pod-łoga się prze-chyla. Chwy-tam się porę-czy fotela. Nikt inny nie poświę-cił dla firmy tyle, co ja i nikt ni-gdy tego nie robi. Nie mają tego w sobie. Nie zasłu-gują na nią.

– To się staje coraz lep-sze – mru-czy Ramin.

Kane odwraca się do niego.

– Odpo-wia-da-jąc na twoje pyta-nia, Ramin: nie, nie ma umów mię-dzy mną a Lily i ni-gdy nie będzie. Wła-czyła mnie jako mene-dżera do swo-jej LLC, która posia-dała jej aktywa, a LLC jest akcjo-na-riu-szem Baha-ran. Firma ist-nieje dzięki niej, Lily ma prawo do swo-jego udziału.

Ramin się śmieje.

– Czy po tak dłu-gim cza-sie ona w ogóle chce być twoją żoną? Może po pro-stu chce odzy-skać swoje pie-nią-dze, a nie cie-bie?

Rosana gwał-tow-nie potrząsa głową.

– Cza-sami naprawdę kutas z cie-bie, wiesz?

– Tak, w rze-czy samej, wiem.

Żołą-dek tak mnie boli, że oba-wiam się, że pałacy gin i wermut podejną mi do gar-dła. Lily wycią-gnęła rękę z wod-nego grobu, aby prze-jąć zarówno mojego syna, jak i dzieło mojego życia. Nie mogę go mieć. Nie będę miała.

– Prze-pra-szam za spóź-nie-nie.

Wszy-scy jeste-śmy zasko-czeni dźwię-kiem nie-zna-nego i zadzi-wia-jąco wyso-kiego głosu. Jest chro-pawy, nie-wąt-pli-wie sek-sowny i nie-po-ko-jąco dziew-częcy.

Kane natych-miast pod-rywa się na nogi. Darius i Ramin idą w jego ślady spóź-nieni z powodu zasko-cze-nia. Witte, już sto-jący, tylko odwraca głowę.

Mój naj-star-szy patrzy na swoją żonę z tak gwał-towną żądzą, że boję się o niego. I o nas wszyst-kich. Jest nią urze-czony. Jego rodzeń-stwo zamarło ze zdu-mie-nia. Amy wyli-zuje wnę-trze swo-jego kie-liszka.

Mój wzrok powraca do gib-kiej postaci wcho-dzą-cej do pokoju, pod-no-sząc się od krwi-sto-czer-wo-nych paznokci u stóp do gład-kiego hełmu lśni-ących czar-nych włó-sów. Ręce i ramiona ma nagie, jej skóra jest jak nie-ska-zi-telny biały mar-mur. Żaden pieg ani zmarszczka nie psują tego dosko-na-łego ciała.

Jej wysoka, smu-kła syl-wetka jest okryta czar-nym welu-rem, jedwa-biem i koronką. A ona roz-kwita niczym swoja imien-niczka pod żarem inten-syw-nego spoj-rze-nia mojego syna.

Napię-cie z całego pen-tho-use’u kon-den-suje się w biblio-tece. Się-gam do gar-dła i masuję je pal-cami, by zła-go-dzić ucisk.

Lily nie jest tym, czego się spo-dzie-wa-łam, zwłasz-cza jeśli wziąć pod uwagę, jak czę-sto patrzy-łam na jej por-tret. Zwłasz-cza zna-jąc mojego syna tak, jak ja go znam. Teraz jest

inny, ale kie-dyś był taki jak ojciec. I podob-nie jak Paula, Kane'a pocią-ga-łyby kobieta pełna cie-pła i czu-ło-ści. Nie jestem już tą kobietą.

Lily też nie jest.

## LILY

Mężczyzna, którego kiedyś spotkałam na plaży w Greenwich, i mężczyzna, którym jesteś teraz, nie jest taki sam. Było to oczywiście w chwili, gdy obu dziłam się w szpitalu. Zmieniłeś się całokształtem. Stałeś się potężny. Emanujesz autoritetem. Przed nikim nie odpowiadasz. Twój dom wznosi się ponad resztą ludzkiej populacji, wieńcząc wieżowiec, który jest najwyższym budynkiem mieszkalnym na ziemi.

Jesteś centrum swojego świata.

Wchodzę do pokoju swojego, jakbym nie podслуchiwała od czasu, gdy zacząłeś to rodzinne spotkanie.

W boczne ściany biblioteki wbudowane są czarne półki wypełnione kolorowymi woluminami. Na przeciwnych ścianach znajdują się masywne okna, jedno z widokiem na Central Park, a drugie na iglicę Empire State Building. Gdy do ciebie podchodzę, widzę kominek obrażony mar-muram Calacatta, a na nim dużą fotografię blondynki, smukłej kobiety. Niezwykły tatuaż zaczyna się na jej biodrze i sięga na ramię, feniks powstający z płomieni. Są tu też czarne lilie, które pięknie komponują się z błyszczącymi regałami na książki.

To zdumiewające, co osiągnąłeś w tak krótkim czasie, nie żebym się tego po tobie nie spodziewała. Miałaś płomienną ambiencję, nieustępliwe dążenie po więcej. Zawsze wiedziałam, że potrafiś twożać imperium. Sięgnąłeś nawet poza tę wizję, budując rezydencję nad chmurami.

Wygląda na to, że oboje mieliśmy powstać z popiołów Lily.

Stoisz nie-ruchomy i tajemniczo piękny, jak posąg wyrzeźbiony przez zauroniego artystę. Przechodzi mnie dreszcz, gdy to do mnie dociera. Jesteś jednym z tych mężczyzn, którzy ze wszystkich porów emanują seksem i dziękuję. Twój zwierzęcy magnetyzm jest mroczny, głodny i zbyt męski, by kiedykolwiek go okiełznać. Twoje spojrzenie jest pełne żaru. Przesuwa się po mnie, dotykając mnie wszędzie.

Pożądanie między nami przesadza się w piekącą świadomość jak smagnięcie biczem.

Nie-nawidzę żyć tak jak dotychczas, gdy rozmawiamy ze sobą przez Witte'a. Jesteś nieznajomym, który mnie unika, a bez ciebie czuję się zagubioną.

Twoja rodzina milczy, gdy zbliżam się do ciebie. Stojąc z dala od innych, przypominasz lwa na arenie gladiatorów, który mierzy się ze zjednoczonymi przeciwnikami. Witte służy jako arbiter, a Rosana jako widz. Przeszłam, aby stanąć u twego boku.

Kto stworzył mit, że rodzina to ci, którzy będą cię kochać i chronić za wszelką cenę? Dla czego każe się nam wybierać toksyczne zachowania tylko ze względu na geny? W każdym razie tej ani żadnej innej bitwy nie musisz już toczyć samotnie.

I na milion sposobów jestem bardziej niebezpieczna niż ty.

Nie wiem jak ani dla czego znalazłeś się z powrotem w tym gnieździe żmij, ale będą musiały porazić siebie ze mną, chcąc zatopić żęby w tobie.

Kładę dłoń na twoim sercu, unoszę głowę i podaję ci usta.

Twoja lewa ręka chwytam zaborczo za biodro; prawą obejmujesz mój

pod-bró-dek, opusz-kami pal-ców doty-ka-jąc karku. Deli-kat-nie naci-skasz, by prze-chy-lić moją głowę tam, gdzie chcesz, a potem się zatrzy-mu-jesz, pro-wo-ka-cyj-nie prze-su-wa-jąc wzrok po mojej twa-rzy. Brak mi tchu. Naj-droż-sze marze-nie, by zna-leźć się w two-ich ramio-nach, gdy patrzysz na mnie w ten spo-sób, wła-śnie się speł-nia.

– Jak zawsze – szep-czesz niskim, zdu-szo-nym gło-sem – warto było na cie-bie cze-kać.

Twój zapach ude-rza mi do głowy, podob-nie jak twoje słowa, burząc krew i na nowo łamiąc serce. Pie-ścisz kciu-kiem mój pod-bró-dek, a potem bez pośpie-chu przy-bli-żasz usta, jak-byś roz-ko-szo-wał się każ-dym poca-łun-kiem po tak dłu-giej roz-łące.

To dosko-nałe przed-sta-wie-nie, ude-rza-jące we wszystkie wła-ściwe nuty. Bli-skość. Miłość. Namięt-ność. Nasi widzo-wie pomy-ślą, że mamy szczę-ście i cie-szymy się, mogąc znów być razem. Jesteś tak uta-len-to-wa-nym akto-rem. Muszę sobie przy-po-mi-nać, że wszystko to fałsz.

Twoje usta muskają moje. Nie-win-ność ostro kon-tra-stuje z ero-tycz-nym pra-gnie-niem ema-nu-ją-cym z two-jego potęż-nego ciała, ata-ku-jąc moje zmy-sły jak fala sztor-mowa ude-rza-jąca o brzeg. Zaczy-nasz się odsu-wać, a we mnie wybu-cha wście-kłość, bo to nie wystar-czy. Pożą-da-nie mnie dobija. A rola, którą odgry-wasz przed swoją rodziną, spra-wia, że pra-gnę cię jesz-cze bar-dziej.

Muszę cię posma-ko-wać i prze-su-wam języ-kiem po two-jej peł-nej dol-nej war-dze. Twoje serce gwał-tow-nie ska-cze pod moją dło-nią. To sil-nik, który napę-dza per-fek-cyjną maszynę two-jego ciała, a ja mogę spra-wić, że będzie pra-co-wać na naj-wyż-szych obro-tach. Nie mam nic prze-ciwko temu, by brać to, co mogę dostać. Czyż nie dla-tego tu jestem?

Chwieję się, gdy zwra-cam twarz w stronę pokoju. Jestem roz-pa-lona.

Kła-dziesz rękę na moich ramio-nach, dłoń opie-ra-jąc na oboj-czyku. Pal-cami lekko obej-mu-jesz moje gar-dło, a kciu-kiem w górę i w dół gła-dzisz kark. Ta piesz-czota pozba-wia mnie pozo-rów opa-no-wa-nia. Czuję się naga i bez-bronna. Mój puls drga pod two-imi pal-cami, zdra-dza-jąc mnie.

Będę musiała stać się sil-niej-sza, jeśli mam utrzy-mać tę farsę na dłu-żej. Z dru-giej strony, może po pro-stu cze-kasz, aż wyzdro-wieję, a potem to zakoń-czymy.

Minęły zale-d-wie sekundy, odkąd weszłam i się obję-li-śmy, ale jestem mocno odmie-niona.

– Witam wszyst-kich. Jestem Lily.

Witte, poważny i czujny, wysuwa dla mnie krze-sło.

– Nie zostanę, Witte. – Łago-dzę odmowę szyb-kim uśmie-chem.

Lubię go. Jego mode-lowy dobry wygląd wpro-wa-dza w błąd; wyraż-nie jest w nim dużo głębi. Ma oczy poli-cjanta, bystre i czujne. I wiele mówi fakt, że taki czło-wiek jak on zde-cy-do-wał się zbu-do-wać swoje życie wokół two-jego.

Doko-nu-jesz szyb-kiej pre-zen-ta-cji, dając mi czas na przyj-rze-nie się wszyst-kim klu-czo-wym gra-czom. Rosana sie-dzi sku-lona na jed-nym końcu czar-nej skó-rza-nej sofy i przy-głąda mi się sze-roko otwar-tymi nie-bie-skimi oczami. Jest uro-cza i cie-kawa mnie w pro-sto-li-nijny spo-sób osoby, która doświad-czyła zbyt mało bólu serca. Amy sie-dzi na prze-ciw-le-głej kana-pie, jej skrzy-żo-wana noga koły-sze się w ner-wo-wym ryt-mie. Na chwilę zatrzy-muję na niej uwagę. Poru-sza się nie-spo-koj-nie, nie mogąc wytrzy-mać mojego wzroku. Spo-głąda na męża, a potem na Aliyah. Jej spoj-rze-nie prze-śli-zguje się po tobie, ale w tej krót-kiej sekun-dzie widzę jej myśli; pra-gnie cię tak samo jak ja.

Twoi bra-cia wstali, tak podobni do sie-bie, a tak różni od cie-bie. Darius w swoim sza-rzym gar-ni-tu-rze jest ponury – nie-mal wyzy-wa-jący. Ramin uśmie-cha się zło-śli-wie i widać w nim zaro-zu-mia-łość. Obaj są mroc-z-nie przy-stojni, ale blakną przy tobie, male-jąc

przez twoją obecność.

Rosana wita mnie, obejmując niepewnie. Jej uśmiech jest jednak serdeczny. Dariusz i Amy oceniają mnie wzrokiem, gdy wymieniamy zwyciężyły, mocny uścisk ręki. Przyciągam Amy do siebie, zamykając ją w ciepłych objęciach. Głaszczę ją uspokajająco po plecach, nasze złęczone dłonie są uwięzione między nami. Rozumiem jej udrękę i współczuję. Na początku jest sztywna, a potem przytula mnie z gwałtownością istoty, która desperacko szuka pocieszenia i czułości.

Zanim ją puszczę, szepczę jej do ucha:

– Frank mówi, że często mnie odwiedzałaś. Chciałabym, żeby weszło nam to w nawyk.

Twarz Amy pokrywa rumieniec, gdy odwracam się do Ramina. Jego uścisk ręki jest uduchowaniem, kciukiem głędzi grzbiet mojej dłoni, opuszkami palców pieści jej wnętrze, kiedy się odsuwam. To łobuz, nieustannie testujący granice, aby zobaczyć, na ile są nieprzekraczalne. Najmłodszy syn, który nie może znaleźć własnego miejsca, zdominowany przez starsze rodzeństwo i zaniechany w porównaniu ze swoją młodszą siostrą.

– Lily.

Twoja matka w końcu wstaje, więc skupiam się na niej. Ma na sobie kremowe spodnie i swe-ter w tym samym odcieniu, o luźnym kroju, który odsłania jedno ramię. Jej włosy są koloru pszenicy, ale brwi i tęczówki ciemne, a spojrzenie wychochlane.

– Masz za sobą ciężkie przeżycia. Usiądź, proszę.

Mowy nie ma, żebym została. Przyciągnięcie mojej obecności byłoby znacznie mniej skuteczne niż pozostawienie wrażeń.

Z cichym mrukiem, przecząco kręcąc głową. Słyszała, jak wcześniej odmawiam przyjeżdżającą siostrę, ale nie mogła się powstrzymać przed próbą zdołania przezwagi, zapraszając mnie, żebym rozgościła się we własnym domu, jakby to ona była tutaj panią, a nie twoja żona. Lily, której portret wisi na twojej ścianie, byłaby uroczą i miłą. Miałyby przygotowane lekkie przekąski, cichą, dyskretną muzykę w tle oraz drobne upominki dla wszystkich.

Nie jestem jednak twoją pierwszą żoną, a to życie jak marzenie wygląda na bliższe koszmaru.

– To nie jest dobry pomysł, żeby się wtrącać, gdy ludzie rozmawiają o tobie – odpowiadam, wytrzymując jej wzrok. – Takie postępowanie prowadzi do barzdzonych sytuacji.

– Już się wtrąciłaś – zauważa uprzejmie.

– Zainteresowałam – prostuję z szerokim uśmiechem. Słowa to broń; ważne, by zawsze użyć dokładnie tego własnego. – A teraz, kiedy już wszystkich poznałam, przeproszę was i pójdę położyć się na chwilę przed kolacją.

Zacieśniasz uścisk na moim gardle i delikatnie, zimne dreszczem przebiegają moje ciało. Brodawki mi twardnieją, a twój wzrok opada i głos obniża się o oktawę.

– Czy stylizacja wyszła?

– Tak, ale za parę godzin wróci z naręczami toreb. – Patrzę na ciebie i ociam się przez chwilę, chcąc, żebyś znów mnie pocałował.

– Stylizacja? – pyta ostro Aliyah.

Mój uśmiech powraca, gdy zauważam jej spojrzenie zza zmrużonych powiek. Martwi się, że wydam swoje pięniądze; nie może się powstrzymać.

– Kane zatrzymał moje rzeczy. Wszystkie. Nie w przechodni, ale powieści

w gar-de-ro-bie i scho-wał do szu-flad. To takie roman-tyczne, a jed-no-cze-śnie spra-wia, że serce mi się kraje. Mimo to, potrze-bo-wa-łam kilku rze-czy.

Chwy-tasz pal-cami mój pod-bró-dek, by głowę odwró-cić z powro-tem do sie-bie, twoje usta doma-gają się moich, zanim zdaję sobie sprawę, co zamie-rzasz. Nie obcho-dzi mnie, czy to dla naszych widzów, czy dla mnie. Tym razem jest nacisk, cie-pło i deli-katna piesz-czota języka w roz-chy-le-niu moich warg. Moja dusza wzdy-cha z rado-ści, że jest zjed-no-czona ze swoją drugą połową.

– Jeśli chcesz, możesz do mnie dołą-czyć – szep-czę, kiedy się roz-dzie-lamy.

Twoje oczy płoną, gdy kciu-kciem ście-ram swoją szminkę z two-jej dol-nej wargi. Robiąc to, spo-glą-dam na twoją matkę, bo to na nią należy patrzeć.

Ona też mnie obser-wuje.

Ona i reszta człon-ków two-jej rodziny żyją przy-ćmieni przez cie-bie. Temu, co pełza w cie-niu, ni-gdy nie można ufać.

– Zjedzmy razem kola-cję – zwra-cam się do nich. – Nie mogę się docze-kać, by was wszyst-kich poznać.

Wyraz two-jej twa-rzy pozo-staje nie-od-gad-niony.

Pra-gnę cię. Poczucie, że mam cię tak bli-sko, jest nie-mal wstrzą-sa-jące. A może to zde-ner-wo-wa-nie po spo-tka-niu z twoją rodziną, nowymi uczest-ni-kami tej per-fid-nej gry? Pew-nie po tro-sze jedno i dru-gie.

Odcho-dząc, wciąż czuję na ple-cach twój wzrok i sły-szę cię-żar ciszy, która zapada pod moją nie-obec-ność.





## AMY

Wci-śnięta pomię-dzy Ramina i Dariusa na tyl-nym sie-dze-niu wyna-ję-tej limu-zyny, krzy-żuję ręce i nogi, żeby zająć jak naj-mniej miej-sca. Męż-czyźni roz-sta-wili sze-roko nogi, zaj-mu-jąc całą prze-zna-czoną na nie prze-strzeń. Obaj mil-czą z gło-wami zwró-co-nymi w stronę swo-ich okien.

Czy naprawdę myśla-łam, że mogę przy-ćmić Lily, po pro-stu zmie-nia-jąc kolor wło-sów i wkła-da-jąc ciem-niej-sze ubra-nia? Sam pomysł jest teraz śmieszny, cho-ciaż mam gulę w gar-dle, oczy mnie pieką i mam wra-że-nie, że zaraz się roz-pła-czę.

Na-dal czuję, jak jej paznok-cie mocno wbi-jają się w moją szyję, gdy trzy-mała mnie uwię-zioną przy sobie. Z wyglądu jest szczu-pła i deli-katna, ale ta dłoń była jak klesz-cze, a w jej wyso-kim, dziew-czę-cym gło-sie brzmiała groźba. Strach skre-cał mi wewnątrz-no-ści. Wciąż czuję zapach jej per-fum – ją. Ule-gle odwza-jem-ni-łam uścisk. A kiedy się odsu-neła, opar-łam się poku-sie przy-ci-śnie-cia ust do jej ust, tak jak zro-bił to Kane. Chcia-łam spraw-dzić, czy są tak puszy-ście mięk-kie, na jakie wygła-dają.

Ner-wowy śmiech uwiązł mi w gar-dle. Zdol-ność Kane’a do onie-śmie-la-nia mnie jest niczym w porów-na-niu z tym, co ona potrafi.

– Kane będzie miał z nią pełne ręce roboty – mówi wesoło Ramin. – To gorąca laska.

– Za chuda – mru-czy Darius, a ja rzu-cam mu pełne wdzięcz-no-ści spoj-rze-nie.

– Szczu-pła jak modelka – kory-guje Ramin. – Gwa-ran-tuję, że jest foto-ge-niczna jak marze-nie. Musimy wcią-gnąć ją do współ-pracy z ECRA+. Stwórz wokół niej kam-pa-nię rekla-mową i wyko-rzy-staj ją na nie-któ-rych opa-ko-wa-niach.

Darius spo-głąda na brata z takim samym nie-do-wie-rza-niem, jakie ja czuję.

– Chyba nie mówisz poważ-nie.

– Trzyma nas za jaja. Rów-nie dobrze można by dać jej zaję-cie i prze-ko-nać, żeby zain-we-sto-wała w suk-ces firmy.

Zaci-skam pię-ści, wbi-jam paznok-cie w dło-nie. Dziwka Kane’a poja-wia się na dzie-sięć minut, a Ramin chce wyko-rzy-stać jej twarz w przed-się-wzię-ciu, które ma wynieść Baha-ran na nowe szczyty? Wyko-rzy-stu-jąc moje towa-rzy-stwo, moją ciężką, pie-przoną pracę, by to ona stała się obiek-tem zazdro-ści i inspi-ra-cją dla kobiet na całym świe-cie?

Nic z tego. Mowy, kurwa, nie ma.

– To nie naj-mą-drzej-sze posu-nię-cie – mówię z naci-skiem. – Ona ma nie po kolei w gło-wie.

– Aleś wymy-slił – zga-dza się mój mąż.

– Mówię o wyko-rzy-sta-niu jej zdję-cia – odpo-wiada powoli Ramin – a nie o wysy-ła-niu jej w objazd za gra-nicę z pre-zen-ta-cjami.

– Nie wiemy nawet, jaki jest sta-tus ich związku – argu-men-tuję.

– O tak, wiemy. – Uśmie-cha się lubież-nie. – Widzie-li-ście ich razem. Widzie-li-ście ją. Jest dosko-nała. To pewne, już zdą-żył ją przy-gwoź-dzić do każ-dej płą-skiej powierzchni w pen-tho-usie. Wiele razy.

Zaci-skam powieki, by powstrzy-mać zalew nie-po-żą-da-nych obra-zów w gło-wie, ale przez to jest tylko gorzej. Patrzę więc pro-sto przed sie-bie, obser-wu-jąc, jak auta i tak-sówki w sza-lo-nym tem-pie prze-pla-tają się na pasach przed nami. Lód w moim żołądku stop-niał,

zasta-piony przez wrzącą furię. Wyobra-żam sobie, jak oble-wam twarz Lily kwa-sem i obser-wuję, jak roz-pływa się w strzę-pach dymią-cego mięsa, stru-mycz-kach krwi i szkar-łat-nej szmince.

Chcę ją sobie wyobra-zić, jak krzy-czy i płą-cze, prze-ra-żona utratą twa-rzy, którą Kane uwiel-bia, ale Lily w moich myślach po pro-stu wpa-truje się we mnie, jej oczy są zło-wrogo zie-lone w głę-bo-kich oczo-do-łach pozba-wio-nych powiek. Potem rzuca się na mnie z nad-ludzką szyb-ko-ścią...

Pro-stuję się gwał-tow-nie na tyl-nym sie-dze-niu, serce wali mi jak młot.

– Od dawna pró-bo-wał zaspoko-ić tę potrzebę – mówi Darius, z roz-tar-gnie-niem pokle-pu-jąc moje kolano, jakby to miało mnie uspo-ko-ić. – Pamię-tasz, Ramin, jak był nasto-lat-kiem, stale dobie-rał się do maj-tek jakiejś dziew-czyny, a potem prze-cho-dził do następ-nej. Ta aku-rat miała pie-nią-dze, do któ-rych chciał się dorwać, ale już jej do tego nie potrze-buje. Wkrótce znu-dzi się jej cipką i zamieni ją na kogoś innego. Jemu cho-dzi o pod-bój.

– Bra-cie, nie chcemy, żeby się znu-dził. Ani żeby ona się znu-dziła. Jak to ujął? Jest fun-da-men-tem Baha-ran. Potrze-bu-jemy, żeby tych dwoje zostało razem. Kane sprawi, że to zadziała, jeśli dzięki niej on sam i firma będą dobrze wyglą-dać. Jeśli ona zarobi dla niego pie-nią-dze, na pewno ją przy sobie zatrzyma. – Ramin ści-ska moje nagie kolano. – Masz przy sobie tę butelkę? Przy-dałby mi się drink.

Rzu-cam mu torebkę na kolana.

– Dzięki, kocha-nie. – Zaczyna w niej grze-bać.

Chcę go zapy-tać, dla-czego ni-gdy nie zapro-po-no-wał mnie do ECRA+. I nie-na-wi-dzę swo-jego męża za to, że o tym nie pomy-słał. Usil-nie szu-kam w sobie odwagi, by zapro-po-no-wać sie-bie jako modelkę, ale myśl, że mogą mnie wyśmiać, jest nie do znie-sie-nia.

Obcią-gam brzeg sukienki i myślę o stroju Lily. Czu-łam się tak pewna sie-bie, kiedy weszłam do biblio-teki, tak prze-ko-nana, że wybra-łam odpo-wied-nią rów-no-wagę mię-dzy Aliyah a Lily. Gdy zoba-czy-łam swoją teściową, poczu-łam się jesz-cze lepiej, wie-dząc, że wyglą-dam mło-dziej i z więk-szą klasą. Potem weszła Lily ubrana w czarne jedwabne spodnie i czarny gor-se-towy top z koronką na fisz-bi-nach i czar-nymi aksa-mit-nymi misecz-kami biu-sto-no-sza. Otwar-cie sek-sowna. Nie-for-mal-nie ele-gancka. Cał-ko-wi-cie pewna sie-bie. Ele-gancki bob, smoky eyes i jaskra-wo-czer-wone usta były szy-kow-nymi wisien-kami na tor-cie.

Kane sku-pił się na niej, tak jak na każ-dej kobie-cie, która wygląda jak ona, ale w jego oczach było coś innego. Iskra zamiast zwy-kłej mar-twoty. Coś ciem-nego i gorą-cego. Albo było to pożą-da-nie tak gwał-towne, że jest jego nie-wol-ni-kiem, albo wście-kłość.

Nasz kie-rowca ostro hamuje i auto szar-pie nami do przodu. Facet rzuca szyb-kie prze-pro-siny, naci-ska-jąc klak-son i prze-kli-na-jąc pod nosem. Ulica jest kom-plet-nie zakor-ko-wana, a kie-rowcy zmie-niają pasy bez sygna-li-zo-wania, mając nadzieję, że dzięki temu uto-rują sobie drogę szyb-ciej niż inni.

Lily straci-ła całe lata życia, ale nie ma tu nie-śmia-łego waha-nia, utraty celu lub kon-troli, nie ma ostro-ż-no-ści. Odkąd spo-tka-łam Kane'a, prze-sta-łam radzić sobie tak dobrze. W jakiś spo-sób zawę-dro-wa-łam do gabi-netu luster, a życie, które widzę w ich odbi-ciu, jest dokład-nie tym, o czym zawsze marzy-łam, ale znie-kształ-cone. Wysłałam za wspa-niałą, odno-szącą suk-cesy sek-sma-szynę ze zgraną rodziną. Mój biz-nes zmie-nia innym życie. Mam impo-nu-jący dom i mogę kupić wszystko, czego dusza zapra-gnie. To wszystko jed-nak jest nie takie jak trzeba. Nie roz-kwi-tłam jak Lily; skur-czy-łam się w nicość. Nie jestem odważna. Nie mam żad-nej wła-dzy. Nawet moje ciało nie jest moje.

Jak Lily wyszła z pustki, mając wszystko, pod-czas gdy ja żyję jak w bajce i nie mam nic?

Ramin odrzuca głowę do tyłu, żeby się napić. Kiedy opuszcza rękę, chwytam butelkę i biorę duży łyk. Proponuję ją Dariuśowi.

– Jest środek cholernego dnia! – warczy.

Wzrusz ramionami, piję dalej.

Mam ochotę obciąć włosy. Użyć ciemniejszego cienia do powiek. Rozpruć rozcięcie na brzegu sukienki, aby odsłonić więcej uda. Kiedyś żeglowałam przez życie tak jak Lily, czując się piękna, seksowna i mająca władzę. Podeszła do Kane'a, położyła na nim ręce i stanęła z nim twarzą w twarz, kiedy on położył ręce na niej. Bez lęku, bez wahania.

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć. Widocznie założyłam, że z Lily był inny. Otwarty, zamiast zamknięty. Czuły i miły. Wesoły. Ale może tak wygląda miłość u Kane'a. Jest intensywna, paląca i przerażająca.

– Wy dwaj nawet nie wzięliście pod uwagę, że może oni naprawdę się kochają. – Mój głos jest ochrypły, oddycham z trudem. Kane nigdy nie był mój i nawet go nie lubię, ale myślę, że jest kochany w kimś innym, wywołuje potworny ból.

Ramin wzrusza ramionami.

– I tak nie zrobiliby to żadnej różnicy.

Nie. Kane nie może mieć wszystkiego. Pięknej żony, pen-tho-use'u, wysoko wyceńnięj, gwałtownie rozwijającej się firmy.

Limuzyna wstrząsa delikatnie, gdy takśówka za nami uderza w zde rzak. Nasz kierowca pokazuje środkowy palec przez szklenę w przednich siedzeniach.

Skąd w Lily jest taka cholerna śmiałość? Potrafiła zbliżyć się do Kane'a, jakby niczym się nie przejmowała, podczas gdy on patrzył na nią tak, jakby chciał wbić zęby w żyłę w jej szyi? A spóśb, w jaki ją do siebie przyciągnął, ta dominacja i posiadanie... Wcale jej to nie przerażało, podczas gdy reszta kobiet, które Kane pieprzył, nie mogły się potem otrząsnąć. Najpierw były wniebozięte, potem pełne nadziei, jeszcze później zdeorientowane, wreszcie poniżone.

Czy tego właśnie szukał przez cały ten czas, poza fizycznym podobieństwem? Tego drwiącego erotyzmu? Nieustraszonej pewności siebie? Czy dostrzegł te cechy we mnie, kiedy się poznałiśmy?

Pamiętam Erikę w tamtej eleganckiej czerwonej sukience, z wyprostowanymi ramionami i uniesioną głową. Wie-działa, jak bardzo jest pożądana, kiedy szła w jego stronę.

Od tamtej pory próbowała się do mnie dodzwonić, ale zawsze odsyłam ją na pocztę głosową. To nie ze mną chce rozmawiać, ale z Kane'em, który nigdy nie podaje swojego prywatnego numeru. To jedyny nieoficjalny spóśb, aby się z nim skontaktować. Wszystkie inne rozmowy przechodzą przez jego asystenta w pracy lub przez Witte'a. Byłam na miejscu Eriki. Wiem, że teraz nie jest już tak pewna siebie i nigdy nie będzie w tym samym stopniu, jak tamtego wieczoru.

– Lily też będzie miała pełne ręce roboty – myślę na głos. – Twój brat nie jest już dzieckiem z college'u, który sobie radzi dzięki sty-pendiom sportowym i pracy za barem. Nad Kane'em można było panować, kiedy ona była bogata, a on biedny.

– A jednak od razu się zdomowała. – Ramin chwytam moje spojrzenie i mruga, jakbyśmy dzielili jakiś sekret. – Rzuciła się do wydawania pieniędzy, zapełnienia szafy, rozkazywania Witte'owi i pokazała matce, gdzie jest jej miejsce.

Przyjemność obserwowania, jak te dwie kobiety ostrzą pazury, teraz znika. Aliyah już została na mnie bliźni po latach ciosów i zjadliwych uprzejmości. Lily zrezygnowała z nią sobie poradziła i wyglądało na to, że nie zawaha się ani chwili przed zmianą tej sytuacji w totalną wojnę.

– Szczęśliwa żona, szczęśliwe życie. – Darius chwyta mnie za rękę, jakby nasze małżeństwo w jakiś sposób spełniało to kryterium. Ścisnęłam jego dłoń z całej siły, tylko przez chwilę, ale dobrze jest móc zadać mu trochę bólu.

Pamiętam sposób, w jaki Kane obserwował Lily, kiedy weszła. To palące spojrzenie, jak rozżarzone ostrze w kuźni. Sześć lat żył jako wdowiec, pieprząc kogo tylko chciał, wydając forsy, jak mu się podobało. Teraz ma kosztowną do utrzymania i władczą żonę, aby go uszczęśliwiła. Przy najmniej zajmie go to na jakiś czas, dopóki się nie pozbięram.

Teraz wiem, czego brakowało w moich planach – mnie samej. Przyszła pora, aby obrócić te krzywe lustro i stać czoło rodzinie Armandów. Wtedy zobaczę to, co ja widzę, kiedy na nich patrzę.

Może wtedy zrozumieją, dla czego muszę ich wszystkich zniszczyć.

## WITTE

Dłońmi w ręka-wicz-kach sta-wiam roz-grzany kamień z tale-rzem z kola-cją na macie, którą uło-ży-łem na biurku pana Blacka. Liścik od Lily na papie-rze z mono-gra-mem leży na skó-rza-nej pod-kładce. Jego imię jest napi-sane jej śmia-łym, kobie-cym cha-rak-te-rem pisma, litery pochy-lone w lewo. Jej pod-pis to pio-nowe, duże L, zakrę-cone u góry i u dołu, z pochy-lo-nymi do niego pozo-sta-łymi lite-rami. Nie ma żad-nej wia-do-mo-ści, tylko odcisk jej ust pokry-tych cha-rak-te-ry-styczną, dra-ma-tycz-nie czer-woną szminką. Jej zdję-cie w srebr-nej ramce leży obok odwró-cone tyłem.

Mój pra-co-dawca kolejny raz spo-żywa posi-łek sam w swoim gabi-ne-cie. Jego żona pró-bo-wała odmó-wić kola-cji, ale udało mi się ją skło-nić do zje-dze-nia szybko przy-go-to-wa-nej zupy, którą pomo-gła ugo-to-wać.

Zauwa-ży-łem, że Lily jest kobietą kom-pe-tentną w wielu spra-wach, zarówno wiel-kich, jak i małych. Pod wie-loma wzglę-dami przy-po-mina mi moją córkę – urodą, pew-no-ścią sie-bie, opa-no-wa-niem. Oraz odpor-no-ścią i facho-wo-ścią, które wyni-kają z bycia wycho-wy-waną przez matkę, która jest bar-dziej dziec-kiem niż rodzi-cem. Nie wiem, czy tak jest w przy-padku Lily, ponie-waż nie wiem, jak długo była sie-rotą. Być może po pro-stu musiała sama być dla sie-bie rodzi-cem.

Pozo-staje dla mnie tajem-nicą, podob-nie jak dla męż-czy-zny, któ-rego poślu-biła. To kobieta, która woli słu-chać, niż mówić, zwłasz-cza o sobie, więc szcze-góły, któ-rymi dzie-liła się z nim dawno temu, były skąpe, a on – bojąc się roz-dra-py-wać stare rany – zada-wał nie-wiele pytań.

– Jak ona się czuje?

Pan Black stoi na tle roz-świe-tlo-nej pano-ramy Man-hat-tanu, ze wzro-kiem utkwio-nym w oknie, lecz nie-wi-dzą-cym. Świa-tła mia-sta poni-żej nadają noc-nemu niebu popie-laty odcień. Jest cał-ko-wi-cie nie-ru-chomy, mimo to spra-wia wra-że-nie, jakby roz-dzie-rał pokój na strzępy. Jego wewnętrzny nie-po-kój ni-gdy się nie ujaw-nia, ale sły-szę złu-dze-nie dźwię-ków roz-trza-ski-wa-nego szkła i łama-nego drewna. Wycie wście-kło-ści i zada-wane samemu sobie cier-pie-nie.

Jego żona niczym bł-y-ska-wica prze-szy-wa-jąca pen-tho-use wyrwała pana Blacka ze stanu znu-że-nia. W krót-kim cza-sie stała się nie-zbędna w domu. Nie wyobra-żam sobie powrotu do poprzed-niego życia, tak jak nie wyobra-żam sobie usu-nię-cia jej por-tretu z sypialni mojego pra-co-dawcy. To ele-ment wypo-sa-że-nia, coś, co po pro-stu zawsze było. Jej obec-ność w apar-ta-men-cie wydaje się taka sama; teraz jest cie-le-sna, ale była tu zawsze.

– Wygląda na nie-wzru-szoną tym prze-słu-cha-niem – odpo-wia-dam wymi-ja-jąco, cho-ciaż jestem zanie-po-ko-jony. Detek-tywi wpa-dli do niej bez zapo-wie-dzi, aby zadać jesz-cze kilka pytań. Mimo że już to zro-bili, gdy prze-cho-dziła fizjo-te-ra-pię w szpi-talu. W obu przy-pad-kach zlek-ce-wa-żyła suge-stię adwo-kata, uzna-jąc ją za nie-po-trzebną. – Sły-sza-łem śmiech, gdy roz-ma-wiali, a kiedy detek-tywi wyszli, zda-wali się być w dobrych humo-rach.

– Prze-ko-nała ich – mówi zmę-czo-nym gło-sem. – Ocza-ro-wała ich i olśniła. To wła-śnie robi i jest w tym bar-dzo, bar-dzo dobra. Widzia-łeś ją w akcji.

– Słu-cham?

Spo-glą-da-jąc przez ramię, mój pra-co-dawca śmieje się cicho.

– Wobec cie-bie przy-jęła inną tak-tykę, Witte, ale rzu-ciła cię na kolana tak samo jak ich. Nie wiem, czy nie powi-nie-nem czuć się ura-żony.

– Ależ pro-szę pana...

– W jed-nej chwili jest obca, w następ-nej ją kochasz. – Znów odwraca się do mnie ple-cami. – Są ludzie, któ-rzy potra-fią roz-świe-tlić pokój. Jej dar polega na tym, że wycho-dząc, zabiera ze sobą całe świa-tło.

Nagle poj-muję, jak wni-kliwe jest jego stwier-dze-nie. Nie tylko cha-ry-zma pani Black jest nie-zwy-kła. Cho-dzi o to, jak nie-chęt-nie czło-wiek się z nią roz-staje i jak bar-dzo tęskni się za nią, gdy jest nie-obecna.

Pod-cho-dzi do mosięż-nego barku na kół-kach z alko-ho-lami. Pod-nosi krysz-ta-łową karafkę, wyj-muje korek i nalewa whi-sky Macal-lan Fine & Rare na dwa palce. Trzyma tru-nek, mil-cząco mi go ofe-ru-jąc.

– Nie, dzie-kuję, pro-szę pana. – Cze-kam chwilę, a potem dodaje: – Pozwo-li-łem sobie dać pani Black jeden z table-tów, żeby mogła się poba-wić i pod-uczyć.

Żadne z nich nie roz-ma-wiało o dostar-cze-niu jej tele-fonu komór-ko-wego. Być może pan Black po pro-stu o tym nie pomy-ślał. Dziw-niej-szy jest powód, dla któ-rego jego żona nie wyra-ziła chęci nawią-za-nia kon-taktu ze sta-rymi przy-ja-ciółmi.

– To dobrze – mówi. – Wie, jak się zacho-wać.

Marsz-czę brwi, patrząc na jego plecy. Nie mam poję-cia, co chciał przez to powie-dzieć. Nie do mnie jed-nak należy zada-wa-nie mu pytań. Dora-dzać – tak, ale ni-gdy wtrą-cać się w nie swoje sprawy.

Zabiera szklankę i pod-cho-dzi do biurka, sia-da-jąc w fotelu z wyćwi-czoną plyn-no-ścią. Pra-co-wa-li-śmy nad tym przez wiele mie-sięcy, kiedy zoba-czy-łem, jak zwała się na sie-dze-nia niczym worek ziem-nia-ków. Spo-cząc ele-gancko to teraz jego druga natura.

Pod-czas gdy pan Black pije, jego oczy widzą coś, czego ja nie mogę dostrzec.

Przez przy-pa-dek pod-pa-trzy-łem go ostat-niej nocy w ich wspól-nym salo-nie, jak przy-ci-skał dło-nie i czoło do drzwi pro-wa-dzą-cych przez gar-de-robę Lily do jej sypialni. Rozu-miem jego urze-cze-nie. Jego żona jest cza-ru-jąca i piękna, mogłaby rywa-li-zo-wać z młodą Eli-za-beth Tay-lor, Vivien Leigh czy Hedy Lamarr – kla-sycz-nymi, ponad-cza-so-wymi pięk-no-ściami o gorą-cej zmy-sło-wo-ści i dziew-czę-cym uśmie-chu.

Podej-rze-wam, że w nie-które noce obser-wuje ją, gdy śpi; fotel w rogu jej pokoju został prze-sta-wiony przo-dem do łóżka. Stało się to dopiero wtedy, gdy się prze-bu-dziła. Nie chciał tam wcho-dzić, gdy leżała w śpiączce, jakby bał się być obecny, gdy odzy-ska przy-tom-ność. Ze względu na jej reak-cję, gdy zoba-czyła go na ulicy, ta ostroż-ność była prze-my-ślana.

Jego tęsk-nota jest naprawdę straszna. A może to poczu-cie winy? Kobieta, któ-rej wspo-mnie-nie go prze-śla-duje, czeka, a on wypiera się ich związku. To nie jest kobieta, którą zna-leż-li-śmy prze-cho-dzącą przez ulicę, ta, która ucie-kała przed nim z twa-rzą bie-le-jącą z prze-ra-że-nia. Lily dzie-ląca z nim główne apar-ta-ment, powi-ta-łaby go z otwar-tymi ramio-nami. Mówi mu to oczami, któ-rych pło-nąca zie-leń zdaje się nie-mal nie-ziem-ska. Zachęca go kuszą-cymi uśmie-chami i pro-wo-ka-cyj-nymi notat-kami. Napię-cie sek-su-alne kipi, gdy są bli-sko sie-bie, co jest dla wszyst-kich oczy-wi-ste. Zbesz-ta-łem poko-jówki za szep-ta-nie o tym, a rodzina pana Blacka została ostrze-żona o jego sile.

Odchrzą-kuję, by roz-luź-nić atmos-ferę. Miłość uzdra-wia nie-któ-rych; dla innych to udre-ka.

– Mogli-by-ście być dla sie-bie pocie-sze-niem – suge-ruję – gdyby pan do niej poszedł.

– Lily ni-gdy nie była pocie-sze-niem, Witte. Rado-ścią, tak. Eks-tazą. Każda chwila z nią

była euforyczna, ale na haju. Wiem, że jest nałogiem, który zjada mnie żywcem. Zawsze będę potrzebował kolejnej działki i wszelkie warunki, aby ją dostać.

Zdaję sobie sprawę, że mężczyzna ogarnięty obsesją, szczególnie na punkcie kobiety, jest zdolny do wszystkiego. Mój pracodawca to człowiek, który przez całe życie odmawiano miłości, dopóki nie poznał Lily. Został przeklęty przez ojca, który porzucił go, skazując na ubóstwo, matkę, która go porzuciła, by uspokoić swojego drugiego męża, i rodzeństwo skreślające się z zazdrości. Miłość Lily jest dla niego najrzadszym, najcenniejszym ze skarbów. Ale uciekła, gdy go zobaczyła. Dla czego? Nie mogę przestać zadawać sobie tego pytania.

Prawda kryje się w siedmiu dniach przed jej zniknięciem, tygodniu, w którym się pobrali, a po jej śmierci pan Black stał się uprawniony do dziedziczenia jej fortuny.

Sączę whisky, wpatrując się w odcisk jej ust.

To miłe odprawienie, ale moje stopy nie chcą się ruszyć. Jego bezczynność zawieszona nas jak owady w bursztynie. To nie może trwać w nieskończoność.

– Powinien pan wiedzieć, że z każdym posiłkiem je mniej. Z trudem udało się ją przekonać, żeby zjadła miskę zupy przed pójściem na spoczynek.

Jego wzrok nabiera ostrości z niepokojem i odnajduje mnie.

– Nie wyzdrowieje, jeśli nie będzie jadła.

– Mogłaby spróbować, gdyby pan do niej dołączył.

– Nie.

Jego upór każe mi zapytać:

– Karze pan ją czy siebie?

– Cholera! Uciekała, kiedy ją znalazłem! Nie będę się jej narzucał. Jeśli mnie chce, wie, gdzie jestem.

Zatyka mnie. Pan Black nigdy nie wspominał o jej reakcji, gdy go zobaczyła. Ani jej lekarzom, ani mnie – aż do teraz.

Patrzę na niego zdumiony i zmartwiony. Zdaję sobie sprawę, że gniew jest jedynym z etapów żałoby i że czasami jest skierowany na zmarłego za to, że pozostawił swoich bliskich w tak wielkim bólu. Ale uczy mnie sposobu, w jaki zniknęła, powodem do odrzucenia jest niezdrowe.

– Nie może pan jej winić.

– Dla czego nie? – Jego spojrzanie jest zimne.

– To byłoby niesprawiedliwe.

– Sprawiedliwość? Czy to było w porządku z jej strony, że zrobiła ze mnie mężczyznę zdolnego do zbudowania dla nas tego życia, a potem została mi samego? Jeśli uważasz, że nie jestem wobec niej sprawiedliwy, że powinienem zwolnić ją z odpowiedzialności za jej wybory... Cóż... nie mogę.

Rzadko mówi o swojej żonie. Jest tyle rzeczy, których nie wiem. O niej i o młodym mężczyźnie, którym był mój pracodawca, gdy się z nią związał.

– Poznałem ją w domu na plaży w Greenwich – mówi niesprawiedliwie, a jego ton brzmi dziwnie swobodnie, jakby odciął się od uczucia związanego z tym wspomnieniem.

– Wyprawiła przyjąć i zaprosiła mnie, bo spotykała się z Ryanem. Mówiłem ci to kiedyś? Że była jego, zanim stała się moja?

Kiwam głową.

– Tak, wspominał pan.

– Nie chciałem jechać tak daleko, ale ponieważ studiowałem biznes i specjalizowałem się w doradztwie, Ryan przekonał mnie, że to dobra okazja, aby poznać

ludzi, którzy mogą się przydać w przyszłości. Ni-gdy nie zapomniałem, jak wyskoczyłem ze wspólnego samochodu, którym zabrałem się ze stacji kolejowej, i zobaczyłem pół tuzina słujących usiłujących zaparkować luksusowe samochody warte miliony dolarów. Ni-gdy nie myślałem, że spotkam kogoś, kto tak żyje, kto ma przyjaciół, których stać na takie samochody. To było jak w filmie.

Jeśli mam skutecznie wykonać swoją pracę, nie może być żadnych tajemnic, żadnych szkieleców. Nie mogę zarządzać domem, jeśli jest w nim ktoś, kto mnie zaskakuje. Jak dotąd wszystko, co dotyczyło Lily Black, było rewelacją, a najbardziej zaskoczyła mnie wiadomość, że to ona jest źródłem fortuny pana Blacka.

Znowu wstaje, niepokojny, i wraca na swoje miejsce przed oknem.

– Pogoda się zmieniła. Wciąż pamiętam niebo. Czarne jak smoła. Znalazłem ją tańczącą na plaży, jej długie włosy powiewały na wietrze. Wyglądała jak pogańska bogini przywołująca burzę. Jeszcze zanim zobaczyłem jej twarz, wiedziałem, że muszę ją mieć.

Straciłem ją tam, gdzie ją znalazłem.

Była zupełnie spoza mojej ligi, Witte, i spotykała się z Ryanem. Wiedziałem, że należy trzymać się od niej z daleka, ale wybrała mnie. W ciągu kilku minut od chwili, gdy ją poznałem, spacerowaliśmy ramię w ramię po wietrznej plaży i napełniała moją głowę szalonymi myślami. To było jak gorączkowy sen. Najseksowniejsza, najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem, w jakiś sposób wiedziała o mnie wszystko – o mojej sytuacji rodzinnej, o tym, że mój ojciec odszedł i zniszczył Baharan. Zaledwie kilkanaście słowami postawiła mój świat na głowie. Zanim skończyła, kazała mi myśleć o Baharan jako o moim pierworodzonym. Tego dnia opuściłem jej dom przepelniony zupełnie nową atmosferą. Chciałem tego domu na plaży i tych luksusowych aut. Chciałem Baharan. A przede wszystkim przagnąłem jej. Bar-dziej niż cokolwiek przagnąłem w życiu.

Pan Black wkłada rękę do kieszeni i bierze kolejny powolny łyk. Zatrzymuje alkohol w ustach, a potem z trudem przełyka.

– Po kilku dniach zadzwoniła do mnie. Spotkała się ze mną. Miała nie tylko wizję, ale i plan. Była moim Sven-gali, moim Pig-malio-nem. Czaro-dziejka, która machnęła ręką i odmieniła całe moje życie.

– Dostrzegła pański potencjał – mówię, chociaż to tylko praktyczne określenie na płomienisty magnetyzm mojego pracodawcy. Na początku spotkałem się z nim z grzeczności, aby osobiście odrzucić jego ofertę pracy, ponieważ jego prośba była tak żarliwa, ale pożegnalem go po przyjęciu sta-nowi-ska. Ma dar zdobywania tego, czego chce i sprawiania, by inni czuli się uradowani, że mu się poddają.

– Ona jest muzą, Witte, potrafi wynieść cię wysoko, choć przeciętni ludzie nazwaliby ją aniołem biznesu. Jakkolwiek to nazwiesz, ma nie-samowitą zdolność przyglądania się nieznajomym i znajdowania tych, z których może stworzyć tytanów. Samolubnie chciałem być tym jedynym, ale istnieli też inni. Tym właśnie jest i to robi.

Milczenie, ale poczucie wzburzenia i zniszczenia w pokoju sięga zenitu. Wiesz-wiesz skrzypi właśnie w tym momencie i wydaje się, że siły, z którymi walczą, pochodzą z wewnątrz, a nie z zewnątrz.

– Wątpi pan, że ona pana kocha? – pytam cicho.

– Miłość? – Spogląda na mnie przez ramię, po czym odwraca się do mnie, wzruszając ramionami. – Mówimy o uczuciowości, Witte, nie o miłości.

– Nie wiem, jak pan osiągnie to, czego pan chce, nie rozmawiając z nią.

– Ona nie ma wyjątkowości ani odpowiadzi! – rzuca gniewnie. – Nie wiem, jak ją traktować, jak w ogóle się do niej zbliżyć. Nie jest sobą, nie mówiąc już o kobiecie, którą



poślu-bi-łem.

– A pan nie jest męż-czy-zną, za któ-rego wyszła – wska-zuję. – Będzie-cie musieli odkryć się na nowo, być może zako-chać się na nowo jako różni ludzie. Z miło-ścią przy-jdzie zaufa-nie, a dzięki zaufa-niu uzy-ska pan odpo-wie-dzi.

Wzrok ma wzbu-rzony.

– Zakła-dasz, że ona chce mnie, a nie Baha-ran czy pie-nię-dzy.

Ta suge-stia mnie zaska-kuje. Wydaje się, że w jego udręce nie ma logiki.

– Mówi-łem ci, że jej zna-jo-mość spraw Baha-ran była dziwna. I bar-dzo głę-boka. Wie-działa rze-czy, o któ-rych ja nie wie-dzia-łem. Wie-działa, że moja matka ma prawa do paten-tów che-micz-nych, a nawet do cho-ler-nego logo. Zaufaj mi, Witte. Baha-ran była na celow-niku Lily od samego początku.

– Czego mia-łaby chcieć od firmy far-ma-ceu-tycz-nej, zwa-żasz-cza takiej, która ma godną po-za-ło-wa-nia histo-rię?

– To naj-mniej pa-łace pyta-nie, jakie mam. Nasz ślub był dla mnie total-nym zasko-cze-niem. Wró-ci-łem do domu jak zwy-kle, a ona już zdą-żyła przy-go-to-wać sędzięgo pokoju, sąsia-dów w roli świad-ków i smo-king. Ukryła doku-menty doda-jące mnie do jej LLC i kont ban-ko-wych wśród doku-men-tów potwier-dza-jących zawar-cie mał-żeń-stwa, więc pod-pi-sa-łem je nie-świa-do-mie. Kilka dni póź-niej wypły-nęła w morze, pomimo zapo-wia-da-nej burzy. Pomyśl o tym wszyst-kim, Witte. Pomyśl, co to suge-ruje. Od sze-ściu lat nie mogę prze-stać o tym myśleć.

– Ja... Nie wiem, co powie-dzieć.

– Wła-śnie – mówi lodo-wa-tym tonem. – Jest mi winna odpo-wie-dzi, ale nie mogę i nie chcę jej zadre-czać pyta-niami i przy-spa-rzać dodat-ko-wego stresu. Zna mnie lepiej niż kto-kol-wiek. Wie, czego potrze-buję i gdzie jestem. Mogę tylko cze-kać.

W ich miło-ści jest tyle stra-chu i bólu. Bez względu na to, czy to przy-znają, czy zdają sobie z tego sprawę, ich instynkty są świa-dome nie-bez-pie-czeń-stwa.

Jaki to miało lub będzie miało wpływ na Lily?

– Mógł-bym ją zabić za to, że spra-wiła, że tak jej potrze-buję – szep-cze, wpa-tru-jąc się w szklankę, jakby było tam coś do zna-le-zie-nia.

Jego wyzna-nie mnie prze-raża.

Czy chci-wość jest tu czyn-ni-kiem, ten wygłod-niały potwór? A może jej nie-sa-mo-wita uroda karmi zazdrość i wszech-ogar-nia-jące pra-gnie-nie posia-da-nia? Być może tro-chę jedno i dru-gie. Może jej pie-nią-dze były osłodą za wszystko, czego nie mógł od niej mieć.

Boli mnie, że mam takie wąt-pli-wo-ści.

Pan Black dopija drinka i zerka na barek. W mil-cze-niu wycią-gam rękę po jego szklankę. Wkłada ją do mojej wycią-gnię-tej dłoni, kpiąco uno-sząc brwi. Ulżyło mi, że powstrzy-ma-łem go od wypi-cia wię-cej. Jest już zbyt nie-prze-wi-dy-walny, a jego żona zbyt bez-bronna.

– Powi-nien pan coś zjeść – mówię.

Odwra-ca-jąc się do mnie ple-cami, mój pra-co-dawca wraca do okna.

– Miłego wie-czoru, Witte. Dziś już nie będę cię potrze-bo-wał.

Gdy wycho-dzę z pokoju, mój zega-rek sygna-li-zuje nadej-ście ese-mesa.

Idąc do kuchni, wyj-muję komórkę.

Iden-ty-fi-ka-cja potwier-dzona Mid-town West. Kon-ty-nu-ujemy poszu-ki-wa-nie.

Zatrzy-mu-jąc się na progu salonu, zasta-na-wiam się, czy nie wró-cić do gabi-netu mojego pra-co-dawcy i podzie-lić się nowymi wia-do-mo-ściami.

Odkryto, że adres na fał-szy-wym dowo-dzie toż-sa-mo-ści pani Black to bodega

w Gra-mercy. Przez całe dni pene-tro-wano oko-licę, a wyszu-ki-wa-nie za pomocą roz-po-zna-wa-nia twa-rzy zostało zawę-żone do kamer na budynku Cross-fire, gdzie Baha-ran ma swoją sie-dzibę, oraz wokół niego i wtedy została odkryta. Oka-zało się, że Lily Black regu-lar-nie prze-cho-dziła obok tego budynku, a gdy już została ziden-ty-fi-ko-wana, można było prze-śle-dzić jej trasę.

Tajne śledz-two dopro-wa-dziło teraz do osoby, która roz-po-znała ją na zdję-ciu. W końcu dowiemy się, gdzie i jak żyła, co, miejmy nadzieję, otwo-rzy nowe kie-runki śledz-twa. Sprawa idzie powoli, ponie-waż dys-kre-cja jest naj-waż-niej-sza. Zawsze jest to ćwi-cze-nie cier-pli-wo-ści, gdy poszu-ki-wa-nie ukry-tych tajem-nic wymaga, aby samo poszu-ki-wa-nie też było tajem-nicą.

Zasta-na-wiam się, czy odpo-wie-dzi zebrane pod-czas docho-dze-nia w końcu przy-niosą spo-kój panu Blac-kowi. Oba-wiam się, że tylko wyzna-nia Lily mogą to zro-bić.

Zro-zu-mie-nie myślą-cej natury jej powrotu jest trudne, a teraz skom-pli-ko-wane przez pyta-nia o to, jak – i być może dla-czego – w ogóle ode-szła. Strach na jej twa-rzy, któ-rego byłem świad-kiem, szok, gdy go roz-po-znała i wypo-wie-działa jego imię, na-dal pozo-staje nie-wy-tłu-ma-czalny. Nie ma wąt-pli-wo-ści, że jego widok napeł-nił ją prze-ra-że-niem i skło-nił do ucieczki pomimo nie-bez-pie-czeń-stwa. Dla-czego więc regu-lar-nie krą-żyła w oko-licy Cross-fire, nie-mal codzien-nie ryzy-ku-jąc, że zosta-nie odkryta?

W końcu cho-wam komórkę z powro-tem do kie-szeni i ruszam dalej. Wystar-czy, że jutro omó-wimy to z moim pra-co-dawcą. Ma dość demo-nów, z któ-rymi będzie wal-czyć tej nocy.



## LILY

Roz-lega się dys-kretne puka-nie do drzwi mojej sypialni. Zosta-wiam je uchy-lone jako zapro-sze-nie, które jesz-cze nie zostało przy-jęte. Rytm stu-ka-nia knyk-ciami mówi mi, że to wciąż nie ty.

Po dru-giej stro-nie ogrom-nych okien mojej sypialni zapa-dła noc, zmie-nia-jąc beto-nowy las Man-hat-tanu w dywan gwiazd. Stra-ci-łam rachubę dni, odkąd wypi-sano mnie ze szpi-tala, ale roz-łaka z tobą spra-wia, że czuję się, jakby minęła wiecz-ność.

– Tak, Witte?

Wycho-dzę z prze-past-nej gar-de-roby. Wyda-łam małą for-tunę na ciu-chy i dodatki, ale nawet z tymi wszyst-kimi ubra-niami, toreb-kami i butami Lily – to bole-sne udo-god-nie-nie, że zatrzy-ma-łeś wszystko – jest tu mnó-stwo pustych wie-sza-ków i pó-łek.

Witte czeka w drzwiach, uoso-bie-nie uprzej-mo-ści. Odkąd tu pra-cuje, jego nie-zwy-kłe wyra-fi-no-wa-nie udzie-liło się tobie i pomo-gło stwo-rzyć czło-wieka, który potrafi poru-szać się we wszyst-kich krę-gach towa-rzy-skich. Mimo to twoje szorst-kie kanty nie zostały cał-kiem wypo-le-ro-wane. Na-dal jesteś nie-bez-piecz-nym czło-wie-kiem; po pro-stu nie-bez-piecz-nym w inny spo-sób niż wcze-śniej.

– Jutro rano ma pani wyj-ście, o dzie-sią-tej jedzie pani spo-tkać się z leka-rzami. Pan Black będzie pani towa-rzy-szył.

– Nazwa-nie wizyty u leka-rza „wyj-ściem” spra-wia, że brzmi to znacz-nie bar-dziej uro-kli-wie. Sprytny dobór słów, Witte.

Jego wąsy drgają w tłu-mio-nym uśmie-chu.

– Dzię-kuję.

Muszę pro-wa-dzić nie-zo-bo-wią-zu-jącą roz-mowę i zacho-wać luz, bo ina-czej się roz-pła-czę. To bole-sne, że takich codzien-nych infor-ma-cji nie możemy prze-ka-zy-wać sobie bez-po-śred-nio, jak-byś nie mógł znieść nawet sekundy w mojej obec-no-ści.

Mimo to cie-szę się, że jutro spę-dzimy czas wspól-nie.

Miesz-kamy razem od tygo-dni, krą-żąc wokół sie-bie w apar-ta-men-cie i udaje nam się ni-gdy nie być w tym samym miej-scu w tym samym cza-sie – chyba że odwie-dzasz mnie w środku nocy, wśli-zgu-jąc się do mojej sypialni, by patrzeć, jak udaję, że śpię. Jak-byś kie-dy-kol-wiek mógł być bli-sko mnie i moje ciało nie budzi-łoby się z mro-wiącą świa-do-mo-ścią.

Cier-pia-łam, wykoń-czona pra-gnie-niem, z czub-kami piersi twar-dymi i obo-la-łymi, z mokrą i pul-su-jącą szcze-liną mię-dzy nogami. To instynk-towna reak-cja, nad którą nie panuję. Moje ciało jest dosko-nale świa-dome, kiedy jesteś bli-sko, i przy-go-to-wuje się, by je dosia-dać i ujeż-dzać, wpra-wiać w zachwy-t i zado-wa-lać. Twoja ukrad-kowa obec-ność jest naj-bar-dziej prze-bie-głą tor-turą, jakiej kie-dy-kol-wiek byłam pod-da-wana, i pra-gnę jej. Zmu-szona leżeć bez ruchu, mogę tylko regu-lo-wać oddech, pod-czas gdy twoje spoj-rze-nie mnie pożąda.

– Czy dziś wie-czo-rem zje pani kola-cję w salo-nie? – pyta Witte, przy-wra-ca-jąc mnie do rze-czy-wi-sto-ści.

Krzy-żuję ramiona. W apar-ta-men-cie panuje ide-alna tem-pe-ra-tura, ale nagle robi mi się zimno.

– Czy Kane znów zje kola-cję w swoim gabi-ne-cie?

Witte przy-ta-kuje ski-nie-niem głowy.

– Pan Black prze-syła wyrazy ubo-le-wa-nia, ale ma dużo pracy.

– Oczy-wi-ście. – Uśmie-cham się słabo. – A ty już zja-dłeś?

– Jesz-cze nie. Kiedy przy-go-tuję pani posi-łek, będę cie-szył się moim.

– Co powiesz na to, żeby-śmy cie-szyli się razem? W kuchni, chyba że wolisz gdzie indziej.

Jeśli moją suge-stię przy-jął za nie-po-żą-daną, nie jest to oczy-wi-ste.

– To byłaby przy-jem-ność. Za dzie-sięć minut?

– Dosko-nale.

Patrząc, jak zgrab-nie odwraca się i znika, pozostawiając mi niezakłócony widok mojego odbicia w lustrzanym korytarzu, w którym przed chwilą stał. Ale to nie siebie widzę. Włosy są za długie, gładka atramentowo-czarna kurtyna, która opada poniżej pasa. Twarz jest nieco inna. Szczeka węższa, kości policzkowe wydatniejsze, oczy nie tak głęboko osadzone. Kobieta się uśmiecha.

Mru-gam i już jej nie ma. Jestem tylko ja.

Dotykając swoich włosów, żałuję, że sięgają do podbródka. Bob jest stylowy, ale mnie postarza. Oczy-wi-ście sam upływ czasu też w tym pomógł.

Wracam do garderoby po coś, co mogłabym narzucić na warstwową czarną sukienkę maxi, którą mam na sobie. Mój wzrok wędruje po szufladach wypełnionych bielizną i piżamami. Nie wiem, czy gdzieś indziej przechował bieliznę Lily. Wszystko, co miałam na sobie i jesz-cze włożę, jest nowe, świeżo wyprane i opatrzone monogramem LRB. Rzeczy są luksurowe i dekadentkie, mniej skromności, a więcej prowokacji. Z biegiem czasu zgrozmiłaś prawdziwą kolekcję, a wyhaftowane inicjały dowodzą, że bielizna została kupiona dla Lily. Monogram służy również jako twój zaborczy znak posiadania. Mówi mi to, że myśląc o Lily, myślisz o sypialni. O swoim łóżku. Nagiej skórze. O seksie.

Przy-po-mi-nam sobie również siebie w czasie, gdy weszłam w miejsce ducha, kobiety, której wspomnienie, styl i upodobania złośliwie rozprze-strzeżyły się w twoim życiu, całkowicie podporządkowując sobie mężczyźnię, którym kiedyś byłeś.

Nie ufasz mi i nie ufasz sobie przy mnie. Czy twoje oddalenie zdradza pożądanie? Czy jesteś mnie tak samo głodny, jak ja ciebie? A może chodzi o to, że nie mogę konkurować z twoją pierwszą żoną, kobietą, o której myśli nie przestają cię dręczyć sześć lat po jej śmierci?

Dla-czego mnie unikasz?

Wkładając żakiet z gniecionego weluru w kolorze głębokiego szafiru, idę korytarzem do kuchni.

– Pachnie nieśmiałości – mówię do Witte'a, sadowiąc się na stoliku barowym, który dla mnie wysuwa.

Nagle czuję głód czegoś innego niż ty.

– To tylko połowa prawdy. – Kładzie mi na kolana czarną serwetkę. – Zobaczmy, jak to smakuje.

Z przemyślej lodówki wyjmuję sałatki na talerzu. Przez podwójne szklane drzwi podglądam precyzyjnie zorganizowane półki.

Szybkim, wypracowanym ruchem Witte polewa sałatkę dresingiem w kunsztowny, zygmatowy wzór. Nalał już do kieliszków czerwone wino i wodę gazowaną, a ja się zastanawiam, jak udało mu się natychmiast przygoto-wać tak pełne nakrycie.

Kiedy stawia talerz z ręcznie malowaną lilią na mojej czarnej Iniańskiej podkładce,

doty-kam jego nad-garstka, a on nie-ru-cho-mieje.

– Dzię-kuję, że dbasz o Kane’a.

Przez chwilę przy-trzy-muje mój wzrok, jakby roz-wa-żał odpo-wieź.

– To moja praca.

– To jest rów-nież praca – uści-ślam, pod-no-sząc wide-lec do sała-tek, gdy on zaj-muje miej-sce na stołku baro-wym w rogu po mojej pra-wej stro-nie. – Naj-wy-raż-niej dla cie-bie to coś wię-cej.

Mru-czę, roz-ko-szu-jąc się soczy-stym, cierp-kim sma-kiem cytry-no-wego wine-gretu.

Widząc moje zado-wo-le-nie, Witte roz-kłada ser-wetkę i pod-nosi sztucce.

– Bystre spo-strze-że-nie. Ma pani rację, jak ostat-nio w biblio-tece. – Milk-nie na chwilę.

– Pani Armand woli, kiedy to ona ma rację.

Śmieję się.

– To naj-grzecz-niej-szy spo-sób, w jaki mi powie-dziano, że ktoś nie-na-wi-dzi się mylić.

Nie-dbale wzru-sza potęż-nymi ramio-nami, co tak bar-dzo kłóci się z for-mal-no-ścią jego zacho-wa-nia i wyglądu, że natych-miast mi się to podoba.

– Doce-niam dyplo-ma-tyczne ostrze-że-nie, ale to nie-po-trzebne. Widzę, jaką kobietą jest jego matka. Jak czę-sto skła-dała ci pro-po-zy-cje lub w inny spo-sób mole-sto-wała cię sek-su-al-nie?

Wyraż-nie zasko-czony, szybko docho-dzi do sie-bie.

– Jest pani bar-dzo spo-strze-gaw-cza.

– Czy Kane ma tego świa-do-mość?

– Jestem w pełni zdolny samo-dziel-nie pora-dzić sobie z takimi spra-wami.

Odkła-dam wide-lec.

– A więc ni-gdy mu nie powie-dzia-łeś, a on popeł-nia błąd, nie obser-wu-jąc swo-jej rodziny wystar-cza-jąco uważ-nie. Zga-duję, że nie zauwa-żył.

Witte ociera wąsy ser-wetką.

– Powie-dział-bym, że jest pani kobietą, która dedu-kuje, a nie zga-duje.

Uśmie-cham się sze-roko i rado-śnie. Uwiel-biam, gdy używa się wła-ści-wego słowa. To naprawdę robi róż-nicę. A prze-ko-nać Witte’a, by grał współ-nie ze mną... To zarówno zabawne, jak i konieczne. Twoje dobro jest jego celem i chcę, żeby uwie-rzył, że jeste-śmy w tym zgodni.

Wra-cam do jedze-nia. Sałatka jest nie-zwy-kła, z kawał-kami rubi-no-wego grejp-fruta, poma-rań-czami, kan-dy-zo-wa-nymi orze-chami pekan i nie-bie-skim serem.

– Moje gra-tu-la-cje, Witte. To naj-lep-sza sałatka, jaką w życiu jadłam.

– Dzię-kuję. – Pod-nosi kie-li-szek czer-wo-nego wina i delek-tuje się łykiem przed połknię-ciem. – Pan Black wło-żył ogromny wysi-łek w dosko-na-le-nie sie-bie. Rozu-miem, dla-czego.

– Bo lubię sałatki? Czy dla-tego, że jestem bystra i spo-strze-gaw-cza?

– Ponie-waż te cechy, mię-dzy innymi, czy-nią panią nie-zwy-kłą.

– Ach... Teraz mi rów-nież schle-biasz.

Wsu-wam wide-lec do ust i zanim go odłożę, delek-tuję się ostat-nią kro-plą sosu. Prze-su-wam wzro-kiem po kuchni, zauwa-ża-jąc nie-duży stół jadalny po mojej pra-wej stro-nie i odbi-cie miej-skich świa-teł, które mam za ple-cami, w szkła-nych szyb-kach sza-fek.

– Spo-dzie-wam się, że uzy-ska-nie nie-au-to-ry-zo-wa-nego dostępu do pen-tho-use’u jest pra-wie nie-moż-liwe – rzu-cam od nie-chce-nia – ale przed fron-to-wymi drzwiami stoi dwóch uzbro-jo-nych ochro-nia-rzy.

Trzy-ma-jąc unie-siony kie-li-szek, przy-gląda mi się uważ-nie, nie oka-zu-jąc

zdzi-wie-nia, że zba-da-łam teren poza pen-tho-use'em.

– Tak, są tam.

– W szpi-talu też byli.

Witte nie-dbale kiwa głową, jak-bym zadała pyta-nie, ale jego wcze-śniej-szą swo-bodę zastą-piło uważne ocze-ki-wa-nie.

– Czy Kane ma ochronę, gdy jest poza wie-żow-cem?

– Mini-ma-li-zu-jemy ryzyko.

– Takie jak?

Napo-wie-trza wino, wpraw-nie krę-cąc kie-lisz-kiem, ale pod-czas gdy jego ruchy są bez-tro-skie, spoj-rze-nie jest inten-sywne i uważne.

– Skąd te pyta-nia, pani Black?

– Wygląda na to, że jest w nie-bez-pie-czeń-stwie.

– A pani? – Jego ostra reak-cja sygna-li-zuje, że skoń-czy-li-śmy z uprzej-mo-ściami.

Przy-glą-damy się sobie nawza-jem. Uprzejmy major-do-mus znik-nął. Męż-czy-zna sie-dzący naprze-ciw mnie to ktoś zupeł-nie inny. Nagle stał się onie-śmie-la-jący pod każ-dym wzglę-dem. Jego fizyczna spraw-ność jest teraz groźna. Wzrok zmie-nił się z uważ-nego w nie-po-ko-jąco docie-kliwy. Fakt, że potrafi zma-leć na zawo-ła-nie, znik-nąć w tle i pozo-stać nie-zau-wa-żo-nym, gdy jego praw-dziwe ja jest tak wyraź-nie nie-bez-pieczne, uspo-kaja mnie.

Uśmie-cham się, jego zacho-wa-nie roz-wiało moje ukryte obawy.

– Jak mogła-bym być? Ja też mam ochronę.

– Zawsze lepiej zacho-wać ostroż-ność.

– Cóż... To ulga wie-dzieć, że jest bez-pieczny. – Rzu-cam mu wymowne spoj-rze-nie znad kra-wę-dzi swo-jego kie-liszka z wodą. – I że jesteś przy-go-to-wany.

– Na co?

– Na cokol-wiek. – Wzru-szam ramio-nami, na powrót przyj-mu-jąc bez-tro-ski wygląd.

– W ogóle cokol-wiek.

Odsta-wiw-szy kie-li-szek, zdej-muje ser-wetkę z kolan i składa ją sta-ran-nie na wyspie. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Pan Black mar-twi się o pani bez-pie-czeń-stwo.

– I o to tyle hałas? Przy-pusz-czam, że w ciągu ostat-nich sze-ściu lat mogłam być zamie-szana w wiele wąt-pli-wych sytu-acji. – Nadaję gło-sowi lekki, roz-ba-wiony ton, ale mój puls przy-spie-szył. Witte jest prze-bie-gły i moje sta-ran-nie dobrane słowa potrak-tuje jako ostrze-że-nie, któ-rym są, i sta-nie się jesz-cze ostroż-niej-szy. – A już mia-łam nadzieję, że po pro-stu nie chce, żebym ode-szła.

– Nie sędzę, żeby mógł to znieść.

– Może – odpo-wia-dam szybko. – Już to zro-bił. Gdyby tylko mógł prze-stać myśleć o mnie jak o końcu wyścigu, nagro-dzie za wszyst-kie osią-gnię-cia, cie-szyłby się ze swo-jego suk-cesu po pro-stu dla-tego, że na niego zasłu-żył. Przy-naj-mniej tak chcia-ła-bym go sobie wyobra-żać.

– Jest w tym dużo prawdy. – Trzy-ma-jąc w pal-cach nóżkę kie-liszka, obraca go powoli, w kółko. Nie jest czło-wie-kiem, który wyko-nuje bez-myślne ruchy, więc ten gest jest zamie-rzony, ma mnie uspo-koić. – Sły-sza-łem, że na pierw-szym roku stu-diów została pani prze-nie-siona na uni-wer-sy-tet Colum-bia do pro-gramu psy-cho-lo-gii na wyż-szym pozio-mie.

Kiwam głową.

– Z połu-dnio-wego zachodu na pół-nocny wschód. Cóż to była za zmiana!

– Rozu-miem, że ze względu na wysoki wskaź-nik reten-cji stu-den-tów przyj-muje się mniej niż dzie-sięć pro-cent nowych osób. Była pani jedną z nie-licz-nych wybrań-ców.

– Kto by nie chciał dyplomu uczelni Ivy League? – mówię bez-tro-sko, nie chcąc wda-wać się w dys-ku-sję o życiu Lily. Znow kładę dłoń na jego ręce. – Są tylko dwie rze-czy, które musisz o mnie wie-dzieć, Witte: chcę dla niego jak naj-le-piej i poświę-ci-łam się temu, by zostać żoną, na jaką zasłu-guje.

Przy-gląda mi się przez długą chwilę. Potem jego twarz roz-ja-śnia się i odzy-skuje swój zwy-kły, uprzejmy wyraz. Pokle-paw-szy wierzch mojej dłoni, wstaje i zbiera nasze tale-rze, by umie-ścić je w zle-wo-zmy-waku. Wkła-da-jąc ręka-wice, Witte otwiera pie-kar-nik. W roz-grza-nym powie-trzu roz-nosi się roz-koszny zapach.

Patrzę, jak nakłada na tale-rze por-cje woło-winy Wel-ling-ton, ziem-niaki *au gra-tin* i zie-loną fasolkę posy-paną pra-žo-nymi płat-kami mig-da-lów.

– Jak to moż-liwe, że jesteś sin-glem, jeśli mogę spy-tać?

– Ni-gdy nie mówi-łem, że jestem – odpo-wiada z uśmie-chem.

– No więc... – W jego oczach bły-skają figlarne ogniki. – Powiedz.

– Wła-ści-wie pani mi ją przy-po-mina. Piękna i kusząca jak wąż, i rów-nie nie-bez-pieczna.

– Och, Witte! – Śmieję się, zado-wo-lona, że teraz się rozu-miemy. – To naj-mil-sza rzecz, jaką kie-dy-kol-wiek usły-sza-łam.

Upi-jam kolejny łyk wody, ale zauwa-żam lekką mgiełkę na kie-lisz-kach do wina, co mówi mi, że syrah jest ide-al-nie schło-dzony. Wie-dział o tym, oczy-wi-ście; czer-wone wino poda-wane w tem-pe-ra-tu-rze poko-jo-wej to kary-ka-tura. Ale schło-dze-nie go tak, aby tem-pe-ra-tura była odpo-wied-nia dokład-nie wtedy, gdy ma być... Cóż, to sztuka.

– Witte.

Mój puls przy-spie-sza na dźwięk two-jego niskiego, dźwięcz-nego głosu. Wyła-niasz się zza rogu z jadalni, nio-sąc szklankę i pusty talerz ze sztuć-cami balan-su-ją-cymi na wierz-chu. Na mój widok gwał-tow-nie się zatrzy-mu-jesz.

– Co robisz? – pytasz, marsz-cząc brwi.

– A na co to wygląda? – rzu-cam w odpo-wie-dzi, posy-ła-jąc ci przez ramię dłu-gie spoj-rze-nie. Nie zdra-dzam emo-cji, ale twoje nagłe poja-wie-nie się mną wstrząsa.

Noz-drza ci się roz-sze-rzają. Uno-szę brew, wie-dząc, że wyzwa-nie zawsze roz-grzewa w tobie krew w naj-lep-szy spo-sób. Pozwa-łam ci zoba-czyć, jak bar-dzo i pil-nie cię potrze-buję; chcę, żebyś to wie-dział.

Wewnątrz jestem znacz-nie mniej opa-no-wana. Jesteś tak przy-stojny, że dech zapiera. Twoja skóra ma natu-ral-nie muśnięty słoń-cem odcień, który tak dobrze współ-gra z ciem-nym poły-skiem two-ich wło-sów i zamy-śloną posęp-no-ścią aksa-mit-nych brą-zo-wych oczu. Ścią-gnięte brwi utwo-rzyły zmarszczkę, ale zmarszczki tylko dodają ci uroku. Popo-łu-dniowy zarost kon-tu-ruje twoją mocno zaci-śniętą szczękę. Jest kwa-dra-towa i wyrzeź-biona, a mocny pod-bró-dek rów-no-waży zmy-sło-wość jędr-nych, peł-nych ust.

Jesteś praw-dzi-wym arcy-dzie-łem.

– Pozwoli pan, że to wezmę – mówi Witte.

– Pora-dzę sobie, Witte. – Odsu-wasz ręce poza jego zasięg, zabie-ra-jąc talerz i szklankę, ale sztućce pozo-stają w powie-trzu.

Wyrzu-cam rękę do przodu i pal-cami chwy-tam ostrze noża. Jed-no-cze-śnie Witte łapie wide-lec, poru-sza-jąc się z szyb-ko-ścią ata-ku-ją-cej kobry. Przez moment podzi-wiamy nawza-jem swoją zręcz-ność. Potem odkła-dam nóż, odsta-wiam swój kie-li-szek i wycie-ram palce w ser-wetkę.

– Coś ty sobie, do dia-bła, myślała? – war-czysz, wrzu-ca-jąc talerz i szklankę do zle-wo-zmy-waka z dużo mniej-szą ostroż-no-ścią, niż tego wyma-gają te deli-katne przed-mioty.

– Mogłaś się zra-nić!

– To był odruch – mówię po pro-stu. – Każdy by tak zro-bił.

Bie-rzesz moją dłoń i dokład-nie ją oglą-dasz, doty-ka-jąc wnętrza i pal-ców, żeby zoba-czyć, czy gdzieś nie zbiera się krew.

Ten nie-winny dotyk wywiera na mnie głę-bo-kie wra-że-nie. Jego pod-nie-ca-jąca świa-do-mość dociera aż do ramie-nia.

– Nic mi nie jest. – Mój drżący głos zdra-dza reak-cję na cie-bie. – Szczę-śli-wie udało mi się go zła-pać bez pro-blemu.

Wolną ręką pie-sz-czę twoją szczękę. Nie-ru-cho-mie-jesz, wpa-tru-jąc się we mnie inten-syw-nie. Odgar-niam gęsty jedwab wło-sów z twego czoła, a potem wodzę po nim opusz-kami pal-ców. Doty-ka-nie cię to radość i dru-zgo-cące uczu-cie, gdy pochy-lasz się nad moją dło-nią, muska-jąc nosem... za krótko.

Odsu-wasz się gwał-tow-nie. Spoj-rze-nie, które mi posy-łasz, mogłoby sto-pić asfalt.

– Czy zechce pan dołą-czyć do nas na deser? – pyta Witte, wkła-da-jąc twoje sztucce do zle-wo-zmy-waka. – Zro-bi-łem pud-ding. – Jego głos jest gładki i nie-wzru-szony, kiedy wyj-muje z szafki nowy kie-li-szek do wina i sta-wia go obok mnie. Podob-nie jak wszyst-kie pozo-stałe krysz-ta-łowe kie-liszki, i ten ma wygra-we-ro-wany wzór lilii.

Twoje plecy sztyw-nieją w reak-cji na ewi-dentne zało-że-nie, że odpo-wiesz twier-dząco. Zaci-skasz szczęki tak mocno, że tylko cudem zęby przy tym nie pękają. W końcu jed-nak wycią-gasz sto-łek barowy obok mnie. Sia-dasz i odsu-wasz na bok posta-wiony przed chwilą kie-li-szek. Twoje spoj-rze-nie jest utkwione w moim, sku-pione i pło-nące gniewem, gdy bie-rzesz moje wino.

Jedną ze szpa-ko-wa-tych brwi Witte’a unosi się z cichym wyrzu-tem. Patrzysz na mnie, kiedy mówisz do niego:

– Lily nie pije, Witte.

– Mimo to mogę wznieść toast – zastrze-gam. – Pamię-tasz, jak to idzie? – Uno-sząc rękę, zwra-cam się do was obu z uśmie-chem. – Wasze zdro-wie.

Szybki wdech, po któ-rym dołą-czasz:

– Moje zdro-wie.

– Byśmy zawsze żyli w zgo-dzie.

– A jeśli kłót-nia się zda-rzy – twój głos obniża się i łamie – moje serce będzie krwa-wić.

– Moje zdro-wie – koń-czę, stu-ka-jąc się kie-lisz-kiem z tobą i Witte’em.

Wytworny krysz-tał dzwoni i dźwięk ten roz-brzmiewa w ciszy, która nastaje.



## ALIYAH

– Kurwa, kocha-nie, jesteś bli-sko? – sapie, a pot z jego twa-rzy kapie na moje uda. Zapach jego wody koloń-skiej, coś piż-mo-wego i cie-płego, wypeł-nia powie-trze mię-dzy nami. Zaci-skam zęby.

– Nie prze-ry-waj!

Pomru-ku-jąc, Roge-lio zaczyna pchać moc-niej i szyb-ciej. Będę musiała osią-gnąć orgazm pomimo jego wysił-ków, a nie dzięki nim, ale to nic nowego. Zawsze musia-łam zapew-nić sobie wła-sną grę wstęp-ną, jeśli chcia-łam z nim szczy-to-wać. Na tyle młody, by być moim synem, szef ochrony Baha-ran ma dużo ener-gii, ale bra-kuje mu fine-zji.

Trzy-ma-jąc się kra-wę-dzi biurka jedną ręką, się-gam mię-dzy nogi, by potrzeb ćlech-taczkę, gdy jego erek-cja wbija się we mnie. Okrężne ruchy moich pal-ców wywo-łują roz-kosz, która pro-mie-niuje na zewnątrz i cipka mi się zaci-ska. Roge-lio war-czy.

– Jesz-cze nie – dyszę, czu-jąc nara-sta-jące napię-cie. Masuję się despe-racko, dolna część mojego ciała napręża się w oczę-ki-wa-niu.

– Boże, ści-skasz mnie jak pięść – stęka. – Zaraz dojdę.

– Cze-kaj...!

Głowa opada mu do tyłu i Roge-lio jęczy, a jego uścisk na moich bio-drach zacie-śnia się. Potem, gdy się pod-daje, jego rytm się zmie-nia, pręd-kość zwal-nia do jed-nego, dwóch, trzech głę-bo-kich wwier-ceń, gdy się spuszcza.

Zwie-rzęcy okrzyk jego orga-zmu pod-nieca mnie tak, że do niego dołą-czam i wydaję ciche wes-tchnie-nie, gdy napię-cie roz-ła-do-wuje się w przy-pły-wie endor-fin.

Wciąż dyszę, gdy cofa się o kilka kro-ków i opada na krze-sło przy biurku, jego penis jest pokryty lśni-ącym latek-sem i wciąż na pół twardy. Cen-trum mia-sta za oknem za nim to morze migo-czą-cych w pół-mroku świa-teł.

– Cho-lera, nie-zła z cie-bie dupa, Aliyah – mówi, gapiąc się na moje kro-cze i ocie-ra-jąc pot z czoła.

Ukry-wa-jąc nie-smak z powodu jego ordy-nar-no-ści, złą-czam uda i zsu-wam się z biurka, dla rów-no-wagi opie-ra-jąc się dło-nią o blat. Moje nogi przy-sto-so-wują się do nowej pozy-cji po pra-wie trzy-dzie-stu minu-tach, gdy były sze-roko roz-ło-żone.

– Zmię-kły ci kolana? – dro-czy się, prze-su-wa-jąc krze-sło do przodu i wrzu-ca-jąc pre-zer-wa-tywę do kosza na śmieci.

– Nie pochle-biaj sobie, Roge-lio. To nie jest pocią-ga-jące.

– Dobrze, że mój fiut jest – odpo-wiada, ani tro-chę nie obra-żony.

Prawdę mówiąc, jego penis należy do prze-cięt-nych. To reszta jest atrak-cyjna. Ciemne włosy strzyże wysoko i krótko, co może nie wyda-wać się naj-bar-dziej twa-rzo-wym sty-lem, ale nie odbiera mu chło-pię-cej urody – ciem-nych brwi i tęczó-wek, moc-nego pod-bródka, zwar-tej szczęki oraz peł-nych i zawsze uśmiech-nię-tych ust. Ciało ma zadbane, mię-śnie są grube i wydatne, ale nie pękate.

Ale tak naprawdę to jego oczy spra-wiły, że chcę się z nim pie-przyć. Spo-sób, w jaki na mnie patrzą, jest lekko pogar-dliwy i jaw-nie sek-su-alny. Uwa-żam, że spoj-rze-nie ma bez-czelne i lubieżne. Poka-zy-wa-nie mu, gdzie jego miej-sce, że pełni rolę ogiera, jest warte wysiłku.

Wstaje i prze-ciąga się, czu-jąc się abso-lut-nie kom-for-towo i pew-nie w swo-jej nago-ści.

– Idę się umyć – mówi, okrą-ża biurko i wycho-dzi ze swo-jego pokoju, by przejść przez nie-sa-mo-wi-cie ciche i ciemne morze biu-ro-wych bok-sów do mojej pry-wat-nej łazienki.

Czy jest coś rów-nie nie-po-ko-ją-cego, jak ogromna prze-strzeń pozba-wiona życia i ener-gii?

Roge-lio pró-bo-wał mnie nakło-nić do pie-prze-nia się na moim biurku – jak-bym kie-dy-kol-wiek dała mu tę wła-dzę – mówiąc, że wygod-niej mieć łazienkę tuż obok. Będzie musiał usu-nąć z kamer nagra-nia swo-jej wędrówki tam i z powro-tem, ale to dla niego dro-biazg. Mimo wszyst-kich wad jest nie-zwy-kle inte-li-gentny. To uro-dzony dra-pież-nik. Nie tylko zarzą-dza per-so-ne-lem ochrony i sys-te-mem zabez-pie-cza-ją-cym Baha-ran przed szpie-go-stwem, ale poma-gał budo-wać ten sys-tem i zaj-muje się kon-ser-wa-cją jego naj-no-wo-cze-śniej-szych tech-no-lo-gicz-nych roz-wi-ą-zań. Podob-nie jak Amy, miał kie-dyś wła-sną firmę. Teraz pra-cuje dla Baha-ran, cho-ciaż podej-rze-wam, że robi coś na boku, tak dla zabawy. Przy tym, co mu pła-cimy, z pew-no-ścią nie potrze-buje pie-nię-dzy.

Cze-kam, aż drzwi się za nim zamkną, po czym wycią-gam szu-fladę biurka, żeby zna-leźć kod logo-wa-nia. Zmie-nia go tak czę-sto, że już nie zapa-mię-tuje i zapi-suje go na kar-teczce samo-przy-lep-nej. Notuję kod dłu-go-pi-sem na udzie i szybko się ubie-ram. Jestem mokra mię-dzy nogami, ale jakoś to zniosę.

Darius przez dłu-gie godziny pra-co-wał z Kane'em poza biu-rem. Nie prze-jął pałeczki, ponie-waż Kane sam pil-nuje wszyst-kich spraw. Mój naj-star-szy syn kie-ruje firmą z domu, w razie potrzeby wszyst-kie spo-tka-nia odbywa wir-tu-al-nie lub oso-bi-ście w swoim domo-wym biu-rze. Tak więc Darius kom-bi-nuje coś innego i muszę o tym wie-dzieć. Ponie-waż każde naci-śnie-cie kla-wi-sza i roz-mowa tele-fo-niczna wyko-nana na sprzę-cie Baha-ran jest reje-stro-wana, potrze-bują tylko hasła Roge-lia, aby zoba-czyć, co mój średni syn robił w ciągu ostat-nich kilku tygo-dni. Mogła-bym użyć wła-snego loginu, ale wtedy pozo-stałyby ślad. Nie mogę na to pozwo-lić.

Gdy Roge-lio wraca, jest cały mokry i cudow-nie nagi. Spo-gląd-am na niego, kuszona, a on mie-sza się pod moim spoj-rze-niem.

– Żona czeka – mówi. – Musie-li-by-śmy to zro-bić szybko.

Cho-ciaż pod-nieca mnie myśl o żonie, która musi cze-kać cier-pli-wie, pod-czas gdy ja cie-szę się jej mężem, wzmianka o pośpie-chu odbiera mi tę drobną przy-jem-ność. Poza tym nie mia-ła-bym jak wyja-śnić, skąd wzięło się jego hasło na moim udzie.

– Innym razem – mówię, kle-piąc go po policzku, jak małe dziecko. – Ja też muszę wra-cać do domu.

Będę miała wię-cej zabawy, prze-gląd-a-jąc logi sys-temu ochrony. Pysz-nic, kie-li-szek wina, lap-top... Dobrze spę-dzony wie-czór.

Wra-cam do swo-jego gabi-netu po torebkę i zоста-wiam Roge-lia, by wyma-zał wszel-kie dowody naszej schadzki.



## LILY

Wie-dząc, że zawsze bie-rzesz prysz-nic po obu-dze-niu się i przed snem, i sły-sząc pły-nącą wodę, zakra-dam się do two-jej sypialni. Nie-spiesz-nie zbli-żam się do two-jego łóżka, mój wzrok wędruje i reje-struje. Nawet w tej pry-wat-nej prze-strzeni nie ma nic z two-jego oso-bi-stego stylu. Wzdy-cham.

Ten pokój nie mógłby być bar-dziej ste-rylny. Tylko por-tret Lily dodaje mu koloru.

Wpa-truję się w ogromne płótno. Jest tak duże, że na ramę musiało zostać nacią-gnięte tu na miej-scu.

Czy masz mi za złe, że sta-nę-łam mię-dzy tobą a nią, wyide-ali-zo-waną Lily, którą uwiel-bia-łeś przez lata – dłu-żej, niż byli-ście razem? Dla-czego wybra-łeś to zdję-cie? Myślę, że wiem. Kąt jej nad-garstka skie-ro-wany do obiek-tywu uka-zuje tatuaż skor-piona w miej-scu, gdzie prze-biega pul-su-jąca tę-t-nica. Czy jego widok, twój znak zodiaku, dodaje ci otu-chy, czy pogłę-bia udrę-kę?

Zer-kam przez otwarte drzwi łazienki. Nie ma w niej pary i przez szklaną kabinę prysz-ni-cową widzę całą dłu-gość two-jego wspa-nia-łego ciała. Cie-pły przy-pływ pożą-da-nia roz-grzewa moją krew. Potężne mię-śnie ramion i przed-ra-mion napi-nają się, gdy prze-cze-su-jesz włosy pal-cami. Smugi mydlin peł-zną wzdłuż wyrzeź-bio-nych linii ple-ców, ześli-zgu-jąc się po jędr-nych wypu-kło-ściach poślad-ków, zanim spłyną po moc-nych udach i łyd-kach, wiru-jąc wokół odpływu u two-ich stóp.

Chci-wie odno-to-wuję róż-nice mię-dzy tobą a młod-szą wer-sją cie-bie, któ-rej ciała tak bar-dzo pożą-da-łam. Już wtedy byłeś osza-ła-mia-jący. Zasta-na-wiam się, czy będę odporna na twoją więk-szą moc i ele-gan-cję, czy po pro-stu spłonę na popiół w two-ich ramio-nach.

Sły-szę, jak wzdry-gasz się w reak-cji na zimną wodę.

I oto jestem, płonę dla cie-bie. Tor-tu-ru-jesz nas oboje.

Witte już posłał twoje łóżko i wśli-zguję się do niego nago. Tarza-jąc się, wcie-ram zapach swo-jego bal-samu i per-fum w twoje prze-ście-ra-dło i poduszkę. Co wie-czór przy-cho-dzisz do mojego pokoju, ale nie chcę ryzy-ko-wać, że dziś się przed tym powstrzy-masz. Mam też nadzieję, że skło-nię cię do pośpie-chu. Już pra-wie pół-noc. Po kilku ostat-nich tygo-dniach można by pomy-śleć, że kilka godzin dłu-żej nie zrobi róż-nicy, ale po tym, jak zare-ago-wa-łeś na mój dotyk z taką tęsk-notą, nie mogę dłu-żej cze-kać.

Wycho-dzę drogą, którą weszłam, przez twoją gar-de-robę i do salonu. To chyba moje ulu-bione miej-sce w tym domu. Jest jak ukryta szka-tułka na klej-noty, dostępna tylko z two-jej i mojej gar-de-roby, poło-żona mię-dzy nimi i z włá-snym, pié-k-nym wido-kiem na mia-sto. Naprze-ciw okna znaj-duje się komi-nek wpusz-czony w ścianę pokrytą paty-no-wa-nymi lustrza-nymi płyt-kami. Nad pale-ni-skiem wisi opra-wione w ramę lustro, które w rze-czy-wi-sto-ści jest tele-wi-zo-rem. W efek-cie jedyną ozdoba ściany jest posta-rzane odbi-cie Nowego Jorku, który wydaje się wiecz-nie ogar-nięty burzą.

W czę-ści wypo-czyn-ko-wej domi-nuje duży seg-ment w kształ-cie litery U pokryty luk-su-so-wym sza-fi-ro-wym aksa-mi-tem. Jest nie tylko pié-kny, ale także nie-zwy-kle wygodny. Zapra-sza, by zwi-nąć się na nim z książką, wycią-gnąć na drzemkę lub szybki nume-rek albo pole-żeć pod-czas oglá-da-nia filmu. Pośrodku znaj-duje się kwa-dra-towy piko-wany puf z tego samego mate-riału, a na nim duża, lustrzana taca z naj-now-szymi

cza-so-pi-smami, notat-ni-kami z naszymi mono-gra-mami, krysz-ta-ło-wym uchwyt-em na dłu-go-pis i kul-kami z kwarcu osa-dzo-nymi na mosięż-nych nóż-kach. Gdy-bym go włą-czyła, żyran-dol typu sput-nik rzu-całby plamy świa-tła na sufit i ściany.

Po obu stro-nach drzwi do two-jej i mojej gar-de-robey stoją przy-sa-dzi-ste lustrzane kon-sole, ozdo-bione lam-pami, które są odpo-wied-ni-kami żyran-dola. Lustra opra-wione tak jak tele-wi-zor wiszą na sza-fi-ro-wych wstę-gach z kokar-dami. Staję przed tym naj-bli-żej two-jej gar-de-robey, przy-glą-da-jąc się swo-jemu odbi-ciu.

W pobłaż-li-wym świe-tle księ-życa mogę ucho-dzić za kobietę, któ-rej pra-gniesz. Jestem zbyt szczu-pła, tak, a linie wokół ust mam wyostrzone. Maki-jaż smoky eyes ukrywa głę-b-sze osa-dze-nie oczu, ale nic nie może odjąć mojemu spoj-rze-niu życio-wego doświad-cze-nia. Dłu-gie pasma ciem-nych włó-sów wiją się poni-żej piersi.

Odwra-cam się i biorę prze-zro-czy-sty czarny peniuar, który zosta-wi-łam na opar-ciu sofey. Wkła-dam go, zawią-zuję pasek i popra-wiam stru-sie pióra pie-niące się od kolan do rąbka. Potem ukła-dam włosy na ramio-nach i mierz-wię resztę, która opada mi aż do bio-der.

Serce mia-rowo wali mi w piersi. Co zro-bię, jeśli mnie odrzu-cisz? Jak to znio-sę?

Sia-dam na brzegu sofey i bawię się paskiem szla-froka. Być może za wcze-śnie roz-gry-wam swoją jedyną kartę. Za kilka godzin będziemy razem w samo-cho-dzie, pój-dziemy na kon-sul-ta-cję do moich leka-rzy i wró-cimy do domu. To byłby począ-tek, wstęp do roz-mowy, suges-tia, by zjeść lunch w mie-ście. Gdy-bym tylko otwo-rzyła te drzwi, mogła-bym się do cie-bie zale-cać, oca-ro-wać cię i uwieść. Przy-naj-mniej bym spró-bo-wała.

Kto wie jed-nak, czy po pro-stu nie cze-kasz, aż wyniki moich badań będą pra-wi-dłowe. Być może sumie-nie nie pozwala ci męczyć cho-rej kobiety roz-mo-wami o sepa-ra-cji i roz-wo-dzie. Pew-nie wła-śnie dla-tego chcesz mi towa-rzy-szyć, żeby z pierw-szej ręki usły-szeć, że można bez-piecz-nie zakoń-czyć tę mał-żeń-ską farsę. Jeśli tak, to te godziny są wszyst-kim, co mam, zanim się ode mnie ode-tniesz, i nie mogę ich zmar-no-wać.

Nie wiem, jak długo już cze-kam. Czas pły-nie coraz wol-niej. Drzę z zimna i wpa-truję się w komi-nek, chcąc go roz-pa-lić, ale wolę nie roz-pra-szać ciem-no-ści, która mnie chroni.

W końcu drzwi two-jej gar-de-robey otwie-rają się gwał-tow-nie i jak burza wpa-dasz do salonu, wście-kły. Roz-go-rącz-ko-wane spoj-rze-nie utkw-i-łeś w wej-ściu do mojej gar-de-robey, twoje dłu-gie nogi szyb-kimi kro-kami poko-nują odle-głość.

Na moment zamie-ram. Czarne jedwabne spodnie zwi-sają ci nisko na bio-drach. Tułów i stopy masz bosc. Ciemny cień sta-ran-nie wypie-lę-gno-wa-nych włó-sów na klatce roz-ciąga się na twar-dych mię-śniach pier-sio-wych i zwęża w jedwa-bi-stą smugę, która zanu-rza się pod sznur-kiem do zawią-zy-wa-nia spodni. Twoje bicepsy są grube i twarde, napięte przez dło-nie zaci-śnięte po bokach. Mię-śnie brzu-cha mocno sple-cione w wyraź-nie zazna-czone rzędy zbie-gają się w głę-bo-kie rowki pasa Ado-nisa i pod-kre-ślają wąską talię.

Jesteś nie-mal przy mnie, kiedy udaje mi się wstać w ner-wo-wym pośpie-chu, wstrzy-mu-jąc oddech z braku odwagi. Gwał-tow-nie odwra-casz głowę w moją stronę i zatrzy-mu-jesz się zasko-czony. Twoja pierś unosi się i opada w przy-spie-szo-nym ryt-mie.

Uno-sząc pod-bró-dek, opie-ram cię-żar ciała na nodze odsu-nię-tej do tyłu, a wyćwi-czony płynny ruch zmie-nia moją postawę w zapro-sze-nie. W odpo-wie-dzi zaci-skasz szczęki.

Wbi-jasz we mnie wzrok, ostry i oskar-ża-jący.

– Kim jesteś?

Twój głos jest zdu-szony i gar-dłowy. Niczym pło-mień wznie-ci-łeś w pokoju żar. Przed-tem było mi zimno, ale teraz jestem nie-przy-jem-nie roz-grzana.

– Czy to ważne? – Mój głos też jest niż-szy i bar-dziej ochry-pły. Mam suchość w ustach,

zaci-śnięte gar-dło. – Będę, kim-kol-wiek zechcesz.

Twoje prze-ni-kliwe spoj-rze-nie przy-gwał-dza mnie na długą chwilę. Zaci-skasz i roz-luż-niasz dło-nie, nie-spo-kojny ruch napina mię-śnie całego tułowia. Jesteś ero-tycz-nym arcy-dzie-łem, kipią-cym namięt-no-ścią.

Prze-kli-na-jąc pod nosem, znów się zbli-żasz, wol-niej, bar-dziej meto-dycz-nie. Dopra-co-wa-nym, skon-cen-tro-wa-nym ruchem dra-pież-nika. Obcho-dzisz róg sofy i instynk-towny odruch ofiary każe mi się odwró-cić i nie spuszczać cię z oczu. Zamiast tego, gdy zni-kasz mi z pola widze-nia, stoję ple-cami do cie-bie, uda-jąc odwagę i kon-trolę. Odwią-zuję pasek i wzru-szam ramio-nami, tak że peniuar opada, zwi-sa-jąc w zgię-ciach łokci. Ze świ-stem gwał-tow-nie wcią-gasz powie-trze.

Mój puls przy-spie-sza. Roz-chy-lam usta, z tru-dem chwy-ta-jąc oddech. Ocze-ki-wanie i lęk peł-zną mi w górę i w dół po ple-cach. Czuję cię za sobą. Sły-szę cię. Czuję twój zapach – rześki i czy-sty, sil-nie męski. Nie widzieć cię to naj-gor-sza tor-tura.

– Tylko jed-nej kobiety chcę – mówisz ochry-ple, zdej-mu-jąc ciemny lok z mojego ramie-nia i pocie-ra-jąc w pal-cach natu-ralne włosy. Czuję, jak pod-no-sisz ten lok do nosa i sły-szę, jak go wączasz. Opusz-czasz rękę. – Zdej-mij perukę.

Twój ton jest szorstki i zimny. Cie-pło, które gro-ma-dziło się na moim ciele, nagle się roz-pra-sza.

Gar-dło mi się zaci-ska, blo-ku-jąc dostęp powie-trza, któ-rego tak bar-dzo potrze-buję. Czy nie wystar-czam, nawet jeśli wyglą-dam jak ona? Czy jesteś ura-żony tą próbą, czy roz-cza-ro-wany moją porażką?

– Zdej-mij to, *Seta-reh* – mówisz łagod-niej, ale nie-ugię-cie.

Wydaję cichy okrzyk zbo-la-łej nadziei. Los. Prze-zna-cze-nie. To zna-cze-nie imie-nia, któ-rego uży-wasz jako czu-łego słowa. Moje oczy płoną, więc je zamy-kam, pró-bu-jąc opa-no-wać przy-tła-cza-jący nad-miar emo-cji. Tak, moja miło-ści. Jestem twoim losem. Wszech-świat rzu-cił na cie-bie klą-twę, łącząc cię ze mną.

– To nie takie pro-ste – odpo-wia-dam. Potrzeba czasu, by polu-zo-wać klej i jesz-cze tro-chę, by znów nadać mojej fry-zu-rze kształt lśni-ącego boba.

Jed-nym ruchem ręki odsu-wasz ciężką masę wło-sów z mojego ramie-nia, odsła-nia-jąc plecy. Opusz-kami pal-ców obry-so-wu-jesz skrzy-dła feniksa wyta-tu-owane na łopat-kach. W odpo-wie-dzi drzę, a każdy mię-sień napina się z nie-cier-pli-wym ocze-ki-waniem i nie-po-ko-jem. Przy-ci-skasz mocno usta do mojego nagiego ramie-nia. Cie-pło two-jego poca-łunku pro-mie-niuje na całe moje stę-sk-nione ciało.

Potem cie-pło, zapach, twoja ener-gia odda-lają się. Odwra-cam głowę i patrzę z prze-ra-że-niem i nie-do-wie-rza-niem, jak idziesz z powro-tem do swo-jego pokoju.

– Kane...?

Zatrzy-mu-jesz się w pół kroku, dło-nie znów zaci-skasz w pię-ści, twój oddech jest szybki i płytki, jak mój. Mówiąc, sto-isz do mnie tyłem.

– Jeśli mnie chcesz, przyjdź do mnie z prawdą i zostaw swoje kłam-stwa gdzie indziej. Mam ich wystar-cza-jąco dużo.

Drzwi do two-jej gar-de-roby się zamy-kają. Klik-nię-cie zamka brzmi jak wystrzał z pisto-letu.

## LILY

*Stoję na rogu 5 i 47 Ulicy, zato-piona w cie-niu, cie-pło i świa-tło poran-nego słońca pochła-niają zatło-czone wie-żowce Man-hat-tanu, las ze szkła, kamie-nia i stali. Na moich nagich rękach i nogach poja-wia się gęsia skórka. Chłód two-rzy się we mnie, a potem pro-mie-niuje na zewnątrz. Wydaje mi się, że kie-dyś zauwa-ży-łam cię nie-da-leko stąd. Mignię-cie, a potem nic, jak-byś roz-pły-nął się w powie-trzu, pod-czas gdy sta-łam na ulicy oszo-ło-miona i skamie-niała z prze-ra-że-nia. Kosz-mar, któ-rego nie mogę zapo-mnieć ani zigno-ro-wać.*

*Ile-kroć wycho-dzę z miesz-ka-nia, wiem, że możesz mnie zna-leźć. W dziel-nicy, któ-rej popu-la-cja wzra-sta do pra-wie czte-rech milio-nów w dni robo-cze, stale ist-nieje ryzyko, że sys-tem roz-po-zna-wania twa-rzy zdra-dzi moje miej-sce pobytu.*

*Mimo to, czy ty w ogóle poświę-casz mi choćby myśl? Tak łatwo odrzu-casz ludzi, ale wście-kasz się, gdy inni pierwsi posta-na-wiają się zdy-stan-so-wać. Albo cał-ko-wi-cie mnie odrzu-ci-leś, albo jesteś aż nadto sku-piony na zna-le-zie-niu mnie, ślepy na wszystko inne. Ni-gdy nie lubi-leś zosta-wiać niczego przy-pad-kowi i jesteś potwor-nie głodny bogac-twa. Czy kie-dy-kol-wiek naprawdę mnie kocha-leś? Może na tyle, na ile byleś w sta-nie. Może dla-tego, że nale-ża-łam do cie-bie. W końcu byłam osią-gnię-ciem.*

*Przede mną brudne żółte tak-sówki i czarne SUV-y zaty-kają miej-skie arte-rie. Za mną nowo-jor-czycy zbi-jają się w nie-cier-pliwy tłum na chod-niku, cze-ka-jąc na moment, w któ-rym wszy-scy będziemy mogli jak kara-lu-chy prze-biec po gorą-cym asfal-cie. Uliczny hałas dudni ze wszy-stkich stron, ale moje serce bije gło-śniej. Za kilka chwil przejdę obok wej-ścia do budynku, które przy-ciąga mnie wbrew instynk-towi samo-za-cho-waw-czemu.*

*Mogła-bym omi-nąć ten lśniący sza-fi-rowy wie-żo-wiec. Skrę-cić w następną ulicę. Opu-ścić mia-sto, stan, kraj. Per-wer-syjna obse-sja skła-nia mnie jed-nak do ryzyka. To jest nie do odpar-cia. Ukry-wam się od lat, ale powoli staję się coraz mniej ostrożna. Ucieczka nie dała mi nowego życia. Jestem mar-twa pod każ-dym zna-czą-cym wzglę-dem, z wyjąt-kiem oddy-cha-nia.*

*Może skoń-czy-łam z cze-ka-niem na to osta-teczne poże-gna-nie.*

*Świa-tło się zmie-nia. Ruszam bez zasta-no-wie-nia, moje nie-do-rzecz-nie wyso-kie szpilki znaj-dują każdą bruzdę i wgnie-ce-nie w nawierzchni ulicy i stą-pam dosłow-nie na pal-cach. Inne kobiety wokół mnie są roz-sąd-niej-sze, noszą bale-riny lub klapki na słupku. Zapach spa-lin samo-cho-do-wych i ulicz-nych budek z jedze-niem przy-pra-wia mnie o mdło-ści. Nikt nie nawią-zuje kon-taktu wzro-ko-wego. Nie wymie-nia się uśmie-chów. W mie-ście tak żywym, że jego puls ude-rza w nasze zmy-sły jak taran, wszy-scy jeste-śmy auto-ma-tami.*

*Moje imię eks-plo-duje w powie-trzu jak wystrzał z kara-binu, wywo-lu-jąc wstrząs. Nie mogę oddy-chać, nie mogę myśleć.*

*Lek-ce-wa-że-nie zasad ma swoją cenę – odkry-cie.*

## LILY

Budzę się przed świtem, ocknąwszy się ze snu bez snów. Sięgam po tablet leżący obok mnie na łóżku, w miejscu, które, jak miałam nadzieję, wypełnisz ty, i wyłączam alarm. Nie przy-po-mi-nam sobie, kiedy pogrążyłam się w nieświa-do-mo-ści. Pamiętam tylko, jak płakałam, aż rozbołała mnie klatka piersiowa. Nagłe wycofa-nie twojego dotyku i pożą-da-nia zdru-zgo-tało mnie. Zary-zy-ko-wa-łam i prze-gra-łam, ale moż-li-wość, że mógł-bys mnie chcieć, gdy-bym zwró-ciła się do cie-bie jako ja, jest kuszącą nadzieją. Teraz jest rano i swoją tęsk-notę zmie-ni-łam w broń; jest tym, co wypy-cha mnie z łóżka.

Po chwili stoję pod kłu-ją-cym stru-mie-niem prysz-nica, otoczona masyw-nymi pły-tami mar-muru pokry-wa-ją-cymi ściany i pod-łogę. Czarne żyłki wygła-dają jak wid-mowe gałę-zie drzew spo-wite paję-czyną i nie ma dla mnie nic pięk-niej-szego.

Twoja łazienka jest lustrza-nym odbi-ciem mojej i zasta-na-wiam się, dla-czego posta-no-wi-łeś sypial-nię podzie-lić na pół, stwo-rzyć sepa-ra-cję będącą w sprzecz-no-ści z twoją potrzebą, by kłaść się do snu i wsta-wać pod zdję-ciem Lily. Nie mogę pojąć, dla-czego zde-cy-do-wa-łeś się miesz-kać po prze-ciwnej stro-nie apar-tamentu, skoro wszystko w nim jest jej pomni-kiem.

Szybko i spraw-nie przy-go-to-wuję się na cały dzień. Umoż-li-wi-łeś mi to. Usta-li-łeś aż tyle szcze-gó-łów doty-czą-cych pre-fe-ren-cji Lily, od kobie-cych pro-duk-tów do pie-lę-gna-cji po smak pasty do zębów. Pędzle kosme-tyczne z natu-ralnego wło-sia są luk-su-sowe, a ich wytarte rączki zdrad-zają, że to ulu-bieńcy poprzed-niej wła-ści-cielki. Pro-dukty do maki-jażu to jedyna ano-ma-lia, wszyst-kie pocho-dzą z ECRA+, a kolory, któ-rych uży-wam naj-czę-ściej, mają nazwy wyraż-nie inspi-ro-wane Lily.

Czuję się tu jak u sie-bie, jak-bym od zawsze miesz-kała w tej prze-strzeni. To zdumie-wa-jące, zachwy-ca-jące i nie-sa-mo-wite jed-no-cze-śnie.

Pew-nie nie-kóre kobiety nie byłyby w sta-nie pora-dzić sobie z totalną obse-sją, taką jak twoja, ale ja nie jestem nor-malna. Wszyst-kim, czego pra-gnę i potrze-buję, jest twoja miłość.

Ubra-łam się i wła-śnie zasta-na-wiam nad swoim skrom-nym wybo-rem biżu-te-rii, gdy sły-szę ener-giczne puka-nie do drzwi sypialni, dwa szyb-kie ude-rze-nia.

– Jestem tutaj, Witte.

Pod-no-szę wzrok i widzę jego szczy-płą, musku-larną syl-wetkę wypeł-nia-jącą wej-ście do mojego pokoju.

– Śnia-da-nie będzie cze-kało, kiedy pani będzie gotowa.

Gar-de-roba służy za prze-jście mię-dzy salo-nem a sypial-nią, więc mię-dzy nami pozo-staje spora odle-głość.

Witte robi kilka kro-ków w moją stronę. Przy-glą-da-jąc się moim ubra-niom, dotyka jed-nej z zawie-szek umiesz-czo-nych na wie-szaku.

– Dzię-kuję, że je zamó-wi-łeś – mówię.

– Nie-zrów-nana metoda orga-ni-za-cyjna – mru-czy, przy-glą-da-jąc się kar-to-ni-kowi w linie wiel-ko-ści pocz-tówki.

Ist-nieją dwie wer-sje: rysu-nek słońca lub księ-życa ozna-cza dzień lub wie-czór. Z przodu zapi-suję, które górne lub dolne czę-ści pasują do danego ele-mentu stroju. Na odwro-cie notuję, które dodatki – biżu-te-ria, buty, paski i torebki – byłyby naj-bar-dziej

odpo-wied-nie. Odkry-łam karty Lily sta-ran-nie prze-cho-wy-wane w szu-fla-dzie – szczę-śliwy traf – musia-łam tylko dopa-so-wać je do odpo-wied-nich ubrań. W związku z nowymi nabyt-kami popro-si-łam Witte’a, aby skon-tak-to-wał się z dru-ka-rzem, któ-rego logo znaj-duje się na dołą-czo-nym pudełku.

Są teraz apli-ka-cje do orga-ni-zo-wa-nia szaf, ale ta metoda działa i jest nie-oc-e-niona.

– Moja mama uży-wa-ła tego sys-temu w swo-jej gar-de-ro-bie – wyja-śniam. – Uwa-ża-ła, że kom-ple-to-wa-nie stroju w ostat-niej chwili jest nie-roz-ważne. „Bycie dobrze ubraną i zadbaną to zbroja kobiety”, mawiała.

– Zbroja – powta-rza cicho, prze-glą-da-jąc moje odręczne notatki.

– Powie-dzia-ła mi, że w natu-rze ludz-kiej nie leży życz-li-wość dla pięk-nych rze-czy; chcemy je osiąść lub znisz-czyć. Wycho-wa-ła mnie tak, abym była czujna i sto-so-wa-ła war-stwy ochronne. Ubra-nie jest jedną z nich.

– Nie-stety trafne stwier-dze-nie. Pro-szę mi o niej opo-wie-dzieć, jeśli nie ma pani nic prze-ciwko temu.

Na chwilę zamy-kam oczy, przy-po-mi-na-jąc ją sobie. Dłu-gie, gib-kie ciało. Kur-tyna gęstych czar-nych wło-sów. Kocie oczy, żywo inte-li-gentne i olśnie-wa-jąco zie-lone. Sze-ro-kie, ruchliwe usta poma-lo-wane soczy-stą czer-wie-nią. Nie potra-fię sobie nawet wyobra-zić, jak musiał wygłą-dać mój ojciec, skoro patrząc w lustro, widzę tylko matkę. Kiedy byłam mała, wie-rzy-łam, że tylko ona odpo-wia-da-ła za stwo-rze-nie mnie i nie dba-łam o to, że nie mam ojca, jak inne dzieci. Nie potrze-bo-wa-łam go. Mia-łam ją.

– Dla mnie była naj-pięk-niej-szą kobietą na świe-cie – szep-czę, otwie-ra-jąc oczy i spo-glą-da-jąc na swoje dło-nie i lśniący kamień, który mi da-łeś. Posta-na-wiam, że to wszystko, czego potrze-buję, jeśli cho-dzi o biżu-te-rię. Nic innego nie paso-wa-łoby do niego.

Chcia-ła-bym móc cię olśnić, mój uko-chany, i napeł-nić cię taką samą dumą, jaką czuję z two-jego powodu. Może kie-dyś będę miała oka-zję. Mogę mieć tylko nadzieję.

– Wyda-wa-ło się, że była tak osza-ła-mia-jąca bez żad-nego wysiłku – mówię dalej, pod wie-loma wzglę-dami akcep-tu-jąc wła-sny wygląd – ale ciężko nad sobą pra-co-wa-ła. Była samo-ukiem. Ci, któ-rzy ją znali, uwa-żali ją za bły-sko-tliwą i mieli rację.

Witte sięga po kolejną kartę.

– Wydaje się rów-nie impo-nu-jąca jak jej córka.

– Zde-cy-do-wa-nie taka była. Powie-dzia-ła mi, że piękno otwiera drzwi. Że będę uprzy-wi-le-jo-wana tylko z racji bycia ładną i że powin-nam to wyko-rzy-stać.

– Nie-spo-koj-nymi pal-cami prze-krę-cam obrączkę.

Witte odwraca się do mnie.

– Bar-dzo mi przy-kro z powodu pani straty.

– Dzię-kuję.

Jego wzrok oc-e-nia mój strój, od zie-lo-nej bluzki bez ręka-wów wią-za-nej pod szyją na kokardę i skó-rza-nej spód-nicy w tym samym odcie-niu po lakie-ro-wane szpilki z meta-lo-wymi ćwie-kami – model Valen-tino Rock-stud – w odcie-niu nude.

– Myśla-ła pani o dodat-kach?

– Tak, ale muszę popra-co-wać nad swoją kolek-cją. – Wsu-wam wyście-łaną aksa-mi-tem szu-fladę i nie prze-j-muję się tym, że bez kol-czy-ków czuję się naga.

– Jeśli można, chciał-bym coś pani poka-zać. – Witte wyciąga rękę w stronę salonu.

Waham się przez chwilę, nie chcąc zmie-rzyć się ze wspo-mnie-niem sceny upo-ko-rze-nia i porażki z ostat-niej nocy. Ale ponie-waż nie mogę tego wyja-śnić Witte’owi, biorę głę-boki oddech i ruszam przo-dem.

Prze-kro-czyw-szy próg, zwal-niam kroku, żeby mógł mnie wyprze-dzić. Pod-cho-dzi do



kon-soli sto-ją-cej naj-bli-żej mojej gar-de-roby i staje przed lustrem, lekko naci-ska-jąc kciu-kiem nie-zau-wa-żony dotąd przeze mnie czyt-nik linii papi-lar-nych osa-dzony w ramie. Lustro prze-suwa się cicho w górę, ujaw-nia-jąc, że wstęgi tylko pozor-nie służą do jego zawie-sza-nia, jak i to, że skrywa ono sejf. Kolejny odcisk kciuka i Witte wyciąga tace z czar-nego aksa-mitu zamo-co-wane na zawia-sach. Górna odchyła się w górę i pochyla w dół, odsła-nia-jąc rzędy wysa-dza-nych dro-gimi kamie-niami kol-czy-ków. Środ-kowa szu-flada pre-zen-tuje bran-so-letki ten-nis skrzące się wszyst-kimi kolo-rami tęczy. Dolna odchyła się w dół, uka-zu-jąc naszymy-niki od deli-kat-nych po wyra-zi-ste.

Gwał-tow-nie wypusz-czam powie-trze z płuc. Miliony dola-rów w klej-no-tach błysz-czą przede mną.

– To... cał-kiem nie-zła kolek-cja.

Mój głos brzmi chra-pli-wie, nic na to nie pora-dzę. Kolek-cji, którą zgro-ma-dzi-łeś, nie można okre-ślić ina-czej niż monu-men-talna.

– Po każ-dym suk-ce-sie, który pan Black osią-gnął, kupo-wał biżu-te-rię, aby to uczcić.

– Spoj-rze-nie Witte’a ujaw-nia głę-bię jego uczu-cia dla cie-bie. Czuje ból z two-jego powodu.

– Została wybrana z myślą o pani.

– Odniósł wiele suk-ce-sów. – Chcia-łam zabrznieć non-sza-lancko, ale to też mi nie wyszło. Nie ruszam się z miej-sca, nie jestem w sta-nie. Mogę tylko ści-skać dło-nią gar-dło i powstrzy-mać kolejne łzy. Czyż może być bar-dziej oczy-wi-sty dowód two-jego odda-nia pamięci Lily?

Nie mogę kon-ku-ro-wać z twoją pierw-szą żoną. Ona zawsze będzie nie-osią-galna dla nas obojga.

– Włóż szma-ragdy.

Ponie-waż już wibruję emo-cjami zbyt sil-nymi do opa-no-wa-nia, dźwięk two-jego głosu gwał-tow-nie mną wstrząsa. Odwra-cam się i patrzę, jak prze-cho-dzisz przez pokój, idąc w moją stronę z tą samą nie-zwy-kłą, dra-pieżną gra-cją, jak wtedy, gdy zale-wało nas świa-tło księ-życa. Omia-tasz mnie bole-śnie powol-nym spoj-rze-niem, które jest nama-calne i... zabor-cze. Czuję się teraz tak samo naga jak wtedy.

Głę-boko i nisko w swoim ciele roz-pa-lam się dla cie-bie. Ner-wo-wość i nadzieja trze-po-czą w mojej duszy jak skrzy-dła ćmy. Masz na sobie czarne spodnie, szarą koszulę oraz szelki i kra-wat w tym samym odcie-niu co koszula. Mary-narkę zosta-wi-łeś gdzie indziej. Ide-al-nie dobrany strój, fachowo uło-żone włosy i wyra-zi-sta szczęka tylko pod-kre-ślają suro-wość two-jej sek-su-al-no-ści.

Wszystko to piękna klatka, ale w środku jest bestia, nie-bez-pieczna i nie-okieł-znana.

Wystrój pokoju ma w sobie lodo-wa-tość dia-mentu, a paleta barw two-ich ubrań jest chłodna, ale wno-sisz ze sobą ogień. Tem-pe-ra-tura w pomiesz-cze-niu wzra-sta. Widzia-łam, jak twoja inten-sywna zmy-sło-wość wpływa na ludzi wokół cie-bie. Bez-silne kobiety są wcią-gane w twoją orbitę, zwa-bione przez tę potężną męskość. Wszech-świat wło-żył mnó-stwo ener-gii, aby uczy-nić cię dosko-na-łym, a następ-nie zadbał, by nie można było ci się oprzeć, abyś mógł prze-ka-zy-wać te dary potom-stwu.

Pod-cho-dzisz do mnie. Fizyczne roz-po-zna-nie jest natych-mia-stowe i głę-bo-kie. Moje bez-wolne ciało reaguje, roz-grze-wa-jąc się i mięk-nąc. Nie mogę ode-rwać oczu od two-jej twa-rzy, podzi-wia-jąc osza-ła-mia-jącą urodę, którą trak-tu-jesz tak zwy-czaj-nie.

– Są pra-wie tak piękne jak twoje oczy. – Się-gasz po parę dużych wiszą-cych kol-czy-ków z pro-sto-kąt-nymi szma-rag-dami i z wysa-dza-nym bry-lan-tami zapię-ciem.

Ten kom-ple-ment spra-wia mi taką ulgę, że kręci mi się w gło-wie. Nie obcho-dzi mnie, czy powie-dzia-łeś to ze względu na Witte’a. Po ostat-niej nocy każda oznaka cie-pła z two-jej

strony jest ożyw-cza.

Bie-rzesz jeden z osza-ła-mia-jąco pięk-nych kol-czy-ków, zakła-dasz mi włosy za ucho i wsu-wasz go, zapi-na-jąc z tyłu. Płonę z pożą-da-nia. Dotyk kostek two-ich pal-ców muska-ją-cych mój pod-bró-dek i szyję jest tak intymny, jakby twoja dłoń była mię-dzy moimi nogami. Jesteś tak bli-sko, że wypeł-niasz całe moje pole widze-nia. Nie ma nikogo innego na świe-cie. Tylko ty.

Powta-rzasz tę czyn-ność po dru-giej stro-nie, twój oddech deli-kat-nie poru-sza wło-sami na moim cie-mie-niu. Twój zapach ude-rza mi do głowy. Omdle-wam z odu-rze-nia.

To dziwne uczu-cie poży-czać biżu-te-rię innej kobiety. Dom innej kobiety. Męża innej kobiety. Dziwne, ale znam to wszystko dokład-nie. I cie-bie. To jest jak sen. Miej-sce, w któ-rym wszystko jest nowe, ale po krót-kim waha-niu akcep-tuję je jako swoją wła-sność.

– I bran-so-letka – mówisz, zdej-mu-jąc ją z haczyka, na któ-rym wisi.

– Och, czemu nie? – W jakiś spo-sób udaje mi się osią-gnąć non-sza-lan-cję, co wcze-śniej mi się nie uda-wało.

Zapi-nasz mi ją na nad-garstku, twój dotyk roz-lewa cie-pło po całym moim ciele. Kciuk gła-dzi tatuaż skor-piona strze-gący mojego pulsu, a ja drzę. Patrzę z zapa-rym tchem, jak pod-no-sisz moją rękę i pochy-lasz głowę, by poca-ło-wać wyta-tu-owa-nego paję-czaka, a twój język drga nie-cnie, drwiąco, nad tym odwiecz-nym sym-bo-lem i przy-po-mnie-niem o tobie.

Czuję, jak ten język ata-kuje wszę-dzie naraz. Moje bro-dawki twar-dnieją w widoczny spo-sób, nie-skrę-po-wane przez miękki jedwab sta-nika.

– Kane... – Chcę, żebyś ujął w dło-nie moją twarz i poca-ło-wał. Objął mnie. – Dzię-kuję. Uwiel-biam je.

Uwiel-biam cie-bie.

Przez dłuż-szą chwilę patrzysz mi w oczy. Twoje spoj-rze-nie jest son-du-jące, prze-nikliwe i posępne.

– Dajesz im życie, *Seta-reh*.

Potem zosta-wiasz mnie i wra-casz na drugą stronę pokoju, przez gar-de-robę i dalej do swo-jej sypialni.

## AMY

Stoję przy drzwiach frontowych, a masa luźnych loków w odcieniu ceko-lady prze-myka obok mnie jak wichur.

– Och, ła! – Niska, szczupła stylistka Lily ma promienny uśmiech i zdecydowanie za dużo bez-troskiej energii. Na ramieniu ma zawieszony pokrowiec na ubrania, z drugiej strony na bio-drze torbę Chanel przewieszoną przez pierś, a w ręce trzyma torbę od Bergdorfa. – Od razu widać, że ty i Lily jesteście siostrami! Obie jesteście zachwycające.

Zlizuję z ust kawę z dodatkiem Irish Cream Baileysa.

– Jesteśmy szwagierkami – prostuję cierpko.

– Naprawdę?! Nie jesteście siostrami? Wyglądacie bardzo podobnie!

Dobija mnie myśl, że muszę to uznać za komplement, ponieważ Lily ma urodę, jakiej nie spotyka się w prawdziwym życiu. Na profilowanych zdjęciach na Instagramie? Jasne. Na profesjonalnych w fotostudio okładkach magazynów i w reklamach? Absolutnie. Ale twarzą w twarz, tuż przed tobą? Nie.

Szlag mnie trafi, jeśli jej twarz pojawi się we wszystkich reklamach ECRA+.

– Tovah – przedstawia się, wyciągając rękę. – Masz piękne mieszkanie!

– Dziękuję. – Witam się z nią. – Jestem Amy. Masz ochotę na kawę? Wodę? Kie-liszek czegoś?

Nawet jak na mnie jest za wcześnie, żeby zacząć pić, ale kiedy zobaczyłam w swojej poczcie alert wyników wyszukiwania Google, wszystko się zatrzymało: moje serce, oddech, czas. Nie wiem, jak długo siedziałam w ciemności, wpatrując się w linię tekstu: „Google Alert – Vincent Searle”. Cza-sem mój umysł budzi się w środku nocy i nie mogę ponownie zasnąć. Zamiast sprawdzić pocztę, powinienam była przeczytać książkę. Jedno z orgietkowych roman-sidel Suzanne mogłoby mnie znużyć tak, że znów zapałabym w sen.

Ilu cholernych ludzi nazywa się tak jak mój ojciec? Wystarczająco wielu, żeby spieprzyć mi dzień alarmu o jakimś Vincentcie Searle'u z Daytony, który w lokalnej gazecie miał coś do powiedzenia na temat systemu bibliotecznego. To nie mój ojciec ani nie jego nekrolog. Co nie zna czy, że tata nie zmarł, tylko że w jego życiu nie ma nikogo, kto mógłby napisać o nim coś dobrego. Moi rodzice zawsze albo się pieprzą, albo się kłócą, z rzadkimi okresami ciszy i spokoju, przez co nie nadają się na towarzysstwo przyjaciół i rodziny.

Zawsze sądziłam, że matka zabije ojca, czy to rozwalając mu czaszkę żeliwną patelnią, czy wywołując zawał, gdy będzie go spieprzyć do kresu wytrzymałości. Każdego dnia może być tak albo tak, w zależności od tego, jak bardzo jej odbije i jak pijany jest ojciec. W każdym razie spodziewam się, że opuszczę ten świat z taką samą siłą, w jakiej żyli.

Zasługuję na cholernego drinka po rozpoczęciu dnia od tego gównianego alarmu.

– O mój Boże, szkoda, że nie mogę przyjąć tego drinka – odpowiada ze śmiechem Tovah, a jej ciemne oczy błyszczą. – Ale po tobie mam następną klientkę, więc nie mogę. I mam w torbie wodę, więc nic więcej mi nie trzeba. Zaczęłam nosić jedną z tych aluminiowych butelek, żeby pić więcej wody i być miłą dla planety. Mogę to położyć tutaj, czy powinnyśmy pójść do twojej garderoby? – Przekłada na przedramię pokrowiec na

ubrania.

– Mój pokój jest tam. – Pokazuję jej gestem, żeby szła przede mną, żebym mogła ocenić, co naprawdę myśli o wystroju mojego mieszkania. – Ostatnie drzwi po prawej.

Idąc za nią, popijam kawę i przyglądam się jej ubraniu. Dzinsy nad kostkę, szpilki z paskami, wiązana z przodu biała koszula i żakiet Chanel w jasnych, pastelowych barwach. Obraca głowę w lewo i w prawo, patrząc na obrazy na wszystkich ścianach, prostą abstrakcyjną malowaną złotą farbą na białym płótnie. Pragnęłam urządzić dom w stylu penthouse'u, nadać mu mroczną zmysłowość gotyckiej bohemy. Darius nie chciał o tym słyszeć. W ogóle nie pozwolił na wiele w kwestii koloru. Nasze mieszkanie jest utrzymane głównie w odcieniach bieli, kremu i złota. Kiedy się sprzeciwiałam, powiedział, że biel podkreśla moją urodę. Jak niby miałam się z tym spierać?

Teraz tkwię w domu, który przypominam mi o Aliyah. Mogłam dodać trochę tego, co chciałam, za pomocą jutowych dywaników, futrzanych pleców i makramowych poduszek – o ile były one zgodne z ulubioną paletą kolorów Dariusa, czyli w odcieniu lodów waniliowych. To tak, jakby musiał robić wszystko dokładnie odwrotnie niż Kane (choć i tak przypłył ten sam typ kobiety). Wzdycham sfrustrowana.

Czasem czuję się, jakbym była uwięziona w wyściełanym białą gąbką pokoju w psychiatrii.

Gdy Tovah wchodzi do mojego pokoju, jej cichy okrzyk zaskoczenia napętnia mnie satysfakcją. Niedawno urządziłam go na nowo według własnego gustu. Graficznie szara futrzana narzuta przykrywa łóżko, a zagłówek obity jest czarną skórą z błyszczącymi srebrnymi ćwiekami. Na podłodze leży czarny dywan z botanicznym wzorem, a nad łóżkiem wisi zdjęcie pantery na jednolitym czarnym tle. To seksowny pokój, nawet jeśli ściany mają kolor beżowo-szary, a nie szary, którego na razie nie wybrałam. Mimo całej swojej miłości do jaskrawej bieli, Darius woli pieprzyć mnie tutaj.

– Co za garderoba! – mówi, kładąc pokrowiec na wypie. – To marzenie każdej kobiety! A neutralne kolory to podstawa każdej szafy. Potrzebujesz tylko kilku kolorowych akcentów i kilku modnych elementów, które będziemy wymieniać co sezon. To nie będzie...

– Podoba mi się styl Lily – wchodzi jej w słowo, bo nie sądzę, żeby inaczej się zamknęła. – Jak ten strój z gorsetem, który miała na sobie w dniu, kiedy byłeś w penthouse. Tego właśnie chcę.

Wyraz twarzy Aliyah, kiedy Lily weszła do biblioteki...? Kurewsko bezcenny. Ledwie mi się udało nie parsknąć ginem przez nos. Kilka godzin po tym, jak wyszliśmy z Dariusem, odnalazłam swoje poczucie humoru i śmiałam się tak mocno, że brzuch mnie bolał jeszcze przez kilka dni. Darius powiedział, że mam załamanie nerwowe, bo tak głośno ryczałam ze śmiechu.

Prawie mnie nie obchodzi, że wszyscy mężczyźni w pokoju tego dnia – poza Witte'em z jego zwykłym kijem w dupie – stali tam z wytrzeszczonymi oczami, jakby nigdy wcześniej w całym swoim krótkim życiu nie widzieli kobiety. Cieszę się, że Lily budziła się na tyle długo, by nieźle wystraszyć Aliyah. Ale zadanie Lily jest skończone, więc teraz już może umrzeć. Właściwie obie mogą umrzeć i skończyć w dobrym stylu.

– Och, wiem, no nie? – Tovah wzdycha niemal z uwielbieniem. – Nosila to, zanim się pojawiłam, więc niestety nie mogę sobie przypisać zasługi, ale to był jeden z tych strojów, które robią wrażenie. Gorset był vintage. Tak naprawdę większość jej garderoby to designerskie ubrania vintage, które albo dostała od matki – zmarła, czy to nie smutne? – albo zdobyła z drugiej ręki. Z pewnością wie, gdzie i jak robić zakupy. Ma świetne oko. Wie, w czym dobrze wygląda, a jej szafa to marzenie każdej fashionistki. I jest taka piękna, wysoka

i szczy-pła. Jak super-mo-delka. Na figu-rach takich jak jej wszystko wygląda świet-nie. I na two-jej! Ale jej styl, ten rodzaj gotyc-kiej bohemy, tak naprawdę nie jest w modzie, wiesz?

Przy-ci-skam palce do lewej powieki, która drga pod wpły-wem gwał-tow-nego skur-czu mię-śni. Jasna cho-lera, czy ta kobieta nie wie, jak się, kurwa, zamknąć?! Jak Lily to znosi? Ja chyba nie mogę. A bio-rąc pod uwagę, jak słabo Tovah sprze-daje swoją zdol-ność do odtwo-rze-nia stylu Lily, myślę, że nie będę musiała.

Tovah grze-bie w swo-jej tor-bie.

– Kupiła tylko kilka rze-czy, które zasu-ge-ro-wa-łam. Tak czy ina-czej, teraz na topie jest mil-len-nial pink – Insty-tut Pan-tone nazywa go różem kwar-co-wym, ale to kolor roku – i przy two-jej kar-na-cji mogła-byś w nim wymia-tać.

– Różowy?! – pytam z nie-do-wie-rza-niem. Doty-ka-łam każ-dej cho-ler-nej rze-czy w gar-de-ro-bie Lily i ni-gdzie nie było nawet odro-biny różu.

Dziew-czyna roz-pina zamek bły-ska-wiczny pokrowca.

– Spójrz na to cudło! A z dodat-kami, które przy-nio-słam, będzie odpo-wied-nio sek-sowne.

To bla-do-ró-żowy żakiet zawie-szony na ciem-no-sza-rej jedwab-nej koszulce z koronką i cien-kim czar-nym aksa-mit-nym naszyj-ni-kiem owi-nię-tym wokół uchwytu wie-szaka.

– Żar-tu-jesz sobie?! – wydu-szam z sie-bie, czu-jąc, że twarz zaczyna mi pło-nąć. Moja lewa dłoń zaci-ska się w pięść, a prawa ści-ska uchwyt kubka tak mocno, że boję się, że pęk-nie. Mam ochotę chlu-snąć jej w twarz swoją gorącą kawą, a potem kub-kiem zwa-lić ją z nóg. Płacę gada-tli-wej suce, żeby zro-biła mi meta-mor-fozę w stylu Lily, a ona przy-nosi mi coś, czego żona Kane’a ni-gdy by nie wło-żyła?

Odwró-cona do mnie tyłem Tovah opusz-cza pokro-wiec na pod-łogę, odsła-nia-jąc spodnie w kom-ple-cie do żakietu.

– Prawda? Czyż ten zestaw nie jest wspa-niały? A naszyj-niki obroże to ostatni krzyk mody. Przy-nio-słam też koper-tówkę i szpilki z czar-nego aksa-mitu. Są w tor-bie.

Pod-cho-dzi do haczyka, zache-pia na nim wie-szak i cofa się, podzi-wia-jąc.

– Kolor jest zde-cy-do-wa-nie kobiecy, ale krój gar-ni-turu męski i biz-ne-sowy.

Biorę głę-boki oddech. Odcień różu jest naprawdę ładny. Mimo to mówię:

– Nie wyobra-żam sobie, żeby Lily wło-żyła coś takiego. Ni-gdy.

– Ten kolor? Nie. Może nawet nie gar-ni-tur, ale ona nie jest kobietą biz-nesu, jak ty.

– Odwraca się i patrzy na mnie, jej dłu-gie loki koły-szą się wokół szczy-płych ramion. Jest taka drobna; przy niej czuję się tak wysoka jak Lily. – Doda-łam jed-nak tro-chę gotyc-kich akcen-tów w postaci czar-nego aksa-mitu, jedwa-biu i koronki, ale naj-moc-niej-szym prze-sła-niem, jakie chcemy prze-ka-zać, jest to, że jesteś kobietą, która kie-ruje biz-ne-sem. Kiedy zapy-ta-łam Lily, czym się zaj-muje, odpo-wie-działa, że jej praca polega na dba-niu o to, by jej mąż dobrze wyglą-dał. Nie żeby potrze-bo-wał pomocy pod tym wzglę-dem. Widzia-łam go w prze-lo-cie i... uff. Męż-czyźni nie zjeż-dżają zbyt czę-sto z linii mon-ta-żo-wej tak w pełni wypo-sa-żeni, a szkoda. A tak przy oka-zji, czy to twój brat?

– Nie. Szwa-gier. – Biorę łyk kawy, żeby zmyć nie-smak, który pozo-stał mi w ustach po nazwa-niu Kane’a w ten spo-sób. Nie chcę być jego „rodziną”.

– Oooh, więc jesteś żoną jego brata. Szczę-śliwa dziew-czyna. Czy on ma jesz-cze jed-nego brata?

Pry-cham, odpo-wia-da-jąc:

– Ma.

Jej brwi uno-szą się z zain-te-re-so-wa-niem.

– Żonaty?

– Nie.

– Ech... Szkoda, że jestem mężatką. – Uśmiecha się. Zewnętrzne kąciki jej oczu w kształcie migdałów są uniesione, nadając jej lisi wygląd, co akurat jest bardzo ładne. – W każdym razie uderzając seksowny wygląd jest częścią jej pracy. Ty natomiast masz pracowniców i klientów. Chcesz, by widzieli, jak piękną jesteś kobietą, ale także szanowali cię i rozumieli, że jesteś kompetentna, energiczna i sprawujesz władzę.

– Lily była tym wszystkim, mając na sobie ten strój.

– Nie, nie, nie. Lily była tym wszystkim pomimo tego stroju – poprawia mnie. – Pewność siebie jest najseksowniejszą rzeczą, jaką kobieta może nosić. Ona ma jej bardzo dużo. Ty też. Oto moje uzasadnienie... Pracujesz w mediach społecznościowych. Chodzi o wyznaczenie trendów i odgrywanie istotnej roli. Lily jest vintage. Ty chcesz teraz nieścisłości.

Zaciśkam usta. Może Tovah jednak zna się na rzeczy? Kto by się domyślił?

Cholera. Czy gdybym dzisiaj spróbowała założyć firmę, poniosłabym porażkę? Trzy lata minęły jak trzy tygodnie, teraz róż jest pięknym kołem roku, a ja nie mam pojęcia, co jest trendy. Muszę przestać się użalać i ruszyć tyłek do biura, zacząć być na bieżąco i sprawić, by moi pracownicy przypomnieli sobie, dla kogo tak naprawdę pracują. W przeciwnym razie, gdy Dariusz wydościan Social Creamery spod skrzydeł Bahara i poda mi je na talerzu, spieprzę to. Mowy nie ma, żeby dała Aliyah tę satysfakcję.

Lepšie jednak będą wtedy porównania z Lily. Teraz to widzę, Lily i ja stoimy obok siebie na jednym z przyjęć Kane'a, a wszyscy goście szepcąc rozmawiają o nas za naszymi plecami.

– *Czy one są siostrami?*

– Przez małżeństwo.

– Czym się zajmujesz ta z długimi włosami?

– To Amy. Jest właścicielką i dyrektorką kreatywną Social Creamery; przenoszą marki na wyższy poziom.

– *A ta, która ubiera się jak Mor-ticia Addams?*

– *To jest Lily. Pracuje na kolacjach lub na plecach, stawiając i sflaczając penis Kane'a.*

Chi-cho-czę. Moja szwagierka to bezwartościowa suka.

– Po prostu to przymierz – przekonuje Tovah. – Jeśli ci się nie spodoba, nauczę się czegoś, co udośkonali moje przysze sugestie dla ciebie. Ale myślę, że się zachwycisz i będziesz wyglądać jak najseksowniejszy szef, jakiego kiedykolwiek widziano. A ja przygotuję kilka gotyckich stylizacji na nieformalne i półformalne imprezy.

Jednym haustem wychyliłam resztę kawy. Wzruszam ramionami i podchodzę do garnituru. Jest bardzo różowy. Bardzo piękny. Bardzo nie w stylu Lily. Mimo to dam mu szansę.

## LILY

Winda cicho pogwizduje, zjeżdżając z dziewięć-dzie-sią-tego szóstego piętra. Patrzę na prze-su-wa-jące się szybko cyfry, ale nie prze-szko-dziły mi zauważyć, że wycofałeś się w róg kabiny i ze wzrokiem utkwionym w telefonie czytasz e-maile. Zamknąłeś się znów w swojej pięknej, mar-twej skorupie. Czy już żałujesz swojej dobroci i ciepła, które mi okazałeś?

Czuję się zraniona, ale gniew wzbiera we mnie falą. Manipu-lujesz mną? Trudno uwierzyć, że mąż, który zgromadził kolekcję skar-bów jako dar miłości dla uko-cha-nej żony, i mąż-czy-zna, który nie chce dzielić ze mną posiłku, to jedna i ta sama osoba. Naj-wy-raż-niej nie potrafiś nawet sta-nąć obok mnie w windzie.

Na serdecznym palcu masz pla-ty-nową obrączkę, a spinki do man-kie-tów i spinka do kra-wata są inkru-sto-wane liliami. Chcesz, żeby świat wyrażnie wiedział, że jesteś zajęty, ale jeszcze nie połączyłeś tego zobowiązania ze mną. Zaczynam wierzyć, że nigdy tego nie zrobisz. Co gor-sza, zaczynam to akceptować.

Drzwi windy otwierają się na podziemny parking, range rover czeka w asyście parkingowego w libirii. Otwiera przede mną tylne drzwi, ale ty się włączasz, podając rękę, by pomóc mi wsiąść. To nie jest konieczne; gdy drzwi się otworzyły, z podwozia wysunął się stopień. Po prostu urządzasz kolejne przedstawienie, a ja gram swoją rolę, błyskając wdzięcznym uśmiechem do ciebie, a potem do parkingowego. Ten odwzajemnia uśmiech w powściągliwie uprzejmy sposób, jaki należy się uroczym towarzyszkom potężnych mężczyzn. Za jego stania rzucaś mu chłodne spojrzenie, które sprawia, że szybko obchodzi maskę, by porozmawiać z Witte'em.

Okrążasz tył samochodu i wsia-dasz obok mnie. Na oparciu siedzenia są uchwyty na kubki, rozłożone tak, że jesteśmy rozdzielni. Nie-ważne. Nasza bliskość wystarczy, by w powietrzu wzrosło napięcie. Nie-widzialne iskry trzeszczą, przeska-kują łukiem między nami jak błyskawica, porażając wszystkimi moimi zmysłami.

Wyjeżdżamy z garażu i włączamy się do ruchu. Znów skupiasz się na telefonie, sprawnie pisząc obydwoma kciukami. Wyglądam przez okno, wsia-ka-jąc wzrokiem w miasto. Ulice są jak zawsze zatłoczone, chociaż poranek o tej porze może być wyjątkowo trudny. Domi-nują tak-sówki i limuzyny, nie-bez-piecznie ści-gając się z autobusami ozdobionymi reklamami promogramów telewizyjnych i odzieży. Piesi reprezentują wszelkie typy, od biegaczy po biznesmenów w elegancjach gar-ni-turach. Pacholki na chodniku ostrzegają przed otwartym wejściem do piwnicy, gdy mąż-czy-zna w fartuchu znosi do niej po schodach skrzy-nie z ciężarówkami dostawczymi.

Jest tam muzyka. I śmiech. Posiłki dzielone z najbliższymi. Historie przekazywane od jednego przyjaciela do drugiego. Piękni kochankowie. Nowy Jork kwitnie; co sekundę powstaje milion wspomnień. Ale jestem od tego wszystkiego z dala. Jeszcze nie tak dawno marzyłam o tym, by nigdy nie opuszczać pen-thouse'u, by zostać tam tylko z tobą na zawsze. Teraz nie sądzę, żebyśmy mogła dłużej to znieść.

Wzdycham ciężko i odwracam wzrok od pulsującego energią miasta. W siatkowej kieszce oparcia siedzenia znajdują się czasopiśma. Prze-glądam je, znajdując „Forbesa”, „Robb Report”, „duPont Registry” i „People”. Ten ostatni jest tak różny od

pozo-sta-łych, że go wycią-gam i zauwa-żam, że jest to numer „Naj-sek-sow-niej-szy Męż-czy-zna Świata”. Dwayne John-son zdobi okładkę w bia-łej koszulce i dżin-sach. Jest wspa-niały, ale nie zga-dzam się z wybo-rem doko-na-nym przez maga-zyn. Naj-sek-sow-niej-szy męż-czy-zna sie-dzi obok mnie i nie chce mieć ze mną nic wspól-nego.

Prze-rzu-ca-jąc strony, zauwa-żam ogło-sze-nia o ślu-bach par, które przed-tem były zwią-zane z innymi oso-bami, reklamy pro-gra-mów tele-wi-zyj-nych, o któ-rych ni-gdy nie sły-sza-łam i kon-ty-nu-acji nie-zna-nych fil-mo-wych serii. Jestem tak sku-piona na tym, jak bar-dzo byłam odcięta od życia, że twoje zdję-cie na stro-nach maga-zynu zaska-kuje mnie. Sie-dzisz przy stole kon-fe-ren-cyj-nym w jed-nym ze swo-ich fan-ta-stycz-nie skro-jo-nych gar-ni-tu-rów. Zdję-cie uka-zuje zbli-że-nie two-jej twa-rzy. Twoje oczy się tlą, a zmy-słowe usta są lekko roz-chy-lone, ale się nie uśmie-chają.

Zamy-kam szybko maga-zyn i cho-wam go z powro-tem do kie-szeni w opar-ciu. Potem odchy-łam głowę do tyłu i zamy-kam oczy.

– Zawsze masz mdło-ści, kiedy pró-bu-jesz czy-tać w samo-cho-dzie – zauwa-żasz z roz-tar-gnie-niem.

Po raz pierw-szy łączysz prze-szłość z teraź-niej-szo-ścią. Tłu-mię absur-dalną nadzieję, która we mnie kieł-kuje. Nie można zjeść ciastka i mieć ciastka: być jed-no-cze-śnie daleko i intym-nie. Będziesz musiał doko-nać wyboru.

– Źle spa-łam i jestem zmę-czona – odpo-wia-dam. – Przy-dałby mi się dobry tre-ning. Coś, co wyci-śnie ze mnie pot.

Z zamknię-tymi oczami sły-szę, jak nabie-rasz powie-trza. Ton two-jego głosu jest jed-nak swo-bodny, kiedy mówisz:

– Leka-rze mówią, że powin-naś odpo-czy-wać.

– Od tygo-dni nic innego nie robi-łam. Myślę, że już wystar-cza-jąco wypo-czę-łam.

– Byłaś w śpiączce, nie zro-bi-łaś sobie drzemki – war-czysz. Nastę-puje chwila prze-rwy, w któ-rej zapa-no-wu-jesz nad sobą i gdy znów się odzy-wasz, twój głos jest zwod-ni-czo miły. – I przy-po-mi-nam ci, że mamy domową siłow-nię.

– To nie to samo, prawda?

W twoim mil-cze-niu jest chłód.

– A ty? – pytam, otwie-ra-jąc oczy i odwra-ca-jąc głowę na opar-ciu sie-dze-nia, by na cie-bie spoj-rzeć. – Spa-łeś jak dziecko?

Wzrok masz utkwiony w ekra-nie tele-fonu.

– Jak śpią dzieci?

– Nie wiem. Powin-ni-śmy jakieś zro-bić i się dowie-dzieć?

Mię-sień drga w two-jej szczę-ce.

– Spa-łem dobrze.

Uśmie-cham się leciutko.

– Kłamca.

– Scho-waj pazury, *Seta-reh*. – Jesteś opa-no-wany, w twoim gło-sie sły-chać zale-d-wie cień gniewu. Ten poziom kon-troli mnie eks-cy-tuje, pod-nieca mnie tak samo jak twoja pło-nąca wście-kłość.

W ciszy, która nastę-puje, sły-szę przy-ci-szony głos Janis Joplin nama-wia-ją-cej kochanka, by wziął kolejny kawa-łek jej serca. Się-gam w dół i pokrę-cam gło-śność za pomocą przy-ci-sków na panelu ste-ro-wa-nia.

Przez resztę drogi roz-wa-żam swoje opcje. Czas to luk-sus, któ-rego nie mam. Poży-czy-łam go, ale mój ogra-ni-czony zapas się koń-czy.

Jestem tak sku-piona na swoim wewnę-trz-nym wzbu-rze-niu, że ledwo zwra-cam uwagę



na przyjazd do szpitala i przejście do sali konferencyjnej.

– Cie-szę się, widząc, że tak dobrze wyglą-dasz, Lily – mówi dok-tor Hamid z cie-płym uśmie-chem.

Siada na krze-śle przy czar-nym stole kon-fe-ren-cyj-nym z chro-mo-wa-nymi nogami. Ja po prze-ciw-nej stro-nie. Ty w ogóle nie będziesz sie-dział. Pokrę-ciw-szy głową, odrzu-ci-łeś uprzejme zapro-sze-nie dok-tor Hamid.

Zamiast tego prze-mie-rzasz salę meto-dycz-nym kro-kiem ostroż-nego dra-pież-nika. Sta-jąc nad nami, wyda-jesz się jesz-cze wyż-szy, a twój nie-po-kój nała-do-wuje atmos-ferę w pomiesz-cze-niu.

Boisz się leka-rzy, kochany? Szpi-tali? Czy zapach cho-roby i roz-kładu wywo-łuje u cie-bie mdło-ści? Czy ukłu-cie igły wcho-dzą-cej w mięk-kie ciało mrozi krew w żyłach?

To coś, czego o tobie nie wiem, jedna z nie-skoń-czo-nych nici, które two-rzą to, kim jesteś w głębi. To wła-śnie te włókna, od fobii po żar-li-wość, sple-tają się w jed-nostkę.

Pogo-dzi-łam się z tym, że pro-sze-nie o odwza-jem-nie-nie mojej miło-ści jest nie-spra-wie-dliwe. Ty nawet sie-bie nie kochasz. Nawet ja sie-bie nie kocham.

Cóż z nas za para, wewnątrz-nie roz-bici, ale zwią-zani ze sobą pożą-da-niem i śmier-cią.

– Prze-pra-szam za spóź-nie-nie – mówi dok-tor Gold-stein, wcho-dząc do pokoju w zre-lak-so-wa-nym nastroju, który zaprze-cza jego prze-pro-si-nom. To psy-cho-log, który mnie testo-wał i badał, i wysuwa krze-sło, na któ-rym wcze-śniej sie-działa dok-tor Hamid.

Łysie-jący, z nie-chlujną rudawą brodą, stale utrzy-my-waną jako trzy-dniowy zarost, jest nijaki. Jego oliw-ko-wo-szary gar-ni-tur w kratę jest o roz-miar za duży i nie mógłby się bar-dziej róż-nić od stroju dok-tor Hamid; jej czer-wony sal-war kamiz wibruje kolo-rem pod bia-łym kitem. Odpo-wia-dała za uzdro-wie-nie mojego ciała, pod-czas gdy dok-tor Gold-stein grze-bie w moim umy-śle.

Nie lubię go, ani tro-chę. Jego stop-nie naukowe są wyż-sze od moich, ale w naj-lep-szym razie ma tylko aka-de-micką wie-dzę. Patrzy na mnie jak na robaka, któ-rego chce obej-rzeć pod mikro-sko-pem, ale nie może dotrzeć do mojego umy-słu. Nie ma umie-jęt-no-ści ani mocy, by sta-wić czoło moim demo-nom.

– Dzię-kuję, że pan do nas dołą-czył, dok-to-rze Gold-stein – mówi dok-tor Hamid, uśmie-cha-jąc się jak zawsze uprzej-mie, ale doce-niam kry-tyczny błysk w jej oku. Pod jej opie-kuń-czą postawą i barwną kobie-co-ścią kryje się lekarka, która bar-dzo poważ-nie trak-tuje swoją pracę i nie mniej ocze-kuje od innych.

Tak jak wcze-śniej byłeś wzbu-rzony, tak teraz nagle sta-jesz za mną w głę-bo-kim bez-ru-chu, obiema rękami ści-ska-jąc opar-cie mojego krze-sła.

Dok-tor Hamid zaczyna, zwra-ca-jąc się bez-po-śred-nio do mnie.

– Mnó-stwo wyko-na-nych przez nas ska-nów dało obraz, który zba-dali spe-cja-li-ści neu-ro-lo-dzy, i ich wnio-ski są zgodne – twój mózg nie doznał żad-nych uszko-dzeń.

– Fizycz-nie – wtrąca dok-tor Gold-stein.

– Tak, oczy-wi-ście – przy-znaje nie-cier-pli-wie dok-tor Hamid. – Roz-ma-wiamy o mózgu, a nie o umy-śle. Co wię-cej, raporty fizjo-te-ra-peuty były entu-zja-styczne. Mówi, że jak na kobietę o tak kru-chym wyglą-dzie jesteś zaska-ku-jąco silna, nawet po trzech tygo-dniach bez-ru-chu. W sumie jesteś osobą o nad-zwy-czaj-nym zdro-wiu.

– Fizycz-nie – uści-śla znów dok-tor Gold-stein.

Gwał-tow-nie odsu-wasz krze-sło obok mnie i sia-dasz na nim z ener-giczną ele-gan-cją. To bar-dzo sek-sowne, ta moc pano-wa-nia nad sobą.

Dopiero gdy sły-szę twój drżący oddech i widzę, jak usa-da-wiasz się na nie-wy-god-nym krze-śle, zbyt małym dla two-jej wy-so-kiej syl-wetki, w końcu poj-muję: to nie nasze oto-cze-nie

spra-wiło, że jesteś tak zde-ner-wo-wany. Się-gasz po moją dłoń i trzy-masz ją bar-dzo mocno.

– Ach, mar-twił się pan – domy-śla się dok-tor Hamid, a jej spoj-rze-nie wyraża współ-czu-cie. – Prze-pra-szam, myśla-łam, że wyra-zi-łam się jasno, że roko-wa-nia są bar-dzo dobre. Byli-śmy po pro-stu ostrożni, może nad-mier-nie.

Twoja klatka pier-siowa unosi się i opada, noz-drza się roz-sze-rzają z każ-dym głę-bo-kim wde-chem. Wszy-scy cze-kamy, żebyś coś powie-dział, a wtedy zdają sobie sprawę, że nie możesz.

Uśmie-cham się pro-mien-nie, by wypeł-nić ciszę.

– Same dobre wia-do-mo-ści.

Zaci-skasz palce na moich.

– Czy są jakieś ogra-ni-cze-nia doty-czące aktyw-no-ści fizycz-nej?

Gdy wspo-mi-nam twoją uwagę na temat domo-wej siłowni i to, na co wtedy reago-wa-łeś, mój uśmiech słab-nie i pró-buję uwol-nić rękę. Twój chwyt zaci-ska się do tego stop-nia, że jeśli nie usta-pię, będę musiała zro-bić scenę.

Dok-tor Hamid kręci głową.

– Nie ma żad-nych ogra-ni-czeń aktyw-no-ści.

– Żeby było jasne – kon-ty-nu-ujesz. – Mogę bez obaw kochać się z żoną?

Szttyw-nieję. Czy wła-śnie to cię powstrzy-my-wało? Czy to może być aż tak pro-ste?

Nie. To nie wyja-śnia, dla-czego tak sta-ran-nie mnie uni-ka-łeś.

Jej uśmiech jest życz-liwy.

– Powie-dzia-ła-bym, że wzno-wie-nie intym-no-ści sek-su-al-nej po tak dłu-giej i bole-snej sepa-ra-cji może być tylko dobre dla was obojga.

– Zabu-rze-nia sek-su-alne to jedna z nie-zli-czo-nych kom-pli-ka-cji, które mogą wynik-nąć z amne-zji dyso-cja-cyj-nej. – Dok-tor Gold-stein czub-kami pal-ców bębni w blat stołu. Nogi ma skrzy-żo-wane, a krze-sło odchy-lone do tyłu. – Pod-kre-ślam bar-dzo mocno, jak ważne jest natych-mia-stowe roz-po-czę-cie tera-pii. Byłaś temu nie-chętna. Rozu-miem, że samo-dzielne bada-nie pro-wa-dzone pod nad-zo-rem bywa trudne szcze-gól-nie w przy-padku stu-den-tów psy-cho-lo-gii, któ-rzy mogą sądzić, że są w sta-nie ana-li-zo-wać i dia-gno-zo-wać sie-bie bez niczy-jej pomocy. Zabu-rze-nia takie jak twoje są jed-nak rzad-kie i wska-zują na poważną emo-cjo-nalną traumę.

Palce mojej wol-nej ręki zwi-jają się we wnę-trzu dłoni.

– Jestem tego świa-doma.

– A ja nie – wtrą-casz. – Może pan wyja-śnić, co pana nie-po-koi?

– Umysł nie jest jak kaseta VHS, którą można ska-so-wać i nagrać ponow-nie. Wie pan, co to jest kaseta VHS, panie Black?

– Tak, oczy-wi-ście – odpo-wia-dasz sar-ka-stycz-nie. – Uro-dzi-łem się w roku osiem-dzie-sią-tym trze-cim.

– Ach, teraz poczu-łem się staro – mówi z krzy-wym uśmie-chem. – Umysł pań-skiej żony podzie-lił traumę na czę-ści; nie wyma-zał jej. Pod-świa-do-mość Lily dobrze wie, co ona wycier-piała, i gdy zosta-nie uru-cho-miona, zare-aguje sil-nie. Nie mamy poję-cia, jakie mogłyby być bodźce. Sztorm. Widok łodzi. Coś tak pro-stego jak pio-senka, któ-rej mogła słu-chać. To będzie coś, co jej pod-świa-do-mość koja-rzy z traumą.

Dok-tor Gold-stein sku-pia się na tobie, ale dok-tor Hamid przy-gląda się mnie.

– Amne-zję uogól-nioną naj-czę-ściej dia-gno-zuje się u wete-ra-nów wojen-nych i ofiar napa-ści na tle sek-su-al-nym – cią-gnie psy-chia-tra – i w takich sytu-acjach możemy prze-wi-dzieć pewne czyn-niki wyzwa-la-jące. W tym przy-padku nie wiemy, czy utratę pamięci przy-spie-szył eks-tre-malny stres zwią-zany z walką o prze-trwa-nie, czy coś zupeł-nie innego.

Być może doznała traumy po dotarciu do brzegu lub podczas akcji ratunkowej, kiedy była zupełnie bezbronna. Nie wiemy, co się wydarzyło, ale wiemy, że było to doświadczenie wykraczające daleko poza to, co jej umysł mógł zaakceptować.

Ściszasz moją dłoń, aż obrączka mojego pierścienia jest jak ostrze. Twoje ciemne oczy odzwierciedlają okropności, które widzisz w wyobraźni. Nie chcę, żebyś się zadreślał, ale może to właśnie robisz, odkąd mnie znalazłeś. Ta rozmowa prawdopodobnie tylko wzmacnia twoje najgorsze obawy.

Doktor Goldstein mówi coraz bardziej podnieconym głosem, a oczy płoną mu z ciekawości. W jego lekarskiej praktyce trafiło się coś rzadkiego i pali się, by dogłębnie to prześledzić.

– Ostatnie sześć lat przeżyła w stanie znanym jako fuga dysocjacyjna – mówi. – Jej trauma była tak wielka, że umysł wykonał całkowity reset. Powrót do życia, które prowadziła wcześniej, nie był postrzegany jako realna opcja.

Odchrząknijesz.

– Nie wydawała się czuć niekomfortowo w naszym domu ani ze mną.

– Pozorna obojętność pańskiej żony wobec tak ekstremalnego doświadczenia jest dobrze udoświadczoną reakcją. – Zbývá twoją uwagę swobodnym tonem; jest zupełnie pewny swojej diagnozy. – To tak samo normalna reakcja, jak niepokój czy dezorientacja. Nawet nie znając źródła traumy, możemy założyć pewne przybliżone reakcje. Lily może mieć koszmary i – lub – retrospekcje. Mogą u niej wystąpić zaburzenia odżywiania i snu. Może przejawiać zachowania auto-destrukcyjne. Depresja i myśli samobójcze są bardzo poważnym zagrożeniem, zwłaszcza jeśli nie będzie wracać do traumy w bezpiecznym środowisku klinicznym.

– Do tej pory nic z tego nie było problemem – opowiem.

Doktor Goldstein prostuje się gwałtownie i pochyla nad stołem.

– Czy miałas poczucie odrwania od siebie lub swoich emocji? Czy twoje postrzeganie otoczenia lub ludzi wokół ciebie wydawało się nierealne lub niekształcone? Czy czujesz, że twoja tożsamość jest nieodpowiednia, przekrzywiona lub rozmyta?

Krew mrozi mi się w żyłach. Strach zapada się w żołądek jak gład.

– Jestem sześć lat do tyłu, dokto-rze – mówię najspokojniej, jak potrafię. Niech mnie dia-bli, jeśli okażę zbyt wiele emocji i zostanę nazwana histeryczką. – Świat zmienił się pod wieloma względami. Czuję się jak podróżniczka w czasie, ale zaryzykowałabym stwierdzenie, że nie jest to nieoczekiwane ani nieuzasadnione.

– Jak leczy się coś takiego? – pytasz.

– Spróbujemy odzyskać jej wspomnienia za pomocą hipnozy. Podawanie leków również może ułatwić ten proces. Następnie będziemy pracować razem, aby przeanalizować traumę i zająć się nią.

Śmieję się cicho. Opieka psychiatryczna wciąż jest średnio-wieczna pod wieloma względami. Nie mówiąc o tym, jak on zwraca się do ciebie, jakby mnie tu nie było albo nie byłabym w stanie zrozumieć jego wyjaśnień. Joseph Goldstein nie będzie grzebał w moim umyśle, żeby się podbudować.

Zerkasz na mnie, a ja odwracam do ciebie głowę. Pozwalam ci czytać moje myśli przez okno mojego spojrzenia. Twój żelazny uścisk na mojej dłoni rozluźnia się, a potem ściszasz ją uspokajająco, a krew znów napływa mi do palców kłująco falą.

– Dziękuję za wyjaśnienie, dokto-rze – mówisz. – I dziękuję za wyjątkową opiekę nad moją żoną, doktor Hamid. Jestem pani dłużnikiem.

– Tak – dodaję. – Bar-dzo dzię-kuję.

Lekarka się uśmie-cha.

– Od czasu do czasu doświad-czamy cudów. To, że nie dozna-łaś zła-mań kości ani obra-żeń wewnętr-znych, jest z pew-no-ścią jed-nym z nich. To była dla mnie przy-jem-ność, Lily, robić, co w mojej mocy, i zoba-czyć, że tak dobrze wyglą-dasz.

– Kiedy chce-liby pań-stwo umó-wić się na wizytę? – naci-ska dok-tor Gold-stein.

– Mogę zna-leźć wolne miej-sce po połu-dniu. Naprawdę nie powin-ni-śmy tra-cić czasu.

Wsta-jesz ze swo-bod-nym wdzię-kiem, a potem wycią-gasz rękę, by mi pomóc. Potrze-buję pomocy. Nogi mi się ugi-nają, myśli kłę-bią się w gło-wie. Nic, co tu powie-dziano, nie było nie-spo-dzianką. Uni-ka-łam kon-se-kwen-cji i już dłu-żej nie mogę.

– Na jakiś czas wyjeź-dzamy z mia-sta – mówisz mu. – Zadzwo-nimy do pana po powro-cie.

Gold-stein zaci-ska usta.

– Powta-rzam, że nie pole-cam, aby-ście pań-stwo radzili sobie bez wspar-cia tera-pii. Osoby będące w sta-nie pań-skiej żony mają ogromne trud-no-ści z utrzy-maniem rela-cji. Wzno-wie-nie współ-ży-cia może utrud-nić ponowne połą-cze-nie emo-cjo-nalne w waszym mał-żeń-stwie zamiast je wzmoc-nić.

– Weź-miemy to po uwagę. – Jesz-cze raz dzię-ku-jesz leka-rzom, poda-jesz im rękę i wypro-wa-dzasz mnie z sali kon-fe-ren-cyjnej.

Nie odzy-wasz się, gdy cze-kamy na windę, mimo że jeste-śmy sami, ale trzy-masz mnie mocno przy sobie, gdy drugą ręką piszesz szybką wia-do-mość na tele-fo-nie. Kiedy już jeste-śmy w kabi-nie i zjeź-dzamy na dół, sta-jesz za mną i obej-mu-jesz mnie ramio-nami.

– Jest agre-sywny – mówisz cicho – i spra-wił, że czu-łaś się nie-swojo. Przy-kro mi, że to on prze-pro-wa-dził serię testów, któ-rym zosta-łaś pod-dana. Powin-naś była coś powie-dzieć.

Sztyw-nieję, mój oddech staje się płytki. Twoja bli-skość teraz i dystans, gdy wyszli-śmy z pen-tho-use'u, przy-pra-wia mnie o zawrót głowy.

– To nie jest temat, który mia-łam ochotę oma-wiać z Witte'em.

Cie-pło twego ciała roz-ta-pia chłód, który mam w sobie. Twój inten-sywny, męski zapach mnie otula, sepa-ru-jąc od groź-nych zapa-chów sil-nych środ-ków dezyn-fe-ku-jących i cho-rób okry-tych stra-chem.

Czuję na ple-cach twoją klatkę pier-siową, gdy mnie obej-mu-jesz coraz moc-niej.

– Źle sobie ze wszyst-kim pora-dzi-łem, prawda? Byłem zbyt ostrożny.

– Oględ-nie mówiąc – stwier-dzam uszczy-pli-wie. Pró-buję wyswo-bo-dzić się z two-jego uści-sku, ale nie pozwa-lasz.

– Nie mogłem ryzy-ko-wać, że wywrę na cie-bie zbyt duży nacisk, zbyt szybko, zwa-żasz-cza gdy wszy-scy leka-rze ostrze-gają mnie, żebym ogra-ni-czył twój stres. Nic, co do cie-bie czuję, nie jest deli-katne.

– A może cho-dzi o to, że nic nie czu-jesz.

– *Seta-reh*. – Żar-li-wie przy-ci-skasz usta do mojej skroni, ści-ska-jąc mnie mocno. – Za bar-dzo cię pra-gnę. Zawsze tak było. Prze-pra-szam.

Brak pew-no-ści, czy jesteś szczery, jest pod-stępną tor-turą.

– Nie musia-łeś kła-mać, mówiąc o wyjeź-dzie z mia-sta. Chcia-łam mu powie-dzieć, że nie ma naj-mniej-szej szansy na dostęp do mojego umy-słu za pomocą nar-ko-ty-ków, hip-nozy czy cze-go-kol-wiek innego. Chce opu-bli-ko-wać stu-dium przy-padku i wygła-szać wykłady. Nie pozwolę nikomu pobie-rać moich wspo-mnień dla oso-bi-stych korzy-ści.

– Nie okła-ma-łem go. I zga-dzam się, to nadęty dupek. – W twoim gło-sie poja-wia się uśmiech. – Cho-ciaż jego aro-gan-cja dzia-łała na naszą korzyść, kiedy detek-tywi go

prze-słu-chi-wali. Do gro-bo-wej deski będzie prze-ko-ny-wał o słu-sz-no-ści swo-jej dia-gnozy.

Przy-gry-zam wargę. Czy dok-tor Gold-stein był dla mnie naj-lep-szym wybo-rem, czy naj-ko-rzyst-niej-szym w tych oko-licz-no-ściach? Trudno poznać prawdę, nawet jeśli zapy-tam, a ty zechcesz odpo-wie-dzieć.

– Czy jego wyja-śnie-nie było pra-wi-dłowe?

Nie pytam, w któ-rej czę-ści, bo wszystko było trafne, a teraz ogar-nia mnie cie-ka-wość. I nadzieja. Dokąd wyjeż-dzamy? Ile to jest „na jakiś czas”?

– Tak.

– Chcia-ła-byś spo-tkać się z kimś innym? – Twój głę-boki, wywa-żony ton głosu mnie uspo-kaja. Już wcze-śniej mnie nim hip-no-ty-zo-wa-łeś. – Chciał-bym, żebyś spró-bo-wała.

– Dla-czego? Będziemy pró-bo-wać rato-wać nasze mał-żeń-stwo? A może masz nadzieję, że tro-chę psy-cho-ana-lizy sprawi, że zapo-mnę o tobie i znowu zniknę? W końcu nie dałeś żad-nego znaku, że chcesz mnie mieć przy sobie.

Zapada przy-tła-cza-jąca cisza.

– Stra-ci-łaś całe lata – syczysz mi do ucha. – Nie chcesz wie-dzieć, co się pod-czas nich działo?

Winda zatrzy-muje się płyn-nie i otwiera na par-te-rze. Bie-rzesz mnie za rękę i idziemy w stronę głów-nego wej-ścia. Skra-casz krok, aby-śmy w parze prze-szli przez hol. Głowy się odwra-cają i spoj-rze-nia podą-żają za nami. Jakże mogłyby ina-czej? Jesteś taki wysoki i nie-sa-mo-wi-cie przy-stojny, a ja w swo-ich szpil-kach wyglą-dam, jak-bym miała ponad metr osiem-dzie-siąt wzro-stu.

Ema-nu-jesz pew-no-ścią sie-bie i cie-płem ognia, który cię napę-dza. Pod wie-loma wzglę-dami i z wielu powo-dów iść obok cie-bie to zara-zem udręka i radość.

Kiedy wycho-dzimy ze szpi-tala, odcią-gasz mnie na bok, do wnęki na zewnątrz, z dala od tłumy prze-pły-wa-ją-cego przez auto-ma-tyczne prze-su-wane drzwi.

– Zada-łem ci pyta-nie, *Seta-reh*. Odpo-wiedz mi.

– Jakie to ma zna-cze-nie, co pamię-tam? Wydaje się, że w naszym mał-żeń-stwie nie ma wiele do ura-to-wa-nia. Czego chcesz ode mnie poza eks-po-no-wa-niem two-jej kolek-cji biżu-te-rii?

Zaci-skasz te swoje wyra-zi-ste szczęki.

Znie-chę-cona i zgorzk-niała, mówię dalej:

– Nie chcesz mojego towa-rzy-stwa. Nie chcesz mnie pie-przyć. Nie chcesz nawet dzie-lić ze mną sypialni. Zamie-rzasz dalej pie-przyć się z innymi kobie-tami? Swoją drogą, jak ci się to uda-wało przy tym gigan-tycz-nym zdję-ciu, z któ-rego patrzę? A może o to cho-dzi? Lubisz, kiedy się przy-glą-dam? Czy ich to nie prze-raża? Chyba nie. Jesteś tak wspa-niały, sek-sowny i bogaty, że praw-do-po-dob-nie pozwo-li-łyby ci się prze-le-cieć na Times Squ-are.

Przez moment trwa wście-kłe mil-cze-nie, a potem pada:

– Skoń-czy-łaś?

– Czy mam taką samą sek-su-alną wol-ność?

Teraz pło-mień roz-pala się w two-ich oczach. Mimo to opa-no-wu-jesz się i trzy-masz język za zębami.

Fakt, że nawet nie potra-fię cię roz-gnie-wać tym, że mogła-bym sypiać z innymi męż-czy-znami, mówi mi wszystko, co muszę wie-dzieć. Z wyjąt-kiem jed-nej rze-czy...

– Dla-czego po pro-stu nie popro-sisz o roz-wód? Możesz mieć te cho-lerne pie-nią-dze, Baha-ran, wszystko. Ja chcę tylko spo-koju.

Ruszam z miej-sca, by przejść obok cie-bie, i wydaję zdu-szony okrzyk bole-snego zasko-cze-nia, gdy szar-piesz mnie, wci-ska-jąc z powro-tem pomię-dzy sie-bie i mur wnęki,

jak-bym była krnąbrnym dzieckiem wymagającym dyscypliny. Potem mocno mnie obejmujesz. Twoje potężne ciało emanuje wściekłością i gniewem. I ze zdumioną radością spostrzegam, że masz niewątpliwą – i imponującą – erekcję.

Twoje wargi, tak jędrne i zmysłowe, są tuż nad moim czołem, gdy pytasz cichym, namiętym szepcąc:

– Czy to naprawdę wszystko, czego chcesz?

Emanuje z ciebie gorące, seksualne pożądanie. I nerwowa, niespokojna energia.

Uderza mnie, że moja odpowiedź ma dla ciebie tak wielkie znaczenie, że czeka na nią trzymając cię w napięciu. Jak-bym mogła nie pragnąć cię bardziej niż następnego oddechu.

– Nie wiem, Kane, czym jest spokój, żeby mieć choćby nadzieję, że go chcę. To ty jesteś wszystkim, czego potrzebuję. Zawsze byłeś.

– *Seta-reh*. – Przygarbiasz mnie mocno i przycisniesz usta do mojego czoła. To taki prosty gest, a jednak czuję, jak ulga uwalnia napięcie z twojego ciała. – Tego właśnie potrzebowałem – żebyś mi powiedziała, że wciąż mnie pragniesz.

– Wydawałeś się taki zły na mnie.

Odsuwając się, obnażasz zęby, zanim mi się odgryziesz.

– Podjąłeś decyzję, która odebrała mi cię na sześć lat! Masz cholerną rację, że jestem na ciebie zły.

Chłód w mojej krwi wreszcie ustępuje. Będę nosiła ślady twoich palców przez wiele dni, ale nie obchodzi mnie to. Uspokajam się w twoim uścisku, który rozluźnia się w odpowiedzi.

Twój głos też łagodnieje.

– Spałem beznaście, tak jak każdej nocy, którą spędziłem bez ciebie. Jeśli chcesz dziecka, zajdziemy w ciążę. Jeśli nie chcesz iść na terapię, nie pójdziemy. Mamy osobne sypialnie, bo nie potrafiłem pozbyć się twoich rzeź, ale nie mogłem funkcjonować, widząc je, czując ich zapach, dotykając ich codzienność.

Ujmując moją twarz w dłoń, opierasz czoło na moim.

– Przyrzekliśmy porzucić wszystkich inne osoby i tak się stanie. Ty to zrobisz. Ja, absolutnie, do cholery, zrobię. W mojej sypialni nigdy nie było innej kobiety. A rozwód nie jest teraz i nigdy nie będzie brany pod uwagę. Czy coś pominałem?

Twój kciuk gładzi teraz moje ramię, tam i z powrotem, kojąc i stymulując. To mimo-wolna pieśń, instynktowny ruch.

– A jeśli lepiej nie powiedzieć, co robiłam przez ostatnie sześć lat? – pytam. – A gdy-bym zrobiła straszne rzeczy?

– Nie obchodzi mnie to. To niczego nie zmienia.

– A jeśli byłam prostytutką? – Te słowa ranią cię głęboko i czuję, jak się wzdrygasz.

– Co by było, gdy-bym han-dlowała nielegalną broń lub narkotykami? Rabowała? Zabiła? Kto to, kurwa, wie?

– Kogo to, kurwa, obchodzi? – powtarzasz ze złością. – Mówiłem ci, to nie ma dla mnie znaczenia. Wtedy byłaś kimś innym. Byłaś Ivy York.

– Ale Ivy York jest we mnie. Ona nie jest abstrakcją. Istniała. I istnieje. Jeśli mam być doskońca, żebyś mnie pokochał, to z nami już koniec. – Odwracam wzrok i widzę, że range rover podjeżdża do krawężnika. – Czy tego właśnie chcesz? Zakończyć to i być wolnym?

– Nie musisz być doskońca, a ja nie chcę być wolny. – Chwytny mój podbródek, abym znów na ciebie spojrzała. – To, że chociaż przez chwilę pomyślałaś, że cię nie chcę, dowodzi, że naprawdę spieraliśmy sprawę.

Bie-rzesz mnie za rękę i pro-wa-dzisz do samo-chodu.

Witte czeka przy otwar-tych drzwiach, bacz-nym spoj-rze-niem prze-szu-ku-jąc ulicę z pro-fe-sjo-nalną czuj-no-ścią. Jego mary-narka jest tak pre-cy-zyj-nie skro-jona, że tylko sprawne oko dostrzeże broń w kabu-rze na ramie-niu.

Niebo jest inten-syw-nie nie-bie-skie. Blask słońca ośle-pia, odbi-ja-jąc się od kilo-me-trów pio-no-wych szkła-nych ścian okry-wa-ją-cych żela-zne szkie-lety wie-żow-ców. Dzień jest zbyt piękny, zbyt dosko-nały, by trwać.

Moje serce drży, oddech jest szybki i płytki. Przez chwilę byłeś sobą. Widzia-łam cię. Sły-sza-łam. Czu-łam twój dotyk.

To nie seksu pra-gnę, cho-ciaż nie jest tak, że go nie chcę. To two-jej czu-ło-ści potrze-buję. Two-jego uczu-cia. Zro-bię wszystko, żeby cię do mnie spro-wa-dzić. Nawet to.

– Jeśli znaj-dziemy kogoś, komu mogę zaufać, to pójdę – pro-po-nuję, nie mogąc zwal-czyć nadziei na wię-cej. Być może nie zostało ci nic, co mógł-byś mi dać, poza swoją żądzą i atry-bu-tami suk-cesu. Utrata uko-cha-nej osoby jest jak młot, który roz-bija jaźń, by stwo-rzyć ją na nowo. Nikt nie jest już taki sam, kiedy żałoba go prze-mieni. Czy Lily trzyma twoje serce tak mocno, że ni-gdy nie będzie nale-żało do mnie? Być może zawsze będę źró-dłem bólu, a ona wspo-mi-na-nym źró-dłem rado-ści.

Czy mogę żyć, mając wszystko oprócz two-jej miło-ści? Czy mam wybór? Bez cie-bie jestem pozba-wiona opar-cia.

Kiedy docho-dzimy do samo-chodu, odwra-casz się do mnie.

– Dzię-kuję.

– Czy chcą pań-stwo naj-pierw wró-cić do pen-tho-use'u? – pyta Witte.

– To nie jest konieczne. Kiedy przy-je-dziemy na miej-sce, będziemy mieli wszystko, co nam potrzebne.

Chcę zapy-tać, co masz na myśli, dokąd jedziemy, ale powiesz mi, jeśli zechcesz, żebym wie-działa. Przez głowę prze-la-tuje mi myśl o lecze-niu w zakła-dzie psy-chia-trycz-nym, ale ją odrzu-cam. Nie mogłeś mi tego zro-bić. Nie zro-bił-byś tego. A może?

Obser-wu-jesz mnie z lek-kim uśmie-chem, gdy wsu-wam się na tylne sie-dze-nie.

– Zanim wyru-szamy... Chcia-ła-byś zoba-czyć główną sie-dzibę Baha-ran?

Jeśli cze-goś się w życiu nauczy-łam, to chwy-ta-nia krót-kich prze-bły-sków szczę-ścia, kiedy się poja-wiają.

– Chcia-ła-bym zoba-czyć, co zbu-do-wa-łeś.

– Co my zbu-do-wa-li-śmy – popra-wiasz mnie, a przy-ciem-niane szyby tłu-mią świa-tło sło-neczne, gdy zamy-kasz drzwi auta.



## AMY

Zbli-ża-jąc się do wej-ścia do budynku Cross-fire, łapię swoje odbi-cie w sza-fi-ro-wym lustrza-nym szkłe i uśmie-cham się. Za chwilę przejdę przez obro-towe drzwi w mie-dzia-nej futry-nie, by prze-jąć kon-trolę nad swoją firmą i życiem.

Nucę *Into You* Ariany Grande. To już jest jeden z naj-lep-szych dni w moim życiu. Obu-dzi-łam się na swoim łóżku z twa-rzą do dołu, z kuta-sem Dariusa poru-sza-ją-cym się we mnie. Dwa orga-zmy póź-niej był z powro-tem w swoim pokoju i brał prysz-nic, a ja piłam pierw-szą fili-żankę kawy. Potem Tovah wpa-dła na chwilę. Teraz nad-szedł czas, aby pod-jąć dzia-ła-nia, o któ-rych mówił Darius. Muszę wyko-nać swoją część zada-nia i go wes-przeć. I wywa-lić jego cho-lerną asy-stentkę.

Moje cien-kie jak szpi-ku-lec do lodu szpilki stu-kają wład-czym ryt-mem po mar-mu-ro-wej posadzce ze zło-tymi żył-kami. Przy-cią-gam mnó-stwo spoj-rzeń. Uno-szę głowę. Dla-czego czę-ściej nie przy-cho-dzę do pracy? Czuję się jak bogini. Cho-lerna kró-lowia. Wszyst-kie te nie-robry krę-cące się w holu nie mają poję-cia, jak to jest naprawdę mieć na coś wpływ w tym świe-cie, skoro to Social Cre-amery spra-wiła, że Baha-ran jest dziś docho-dową firmą, poma-ga-jąc gru-ba-som schud-nać, a sta-rym face-tom mieć erek-cję.

Dzięki mnie Social Cre-amery stwo-rzyła przy-ja-zny wize-ru-nek tro-skli-wej, wybie-ga-ją-cej w przy-szłość firmy Baha-ran, jakiego nie miała żadna inna firma far-ma-ceu-tyczna. Big Pharma pole-gała na swo-ich bada-niach mar-ke-tin-go-wych, pro-mu-jąc ideę, że ciężko pra-cują nad opra-co-wa-niem lekarstw. Ludzie nie chcą słu-chać o tym, co może się poja-wić na rynku za kilka lat. Chcą pomocy dzi-siaj i chcą wie-rzyć, że ktoś się nimi choć tro-chę prze-jmuje.

Cho-ciaż strze-li-sta sza-fi-rowa iglica, jaką jest Cross-fire, to sto-sun-kowo nowy doda-tek do pano-ramy Man-hat-tanu, stała się już ulu-bio-nym punk-tem orien-ta-cyj-nym w krę-co-nych w mie-ście fil-mach i seria-lach tele-wi-zyj-nych. Posia-da-nie tutaj sie-dziby firmy dużo zna-czy i jest to jedyna rzecz, za którą mogą być nie-chęt-nie wdzięczna Aliyah.

Mija-jąc sta-no-wi-sko ochrony, macham straż-ni-kom w czar-nych gar-ni-tu-rach. Jeden z nich stoi, lekko marsz-cząc brwi, jakby mnie nie roz-po-zna-wał.

No cóż, ja też nie poznaję tego idioty. To on ma za zada-nie wie-dzieć, kim jestem. Ja nie muszę zwra-cać na niego uwagi.

Zbliża się pora lun-chu i sporo osób kręci się w holu. Dotkną-w-szy kartą czyt-nika, prze-cho-dzę przez bramkę i dum-nym kro-kiem kie-ruję się w stronę rzędu wind. Naci-skam guzik dzie-wią-tego pię-tra, tupiąc stopą w ocze-ki-wa-niu. Drzwi windy po mojej lewej stro-nie otwie-rają się i – można się było tego spo-dzie-wać! – z kabiny wysia-dają Gideon i Eva Cross, on trzy-ma-jąc rękę nisko na jej ple-cach. Jedną z wielu zalet posia-da-nia budynku jest to, że windy mogą jeź-dzić bez zatrzy-my-wa-nia się, aby zabrać zwy-kłych śmier-tel-ni-ków.

Wzru-szam ramio-nami, popra-wia-jąc swój strój w stylu Lily, i bły-skam uśmie-chem.

– Cześć! Wybie-ra-cie się na lunch?

– Amy – mówi Gideon na powi-ta-nie. Stoi, jak zawsze, tuż za żoną, w taki spo-sób, że patrzy przez jej ramię. To łatwe, bo jest od niej o wiele wyż-szy. Zawsze two-rzą zjed-no-czony front, jed-ność, a nie dwoje osob-nych ludzi. Pod-ręcz-ni-kowe współ-uza-leż-nie-nie, według mnie.



Błyszczące usta Evy w kolorze nude wyginają się w zadowalającym uśmiechu kota, który wypił śmieć, ponieważ grzmoci się z tym przy stojakiem jakby waliła w bęben. Far towna suka.

– Tak, jesteśmy głodni. Swoją drogą wyglądasz fantastycznie! Podobają mi się twoje garnitury.

– Dziękuję.

Pyszni się nieco, bo rzeczywiście wyglądam rewelacyjnie. Ona też cholernie dobrze, jak zawsze. Dziś jej strój to koszulowa biało-czarno-złota sukienka Versace z paskiem i charakterystycznym logo z głową Meduzy. On ma na sobie czarny trzyzęściowy garnitur, białą koszulę i biały krawat w cienkie złote paski. Zawsze tak koordynują swoje ubrania. To obrzydliwe. Lord i lady Nowego Jorku z ich wymiotnym połączeniem wyrazowym – GidEva oraz ich słodki mały pieś.

Na zewnątrz jest horda paparazzi, którzy tylko czekają, by się pojawił. Zanim za kilka minut przejdę obok recepcji Baharan, najnowsze zdjęcia państwa Cross będą już wszędzie. Guru stylu będą zachwycać się sukienką i dodatkami Evy. Youtuberki będą kopiować jej wysoko zawiązany, długi koński ogon, nawet jeśli nie będą w stanie użyć w pełni tego idealnego odcienia blond. Twórca jej ośmiocentymetrowych, okrągłych złotych kolczyków będzie mnie bombardował reklamami na platformach społecznościowych, wykrzykując jej wizerunek. O ile wiem, Social Creamery odpowiada za konto projektanta biżuterii.

Na Gideonie, którego garnitury są szyte na miarę i zbyt drogie dla dziewczęciuch, procent światowej populacji, nie jest tak samo łatwo zarobić, ale i tak go uwielbiają. Jego lśniące czarne włosy sięgają z tyłu do kołnierza. To szalenie seksowny styl, w którym wyglądałby nie do rzeźby każdy mężczyzna, z wyjątkiem Hugh Jackmana czy Keitha Urbana, którzy nosili fryzury podobnej długości. Jego oczy mają niewiarogodnie piękny kolor, ciemnoniebieski, robiący większe wrażenie niż jasny błękit Armanów, i jedyna okazja, gdy pozwalają zajrzeć do jego błęskotliwego biznesowego umysłu jest wtedy, gdy patrzy na swoją żonę.

Trudno mi sobie wyobrazić, że całe ich życie nie jest zupełnym fałszem. Nikomu natura nie daje takich cycków i tyłka, jakie ma ona. Nikt nie wygląda jak z obrazka za każdym cholernym razem, gdy wyprowadza psa, nawet w tak nędzną pogodę, jak nowojorska śnieżyca. Żadna normalna para nie mieszka w domu tak luksusowym, że jest przedstawiany we wnętrzarskich magazynach, ani nie spędza wakacji na superjachtach, które noszą nazwy Angel i Ace. I żadne małżeństwo nie utrzymuje stałego fizycznego kontaktu, tak jak oni. Może na etapie miśnięcia miodewego, ale są małżeństwem od czterech lat. Oczarowanie powinno było minąć.

Mniej z tym. Ruszam do otwartych drzwi windy i zerkam jeszcze na ich plecy, gdy odchodzą. Dłoń Gideonie ześlizgnęła się w dół do krzywej bio-dra Evy, która idzie rozkołysanym krokiem. Musi mieć fiuta wielkości mojego małego palca, a jej implanty biustu pewnie chlupią jak łóżko wodne, gdy wbija w nią swego małego kutasika.

Uśmiecham się, wyobrażając to sobie.

Tak, już mam lepszy nastrój.

Czuję się jeszcze lepiej, kiedy wychodzę z windy do holu przy recepcji Baharan. Cztery szyby windy wychodzą na piętro, jeden obok kabiny, którą wjechałam, i dwa kolejne naprzeciwko. Po mojej prawej stronie przez grubą tafelę szkła widać miaśnięcie z jego strzeżeniami wieżowcami, kłębami pary z wentylatorów i strumieniami żółtych takśówek. Po lewej znajduje się recepcja, stanowisko ze stali nierdzewnej

z nowo-cze-snymi zaokrą-gle-niami i miej-scem dla recep-cjo-ni-stek, które obsłu-gują połą-cze-nia. Logo Baha-ran zwisa z sufitu na deli-kat-nie wygła-da-ją-cych pali-kach, kali-gra-ficzna czcionka jest kobieca i płynna, a jedy-nie słowo „far-ma-ceu-tyczny” jest wypi-sane poważ-nymi dru-ko-wa-nymi lite-rami.

Staję i przy-glą-dam się temu wszyst-kiemu. Prze-groda z mato-wego szkła za recep-cją zapew-nia tro-chę pry-wat-no-ści lic-znym bok-som znaj-du-ją-cym się dalej. Całe pię-tro jest nasze, ale pew-nego dnia Darius i ja będziemy wła-ści-cie-lami budynku jesz-cze lep-szego niż Cross-fire. Firmy będą wal-czyć o uło-ko-wa-nie tam swo-ich sie-dzib. Uję-cia z tego miej-sca będą wyko-rzy-sty-wane w fil-mach i pro-gra-mach tele-wi-zyj-nych, aby stwo-rzyć sce-ne-rię Los Ange-les. Nikogo już nie będą obcho-dzić GidEva.

Jak będą nas nazy-wać? DarAmy? AmDar? Śmieję się, a troje ciem-no-wło-sych pra-cow-ni-ków recep-cji – dwie kobiety i jeden mę-z-czy-zna – patrzą na mnie. Odwza-jem-niam uśmiech. W końcu pra-cują dla mnie.

Prze-cho-dzę obok biurka, zmie-rza-jąc do swo-jego gabi-netu. Doma-ga-łam się naroż-nego, ale Aliyah do tego nie dopu-ściła. Powie-działa mi, że te są dla niej i jej trzech synów, ale Kane zaj-muje boks, więc jedno z naroż-nych pomiesz-czeń powinno było zostać dla mnie. Ja też jestem rodziną.

– Oczy-wi-ście, że tak – zagru-chała. – Ale nie możemy umie-ścić mene-dżera mediów spo-łecz-no-ścio-wych w naroż-nym biu-rze.

Tak jakby to, co wnio-słam do Baha-ran, nie miało dla nich prze-ło-mo-wego zna-cze-nia. Wej-ście w prze-strzeń zdo-mi-no-waną przez far-ma-ceu-tycz-nych gigan-tów od wie-ków dzia-ła-ją-cych na rynku nie było łatwe. Wiele star-tu-pów zwró-ciło się w stronę mar-ke-tingu bez-po-śred-niego, kie-ru-jąc ruch na fir-mowe strony inter-ne-towe, gdzie grono leka-rzy kon-sul-tuje online i prze-pi-suje leki, umoż-li-wia-jąc dys-try-bu-cję za pośred-nic-twem poczty bez-po-śred-niej.

Wie-dza, do kogo kie-ro-wać reklamy i jak naj-le-piej to robić, oraz dopra-co-wa-nie prze-kazu rekla-mo-wego wyma-gały zarówno umie-jęt-no-ści, jak i ist-nie-ją-cej wcze-śniej struk-tury. Wnio-słam to do Baha-ran. To ja spra-wi-łam, że zostali zauwa-żeni, obda-rzeni zaufa-niem i sza-cun-kiem. Przede mną mieli garść pro-duk-tów, które z tru-dem uda-wało im się sprze-da-wać.

Pew-nego dnia Aliyah przy-zna mi pro-sto w oczy, że beze mnie byłaby nikim. Wyobra-ża-łam sobie na milion róż-nych spo-so-bów, jak to się odbę-dzie. Każdy z nich będzie dobry. Tak naprawdę nie jest to dla mnie ważne. Ona jed-nak będzie się czoł-gać. Bła-gać mnie, abym zosta-wiła ją w fir-mie. A ja będę śmiać jej się w twarz.

Idę do swo-jego biura, które sąsia-duje z gabi-ne-tem Dariusza. Kiedy mijam boksy, nie-które pochy-lone głowy uno-szą się. Kilku pra-cow-ni-ków uśmie-cha się z roz-tar-gnie-niem. Kilka dziew-czyn macha do mnie – bywa-ły-śmy wcze-śniej na drinku i wkrótce znów wybie-ramy się do mia-sta. Może dziś wie-czo-rem. Czemu by nie? Jestem gotowa świę-to-wać; jak powie-działa Eva, wygła-dam fan-ta-stycz-nie. Inni szybko odwra-cają wzrok, kiedy ich przy-ła-puję na gapie-niu się. Odwróć-cie wzrok, wyrob-nicy. Wiem, że dobrze wygła-dam.

Zatrzy-muję się przy gabi-ne-cie Dariusza i zaglą-dam przez otwarte drzwi, ale go nie widzę. Jego asy-stentki też nie ma przy biurku. Ogar-nia mnie gorąca wście-kłość i skóra pokrywa mi się potem. Roz-glą-dam się dookoła, na wszyst-kie strony, szu-ka-jąc ich. Myślę, żeby zapy-tać Cla-ricę, moją mene-dżerkę do spraw klien-tów, ale nie ma jej w bok-sie. Zamiast niej pra-cow-nik, któ-rego ni-gdy wcze-śniej nie widzia-łam, roz-ma-wia przez tele-fon.

Posta-na-wiam zadzwo-nić do Dariusza ze swo-jego biura i dowie-dzieć się, gdzie jest.

Pod-cho-dzę do zamknię-tych drzwi, otwie-ram je i robię kilka kro-ków, gdy dostrze-gam faceta sie-dzą-cego przy moim biurku i grze-bią-cego w moich szu-fla-dach.

– Co to, kurwa, jest?! – rzu-cam wście-kle. – Co robisz w moim biu-rze?

– Słu-cham?

– Sły-sza-łeś, do cho-lery. Won od moich szu-flad! – Roz-glą-dam się. – Co zro-bi-łeś z moimi obra-zami? Gdzie są moje rośliny?

Facet wstaje. Jest niski, a jego jasno-brą-zowe włosy już zdra-dzają oznaki męskiego łysie-nia. Ma brzu-szek zwi-sa-jący nad paskiem i prze-krzy-wiony kra-wat w paskudny wzór. Na biurku widzę tabliczkę z nazwi-skiem: STE-PHEN HORN-SWORTH, WICE-PRE-ZES DS. BADAŃ I ROZ-WOJU.

Mam wra-że-nie, że pokój się chwieje. Zbie-ram się w sobie.

– Prze-pra-szam – beł-ko-cze facet. – Kim pani jest?

– To mój gabi-net!

– Hm... – Obli-zuje usta. – Może wysia-dła pani z windy na nie-wła-ści-wym pię-trze?

– Żar-tu-jesz sobie, kurwa?! – krzy-czę. – Czy ja ci wyglą-dam na idiotkę?

– Amy!

Pro-stuję się na dźwięk głosu Aliyah. Odwra-cam się do niej. Szybko mija boksy, idąc do mnie. Ma na sobie poły-skliwą złotą sukienkę z dzia-niny i masywny złoty naszyj-nik do kom-pletu z kol-czy-kami i bran-so-letką. Jej jasne włosy są arty-stycz-nie upięte w luźny kok, a oczy mocno obwie-dzione kredką.

– Kocha-nie. – Jej głos jest prze-peł-niony tro-ską. – Co robisz?

Naprawdę minęła się z powo-ła-niem. Jest aktorką godną Oscara. Twarz ma ścią-gniętą ze zmar-twie-nia, a jej oczy odzwier-cie-dlają miłość, któ-rej wiem, że nie czuje. Wszy-scy na nas patrzą. Tele-fony dzwo-nią, ale nikt nie roz-ma-wia.

Zaci-skam dło-nie w pię-ści.

– Co ten Ste-phen robi w moim gabi-ne-cie?

Pod-cho-dzi do mnie i rzuca prze-pra-sza-jące spoj-rze-nie Ste-phe-nowi, który prze-suwa pal-cem po koł-nie-rzyku koszuli. – Zre-zy-gno-wa-łaś ze swego biura w zeszłym roku, Amy.

– Aku-rat, kurwa! – Powstrzy-muję pie-kące łzy.

– To było ponad rok temu – mówi ostroż-nie, jak-bym zacho-wy-wała się nie-ra-cjo-nal-nie. – Roz-ma-wia-ły-śmy o tym i powie-dzia-łaś mi – cytuję: „Po co mi gabi-net, skoro nie mam firmy do pro-wa-dze-nia?”. Więc dali-śmy go Ste-phe-nowi.

– Nie pozwolę ci mną mani-pu-lo-wać, Aliyah. Nie tym razem. Nie minął rok, odkąd tu ostat-nio byłam. Jak długo tu jesteś? – pytam, zwra-ca-jąc się do Ste-phena. Cię-żar przy-gniata mi pierś, a na kra-wę-dzi świa-do-mo-ści nara-sta panika, zgubna i zatrwa-ża-jąca.

Prze-nosi wzrok z jed-nej z nas na drugą.

– Zosta-łem zatrud-niony kilka mie-sięcy temu. Wtedy dosta-łem ten gabi-net.

Spo-glą-dam trium-fal-nie na Aliyah.

– I co teraz powiesz, mamó?

Poja-wia się prze-błysk praw-dzi-wej Aliyah, by znów ukryć się za fał-szywą.

– Poprzed-nik Ste-phena zaj-mo-wał ten gabi-net.

– Gównó prawda – war-czę, a moje zęby aż skrzy-pią, gdy je zaci-skam. – Gdzie jest Dariusz?

Na chwilę odwraca wzrok z prze-sad-nym zakło-po-ta-niem, po czym znów patrzy na mnie.

– Pra-cuje nad czymś ze swoją asy-stentką.

Mój ząb trzo-nowy pęka pod wpły-wem naci-sku, a towa-rzy-szący temu dźwięk niczym

wystrzał wyraż-nie wstrząsa naszą mimo-wolną publicz-no-ścią. Ogni-sty ból eks-plo-duje mi w policzku i dociera do mózgu. Gorąca, meta-liczna krew spływa po języku i wypeł-nia usta.

Krzy-czę z bólu, plu-jąc szkar-ła-tem w zado-wo-loną z sie-bie twarz Aliyah.

## ALIYAH

– Prze-stań na mnie krzy-czeć, Dariu-sie! – Gwał-tow-nie potrze-buję prysz-nica. Czuję na sobie krew mocno zmie-szaną z alko-ho-lem. Śmier-dzę jak po bójce w barze i przy-pra-wia mnie to o mdło-ści. – Czy nasza rodzina nie zro-biła wystar-cza-ją-cego wido-wi-ska jak na jeden dzień? Czy zda-jesz sobie sprawę, jakie mamy szczę-ście, że nasza poli-tyka zaka-zuje uży-wa-nia tele-fo-nów komór-ko-wych w biu-rze?

Mój syn cho-dzi za mną tam i z powro-tem, gdy w swo-jej pry-wat-nej łazience mokrym ręcz-ni-kiem wycie-ram z włó-sów widoczną na nich krew. Na szczę-ście mam w szu-fla-dach wszyst-kie pro-dukty i odcie-nie z linii kosme-ty-ków ECRA+ i mogłam popra-wić maki-jaż. Mia-łam nadzieję poje-chać do domu, gdzie mogła-bym zmyć z sie-bie Amy, ale Darius wró-cił, zanim zdą-ży-łam uciec.

– Wydaje się, że dość łatwo byłoby wska-zać, że jej nowy gabi-net jest naprze-ciw mojego – mówi ziry-to-wany. – Jest mniej-szy, to fakt, ale z lep-szym wido-kiem. Spodo-bałby się jej.

Powstrzy-muję się, by nie prze-wró-cić oczami. Cóż za ogromne mar-no-traw-stwo prze-strzeni. A on poświę-cił wiele dni, by to dla niej urzą-dzić, wyko-rzy-stu-jąc jej rze-czy i doda-jąc nowe.

– Oczy-wi-ście, że jej powie-dzia-łam. Nawet pró-bo-wa-łam jej go poka-zać. Nie chciała słu-chać.

– Mamo.

Spo-glą-dam w lustro zmru-žo-nymi oczami.

– Nie mów do mnie tym tonem. Zawsty-dzisz nas jesz-cze bar-dziej, pyta-jąc kogoś z nich – wska-zuję na boksy przed moim biu-rem – co się stało, ale nie krę-puj się, jeśli mi nie wie-rzysz. Wszy-scy byli świad-kami tej poruty.

Darius prze-klina pod nosem i prze-cze-suje dło-nią włosy. Nie-po-kój i gniew odbi-jają się na jego przy-stoj-nej twa-rzy.

– Dokąd Ramin ją zabrał?

– Nie mam poję-cia. Tro-chę zaprzę-tał mnie fakt, że jestem cała we krwi! Cie-szę się, że zja-wił się dzi-siaj w biu-rze i mógł ją stąd zabrać. Masz szczę-ście, że nie było cię w pobliżu, żeby to zoba-czyć. Na ustach miała pianę z krwi i śliny. Obrzy-dliwe.

– Doce-niam twoją tro-skę o moją żonę – mówi chłodno, wycią-ga-jąc tele-fon.

– Była-bym wdzięczna za tro-chę tro-ski o mnie! Spójrz na moje ubra-nia! Nie masz poję-cia, jakie to trau-ma-tyczne, gdy ktoś opluje cię krwią.

– Powi-nie-nem był tu być – mru-czy, stu-ka-jąc w tele-fon. – Dla-czego, do cho-lery, wysła-łaś Alice i mnie do Cros-sów? Wyszli już na lunch.

– Chcemy, by wygła-dało, że dokła-damy wszel-kich sta-rań, prawda? Ciężko pra-co-wa-li-śmy nad tymi kre-acjami rekla-mo-wymi. Ponie-waż firma two-jej żony zaj-muje się pro-mo-wa-niem ECRA+ w mediach spo-łecz-no-ścio-wych, pomy-śla-łam, że powi-nie-neś prze-ka-zać je oso-bi-ście.

Jego żona sta-nowi tu pro-blem. Myśla-łam, że on to zoba-czy. Gdy Amy prze-szła przez bramki, wyda-wało się, że to dosko-nała oka-zja. Wysła-łam Dariusa i jego asy-stentkę do Cross Indu-stries i byłam dobrej myśli.

Wrzu-cam ręcz-nik do umy-walki i odwra-cam się do niego.

– Amy poja-wiła się tutaj tak pijana, że ledwo mogła cho-dzić pro-sto, a potem dostała amoku. Wła-ści-wie było to zała-ma-nie psy-chiczne. Zachy-wy-wała się jak sza-lona! Nie robisz jej przy-sługi, igno-ru-jąc pro-blem, z któ-rym masz do czy-nie-nia. Powinna zostać skie-ro-wana na obser-wa-cję, a potem przy-jęta do ośrodka, w któ-rym pomogą jej wytrzeź-wieć.

Jego twarz ma lodo-waty wyraz.

– Nie mówisz mi wszyst-kiego. Żyję z nią, do cho-lery. Znam ją lepiej niż kto-kol-wiek inny.

– W porządku. Oszu-kuj się, aż pew-nego dnia zato-czy się na jezd-nię, jak dziew-czyna Kane’a, i da się zabić.

– Dzień dobry.

Plecy sztyw-nieją mi bole-śnie na dźwięk tego dziew-czę-cego głosu. Odwra-ca-jąc głowę, widzę swo-jego naj-star-szego syna i jego żonę sto-ją-cych w drzwiach do mojego biura. Two-rzą osza-ła-mia-jącą parę: Kane w czar-nym gar-ni-tu-rze, sza-rej koszuli i kra-wa-cie w tym samym kolo-rze, a Lily w szma-rag-dach, które jesz-cze bar-dziej przy-cią-gają uwagę do tych węzo-wych oczu. Przy jego wzro-ście w jakiś spo-sób wygląda na jesz-cze szczy-plej-szą. Kane jedną ręką zabor-czo obej-muje jej smu-kłe bio-dro, a w dru-giej trzyma czarną skó-rzaną torbę. Dro-go-cenne klej-noty błysz-czą w jej uszach i ota-czają nad-gar-stek. Wygląda jak człon-kini rodziny kró-lew-skiej.

Jak to moż-liwe, że ten dzień robi się coraz gor-szy?

Twarz Kane’a jest rów-nie zimna jego brata.

– Mój asy-stent nas poin-for-mo-wał.

Lily wkra-cza, jakby była wła-ści-cielką tego miej-sca, i pod-cho-dzi do Dariusza.

– Czy jest coś, co mogła-bym zro-bić?

– Nie wiem. Co możesz zro-bić? – odpo-wiada, jeżąc się. Ramiona ma jed-nak przy-gar-bione, gdy ona po pro-stu stoi cier-pli-wie. Jej twarz jest piękna, a oczy dobre. – Nie wiem, gdzie jest moja żona – szep-cze. – Muszę zadwo-nić do Ramina.

– Pozwól, że ja się tym zajmę. – Wyciąga rękę do tyłu, a Kane się zbliża, poda-jąc jej swój tele-fon. Lily wkle-puje kod, by go odblo-ko-wać, i odcho-dzi na bok.

Czy nie zachy-wują żad-nej pry-wat-no-ści? Nie mają przed sobą żad-nych tajem-nic? Coś musi być, ina-czej ni-gdy nie będę w sta-nie ich roz-dzie-lić.

Kane i Darius wymie-niają spoj-rze-nia, po czym obaj odwra-cają się w moją stronę. Twarz mojego naj-star-szego pozo-staje nie-prze-nik-niona, jak zawsze, ale Darius ma w oczach wyraz, któ-rego wcze-śniej nie widzia-łam i który wcale mi się nie podoba.

– Dla-czego obaj tak na mnie patrzy-cie? – Pró-buję stłu-mić swoją fru-stra-cję.

Lily mówi coś cicho w kącie pokoju. W jakiś spo-sób, w ciągu minuty, stała się boha-terką, a ja nik-czem-nicą, pod-czas gdy to ja spa-jam tę rodzinę i firmę. Gdzie ona, do dia-bła, była?

Uno-szę głowę, czu-jąc urazę do nich wszyst-kich.

– Ramin zabrał ją do den-ty-sty na Madi-son – mówi Lily, kiedy do nich dołą-cza. – Wysyła ci adres.

– Dzię-kuję. – Jego twarz łagod-nieje z wdzięcz-no-ści. Wycho-dzi, nie mówiąc do mnie ani słowa.

Lily kie-ruje wzrok na mnie.

– Czy jest coś, co mogę dla cie-bie zro-bić? Coś ci podać? Może wodę albo kawę?

– Dzię-kuję, Lily – odpo-wia-dam sztywno, ura-żona, że potrak-to-wano mnie jak cho-ler-nego gościa. – Na razie nic mi nie jest.

Czym sobie zasłu-ży-łam na dwie takie synowe jak Amy i Lily? Jeśli Ramin choćby dwa razy spoj-rzy na chudą bru-netkę o zie-lo-nych oczach, pozba-wię go wzroku.

– Pocze-kam na zewnątrz – mówi Lily do Kane’a, ale kiedy robi krok, on łapie ją za rękę i zatrzy-muje, by ją poca-ło-wać. Podob-nie jak poca-łu-nek w biblio-tece, kiedy ją pozna-łam, jest to nie-winne zetknię-cie ust, sto-sowne dla moich oczu. Ale trwa to o sekundę dłu-żej niż cmok-nię-cie, a napię-cie sek-su-alne roz-grzewa powie-trze wokół nich. Gdy się od sie-bie odsu-wają, ich spoj-rze-nia wymie-niają obiet-nice, które potwier-dzają moje obawy – pozby-cie się jej będzie bar-dzo trudne.

Zamyka za sobą drzwi, a Kane wpa-truje się w nią, jakby nie mógł znieść, że znika z pola widze-nia.

Odwraca się do mnie z poważ-nym wyra-zem twa-rzy, jakby się przy-go-to-wy-wał do nie-przy-jem-nego zada-nia.

– Przy-kro mi, że prze-szłaś przez to, kiedy wszy-scy troje byli-śmy poza biu-rem.

Przy-kła-dam dłoń do czoła, wal-cząc z bólem głowy. Czuję się, jakby ktoś wbił mi nóż w skroń.

– Jestem taka zde-ner-wo-wana z powodu Amy. I oczy-wi-ście mar-twię się o nią. Twój brat nie rozu-mie, jak bar-dzo jego żona potrze-buje pomocy. Może mógł-byś z nim poroz-ma-wiać? On cię podzi-wia. Gdy-byś zasu-ge-ro-wał pro-gram odwy-kowy dla Amy, posłu-chałby cię.

– W żad-nym razie nie czuję się kom-for-towo, komen-tu-jąc jego życie oso-bi-ste.

– Jest twoim bra-tem!

Jeden z ciem-nych łuków jego brwi wygina się, jakby w zaprze-cze-niu.

Pod-cho-dzę do dyfu-zora i macha-jąc ręką, nawie-wam pach-nącą aza-lią mgłę ku swo-jej twa-rzy. Robię głę-boki, uspo-ka-ja-jący wdech. Kłót-nia na temat rela-cji Kane’a z rodzeń-stwem to walka, któ-rej dziś nie jestem w sta-nie sto-czyć.

– W porządku. Po pro-stu pomyśl o tym, pro-szę. Może Lily mogłaby poroz-ma-wiać o tym bez-po-śred-nio z Amy?

– Wspo-mnę o tym. Czy jest coś, czego potrze-bu-jesz w tej chwili? Mogę zająć się czymś z two-jego gra-fika, żebyś mogła wró-cić do domu i się umyć?

Gorycz ści-ska-jąca mi gar-dło ustę-puje. Doce-niam to, że rozu-mie, jak wielki jest mój wkład w Baha-ran. To iry-tu-jące, że muszę cały czas pod-kre-ślać tę oczy-wi-stość.

– Nie, dam sobie z tym radę z domu. – Biorę uspo-ka-ja-jący oddech. – Lily wydaje się mieć dobrze. Wra-casz do biura?

– Jesz-cze nie. Aku-rat byli-śmy nie-da-leko i chcia-łem, żeby zoba-czyła, co tu mamy.

Utrata nadziei wal-czy we mnie z pod-nie-ce-niem.

– Wiesz już mniej wię-cej, kiedy wró-cisz?

– Przy-mie-rzam się do nastę-pnego ponie-działku, ale to może ulec zmia-nie.

– Nie było cię już pra-wie dwa mie-siące.

– Zdaję sobie sprawę, jak długo pra-cuję z domu. Teraz chcę ją opro-wa-dzić. – Idzie już w stronę drzwi, jakby speł-nił swój obo-wią-zek i nie mógł się docze-kać, by wyjść. – Mam nadzieję, że wkrótce poczu-jesz się lepiej.

– Tak. Oczy-wi-ście, że tak.

W chwili, gdy drzwi się zamy-kają, przy-ci-skam dło-nie do ust, fizycz-nie powstrzy-mu-jąc kipiącą we mnie złość. Chwiej-nym kro-kiem pod-cho-dzę do sofy i opa-dam na nią ciężko jak kamień. Tak bar-dzo chcę się napić, że ślinka mi ciek-nie. O nie... Staję się Amy.

Na samą tę myśl jestem bli-ska histe-rii.

Nie znowu. Gwałtownie kręcę głową. Nie tracę znowu kontroli. To jest szansa i nie zmarnuję jej. Będę nadal budować firmę, której Kane jeszcze sobie nawet nie wyobraża. Wtedy zobaczy. Wszyscy zobaczą.

Choć oplać mnie cudzymi płynami ustrojowymi jest obrzydliwe, akceptuję ten dyskomfort i przechodzę do swojego biurka. Nie żeby to uczucie było mi nieznane. Włączam kamery bezpieczeństwa na głównym piętrze i rozsiadam się, by czekać. W końcu mój zupełny bezruch powoduje wyłączyć nie górnych światel aktywnych czujników ruchu, tak jak się dzieje, gdybym wyszła na cały dzień. Każdy przechodzący obok pomyślałby, że mnie nie ma. Wszystkie drzwi do biura są osadzone w ścianach z matowego szkła. To był wybór ze względów estetycznych, aby doposażyć je do boksołów, ale także sposobem na zapewnienie, aby naturalne światło z zewnętrznych okien rozjaśniało całe piętro.

Nie wiem, jak długo tam siedzę, obserwując, jak Kane oprowadza Lily po wszystkich biurach zarządu. Powtarza się cykl: podziw dla jej urody, a potem powszechny wyraz zaskoczenia, że nagle odyszał żonę, a kończy się na całkowitym oczarowaniu jakąkolwiek interakcją, jaką z nią mieli. Kane z łatwością wszedł w rolę dodatku, pozwalając jej zamyślnąć. Ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku i ma na twarzy cieplą uśmiech dumy i męskiego uznania.

Diało biorą wszelką myśl, że mój pierworodny jest obiektywny.

Zatrzymuję się przy boksie Kane'a. On, dyrektor generalny i prezes zarządu, nie ma biurka. Dowodzi z przestrzeni wspólnej z personelem. To irytujące. Gdybyśmy mieli równorzędne gabinety, stworzyłoby to właściwe wrażenie. Tymczasem on swoje egalitarne przywództwo wydaje się sprawować bez wysiłku, przez co wyglądam, jakbym za bardzo się starała.

Prostuję ramiona. Nie próbuję wyglądać, jakbym miała władzę. Mam ją. Niefortunne wybory żon dokonane przez moich synów nie będą temu przeszkodzą.

Kane sprząta swoje biurko, wkładając akta i inne rzeczy do torby na ramię. Lily uśmiecha się do pracownika po drugiej stronie szklanej przegrody. Zaczynają rozmawiać. Kane wychodzi i trzymając żonę za łokieć, zabiera ją do swojego boksu. Lily od razu siada na brzegu jego biurka ze skrzyżowanymi długimi nogami, a wszyscy zebrali się wokół. Wygląda na to, że coś opowiada, gestykulując z ożywieniem. Na twarzach widać rozbrajanie i ani jeden przeprzony pracownik nie wykonuje swojej cholernej pracy – poza recepcją, którą najwyraźniej zarządza tylko jedna osoba, ponieważ dwie z nich słuchają Lily.

– Widzę cię – syczę, mrużąc oczy. Nie ma w niej nic słodkiego ani rozbrajającego. Jest kobietą, która zna siłę swojego wyglądu. Jest sprytną. Kompletnie tuje kobiety za ich biżuterię i wykonuje przedmiotowo osobiste na biurkach i ścianach boksołów, aby nawiązać kontakt. Często się uśmiecha i zwraca do Kane'a, co kilka chwil dotykając jego rękaw. To gra, którą rozpoznaję, występ, który każda atrakcyjna, posiadająca mózg kobieta przejrzalaby na wylot.

W końcu mój syn i jego żona odchodzi, a ja skupiam uwagę na jego asystencie Julii. Zmarnuję czas, jeśli nie pójdzie na lunch. Mijają minuty i zaczynam myśleć, że właśnie tak jest. Wtem Julian wstaje, przeciąga się, wkłada kurtkę i rusza do wyjścia.

Wysłałam swój grafik na najbliższe dwa tygodnie do drukarni i wychodzę z gabinetu, aby go zabrać. Po drodze mijam pokój socjalny i czuję ulgę, widząc, że nie ma tam Juliana. Jeśli opuścił budynek, będę miała jeszcze więcej czasu. Biorę wydruki z tacy, wkładam je do teczki, po czym idę prosto w stronę biurka Kane'a.



Byłoby o wiele łatwiej, gdyby miał cho-lerne biuro! Jego boks jest otwarty, pozba-wiony fron-to-wej ściany, co nie pozwala mi zacho-wać dys-kre-cji. Mogę tylko zacho-wy-wać się tak, jak-bym miała pełne prawo zalo-go-wać się do jego ter-mi-nala i to wła-śnie robię. Mówimy o mojej fir-mie. W końcu jestem dyrek-to-rem do spraw ope-ra-cyj-nych.

Pię-tro jest pra-wie puste, cho-ciaż garstka pra-cow-ni-ków je lunch przy swo-ich biur-kach. Sia-dam na miej-scu Kane'a i kładę teczkę na widoku jako pre-tekst dla swo-jej obec-no-ści tutaj. Wysu-wam półkę z kla-wia-turą, budzę kom-pu-ter z trybu uspie-nia i loguję się za pomocą jego hasła, które jest prze-cho-wy-wane w bazie danych reje-stru-ją-cej wszyst-kie naci-śnie-cia kla-wi-sza i wszyst-kie połą-cze-nia tele-fo-niczne wyko-nane na każ-dym ter-mi-nalu w Baha-ran. Prze-mysł far-ma-ceu-tyczny jest bez-względny i musimy być zawsze czujni wobec szpie-go-stwa kor-po-ra-cyj-nego i cyber-kra-dzieży.

Kiedy już jestem w środku, zaglą-dam do jego kalen-da-rza, by prze-jrzeć spo-tka-nia. Każde z nich jest zapła-no-wane jako wide-okon-fe-ren-cja lub roz-mowa tele-fo-niczna. Na dziś rano była wpi-sana wizyta u leka-rza, co wyja-śnia, dla-czego teraz Kane nie pra-cuje z domu.

Otwie-ram jego prze-glą-darkę, a potem pry-watną skrzynkę pocz-tową. Ni-gdy wcze-śniej nie byłam w sta-nie się do niej dostać i może już ni-gdy nie będę mogła. Zbie-giem oko-licz-no-ści dziś nastą-pił arma-ge-don, kiedy Kane aku-rat był w biu-rze, po czym wyszedł beze mnie, a jego asy-stent wybrał się na lunch. Czy w przy-szło-ści, jeśli będzie prze-glą-dał logi pod kątem bez-pie-czeń-stwa, będzie pamię-tał, czy spraw-dził pocztę przy swoim biurku przed wyjaz-dem na pra-wie dwa tygo-dnie? Czy będzie pamię-tał, o któ-rej godzi-nie wyszedł? Nie sądzę.

Nie-prze-rwany stru-mień adre-na-liny pły-nie w moich żyłach, zwil-ża-jąc dło-nie. Moje stopy wystu-kują rytm, aby usu-nąć nie-spo-kojną ener-gię. Prze-wi-jam szybko pocztę, bły-ska-wicz-nie prze-bie-ga-jąc wzro-kiem każdy nagłó-wek i każ-dego nadawcę. U dołu znaj-duje się nie-prze-czy-tany e-mail, który przy-kuwa moją uwagę. Nadawcą jest Ram-part Pro-tec-tion & Inve-sti-ga-tive Servi-ces, a tytuł wia-do-mo-ści brzmi: Raport koń-cowy i zamknię-cie sprawy.

Serce wali mi tak mocno, że aż zaczyna boleć. Moje palce drżą, gdy uno-szą się nad kla-wi-szami.

Czyżby wpadł na mój trop?

Jest wystar-cza-jąco bystry. Z jakiego innego powodu miałby korzy-stać z usług firmy zew-nętrz-nej zamiast zespołu Baha-ran? Czy nie ufa naszym ludziom? Czy mógłby się spo-dzie-wać, że mnie spraw-dzą, zwa-żyw-szy na moją pozy-cję w fir-mie? Nie wyobra-żam sobie, żeby wie-dział, że od czasu do czasu zachę-cam szefa ochrony, żeby prze-le-ciał mnie na swoim biurku. Roge-lio jest zbyt skru-pu-latny, by dać się przy-ła-pać. Nie-mniej Kane wie-lo-krot-nie poka-zy-wał, że wie wię-cej, niż powi-nien i jest bez-względny, gdy to konieczne.

Chyba że cho-dzi o jego żonę.

Nie cier-pię tego zde-ner-wo-wa-nia, które pełza wokół moich wną-trz-no-ści, jakby milion mró-wek wtar-gnęło w moje ciało. Darius jest bar-dziej nara-żony na oskar-że-nia o zdradę niż ja; dopil-no-wa-łam tego. Mimo to mogła-bym lepiej chro-nić nas oboje, gdy-bym wcze-śniej dostała ostrze-że-nie.

– Ziden-ty-fi-kuj pro-blem – instru-uję sie-bie, otwie-ra-jąc e-mail. – A potem się z nim roz-praw.

Roz-po-znaję poczu-cie winy, które oblewa mnie potem i pro-wa-dzi do sza-lo-nych, bez-pod-staw-nych wnio-sków. Byłam zbyt ostrożna, a Kane zbyt nie-świa-domy.

Sza-nowny Panie Black,

w załą-cze-niu prze-sy-łamy raport koń-cowy z naszego docho-dze-nia. Zawiera pod-su-mo-wa-nie i ana-lizę usta-leń, o któ-rych wcze-śniej roz-ma-wia-li-śmy. Sprawa jest już zamknięta, zgod-nie z Pań-ską prośbą.

Dzię-ku-jemy za wybra-nie naszej firmy i mamy nadzieję, że będziemy mieli przy-jem-ność ponow-nie współ-pra-co-wać z Panem w przy-szło-ści.

Z wyra-zami sza-cunku  
Giles Pre-scott  
Wła-ści-ciel / główny śled-czy  
Ram-part Pro-tec-tion & Inve-sti-ga-tive Servi-ces

Ostre końce paznokci wbi-jają mi się w mięk-kie wną-trze dłoni. Ból zmu-sza mnie do kon-cen-tra-cji i przy-po-mina, że potra-fię prze-trwać wszystko. Prze-ży-łam już naj-gor-sze, co może spo-tkać kobietę. Wszystko inne to trud-ność, nic wię-cej.

Otwie-ram załącz-nik, prze-wi-jam pierw-szą stronę wia-do-mo-ści i żołą-dek mi się ści-ska. Led-wie mogę oddy-chać, wstrzą-śnięta i znie-ru-cho-miała.

Lily.

Kane spraw-dzał swoją żonę. I to nie tylko ostat-nio. Raport Ram-part zaczyna się od wyszcze-gól-nie-nia począt-ko-wego zakresu śledz-twa i daty jego roz-po-czę-cia, czyli krótko po tym, jak uznano ją za zmarłą. Sześć lat. Mój umysł stara się przy-jąć do wia-do-mo-ści dłu-gość docho-dze-nia. Co to mogło być, że wyko-pa-nie tego zajęło sześć lat?

Z wysił-kiem roz-luż-niam mię-śnie, które zeszyw-niały z napię-cia. Moje usta roz-cią-gają się w sze-ro-kim uśmie-chu. To nie na Amy muszę się sku-pić, ale na Lily. Reak-cja „ucie-kaj” płyn-nie prze-cho-dzi w reak-cję „walcz”.

Już nie jestem zwie-rzyną. Jestem myśli-wym.

Wsy-łam doku-ment do dru-karki, zamy-kam e-mail i ozna-czam go jako nie-prze-czy-tany. Notuję sobie w pamięci: może będę musiała spo-tkać się z Roge-liem, by usu-nać te zdra-dliwe ślady naci-śnię-cia kla-wi-szy. Gdyby nasz szef ochrony był bar-dziej tro-skli-wym kochan-kiem, nie odkła-dał-bym tego na póź-niej.

Wyco-fuję się, zamy-ka-jąc wszystko, co otwo-rzy-łam, i wyłą-czam ter-mi-nal.

Wsta-jąc, biorę głę-boki oddech i doty-kam dło-nią wło-sów. Czuję się, jak-bym prze-bie-gła mara-ton, spa-da-jący poziom adre-na-liny spra-wia, że jestem roz-trzę-siona i bez tchu. Wsu-wam krze-sło pod biurko, upew-nia-jąc się, że wszystko jest na swoim miej-scu. Potem wra-cam do pomiesz-cze-nia z dru-karką.

Czy to wszystko gra, to uczu-cie Kane’a do Lily? Być może nie tylko ona gra jakąś rolę. Jest w niej coś, co wywo-łuje w nim wąp-li-wo-ści na tyle głę-bo-kie, by to zba-dać. Bio-rąc pod uwagę jej udział w Baha-ran, mam prawo wie-dzieć, co on podej-rzewa i jak szko-dliwe może to być dla firmy.

Dru-karka wciąż wypłuwa strony, kiedy tam docie-ram. Gdy koń-czy pra-co-wać, powstaje stos kar-tek dwu-ipół-cen-ty-me-tro-wej gru-bo-ści. Wyrów-nuję je, wkła-dam do sza-rej koperty i wra-cam do swo-jego gabi-netu po torebkę. Potem opusz-czam biuro.

Mam dużo pracy domo-wej do odro-bie-nia.

## LILY

Na długo przed dotar-ciem do auto-strady I-287 wiem, że jedziemy do Con-nec-ti-cut. Pod-czas jazdy czuję w brzu-chu rado-sne trze-po-ta-nie. Moje ocze-ki-wa-nie i pod-eks-cy-to-wa-nie trwa. Ty jesteś za kie-row-nicą range rovera; ja sie-dzę obok cie-bie na miej-scu pasa-żera. Witte został zabrany z Cross-fire przez innego kie-rowcę.

Zanim opu-ści-li-śmy mia-sto, wyda-łeś szyb-kie pole-ce-nia, na które pra-wie nie zwra-ca-łam uwagi, bo roz-bie-ra-łeś się na chod-niku przed budyn-kiem.

Naj-pierw zdją-łeś mary-narkę, uka-zu-jąc wąską talię. Wyraż-nie zary-so-wane mię-śnie ple-ców napi-wały się, gdy wie-sza-łeś ubra-nie na haczyku przy-mo-co-wa-nym do zagłó-wka fotela kie-rowcy. Następny był kra-wat; spinka do kra-wata i spinki do man-kie-tów zgrab-nie spły-nęły do kie-szeni płasz-cza. Następ-nie roz-pią-łeś koł-nie-rzyk i pod-wi-nę-łaś rękawy, bicepsy przez chwilę napi-wały luk-su-sowy mate-riał two-jej koszuli.

Byłeś szybki i sprawny, twoje dzia-ła-nia zwy-czajne, ale twoje ciało poru-sza się z mocą i pełną ener-gii zmy-sło-wo-ścią. Jesteś zabój-czo przy-stojny i wytworny. Bawiło mnie, jak zupeł-nie nie zda-wa-łeś sobie sprawy z liczby pożą-dli-wych spoj-rzeń, jakie wywo-ła-łeś u prze-chod-niów, zanim poże-gna-łeś się z Witte'em.

Potem pomo-głeś mi usiąść na przed-nim sie-dze-niu i oka-zało się, że przez cały czas byłeś świa-domy mojego podziwu.

– Nie wydo-sta-niemy się z mia-sta, jeśli będziesz tak na mnie patrzeć.

– Jeśli nie prze-sta-niesz wygła-dać tak sek-sow-nie, to będzie twoja wina.

To oczy-wi-ście pozór, fachowo wyko-nany szlif. Musia-łeś się obse-syj-nie przy-kła-dać do stwo-rze-nia tak dosko-na-łej fasady dla Kane'a Blacka. Zawsze jed-nak pra-gną-łeś się uczyć, piąć się w górę. Potrze-bo-wa-łeś tylko oka-zji – i pie-nię-dzy – aby ta trans-for-ma-cja była moż-liwa.

Teraz mogę przy-głą-dać ci się do woli. Miej-ski ruch pozo-stał daleko za nami, a wzdłuż auto-strady cią-gnie się linia drzew. Ste-vie Nicks śpie-wa o zamy-ka-ją-cych się wokół niej wodach. Fotel kie-rowcy jest prze-su-nięty do naj-dal-szego punktu, aby pomie-ścić twoje dłu-gie nogi. Lewą rękę trzy-masz na kie-row-nicy, prawą lekko opie-rasz na udzie. Jesteś zre-lak-so-wany i cał-ko-wi-cie panu-jesz nad potęż-nym pojaz-dem.

Nie nosisz zegarka. Jest tylko złota skóra od łokci do czub-ków pal-ców, naga, jeśli nie liczyć odro-biny ciem-nych włó-sków i obrączki, która głosi, że jesteś mój. Taka nie-winna rzecz, odsło-nięte przed-ra-miona i mini-ma-li-styczna ozdoba, ale uwa-żam, że wszystko w twoim wygła-dzie jest głę-boko ero-tyczne. Zawsze byłam tego zda-nia.

Roz-ma-wiamy o nie-któ-rych ludziach, któ-rych spo-tka-łam w sie-dzi-bie Baha-ran. Zabawne aneg-doty, które sobie opo-wia-da-cie, wyraż-nie świad-czą o tym, że inte-re-su-jesz się swo-imi pra-cow-ni-kami. To, że mogą się z tobą śmiać i dzie-lić pry-wat-nymi histo-riami, wiele mówi o twoim stylu kie-ro-wa-nia firmą.

– Dla-czego wpro-wa-dzi-łeś swoją rodzinę do Baha-ran? – pytam.

– Wiesz, że nie mia-łem wyboru, jeśli cho-dzi o moją matkę, ponie-waż stwo-rzyła znak towa-rowy Baha-ran i jest jego wła-ści-cielką. Zgo-dziła się prze-ka-zać go fir-mie w zamian za udziałę i zain-we-sto-wała, żeby mieć wię-cej akcji, wyko-rzy-stu-jąc tan-tiemy z licen-cjo-no-wa-nia paten-tów che-micz-nych mojego ojca do czasu ich wyga-śnię-cia.

I szcze-rze mówiąc, firma potrze-bo-wała kogoś jesz-cze, kto pra-gnął jej tak bar-dzo jak ja.

Spo-glą-dasz na mnie.

– Ledwo funk-cjo-no-wa-łem po tym, jak cię stra-ci-łem. A firmę sta-no-wiły nie-wiele wię-cej niż logo, które wyma-gało odświe-że-nia, i garstka pra-cow-ni-ków pozba-wio-nych ener-gii pra-wie tak samo jak ja.

Wzdy-cham głę-boko, podzie-la-jąc twój smu-tek, cho-ciaż nie ze względu na dziew-czynę, którą kie-dyś byłam, ale na chło-paka, któ-rym ty byłeś. Emo-cjo-nalna nie-doj-rza-łość matki znisz-czyła twoją samo-ocenę. Zawsze zma-ga-łeś się z poczu-ciem nie-ade-kwat-no-ści. Praca z nią to naj-gor-sze roz-wią-za-nie. Jak masz wyzdro-wieć, skoro tak czę-sto zadają ci nowe rany?

– Dla-czego wpro-wa-dzi-łeś do niej braci i sio-strę?

Wzru-szasz ramio-nami.

– Są pra-cow-ni-kami, nie udzia-łow-cami. Matka zasu-ge-ro-wała, że posia-da-nie rodziny na klu-czo-wych sta-no-wi-skach uła-twi mi zro-bie-nie tego, co chcę, i miała rację. Dariusz miewa swoje momenty, ale się dosto-so-wuje. Ramin wygląda na obi-boka, ale to gra. Jest dyrek-to-rem do spraw praw-nych i nie znosi się mylić, co u praw-nika jest poży-teczną wadą.

Wzdłuż auto-strady mię-dzy-sta-no-wej rosna stare drzewa, a ich poła-mane i pokryte wino-ro-ślą gałę-zie od czasu do czasu odsła-niają domy, które stra-ciły opty-mizm, z jakim zostały zbu-do-wane. Farba łusz-czy się z wypa-czo-nego sidingu ele-wa-cji, okna krzywo tkwią w futry-nach. Prze-wody elek-tryczne i tele-fo-niczne cią-gną się na obwi-słych dachach, niczym liny ratun-kowe pró-bu-jące utrzy-mać przy życiu ame-ry-kań-ski sen o posia-da-niu wła-snego domu. Tysiące spoj-rzeń codzien-nie prze-suwa się po tych domach, które rów-nie dobrze mogłyby być nie-wi-doczne.

Kra-jo-braz zaczyna się roz-my-wać i oczy mi się zamy-kają. Chyba wiem, dokąd zmie-rzamy, ale boję się mieć nadzieję.

W radiu Kan-sas zaczyna śpie-wać do syna, by nie prze-sta-wał szu-kać prawdy, i naj-pierw ja wtó-ruję mu cicho, a potem ty dołą-czasz. Nie mogę powstrzy-mać uśmie-chu. Potem są Cre-edence Cle-ar-wa-ter z odą do Suzy Q i nasze głosy wzno-szą się uni-sono. Opu-szczam okno, by poczuć wiatr, odchy-la-jąc głowę, by powie-trze owie-wało mi twarz.

Twój śmiech jest głę-boki i szczery. Się-gasz po moją dłoń i uno-sisz ją do ust. Cału-jesz kostki moich pal-ców.

– Tęsk-ni-łem za tobą, *Seta-reh*. Bar-dzo.

Nie wiem, co się zmie-niło, że jesteś taki swo-bodny i czuły. Nie wiem, jak długo utrzyma się twój nastrój. Jesteś jak słońce, ogrze-wasz i oży-wiasz, kiedy świe-cisz na mnie, ale to krótko trwa. Zbyt wiele razy w ciągu ostat-nich kilku tygo-dni byłam pełna nadziei, a potem ją tra-ci-łam. A pro-sta prawda jest taka, że nie mogłeś trzy-mać się z dala od Lily, nie mogłeś prze-stać jej kochać, ale aż za łatwo było zacho-wy-wać dystans do mnie. Pomy-śla-łam, że mogła-bym przy-wdziać jej skórę i wśli-zgnąć się w jej miej-sce w twoim życiu – miej-sce, które zоста-wi-łeś nie-wy-peł-nione. Ale ta skóra nie pasuje, a ja jestem tylko marną wer-sją sie-bie.

Widok na zewnątrz się zmie-nił. Mia-sta są więk-sze, domy nie są już zruj-no-wane i smutne. Wkrótce są rza-dziej roz-rzu-cone, mniej widoczne i odda-lone od bocz-nych dróg. Szu-kam tego, co nie-znane i dziwne, punk-tów orien-ta-cyj-nych, które poja-wiły się na tyle nie-dawno, że są dla mnie nowe.

– Jeste-śmy już na miej-scu? – pytam.

– Za nie-cały kwa-drans.

Cze-kam chwilę, a potem się dro-czę:

– Czy już doje-cha-li-śmy?

Rzu-casz mi figlarne poj-rze-nie i cie-pło two-jego roz-ba-wie-nia pod-nieca mnie.

Zanim zje-dziemy z mię-dzy-sta-no-wej, mój nastrój jest jesz-cze lep-szy. Z każ-dym zakrę-tem jestem coraz bar-dziej pod-eks-cy-to-wana. Wkrótce wjeź-dzasz na pod-jazd pię-tro-wego domku o ścia-nach pokry-tych cedro-wym gon-tem zsza-rza-łym pod wpły-wem pogody i roz-ja-śnio-nym przez białe wykoń-cze-nie. Ogród przed nim jest pięk-nie zapro-jek-to-wany, z ogrom-nymi hor-ten-sjami i byli-nami we wszyst-kich odcie-niach i wyso-ko-ściach, gęsto posa-dzo-nymi wzdłuż kamien-nych ście-żek. Dom har-mo-ni-zuje z sąsied-nimi, ale ni-gdy nie będzie do nich podobny. Czuję jego przy-cią-ga-nie, czu-łam je przez całą drogę.

Łukowe okna na pię-trze spo-glą-dają na nas z góry niczym oczy. Mam poczu-cie, że dom nie-cier-pli-wie czeka na nasz powrót.

– Kane – szep-czę – wynaj-mo-wa-łeś to miej-sce przez cały czas...?

– Teraz jest nasze. – Par-ku-jesz samo-chód i wyłą-czasz sil-nik. – Kiedy twój adwo-kat powie-dział mi, że dom był wydzier-ża-wiony, nie mogłem w to uwie-rzyć. I nie potra-fi-łem odpu-ścić. Pra-wie dwa lata zajęło mi prze-ko-na-nie wła-ści-ciela, żeby go sprze-dał, ale w końcu zmie-nił zda-nie.

Kiedy twoja uko-chana twarz się roz-mywa, zdaję sobie sprawę, że pła-czę.

Odpi-na-jąc swój pas bez-pie-czeń-stwa, a potem mój, mówisz:

– Pozna-li-śmy się tutaj. Tu wzię-li-śmy ślub. Jeśli będziemy mieli dzieci, chcę, żeby spę-dzały tu waka-cje. Nie mogłem zre-zy-gno-wać z tego miej-sca.

Ode-brało mi mowę, gar-dło boli mnie jak pul-su-jąca rana. Znowu spo-ty-kam czujne spoj-rze-nie domu i to nie-ru-chome spoj-rze-nie przy-kuwa mnie tak sil-nie, że pod-ska-kuję z zasko-cze-nia, kiedy otwie-rasz drzwi od strony pasa-żera i poda-jesz mi rękę.

Obją-wszy mnie w talii, pro-wa-dzisz mnie z pod-jazdu i po scho-dach. Otwie-rasz fron-towe drzwi za pomocą kla-wia-tury nume-rycz-nej. Cofasz się, jak-byś chciał mnie prze-pu-ścić, a potem chwy-tasz jak pannę młodą i prze-no-sisz przez próg.

Wtu-la-jąc się w cie-bie, zauwa-żam, jak jesteś teraz sil-niej-szy i moc-niej zbu-do-wany, z jaką łatwo-ścią trzy-masz mnie w ramio-nach i spra-wiasz, że czuję się bez-piecz-nie.

Zasłony w salo-nie są sze-roko roz-su-nięte i par-ter zalewa świa-tło. Wszystko jest jak daw-niej, jak kap-suła czasu. Każda powierzch-nia lśni. W powie-trzu nie unosi się ani jeden pyłek kurzu, ale jest wszech-ogar-nia-jące wra-że-nie pustki i porzu-ce-nia.

– Kiedy tu ostat-nio byłeś? – pytam.

– Wyje-cha-łem o świ-cie tego ranka, kiedy straż przy-brzeżna odwo-łała poszu-ki-wa-nia. – Twój głos jest spo-kojny, ale ciemne oczy zdra-dzają mrocz-niej-sze emo-cje. – Już tu nie wró-ci-łem.

Sta-wiasz mnie przy sofie i obej-mu-jesz od tyłu. Ściany są poma-lo-wane na matową czerń z jedwa-bi-ście poły-skli-wym wykoń-cze-niem w tym samym odcie-niu. Przed komin-kiem stoją sofy pokryte zie-lo-nym aksa-mi-tem i stół jadalny wyko-nany z bej-co-wa-nego drewna z boga-tym usło-je-niem.

Pledy i poduszki z gra-fi-to-wego futra i zie-lo-nej szy-deł-ko-wej dzia-niny leżą na kana-pach. Wszę-dzie stoją rośliny donicz-kowe i krysz-tały o róż-nych roz-mia-rach i kształ-tach, wyeks-po-no-wane na pobie-la-nych rat-ta-no-wych sto-li-kach i rega-łach.

Cały tył domu jest otwarty na werandę ze szklaną ścianą, którą można cał-ko-wi-cie roz-su-nać. Tabliczka wisząca po jed-nej stro-nie ostrzega przed kra-dzieżą two-jej magii. Podobna po dru-giej stro-nie głosi, że Lily była stu-pro-cen-tową cza-row-nicą.

Na zewnątrz kępy nad-mor-skich traw roz-stę-pują się pośrodku, two-rząc ścieżkę pro-wa-dzącą na publiczną plażę.

Spla-ta-jąc palce z two-imi, przy-tu-lam się do cie-bie. Mój wzrok błą-dzi po oto-cze-niu. Ina-czej niż w pen-tho-usie, pry-watne zdję-cia są tu wszę-dzie, oprawione stoją na każ-dej półce i sto-liku. Jedyna zmiana, którą zauwa-żam, jest nad komin-kiem. Poje-dyn-czy duży obraz zastę-puje wiszące tu wcze-śniej dzieła sztuki o róż-nych roz-mia-rach, domi-nu-jąc w prze-strzeni.

Wyko-nany akwa-relą i ołów-kiem, przed-sta-wia syrenę sie-dzącą na ska-li-stym brzegu morza, tyłem do arty-sty, z ukrytą twa-rzą. Falu-jące czarne włosy spły-wają do bio-der i powie-wają na wie-trze. Jej ogon zaczyna się od jasnego różu w talii, odcień pogłę-bia się stop-niowo do coraz ciem-niej-szych czer-wieni, aż płe-twy na końcu są tak atra-men-to-wo-czarne jak jej włosy. Lewą ręką przy-wo-łuje trój-masz-towy szku-ner z czar-nymi żaglami i kadłu-bem; przy-wo-łuje burzę, aby prawą ręką znisz-czyć sta-tek.

Taki dzi-waczný obraz. Cie-kawi mnie, dla-czego do cie-bie prze-ma-wia, cho-ciaż zga-dzam się, że robi wra-że-nie i ide-al-nie pasuje do wnę-trza.

Doty-kasz ustami mojej skroni.

– Muszę się przy-go-to-wać na spo-tka-nie, które mam za kilka minut. Dasz sobie radę beze mnie?

– Oczywiście.

Nasta-wiam się na bycie samą, jak-kol-wiek długo by to trwało. Teraz jest gorzej, bo zaczę-łam mieć nadzieję, że poko-na-li-śmy kry-zys.

Pro-stuję się, szu-ka-jąc wewnątrz-nej siły, a ty się cofasz. Potem wcho-dzisz w moje pole widze-nia, wpa-tru-jąc się we mnie pło-ną-cymi oczami. Patrzę na cie-bie, z nie-po-ko-jem i wycze-ki-wa-niem, a czas zwal-nia. Twoje powieki stają się cięż-kie, gdy ciemna głowa opusz-cza się i prze-chyla, by zna-leźć moje usta. Ści-skam cię w pasie.

Nikt nas tu nie widzi. To nie jest przed-sta-wie-nie.

Ta chwila jest dla mnie. Dla nas.

Twoje wargi muskają moje. Piesz-czota jest lekka i bar-dzo deli-katna. Wrywa się ze mnie cichy szloch tęsk-noty, a twoja dłoń na moim bio-drze poru-sza się nie-spo-koj-nie, zaci-ska się i roz-luź-nia.

Trą-casz języ-kiem szcze-linę moich ust, a ja otwie-ram się dla cie-bie, wkrę-ca-jąc palce w deli-katny mate-riał two-jej koszuli. Głę-bo-kie liź-nię-cie, któ-rym mnie nagra-dzasz, spra-wia, że drzę.

Roz-kosz zalewa mnie gorącą, odu-rza-jącą falą. Siła roz-ta-pia się w nie-moc.

Zacie-śniasz uścisk, przy-cią-ga-jąc mnie do twar-dej kolumny swego umię-śnio-nego ciała.

Och... sma-ku-jesz jak mio-dowa whi-sky. Smak twego poca-łunku jest wyjąt-kowy i upojny. Już jestem uza-leż-niona, pra-gnąc go wię-cej. Moje usta ota-czają twój język i deli-kat-nie ssę, szu-ka-jąc two-jej dymno-słod-kiej esen-cji. Nasze ciała przy-le-gają do sie-bie od klatki pier-sio-wej do ud. Twój głę-boki pomruk wibruje na moich pier-siach.

Jedną ręką obej-mu-jąc twój kark, a drugą trzy-ma-jąc tył głowy, nie pozwolę ci się wyco-fać, cho-ciaż nie pró-bu-jesz. Piję z cie-bie, poże-ram, mój język podąża za twoim w roz-grzane wnę-trze two-ich ust. Twój uścisk się zacie-śnia, ciało zaczyna drzeć... a może to ja drzę? Płyną ze mnie ciche, zde-spe-ro-wane jęki, mój głód jest tak wielki, że nie mogę ich powstrzy-mać.

Prze-peł-niasz moje zmy-sły. Twoja skóra jest roz-grzana pożą-da-niem. Gdy pach-niesz coraz inten-syw-niej, oddy-cham głę-boko i staję na pal-cach, instynk-tow-nie i gwał-tow-nie reagu-jąc na twoje mil-czące żąda-nie.

Twoja dłoń na moim bio-drze opada do dol-nej krzy-wi-zny mojego pośladka

i przy-cią-gasz mnie do swo-jej naprę-żo-nej erek-cji. Twój penis przy moim brzu-chu jest twardy i gruby. Zanu-rzam język w two-ich ustach, pra-gnąc, by twoje ciało zanu-rzyło się w moim. Twój mio-dowy smak staje się głę-b-szy, sil-niej-szy. Odwza-jem-niany poca-łu-nek jest gorącz-kowy, język jak aksa-mitny bat wbija się w moje usta wście-kłymi liź-nię-ciami. Jesteś wygłod-niały. Pie-przymy się nawza-jem w usta, nasze języki sza-leją i spla-tają się ze sobą.

Ty pierw-szy prze-ry-wasz kon-takt. Oboje ciężko oddy-chamy. Gdy czo-łem doty-kasz mojego czoła, wpla-tam palce w gęsty jedwab two-ich wło-sów. Twoje chra-pliwe sap-nię-cia zdra-dzają gra-nice samo-kon-troli.

– Kane...

– Wykań-czasz mnie, *Seta-reh*. – W two-ich sło-wach jest ero-tyczny żar. – Roz-pa-dam się.

Zakry-wasz moje dło-nie swo-imi i roz-wie-rasz mi palce z hamo-waną siłą, abyś mógł się odsu-nać. Okry-wasz knyk-cie mięk-kimi, dłu-gimi poca-lun-kami. Potem odstę-pu-jesz.

Patrzę, jak cofasz się kilka kro-ków, zanim skre-cisz w stronę kory-ta-rza pro-wa-dzą-cego do sypialni na dole. Nie-spo-kojna, pełna wibru-ją-cej ener-gii, roz-glą-dam się po oto-cze-niu i zasta-na-wiam, co robić. Płonę pod-nie-ce-niem, jasnym i palą-cym. Mam ochotę bie-gać, tań-czyć, krzy-czeć, krę-cić się, pie-przyć cię, aż nie będę już mogła się ruszyć, myśleć, nie będę mogła się tor-tu-ro-wać.

Zrzu-ciw-szy buty, roz-wią-zuję kokardę przy bluzce i boso stą-pam do drzwi patio. Odblo-ko-wuję je i roz-su-wam. Mam wra-że-nie, że dom bie-rze głę-boki oddech, zastałe powie-trze we wnętrzu roz-wiewa nasy-cona solą bryza.

Tu, w tym domu, jeste-śmy parą. W pen-tho-usie jestem tylko ja bez cie-bie.

Pod-cho-dzę do półki z książ-kami i po kolei stu-diu-ję każde zdję-cie. Pod-no-szę dużą srebrną ramkę z foto-gra-fiami ślub-nymi. Lily miała na sobie się-ga-jącą do ziemi suk-nię z czer-wo-nej koronki ze stójką zapi-naną na karku na trzy per-łowe guziki. Dra-po-wanie przy głę-bo-kim dekol-cie z tyłu prze-cho-dziło w krótki tren. Upięte włosy były ozdo-bione gałąz-kami gip-sówki zatknię-tymi w czarne pasma, a z uszu zwi-sały misterne per-łowe kol-czyki. Bukiet skła-dał się z czar-nych lilii i czer-wo-nych róż.

I ty, mój uko-chany. Żaden męż-czy-zna ni-gdy nie wygła-dał tak wspa-niale w smo-kingu. Nawet na zdję-ciu zapie-rasz mi dech w pier-siach.

Tacy mło-dzi, tak pro-mien-nie zako-chani. Ani śladu tajem-nic kry-ją-cych się za uśmie-chami.

Odsta-wiam ramkę na miej-sce i idę dalej, oglą-da-jąc po kolei wszyst-kie zdję-cia. Sły-szę śmiech roz-brzmie-wa-jący w domu, strzępy roz-mów, zmy-słowe okrzyki prze-pla-tane jękami roz-ko-szy. Wiem, że dla-tego nie wró-ci-łeś. Ty też sły-szysz duchy.

Docie-ram do scho-dów i wcho-dzę na górę. Dwa pokoje gościnne z ich oknami jak oczy znaj-dują się w czę-ści fron-to-wej. Główna sypial-nia z tyłu wycho-dzi na cie-śninę Long Island i pach-nie jak ty. Twoja kolo-rowa pat-chwor-kowa koł-dra leży zło-żona w nogach łóżka.

Stroje Lily wciąż wiszą w jej gar-de-ro-bie i kiedy prze-cho-dzę do two-jej, widzę, że są w niej wszyst-kie nale-żące do cie-bie ubra-nia. Nie ta szyta na miarę gar-de-ro-ba Kane’a Blacka, przy któ-rym odzy-ska-łam przy-tom-ność, ale tania odzież męż-czy-zny, któ-rego spo-tka-łam po raz pierw-szy.

Zmie-niam ubra-nie, roz-bie-ra-jąc się do samej bie-li-zny, bez sta-nika, po czym wkła-dam czer-woną sukienkę typu slip dress. Jest tro-chę za luźna i bez-wied-nie przy-po-mi-nam sobie, że minęła pora lun-chu, a ty nic nie jadłeś.

W kuchni prze-glą-dam szafki, spi-żar-nię i lodówkę. Są dobrze zaopa-trzone, czego się spo-dzie-wa-łam, zna-jąc Witte’a. Roz-wa-żam opcje i posta-na-wiam przy-go-to-wać dla cie-bie

talerz wędlin: wło-skie salumi, kra-kersy, oliwki i paprykę oraz pokro-jony ser. Skro-pi-łam ser odro-biną miodu, a mięso oliwą z oli-wek z czosn-kiem i chili. Na lnia-nej ser-wetce kładę wide-lec do kok-tajli, abyś mógł mieć czy-ste ręce i zakoń-czyć to wszystko szklanką gazo-wa-nej wody.

Niosę wszystko do cie-bie na wikli-no-wej tacy, zatrzy-mu-jąc się w drzwiach daw-nej sypialni, by objąć ją wzro-kiem. Przez kilka chwil po pro-stu wchła-niam cie-bie. Sie-dzisz, oparty, na gra-na-to-wym skó-rza-nym fotelu biu-ro-wym, roz-ma-wia-jąc przez zestaw słu-chaw-kowy i krę-cisz piłką do koszy-kówki na czubku palca. Jesteś pewny sie-bie i zre-lak-so-wany, mówisz z prze-ko-na-niem i od czasu do czasu słu-chasz. Uśmie-cham się.

Twoje biurko to antyk z połowy wieku, nosi ślady zarówno upływu lat, jak i czę-stego użyt-ko-wa-nia. Dywan też jest vin-tage, z prze-tar-ciami, a wysłu-żona skó-rzana sofa w odcie-niu awo-kado wygląda, jakby ważyła tonę. Nawet akce-so-ria i ozdoby na ścia-nach są wyraż-nie z dru-giej ręki. Masz sto-jaki z han-tłami i pił-kami lekar-skimi w jed-nym rogu, han-tle ket-tle-bell, ska-kankę, taśmy opo-rowe i pod-wie-szany pas typu TRX przy-twier-dzony do ściany.

To wszystko jest tak bar-dzo twoje. Natych-miast zako-chuję się w tym pokoju.

Wnę-trze bar-dzo się różni od two-jego domo-wego gabi-netu w pen-tho-usie, który – choć z pew-no-ścią naj-bar-dziej przy-tulny i kolo-rowy pokój w tej rezy-den-cji – jest nie-wąt-pli-wie eks-klu-zywny i wystawny. Jedyne podo-bień-stwa mię-dzy tam-tym pomiesz-cze-niem a tym to jasne ściany i małe obrę-cze do koszy-kówki zamo-co-wane nad kosztami na śmieci.

Zer-kasz na mnie i natych-miast się pro-stu-jesz, w twoim ciele poja-wia się napię-cie, któ-rego przed-tem nie było, tak jak-bym przy-ła-pała cię na czymś, czego nie powi-nie-neś robić. Odkła-dasz piłkę na prze-zro-czy-stą akry-lową pod-stawę w rogu biurka i nie prze-sta-jąc mówić, mach-nię-ciem ręki zapra-szasz mnie do środka. Pod-cho-dzę do cie-bie i sta-wiam tacę. Obok moni-tora jest opra-wione zdję-cie Lily, to, na któ-rym się śmieje. Jej oczy patrzą w obiek-tyw apa-ratu przez roz-ło-żone palce, jakby wła-śnie zasło-niła twarz, by ukryć roz-ba-wie-nie, że jest foto-gra-fo-wana.

Pisz-czę z zasko-cze-nia, kiedy łapiasz mnie za nad-gar-stek i wcią-gasz sobie na kolana, w poło-wie zda-nia naci-ska-jąc przy-cisk na słu-chaw-kach, po czym szybko i mocno mnie cał-u-jesz.

– Dzię-kuję – mówisz, pod-no-sząc mnie ze swo-ich kolan i odsy-ła-jąc klap-sem w pośła-dek. Znów naci-skasz przy-cisk i podej-mu-jesz roz-mowę od prze-rwa-nego wątku.

Spo-glą-dam na cie-bie przez ramię, tak zasko-czona, że się poty-kam. Wyda-łeś mi się obcy. Nagle robi mi się zimno i czuję nie-po-kój, roz-cie-ram dłońmi gęsią skórkę na ramio-nach.

Mniej-sza wer-sja por-tretu syreny wisi na ścia-nie obok gar-de-roby. Pokój jest twój pod każ-dym wzglę-dem. Tylko ty w nie-wy-tłu-ma-czalny spo-sób wyda-jesz się dziwny i nieco zło-wrogi, jakby mor-ska bryza prze-gnała zakłę-cie, odsła-nia-jąc coś mrocz-nego i wcze-śniej zawo-alo-wa-nego.

Dok-tor Gold-stein mie-sza ci w gło-wie, myślę.

Drżąc, szybko opusz-czam pokój.

Mia-łam nadzieję, że zmiana miej-sca uwolni nas od uwo-dzi-ciel-skiej, wszech-ogar-nia-ją-cej wła-dzy Lily nad tobą. Zamiast tego prze-nie-śli-śmy się do domu z czymś gor-szym.

To nie duch Lily napeł-nia ten dom dzi-kim, nie-kon-tro-lo-wa-nym gniewem.

To twój duch.



## LILY

Włą-czam komi-nek w salo-nie za pomocą pilota leżą-cego na sto-liku do kawy, po czym sia-dam z powro-tem na głę-bo-kiej sofie i nacią-gam na nogi jeden z ple-dów ze sztucz-nego futra. Już po minu-cie orien-tuję się, że por-tret syreny jest jak tele-wi-zor w salo-nie pen-tho-use'u; po naci-śnień-ciu przy-ci-sku na ekra-nie poja-wia się obraz.

– Hej.

Sły-sząc twój głos, odwra-cam głowę w stronę kory-ta-rza. Opie-rasz ramię o ścianę, jesteś zre-lak-so-wany i osza-ła-mia-jąco przy-stojny. Przez moment widzę młod-szego męż-czy-znę, któ-rego kie-dyś zna-łam, pod męż-czy-zną, któ-rym jesteś teraz. Jego smu-kłe ciało jest szczu-plej-sze niż twoje, włosy dłuż-sze, a uśmiech szczerzy i pewny sie-bie. W jego oczach błysz-czą humor, figlarne ogniki i miłość. Potem mru-gam i już go nie ma.

– Hej – odpo-wia-dam.

– Co pora-biasz? – Twoje spoj-rze-nie jest mroczne i czujne.

Porzu-cam żal po mło-dym czło-wieku, któ-rego kie-dyś zna-łam, i sku-piam się na dzi-siej-szym tobie.

– Wygląda na to, że prze-ga-pi-łam nowy film o Jacku Ryanie, dwa z Jame-sem Bon-dem i jedną *Mis-sion Impos-si-ble*. Pomy-śla-łam, że zacznę odra-biać zale-gło-ści.

Uśmie-chasz się pobłaż-li-wie.

– Pozwo-lisz mi się przy-łą-czyć?

– Umi-lił-byś mi wie-czór, gdy-byś to zro-bił.

– Och, założę się, że mógł-bym pod-nieść stawkę. – Pro-stu-jesz się. – Co myślisz o pizzy?

– A jeżeli nie myślę o pizzy?

– To o tym, że jestem w tobie. – Uśmie-chasz się sze-rzej, widząc moje zasko-cze-nie twoim pikant-nym żar-tem. Bie-rze się z dłu-go-trwa-łej intym-no-ści i muszę to zaak-cep-to-wać. – Zadzwo-nię. Daj mi chwilę.

Wycho-dzisz, a ja czuję cię-żar nocy, która osiada wokół mnie, gdy po dro-dze gasisz świa-tła. Kie-ruję znów uwagę na tele-wi-zor i prze-wi-jam listę, aż znaj-duję film *Jack Ryan: Teo-ria cha-osu*. Zaczy-nam go oglą-dać, a potem zatrzy-muję, sły-sząc twój głos docho-dzący z dala, gdy skła-dasz nasze zamó-wie-nie.

W ciągu pierw-szych kilku tygo-dni po tym, jak mnie zna-la-złeś, chcia-łam tylko, żebyś przy-jął mnie z otwar-tymi ramio-nami. Wyszli-śmy z impasu i teraz wygląda na to, że moje pra-gnie-nie może się speł-nić. Ale nie-po-kój spra-wia, że poru-szam się nie-spo-koj-nie. Jestem kobietą, która dobrze odczy-tuje ludzi, ale ty jesteś teraz tajem-nicą, tak różną od pogrą-żo-nego w smutku wdowca, z któ-rym miesz-kam.

„Tylko jed-nej kobiety chcę”, powie-dzia-łeś. Mnie? Czy jej?

Ten cykl roz-ko-szy i bólu, pożą-da-nia i lęku, zaczął się na długo przed nami. Wycho-wały nas kobiety skrzyw-dzone w życiu przez męż-czyzn, nie-zdatne do bycia mat-kami, nie-bę-dące w sta-nie zapew-nić sta-łej życz-li-wo-ści i uwagi. To przez nie ocze-ku-jemy i pra-gniemy nie-odwza-jem-nio-nej miło-ści. Żadne z nas nie jest doj-rzałe emo-cjo-nal-nie. Gdy-by-śmy byli, wie-dzie-li-by-śmy, że należy trzy-mać się od sie-bie z daleka. Pra-gnę-li-by-śmy bez-pie-czeń-stwa zamiast tej sza-lo-nej gry, w którą gramy ser-cem

i umy-słem.

Wiem, że zako-cha-nie się nie powinno być jak upa-dek z urwi-ska, ale ty i ja ni-gdy nie sta-li-śmy na twar-dym grun-cie w żad-nym momen-cie naszego życia. Czy gdy-by-śmy usta-lili bez-pieczne gra-nice, na-dal pra-gnę-li-by-śmy sie-bie nawza-jem, czy zabra-kłoby nam naszej osza-ła-mia-ją-cej obse-sji?

Scho-dzisz po scho-dach i wcho-dzisz do kuchni.

– Biorę piwo. Chcesz cze-goś? Może wodę? Napój gazo-wany?

– Nie, dzięki.

Sły-szę, jak poru-szasz się w głębi domu, ale nie patrzę. Jeste-śmy sobie obcy na wiele spo-so-bów. Nie mogę pozbyć się lęku. Jeste-śmy tu tylko we dwoje. Zaszy-li-śmy się w tym domu na plaży, odizo-lo-wani od świata.

Okra-żyw-szy sofę, roz-sia-dasz się na jej gru-bych podusz-kach z butelką piwa w ręce. Prze-bra-łeś się w pasia-ste spodnie piża-mowe i czarny T-shirt. Masz bose stopy, a obrączka jest twoją jedyną ozdobą. Moje mię-śnie przy-jem-nie się napi-nają. Pod-nieca mnie deli-katny zapach two-jej wody toa-le-to-wej, a siła, którą ema-nuje twoje ciało, pobu-dza moją wro-dzoną kobiecą świa-do-mość two-jej jur-nej męsko-ści. Pijąc, odchy-lasz głowę do tyłu, grdyka poru-sza się, gdy prze-ły-kasz, jesteś swo-bodny i zre-lak-so-wany, pod-czas gdy ja sie-dzę tuż obok cie-bie, cier-piąc ból pożą-da-nia.

Ogo-li-łeś się dziś drugi raz. Ze wszyst-kich rze-czy, które mój umysł stara się poskła-dać i przy-jąć do wia-do-mo-ści, w tej chwili naj-trud-niej-sza jest ta wiele mówiąca uprzej-mość. Wska-zuje, jakiego zakoń-cze-nia naszej nocy się spo-dzie-wasz, i tro-skę, by unik-nać podraż-nie-nia mojej skóry w deli-kat-nych miej-scach. Mój oddech przy-spie-sza.

Odsta-wiasz butelkę na pod-kładkę, wyraź-nie pogrą-żony w myślach. Jest w tobie głę-bo-kie sku-pie-nie.

– O czymś myślisz? – pytam.

– O tobie. Zawsze.

Trzy-masz łok-cie na kola-nach, a ręce sple-cione. Sie-dzisz twa-rzą do tele-wi-zora. To nie-sa-mo-wite, jak piękny jesteś z pro-filu, lśnią-c w bla-sku ognia. Cie-nie obej-mują zagłę-bie-nia pod kośćmi policz-ko-wymi i pod-kre-ślają wyraźny zarys two-ich sil-nych bicep-sów.

Odwra-casz się w moją stronę, zgi-na-jąc kolano na podusz-kach i kła-dąc ramię na opar-ciu sofy.

– To dla cie-bie oddy-cham. Nic, co kto-kol-wiek mógłby powie-dzieć lub zro-bić – nawet ty – nie może zmie-nić tego, co do cie-bie czuję.

Przez długą chwilę jest tylko cisza. A potem wyrywa się ze mnie cichy szloch. Zamy-kam oczy, oszo-ło-miona nagłym przy-pły-wem pod-szy-tej udręką rado-ści.

Bie-rzesz moją dłoń, twoje palce bawią się pier-ścion-kiem na moim palcu.

– Nie opu-ści-łem cię ani na chwilę, odkąd cię zna-ła-złem. Byłem w pobliżu i cze-ka-łem na cie-bie.

Czy to mogło być takie łatwe? Po pro-stu odszu-kać cię w pen-tho-usie i powie-dzieć coś? Cokol-wiek?

Nie. Ty chcesz odpo-wie-dzi, a nie roz-mowy. Wyja-wie-nia tajem-nic, które zmie-nią wszystko mię-dzy nami. Ale czy nie tego pota-jem-nie chcę? Być kochaną taką, jaka jestem, a nie taką, jaka ona była?

Oddy-cham szybko. Czy jest coś trud-niej-szego niż zmie-rze-nie się z prawdą, któ-rej nie można znieść? Twoje oczy w mil-cze-niu spo-ty-kają moje.

– Ale jak mogłeś trzy-mać się ode mnie z daleka? – pytam z pasją. – Tak długo?

– Ty pierw-sza odpo-wiedz. To samo doty-czy cie-bie.  
Milknę zasko-czona. Tak bar-dzo byłam sku-piona na wła-snym nie-szczę-ściu. Ni-gdy nie przy-szło mi do głowy, że mogłeś doświad-czać tego samego.

– Pró-bo-wa-łam.

Uno-sisz brwi.

– Pie-przyć się ze mną, a nie roz-ma-wiać.

– Jesteś nie-spra-wie-dliwy – odpie-ram, a potem tracę wolę walki. Nie chcę, żeby-śmy się kłó-cili i muszę się przy-znać do wielu sła-bo-ści. Oczy mnie pieką, a potem obraz się roz-ma-zuje. – Nie wie-dzia-łam, co robić, jak mam zmniej-szyć dzie-lącą nas prze-paść. Zmie-ni-łeś się... Moje uczu-cia nie, ale ty tak.

Chłod-nymi opusz-kami pal-ców ście-rasz mi łzy z policz-ków.

– Widząc, jak samo-chód cię potra-ca... poczu-łem to ude-rze-nie. Tam, na ulicy, zaczą-łem roz-pa-dać się na kawałki, trzy-ma-jąc cię w ramio-nach, pod-czas gdy setki ludzi tło-czyło się wokół nas. Myśla-łem, że tra-cić cię bez końca musi być moją karą.

– Och, Kane.

– Byłem tak skon-cen-tro-wany na prze-szło-ści, na tym, kim byłaś, na wszyst-kim, czego nie wiem lub nie rozu-miem... Jesteś mi winna odpo-wie-dzi, przy-znasz to, a ja mam mnó-stwo powo-dów, żeby być ostroż-nym, wydo-by-wa-jąc je z cie-bie. Ale ocze-ki-wa-nie, że udzie-lisz mi tych odpo-wie-dzi, zanim poczu-jesz się bez-pieczna, było idio-tyczne. Rozu-miesz, prawda? Nie wró-ci-łaś do mnie z wła-snej woli. Zna-la-złem...

– ...mnie. Zna-la-złeś mnie i teraz jeste-śmy razem. Czy cokol-wiek innego ma zna-cze-nie? Czy mogę cię prze-ko-nać, żebyś zosta-wił prze-szłość za sobą, czy jesteś jej więź-niem?

Opusz-kami pal-ców z uwiel-bie-niem pie-ścisz moje nagie ramię.

– Potrzeba tych innych odpo-wie-dzi jest pilna, *Seta-reh*, ale wiem już to, co naj-waż-niej-sze: bez cie-bie jestem mar-twy. Byłem mar-twy bez cie-bie.

– Nie. – O nie! Jak można czuć tak wielki ból i prze-trwać? To się wydaje nie-moż-liwe.

Obej-mu-jesz mnie tak mocno, że led-wie mogę od-dy-chać, ale nie zwa-żam na to.

– Zaczniemy od nowa. Tylko mi obie-caj, że jestem przy tobie bez-pieczny, a roz-poczniemy od tej chwili.

Przez kilka powol-nych, bole-snych ude-rzeń serca pozwa-łam twoim sło-wom dotrzeć do mojej świa-do-mo-ści. Wszystko, co powie-dzia-łeś i czego nie mówi-łeś. Odsu-wam się, by spoj-rzeć ci w oczy, i widzę nadzieję, miłość i smu-tek.

Biorę twoje dło-nie i mocno je trzy-mam.

– Jesteś bez-pieczny – przy-rze-kam cicho, dosko-nale wie-dząc, ile to zobo-wią-za-nie będzie mnie kosz-to-wać. – I zamie-rzam cię uszczę-śli-wić.

Kiedy mnie obser-wu-jesz, twoje rysy łagod-nieją, a mój lęk słab-nie.

– Prze-pra-szam, Kane. Prze-pra-szam za wszystko. Że uczy-ni-łam cię...

– Prze-stań. – Pochy-la-jąc się do przodu, cału-jesz mnie w czoło i mówisz: – Nie chcę prze-pro-sin. Chcę cie-bie.

Opusz-czam głowę. Bawię się twoją obrączką. Pod nią dostrze-gam skórę tak bladą, że wiem, iż od lat nie widziała ani odro-biny słońca.

– Ni-gdy nie odpusz-czasz.

– I ni-gdy tego nie zro-bię. – Ści-skasz moje dło-nie. – Nie mogę.

Prze-chy-liw-szy głowę, przy-ci-skasz usta do moich. Na początku jest słodko; krót-kie, deli-katne dotknię-cia. Potem mnie sma-ku-jesz. Pra-gnie-nie ożywa tak szybko, że gwał-tow-nie nabie-ram powie-trza. Twój język zagłę-bia się mię-dzy wargi, które dla cie-bie roz-chy-łam,

spla-ta-jąc się z moim i głasz-cząc go. Twój korzenno-mio-dowy smak wypeł-nia moje usta.

Chwiej-nie wychy-lam się ku tobie, moje ręce wciąż są uwię-zione w two-ich.

– Pozwól mi się dotknąć.

– Jesz-cze nie.

Chcę prze-cze-sać ci włosy pal-cami i poczuć cie-pło two-jej skóry.

– Kane. Muszę... – Pod-ska-kuję na dźwięk dzwonnka do drzwi.

Twoje usta uśmie-chają się przy moich.

– Pizza?

Odsu-wasz się i wsta-jesz. Patrzę, jak zni-kasz w kory-ta-rzu pro-wa-dzą-cym do fron-to-wych drzwi. Moje usta pul-sują. Bro-dawki mam napięte i twarde, a skórę gorącą. Mię-dzy nami jest teraz obiet-nica cze-goś wię-cej i nie mogę myśleć o niczym innym.

Sły-szę twój głos i odpo-wiedz, a potem drzwi są już zamknięte i zary-glo-wane. Wra-casz z pizzą, wrę-cza-jąc mi pudełko z papie-ro-wymi tale-rzami i ser-wet-kami leżą-cymi na wierz-chu, po czym idziesz do drzwi patio. Spraw-dzasz zamek, a potem zacią-gasz cięż-kie zasłony, zamy-ka-jąc nas w ciem-nym wnętrzu domu. Następ-nie wpi-su-jesz kod na panelu bez-pie-czeń-stwa i cał-ko-wi-cie odci-nasz nas od świata.

Kiedy do mnie wra-casz, na-dał trzy-mam pudełko w tej samej pozy-cji co wcze-śniej.

Przy-glą-dasz mi się, a twoje ciało się napręża.

– Jeśli o mnie cho-dzi – mówisz cicho – chę-t-nie zjadł-bym zimną pizzę. Wła-ści-wie nawet bym taką wolał. Sty-gnącą przez wiele godzin.

Ocze-ki-wa-nie żarzy się mię-dzy nami.

Będziesz się ze mną kochać.

Zro-zu-mie-nie, że to nie-unik-nione, po tygo-dniach prze-ko-na-nia, że jest nie-moż-liwe, spra-wia, że drzę. W końcu poczuję cię wszę-dzie. Na sobie. W sobie. Mój umysł dostaje zada-nie zapa-mię-ta-nia nad-cho-dzą-cych godzin w naj-mniej-szych szcze-gó-łach. Każdy wstrzy-many oddech, każdy dreszcz roz-ko-szy, każde mocne pchnię-cie two-jego cudow-nie umię-śnio-nego ciała muszą być zapi-sane w pamięci ze szcze-gó-ło-wo-ścią filmu por-no-gra-ficz-nego, by ponow-nie delek-to-wać się nimi w przy-szło-ści. To może być wszystko, co kie-dy-kol-wiek będę miała.

– Umrę, jeśli natych-miast znów mnie nie poca-łu-jesz – mówię ochry-ple, prze-ły-ka-jąc ślinę, bo nagle wyschło mi w gar-dle.

– Nie. – Pod-cho-dzisz do mnie tym swoim nie-bez-piecz-nym kro-kiem. – Następ-nym razem ja umrę pierw-szy.

Rzu-cam pudełko z pizzą na sto-lik do kawy. Tale-rze i ser-wetki zsu-wają się i wiszą nie-pew-nie na kra-wę-dzi, ale żad-nego z nas to nie obcho-dzi. Sia-dasz na sofie i przy-cią-gasz mnie do sie-bie. Moja głowa bła-gal-nie opada w tył, chwy-tam twoją szczy-płą talię i uno-szę usta ku twoim.

W chwili, gdy twoje usta przy-wie-rają do moich, ści-skam dłońmi miękkie mate-riał two-jej koszulki. Powolny, posu-wi-sty ruch two-jego języka roz-pala mnie.

– *Seta-reh* – szep-czesz, przy-ci-ska-jąc wargi do kącika moich ust – nasza miłość może prze-trwać wszystko, nawet śmierć. Powiedz, że to wiesz.

Całuję cię.

Obej-mu-jesz moją brodę obiema rękami, deli-kat-nie naci-ska-jąc kciu-kami, aby utrzy-mać moje usta otwarte. Twój język raz po raz zanu-rza się w nie płyn-nie. Szar-pię pled, owi-nięty teraz wokół moich bio-der, jest zbyt gorąco. Klę-kam, wdra-puję ci się na kolana i nie prze-ry-wa-jąc poca-łunku, nogami obejm-uję twoje nogi. Nie jestem dobra ani zła w two-ich ramio-nach, praw-dziwa ani fał-szywa. To taka ulga nie toczyć tej bitwy, choćby przez kilka

godzin.

Przej-muję kon-trolę, gdy twoje ręce opa-dają na moje bio-dra i roz-ko-szuję się dłu-gimi liź-nię-ciami. Jęczysz, twoje dło-nie zaci-skają się na moim ciele. Cią-gnę za rąbek two-jej koszuli i wsu-wam ręce pod spód, żeby cię dotknąć.

Gwał-tow-nie chwy-tasz powie-trze, wygi-na-jąc się ku moim dło-niom.

– Tak... Doty-kaj mnie wszę-dzie.

Czub-kami pal-ców wodzę po sztyw-nych mię-śniach twego brzu-cha, a potem prze-su-wam je nisko na plecy. Twoje dło-nie piesz-czą moje uda, kciuki zagłę-biają się w rowki po obu stro-nach mojej cipki.

– Zdej-mij to – roz-ka-zuję, szar-piąc za twój T-shirt.

Się-ga-jąc przez ramię do tyłu, chwy-tasz górny brzeg koszulki i ścią-gasz ją przez głowę. Odrzu-casz na bok i znów mnie obej-mu-jesz.

– Kane... – Prze-cią-gam dłońmi po two-ich sze-ro-kich ramio-nach. – Jesteś taki piękny.

Śmie-jesz się, dźwięk jest głę-boki i pełen zachwytu. I nie toczysz już wewnątrz-nej walki. To magia miło-ści, prawda? Pozwo-le-nie na bycie sobą, wie-dząc, że inni nie widzą naszych wad.

Doty-kam cię wszę-dzie, ucząc się zmy-sło-wych, potęż-nych linii two-jego nie-zwy-kłego ciała. Moje usta podą-żają za dłońmi, przy-wie-rają do two-jego gar-dła, zanim prze-suną się w dół.

– Twoja kolej – mówisz chra-pli-wie, pod-no-sząc rąbek mojej sukienki i zawi-ja-jąc go na wyso-ko-ści talii.

Ale nie mogę prze-stać cię doty-kać. Twoje ramiona sple-tają się z moimi, gdy pró-bu-jesz mnie roze-brać. Aby ci to uła-twić, wycią-gam ręce do góry, a potem opie-ram na tobie, gdy rzu-casz sukienkę w stronę swego T-shirtu. Wydaję z sie-bie drżące wes-tchnie-nie. Twoja skóra jest taka cie-pła na moich pier-siach, włosy na two-jej klatce pier-sio-wej są mięk-kie i sprę-ży-ste. Twoje roz-ło-żone dło-nie prze-su-wają się w górę i w dół moich ple-ców, deli-kat-nie wygi-na-jąc mnie tak, że jeste-śmy ze sobą zetknięci.

– Poczę-kaj – ostrze-gasz.

Pokój wiruje, gdy tuląc w ramio-nach, opusz-czasz mnie, by poło-żyć pod sobą. Na-dal mam w uszach szma-rag-dowe kol-czyki, które koły-szą się, przy-po-mi-na-jąc o sobie. Kupi-łeś je dla kogoś innego, ale teraz są moje, ty jesteś mój. Kucasz mię-dzy moimi nogami. Rzeź-bione linie two-jej cudow-nej twa-rzy i pełne, sek-sowne usta są napięte z pożą-da-nia. Gorąca męska świa-do-mość tli się w two-ich oczach i przy-po-mina mi, jak dobrze potra-fisz ukryć ten dra-pieżny błysk i jak łatwo zama-sko-wać swoją zwie-rzęcą naturę, kiedy tylko chcesz.

Zagi-nasz palce pod górną kra-wę-dzią moich maj-tek, a ja uno-szę bio-dra, a potem wycią-gam wypro-stowane nogi do sufitu.

– Marzę o tych dłu-gich nogach. – Przy-ci-skasz usta do mojego kolana, potem liżesz zagłę-bie-nie pod nim, przy-pra-wia-jąc mnie o dreszcz. – I ten pieg, wła-śnie tutaj.

– Marzę o każ-dej czę-ści two-jego ciała.

Ścią-gasz mi majtki z nóg, a potem rzu-casz je na opar-cie kanapy razem z resztą naszych ubrań.

– Serce tak szybko mi bije – mówisz, a twoje oczy lśnią bla-skiem odbi-tych pło-mieni z kominka.

– Moje też.

Pie-ścisz mnie od boków piersi do zewnętrz-nej krzy-wi-zny bio-der. Drzę i chi-cho-czę, łasko-tana tym ulot-nym doty-kiem.

Uśmiech poja-wia się na two-ich ustach. Taki pro-sty wyraz rado-ści, ale jego widok

łamie mi serce.

– Ty też jesteś ze mną bez-pieczna – szep-czesz, opusz-cza-jąc głowę na moją pierś.

Świeże łzy napły-wają mi do oczu.

Roz-grze-wasz moją wraź-liwą bro-dawkę wil-got-nym cie-płem swo-ich warg. Wygi-nam plecy, chra-pliwe wes-tchnie-nie wymyka się ze mnie pod sma-gnię-ciem two-jego języka. Czu-bek, już spi-cza-sty pod naci-skiem two-jego ciała, sztyw-nieje jesz-cze bar-dziej. Twój głę-boki pomruk wibruje przy mnie i we mnie, sty-mu-lu-jąc bole-sną szcze-linę mię-dzy moimi nogami. Kiedy twój język drga jak pło-mień, czuję jego echo w wagi-nie. Moje palce wplą-tują się w gorący jedwab two-ich wło-sów.

Prze-su-wasz się, prze-no-sząc uwagę na moją drugą pierś, obej-mu-jąc napięty punkt głod-nymi ustami, ssąc i szybko muska-jąc języ-kiem. Kiedy twoja dłoń zagłę-bia się mię-dzy moje nogi, twarde opuszki two-ich pal-ców znaj-dują mnie śli-ską i opuch-niętą. Jęczę twoje imię, bez-wstyd-nie.

Dwa dłu-gie, silne palce wcho-dzą we mnie, gdy twoje usta ryt-micz-nie pocią-gają moją bro-dawkę. Zaczy-nasz gła-skać głę-boko, spo-koj-nie i umie-jęt-nie. Twój kciuk ociera się o łech-taczkę przy każ-dym zanu-rze-niu i odwro-cie. Zręcz-nie celu-jesz w super-w-raź-liwy punkt we mnie, pocię-ra-jąc to deli-katne miej-sce z bez-li-to-sną fine-zją.

Dyszę osza-lała z roz-ko-szy. Od początku wie-dzia-łam, że twoje doświad-cze-nie sek-su-alne było znaczne i zwy-cię-skie. Widać to we wszyst-kim, co cię doty-czy. Dra-pieżna płyn-ność two-ich ruchów. Wyraźne obiet-nice, które skła-dają twoje oczy. Pewna sie-bie aro-gan-cja two-ich uwo-dzeń. Wiesz, co twoje ciało może zro-bić kobie-tom i to widać.

To jest sza-cu-nek, na który nie jestem przy-go-to-wana, czuła cześć, która zabiera nas poza seks do cudow-nie fizycz-nego aktu miło-ści. A może to wdzięcz-ność? Cóż to za dar być dosko-na-łym w czy-ichś oczach.

Dotyk two-jego umie-śnio-nego torsu, bicep-sów i ramion, które naprę-żają się i roz-luź-niają, gdy wbi-jasz palce w moje śli-skie wną-trze, jest nie-wia-ry-god-nie ero-tyczny.

Orgazm nara-sta, napi-na-jąc moje ciało.

Jest to cał-ko-wi-cie fizyczne i zupeł-nie nie, ponie-waż moja dusza drży, a serce boli.

Patrzysz, jak roz-pa-dam się emo-cjo-nal-nie.

– Jest tego wię-cej, *Seta-reh*. Daj mi to, a ja dam ci resztę.

Tajem-ni-cza obiet-nica pobu-dza moje pożą-da-nie. Moje bio-dra uno-szą się i opa-dają, pie-prząc chciwą pochwę na two-ich pom-pu-ją-cych pal-cach. Nacisk rośnie, gdy wcie-rają się w moje pchnię-cia, masu-jąc nie-ustan-nie, aż tracę zmy-sły, pra-gnąc zaspo-ko-je-nia.

– Kane...

Zakry-wasz moje usta swo-imi. Złą-cza-jąc kciuk i palce, ści-skasz nimi i naci-skasz łech-taczkę od wewnątrz i na zewnątrz. Moje ciało blo-kuje się wobec nagłej bru-tal-no-ści nara-sta-ją-cej roz-ko-szy i wiję się, jęcząc, a pochwa kur-czowo zaci-ska się na two-ich pal-cach. Orgazm jest gwał-towny i osza-ła-mia-jący. Sły-szę twój głos, niski i łagodny, pocię-sza-jący, ale szum w uszach zagłu-sza słowa.

Bez tchu i zamro-czona zapa-dam się bez-wład-nie w futrzany pled pode mną. Okry-wasz moje ciało swoim, twoja skóra jest tak gorąca, że nie-mal parzy. Cię-żar two-jego ciała mnie uspo-kaja i daje schro-nie-nie. Trzy-mam się cie-bie, prze-su-wam ręce wszę-dzie, całuję cię, gdzie tylko mogę dosię-gnąć.

Twoje usta pochy-lają się nad moimi przez zapie-ra-jącą dech w pier-siach chwilę, a potem opie-rasz się na przed-ra-mie-niu i zsu-wasz nieco spodnie, na tyle, by się uwol-nić. Bie-rzesz penisa w dłoń, gła-dząc go w zaci-śnię-tej pię-ści od nasady aż po czu-bek. Twoja erek-cja puch-nie dalej, wydłuża się i pogru-bia. Tłu-mię jęk. Wszystko w tobie jest

ponadwy-mia-rowe, jakby wszech-świat był tak zachwy-cony twoją obiet-nicą, że dał ci za dużo.

Szyb-kimi, sil-nymi ruchami dłoni przy-go-to-wu-jesz swoje ciało do mojego. Twój wzrok utkwiony w mojej twa-rzy jest gorący i dziki, jak-byś rzu-cał mi wyzwania, bym wzięła cię cał-ko-wi-cie i bez reszty. Patrze-nie, jak się doty-kasz, jak spra-wiasz sobie przy-jem-ność, jest głę-boko sek-su-al-nym dozna-niem. Jesteś bar-dziej szorstki niż ja bym była, kostki pal-ców pobie-lały ci z wysiłku, bicepsy napi-nają się, gdy się masu-jesz.

Zaci-skasz szczęki z deter-mi-na-cją, gdy sze-roką główką swo-jej erek-cji roz-chy-lasz wargi mojej cipki. Jesteś tak pod-nie-cony, że aż śli-ski od pre-eja-ku-latu, roz-pro-wa-dza-jąc wil-goć, która łączy się z moją. Wdzie-rasz się w moją dziurkę, a powieki opa-dają ci ciężko, jakby ten kon-takt cię odu-rzył. Nacisk, gdy we mnie wcho-dzisz, jest przy-tła-cza-jący. Jest też roz-koszny.

– Weź-miesz mnie – zapew-niasz, lekko beł-ko-cząc. – Jeste-śmy dla sie-bie stwo-rzeni.

Zmie-niam usta-wie-nie bio-der i zostaję nagro-dzona, gdy wypeł-nia mnie kilka dodat-ko-wych cen-ty-me-trów. Wygi-nam plecy, a moje ciało pręży się pod wpły-wem tego dozna-nia.

– Och... – jęczę. – Jest ci dobrze...

Twój niski, głę-boki pomruk wibruje we mnie.

Wsu-wa-jąc mi rękę pod bio-dra, uno-sisz mnie i zgar-biony, krót-kimi dźgnię-ciami wcho-dzisz coraz głę-biej. Nasze dopa-so-wa-nie spra-wia, że gruba korona twego penisa pociera wraź-liwe pofał-do-wane wnę-trze, wywo-łu-jąc inten-sywną roz-kosz. Twoje bicepsy napi-nają się i roz-luź-niają, gdy krę-cisz moimi bio-drami w powol-nych, gład-kich pchnię-ciach, draż-niąc waginę obiet-nicą eks-tazy. Moje wnę-trze zaci-ska się, drżąc z ponow-nego pobu-dze-nia, a ty wyda-jesz z sie-bie war-kot, a ten dźwięk jest tak surowy i zwie-rzęcy, że ja też sza-leję.

Ero-tyczne pra-gnie-nie pul-suje w moich żyłach, gęste i gorące. Chcę się prze-su-nać, dopa-so-wać moje zaokrą-gle-nia do two-ich twar-dych płasz-czyzn, dać znak two-jemu pier-wot-nemu pope-dowi, że jestem despe-racko roz-pa-lona, ale nie mam siły cię poru-szyć.

Moją jedyną pocie-chą są dźwięki, które wyda-jesz, głę-bo-kie jęki i ury-wane odde-chy. Twoja roz-kosz wpra-wia mnie w stan gorącz-ko-wego pod-nie-ce-nia. Wyma-zy-wa-nie two-jego bólu żywą, nie-wy-ma-ga-jącą myśle-nia przy-jem-no-ścią to cel, który mnie pochła-nia.

Wysu-wasz się zupeł-nie, aż gorąca, sze-roka główka penisa pociera moje wargi sro-mowe, a potem wbi-jasz się mocno, by w końcu z rado-snym okrzy-kiem opaść aż po nasadę. Ten napór jest wspa-niały, a ja wstrzy-muję oddech, chło-nąc to sekretne poczu-cie two-jego pul-so-wa-nia we mnie. Wyco-fu-jesz się, a następ-nie zanu-rzasz ponow-nie, głę-boka pene-tra-cja jest teraz płynna i roz-koszna. Roz-kosz jest napięta moc-niej, do gra-nic moż-li-wo-ści, gotowa i nie-cier-pliwa. Moja cipka drży opi-na-jąc się wokół cie-bie, sty-mu-lo-wana jedy-nie twoim roz-mia-rem i osza-ła-mia-jącą radość bycia połą-czoną z tobą cał-ko-wi-cie.

Chwy-tasz zębami dolną wargę, gdy moje wnę-trze pul-suje ryt-micz-nie wokół two-jej twar-do-ści. Z cichym jękiem bole-snej roz-ko-szy obra-casz bio-drami. Mój orgazm wybu-cha z taką siłą, że krzy-czę. Wyda-jesz trium-falny pomruk i zaczy-nasz mnie pie-przyć.

Gorącz-kowo wyrzu-cam bio-dra w górę, goniąc za two-imi wyco-fa-niami, bo nie chcę cię wypu-ścić. Twoje bio-dra mocno ude-rzają we wnę-trze moich ud, twoje ciało jest potężną sek-su-alną maszyną oddaną wyłącz-nie roz-ko-szy. Zatra-casz się w tej chwili, jesteś zachłanny i nie-ustę-pliwy. Sztyw-nie-jesz, wstrzy-mu-jesz oddech, a potem krzy-czysz ochry-ple i ujeź-dzasz moją szczy-tu-jącą cipkę z nie-okieł-znaną pożą-dli-wo-ścią. Twój orgazm jest długi

i szar-pany, duże ciało wstrząsają gwałtowne drżenia zgodne z rytmem każdego obfitego wytrysku.

Dyszając, ociekając potem, całujesz mnie, jakbyś był o krok od śmierci i tylko moje usta mogą cię uratować. Dziełimy się tym samym powietrzem, którym oddychamy. Twoje płuca wciągają moje gorączkowe wydechy, a ty wydychasz oddech w moje.

Obejmując cię, uspokajając głaszcząc twoje falujące plecy, gdy twoje ciało drży. Biorę na siebie cały twój ciężar i to jest wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam. Jestem boleśnie świadoma twojej rozkosznej pełni we mnie, twojej rozpalonej długości, która domiňuje mnie w najbardziej pierwotny sposób.

Mijają długie chwile. O czym myślisz? Jeśli ktoś zajmuje twoje myśli, czy to jestem ja? Dużym palcem u nogi przesuwam w górę i w dół twojej łydki, powtarzając sobie, że to nie ma znaczenia.

W końcu szepczesz:

– Miałam rację. – A potem wciągnęłam nosem swój pot w moją skórę.

– W czym?

– Ani razu nie pomyślałam o pizzy.

Śmieję się z ulgą i przytulam cię mocno, czując, jak twoje usta rozciągają się w uśmiechu na moim ramieniu.

– Odnówmy naszą przysięgę małżeńską – szepczesz, całując mnie w szyję.

Moje ciało odpowiada na twoją propozycję, zaciśnięte wokół twojego penisa z zaborczym zachwytem. Mruzczysz z aprobatą.

– Tylko jeśli nasz miścio potrwali kilka miesięcy – targuję się. – Nie obchodzi mnie gdzie, dopóki nikogo innego nie ma w pobliżu.

Unosisz głowę.

– Zgoda.

Masz zaczerwienioną twarz i pot na czole. Myślę o tym, jaki jesteś niewiarogodnie przystojny, a potem obrać bio-dra i zauważam, jak twardy. Gdybym nie wiedziała lepiej, pomyślałabym, że jesteś niezadowolony.

– Impo-nujące – mówię, śmiejąc się.

– Zabawne – odpowiadasz. – Jestem teraz mężczyzną po trzydziestce, a nie napałowanym dzieckiem z college'u. Nie powinienem tego tracić dwie minuty po tym, jak zacznę pieprzyć swoją żonę. I powinienem potrzebować trochę cholernego czasu na regenerację.

Całujesz mnie głęboko, dokładnie. Kiedy ponownie podnosisz głowę, twoje oczy są ciemne z pożądania.

– Nie czuję nóg, ale mój fiut jest gotowy do drugiej rundy.

Opierając się na przedramieniu, sięgasz między nas, aż dotykasz miejsca, w którym jestem rozciągnięta, by cię trzymać. Jestem nawilżona twoją spermą, a ty wmasowujesz ją w moją skórę, pocierając łechtaczkę niespieszonym, okrężnym ruchem. Pasek twoich spodni delikatnie ociera się o wewnętrzną stronę moich ud, przypominając mi, że byłeś tak desperowany, aby znaleźć się we mnie, że zaledwie je zsunąłś.

Przygryzasz dolną wargę, kiedy moje wewnętrzne mięśnie się zaciśkają. Twój głaszczący kciuk jest niestrudzony, a nacisk lekki jak piórko. Moja pochwa zaciśnięta, aż zacynam mrużyć z rozkoszy.

– Jeśli będziesz mnie tak długo doić, *Seta-reh*, to nie potrwali długo.

– Och! – Zaczynam więc się pod tobą, desperacko pragnąc ujeżdżać twoją erekcję, ale twój ciężar mnie powstrzymuje.



Pocie-rasz i ści-skasz, nie-ubła-ga-nie sty-mu-lu-jąc, a potem zwięk-sza-jąc tempo. Drzę. Twój poca-łu-nek obej-muje nade mną wła-dzę, muśnię-cie two-jego języka jest zbyt trudne do znie-sie-nia. Punkt kul-mi-na-cyjny wybu-cha przy-pły-wem uczu-cia migo-ta-nia, drżą-cego we mnie, aż mro-wią mnie nawet palce u stóp i opuszki pal-ców u rąk.

Dyszając, mru-gam, patrząc na cie-bie przez zmy-słową mgłę.

– Jesteś taka piękna – mówisz, muska-jąc war-gami moje usta. – Niczego tak cudow-nego ni-gdy nie widzia-łem.

– W takim razie nie patrzy-łeś w lustro.

Uśmie-chasz się bez-wstyd-nie, pro-stu-jąc się. Skomlę, gdy ze mnie wycho-dzisz, cipka zaci-ska mi się w pro-te-ście. Blask pada-jący z kominka ota-cza cię, gdy wsta-jesz i opusz-czasz spodnie na pod-łogę.

Och, ależ jesteś wspa-niały.

Ukła-dasz mnie tak, jak lubisz: jedną nogą obej-muję twoje kolana, a łydkę dru-giej opie-ram na twoim ramie-niu. Bie-rzesz penisa w rękę.

– Kane, chyba żar-tu-jesz.

– Sześć lat – mówisz ponuro, znaj-du-jąc mnie znowu i wpy-cha-jąc się we mnie z chra-pli-wym pomru-kiem. – Pra-gną-łem cię tak długo i jesz-cze nie jestem zaspo-ko-jony.

Gwał-tow-nie nabie-ram powie-trza. Moja cipka przyj-muje cię teraz łatwiej, śli-ska od twego nasie-nia, ale twoje pro-por-cje wciąż są przy-tła-cza-jące. Pozy-cja, w któ-rej mnie uło-ży-łeś, pozwala ci napie-rać nie-sa-mo-wi-cie głę-boko. Jęcząc, wiercę się, roz-kosz-nie wypeł-niona.

Koły-sa-nie two-ich bio-der poru-sza peni-sem we mnie. Jestem opuch-nięta i nad-wraż-liwa, więc deli-katny ruch ma bru-talny efekt. Płyn-nie się wyco-fu-jesz, trzy-ma-jąc we mnie tylko wierz-cho-łek. Obiema rękami chwy-tasz poręcz sofy nad swoją głową i następne gład-kie pchnię-cie mię-dzy moje roz-warte nogi tra-fia w naj-od-le-glej-szy kra-niec pochwy. To eks-taza i jęczę, nagle pra-gnąc wię-cej.

Patrzysz na mnie z góry, twoje rysy są napięte z pożą-da-nia.

– Wciąż jestem w tobie zako-chany.

Zaci-skam powieki, odgra-dza-jąc się od two-jego i swo-jego bólu.

– Nie zamy-kaj się przede mną – roz-ka-zu-jesz szorstko. – Miej oczy otwarte.

Patrze-nie, jak się ze mną kochasz, jest tak samo ero-tyczne, jak odczu-wa-nie tego. Widok two-ich potęż-nych mię-śni napi-na-ją-cych się z wysiłku, two-jego sil-nego ciała, które oddaje się pod-nie-ca-niu i zaspo-ka-ja-niu mojego tak czę-sto, jak tylko mogę znieść, jest wyjąt-kowo pro-wo-ku-jący i wiesz o tym. Bez-li-to-śnie wyko-rzy-stu-jesz swoją fizyczną dosko-na-łość jako jesz-cze jedną broń w swoim boga-tym arse-nale sek-su-al-nym.

Wysu-wasz się i wbi-jasz szybko, ocie-ra-jąc się o mnie przez dłuż-szą chwilę, zanim nastąpi kolejne gwał-towne wyco-fa-nie i pchnię-cie. Nie-równe tempo szyb-kich odwro-tów i wejść w połą-cze-niu ze stałą pene-tra-cją roz-pala gorące pra-gnie-nie.

Spo-sób, w jaki mnie uło-ży-łeś – jedna noga oparta o twoje ramię, a druga objęta twoim ramie-niem – spra-wia, że nie dam rady cię dosię-gnąć. Mogę tylko leżeć nie-ru-chomo i przyj-mo-wać umie-jęt-nie wymie-rzone pchnię-cia two-jej wybu-ja-łej erek-cji. Roz-sze-rzona główka two-jego penisa masuje deli-katny kanał mojej waginy. Wra-że-nie, że jestem prze-peł-niona, a następ-nie opróż-niana w szyb-kim tem-pie dopro-wa-dza mnie do sza-leń-stwa. Moje ciało koły-sze się w tę i z powro-tem w tym celo-wym, nie-go-dzi-wie świa-do-mym ude-rza-niu, a futrzany pled pode mną jest dodat-kową sty-mu-la-cją.

Jestem poko-nana. Ta roz-kosz staje się nie do znie-sie-nia. Kwilę i nie mogę prze-stać; czuć cię jest zbyt cudow-nie. Za bar-dzo. Potem lekko mnie prze-su-wasz i z kolejną szarżą

prze-jeż-dzasz po tym miej-scu we mnie, przez które mogę osza-leć.

– Kane... – Ści-skam dłońmi futro pod sobą, jakby przy-trzy-my-wa-nie się miało spra-wić, ze nad-cho-dzący orgazm będzie do znie-sie-nia. – Ja... Zaraz dojdę.

– Wiem. – Cała twoja pło-mienna inten-syw-ność sku-pia się na mnie, twoje oczy są wypeł-nione głę-boką czer-nią, na policz-kach masz wypieki. Prze-su-wasz języ-kiem po peł-nej dol-nej war-dze w otwar-cie ero-tycz-nym geście. Twoje bio-dra są nie-stru-dzone, brzuch mocno napięty, gdy pie-przysz mnie bez-względ-nymi, skon-cen-tro-wa-nymi ruchami. Twój pierw-szy orgazm chwy-cił bestię za ogon i wyrwał ją z klatki. Tym razem dążysz do zaspo-ko-je-nia z zacie-klą powol-no-ścią. – Dojdę zaraz za tobą.

Wystar-czą tylko dwa pre-cy-zyjne pchnię-cia, by dopro-wa-dzić mnie do orga-zmu. Szep-czę twoje imię, gdy moje ciało gwał-tow-nie dygo-cze, nogi drżą z nad-miaru roz-ko-szy. Sły-szę, jak jęczysz, a potem bła-gal-nym ruchem zwie-szasz głowę mię-dzy napię-tymi bicep-sami, wil-gotne czoło opie-ra-jąc o moje. Twój oddech staje się syczący, gdy zaczy-nasz szczy-to-wać, twoje ciało drga, a bio-dra ryt-micz-nie falują.

Po chwili opa-dasz na mnie, ciężko dysząc.

– Jezu – sapisz, wal-cząc o oddech. Twój ton jest zarówno pełen podziwu, jak i żalu, i to mnie roz-śmie-sza.

– Prze-stań – roz-ka-zu-jesz szorstko. – Bo znowu zro-bię się twardy, co teraz na pewno mnie zabije.

Wyśli-zgu-jesz się ze mnie wil-got-nym, moc-nym ruchem, prze-su-wasz się mię-dzy moim bio-drem a opar-ciem sofy, po czym prze-wra-casz nas oboje, kła-dąc mnie na siebie.

– Nawet ty nie mógł-byś znowu dojść. – Pod-no-szę głowę, żeby na cie-bie spoj-rzeć, bo nie jestem do końca pewna, czy to prawda.

Uno-sisz brwi.

– Gdy-byś spy-tała mnie dziś rano, czy wydaje mi się, że mógł-bym zapie-przyć nas oboje na śmierć, powie-dział-bym, że te dni mam już za sobą. Teraz rozu-miem, że mój kutas jest ego-istą. Nie obcho-dzi go, czy to mnie zabije. I cho-ciaż umie-ra-nie, kocha-jąc się z tobą, jest dokład-nie tym, co bym wybrał, mam wiele spraw, które przed-tem muszę z tobą zała-twić.

Opie-ram brodę na skrzy-żo-wa-nych ramio-nach.

– Na przy-kład co?

– Na przy-kład odro-bie-nie zale-gło-ści w tych wszyst-kich fil-mach szpie-gow-skich, które kochasz, i zje-dze-nie zim-nej pizzy.

– Nie oglą-da-łeś ich?

– Bez cie-bie? – Cie-nie prze-my-kają w two-ich roz-świe-tlo-nych bla-skiem kominka oczach. – Nawet gdy-bym spró-bo-wał, nie wytrwał-bym.

Przy-ci-skam dłoń pła-sko do two-jego serca. Przy-glą-dam się two-jej twa-rzy. Zaspo-ko-je-nie zła-go-dziło twoje rysy, a oczy błysz-czą ci miło-ścią. Chcę doty-kać cię wszę-dzie, doma-gać się każ-dego cen-ty-me-tra two-jej jedwa-bi-ście szorst-kiej skóry.

– Poca-łu-nek, moja kró-lowo – mru-czysz, obli-zu-jąc dolną wargę. – Kró-le-stwo za poca-łu-nek.

Trą-ca-jąc nosem twój nos, szep-czę:

– A co, jeśli chcę tylko króla?

– Już jest twój. Zawsze był.

Doty-kam two-ich ust, skórę mam gorącą i wraź-liwą, jak-bym była spa-lona słoń-cem. Tań-czy-łam z ogniem w two-ich ramio-nach i teraz czuję efekty.

Umar-łam za to, za cie-bie.

Teraz będę musiała za to zabić.

## AMY

Gorący, mokry, okropnie cuchnący język prze-suwa się po mojej twa-rzy. Wyma-chuję rękami, odpy-cha-jąc cięż-kie, musku-larne ciało pokryte wło-sami.

– Co jest, kurwa?

Boże, szczeka mnie boli, jakby ktoś wbił mi w kość szpi-ku-lec do lodu.

Jęzor liże moje ramię i otwie-ram oczy. Mrużę je przed jaskra-wym świa-tłem słońca.

– Cho-lera. Odwal się ode mnie.

Opie-ram się na łok-ciach i spo-strze-gam, że znaj-duję się na nisko zawie-szo-nej, kre-mo-wej sofie z sze-ro-kimi sie-dzi-skami. Potrze-buję chwili, by rozej-rzeć się po pomiesz-cze-niu i zorien-to-wać, że jestem w salo-nie Suzanne. Gobe-liny z moty-wem kra-jo-brazu i rzeź-bione drew-niane maski wiszą na weso-łych żół-tych ścia-nach, potę-gu-jąc dzia-ła-nie pro-mieni sło-necz-nych, które już rażą mnie w oczy. Prze-ni-kliwy sko-wyt zwraca moją uwagę na czar-nego labra-dora sie-dzą-cego nie-cier-pli-wie i wycze-ku-jąco obok mnie.

– O kurwa. Prze-pra-szam, Ollie. – Głasz-czę go po gło-wie na prze-pro-siny. – Nie jestem ran-nym ptasz-kiem. Poza tym masz okropny oddech. Ale i tak strasz-nie cię Kocham.

– Nie jest rano – infor-muje mnie sucho Suzanne, wycho-dząc z kuchni. Kolo-rowa opa-ska trzyma w ryzach jej ciemne loki, twarz jest pozba-wiona maki-jażu, a wspa-niały jedwabny kaftan otula jej ponętną figurę. – Docho-dzi trze-cia po połu-dniu. I podaję Oli-ve-rowi pro-bio-tyki, które wete-ry-narz zale-cił na jego oddech. Jest zde-cy-do-wa-nie lepiej.

– Fuj. Jeśli to ma być lepiej, wcze-śniej musiało cuch-nać roz-kła-dem. – Sia-dam i prze-cie-ram oczy ze snu. – Co ja, do cho-lery, robię na two-jej kana-pie? I gdzie jest moja torebka? Potrze-buję swo-ich table-tek.

Pod-nosi moją Gucci Dio-ny-sus ze sto-lika z lustrem przy drzwiach wej-ścio-wych i przy-nosi mi ją.

– Co bie-rzesz? I dla-czego?

– Kilka dni temu nagle musia-łam przejść lecze-nie kana-łowe. Dali mi norco i mega-dawkę ibu-pro-fenu. – Odrzu-cam koc i sia-dam. Jestem ubrana w zestaw ze spodniami, który wło-ży-łam poprzed-niego ranka; spodnie z sze-ro-kimi nogaw-kami są naj-bliż-sze temu, w czym Lily poka-zała się na rodzin-nym spo-tka-niu w biblio-tece Kane’a. Pod spodem mam top z gor-se-to-wym tyłem eks-po-nu-jący brzuch. Naprawdę, mój strój jest bar-dziej sek-sowny i wygod-niej-szy niż ten, który miała na sobie dziwka Kane’a.

Wstaję, pod-cho-dzę do mosiężno-szkla-nego barku Suzanne i nale-wam sobie gin z toni-kiem. Spusz-czam głowę, ukry-wa-jąc prze-ra-żony wyraz twa-rzy. Jestem obo-łała mię-dzy nogami i lepka. Nie ma wąt-pli-wo-ści, że upra-wia-łam seks, ale tego nie pamię-tam.

Pro-szę, Boże, aby to był mój mąż.

– Nie powin-naś pić i brać środ-ków prze-ciw-bó-lo-wych – ostrzega Suzanne.

Odwra-cam się i patrzę jej w oczy, popi-ja-jąc tabletki. Gin z toni-kiem w tem-pe-ra-tu-rze poko-jo-wej powi-nien być obrzy-dliwy, ale mnie sma-kuje jak ambro-zja.

– Dariusz wyrzu-cił cały alko-hol z naszego mieszk-a-nia. – Przy-naj-mniej to, co udało mu się zna-leźć... – Potrze-buję cho-ler-nego drinka.

– Potrze-bu-jesz też coś zjeść. Te tabletki na pusty brzuch spo-wo-dują, że będziesz wymio-to-wać godzi-nami.

Rzu-cam jej spoj-rze-nie, ale już się ode mnie odwró-ciła i wró-ciła do kuchni. Szyb-kim, wpraw-nym ruchem nad-garstka wychy-lam pierw-szą por-cję ginu z toni-kiem, a potem przy-go-to-wuję drugą i wypi-jam ją do tego samego miej-sca w szklance, co poprzed-nią, żeby Suzanne się nie zorien-to-wała.

Odsta-wiam napeł-nioną do połowy szklankę na kufer, który służy jej jako sto-lik do kawy, idę do łazienki i uważ-nie oglą-dam swoje ciało. Oddech mam ury-wany. W bie-liż-nie jest dużo spermy i zmie-szane z nią drobne ślady krwi. Zapach przy-pra-wia mnie o mdło-ści. Wącham się, ale nie śmier-dzę jak dziwka. W któ-rymś momen-cie musia-łam wziąć prysz-nic, a to, czym teraz prze-mo-kłam, wycie-kło ze mnie potem. Dreszcz odrazy falami prze-biega moją skórę.

Oczy mam tak suche, że pieką i mru-ga-nie spra-wia mi ból. Sia-dam na toa-le-cie, a kiedy koń-czę się zała-twiać, woda jest różowa.

– To nic nie-zwy-kłego, że Darius bywa bru-talny – szep-czę. Jest namięt-nym i domi-nu-ją-cym kochan-kiem. Wiele razy po sek-sie z nim byłam obo-lała.

Uży-wam nawil-ża-nych, nada-ją-cych się do spłu-ki-wa-nia w toa-le-cie chu-s-te-czek Suzanne, by się umyć, a bie-li-znę – jedne z moich nowych, pię-k-nych koron-ko-wych dam-skich bok-se-rek – wrzu-cam na dno jej kosza na śmieci, ukła-da-jąc na nim stos chu-s-te-czek i innych odpa-dów.

Myjąc ręce, patrzę na swoje odbi-cie w lustrze. Moje usta ota-czają głę-bo-kie bruzdy. Na czole zaczy-nają mi się pogłę-biać zmarszczki. Już dawno mia-łam wziąć swoje zastrzyki z botoksu, ale nie mam czasu, żeby na nie iść. A jed-nak to moje oczy ude-rzają mnie naj-bar-dziej. Oto-czona cie-niami zie-leń tęczo-wek pociem-niała tak, że wyglą-dają jak wiel-kie czarne dziury, a przez nie w głębi widzę hor-ror, który mrozi mi krew w żyłach.

Zry-wam ręcz-nik z wie-szaka, przy-ci-skam go do ust i krzy-czę we fro-tową tka-ninę, aż przed oczami poja-wiają mi się czarne plamy.

Gdy kilka minut póź-niej wycho-dzę z łazienki, mam ramiona ścią-gnięte do tyłu i wysoko unie-sioną głowę. Się-gam po swo-jego drinka i biorę kolejny duży łyk, pró-bu-jąc stłu-mić pul-so-wa-nie w szczę-ce, które jest jesz-cze gor-sze po moim małym zała-ma-niu. Nie mogę już tego unik-nać. Czas zamon-to-wać ukryte kamery wokół miesz-ka-nia. Mam ich tuzin zako-pa-nych pod ubra-niami w jed-nej z szu-flad w gar-de-ro-bie, gdzie leżą od ponad roku. Odwa-ży-łam się je kupić, ale nie uży-łam. Bałam się tego, co zoba-czę.

Teraz bar-dziej boję się tego, czego nie widzę.

Suzanne posta-wiła cro-is-santa na stole w jadalni.

– Chodź i zjedz coś.

Dołą-czam do niej, przy-glą-da-jąc się jej znad kra-wę-dzi szklanki. Skórę ma nie-ska-zi-telną. W prze-ci-wień-stwie do mnie nie ma zmarsz-czek ani bruzd. Zewnętrzne kąci-ki jej ciem-nych oczu uno-szą się, a teraz poja-wiła się przy nich zmarszczka zatro-ska-nia.

– O któ-rej się tu zja-wi-łam? – pytam.

– Tuż po pią-tej rano.

– Cho-ler-nie wcze-śnie. Prze-pra-szam.

– Nie szko-dzi. Darius dzwo-nił około siód-mej, szu-ka-jąc cię. – Zaci-snęła usta.

– Powie-dzia-łam mu, że byłaś tu przez cały czas.

Wzdycham z ulgą.

– Dzie-kuję.

– Jedzie tu. Wszystko mię-dzy wami w porządku?

– Jasne. – Kiedy dalej wpa-truje się we mnie tymi oczami o gęstych rzę-sach, wyja-śniam: – Odkąd Kane’a nie ma w biu-rze, pra-cuje po godzi-nach. Kane jest teraz na

wycieczce ze swoją żoną, więc Darius poświęca firmie naprawdę dużo czasu.

Inaczej mówiąc, dba o interesy, o których Kane – ani jego wiedźmo-wata matka – nie powinni wiedzieć. I prawdopodobnie nie przy swojej asystentce codziennie zamiast tylko w piątki. Wraca do domu tak późno, że nie ma mowy, aby przez cały czas tylko pracował.

– Naprawdę? – ożywia się Suzanne. – Dokąd pojechał?

– Nikt nie wie na pewno, ale Lily dzwoniła, żeby sprawdzić, jak się czuję, a numer kierunkowy wskazywał na Connecticut. Sprawdziłam firmową listę numerów, ale go na niej nie ma. – Odrywam kawałek rogalika i wkładam go do ust. – Jestem pewna, że Witte dokładnie wie, gdzie są – ciągnę, przeżuwając – ale on też wyjechał.

– Z nimi?

– Prawdopodobnie. Możliwe, że właśnie teraz uprawiają seks w trójkęcie.

– Nie mówisz poważnie.

– Czemu nie? – Odgryzam duży kęs croissant. Jest maślany i pyszny, a ja zdaję sobie sprawę, że czuję potworny głód. – Witte tak głęboko wpełzł w tyłek Kane'a, że pewnie stał się jeszcze jedynym członkiem.

– O Boże, dziewczyno. – Suzanne parska śmiechem, odchylając się na krzesło. Jej kaftan ma cudowny miedziano-turkusowy kwiatowy wzór, który podkreśla urodę jej skóry w odcieniu mlecznej czekolady. Jest w niej coś królewskiego, czego nie nawidzę całą sobą. To cicha, pewna siebie godność, która wydaje się przychodzić jej bez wysiłku.

– Czy Lily jest piękna? – pyta.

– Wręcz nie do rzeczenia. – Wycieram usta. – Jakby nie była prawdziwa, kiedy przed nią stoisz. Jest jak android albo coś w tym rodzaju.

– Rodzina ją lubi?

Śmieję się i wychwytyję w tym dźwięku nutę histrii. Pamiętam dotyk ramion Lily wokół mnie, szept jej głosu w moim uchu. Prawie doprowadziła mnie do płaczu i nie mogę zrozumieć, dla czego. Nie nawidzę jej jednak za to.

– Skapotała sobie Ramina – odpowiadam, żując. – Nie przestaje mówić o wykozystaniu jej jako modelki do promowania nowej linii makiżażu. Właściwie nie wiem, co sądzi Darius. Nie ufa jej, ale on nie ufa więk szości ludzi. Rosana uważa, że Lily jest bohaterką tragicznej historii miłosnej. Jestem całkiem pewna, że Aliyah chce, żeby znów umarła. Nie może znieść, że w życiu jej chłopców są kobiety, które oni lubią bardziej od niej.

– Twoja teściowa wydaje się koszmar.

– Jest antychrystem. Cholernym piekłem na ziemi.

– A co ty myślisz o Lily?

Spooglądam przez żaluzje zasłaniające okna Suzanne. Budynek po przeciwnej stronie ulicy jest niższy, więc mogę patrzeć ponad nim na czyście błękitne niebo. Gdzieś tam Lily spędza całe dnie z Kane'em, mając go tylko dla siebie. Znając Kane'a, wyobrażam sobie, że jest równie opuchnięta i wrażliwa jak ja teraz. Po tym, jak mnie przeleciał, przez kilka dni nie mogłam chodzić.

Niewidoczne pudełko w umyśle zawierające potrzebę, by krzyknąć, otwiera się na myśl o seksie. Gar dło boli mnie od dławionych łez, gdy przełtykam croissant, który teraz smakuje jak tekturna i trociny.

– Jest w porządku. Tak naprawdę jej nie znam. Doprowadza Aliyah do szału, to tyle.

– Gdzie byłaś w nocy? – pyta Suzanne. – Od chwili, gdy Darius widział cię ostatni raz, do twojego pojawienia się tutaj?

– Po prostu musiałam wyjść z domu. I potrzebo-wałam drinka. Poszłam do baru, a potem zakum-plo-wałam się z grupą młodych turystek i wróciłam z nimi do ich hotelu,

żeby zapa-lić trawkę. – Kłam-stwa płyną mi z ust i w tej samej chwili stają się prawdą. Stwo-rzy-łam na nowo wyda-rze-nia tej nocy, nie-wia-dome na zawsze usu-wa-jąc ze swo-jej nar-ra-cji. – Myślę, że to, plus alko-hol i leki prze-ciw-bó-lowe, mnie wykoń-czyło.

– Za dużo pijesz, Amy – stwier-dza łagod-nie, z osą-dem w oczach. – Mówię to jako twoja przy-ja-ciółka.

– Cóż, jako moja przy-ja-ciółka pil-nuj swo-jego nosa. Dobrze się bawi-łam. Dziej-czyny były świetne. Chyba mówiły, że są z Min-ne-soty. Czy z Michi-gan? Gdzieś stam-tąd. – Wyj-muję komórkę z torebki. Są dzie-siutki nie-ode-bra-nych połą-czeń i nie-prze-czy-ta-nych wia-do-mo-ści od Dariusa.

Roz-lega się dzwo-nek do drzwi. Cze-kam, aż Suzanne odej-dzie, a wtedy wstaję i znów bie-gnę do łazienki. Spry-skuję twarz wodą, a potem szczy-pię się w policzki, żeby nadać im tro-chę koloru. Suzanne zapo-bie-gli-wie prze-cho-wuje w wikli-no-wym koszyku pro-dukty higie-niczne w roz-mia-rze podró-znym dla swo-ich gości, w tym płyn do płu-ka-nia ust, który z tru-dem otwie-ram i uży-wam go, by Darius nie poczuł alko-holu w moim odde-chu.

Gdy wycho-dzę z łazienki, on czeka na mnie w małym kory-ta-rzu, zaj-mu-jąc zbyt dużo miej-sca swoją wysoką, wyspor-to-waną syl-wetką. Od razu dostaję klau-stro-fo-bii. Mój oddech staje się płytki i coraz cięż-szy.

– Wiesz, jak cho-ler-nie się mar-twi-łem? – war-czy, chwy-ta-jąc mnie za ramiona i przy-cią-ga-jąc bli-żej. Jest wście-kły, ale mówi cicho, żeby Suzanne nie usły-szała. – Czym się teraz, do cho-lery, mar-twisz? Cokol-wiek to jest, ucie-ka-nie i igno-ro-wa-nie moich tele-fo-nów to idio-tyzm.

– Prze-pra-szam. – Żałuję tych prze-pro-sin już w chwili, gdy je wypo-wia-dam. Dla-czego nie mogę robić tego, co chcę? Ale wtedy widzę to spoj-rze-nie w jego oczach, zacie-kłe pożą-da-nie i czuję skurcz w żołądku. Za każ-dym razem, gdy Darius ma wra-że-nie, że nie jestem tam, gdzie by chciał, pie-przy mnie po mistrzow-sku, aby mnie sobie pod-po-rząd-ko-wać. Bio-rąc pod uwagę stan mojej pochwy, myślę, że dosłow-nie postra-da-ła-bym zmy-sły, gdyby teraz zasto-so-wał tę tak-tykę. – To nie przez cie-bie. Cały czas pra-cu-jesz, a ja po pro-stu czu-łam, że muszę poroz-ma-wiać z innym doro-słym... Mam okres. Boli mnie, cho-lera, w ustach. Niski poziom żelaza i tabletki prze-ciw-bó-lowe... Zasnę-łam na kana-pie u Suzanne. To wszystko.

Patrzy na mnie zmru-żo-nymi, podejrz-li-wymi oczami. Krzyk, który powstrzy-muję w tym słabo zamknię-tym pudełku, znów zaczyna się ze mnie wyry-wać. Oczy ła-wią mi z wysiłku, by nie zacząć wyć pro-sto w jego przy-stojną, wście-kłą twarz, i wyko-rzy-stuję je.

– Kocha-nie. – Wzdy-cha i przy-tula mnie.

Jego zapach jest tak przy-jemny i kojący, że nie mogę już dłu-żej powstrzy-my-wać potoku łez. Płyną struż-kami, a potem emo-cje wyry-wają się z mojej piersi w roz-dzie-ra-jącym szło-chu.

Jego uścisk staje się sil-niej-szy.

– Dla-czego nie roz-ma-wiasz ze mną o takich rze-czach? Wiesz, że pra-cuję nad naszą przy-szło-ścią, ale zawsze mogę zna-leźć dla cie-bie czas.

Pła-czę w jego twardą, musku-larną klatkę pier-siową, aż jestem tak wyczer-pana, że led-wie mogę utrzy-mać otwarte oczy.

Żegnamy się z Suzanne i Oli-ve-rem. Kiedy przy-tu-łam Suzanne, robię to tak mocno, jak przed-tem Lily, i widzę, że jest zasko-czona. Oka-zała się dobrą przy-ja-ciółką, cho-ciaż nią pogar-dzam.

Darius i ja wycho-dzimy, kie-ru-jąc się kory-ta-rzem do windy. Nie zwracam uwagi na pia-sek w moich klap-kach, aż ziarna zaczy-nają ocie-rać mi stopy.

## ALIYAH

Na pierw-szym z pię-ciu pię-ter cegla-nego budynku w dziel-nicy Tri-beca mie-ści się biuro Ram-part Pro-tec-tion & Inve-sti-ga-tive Servi-ces. Dalej wzdłuż ulicy widzę buti-kowy hotel, kawiarnię, salon fry-zjer-ski i agen-cję bran-din-gową. Podej-rze-wam, że ta ostat-nia jest odpo-wie-dzialna za mno-że-nie się zbyt podob-nych logo-ty-pów fir-mo-wych wyko-na-nych w pale-cie kolo-rów ziemi z ozdob-ni-kami liści i kwia-tów. Wydaje się, że oko-lica zbio-rowo celuje w kon-su-men-tów, któ-rzy kładą nacisk na przy-ja-zność dla śro-do-wi-ska i natu-ralne skład-niki. Nie rozu-miem, jak tu pasuje agen-cja detek-ty-wi-styczna, ale tak naprawdę mnie to nie obcho-dzi.

Prze-chod-nie są ubrani i ostrzy-żeni zgod-nie z naj-now-szymi tren-dami. Mie-szanka sty-lów muzycz-nych pobrzmiwa w powie-trzu, a ogólna atmos-fera daje wra-że-nie mło-do-ści, wital-no-ści i kre-atyw-no-ści. Sta-teczny Nowy Jork jest daleki od tej spo-łecz-no-ści star-tu-pów.

Wcho-dzę przez cięż-kie podwójne żela-zne drzwi poma-lo-wane na poma-rań-czowo-czer-wono i znaj-duję się w maleń-kim przed-sionku, z nie-ozna-czo-nymi drzwiami po lewej stro-nie i scho-dami i windą po pra-wej. Roz-wią-zuję szal owi-nięty wokół wło-sów i wpy-cham go do torebki. Groź-nie wyglą-da-jący czarny męż-czy-zna o sze-ro-kich ramio-nach i chłod-nym spoj-rze-niu, sie-dzi na stołku w rogu kabiny windy z kijem bejs-bo-lo-wym pod ręką. Oce-nia mnie wzro-kiem bez wyrazu i czeka.

Nie wydaje się, żeby oko-lica wyma-gała tak onie-śmie-la-ją-cego ope-ra-tora windy, ale wiele rze-czy na tym świe-cie zmie-nia naturę.

– Pierw-sze pię-tro, pro-szę.

Z łatwo-ścią pociąga za łań-cuch, który jed-no-cze-śnie opusz-cza bramkę od góry i pod-nosi jej bliż-niaczkę od dołu, jakby zamy-ka-jąc pasz-czę. Naci-ska guzik i zaczy-namy się wzno-sić.

Wycho-dzę do kolej-nego przed-sionka, który traf-niej nale-ża-łoby opi-sać jako pół-pię-tro, i wcho-dzę przez meta-lowie drzwi opa-trzone tabliczką wska-zu-jącą, że Ram-part jest po dru-giej stro-nie.

Wita mnie ładna rudo-włosa dziew-czyna w oku-la-rach z wyra-zi-stymi opraw-kami w jasno-nie-bie-skim kolo-rze.

– Cześć! W czym mogę pomóc?

Jej sta-no-wi-sko pracy to meta-lowy mebel w stylu vin-tage przy-po-mi-na-jący biurko nauczy-ciela. Jest wci-śnięty obok drzwi, ale za dziew-czyną znaj-duje się sze-roko otwarta prze-strzeń, z oknami na każ-dej cegla-nej ścia-nie z wyjąt-kiem tej za moimi ple-cami i z kolum-nami pod-trzy-mu-ją-cymi górne pię-tra. Są tu cztery rzędy biu-rek, dwa wzdłuż zew-nętrz-nych ścian i dwa w środku, usta-wio-nych razem i naprze-ciwko sie-bie.

W prze-ci-wień-stwie do Baha-ran, Ram-part nie zapew-nia nikomu wzglę-dnej pry-wat-no-ści bok-sów. Jest to wspólna prze-strzeń, biurka mają blaty z dREW-nia-nej okła-dziny, które można prze-kszał-cić w sta-no-wi-ska robo-cze za pomocą pod-no-szo-nych dźwi-gniowo wspor-ni-ków. Na prze-ciw-le-głym końcu pomiesz-czenia szklana ściana i drzwi wyzna-czają gra-nice sali kon-fe-ren-cyj-nej. Wszyst-kie okna są otwarte, pozwa-la-jąc swo-bod-nie docie-rać zapa-chom i odgło-som mia-sta.

– Jestem umó-wiona z Gile-sem Pre-scot-tem – odpo-wia-dam.

Dziew-czyna spo-gląda w moni-tor.

– Pani Armand?

– Tak. Tris, prawda?

Uśmie-cha się do mnie pro-mien-nie, nie-zmier-nie zado-wo-lona, że pamię-tam imię, które podała mi przez tele-fon.

– Tak.

Pod-rywa się z miej-sca z nad-mierną ener-gią, okrąża biurko i idzie przo-dem.

– Zapro-wa-dzę panią do sali kon-fe-ren-cyj-nej i powiem Gile-sowi, że pani już jest. Jak się pani dziś miewa?

– Tak jak można się spo-dzie-wać. – Nie wyobra-żam sobie, by kto-kol-wiek przy-cho-dzący do Ram-part miał ku temu przy-jemny powód.

– Tak przy oka-zji, ma pani piękną sukienkę.

– Dzie-kuję. – Marsz-czona sukienka na jedno ramię, w nieco grec-kim stylu, w kolo-rze stra-żac-kiej czer-wieni, to jeden z nie-wielu ele-men-tów w mojej gar-de-ro-bie, które nie są neu-tralne. Opina moją talię i pod-kre-śla krą-gło-ści. Ze zło-tymi kol-czy-kami w kształ-cie kółek i cie-li-stymi butami bez pięt, na małym obca-sie, two-rzy odpo-wied-nie wra-że-nie swo-bod-nej i nie-wy-mu-szo-nej sek-sow-no-ści.

Prze-biorę się przed wyj-ściem do pracy, ale sukienka jest ide-alna na moje pierw-sze spo-tka-nie z panem Pre-scot-tem. Chcę, żeby seks nadał posmak jego pierw-szemu wra-że-niu na mój temat; to sprawi, że łatwiej będzie nim ste-ro-wać. Pomiesz-cze-nie zapeł-niają mło-dzi męż-czyźni w wieku moich synów lub młodszy, ale kiedy wcho-dzę, ich oczy błysz-czą, a głowy odwra-cają się za mną.

– Czy mogę podać pani coś do picia? – pyta Tris. – Kawę, wodę, napój gazo-wany? Mogę też przy-nieść menu z baru smo-othie naprze-ciwko.

– Ma pani wodę gazo-waną?

– Tak. Może być Per-rier?

– Dosko-nale. – Wbrew swo-jej natu-rze sia-dam na jed-nym z krze-seł z boku, naj-bli-żej szczytu stołu. Będzie musiał zająć miej-sce bez-po-śred-nio obok lub naprze-ciwko mnie. W każ-dej inte-rak-cji pod-stawą jest przy-ję-cie pozy-cji wła-dzy, więc zwy-kle sie-dzia-ła-bym przy końcu stołu, ale w tym przy-padku celem jest stwo-rze-nie wra-że-nia bar-dziej wra-żli-wej osoby.

Giles Pre-scott jest eme-ry-to-wa-nym poli-cjan-tem. Jest zapro-gra-mo-wany na boha-ter-stwo. Dama w opa-łach powinna uru-cho-mić ten wro-dzony instynkt opie-kuń-czy. Jeśli uda mi się włą-czyć rów-nież jego instynkt godowy, jesz-cze lepiej. Czer-wona sukienka ma jak dotąd stu-pro-cen-tową sku-tecz-ność.

Cze-ka-jąc, prze-glą-dam e-maile, ale to nie trwa długo.

– Pani Armand. – Głę-boki głos przy-ciąga moją uwagę. – To pani woda. Jestem Giles Pre-scott. Prze-pra-szam, że musiała pani cze-kać. Mia-łem spo-tka-nie poza sie-dzibą firmy i powrót do biura zajął mi wię-cej czasu, niż się spo-dzie-wa-łem.

Silna ręka sta-wia przede mną butelkę per-riera, szklankę i kła-dzie ser-wetkę. Nad-gar-stek jest gruby i ozdo-biony zło-tym role-xem. Pod-wi-nięte rękawy koszuli uka-zują potężne przed-ra-miona, mię-śnie napi-nają się pod skórą w kolo-rze kawy z mle-kiem. Zauwa-żam sze-ro-kie ramiona, zanim w końcu pozwa-lam sobie przyj-rzeć się jego twa-rzy i spoj-rzeć mu w oczy. Spo-dzie-wa-łam się, że będę musiała uda-wać kobiece zain-te-re-so-wa-nie, ale mój podziw jest szczery. Giles Pre-scott jest atrak-cyj-nym męż-czy-zną.



– Dzię-kuję. A cze-ka-nie nie było pro-ble-mem. Jestem wdzięczna za poświę-ce-nie mi czasu.

Jego uśmiech jest chło-pięcy, co łągo-dzi oczy-wi-stość jego męsko-ści. Jest mie-szanką ras, a w efek-cie znie-wa-la-jący, jeśli nie kla-sycz-nie przy-stojny. Uta-len-to-wany fry-zjer strzyże mu loki i pre-cy-zyj-nie mode-luje brodę. Buty ma przy-zwo-ite, spodnie kupuje gotowe, ale dobrze dopa-so-wane. Nie nosi mary-narki i kra-wata, a koł-nie-rzyk koszuli zosta-wia roz-pięty. Widzę obrączkę, ale to nie zna-czy, że jest nie-do-stępny...

Cze-kam, aż zaj-mie miej-sce obok mnie, u szczytu stołu.

– Panie Pre-scott, jestem matką Kane’a Blacka.

Kiwa głową.

– Wiem. Dziś rano poszu-ka-łem infor-ma-cji o pani. To mi pomaga się przy-go-to-wać. Czy to on mnie pole-cił?

– W pew-nym sen-sie. Chcę lepiej zro-zu-mieć śledz-two w spra-wie jego żony, o ile są praw-nie mał-żeń-stwem, bio-rąc pod uwagę, że działa pod przy-bra-nym nazwi-skiem. Prze-czy-ta-łam pań-ski raport koń-cowy, ale wydaje się, że nie jest kom-pletny. Uży-wała naj-wcze-śniej-szego pseu-do-nimu, jaki pan odkrył, z cza-sów, gdy była nasto-latką. A co przed-tem?

– Przed-tem opiekę nad nią spra-wo-wał rodzic lub opie-kun. Ona...

– Matka.

– Jeśli mówiła prawdę na ten temat – pre-cy-zuje i gdy to mówi, swo-bodny urok tward-nieje, zmie-nia-jąc się w zde-cy-do-wane spoj-rze-nie gli-nia-rza. – Zbyt rzadko była szczerą, żeby w cokol-wiek jej uwie-rzyć. O ile wiemy, mogła mieć dwoje rodzi-ców, któ-rzy żyją i mają się dobrze. Musimy zało-żyć, że wszel-kie dostar-czone przez nią infor-ma-cje są sfa-bry-ko-wane.

– Zdia-gno-zo-wano u niej amne-zję dyso-cja-cyjną i żyje pod kolej-nym fał-szy-wym nazwi-skiem. Czy to moż-liwe, że jej toż-sa-mość jest prze-ja-wem tej cho-rob-y psy-chicz-nej? Mówiąc wprost, czy możemy jed-no-znac-znie stwier-dzić, czy jest ofiarą, czy prze-stęp-czy-nią?

– Psy-chia-tra byłby w sta-nie lepiej zro-zu-mieć, dla-czego jest tym, kim jest. Ja mogę tylko powie-dzieć, jak do tego doszło.

– Słuszna uwaga. – Bęb-nię pal-cami w blat stołu. – Kane zakoń-czył pań-skie śledz-two. Utknął pan w śle-pym zaułku, czy mój syn zadzia-łał przed-wcze-śnie? Czy można było odkryć coś wię-cej?

Przy-gląda mi się.

– Nie powie-dział pani?

– Szcze-rze mówiąc, panie Pre-scott, nie mogę uwie-rzyć w nic, co mi o niej mówi. Od lat ma na jej punk-cie obse-sję, do nie-zdro-wego stop-nia.

Kiwa głową, jakby nie był zasko-czony.

– Myślę, że mogli-śmy wyko-pać wię-cej. Trudno ją zapo-mnieć i pomy-lić z kim-kol-wiek innym. Kiedy już zawę-żamy obszar poszu-ki-wań, ludzie mają nie-zwy-kle szcze-gó-łowe wspo-mnie-nia o niej.

– Tak, widzia-łam ją w akcji. Jest nie-zwy-kle cza-ru-jąca, co czyni ją sła-bym punk-tem Kane’a. O ile wiem, praw-do-po-dob-nie nie-bez-piecz-nym. Pań-ski raport suge-ro-wał powią-za-nia z pół-świat-kiem...?

– Nie żyje skrom-nie. Aby wyna-jąc pre-fe-ro-wane przez nią nie-ru-cho-mo-ści warte miliony dola-rów, wyma-gana jest dokładna wery-fi-ka-cja prze-szło-ści. Jak pani widziała, zawsze robiono kopie jej doku-men-tów toż-sa-mo-ści, ale samo to by nie wystar-czyło. Dogłębne bada-nie jej histo-rii byłoby ruty-nowe i musia-łaby przejść dokładną kon-trolę. Ktoś

– i to mogła być ona – ma wystarcząca umięjętności, aby wpro-wa-dzić fał-szywe infor-ma-cje do rzą-do-wych baz danych, a następ-nie usu-nąć te wpisy, gdy ta toż-sa-mość nie jest już potrzebna.

Jego raporty były szcze-gó-łowe, więc wie-dzia-łam o tym wszyst-kim. Ivy, Lily, Daisy... Lubiała bota-niczne imiona, prawda? I czy samo ich podo-bień-stwo nie suge-ro-wało pre-me-dy-ta-cji? A może jest odwrot-nie. Tak czy ina-czej, przed-sta-wie-nie tego sło-wami było podwój-nie nie-po-ko-jące.

– Nie rozu-miem, jak Kane mógł to wszystko wie-dzieć i poprze-stać na tym.

– Nie poprze-stał – pro-stuje detek-tyw, opie-ra-jąc się na krze-śle. – Zre-zy-gno-wał ze mnie. Sądzimy, że sko-rzy-stał z usług innej firmy.

– Wyna-jął kogoś innego? Dla-czego miałyby to zro-bić? Spie-przy-li-ście sprawę?

Pre-scott uśmie-cha się gorzko.

– Nie. Jestem bar-dzo wyma-ga-ją-cym prze-ło-žo-nym w Ram-part. Mój zespół składa się z eme-ry-to-wa-nych funk-cjo-na-riu-szy orga-nów ści-ga-nia z depar-ta-men-tów poli-cji, oddzia-lów służb i agen-cji fede-ral-nych. Mam w nim mnó-stwo praw-ni-ków i stu-den-tów na płat-nym stażu z róż-nych dzie-dzin. Nie popeł-niamy błę-dów, pani Armand.

– Aliyah, pro-szę. – Prze-ni-kliwy sygnał pojazdu uprzy-wi-le-jo-wa-nego nagle prze-szywa powie-trze. Alar-mu-jący dźwięk, mecha-niczne ćwier-ka-nie i piski, któ-rych nie można zigno-ro-wać, wle-wają się przez otwarte okna, draż-niąc moje nerwy i wpra-wia-jąc mnie w jesz-cze więk-szy nie-po-kój. Sza-lony dźwięk nara-sta z każdą sekundą, gdy pojazd się zbliża.

W kąci-kach jego oczu poja-wiają się zmarszczki, gdy uśmiech staje się szer-szy i Pre-scott pod-nosi głos.

– Pra-cu-jemy bez-po-śred-nio tutaj. Pukamy do drzwi, zada-jemy pyta-nia i szu-kamy. Doku-men-tuję wszystko skru-pu-lat-nie i dzia-łamy w gra-ni-cach prawa. Cho-ciaż nie-któ-ry zawo-dowcy z mojego zespołu są zazna-jo-mieni z pracą pod przy-krywką, nie jeste-śmy spe-cja-li-stami od taj-nego wywiadu.

Się-gam po wodę i pró-buję odkre-cić meta-łową zakrętkę, ale moje dło-nie zawo-dzą. Pre-scott deli-kat-nie bie-rze ode mnie butelkę, otwiera ją i wlewa zawar-tość do szklanki.

– Dla-czego Kane miałby dzia-łać pota-jem-nie?

– Są dwa spo-soby zdo-by-cia pie-nię-dzy: uczciwy i nie-uczciwy. Gdyby kobieta tak młoda jak pani synowa uczci-wie doszła do swo-jej for-tuny, ozna-cza-łoby to, że albo ją odzie-dzi-czyła – i byłby na to ślad na papie-rze – albo na nią zasłu-żyła. Taka suma pie-nię-dzy nie zosta-nie zaro-biona bez wie-dzy wielu osób, w tym urzędu skar-bo-wego. Nie zna-leż-li-śmy niczego, co legi-ty-mi-zo-wa-łoby ją lub jej mają-tek.

Mam wra-że-nie, że pokój się obraca, i biorę głę-boki, powolny oddech. Gideon Cross ni-gdy nie robiłby inte-re-sów z prze-stępcą, zwłasz-cza z kimś, kto ukradł lub zde-frau-do-wał pie-nią-dze. Przy-myka oczy na występki Paula, ponie-waż soli-da-ry-zuje się z Kane'em, który rów-nież cier-piał za grze-chy ojca. Ale Lily? Kobieta, która obok Kane'a posiada więk-szo-ściowy udział w fir-mie...? Gdyby Cross się wyco-fał, stra-ci-li-by-śmy całą inwe-sty-cję w ECRA+. Byłby to nie-mal śmier-telny cios dla Baha-ran.

– Pani syn wyko-rzy-stał jej mają-tek do zbu-do-wa-nia swo-jej firmy – kon-ty-nu-uje.

– Jeśli z tymi akty-wami wiąże się prze-stęp-stwo, zostaną ode-brane. Za każ-dym razem, gdy badana jest jej prze-szłość, ktoś dowia-duje się, że jest poszu-ki-wana. Zada-jesz dużo pytań – wiele osób zaczyna o tym wie-dzieć. Od lat zmie-niała toż-sa-mość. Nie robisz tego, chyba że się ukry-wasz, więc pod-ję-cie bar-dziej taj-nego docho-dze-nia – być może prze-kro-cze-nie linii prawa, czego nie robimy tutaj w Ram-part – pomo-głoby zmi-ni-ma-li-zo-wać ryzyko, że odwróci się nie-wła-ściwy kamień i wypeł-znie spod niego coś naprawdę nie-bez-piecz-nego.

O nie... Żółć pod-cho-dzi mi do gar-dła, paląc kwa-sem deli-katną tkankę. Mocno prze-ły-kam ślinę, przy-ci-ska-jąc dłoń do brzu-cha w darem-nej pró-bie powstrzy-ma-nia mdło-ści.

Nie tylko part-ner-stwo Crossa możemy stra-cić. Rów-nież samą Baha-ran. A to jest wszystko.

– To kosz-mar.

– W grę wcho-dzi wiele ele-men-tów, ale pani syn wciąż szuka odpo-wie-dzi. Wła-śnie prze-niósł się z poszu-ki-wa-niami do pod-zie-mia. Śle-dzi pie-nią-dze, pró-bu-jąc dotrzeć do ich źró-dła. Jeśli się dowie, skąd się wzięły, będzie miał coś lub kogoś – może wiele osób – na które trzeba uwa-żać.

– A gdy-bym zapła-ciła panu za kon-ty-nu-owa-nie śledz-twa?

– Dla-czego mia-łaby pani pod-jąć to ryzyko?

Uno-szę brwi.

– To mój syn. Znam go. I wiem, że nie potrafi być obiek-tywny, gdy cho-dzi o tę kobietę.

Gotuję się z gniewu na myśl, że wszystko, co posia-dam, jest zagro-żone, każdy czło-nek mojej rodziny. Wzbiera we mnie furia.

Odsu-wam się od stołu, nogi krze-sła szu-rają po pod-ło-dze jak gwoź-dzie po tablicy. Pojazd z włá-czoną syreną prze-jeź-dza tuż pod oknem i ogłu-sza dźwię-kiem.

Czy Kane stara się ura-to-wać firmę? Czy na-dal kon-cen-truje się na Baha-ran? Czy źle go oce-ni-łam? Z pew-no-ścią nie oce-ni-łam źle tego, jak na nią patrzy, chyba że to wszystko gra. Zdo-by-cie jej zaufa-nia byłoby naj-mą-drzej-szym i naj-szyb-szym spo-so-bem roz-wią-za-nia tego pro-blemu. Czy dla-tego z nią wyje-chał? Czy buduje rela-cję, aby zdo-być potrzebne mu infor-ma-cje?

Ma wybór mię-dzy Baha-ran i jak-kol-wiek się ona nazywa. Co wybie-rze? A może pra-cuje, by zatrzy-mać i firmę, i ją?

Pod-cho-dzę do okna i patrzę na wąską uliczkę poni-żej. Korek unie-moż-li-wia karetce poru-sza-nie się – nie jedzie, lecz peł-znie. Ktoś czeka na pomoc gdzieś w mie-ście i minie tro-chę czasu, zanim ta nadej-dzie. Być może pojawi się za późno.

Baha-ran nie może cze-kać, aż będzie za późno.

Zaczy-nam myśleć o tym, jak zebrać pie-nią-dze, by spła-cić Lily i ode-słać ją z jej pro-ble-mami. Nie mam poję-cia, jak doko-nać wykupu na taką skalę, ale jeśli mi się uda, Kane nie będzie już miał więk-szo-ści. Muszę tylko dopil-no-wać, żeby żaden inny czło-nek zarządu nie wkro-czył i nie prze-jął udział-ów. Zwie-rzę się Ryanowi. Kane jest jego przy-ja-cie-lem; ni-gdy nie robi nic, co mogłoby go skrzyw-dzić, i zadba o to, żeby-śmy pora-dzili sobie z tym w spo-sób naj-lep-szy dla mojej rodziny.

Rosnąca nie-na-wiść do Kane’a uspo-kaja moje nerwy i dodaje mi sił. To on powinien przyjść z pie-niędzmami. Mógłby po pro-stu prze-pi-sać pen-tho-use na swoją pseu-do-żonę i to by praw-do-po-dob-nie wystar-czyło. Mógłby ją nawet zamknąć w zakła-dzie – oczy-wi-ście dla jej dobra. Po przyj-rze-niu się dok-to-rowi Gold-ste-inowi, po obej-rze-niu jego wykła-dów wideo na YouTube, jestem pewna, że gor-li-wie uza-sad-niałby korzy-ści z wysła-nia jej tam. Lily i Amy mogłyby zostać zamknięte razem i dotrzy-my-wać sobie towa-rzy-stwa.

Zamiast tego będziemy musieli pole-gać na lojal-no-ści przy-ja-ciół, aby utrzy-mać Baha-ran. Muszę wszystko poukła-dać, a potem usiąść z Lily i się jej pozbyć.

Pre-scott wyciąga rękę i opusz-cza prze-su-wane okno, mini-mal-nie zmniejszajac hałas. Spo-gląd-am na niego. Wibruję zło-śliwą ener-gią, która potrze-buje ujścia.

– W głębi ulicy jest hotel.

Unosi brwi. Widzę moment, w któ-rym poj-muje zapro-sze-nie.

- Jestem żonaty.
  - Gra-tu-la-cje. Pro-po-zy-cja jest aktu-alna.
  - To pochlebna pro-po-zy-cja, ale kocham mojego męża i nie zdra-dzam.
  - Ach. – Omi-jam go, żeby wziąć torebkę. – Szkoda.
  - Mam zało-żyć, że zde-cy-do-wała się pani nie kon-ty-nu-ować śledz-twa?
- Zatrzy-muję się, roz-wa-ża-jąc to.

Pre-scott krzy-żuje ramiona.

– Pani Armand, naj-wy-raż-niej jest pani nie-zwy-kłą kobietą, przy-zwy-cza-joną do otrzy-my-wa-nia tego, czego chce, ale nale-gam, aby pozwo-liła pani synowi, by sam się tym zajął. Kobieta, którą pani zna jako Lily, od lat umie-jęt-nie chroni się w spo-sób wska-zu-jący na wysoki poziom zagro-że-nia. Cokol-wiek pani myśli, że może wyko-rzy-stać, raczej nie prze-kro-czy tego, czego ona do tej pory zręcz-nie uni-kała. Szcze-rze mówiąc, pani nie jest z jej ligi.

– Doce-niam pań-ską szcze-rość, panie Pre-scott. Czy może mi pan podać pełną war-tość akty-wów LLC, gdy odzie-dzi-czył je mój syn?

– Dzier-ża-wiła nie-ru-cho-mo-ści, w któ-rych miesz-kała, i swoje samo-chody. Jeśli cho-dzi o rachunki ban-kowe, nie mam dostępu do wcze-śniej-szych wycią-gów, tylko do akty-wów na ich rachun-kach.

– Chyba po pro-stu będę musiała ją zapy-tać. – Odwra-cam się w stronę szkla-nych drzwi, a on zwin-nie mnie wyprze-dza i otwiera je. – Naprawdę szkoda – powta-rzam.

Szybko prze-cho-dzę mię-dzy rzę-dami biu-rek do wyj-ścia, nie mogąc się docze-kać, żeby stwo-rzyć zabez-pie-cze-nie przed kata-strofą.



## LILY

*Stoję na plaży w Gre-en-wich, ską-pana w poran-nym słońcu, któ-rego świa-tło odbija się od fal cie-śniny Long Island. Na nagich rękach i nogach poja-wiła mi się gęsia skórka. Chłód two-rzy się we mnie, a potem pro-mie-niuje na zewnątrz.*

*Ze wszyst-kich błę-dów, które w życiu popeł-ni-lam, przy-sięga mał-żeń-ska oka-zała się naj-gor-szym. Jak mogłam nie dostrzec w tobie potwora?*

*To kłam-stwo. Wie-dzia-lam, że tam jest. Czu-lam się lepiej, wie-dząc, że śpi w pobliżu, opie-kuń-czy i bez-względny. Moją porażką było prze-ko-na-nie, że twoja miłość powstrzyma tę bestię przed zwró-ce-niem się prze-ciwko mnie.*

*Nie nauczono mnie wie-rzyć w baśnie. Wycho-wano mnie w prze-ko-na-niu, że księżę z bajki to kostium noszony przez bestię. Nie ma zam-ków na szczy-tach gór, nie ma ryce-rzy w łśniq-cych zbro-jach. Zapusz-cza-nie korzeni jest dla ludzi prze-cięt-nych. Związki są dla zbyt sła-bych, by żyć samot-nie. Ale oto jestem, mając cienką złotą obrączkę na palcu. A teraz ktoś musi umrzeć.*

*Już nie jestem ślepa. Wiem, co muszę zro-bić.*

*Słona mor-ska woda liże moje palce u stóp, kojąco i sty-mu-lu-jąco jak piesz-czota kochanka. Coś w głębi mnie poja-wia się w odpo-wie-dzi – coś, co stara się uciec.*

*Moim cia-łem wstrząsa dreszcz. Nasza klót-nia odtwa-rza się w mojej gło-wie w nie-skoń-czo-nej pętli. Twój syczący głos, ogień w two-ich oczach. Twój tem-pe-ra-ment, zawsze szybko wybu-cha-jący, wymy-ka-jący się spod kon-troli.*

*Twoje słowne ciosy były szo-ku-jące. Gdy-byś ude-rzył mnie pię-ściami, nie bola-łoby to tak bar-dzo, jak twoje zja-dliwe słowa i głę-bo-kie obrzy-dze-nie.*

*Chci-wość mnie nie zasko-czyła. Czyż nie zawsze chcia-leś wię-cej, nie sta-ra-leś się wybić ponad swoją pozy-cję spo-leczną, prze-jąc wła-dzę i kon-trolę, być kimś? Ni-gdy nie ukry-wa-leś swo-ich ambi-cji. I czyż nie zawsze to podzi-wia-lam? Ale uświa-do-mie-nie sobie, że twoja czu-łość była sztuczna, rani moją duszę. Nie ma tu utra-co-nej mi-łó-ści. Jak mogłam prze-ko-ny-wać sie-bie, że jest ina-czej?*

*Nie mogę uwie-rzyć, że kie-dy-kol-wiek myśla-lam, że nie dbasz o pie-nią-dze. Byłam taka pewna two-jej mi-łó-ści. A może nie byłam? Z per-spek-tywy czasu muszę przy-znać, że okła-my-wa-lam samą sie-bie.*

*Odrzu-ci-leś głowę do tyłu z głę-bo-kim, mrocz-nym śmie-chem. „Nie dbać o pie-nią-dze? Wsty-dzi-łem się uży-wa-nych ubrań, pra-co-wa-łem całymi dniami, pie-przy-łem się tylko po to, by mieć pre-tekst do opróż-nie-nia czy-jejs lodówki, płasz-czy-łem się, pró-bu-jąc nawią-zać kon-takty i poni-ża-łem się na nie-zli-czone inne spo-soby. Pie-nią-dze ozna-czają, że już ni-gdy nie będę musiał przez to cier-pieć. Pie-nią-dze to wła-dza. Jeśli nie doce-niasz tego, że je masz, cóż... ja doce-nię”.*

*W two-ich oczach było jasne, nie-na-tu-ralne świa-tło, które prze-biło moje trze-wia jak śmier-cio-no-śne ostrze. Cały urok, przy-cią-ga-jąca wzrok atrak-cyj-ność, szczere uczu-cie znik-nęły, jakby ni-gdy nie ist-niały. W tym momen-cie cię zoba-czy-lam. Praw-dzi-wego cie-bie. Złego i obcego. Sza-lo-nego. Zdol-nego do wszyst-kiego.*

*Minęło zale-d-wie kilka dni, odkąd zło-ży-lam przy-sięgę na całe życie, nie wie-dząc, że pia-ski czasu zaczęły prze-sy-py-wać się nie-kon-tro-lo-wa-nym stru-mie-niem w chwili, gdy*

*powie-dzia-łam „tak”.*

*Sły-szę swoje imię i odwra-cam się od wody. Dom na plaży czeka, jego okna i drzwi wypeł-nia głę-boka czerń, jakby wej-ście do niego było jak wkra-cza-nie w nicość. Każdy krok w tym kie-runku jest coraz trud-niej-szy i moje stopy coraz głę-biej grzę-zną w pia-sku. Napły-wa-jące fale two-rzą kałuże wokół moich nóg. Cie-śnina ryczy jak mio-tany sztor-mem ocean, a za mną wznosi się sze-roki cień. Nie mogę się ruszyć, gdy zbliża się nie-bez-pie-czeń-stwo, tsu-nami, które nie pozwoli mi opu-ścić brzegu wody.*

*Wycią-gam rękę w stronę domu, krzy-cząc, i sły-szę ten mroczny, głę-boki śmiech, gdy morze mnie wzywa.*

## LILY

Uko-chany dźwięk two-jego głosu budzi mnie jesz-cze raz. Obu-dzi-łeś mnie już wcze-śniej gorą-cymi poca-łun-kami i chci-wymi dłońmi, aż pozo-sta-łam drżąca z wyczer-pa-nia i odu-rzona roz-ko-szą orga-zmu.

– Sku-si-ła-byś samego dia-bła – szep-czesz, muska-jąc nosem moją skroń, gdy ścią-gasz ze mnie koł-drę.

Mru-ga-jąc, prze-wra-cam się na plecy, kiedy wra-casz do łóżka i sia-dasz na mnie okra-kiem. Świa-tło sło-neczne wpa-da-jące przez okno mówi mi, że jest jesz-cze wcze-sny ranek.

Zaspa-nym wzro-kiem wodzę po twoim nagim ciele. Jesteś olśnie-wa-ją-cym obra-zem gład-kich linii i falu-ją-cych mię-śni. Włosy na-dal masz mokre po nie-daw-nym prysz-nicu, a powie-trze jest gęste od wil-goci.

– I kto to mówi?

Twój uśmiech to powrót do prze-szło-ści, prze-błysk zaro-zu-mia-łego roz-ba-wie-nia two-jego młod-szego ja. Młod-nia-łeś z godziny na godzinę, twoja twarz łagod-niała, a sztyw-ność ramion ustę-po-wała. Nad-miar seksu ci służy. Z dnia na dzień sta-jesz się bar-dziej ener-giczny, jak-byś w ogóle nie potrze-bo-wał snu, tylko orga-zmów.

Twoja skóra jest chłodna, tak jak moja staje się z braku koł-dry, a twarz gładka i miękka. Nabra-łeś zwy-czaju wsta-wa-nia przede mną, by się ogo-lić, a następ-nie wra-ca-nia do łóżka i śli-skich głębi mojej waginy. Upra-wia-nie miło-ści jest teraz wpi-sane przed twoim pierw-szym prysz-ni-cem, zapla-no-waną codzienną czyn-no-ścią, rów-nie obo-wiąz-kową jak higiena. Jak byś to napi-sał, kocha-nie, gdy-byś mógł? „Spra-wić, by żona wciąż była chętna do współ-pracy”? A może: „Zapłod-nić żonę”? Z pew-no-ścią robisz wszystko, co w two-jej mocy, aby zapew-nić, żebym zawsze była prze-siąk-nięta twoją spermą.

Nie narze-kam, nie tylko dla-tego, że mnie zaspo-ka-jasz, ale ponie-waż twoja zwie-rzęca natura pasuje do mojej. Kiedy dora-stasz, wal-cząc o miej-sce na tym świe-cie, pozba-wiony siatki bez-pie-czeń-stwa rodzi-ciel-skiego wspar-cia, nie ma w tobie nad-miaru uprzej-mo-ści. Wiem, że twoja dusza roz-po-znaje we mnie swo-jego part-nera i raduje się wie-dzą, że możesz być tak dziki, jak chcesz, a ja będę się tym roz-ko-szo-wać.

– Powiedz mi prawdę – mówię, spo-gląd-a-jąc w górę na twoją nie-sa-mo-wi-cie piękną twarz i ciało – jesteś inku-bem.

Twój głę-boki, ochry-pły śmiech dociera do mojego wną-trza i pie-ści to ciemne, ciche miej-sce, o ist-nie-niu któ-rego nie wie-dzia-łam przed tobą. To uczu-cie bycia doty-kaną w naj-głęb-szej czę-ści mojej istoty roz-pala mnie bar-dziej niż cokol-wiek, co robisz lub mówisz.

Uśmie-cham się.

– To dla-tego robisz się coraz młod-szy i sil-niej-szy, a mnie miękną kolana.

– Taką cię lubię. – Pochy-lasz się, by mnie poca-ło-wać tak żar-li-wie, że pod-kur-czam palce u stóp.

Wciąż myślę o tym, że takich dni mie-li-śmy już kilka. Zatra-ci-li-śmy się w sobie do tego stop-nia, że żar-łoczna potrzeba zła-god-niała w głę-bo-kie nie-na-sy-ce-nie. Jesteś cie-pły i zabawny, ide-alny obraz kom-plet-nie zauro-czo-nego męż-czy-zny.

Ale w żadnym stopniu nie daję się zwieść tym pozorom. Moja matka nie znośiła głupców.

Pod twoją uroczą, zre-lak-so-waną fasadą kryje się wyra-cho-wana dra-pież-ność. Dostrzegam te prze-nikliwe spoj-rze-nia, które rzu-casz w moją stronę, kiedy myślisz, że nie zwracam na ciebie uwagi. Rozumiem, że chociaż z natury jesteś bardzo namięt-nym mężczyzną, czę-sto-tliwość naszego kocha-nia się w dużej mierze zwią-zana jest z kontrolą, czymś, co było dla ciebie nie-zbędne od dnia, w którym się pozna-liśmy. Odno-to-wujesz moje reak-cje na każdą piesz-czotę i pozy-cję. Każdy nowy kon-takt dosko-nali twoją tech-nikę. Byłeś już wytraw-nym kochan-kiem, ale teraz skupiasz się przede wszystkim na pano-waniu nad mną.

Nawet gdy mój umysł poj-muje twoje inten-cje, ciało stało się twoim nie-wol-nikiem. Kiedy dołą-czy-łeś do mnie wczoraj w kuchni, patrząc przez ramię na kanapki, które szy-ko-wa-łam, wyda-wało mi się to nie-winną cie-ka-wo-ścią. Potem twoje usta dotknęły mojego ramie-nia, ręka wśliz-gnęła się między moje nogi i po mniej niż pię-ciu minu-tach dygo-ta-łam w orga-zmie, moje ciało było utrzy-my-wane w pionie tylko przez twoją rękę na mojej piersi i twoje palce we mnie. Potem, tak szybko jak się poja-wi-łeś, wyma-sze-ro-wa-łeś z powro-tem do swo-jego gabi-netu. Sta-łam oparta o chłodny blat, pró-bu-jąc zebrać myśli na tyle, by dokoń-czyć przy-go-to-wy-wanie lun-chu.

To obłą-że-nie. Zasta-na-wia-łam się, do jakiego stop-nia jest zapla-no-wane. Sądzę, że to połą-cze-nie dumy i kary. Nie możesz prze-stać pró-bo-wać udo-wad-niać Lily swo-jej war-to-ści, nawet jeśli chcesz ją uka-rać za to, że cię zosta-wiła. Z pew-no-ścią sta-rasz się ogra-ni-czyć swoją obse-sję do pożą-da-nia sek-su-al-nego. Pomię-dzy pracą a sek-sem nie masz czasu na zasta-no-wie-nie się, co tak naprawdę łączy cię ze mną i jak bar-dzo jest to prze-ra-ża-jące.

Teraz patrzysz na mnie z taką miło-ścią, że nie mogę od-dy-chać. Radość wypeł-nia moje serce, tak jak pro-mie-nie sło-neczne roz-świe-tlają pokój. Jestem kochana, uwiel-biana i pożą-dana przez nie-sa-mo-wi-tego męż-czy-znę.

Ta ide-alna sytu-acja nie może trwać. Żyjemy w bańce, którą sami stwo-rzy-liśmy, ale rze-czy-wi-stość roz-prze-strze-nia się na obrze-żach cienką war-stwą ole-istego filmu, któ-rego opa-li-zu-jąca powierzch-nia kryje nara-sta-jący hor-ror. Cię roz-sta-nia zawsze ist-nieje mię-dzy nami, prze-czu-cie, że krad-niemy chwile.

– Jesteś dosko-nała – wychwa-lasz mnie, a ja myślę to samo o tobie. Twoje ręce gła-dzą moje ciało i wygi-nam się w two-ich cie-płych dło-niach. – Chyba ni-gdy nie przy-wyknę do tego, jakie mam szczę-ście, że nale-żysz do mnie.

Opusz-cza-jąc głowę, przy-wie-rasz ustami do moich.

Słod-kie gła-ska-nie two-jego aksa-mit-nego języka spra-wia, że wzdy-cham z zado-wo-le-nia. Wta-piam się w soczy-stą roz-kosz two-jego poca-łunku. Twoje usta są takie jędrne, ale deli-katne. Delek-tu-jesz się mną głę-bo-kimi, powol-nymi liź-nię-ciami. Z twego gar-dła wydo-bywa się cichy pomruk przy-jem-no-ści, jak mru-cze-nie wiel-kiego kota. Obej-mu-jesz moją głowę dłońmi i bie-rzesz moje usta, jakby sma-ko-wa-nie mnie było wszyst-kim, czego potrze-bu-jesz teraz i na zawsze.

Wyra-żam moją wdzięcz-ność za twoją miłość z uwiel-bie-niem, prze-su-wa-jąc peł-nymi zachwytu dłońmi po każ-dym frag-men-cie two-jego potęż-nego ciała, do któ-rego mogę dotrzeć. Pochy-lasz się ku temu doty-kowi i chwy-ciw-szy w zęby moją dolną wargę, pocią-gasz ją.

Obra-casz się na plecy, zabie-ra-jąc mnie ze sobą. Opie-ram poli-czek na two-jej klatce pier-sio-wej. Wpła-tu-jesz palce w moje włosy.

– Jeśli nie wstanę i nie zajmę się pracą, skoń-czy się na tym, że zostanę z tobą w łóżku



przez cały dzień.

– Jesz-cze nie. – Biorę twój tele-fon z szafki noc-nej. Ukła-da-jąc się w zgię-ciu two-jego ramie-nia, otwie-ram apa-rat i trzy-mam tele-fon wysoko w powie-trzu.

Par-skasz śmie-chem.

– Jestem zasko-czony, że zostało jesz-cze tro-chę pamięci przy tej licz-bie zdjęć, które zro-bi-łaś.

Robię zdję-cie, cał-u-jąc cię w poli-czek. Potem pod-no-szę wzrok i uśmie-чам się sze-roko, nie tylko dla potom-no-ści, ale ponie-waż masz sek-sowny, zado-wo-lony wygląd męż-czy-zny, który wła-śnie upra-wiał wspa-niały seks i zakoń-czył to uśmie-chem tak pro-mien-nym ze szczę-ścia, że moje serce śpiewa. Robię serię zdjęć i oboje się śmie-jemy.

– Idę się ubrać – mówisz – a ty prze-jrzyj kre-ację rekla-mową ECRA+ i prze-każ mi swoją opi-nię pod-czas lun-chu.

To nie jest prośba. W ciągu ostat-nich kilku dni, kiedy byłeś wystar-cza-jąco zaspo-ko-jony, aby utrzy-mać swoje ciało w bez-czyn-no-ści, nad-ra-bia-łeś moje zale-gło-ści, infor-mu-jąc mnie o wyda-rze-niach zarówno dużych, jak i małych. To był zalew infor-ma-cji, jak-bym zaku-wała do jakie-goś quizu, a ty byś nie chciał, żebym go oblała.

– Powie-dzia-łam, że to zro-bię – przy-znaję – ale wciąż cze-kam, żebyś podał mi powód, dla-czego chcesz poznać moją opi-nię. Masz pra-cow-ni-ków, któ-rzy zaj-mują się mar-ke-tin-giem; wcze-śniej ufa-łeś ich instynk-towi. A ten pro-jekt przy-go-to-wała twoja sio-stra. Jestem pewna, że wyko-nała wspa-niałą robotę. I że twoja matka to zagwa-ran-to-wała.

Twoja klatka pier-siowa unosi się i opada ciężko pod moim policz-kiem.

– Pra-gnę, żebyś zwią-zała się z Baha-ran. Firma jest tak samo twoja, jak moja.

– Nie chcę tego.

– Nie wolno ci tak mówić – odpie-rasz, figlar-nie pocią-ga-jąc mnie za włosy.

– Dla-czego?

– To był twój plan, powód, dla któ-rego mnie spo-so-bi-łaś. Ty...

– „Spo-so-bie-nie” nie jest odpo-wied-nim sło-wem – mówię cierpko.

Rzu-casz mi spoj-rze-nie.

– Ni-gdy nawet nie pomy-śla-łem o Baha-ran, dopóki się nie poja-wi-łaś. Wspom-nia-łaś o niej i zas-u-ge-ro-wa-łaś, żebym ją reak-ty-wo-wał.

– Tylko zapy-ta-łam, czy kie-dy-kol-wiek roz-wa-ża-łeś jej reak-ty-wa-cję.

– To tylko seman-tyka.

– Uści-śle-nie.

– To cho-ler-nie dener-wu-jące!

Uśmie-чам się.

– Wiesz, jak ważne dla mnie jest uży-wa-nie wła-ści-wych słów. – Krzy-żu-jąc ręce na two-jej klatce pier-sio-wej, opie-ram brodę na przed-ra-mio-nach. – Sprze-daj swoje udziały, jeśli jej nie chcesz.

– Nasze udziały. I ni-gdy nie powie-dzia-łem, że jej nie chcę. Chcę, żebyś się w nią zaan-ga-žo-wała.

– A ja odmó-wi-łam, a ty powie-dzia-łeś, że nie wolno mi tak mówić.

Wpla-tasz mi palce we włosy, by chwy-cić moją szyję.

– Dla-czego nie chcesz ze mną pra-co-wać? Jesteś taka dobra w oce-nia-niu ludzi, dostrze-ga-niu ich poten-cjału i moż-li-wo-ści. Dla-czego nie podzie-lisz się ze mną tym darem?

– Podzielę się z tobą wszyst-kim, czym tylko będę mogła, Kane. To, co moje, jest twoje, dobre i złe. Prze-pra-szam za złe. To po pro-stu...

– Nie żar-tuj. – Twoja twarz ma twardy wyraz, to twarz męż-czy-zny, przy któ-rym

prze-bu-dzi-łam się kilka tygo-dni temu. – I przejdź do rze-czy.

– Nie potrze-bu-jesz mojej apro-baty. Jestem z cie-bie dumna z miliona powo-dów, które nie mają nic wspól-nego z twoją pracą czy kon-tem ban-ko-wym. Świet-nie sobie radzisz beze mnie.

– Nie chcę nic robić bez cie-bie, świet-nie czy nie. I czy ty serio robisz mi psy-cho-ana-lizę? – mru-czysz gniew-nie. – Pro-szę cię, żebyś ze mną pra-co-wała, a ty pró-bu-jesz zaglą-dać mi do głowy. W porządku.

Odsu-wasz się i wsta-jesz z łóżka. Prze-wra-cam się na plecy i patrzę w sufit.

Idąc w stronę gar-de-roby, zatrzy-mu-jesz się w poło-wie drogi. Prze-chy-łam głowę, by ci się przyj-rzeć. Przez chwilę sto-isz nie-ru-chomo, z rękami zaci-śnię-tymi po bokach. Wiem, że jesteś ziry-to-wany, ale twój tyłek jest tak wspa-niały, że nie mogę prze-stać go podzi-wiać.

Klnąc pod nosem, wra-casz i sia-dasz na brzegu łóżka. Twoja twarz jest surowo piękna, gdy pytasz:

– Dla-czego ja?

Wiem, że to jedno z naj-waż-niej-szych pytań i pierw-sze, jakie mi zada-łeś. To, że w ogóle się zasta-na-wiasz, dla-czego ktoś dostrzegł twój poten-cjał i zain-we-sto-wał w twoje marze-nia, łamie mi serce. Sta-wia mnie to rów-nież w trud-nej sytu-acji, w któ-rej glo-ry-fi-kuję Lily.

– Ciężko pra-cu-jesz – zaczy-nam. – Umia-łeś żyć w miarę swo-ich moż-li-wo-ści finan-so-wych. We wszyst-kim byłeś sta-ranny; w tym, jak żyłeś, dba-łeś o swoje ciało lub radzi-łeś sobie z kobie-tami, z któ-rymi się uma-wia-łeś. Nie byłeś onie-śmie-lony ani nie czu-łeś się gor-szy z powodu ludzi suk-cesu, takich jak Ryan Lan-don, jego przy-ja-ciele czy ja. Zawsze masz dobre pomy-sły. Ludzie chcą znać twoje opi-nie i cenią je. Mogła-bym kon-ty-nu-ować, ale rozu-miesz, o co cho-dzi.

Zmru-ży-łeś oczy i patrzysz na mnie z groź-nym spo-ko-jem.

– Nie powin-naś nic wie-dzieć o tym, jak trak-to-wa-łem kobiety, z któ-rymi spa-łem, ponie-waż ni-gdy nie spa-łem z nikim, odkąd pierw-szy raz cię zoba-czy-łem. Nie chcia-łem nikogo innego.

Zaci-skam usta i spo-glą-dam z powro-tem w sufit.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie, nie wiem. – Pochy-lasz się, by zna-leźć się w moim polu widze-nia. – Jak długo przed tym, gdy się dowie-dzia-łem, że ist-nie-jesz, zde-cy-do-wa-łaś, że chcesz mnie dla sie-bie?

Jestem tak spo-kojna jak ty, ale teraz ostrożna. Oka-za-łeś się zbyt sprytny. Dosze-dłeś do daleko idą-cego, ale traf-nego wnio-sku, ponie-waż coś mi się wymknęło. Teraz wyglą-dasz jak czujny snaj-per, który namie-rza cel.

– Jakie to ma zna-cze-nie? – odpo-wia-dam ostroż-nie. – Nie w tym rzecz.

– Och, kocha-nie – mówisz łagod-nie, ale twój ton jest poważny. – Nie mogłaś się bar-dziej mylić. Każda minuta, którą mogli-śmy byli spędzić razem, ma zna-cze-nie. To są wszyst-kie chwile, które jesteś mi winna. To czas, który ukra-dłaś, a ja tro-pię każdą sekundę, żeby dostać to, co mi się należy.

Prze-su-wam się i przy-kry-wam koł-drą, czu-jąc się zbyt odsło-nięta. O wiele łatwiej jest się ukryć, będąc w maki-jażu i ubra-niu.

– Jestem inwe-sto-rem prak-ty-kiem, że tak powiem. Z czy-ta-nia nie-zbyt wiele można się dowie-dzieć. Jeśli znaj-duję kogoś inte-re-su-ją-cego, lubię oso-bi-ście prze-pro-wa-dzić mały reko-ne-sans w tere-nie, aby zoba-czyć, jak się zacho-wuje, gdy nie pró-buje nikomu zaim-po-no-wać.

– Śle-dzi-łaś mnie? – pytasz, uno-sząc brwi.

– Nie nazwa-ła-bym tego w ten spo-sób.  
Na-dal przy-glą-dasz mi się podejrz-li-wie.  
– No to pro-szę. Podaj mi to swoje pre-fe-ro-wane okre-sle-nie na śle-dze-nie mnie ukrad-kiem.  
– Roz-po-zna-nie.  
– Taaa... okej. Gdzie prze-pro-wa-dza-łaś roz-po-zna-nie w mojej spra-wie?  
– Na zmia-nie w barze McSor-ley’s. Na meczach. W takich miej-scach.  
– W takich miej-scach... – Twoje oczy są bar-dzo ciemne, kiedy przy-glą-dasz mi się badaw-czo. – I co zoba-czy-łaś?  
– Wszyst-kie twoje pod-boje i fanki. – Śmieję się, kiedy się krzy-wisz. – Nie musisz już zająć się pracą?  
– Jak długo mnie śle-dzi-łaś?  
– Nie-długo. Kilka tygo-dni, zanim spo-tka-li-śmy się tutaj na przy-ję-ciu. – Wzdy-cham.  
– Gdy pierw-szy raz cię zoba-czy-łam, od razu wie-dzia-łam, że mam kło-poty. Flir-to-wa-łeś z dziew-czyną. Śmia-łeś się z cze-goś, co powie-dzia-ła, i byłeś po pro-stu... łał. To, jak wygła-da-łeś – zre-lak-so-wany, sek-sowny, pewny sie-bie, zaparło mi dech. Zro-zu-mia-łam, że chcę, żebyś patrzył na mnie w ten spo-sób każ-dego dnia, przez resztę mojego życia.  
Prze-ta-czam się na łóżku, by się z niego pod-nieść. Rzu-casz się do przodu i wcią-gasz mnie pod sie-bie. Wyraz two-jej twa-rzy łamie mi serce.  
– *Seta-reh*... Co ja mam z tobą zro-bić? – Wzdy-chasz ciężko. – Gdy-byś wtedy zwró-ciła moją uwagę, od razu zaczął-bym tak na cie-bie patrzeć.  
– Bałam się. Śmier-tel-nie mnie prze-stra-szy-łeś. – Odgar-niam kosmyk wło-sów z twego czoła. – W ide-al-nym świe-cie sta-nę-ła-bym przed tobą i pozwo-liła dzia-łać losowi. Nie miał-byś Baha-ran. Spa-ko-wa-li-by-śmy się i wyje-chali z kraju. Zwa-żyw-szy to wszystko, praw-do-po-dob-nie był-byś teraz ojcem. Może miesz-ka-li-by-śmy gdzieś na wybrzeżu, a ty pra-co-wał-byś zdal-nie, bo twój sek-su-alny ape-tyt nie pozo-sta-wia ci czasu na nic innego.  
Draż-nię się z tobą, żeby roz-luź-nić nastrój i chyba mi się udaje.  
Twoje rysy łagod-nieją, a oczy stają się cie-płe i pełne czu-ło-ści.  
– A ty co byś robiła?  
– Och, wiesz, odpie-ra-ła-bym twoje miło-sne zaloty, bo była-bym zajęta uga-nia-niem się za two-imi małymi kopiami.  
Opie-rasz swoje czoło o moje.  
– Zwa-rio-wa-ła-byś. Twoje ambi-cje są zbyt potężne.  
– Twoje też.  
– Nie. Ni-gdy nie pra-gną-łem mieć wszyst-kiego. Chcę odpo-wie-dzi i chcę cie-bie, to wszystko. Jestem znacz-nie prost-szym czło-wie-kiem, niż ci się wydaje.  
Nie zga-dzam się z tobą, ale tego nie mówię. Jesteś dziec-kiem nar-cyza, a to spra-wiło, że osią-gną-łeś wię-cej niż inni. Zawsze będziesz dążyć do suk-cesu i per-fek-cji, do zdo-by-cia uzna-nia matki, która jed-nego dnia może oka-zać dumę, a następ-nego pełne jadu roz-cza-ro-wa-nie. Skom-pli-ko-wane, chwiejne zauro-cze-nie chi-merą opę-tało cię na lata. Pochło-nęła cię obse-sja zako-rze-niona w nie-pew-no-ści. Ale kiedy nasze prze-zna-cze-nie zosta-nie usta-lone, będziesz szu-kał innych wyzwania. Będziesz ich potrze-bo-wać.  
– Szkoda, że nie spę-dzi-li-śmy razem całego tego czasu – szep-czesz.  
– Czy ni-gdy nie żało-wa-łeś, że się spo-tka-li-śmy?  
– Ni-gdy. I wiem, że ty też byś tego nie zmie-niła. – Przy-glą-dasz mi się uważ-nie.  
– Powie-dzia-łaś, że nie miał-bym Baha-ran. Mówi-łaś poważ-nie? Nie prze-j-mo-wa-ła-byś się, gdy-bym sprze-dał nasze udziały?

– Nie, jeśli to by cię uszczęśliwiło. Tylko tego chcę. Jeśli odbu-do-wa-nie Baha-ran nie spra-wia ci rado-ści, pozbadź się jej.

Cału-jesz mnie mocno. Potem mnie pusz-czasz.

– Jeśli teraz ci się nie oprę, prze-ga-pię wszyst-kie poranne spo-tka-nia. Może nawet popo-łu-dniowe.

Kręcę głową, roz-ba-wiona.

– Idź. Pod-bij świat. Ja zajmę się kawą.

Pod-ry-wasz się z łóżka z wielką ener-gią i dłu-gim kro-kiem idziesz do swo-jej gar-de-roby.

– Kre-acja rekla-mowa jest na table-cie – rzu-casz przez ramię – w apli-ka-cji do udo-stę-pnia-nia pli-ków. Znaj-dziesz je. Koniecz-nie zaj-rzyj do obu fol-de-rów, mar-ke-tin-go-wego i spo-łecz-no-ścio-wego.

Opie-ram się na łok-ciach.

– Dla-czego są oddziel-nie? Czy media spo-łecz-no-ściowe nie powinny wcho-dzić w zakres mar-ke-tingu i uży-wać tej samej kre-acji dla zacho-wa-nia spój-no-ści?

Zatrzy-mu-jesz się w progu gar-de-roby i odwra-casz się do mnie, opie-ra-jąc się o futrynę. Jesteś bez-wstyd-nie nagi. Czemu nie? Masz naj-do-sko-nal-sze męskie ciało. Jesteś speł-nie-niem marzeń.

– To dwa różne działy – odpo-wia-dasz. – Mar-ke-ting jest nasz wła-sny. Media spo-łecz-no-ściowe też, ponie-kąd. To była firma Amy i połą-czy-li-śmy ją z Baha-ran po tym, jak wyszła za mojego brata. O ile mi wia-domo, nie jeste-śmy jesz-cze w pełni zin-te-gro-wani, więc na razie są osobno.

Uno-szę brwi.

– O ile ci wia-domo?

Bez-tro-sko wzru-szasz jed-nym potęż-nym ramie-niem.

– Moja matka nad-zo-ruje te sprawy. Jak wiesz, to ona wymy-sliła nazwę i logo Baha-ran, więc kre-owa-nie marki zosta-wi-łem jej.

Pamię-tam lodo-wate spoj-rze-nia, które obie kobiety wymie-niły w biblio-tece i reak-cję Aliyah na wpa-dek Amy w pracy. Pamię-tam też inne rze-czy.

– Ona coś do cie-bie czuje.

Maska obo-jęt-no-ści natych-miast opada na twoje rysy, ukry-wa-jąc myśli.

– Moja matka? Wąt-pliwe.

– Wiesz, że nie mówię o two-jej matce – pry-cham.

Prze-cie-rasz dło-nią twarz.

Cze-kam, aż powiesz coś wię-ciej lub się odwró-cisz. Nie będę cię naci-skać. Nie muszę – widzia-łam, jak Amy na cie-bie reaguje.

– Przez uła-mek sekundy – mówisz szorstko – przy-po-mi-nała mi cie-bie.

Wie-dzia-łam to, ale na-dal nie jestem przy-go-to-wana na przy-ję-cie ciosu, jakim jest usły-sze-nie tych słów. Opa-dam na plecy i wra-cam wzro-kiem do kase-to-no-wego sufitu, gdzie moje cha-otyczne myśli chwy-tają się ide-al-nej syme-trii.

– Nie jesteś mi winien wyja-śnienia, Kane.

– Dostrze-głem ją kątem oka w pewien ciężki dzień – kon-ty-nu-ujesz. – Jeden z tych dni, kiedy myśla-łem tylko o tobie. To była jedna noc. Mniej niż noc. Skoń-czyło się na tym, że poznała Dariusa.

Moje roz-cza-ro-wa-nie jest ogromne. Ale nie z powodu, który zakła-dasz.

– Masz pełne prawo być zde-ner-wo-wana – mówisz.

– Nie, nie jestem.

– Na myśl, że mogła-byś być z kimś innym, budzi się we mnie mor-der-czy instynkt. – Te słowa ocie-kają furia.

Oboje mil-czymy przez długi czas. Wieki. Czuję się, jakby moje myśli tań-czyły z moimi demo-nami.

– Czy możesz mi wyba-czyć, *Seta-reh*? – pytasz cicho.

– Kane... – Kręcę głową. – Pytasz nie-wła-ściwą kobietę. To ją powi-nie-neś prze-pro-sić.

Gło-śno wypusz-czasz powie-trze z płuc.

– Racja.

– Nie mogę udzie-lić ci roz-grze-sze-nia, ale twoja żona nie żyła, a ty byłeś samotny. Bądź dla sie-bie wyro-zu-miały – jesteś czło-wie-kiem. Mimo to nie zapo-mi-naj, że dla kobiet jesteś jak dla kota koci-miętka. Postę-puj ostroż-nie.

– Rozu-miem.

Kiwam głową.

– To cud, że nie jesteś żonaty i nie masz dzieci.

– Ni-gdy nie oże-nił-bym się ponow-nie ani nie zało-żył rodziny.

– Tego nie wiesz.

Krzy-żu-jesz ramiona.

– Wiem, do cho-lery. Ni-gdy nie przy-stał-bym na mniej. Ni-gdy nie wycho-wy-wał-bym dziecka z kimś mniej dosko-na-łym.

Krzy-wię się. To nie zazdrość w jej zwy-kłej postaci nas drę-czy. Nie boimy się wyga-śnię-cia uczuć; nasza więź jest zbyt głę-boka. Zazdro-ścimy dawa-nia i bra-nia przy-jem-no-ści, ponie-waż nasz zwią-zek jest defi-nio-wany przez ból.

Pró-buję się uśmiech-nać.

– Mógł-byś być z inną kobietą, a tym-cza-sem jestem ja. Cie-szę się z tego. Tylko to się liczy.

– Ni-gdy nie przy-pro-wa-dził-bym innej kobiety tu ani ni-gdzie indziej. Ni-gdy nie było nikogo wyją-ko-wego. Kto mógłby z tobą kon-ku-ro-wać?

Szybko odwra-cam wzrok, ukry-wa-jąc łzy.

– Tęsk-nota za tobą była para-li-żu-jąca. Nauczy-łem się z nią żyć, ale nie-które dni sta-wały się kosz-ma-rem. – Milk-niesz, zatrzy-many na chwilę we wspo-mnie-niu udręki. – W nie-które dni nie mogłem się powstrzy-mać przed poszu-ki-wa-niem cie-bie, szu-ka-niem w każ-dej kobie-cie, którą zoba-czy-łem. Jeśli komuś uda-wało się spra-wić, żebym spoj-rzał dwa razy, żebym choć przez sekundę miał nadzieję, tra-ci-łem rozum. Roz-cza-ro-wa-nie dopro-wa-dzało mnie do wście-kło-ści. – Zawie-szasz głos. – Więc je pie-przy-łem.

Biorę głę-boki wdech i zakry-wam twarz dłońmi. Kiedy cię pozna-łam, nie byłeś zdolny do takiej bez-dusz-no-ści. Nie, to nie-prawda. Wszy-scy jeste-śmy do niej zdolni; byłeś po pro-stu zbyt dobry, by pozwo-lić sobie na okru-cień-stwo. Zła-mane serce cię zmie-niło.

– Dziki seks jest katar-tyczny – podej-mu-jesz, a twoje słowa płoną gniewem. – Potem nie-na-wi-dzi-łem sie-bie za to, że jestem słaby. Nie-na-wi-dzi-łem cie-bie za to, że czy-nisz mnie sła-bym. Za zmu-sza-nie mnie do zado-wa-la-nia się kobie-tami, które nie pach-niały, nie sma-ko-wały ani nie były w dotyku jak ty. Kobie-tami, które ni-gdy nie widziały we mnie tego, co ty. Więc znów je pie-przy-łem, bo mdliło mnie od tego i zasłu-gi-wa-łem na to, by skóra mi cier-pła na myśl, jaki jestem zało-sny. Potem nie mogłem znieść ich widoku.

Odwra-cam się od cie-bie, pod-cią-ga-jąc kolana do klatki pier-sio-wej. Chwilę póź-niej czuję, jak koł-dra się unosi, a mate-rac opada. Twoja chłodna skóra naci-ska na moją, gdy przy-tu-lasz się na łyżeczkę, dopa-so-wu-jąc się do mojej pozy-cji embrio-nal-nej. Twoje cięż-kie

ramię obejmuję mnie, przy-cią-ga-jąc do cie-bie, a twoje usta ze skru-chą przy-wie-rają do mojego ramie-nia. Chcia-łeś mnie zra-nić tak, jak zosta-łeś zra-niony, uka-rać mnie tak, jak czu-łeś się uka-rany. To naj-bar-dziej sza-lona rzecz w miło-ści: nie-na-wiść obró-cona na drugą stronę.

Kiedy się pozna-li-śmy, nie byłeś czło-wie-kiem zdol-nym do takiego czy-stego okru-cień-stwa. Miłość do Lily wypa-czyła cię i przyj-muję za to odpo-wie-dzial-ność; mogę zro-bić przy-naj-mniej tyle. Chwy-tam twoją dłoń w swoją i spla-tam nasze palce.

Nic nie mówimy. Sam uścisk jest pocie-sza-jący dla nas obojga. Leżymy w ten spo-sób przez długi czas. Pro-mie-nie sło-neczne na ścia-nach i sufi-cie prze-su-wają się.

– Dobrze się czu-jesz? – pytasz w końcu.

Przy-ta-kuję ruchem głowy.

– A ty?

– Czuję się jak śmieć. Poza tym dam sobie radę, jeśli z nami będzie dobrze.

– Będzie dobrze.

Zaczy-nasz się prze-su-wać.

– Zadzwo-nię do Juliana i wezmę wolny dzień.

Spo-gląd-dam na cie-bie przez ramię.

– Nie rób tego.

Mru-żysz oczy.

– Dla-czego?

– Bo nic mi nie jest – pod-kre-ślam. – I z nami wszystko w porządku. Naprawdę. A ty musisz poza-ła-twiać sprawy, żeby-śmy mogli wyje-chać na ten mie-siąc mio-dowy, który mi obie-ca-łeś.

Twoje oczy błą-dzą po mojej twa-rzy, bada-jąc. Naj-wy-raż-niej jesteś usa-tys-fak-cjo-no-wany, ponie-waż skła-dasz szybki, mocny poca-łu-nek na moich ustach.

– Kocham cię.

Biorę głę-boki oddech, po czym wzdy-cham.

– Wiem.

To sza-lony, duszący, okrutny rodzaj miło-ści. Kie-dyś szu-ka-łeś łagod-niej-szych uczuć, ale się dosto-so-wa-łeś. Żal mi tego deli-kat-nego mło-dzieńca, któ-rym kie-dyś byłeś, ale jestem sza-leń-czo, bez tchu, okrut-nie zako-chana w męż-czyź-nie, któ-rym się sta-łeś.

*Nic nie może być piękne z każ-dego punktu widze-nia.*

Horacy

## LILY

Sły-szę, jak wie-szaki się prze-su-wają, gdy prze-szu-ku-jesz swoją gar-de-robę, roz-wa-ża-jąc wybór ubra-nia. Wstaję z łóżka, ciężko opie-ra-jąc rękę na mate-racu, i uświa-da-miam sobie, że mam mięk-kie nogi. Dzia-łasz tak na mnie z powo-dów fizycz-nych i znacz-nie waż-niej-szych niż ciało.

Wkła-dam czer-wone jedwabne kimono, prze-wią-zuję je paskiem wokół talii i ruszam w stronę scho-dów. Jestem w poło-wie drogi, kiedy dzwoni dzwo-nek do drzwi. Pod-ska-kuję ze stra-chu.

– Ja otwo-rzę – wołam do cie-bie z dołu. – Nie spiesz się.

Natych-miast czujna, scho-dzę w pośpie-chu i na uła-mek sekundy wychy-lam głowę, by wyj-rzeć przez szybkę w drzwiach. Nie-spo-dzie-wani goście ozna-czają dla nas coś zupeł-nie innego niż dla kogo-kol-wiek. A jeśli ktoś sta-nowi zagro-że-nie, będzie musiał naj-pierw pora-dzić sobie ze mną, żeby dotrzeć do cie-bie.

Zatrzy-mu-jąc się na ostat-nim stop-niu, ana-li-zuję w gło-wie obraz, który zano-to-wa-łam. Na ganku stoi impo-nu-jący męż-czy-zna z ogrom-nym bukie-tem czer-wo-nych róż w wiel-kich, pokry-tych bli-znami dło-niach. Nie jest tak wysoki jak ty, ale ma ponad metr osiem-dzie-siąt. Jest sze-roki w ramio-nach niczym fut-bo-li-sta, blond włosy ostrzygł w woj-sko-wym stylu i ukrywa oczy za lustrza-nymi lot-ni-czymi oku-la-rami. Ma mocną, kwa-dra-tową szczękę. Widząc jego ubiór, na który skła-dają się czarny T-shirt i czarne spodnie, trudno wziąć go za kogoś innego niż ochro-nia-rza. Jeśli bukiet ma słu-żyć za przy-krywkę, to jest kom-plet-nie nie-udana.

Prze-kli-nam w duchu, że jestem nie-od-po-wied-nio ubrana. Robię się też coraz bar-dziej mokra mię-dzy udami, gdy dowód two-jej roz-ko-szy pod-daje się gra-wi-ta-cji. Sytu-acja pod każ-dym wzglę-dem jest daleka od ide-ału. Nie jestem przy-go-to-wana na walkę lub ucieczkę, cho-ciaż wiem, że to musi być twój czło-wiek. Praw-dziwe zagro-że-nie wyma-ga-łoby prze-bie-gło-ści, jeśli mia-łoby nas zasko-czyć.

Idąc boso do holu, uśmie-cham się przez szybę.

– Co za miła nie-spo-dzianka! – mówię wesoło, zauwa-żyw-szy samo-chód dostaw-czy kwia-ciarni odjeź-dza-jący spod kra-węż-nika. – Czy mógłby pan po pro-stu poło-żyć je na weran-dzie?

Robi to, o co pro-szę, i pro-stuje się. Oku-lary osła-niają jego oczy, więc nie można z nich nic wyczy-tać.

– Czy pan Black jest wolny?

– Pra-cuje pan dla nas? – pytam, cho-ciaż znam odpow-iedź. Nie-stety, cza-sami kobie-cie bar-dziej się opłaca ukryć swoją inte-li-gen-cję, a ja osią-gnę-łam dosko-na-łość w uda-wa-niu.

– Tak, pro-szę pani.

– Powiem mężowi, że pan czeka. Zapro-si-ła-bym pana do środka, ale, jak pan widzi, jestem nie-ubrana.

– Nie ma pro-blemu.

Patrzę, jak scho-dzi z werandy, stą-pa-jąc cicho, pomimo swego wzro-stu i gru-bych pode-szew woj-sko-wych butów. Na weran-dzie naszego domku dla gości po dru-giej stro-nie



ulicy poja-wia się drugi, podob-nie demon-stra-cyj-nie ubrany facet.

Tak więc tutaj też jeste-śmy pod ochroną. Cie-kawe, że o tym nie wspo-mnia-łeś. Trzy-masz ludzi z dala, czy tylko mnie chro-nisz?

Zaci-ska-jąc pasek w talii, przy-glą-dam się prze-syłce. Otwie-ram drzwi i wydaję cichy okrzyk zachwytu. Wią-zanka jest fan-ta-styczna. Ogar-nia mnie zapach róż, bogaty i zmy-słowy. Na myśl, że przy-sy-łasz mi kwiaty, czuję rado-sny dreszcz. Są uro-czym, słod-kim sym-bo-lem zalo-tów.

Bukiet jest tak ogromny i ciężki, że muszę go unieść obiema rękami. Stopą zatrza-snąw-szy za sobą drzwi, niosę krysz-ta-łowy wazon na wyspę kuchenną. Przez chwilę podzi-wiam dosko-na-łość każ-dej róży; są ich co naj-mniej trzy tuziny. Są w kolo-rze ciem-nego, soczy-stego szkar-łatu, płatki mają deli-kat-niej-sze niż jedwab. Wycią-gam kopertę i wyj-muję z niej zło-żony bilet wizy-towy. Wia-do-mość jest wydru-ko-wana czcionką imi-tu-jącą odręczne pismo.

„Zawsze jesteś w moich myślach”.

Uśmie-cham się tak sze-roko, że nie-mal bołą mnie mię-śnie twa-rzy. Odkła-dam kartę na bok i w obie dło-nie chwy-tam jedwa-bi-ste płatki. Roz-sze-rza-nym u dołu ręka-wem kimona zacze-piam papier i zrzu-cam go na pod-łogę. Bile-cik pada obok koperty, a gdy kucam, żeby je pod-nieść, widzę nazwi-sko adre-sata. Zamie-ram z nie-do-wie-rza-nia.

Kwiaty nie są od cie-bie i nie są dla mnie.

Tłu-mię w sobie roz-dzie-ra-jący szloch. Drzą-cymi pal-cami pod-no-szę kopertę, a potem się-gam po kartę. Osu-wam się na pod-łogę i ponow-nie czy-tam wia-do-mość, nogi mam zbyt mięk-kie, by mogły mnie utrzy-mać. W domu poja-wia się chłód, jak tchnie-nie ducha, i nagle robi się ciemno. Sło-neczna plaża na zewnątrz to inny świat, ilu-zja cie-pła i świa-tła.

Nie wiem, jak długo sie-dzę na chłod-nych kafel-kach w kuchni. Mogła-bym tam zostać cały dzień, z goni-twą myśli, gdy-bym nie usły-szała, jak scho-dzisz po scho-dach. Nie chcę, żebyś zastał mnie słabą i wstrzą-śniętą.

Wyspa służy mi za pod-porę, gdy klę-kam z wysił-kiem i chwy-tam kra-wędź blatu, by pod-nieść się na nogi.

Gdy odwra-cam się od bukietu, pra-wie się z tobą zde-rzam.

Sto-isz nade mną. Masz na sobie ciem-no-szary T-shirt i wybla-kłe czarne dżinsy. Twoja gar-de-roba tutaj ma kilka lat, ubra-nia zostały kupione przez męż-czy-znę, któ-rym kie-dyś byłeś, więc koszulka napina się na two-ich bicep-sach i sze-ro-kiej klatce pier-sio-wej. Przez ostatni tydzień przy-zwy-cza-iałam się do takiego widoku, ale twoje trzy-dzie-sto-dwu-let-nie ciało w ubra-niu dwu-dzie-sto-kil-ku-latka wygląda nie-sa-mo-wi-cie. Nagle czuję się tak, jak-bym się nie zmie-niła przez te wszyst-kie lata, moje życie nie zostało prze-rwane, a ty jesteś sobo-wtó-rem męż-czy-zny, któ-rego kocham, ist-nie-ją-cym w innym cza-sie niż ja.

– Pozwól, że na to spoj-rzę. – Bie-rzesz kartę i kopertę z moich zdre-twia-łych pal-ców.

Widzę, jak twoje rysy twar-dnieją, gdy naj-pierw czy-tasz wia-do-mość. Mru-żysz oczy z wście-kło-ści, widząc nazwi-sko Ivy York. Mniesz kartkę w dłoni na maleńką kulkę, a potem ze wstrę-tem rzu-casz ją na blat wyspy.

– Wszystko w porządku? – pytasz, obej-mu-jąc mnie mocno.

Zata-piam się w twoim cie-ple i sile.

– Nic mi nie jest.

Z per-spek-tywy czasu czer-wone róże są wizy-tówką, którą można łatwo ziden-ty-fi-ko-wać, pomimo wybra-nej przez nadawcę ano-ni-mo-wo-ści. Świa-do-mość, że ktoś zna nazwi-sko Ivy York mrozi krew w żyłach, ale poza tym ta dostawa ma ukryte prze-sła-nie: jesteś celem.

Cału-jesz mnie w czu-bek głowy.

– Kocham cię. Jesteś przy mnie bez-pieczna.

To, że powta-rzasz to zda-nie, wstrząsa mną do głębi. Tym razem odno-sisz się do mojego fizycz-nego bez-pie-czeń-stwa i cia-sny węzeł czuj-no-ści, z któ-rym od dawna żyję, odro-binę się roz-luż-nia. Zawsze sama musia-łam dbać o swoje bez-pie-czeń-stwo. Nauczy-łam się chro-nić i bro-nić sie-bie, radząc sobie z tym cał-kiem dobrze, ale wie-dzieć, że mnie wspie-rasz... Cóż, to dar rów-nie cenny, jak klej-noty w twoim sej-fie.

Odsu-wasz się, gła-dzisz mnie po policzku i zada-jesz kolejny cios.

– Wcze-śniej nie byłem tym, czego potrze-bo-wa-łaś. Teraz jestem.

Przy-ci-skasz usta do moich, a potem się cofasz. Szczęki masz zaci-śnięte i oczy płoną ci z wście-kło-ści. Zabie-rasz klu-cze z kon-soli w holu i wycho-dzisz fron-to-wymi drzwiami. Przez kuchenne okno widzę ochro-nia-rza, który czeka na cie-bie na chod-niku. Prze-cho-dzi-cie razem przez ulicę i zni-ka-cie w domku dla gości.

Azyl two-jej żar-li-wej miło-ści zmie-nił moje życie. Moją naj-więk-szą porażką jest to, że nie zapew-ni-łam ci takiego samego bez-pie-czeń-stwa.

Prze-szłość mnie dopa-dła. Co wię-cej, zna-la-zła mnie w mojej bez-piecz-nej kry-jówce i zagraża tobie. Spo-glą-dam na tył domu, na drzwi tara-sowe pro-wa-dzące na plażę. Mogła-bym teraz wyjść. Znik-nąć.

Czuję bole-sne ukłu-cie cier-nia i spo-glą-dam na swoje dło-nie. Nie pamię-tam, jak wyj-mo-wa-łam miskę z szafki, ale stoi obok wazonu przede mną, do połowy wypeł-niona płat-kami. Krew kapie na nie z rany w opuszce mojego kciuka, wyglą-da-jąc jak kro-pla poran-nej rosy. Ści-na-łam główki róż i sta-ran-nie ukła-da-łam w stos ich paskud-nie ostre łodygi. Zapach jest znie-wa-la-jąco piękny, rado-śnie zmy-słowa obiet-nica, która drwi ze mnie fan-ta-zją daleką od mojej sytu-acji.

Co ja robię? Ile czasu minęło?

Muszę wziąć prysz-nic. Ubrać się. Przy-go-to-wać.

Przy-go-to-wać na co?

Ryk potęż-nego sil-nika range rovera przy-wraca mnie do rze-czy-wi-sto-ści. Patrzę, jak wyco-fu-jesz się z pod-jazdu, a potem ruszasz w dół ulicy. Zosta-wia-jąc róże, wbie-gam po scho-dach. Jestem nie-spo-kojna i po raz pierw-szy czuję się uwię-ziona. Zaczy-nam odwią-zy-wać pasek w talii. W gar-de-ro-bie jest torba podróżna. Spa-ko-wa-nie potrzeb-nych rze-czy nie zaj-mie mi dużo czasu.

Błysk ruchu na obrze-żach pola widze-nia przy-ciąga mój wzrok do wyso-kiego lustra wiszą-cego na ścia-nie... Zatrzy-muję się.

Moja twarz jest bez-kr-wi-sta, pod-si-nione oczy wyglą-dają jak czarne dziury. Wpa-truję się w odbi-cie udrę-czo-nej kobiety, a potem uważ-nie przy-glą-dam się łóżku za nią. Zmie-niam pościel każ-dego ranka, a ty zło-ży-łeś koł-drę w zgrabną har-mo-nijkę u stóp i zdją-łeś poszewki z podu-szek. Sła-nie łóżka prze-rwa-łeś praw-do-po-dob-nie w chwili, gdy twój zespół ochrony powia-do-mił cię o dosta-wie. Mimo to w taki wła-śnie spo-sób dzia-łamy razem, wycho-dząc sobie naprze-ciw. To, czym jeste-śmy, jest nie-zrów-nane i cenne. Widzimy w sobie nawza-jem to, co naj-lep-sze i sta-ramy się być coraz lepsi, sta-wać się kimś wię-cej, niż wyda-wało nam się moż-liwe, nawet gdy akcep-tu-jemy to, co naj-głę-biej ukryte przed innymi.

Kolana znów mi miękną i opa-dam na łóżko. Zaci-skam dło-nie na prze-ście-ra-dle. W powie-trzu czuję twój zapach. I nasz.

Wszystko, czego pra-gnę, jest tutaj. Moja bli-skość ci zagraża, ale daje mi rów-nież naj-więk-szą moż-liwość, by cię ochro-nić. I są mię-dzy nami obiet-nice, które mogą nie prze-trwać, jeśli zostaną zła-mane. Naj-waż-niej-sze pyta-nie brzmi: czy oca-le-jesz, jeśli

zostanę?

Minęło sześć lat, a ty żyjesz i kwit-niesz. Czy nie jest to wystar-cza-jący argu-ment prze-ma-wia-jący za moim odej-ściem?

Opusz-czam ramiona z cięż-kim wes-tchnie-niem. Nie kwi-tłeś – odno-si-łeś suk-cesy, a to nie to samo. Ogień w tobie powoli się dusił, ten sza-le-jący pło-mień nie mógł oddy-chać, gdy zamie-ni-łeś się w kamień. Jesz-cze rok, dwa i cał-ko-wi-cie by się wypa-lił. Dla-tego tyle czasu zajęło nam poko-na-nie dzie-lą-cej nas prze-pa-ści. Byłeś zamknięty w sobie, żywy, ale bez życia. Nie potra-fi-łam do cie-bie dotrzeć.

Nie mogę ci – nam – tego zro-bić z żad-nego powodu, ale przede wszyst-kim dla-tego, że nie sądzę, by to coś zmie-niło. Jestem z tobą. Teraz sta-łeś się bez-wzglę-d-nie naj-waż-niej-szy.

Biorę prysz-nic i wkła-dam ele-gancką, się-ga-jącą pod-łogi suk-nię z czar-nej satyny. Zwisa mi z ramion na cien-kich ramiącz-kach i opada na ple-cach tak nisko, że nie mogę nic pod nią wło-żyć. Maki-jaż potra-fię zro-bić z zamknię-tymi oczami. Ponie-waż noszę go codzien-nie, ukoń-cze-nie zaj-muje tylko chwilę. To kolejna war-stwa zbroi i kolejny nawyk zaszce-piony we mnie przez matkę.

Czu-jąc, że jestem gotowa sta-wić czoła temu, co nas czeka, ścielę łóżko i wrzu-cam pościel do pra-nia. Jestem nie-spo-kojna. Czuję potrzebę dzia-ła-nia, ale co mogę zro-bić?

Kiedy wycho-dzę z domu, płytki na patio są zbyt gorące, by dotknąć ich bosymi sto-pami, ale deli-kat-nie roz-grzany pia-sek zaraz otula moje palce u stóp. Lśniąca woda na wprost kusi i nie mogę się oprzeć wezwa-niu. Słona bryza pie-ści moje nagie plecy jak tajem-ni-czy kocha-nek, a wid-mowe palce prze-cze-sują mi włosy. Docie-ram do brzegu, pia-sek robi się wil-gotny i twardy. Fale obmy-wają mi stopy, zachę-ca-jąc, bym pode-szła bli-żej i głę-biej. Czuję za sobą przy-cią-ga-nie domu na plaży, który wzywa mnie do powrotu.

Tar-gana nie-po-ko-jem, odwra-cam się i idę, by oczy-ścić umysł. Jesteś bez-pieczny ze swo-imi ochro-nia-rzami, a ja ni-gdy nie byłam w nie-bez-pie-czeń-stwie. Powie-trze jest rześ-kie, bryza unosi mewy, a ich ochry-płe krzyki wydają się powsta-wać we mnie. W oddali duży sta-tek wypływa w morze, a sło-neczne pro-mie-nie, które na nie padają, błysz-czą jak miliony czub-ków szty-le-tów pod-ska-ku-ją-cych w sza-fi-ro-wych wodach.

Zatrzy-muję się przed naj-pięk-niej-szym domem na brzegu, poma-lo-wa-nym na naj-de-li-kat-niej-szy róż, z jasno-sza-rymi wykoń-cze-niami. Bal-kon na pię-trze i taras na par-te-rze są tej samej sze-ro-ko-ści i dłu-go-ści, two-rząc zada-szoną werandę, na któ-rej stoją dwa fotele bujane i stół z kutego żelaza z miej-scami dla czte-rech osób. Przy stole sie-dzi męż-czy-zna, postać zna-joma i uko-chana.

Macham do niego. Ben wstaje powoli i z tru-dem. Czuję ból, widząc jego nie-moc, bar-dziej zauwa-żalną po tak dłu-gim cza-sie, jaki upły-nął, odkąd widzia-łam go ostatni raz. Bie-gnę do niego.

– Hej, Ben. – Wcho-dzę po scho-dach i obej-muję go. – Tęsk-ni-łam za tobą.

Drży, odwza-jem-nia-jąc mój uścisk.

– Przy-szłaś zabrać mnie do nieba, aniele?

Odsu-wam się. Jego twarz jest bar-dziej pomarsz-czona niż daw-niej, a oczy głę-biej osa-dzone. Ma na gło-wie kasz-kiet, a szary tweed pociem-niał ze sta-ro-ści. Jest teraz niż-szy, plecy ma zgar-bione.

– Ben... Jestem męż-atką, a ty jesteś zbyt szar-mancki, żeby uży-wać takich słów.

– Cóż, w takim razie zabie-rasz mnie w inne miej-sce. – Kiwa głową jak mędrzec. – Nie mogę powie-dzieć, że jestem zasko-czony. Może nie tym, że ty też tam skoń-czy-łaś, jeśli się zasta-no-wić. Oboje lubi-li-śmy zgrze-szyć raz czy dwa, prawda?

– Raz czy dwa. Czy masz coś prze-ciwko, żebym wyże-brała od cie-bie papie-rosa

i chwilę posie-działa?

– Anioły nie palą – mówi, marsz-cząc brwi.

– Skąd wiesz?

Jego łza-wiące oczy spo-glą-dają na mnie nie-pew-nie, ale daje mi znak, żebym dołą-czyła do niego przy stole. Sia-dam, on też, obser-wu-jąc, jak biorę od niego papie-rosa i zapa-lam go jego zapal-niczką. Pierw-sze sztach-nię-cie jest głę-bo-kie i przy-my-kam oczy, czu-jąc zna-jomy i upra-gniony zawrót głowy.

– Och, jak dobrze. Jesteś święty, Ben.

– Naprawdę? – pyta z prze-ję-ciem.

Otwie-ram oczy i przy-glą-dam mu się.

– Wiesz, że nie jestem mar-twa, prawda?

Nawet mówiąc to, nie jestem pewna, czy w to wie-rzę. Mam wra-że-nie, że znaj-duję się w śnież-nej kuli, uwię-ziona w zaaran-żo-wa-nym momen-cie w cza-sie.

– Mówią, że jesteś. Uto-nę-łaś w swo-jej ślicz-nej małej łodzi. Mar-twi-łem się, że stale żeglo-wa-łaś sama. Serce mi pękło, gdy Robby powie-dział, że nie wró-cisz.

– Och, Ben. – Kładę dłoń na jego dłoni. Jego knyk-cie są grube, skóra ze star-czymi pla-mami jest pra-wie prze-zro-czy-sta. – Prze-pra-szam.

– I twój biedny mąż – dodaje, krę-cąc głowę. – Nim też się mar-twi-łem. Nie sądzę, żeby spał przez te wszyst-kie dni, kiedy cię szu-kali. Tej nocy, kiedy Robby mi powie-dział, sie-dzia-łem na tara-sie i pła-ka-łem, ale Kane... Ten chło-piec stał na brzegu i krzy-czał z całych sił.

Och, kochany... Tyle wycier-pia-łeś z powodu mojej sła-bo-ści do cie-bie.

Ben w zamy-śle-niu pociera brodę.

– Brzmiało to jak coś mię-dzy wyciem wilka a zawo-dze-niem potę-pieńca, wszystko razem. To była naj-bar-dziej nie-sa-mo-wita rzecz, jaką kie-dy-kol-wiek widzia-łem lub sły-sza-łem, czło-wiek sto-jący pod księ-ży-cem i zała-mu-jący się doszczęt-nie w ten spo-sób. Sły-sza-łaś go tam na górze, kiedy to robił? Myślę, że cię wołał.

Zakry-wam usta dło-nią. Ból w klatce pier-sio-wej przy-po-mina zawał serca i być może nim jest. Pew-nie moje serce nie potrafi znieść obrazu, który Ben nama-lo-wał mi w gło-wie.

Jeśli jakaś część cie-bie zawsze będzie mnie nie-na-wi-dzić za to, co wycier-pia-łeś, zaak-cep-tuję to. Każdy, kto cię krzyw-dzi, powi-nien za to zapła-cić, ja też.

Drzwi z moski-tierą otwie-rają się ze skrzyp-nię-ciem i wycho-dzi z nich wnuk Bena, Robert.

– O mój Boże. Lily?

– Ty też ją widzisz? – pyta Ben z nie-po-ko-jem w twa-rzy.

Gaszę papie-rosa w popiel-nicze i prze-cie-ram twarz, wie-dząc, że mój maki-jaż musi być prze-ra-ża-jący po tych wszyst-kich łzach, które uro-ni-łam.

– Cześć, Robby. – Wstaję i wycią-gam do niego ręce.

– Jak się tu zna-la-złaś? – pyta, obej-mu-jąc mnie mocno. – Gdzie byłaś?

Patrząc na Roberta, mogę sobie wyobra-zić Bena, jakim musiał być kie-dyś. Jest mniej wię-cej mojego wzro-stu i chudy, twarz ma kwa-dra-tową i szczerą. Piegi tań-czą mu na grzbie-cie nosa. Jest pra-wie w moim wieku, ale wygląda na dużo młod-szego. Podob-nie jak jego dzia-dek, Robert jest cza-ru-jący, to typ faceta, który ni-gdy nie zado-wala się jedną dziew-czyną, ale jest tak słodki, że ni-gdy nie było afery z tego powodu.

– To długa histo-ria – odpo-wia-dam, ponow-nie zaj-mu-jąc miej-sce i zacią-ga-jąc się papie-ro-sem. Palce mi drżą, ale czuję się, jak-bym paliła mari-hu-anę zamiast tyto-niu. Wszystko jest mętne i dziwne, odle-głe i przy-po-mina sen.

– Naprawdę nie jesteś mar-twa? – pyta Ben, mru-żąc oczy.  
– Nie sędzę. – Ale obaj dziw-nie na mnie patrzą. – O co cho-dzi?  
– Wró-ci-łaś do domu na plaży?  
– Tak, wró-ci-li-śmy. Miesz-kamy w mie-ście, ale na razie jeste-śmy tutaj i mamy nadzieję czę-sto wra-cać.

Robert prze-cze-suje ręką swoje kasz-ta-nowe włosy.

– Muszę się napić. Dziadku?

– Tak. Ja też.

Wcho-dzi do środka.

Ben odchyła się do tyłu, krę-cąc głową.

– Jeśli naprawdę żyjesz, powin-naś wie-dzieć, że twój dom jest nawie-dzony.

Wstrzy-muję wydech w poło-wie, dym mam uwię-ziony w płu-cach.

– Skąd wiesz?

– Widzie-li-śmy cię tam, Robby i ja. Naj-pierw Robby; cho-dzi po plaży czę-ściej ode mnie. Zoba-czył cię przez drzwi patio, wpa-tru-jącą się w niego. Powie-dzia-łem mu, że to złu-dze-nie optyczne i żal. Wzdy-chał do cie-bie przez długi czas. A kilka lat póź-niej zoba-czył cię w oknie na pię-trze.

Prze-rywa, by zapa-lić papie-rosa i powoli wypusz-cza dym.

– Zoba-czy-łem cię w zeszłym roku. Było ciemno i na górze paliło się świa-tło. Sta-łaś w oknie z poświa-tą wokół głowy. Jak z aure-olą. Robby za każ-dym razem wpa-dał w prze-ra-że-nie, ale ja czu-łem się naprawdę spo-kojny. Jakby wszystko miało być w porządku.

Robert wraca ze szkła-necz-kami w obu rękach i butelką wody pod pachą. Drzwi zatrza-skują się za nim i cho-ciaż to zna-jomy i spo-dzie-wany dźwięk, spra-wia, że nie-mal pod-ska-kuję. Pełna nie-spo-koj-nej ener-gii wstaję, by pomóc, bio-rąc wodę dla sie-bie i jeden z drin-ków dla Bena, sta-wia-jąc go przed nim na stole.

– Ha! – Robert przy-gląda mi się. – Dla-czego obcię-łaś włosy?

Zgnia-tam koniec papie-rosa, gasząc go.

– Nie wiem.

– Kiedy widzia-łem cię w zeszłym roku, wciąż mia-łaś dłu-gie włosy – mówi Ben.

– W związku tym... – zwracam się do Roberta, bo jego umysł nie jest jesz-cze zamglony z powodu wieku. – Czy możesz powie-dzieć mi wię-cej o tym, co widzia-łeś?

Pociąga długi łyk whi-sky, roz-sia-da-jąc się na krze-śle. Potem wzru-sza ramio-nami.

– Nie wiem, co powie-dzieć. Ni-gdy nie mówi-łem o tym nikomu oprócz dziadka, bo to sza-leń-stwo.

– Zoba-czy-łeś w tym domu kobietę. Dla-czego pomy-śla-łeś, że to ja?

– Była wysoka, jak ty. Szczu-pła, jak ty. Byłem nad wodą, więc nie znaj-do-wała się dokład-nie naprze-ciw mnie, ale była powa-la-jąca, jak ty. – Znów wzru-sza ramio-nami, wyraż-nie zawsty-dzony.

– To byłaś ty – upiera się Ben. – Poznał-bym cię wszę-dzie.

Twoje słowa roz-brzmie-wają w mojej gło-wie. „Nie wró-ci-łem tu”.

– Lily! – Wiatr nie-sie do mnie twój głos, roz-pra-sza-jąc kłę-biące się myśli. To, że wołasz Lily, jest dla mnie szo-kiem, bo po raz pierw-szy odkąd odzy-ska-łam świa-do-mość, zwró-ci-łeś się do mnie po imie-niu.

Odsu-wam krze-sło i zry-wam się na równe nogi. Prze-szu-kuję wzro-kiem plażę i widzę, jak bie-gniesz.

– Kane!

Odwra-casz głowę w moją stronę i bie-gniesz ze zdu-mie-wa-jącą szyb-ko-ścią i gra-cją,

które kie-dyś podzi-wia-łam na boisku do koszy-kówki, twoje stopy fru-wają po pia-sku. Twoja piękna twarz jest blada. Twoje oczy to ciemne monety, zapłata dla Cha-rona za prze-wie-zie-nie cię przez rzekę Styks do mnie, two-jego pie-kła. W żołądku czuję cię-żar poczu-cia winy. Pędzę do cie-bie, spo-ty-ka-jąc cię w poło-wie drogi. Chwy-tasz mnie, ści-ska-jąc tak mocno, że boję się, iż pęk-nie mi żebro. Z rado-ścią witam ten ból.

Wsu-wasz dłoń w moje włosy, przy-ci-ska-jąc mnie do sie-bie. Moje stopy uno-szą się nad pia-skiem. Dygo-czesz gwał-tow-nie, a ja trzy-mam cię tak mocno, jak tylko mogę. Mam w głowie obraz nama-lo-wany przez Bena – ty na plaży, drę-czony żalem. Powrót do pustego domu musiał oży-wić w tobie ten ból i bła-gam cię o wyba-cze-nie.

– Prze-pra-szam – mówię ci ze szło-chem w gar-dle. – Powin-nam była zоста-wić liścik.

– Nie możesz tak po pro-stu odcho-dzić. Muszę wie-dzieć, gdzie jesteś.

– Wiem. Prze-pra-szam. – Deli-kat-nie głasz-czę cię dłońmi po ple-cach. – Nie pomy-śla-łam.

Prze-bie-gam wzro-kiem plażę w poszu-ki-wa-niu zagro-że-nia. Prze-raża mnie to, że znaj-du-jesz się na otwar-tej prze-strzeni. Kwiaty są szy-der-czym komu-ni-ka-tem, że nasze miej-sce pobytu jest znane, podob-nie jak moja nie-dawna prze-szłość. Jeste-śmy nara-żeni na nie-bez-pie-czeń-stwo na różne spo-soby, a ty jesteś celem.

Sły-szę szorstki głos Bena, który woła:

– Nie mia-łeś czu-wa-nia przy zmar-łej, chłop-cze. Jest uwię-ziona w czyśc-cu, zatrzy-mana mię-dzy tym życiem a następ-nym.

Twoja klatka pier-siowa unosi się, gdy spa-zma-tycz-nie nabie-rasz powie-trza.

– Dla-tego będę ją mocno trzy-mał, Ben! – odkrzy-ku-jesz – żeby tu została.



## WITTE

Bez koszuli i boso, z potem od wysiłku powoli schnącym w popołudniowym powie-trzu, opie-ram się o balu-stradę bal-konu i czy-tam ostat-nią wia-do-mość w komórce.

Zapłacone gotówką. Brak nazwi-ska. Brak tablic reje-stracyj-nych. Numer iden-ty-fi-ka-cyjny pojazdu usu-nięty. Pełny film prze-słany e-mailem jako załącz-nik. Range rover miał urzą-dze-nie namie-rza-jące na pod-wo-ziu.

Przy-glą-dam się ziar-ni-stemu, czarno-bia-łemu zdję-ciu z moni-to-ringu. Przed-sta-wia dzeń-tel-mena wycho-dzą-cego z kwia-ciarni w Gre-en-wich. Głowę i twarz ma gładko ogo-lone, a oczy ukryte za ciem-nymi oku-la-rami prze-ciw-sło-necz-nymi. Jest dużym, musku-lar-nym męż-czy-zną – w mowie potocz-nej nazwano by go „mię-śnia-kiem” – dobrze ubra-nym w gar-ni-tur z mary-narką na tyle luźną, żeby ukryć pod nią broń.

Dostrze-gam ruch za fran-cu-skimi drzwiami z czar-nymi listwami. To Danica zbiera moje wyrzu-cone ubra-nia z bia-łego dywanu w swoim salo-nie. Moja wie-lo-let-nia kochanka sprząta po mnie, gotuje dla mnie i roz-piesz-cza mnie. Wszystko to jest zbędne, ale uro-cze. Moja córka uważa za szczę-śliwy traf, że zna-la-złem kobietę, która jest gotowa spro-stać wyma-ga-niom zwią-za-nym z moją pracą. To, że Danica jest olśnie-wa-jącą pięk-no-ścią, która oczar-owuje mnie swoim dow-ci-pem i miłym towa-rzy-stwem, to dodat-kowa zaleta.

Czuję jej zapach na skó-rze i nara-sta we mnie pier-wotne pra-gnie-nie.

Otwie-ram e-mail, prze-glą-dam pisemny raport, a potem oglą-dam wideo. Zaczyna się na ulicy, dzięki kame-rze zain-sta-lo-wa-nej na prze-ciw-le-głym rogu. Męż-czy-zna przy-jeź-dza czar-nym bugatti, pojazd-dem tak się wyróż-nia-jącym, że ewi-dent-nie nie obcho-dzi go, czy zosta-nie przez kogoś zapa-mię-tany. Wysiada zza kie-row-nicy, sta-ran-nie zapina mary-narkę i wcho-dzi do sklepu. Cho-ciaż jest zbyt masywny, aby być naprawdę zwin-ny, komu-ni-kuje groźbę płyn-no-ścią ruchów i spo-so-bem, w jaki przed odej-ściem od samo-chodu dokład-nie oce-nia oto-cze-nie pod kątem ryzyka.

Prze-ka-zuję e-mail i dzwo-nię do pana Blacka. Odbiera natych-miast, a ja zaczy-nam bez wstę-pów:

– Pro-po-nuję powrót do pen-tho-use’u. Dom na plaży jest zbyt nara-żony na nie-bez-pie-czeń-stwo.

– Poroz-ma-wiam z Lily.

Danica wło-żyła prze-świ-tu-jące białe kimono, ale jej naga dosko-na-łość wciąż jest widoczna. Poru-sza się z gra-cją kota, pla-ty-nowe włosy opa-dają jej do pasa.

Nawet po latach bycia razem wciąż jestem przy niej zbyt chętny i zbyt pożą-dliwy. Wła-śnie wzią-łem ją na pod-ło-dze, czego zażą-dała, gdy tylko wbie-gli-śmy, śmie-jąc się, przez fron-towe drzwi, roz-pa-łeni pożą-da-niem jak nasto-latki. „Pieprz mnie, Nicky”, roz-ka-zała, cią-gnąc mnie na sie-bie w płą-ta-ni-nie jedwa-bi-stych koń-czyn. Nic nie mogło mnie powstrzy-mać przed wypeł-nie-niem tego pole-ce-nia. A kiedy w pośpie-chu ode-rwa-łem się z jej zaspo-ko-jo-nego ciała, by ode-brać tele-fon, nie oka-zała urazy, że została porzu-cona tak szybko po orga-zmie.

– Przej-rza-łem nagra-nia z moni-to-ringu. Ten czło-wiek to bez wąt-pie-nia pro-fe-sjo-na-li-sta.

Mój pra-co-dawca gło-śno wypusz-cza powie-trze.

– Oczy-wi-ście, że tak.  
– Powi-nien pan już to mieć.  
W mil-cze-niu ogląda film.  
– Bugatti powinno być łatwe do namie-rze-nia – mru-czy z roz-tar-gnie-niem, sku-piony na czymś innym.  
– Pra-cu-jemy nad tym – zapew-niam go.  
– Namie-rzył mój samo-chód?! – Prze-klina ostro, znaj-du-jąc tę infor-ma-cję w pisem-nym rapor-cie. – Jak to się stało?  
– Spraw-dzimy nagra-nie z garażu w pen-tho-usie, ale loka-li-za-tor łatwiej byłoby pod-ło-żyć przy wielu innych oka-zjach, kiedy byli-śmy w mie-ście.  
– Po co tak się z nią bawić? – W jego gło-sie sły-chać bez-silną wście-kłość. – Śle-dzić ją. Zadrwić z niej tymi kwia-tami.  
– Wia-do-mość. Tylko ona wie, co ozna-cza i czy była prze-zna-czona dla pana, czy dla niej.

Danica zbliża się, jej pełne piersi i smu-kłe bio-dra koły-szą się, gdy idzie z uwo-dzi-ciel-skim wdzię-kiem. Popy-cha drzwi, jej usta wygi-nają się w kocim uśmie-chu, gdy sta-wia szklankę whi-sky z kostką lodu na sto-liku na tara-sie. „Lunch za pół godziny”, wyma-wia bez-gło-śnie, po czym wśli-zguje się z powro-tem do środka i zamyka drzwi. Cho-ciaż dopiero co się nią cie-szy-łem, mój fiut poru-sza się pod-nie-cony na widok jej buj-nej figury, tak kusząco poka-za-nej. Jestem tu z nią od kilku dni i pra-wie przez cały ten czas nie odry-wa-łem się od jej ciała. Choć było to przy-jemne, nie mogę oprzeć się wra-że-niu, że nie jestem tam, gdzie powi-nie-nem być.

– Uwa-żasz, że nie powi-nie-nem jej ufać – stwier-dza pan Black. – Widzia-łeś, jak ona na mnie patrzy, Witte? Ona nie jest zagro-że-niem.

Ta ocena jest zbyt nie-fra-so-bliwa. Czy ich zwią-zek nie był dla niego bole-sny? Jego smu-tek był tak straszny, że tylko kon-cen-tra-cja na zbi-ciu majątku utrzy-my-wała go przy życiu. Już wię-cej nie będzie cze-goś, co ode-rwie jego myśli. Jeśli tym razem Lily zła-mie mu serce, nie wie-rzę, że by to prze-żył.

Spo-strze-gam wzrok Daniki, gdy prze-cho-dzi przez kuch-nię otwartą na salon. Jest nie-zwy-kle kuszą-cym stwo-rze-niem, ele-gancko poru-sza-ją-cym się w prze-strzeni, uwo-dzi-ciel-skim duchem cią-gną-cym za sobą biały jak paję-czyna tren. Jej lśniące srebrne włosy uno-szą się jak mgła wokół smu-kłych ramion. Posyła mi pro-wo-ku-jący uśmiech, a jej spoj-rze-nie jest omdle-wa-jące i sek-sowne.

Czy jest coś rów-nie odu-rza-ją-cego jak bycie obiek-tem pożą-da-nia osza-ła-mia-jąco pięk-nej kobiety? Czy w takiej sytu-acji męż-czy-zna jest w sta-nie zacho-wać roz-są-dek? Zanim pozna-łem Danicę, powie-dział-bym, że lek-ko-myślna miłość i pożą-da-nie to sza-leń-stwo mło-do-ści. Wie-rzy-łem, że mam za sobą te wszyst-kie bzdury. Czy mogę osą-dzać pana Blacka, pouczać go, kiedy moja sytu-acja odzwier-cie-dla tę jego?

– Pozwól, że opo-wiem ci o Lily – mówi sta-now-czo. – Pew-nego dnia Ryan napi-sał do mnie ese-mes z zapro-sze-niem na wie-czór u niego. Minęło kilka tygo-dni, odkąd się spo-ty-ka-li-śmy, ponie-waż jej uni-ka-łem. Nie mogłem znieść nawet myśli, że mógł-bym zoba-czyć ich razem. Wie-dzia-łem, że była we mnie przy-naj-mniej w poło-wie zako-chana i to, że została z nim tylko dla-tego, żeby trzy-mać mnie z dala od sie-bie, dopro-wa-dzało mnie do sza-leń-stwa. Pró-bo-wała mną mani-pu-lo-wać, prze-ko-nać, że wma-wiam sobie uczu-cie, któ-rego nie żywiła, ale za każ-dym razem, gdy na mnie patrzyła, widzia-łem oczy-wi-stą miłość. Tak samo jak strach.

Nagle jej widok na ulicy, gdy zoba-czy-łem ją po raz pierw-szy, nabiera innego



zna-cze-nia. Czy jej strach wynika z uczu-cia do niego, a nie ze stra-chu przed nim? Czy coś takiego jest moż-liwe?

– Trudny wybór dla kobiety – mru-czę, a moje myśli wirują. – Obaj jeste-ście wyjąt-ko-wymi ludźmi.

– Nie byłem, nie wtedy. Ryan dzia-łał już w spra-wie Lan-Corp, ale kupno tego, co zostało z Baha-ran, było dla mnie tylko mrzonką. – Wzdy-cha ciężko. – Przy-ją-łem to zapro-sze-nie, bo bra-ko-wało mi jego przy-jaźni, ale chcia-łam też zoba-czyć zdję-cia Lily, które miał u sie-bie. Tak bar-dzo pra-gną-łem jej widoku.

Zer-kam na Danicę. Ja też się-gam po jej zdję-cia, kiedy nie możemy być razem. Cza-sami same wspo-mnie-nia nie wystar-czą, aby zła-go-dzić ból roz-łąki.

– Zja-wi-łem się punk-tu-al-nie – kon-ty-nu-uje. – Może nawet odro-binę za wcze-śnie. Por-tier mnie znał i wie-dział, że przyjdę, więc tylko gestem poka-zał, że mam przejść. Wsia-dłem do windy i poje-cha-łem na górę. Fron-towe drzwi Ryana były uchy-lone. Wsze-dłem i wła-śnie mia-łem go zawo-łać, gdy usły-sza-łem odgłosy docho-dzące z sypialni.

W jego gło-sie pul-suje ból, który ogrom-nie mnie poru-sza.

– Powi-nie-nem był wyjść – cią-gnie słu-mio-nym, chra-pli-wym gło-sem. – Zamiast tego wsze-dłem do sypialni. Nie mogłem się powstrzy-mać. Leżała tam, pod nim. Byli na pół roze-brani. Pod-cią-gnęła sukienkę, on opu-ścił spodnie i był w niej, jęcząc, jakby tra-cił zmy-sły.

Prze-rywa na dłuż-szą chwilę, a potem podej-muje.

– Patrzyła pro-sto na mnie, kiedy dotar-łem do drzwi, a na jej twa-rzy nie było zasko-cze-nia. Trzy-mała dłoń z tyłu jego głowy, opie-ra-jąc ją na swoim ramie-niu i odwra-ca-jąc w stronę ściany, żeby mnie nie widział.

– Panie Black, ja nie...

– Zapla-no-wała to, Witte. Wszystko to zapla-no-wała.

Nie chcę już tego słu-chać. Mam się posta-wić na jego miej-scu, a gdy widzę przed sobą Danicę, przy-cho-dzi mi to aż nazbyt łatwo. Oboje jeste-śmy doro-śli, a naszego związku nie da się zasz-flad-ko-wać. Jestem mono-ga-miczny. Ni-gdy nie pyta-łem, czy oka-zuje mi tę samą uprzej-mość. To zmy-słowa kobieta, a ja nie-czę-sto bywam dostępny. Ni-gdy nie odwie-dzam jej bez zapo-wie-dzi, ale moż-liwe, że gdy-bym to zro-bił, był-bym świad-kiem sceny takiej, jaką opi-sał mój pra-co-dawca. Sama myśl o tym mnie drę-czy.

– Użyła jego tele-fonu – war-czy, wciąż wście-kły. – Usta-liła czas. Zadzwo-niła do por-tierni na dole. Uchy-liła drzwi. I patrzyła na mnie mar-twym wzro-kiem, kiedy pie-przył ją na moich oczach.

Prze-stę-puję z nogi na nogę, pełen nie-chęci. Wyobra-żam sobie obraz, który przede mną maluje. Lily, o któ-rej mówi, to kobieta, któ-rej nie znam. Nie może być tą, która patrzy na niego z tak żar-li-wym pra-gnie-niem i miło-ścią.

Mogła jed-nak być kobietą, któ-rej zawo-dowy zabójca wysłał kwiaty i bile-cik z roman-tycz-nym wyzna-niem.

– Jej celem było zakoń-czyć nasz zwią-zek, zanim się zaczął. I cho-ciaż nie widzie-li-śmy się od tygo-dni, nasz głą-boki wza-jemny pociąg wciąż nara-stał. To była tylko kwe-stia czasu. Ryan mówił mi, że czuł się tak, jakby wpro-wa-dzała go w strefę przy-jaźni. Odma-wiała mu seksu i ogra-ni-czała ich spo-tka-nia. Przez to było o wiele gorzej, bo roz-bu-dzi-łem w sobie nadzieję, że wkrótce będzie moja.

Sły-szę, jak fotel przy biurku skrzypi, gdy pan Black się poru-sza, i łapię się na myśli o tym, że trzeba je naoli-wić. To instynk-towna chęć wyco-fa-nia się z roz-mowy. Jest zbyt oso-bi-sta i zbyt bole-sna.

– Do tego momentu myśla-łem, że to ja sta-no-wię pro-blem. Że nie jestem

wystar-cza-jąco dobry, że moje per-spek-tywy jako part-nera życio-wego są dla niej zbyt ogra-ni-czone. W tam-tej chwili zda-łem sobie sprawę, że jest prze-ciw-nie. Z jakie-goś powodu uwa-żała, że będzie mi lepiej bez niej, i była gotowa upo-ko-rzyć nas oboje, żeby mnie przed sobą ochro-nić.

Potrze-buję kilku sekund, by wymy-ślić tak-towną odpo-wieź.

– Nie-wielu męż-czyzn doszło do takiego wnio-sku w takich oko-licz-no-ściach.

– W jakiś spo-sób wie-dzia-łem, nawet w tam-tej chwili, że mnie kochała. Zain-sce-ni-zo-wała scenę, która miała być dla mojego dobra, Witte. Dla niej nie było w tym nic oprócz cier-pie-nia. Nie rozu-miała, że prze-stanę jej pra-gnąć tylko wtedy, gdy ona naj-pierw prze-sta-nie pra-gnąć mnie. Dopóki mnie kochała, musia-łem ją kochać. Potra-fisz to zro-zu-mieć?

– Tak, czę-ściowo. – Nie mówię, że się zasta-na-wiam, czy wie-działa, że ta scena, jak on to nazywa, tylko pogłębi jego pra-gnie-nie, by ją mieć. I narazi ją na znacz-nie więk-sze ryzyko; każdy męż-czyzna ma swoje gra-nice, a tem-pe-ra-ment pana Blacka potrafi być wybu-chowy. Z pew-no-ścią prze-stał-bym mieć cokol-wiek wspól-nego z Danicą, gdyby tak okrut-nie i celowo zasta-wiła na mnie zasadzkę. Ale być może Lily rozu-miała Kane’a Blacka lepiej niż kto-kol-wiek inny, a poza tym stu-dio-wała psy-cho-lo-gię.

– Lily tego nie zro-zu-miała. Pró-bo-wała zmie-nić moje uczu-cia do niej, ponie-waż jej miłość była zbyt silna, by wal-czyć. I na chwilę jej się udało. – Jego głos staje się ostry jak nóż, który mnie prze-bija. – Ni-gdy nie czu-łem takiej nie-na-wi-ści. Ani wcze-śniej, ani póź-niej. Chcia-łem zamor-do-wać Ryana, bru-tal-nie, i udu-sić ją za to, że zra-niła mnie w ten spo-sób. Chcia-łem objąć ją rękami za gar-dło i ści-snąć. Z całych sił musia-łem się powstrzy-mać, by nie roze-rwać ich obojga na strzępy. Pamię-tam, że pomy-śla-łem, że jej oczy nie mogłyby być bar-dziej mar-twe, gdy-bym ją zabił. Nie wal-czy-łaby ze mną. Leża-łaby tam, piękna i okrutna jak róża, pod-czas gdy ja bym ją dusił.

Nie znam męż-czyzny, który mógłby tak swo-bod-nie opi-sać zamor-do-wa-nie kobiety, którą kocha. Nie znam też kobiety, którą opi-suje. Jego żona ni-gdy nie pod-da-łaby się prze-mocy. Ja też spoj-rza-łem jej w oczy i zoba-czy-łem osobę, która zawsze będzie wal-czyć na śmierć i życie.

– Jej plan pra-wie się udał. Pomy-śla-łem, że skoro tak bar-dzo jej zależy, by mnie ode-pchnąć, dam jej to, czego chce. Odwró-ci-łem się i wysze-dłem. Gdyby była w sta-nie wytrwać, dopóki nie odejdę, był-bym zagro-że-niem dla każ-dego, kto sta-nąłby mi na dro-dze, bo na-dal chcia-łem kogoś zabić. Ale nie mogła znieść, że odcho-dzę. Wydała z sie-bie ten, nie wiem, ten straszny dźwięk. Ten jęk udręki. Wciąż sły-szę go w myślach.

Pozo-staje mi to sobie wyobra-zić, gdy prze-rywa.

Po chwili wzdy-cha.

– Ryan wpadł w panikę, myśląc, że ją skrzyw-dził. Sły-sza-łem, jak błaga ją, by powie-działa mu, co się stało, bo wysze-dłem, a on nawet nie wie-dział, że tam byłem. Zerwała z nim tam-tej nocy i znisz-czyła go. Kupił już pier-ścio-nek zarę-czy-nowy, mając nadzieję, że w ten spo-sób naprawi to, co nie wycho-dziło w ich związku. Skoń-czyło się na tym, że poszu-kał we mnie opar-cia i było trudno. Czu-łem się jak naj-więk-sza kupa gówna. Oto ja, pocie-sza-jący swo-jego naj-lep-szego przy-ja-ciela, ukry-wa-jąc, że to przeze mnie cierpi.

– Pod-jęto wąt-pliwe decy-zje – mówię ponuro – ale pan go nie zdra-dził.

– Kłam-stwa, które sobie mówimy – szep-cze. – Czy potra-fisz zro-zu-mieć miłość taką jak nasza, Witte? Prze-żył-bym wszystko oprócz utraty żony, ale ona by mnie zosta-wiła, żebym mógł prze-żyć.

Wycią-gam rękę i roz-ma-so-wuję napię-cie w szyi. Nie możemy przy-go-to-wać się na

nie-znane.

– Jeśli chce pana chro-nić, musi być szczerą w spra-wie zagro-że-nia.

– Teraz jest ina-czej. Ona jest inna. Rano będę wie-dział wię-cej. – W jego sło-wach brzmi wście-kłość. Kon-tro-lo-wał się długo, ale już prze-stał. – A o powro-cie do mia-sta pomy-ślimy jutro. Nie pozwolę, żeby jakiś ban-dyta w bugatti nas stąd wypę-dził. Ten dom jest święty. Wyjadę stąd, kiedy będę cał-ko-wi-cie gotowy.

– Nale-gam, żeby do tego czasu nie wycho-dzili pań-stwo z domu.

– Ni-gdzie się nie wybie-ramy – mówi krótko. – Mamy dużo do omó-wie-nia. Jeśli ktoś pra-gnie dostać ją, pie-nią-dze czy jedno i dru-gie, chcę, żeby to zostało zała-twione natych-miast. Zbyt ciężko pra-co-wa-łem, żeby zbu-do-wać to życie. Z niczego w nim nie zre-zy-gnuję.

Dys-ku-sja na temat teraz-niej-szo-ści – i tego, co może przy-nieść przy-szłość – przy-nosi pewną ulgę. Nie mogę napra-wić prze-szło-ści, ale mogę pla-no-wać teraz-niej-szość i przy-szłość.

– Nie wiemy, jak sobie radziła przez ostat-nie sześć lat lub zanim się pozna-li-ście. Pew-nych sty-lów życia nie porzuca się z wyboru. W pew-nych sytu-acjach jedy-nym wyj-ściem jest zabić lub zostać zabi-tym.

– Jestem tego świa-dom. – W jego gło-sie nie ma waha-nia ani żalu. Jest sta-now-czy i zde-ter-mi-no-wany. – Rozu-miesz jed-nak, że mam tylko jeden moż-liwy wybór.

## LILY

– Ależ tu wspa-niale pach-nie. – Wcho-dzę do kuchni i zatrzy-muję się przy wyspie. Wyrzu-ci-łeś róże i mor-ska bryza, wraz z tym, co gotu-jesz, cał-ko-wi-cie usu-nęła ich mdlący zapach.

Sto-isz przy kuchence, masz na sobie stare džinsy, które są jed-no-cze-śnie wygod-nie luźne i dopa-so-wane do kształtu twego ciała. Jesteś boso, nagi od pasa w górę i mię-śnie ple-ców się poru-szają, gdy mie-szasz to, co jest w dużym garnku na pal-niku. Twój tele-fon leży na bla-cie przy pod-stawce na łyżkę, para unosi się z otwo-rów w urzą-dze-niu do goto-wa-nia ryżu, a przez gło-śniki dźwięku prze-strzen-nego Billy Joel śpiewa *She's Always a Woman* – pio-senkę, o któ-rej kie-dyś powie-dzia-łeś, że przy-po-mina ci o mnie.

– To gumbo – rzu-casz przez ramię, sku-piony na goto-wa-niu.

– Uwiel-biam gumbo. – Z wyćwi-czoną non-sza-lan-cją opie-ram dłoń o fra-mugę drzwi. Chcę być uwo-dzi-ciel-ska. Pewna sie-bie. Udamę jedno i dru-gie. – Ale powi-nie-neś wło-żyć far-tuch.

To pro-ste, usta-bi-li-zo-wane życie tak bar-dzo do cie-bie pasuje. Wszystko, czego kie-dy-kol-wiek pra-gną-łeś, to Lily jako twoja żona i praw-dziwy dom.

– I stra-cić oka-zję, by sku-sić cię moim cia-łem? – Sta-jesz tak, abym pozo-stała w zasięgu twego wzroku i pusz-czasz do mnie oko. Znow jesteś ogo-lony.

W tej chwili wyda-jesz się zre-lak-so-wany i pogodny, a twój uśmiech roz-ja-śnia pokój. To tak, jak-byś cał-ko-wi-cie wyma-zał dostawę kwia-tów ze swo-ich myśli. Dla mnie wyma-za-nie tego dnia nie jest takie pro-ste. Wiem, że jestem powo-dem two-jego naj-głęb-szego stresu i zmar-twień. To okrutny figiel losu, że jestem także twoją pocie-cha i przy-sta-nią.

– Zosta-łam sku-szona. – Wytre-no-wa-łeś moje ciało tak, by koja-rzyło twoje z przy-jem-no-ścią, a uza-leż-nie-nie od tego przy-pływu dopa-miny wywo-łuje natych-mia-stową reak-cję fizyczną. Na każ-dym pozio-mie jestem świa-doma tego, co możesz mi zro-bić i jak dobrze. Moje bro-dawki napi-nają się pod czarną satyną sukienki, wyraż-nie pod-nie-cone. Są wraź-liwe od two-jego czę-stego ssa-nia, podob-nie jak moje usta i cipka. Wcze-śniej nie-uży-wane mię-śnie są obo-lałe. Cały czas jestem świa-doma tego, jak twoja hedo-ni-styczna, ero-tyczna żar-łocz-ność dosto-so-wuje moje ciało do two-ich kon-kret-nych potrzeb.

Nie-ru-cho-mie-jesz, widząc moją oczy-wi-stą reak-cję na cie-bie, twoje wspa-niałe ciało tężeje i oddy-chasz z tru-dem. Każdy naprę-żony mię-sień jest wyraż-nie zary-so-wany, co zmie-nia cię w zmy-słowe dzieło sztuki. Szy-ku-jesz się niczym ogier do kry-cia, od któ-rego mnie uza-leż-ni-łeś.

– Myśla-łam, że zechcesz wró-cić dziś wie-czo-rem do pen-tho-use'u – mówię cicho.

Odkła-dasz na bok łyżkę z długą rączką i spo-glą-dasz mi w oczy.

– Boisz się?

– Nie.

– To dobrze. – Opie-rasz się ple-cami o kuchenny blat i krzy-żu-jesz ręce, eks-po-nu-jąc piękno gru-bych bicep-sów i twar-dych mię-śni pier-sio-wych. Twoje džinsy z tru-dem krę-pują wydatną erek-cję. Górny guzik jest roz-pięty i spodnie zsu-wają się nisko na bio-dra. Widać, że nie masz nic pod spodem.

Jesteś, całkiem po prostu, najseksowniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Podniecającym i zdecydowanie męskim. Czuję wdzięczność, że jesteś mój i mogę cię mieć, kiedy tylko cię potrzebuje. Lubieżne spojrzenie, którym mnie obdarzasz, to pieszczota sama w sobie – gorące, pełne uznania i zaborcze. Zawsze patrzysz na mnie w ten sposób, jakbym była zarówno bezcennym dziełem sztuki, jak i podniecającą poronogafią.

Czy widzisz mnie wyraźnie, czy mgła dawnego uczucia zaciemnia ci wzrok? Co byłoby korzystniejsze: akceptacja mnie taką, jaka jestem, czy wybaczenie płynące z tęsknoty za dawną mną?

Zmieniam pozycję, sfrustrowana i niespokojna. Moje pożądanie jest intensywne i nagłe. Chcę od ciebie o wiele więcej. Chcę wszystkiego. I ta niezaspokojona zachłanność każe mi brać cię w każdy możliwy sposób, tak często, jak to możliwe.

Przostajesz się, wyłączaś palnik i przykrywasz garnek pokrywką.

– Jeśli teraz stąd wyjeździemy, naszym ostatnim wspomnieniem będzie ta cholerna dostawa kwiatów. Nie pozwolę nikomu ani niczemu zmienić tego, co to miejsce dla nas znaczy. Nie musimy uciekać. Jestem w pełni zdolny cię ochronić.

Jak zawsze, twoje gorące serce mnie wzrusza. Kto by pomyślał, że kobieta wychowana w pogardzie dla miłości tak głęboko zakocha się w roman tyku?

Sprawiasz, że tak żarliwie chcę być lepszą osobą, że nie wyobrażam sobie, żeby się nie zmienić. Z larwy w motyla. Z grzeszniczy w świętą.

Zbliżasz się do mnie płynnym ruchem, zwinna pantera, duża i pełna gracji. Łapię się na tym, że robię mimo-wolny krok w tył, gdy buzuje we mnie adrenalina.

– Złapię cię – ostrzegasz cicho.

Mój puls przyśpiesza i unoszę podbródek.

– Nie uciekam.

Obejmujesz moje ramiona, jakbyś się spodziewał, pomimo tego zapewnienia, że rzucę się do ucieczki. Twój chwyt zacieśnia się i zwalnia. Pożądanie tli się w twoich oczach, ale to gniew płonie najjaśniej.

– Robisz to specjalnie? – mruczysz, patrząc na moje usta. – Wszystko w tobie sprawia, że chcę się pieprzyć. Twój wygląd, to, jak pachniesz. Sama myśl o tobie powoduje, że robię się twardy. Jesteś nieodpartą pokusą, *Seta-reh*.

Unosisz kciuk do mojej dolnej wargi, pocierając ją. Liżę opuszkę, a potem wsyłam twój kciuk do ust. Ssę mocno, a mój język gładzi twardą poduszkę. Mruczysz gardłowo, napierając na mnie, a twoja erekcja rośnie z każdym obrotem mojego języka.

Uwalniam cię i twoja ręka opada na bok.

– Jesteś zły – mówię i to nie jest pytanie.

– Jestem o wiele bardziej niż zły. – Opierasz swoje czoło o moje. – Sześć lat, *Seta-reh*. Sześć lat tak rozpaczliwej tęsknoty za tobą, że wydało mi się, że oszaleję. A teraz, kiedy dopiero co cię odzyskałem, ktoś ci groził. Nawet wściekłość to za mało, by nazwać to, co czuję.

Twoja miłość nigdy nie osłabła. Myślę o obrazie na twojej ścianie; zadowolony sobie tor-tury, by trzymać Lily blisko siebie.

Pochylając się do przodu, całuję miejsce nad twoim sercem. W jakiś sposób zabiorę ten ból i zastąpię go miłością. Twoje ostatnie wspomnienie o nas w tym domu będzie radośne, nawet jeśli zamglone przez oszałamiającą rozkosz. Przy najmniej tyle mogę zrobić, zważywszy na cały ból, jaki sprawię ci w przyszłości.

Jęczysz, gdy sięgam ustami do płaskiej brzowej tarczy twojej brodawki i ją też

całuję. Pod-czas gdy mój język poru-sza się szybko na tym twar-dym czubku, jeden po dru-gim odpi-nam meta-lowe guziki two-jego roz-porka.

Twoje dżinsy opa-dają na pod-łogę. Wystę-pu-jesz z nich i kop-nię-ciem odrzu-casz je na bok, bez-wstyd-nie nagi. Biorę w ręce penisa i uśmie-cham się, gdy twoim cia-łem wstrząsa silny dreszcz. Przej-mo-wa-nie kon-troli nad tak apo-dyk-tycz-nym męż-czy-zną jak ty ma nie-za-prze-czalną moc. To upa-ja-jące uczu-cie trzy-mać cię w dło-niach – jedwa-bi-ście gład-kiego, gru-bego i gorą-cego.

To było dziwne i cudowne doty-kać cię intym-nie, ale nie mogę pozbyć się dziw-nego wra-że-nia, że nas oszu-kuję. To nie do wytrzy-ma-nia, nie-po-koi mnie i prze-raża. Chcę wie-rzyć, że to, co lek-ce-wa-żymy, po pro-stu znik-nie, ale wiem, że tylko szcze-rość może nas wyzwolić.

I roz-dzie-lić.

Zaczy-nam cię maso-wać od nasady po czu-bek. Obję-łam cię obiema dłońmi, jedną nad drugą, ale główka penisa wystaje poza mój chwyt. Ści-skam cię ener-gicz-nie, wie-dząc, co lubisz. Nagra-dza mnie twój prze-ry-wany jęk. Moje usta prze-śli-zgują się po two-jej klatce pier-sio-wej, by zna-leźć drugą bro-dawkę.

Wsu-wa-jąc prawą rękę mię-dzy twoje nogi, ujmuję w nią ciężką mosznę, a lewa poru-sza się szyb-ciej po two-jej dłu-giej, gęsto pokry-tej nabrzmia-łymi żył-kami erek-cji.

– Ni-gdy nie byłem aż tak twardy – wykrztu-szasz przez zaci-śnięte zęby.

– Nawet pod-czas naszego pierw-szego razu?

– Teraz pra-gnę cię bar-dziej. – Zaczy-nasz koły-sać bio-drami, napie-ra-jąc na moją ści-ska-jącą dłoń.

– Poca-luj mnie – roz-ka-zuję, wzru-szona twoim wyzna-niem, że dzie-łam na cie-bie jak nikt inny. Kiedy pochy-lasz ku mnie głowę, chwy-tam twoje usta w zapie-ra-ją-cym dech połą-cze-niu, roz-ko-szu-jąc się twoim mio-do-wym sma-kiem. Mój uścisk na tobie zacie-śnia się, tylko na tyle, by zwięks-szyć tar-cie. Nie kła-ma-łeś – jesteś twardy jak stal, nabrzmiały pożą-da-niem. To nie-sa-mo-wite. Jesteś męż-czy-zną, który może mieć każdą, ale chce tylko mnie, i cho-ciaż zawsze możesz mnie wziąć, nawet cał-ko-wite pod-da-nie się nie zaspo-koi two-jego pra-gnie-nia.

Gdy wodzę języ-kiem po two-ich roz-chy-lo-nych ustach, jęk wylewa się z mrocznej głębi cie-bie. Twoja przej-mu-jąca reak-cja spra-wia, że robię się śli-ska mię-dzy udami, ale ta chwila należy do cie-bie, tak jak ty jesteś mój.

Chcę robić to bez pośpie-chu i delek-to-wać się tą rzadką oka-zją, gdy mogę sku-pić się na two-jej przy-jem-no-ści, ale chwy-tasz mnie za nad-garstki i zmu-szasz, żebym cię puściła. Zanim zdążę zapro-te-sto-wać, obra-casz nas i popy-chasz mnie na zimną szybę drzwi lodówki.

Twoje ciało ema-nuje pier-wot-nym gorą-cem zdro-wego męż-czy-zny u szczytu formy. W nocy roz-grze-wasz nasze łóżko. Kiedy się kochamy, nie-mal przy-pie-kasz mi skórę. Teraz uwię-zi-łeś mnie mię-dzy cie-płem a zim-nem, przy-gwoź-dzi-łeś. Mogę poru-szać tylko rękami i się-gam do two-ich umię-śnio-nych poślad-ków, ści-ska-jąc je i przy-cią-ga-jąc cię bli-żej.

Nasz poca-lu-nek z otwar-tymi ustami jest sza-leń-czy. Mokry i chciwy. Wsu-wasz ręce w moje włosy, chwy-ta-jąc głowę, aby mnie unie-ru-cho-mić, gdy przej-mu-jesz dowo-dzenie z głę-bo-kim, ostrym pomru-kiem. Prze-cho-dzi mnie dreszcz stra-chu, cho-ciaż moje palce u stóp pod-wi-jają się z pod-nie-ce-nia. Twoja chciwa żądza jest roz-koszna i pod-szyta bru-tal-no-ścią.

– Pro-szę... – Pożą-da-nie mnie obez-wład-nia.

Jęk, który z sie-bie wydo-by-wasz, jest za nie nagrodą, a gdy wpraw-nie głasz-czesz mój język swoim, myślę o tym, jak dobrze spra-wiasz nim roz-kosz mojej cipce.

Chwy-tasz moją sukienkę w gar-ście i pod-cią-gasz mi ją do pasa. Potem przy-sia-dasz na pię-tach i liżesz moją szcze-linę. Prze-biega mnie gwał-towny dreszcz, wła-śnie tego potrze-buję – bez-po-śred-niej sty-mu-la-cji. Trzy-masz sukienkę w górze jedną ręką, a drugą chwy-tasz moją nogę pod kola-nem i zakła-dasz ją sobie na ramię, otwie-ra-jąc mnie na muska-nie łech-taczki trze-po-tli-wym ruchem języka. Jestem opuch-nięta i wraź-liwa, a ty deli-katny i uważny, dłu-gimi liź-nię-ciami uspo-ka-ja-jąc, a jego usztyw-nio-nym czub-kiem draż-niąc łech-taczkę. Moje wną-trze zaci-ska się w pro-te-ście, nie chce być puste, potrze-buję cię we mnie.

– Kane...

Cała twoja silna, zde-cy-do-wana uwaga sku-pia się na cen-trum mojej roz-ko-szy, a twoje dosko-nałe umie-jęt-no-ści odplą-tują mnie jak nić. Jesteś wszyst-kim, co widzę, sły-szę lub czuję; cie-pło two-jej dłoni roz-po-star-tej na moim pośladku, aby nakie-ro-wać srom ku twoim ustom, deli-katne ssa-nie, twoja nie-za-prze-czalna przy-jem-ność...

Wci-skasz we mnie język i żar roz-lewa się po mojej skó-rze. Dyszę, nogi mi się trzęsą. Draż-niące pchnię-cia są nisz-czące. To zbyt dużo, a jed-nak nie wystar-czają. Nie wie-dzia-łam, że jest we mnie ta potrzeba, jak bar-dzo jest nie-na-sy-cona i że tylko ty możesz ją zaspo-koić.

Moja pochwa zaci-ska się wokół twego dźga-ją-cego języka i wyda-jesz z sie-bie czy-sto zwie-rzęcy odgłos. Sapię w pro-te-ście, gdy się odsu-wasz, sta-wia-jąc mnie na nogach i pro-stu-jąc się nade mną. Twoje ciemne oczy błysz-czą z pod-nie-ce-nia, gdy zli-zu-jesz z ust mój smak.

– Poczuję, jak będziesz docho-dzić wokół mojego kutasa – mówisz groź-nie, pochy-la-jąc się, by chwy-cić mnie pod uda i unieść tak, że sie-dzę w two-ich ramio-nach. Jesteś potężną, pewną pod-porą i przy-wie-ram do cie-bie, wdzięczna, że mogę cię objąć.

Pod-no-sząc mnie wyżej, bie-rzesz moją bro-dawkę do ust, draż-niąc ją języ-kiem przez satynę.

Inten-sywna roz-kosz gra-ni-czy z bólem. Pro-mie-niuje z tego wraź-li-wego czubka. Te ryt-miczne pocią-gnię-cia czuję niżej w swoim ciele. Wpła-tam palce w twoje włosy. Twój zapach i led-wie kon-tro-lo-wane pożą-da-nie roz-pa-lają mnie.

– Nie każ mi cze-kać – sapię, nie-mal osza-lała, gdy mnie opusz-czasz, by przy-ci-snąć usta do moich w głę-boko ero-tycz-nym poca-łunku.

Lek-kim prze-su-nię-ciem bio-der nace-lo-wuję łech-taczkę na twego penisa. Zaczy-nam maso-wać tę wiąz-kę ner-wów, poru-sza-jąc się, pocie-ra-jąc w górę i w dół. Jestem śli-ska z pod-nie-ce-nia. Z two-jej piersi wydo-by-wają się pełne udrę-cze-nia jęki, tra-cisz pano-wa-nie nad sobą. Trzy-masz mnie z nie-za-chwianą siłą, pozwa-la-jąc mi cię wyko-rzy-sty-wać. Kon-tro-luję tempo, nacisk.

– Zabi-jasz mnie. – Zębami pocią-gasz moją dolną wargę. – Cho-lera, zabi-jasz mnie.

Przy-ci-ska-jąc moc-niej nogi, uno-szę się na tyle, by nace-lo-wać cipkę na sze-roki, gruby czu-bek twego penisa. Jesteś taki sztywny, a ja tak mokra, że wśli-zgu-jesz się we mnie bez wysiłku. Drzę pod roz-kosz-nym naci-skiem two-jej pały, która roz-ciąga mi pochwę. Twoje palce ści-skają moje uda tak mocno, że mogą je posi-nia-czyć.

Twoje bio-dra zaczy-nają się poru-szać okręż-nym ruchem, wyko-nu-jąc krót-kie, zakrzy-wione pchnię-cia, które zapew-niają tar-cie i pro-wa-dzą cię głę-biej. Twoje bicepsy napi-nają się i roz-luź-niają, gdy dźwi-gasz mój cię-żar i nakie-ro-wu-jesz moje bio-dra na swoje gład-kie, głę-bo-kie pchnię-cia. Obna-żasz zęby, war-cząc z dzi-kiej roz-ko-szy, kiedy biorę cię aż do nasady, odgłos jest tak zwie-rzęcy i ero-tyczny, że moje wną-trze zaci-ska się z pod-nie-ce-nia.

Twój widok spra-wia, że się roz-pa-dam. Mię-śnie falują i napi-nają się pod lśnią-cą od potu zło-ci-stą skórą. Strużka potu spływa po two-jej klatce pier-sio-wej, zanu-rza-jąc się

i uno-sząc na wyraż-nie zary-so-wa-nym kalo-ry-fe-rze brzu-cha. Twój penis, tak długi i gruby, tak bru-tal-nie męski, wwierca się w moją pochwę i wysuwa z niej. Wbi-jasz się we mnie jak taran, pocie-ra-jąc tą sze-roką główką uner-wione tkanki. Moje ciało oddziela się od umy-słu, słu-żąc tylko tobie.

Orgazm nara-sta we mnie ze strasz-liwą inten-syw-no-ścią. Twoje bio-dra obra-cają się przy każ-dym pchnię-ciu i wyco-fa-niu w ten wyćwi-czony, mocny spo-sób, który mówi o two-jej jur-no-ści. Twój gniew jest jak burza ognia, jak trzask bicza, który cię napę-dza, każde mocne i szyb-kie zanu-rze-nie to dekla-ra-cja posia-da-nia. Twoje ryt-miczne ruchy wpra-wiają mnie w dygot. Całe moje ciało jest napięte i paru-jące. Krew szumi mi w uszach.

Nic wię-cej nie ist-nieje. Jeste-śmy tylko ty, tylko ja, tylko nasza wygłod-niała potrzeba.

– Nie mogę – pona-glam cię, osza-lała z pożą-da-nia i lęku, że moje emo-cje są zbyt silne. Zbli-ża-jący się orgazm wydaje się zbyt potężny, gorąca fala, która mnie zaleje. – Nie mogę... Pro-szę.

– Możesz. Wytrzy-masz.

Prze-su-wasz mnie, obni-ża-jąc jesz-cze bar-dziej, tak że łopatkki utrzy-mują mój cię-żar, a uda otwie-rają się naj-sze-rzej. Nic nie powstrzy-muje two-jego wście-kłego młó-ce-nia, two-jego penisa, który wyco-fuje się aż do czubka i opada aż po nasadę przy każ-dym szyb-kim pchnię-ciu. Patrzę, unie-ru-cho-miona przez wigor i moc two-jego ciała słu-żące wyłącz-nie nie-wy-ma-ga-ją-cej myśle-nia zmy-sło-wo-ści.

Krzy-czę, gdy orgazm mnie pochła-nia, jęczę twoje imię w udręce uwol-nie-nia, która wydaje się nie mieć końca. Nie prze-sta-jesz, prze-dłu-ża-jąc moją przy-jem-ność, aż moje wnę-trze znów zaci-ska się kur-czowo wokół cie-bie.

– Boże, tak... Ści-skasz mnie tak mocno... – Twoja ciemna głowa opada do tyłu, mię-śnie szyi są mocno naprę-żone. Twoje ciało tward-nieje z napię-cia, mię-śnie się napi-nają. Zgrzy-tasz zębami, stę-ka-jąc ury-wa-nie, a potem czuję try-ska-nie twego nasie-nia. Koli-stym ruchem miaż-dzysz bio-drami moje bio-dra, wypeł-nia-jąc mnie aż po naj-dal-szy kra-niec. Wyda-jesz z sie-bie dźwięki udrę-czo-nej eks-tazy.

Gdy w końcu opa-dasz na mnie ciężko, nie mam nic prze-ciwko temu. Ani tro-chę.

Przy-ci-skam usta do pul-su-ją-cej żyły na two-jej szyi.

– Wszystko w porządku? – pytasz gło-sem tak ochry-płym, że wydaje mi się obcy.

– Nie jestem pewna, jak to się stało – odpo-wia-dam bez tchu – ale cie-szę się, że to zro-bi-li-śmy.

Twój chra-pliwy śmiech to naj-pięk-niej-szy dźwięk, jaki kie-dy-kol-wiek sły-sza-łam.

– Wiem, że cię miaż-dzę swoim cię-ża-rem, ale mam mięk-kie kolana, a nie chcę cię upu-ścić. Daj mi chwilę.

Obej-muję twoje ramiona i trzy-mam mocno.

– Nie ma pośpie-chu.

W końcu odzy-sku-jesz siły na tyle, by się wypro-sto-wać i odcią-gnąć mnie od lodówki. Wciąż pozo-sta-jesz twardy we mnie i wiem z doświad-cze-nia, że jesteś nie-stru-dzony. Ale napię-cie tro-chę się zmniejs-szyło, a twoje ciemne oczy ujaw-niają łamiące serce uczu-cie. Czę-sto roz-pra-sza nas iskrząca che-mia mię-dzy nami, to nie-od-parte przy-cią-ga-nie gra-wi-ta-cyjne, które każde z nas utrzy-muje na orbi-cie tego dru-giego. Tylko w tych krót-kich chwi-lach zaspo-ko-je-nia dostrze-gamy to, co rośnie mię-dzy nami, więź wyni-ka-jącą z akcep-ta-cji i sza-cunku.

Prze-cze-suję pal-cami twoje mokre od potu włosy.

– Kocham cię. Słowa się nie zmie-niają, ale moje uczu-cia tak. Z każdą minutą kocham cię bar-dziej. Kocham cię teraz bar-dziej niż dziś rano czy wczoro-raj.



Widzę, jak z tru-dem prze-ły-kasz ślinę, a twoje oczy lśnią wil-go-cią. Cisza się prze-ciąga i myślę, że się nie ode-zwiesz, co jest w porządku. Nie potrze-buję słów, tylko cie-bie. Wtedy odzy-sku-jesz mowę.

– Kochasz mnie tylko za moje ciało – dro-czysz się, a głos masz zdu-szony z emo-cji.

– Cóż... Wyda-jesz orga-zmy jak auto-mat sprze-da-jący napoje.

Uśmie-chasz się szel-mow-sko.

– Trzy-maj się mocno.

Odwra-casz się w stronę scho-dów, a potem poko-nu-jesz je, jak-bym nic nie ważyła. Skreć-camy na górę w pół-mroku, twój ener-giczny krok, spra-wia, że pod-rzu-casz mnie na sobie. Nie wiem, jak udaje ci się utrzy-mać nas w zespo-le-niu. Powinno być nie-zręcz-nie lub nie-wy-god-nie, ale jesteś tak silny, że czuję się bez-pieczna. Mimo to, kiedy docie-ramy do sypialni, śmieję się tak mocno, że led-wie mogę się utrzy-mać.

Pod-cho-dzisz do łóżka i opusz-czasz mnie na plecy. Nawet się nie zasa-pa-łeś, co mi pochle-bia, jeśli wziąć pod uwagę, jak zdy-szany byłeś po orga-zmie.

Odgar-niasz mi włosy z twa-rzy i zaska-ku-jesz mnie, mówiąc:

– Nie chcę, żebyś się mar-twiła. Jesteśmy bez-pieczni. Kamery obser-wują dom i obrzeża, moni-to-ru-jemy czuj-niki ruchu dwa-dzie-ścia cztery godziny na dobę, sie-dem dni w tygo-dniu. Ochro-nia-rze i drony prze-cze-sują gra-nicę pose-sji w regu-lar-nych odstę-pach czasu. Nikt się nie zbliży bez naszej wie-dzy.

– Och, Kane... – Wzdy-cham i przy-ci-skam dłoń do jego serca. Możemy się ukry-wać, ale igno-ro-wa-nie rze-czy-wi-sto-ści nie będzie takie łatwe. Świat nas roz-dzieli, jeśli na to pozwo-limy. Musimy wybie-rać sie-bie ponad wszystko, zawsze. – Możemy obro-nić nasz dom – przy-znaję – ale nie zawsze w nim będziesz. Musisz się prze-miesz-czać i w cza-sie pracy wiele razy będziesz nara-żony na ataki. Ukłu-cie igłą na chod-niku przed Cross-fire. Tru-ci-zna dodana do drinka pod-czas biz-ne-so-wego lun-chu. Nawet strzał z kara-binu dale-kiego zasięgu, tutaj, na plaży. Nie możesz żyć jak wię-zień.

– Mógł-bym, tak długo, jak był-bym uwię-ziony z tobą. – Twoje spoj-rze-nie jest rów-nie ponure jak twój głos. – Ale wyja-śnij, dla-czego w taki spo-sób zare-ago-wa-łaś na kwiaty, żebym miał infor-ma-cje, któ-rych potrze-buję, aby sobie z tym pora-dzić.

Leżę pod tobą, zesztyn-niała z zasko-cze-nia. Natych-miast docho-dzę do sie-bie, zmu-sza-jąc ciało do odprę-że-nia się.

– Mówisz to tak, jak-bym wie-działa.

Taka oczy-wi-sta odpo-wieź zdradza moje myśli, ale moja czuj-ność słab-nie przy tobie. Zadba-łeś o to, utrzy-mu-jąc mnie stale w naj-bar-dziej bez-bron-nym dla kobiety sta-nie. Nawet teraz twój gruby penis tkwi we mnie głę-boko wepchnięty.

Czy taki był twój zamiar przez cały czas? Jestem pod wra-że-niem, jeśli potra-fisz na zawo-ła-nie wywo-łać fizyczne pod-nie-ce-nie z takim wyra-cho-wa-niem i czę-sto-tli-wo-ścią.

Twoje ciemne oczy tward-nieją w czarne dia-menty.

– Sza-leję za tobą, ale nie jestem idiotą.

– Ni-gdy nie uwa-ża-łam, że jesteś.

– Myślisz, że zapo-mnia-łem, jak wpa-dłem na cie-bie i Ryana? Że kie-dy-kol-wiek zapo-mnę? Balaś się kogoś, jesz-cze zanim się pozna-li-śmy, i myślisz, że będąc ze mną, nara-żasz mnie na nie-bez-pie-czeń-stwo, więc sta-nę-łaś na gło-wie, żeby utrzy-my-wać nas z dala od sie-bie. – Twój uśmiech przy-biera okrutny wyraz. – Czas, żebyś mi powie-działa, dla-czego.

## LILY

– Dla-czego bałaś się o mnie – nie ustę-pu-jesz – a o Ryana nie?

Ryan. Roz-trzą-sa-nie mojej prze-szło-ści zawsze będzie nie-bez-pieczne.

– Nie kocha-łam go – mówię z tru-dem.

Uno-sisz brwi.

– Oczy-wi-ście. Póź-niej mi powiesz, dla-czego to ma zwią-zek. Teraz chcę wie-dzieć, gdzie czło-wiek, który wysłał ci kwiaty, poja-wia się na naszej osi czasu? Zanim cię pozna-łem, czy odkąd sta-łaś się Ivy?

Przy-glą-dam ci się, a moje myśli wirują. W tej chwili jesteś groźny. Nie ma w tobie nic z łagod-no-ści, odprę-że-nia ani zako-cha-nia. Nie-bez-pie-czeń-stwo per-wer-syj-nie mnie pod-nieca.

Zbie-ram się w sobie na chwilę, któ-rej się oba-wia-łam.

– Czy kie-dy-kol-wiek szu-ka-łeś swo-jego ojca?

Patrzysz na mnie gniew-nie, nie-za-do-wo-lony z tego, co postrze-gasz jako zmianę tematu.

– Twoja kolej odpo-wia-dać na pyta-nia.

– To, co się stało z twoim ojcem, ma z tym zwią-zek.

Odsu-wasz się ode mnie i obra-casz na plecy, a twoja erek-cja lśni wil-go-cią, gdy dum-nie zakrzy-wia się w kie-runku pępka. Opusz-czam rąbek sukienki i prze-wra-cam się na bok, twa-rzą do cie-bie. Nic tak nie stu-dzi miło-snego nastroju jak myśl o rodzi-cach.

– Zna-leż-li-śmy jego nazwi-sko i dane pasz-por-towe na liście pasa-że-rów lotu do Ame-ryki Połu-dnio-wej mniej wię-cej w cza-sie, gdy znik-nął – mówisz, patrząc w sufit.

Opie-ram głowę na dłoni, by na cie-bie spoj-rzeć. Słońce zacho-dzi. Szara godzina spo-wiła pokój w mie-szankę cie-płych kolo-rów i chłod-nej ciem-no-ści. Twoja piękna twarz jest na wpół oświe-tlona i na wpół tonie w cie-niu. Z rado-ścią przyj-muję zmierzch i osłonę, którą mi zapew-nia.

– Do Car-ta-geny, prawda? – pytam. – Nie wysła-łeś nikogo do Kolum-bii, żeby go odszu-kał?

Tak jak ja przed chwilą, gwał-tow-nie sztyw-nie-jesz i szybko odwra-casz do mnie głowę. Gorąco, które ja czuję, zaczyna pro-mie-nio-wać z two-jej skóry.

– Skąd wiesz, dokąd się udał?

Wstaję z łóżka i pod-cho-dzę do okna. Cie-śnina lśni ciem-nym bla-skiem jak jezioro ropy. Teraz, gdy jestem oddzie-lona od cie-pła two-jego ciała i intym-nie mokra, jest mi zimno. Moja syl-wetka rysuje się na tle ciem-nie-ją-cego nieba, dzia-ła-jąc na cie-bie, co może dać mi prze-wagę. Dosko-nale zdaję sobie sprawę, że cho-ciaż tak nie-dawno się kocha-li-śmy, nie byli-śmy tak emo-cjo-nal-nie od-da-leni od sie-bie, odkąd przy-je-cha-li-śmy do domu na plaży.

Pod-no-szę głos, żebyś mnie dobrze sły-szał, ale celowo zacho-wuję swo-bodny ton. Infor-ma-cja jest wystar-cza-jąco prze-ra-ża-jąca sama w sobie, bez jej dra-ma-ty-zo-wa-nia.

– Byłam tam, kiedy moja matka spo-tkała się z pew-nym męż-czy-zną, aby usu-nął jej nazwi-sko z listy lotów do Kolum-bii. Miała być pasa-żerką, która się nie poja-wiła, ale chciała, aby jej nazwi-sko zostało usu-nięte, a jej towa-rzysz podróży zmie-nił się z osoby, która się nie poja-wiła, w pasa-żera, który wszedł na pokład. Pamię-tam, jak myśla-łam, że Car-ta-gena to tak

cie-ka-wie brzmiące słowo, połą-cze-nie twar-do-ści i mięk-ko-ści. Wiesz, jak kocham słowa. I Paul Tier-ney, zapa-mię-ta-łam to nazwi-sko. Nie mogę sobie przy-po-mnieć, jakiego nazwi-ska uży-wała wtedy moja matka, ale nazwi-ska two-jego ojca ni-gdy zapo-mnia-łam. Do tej pory porzu-ci-łeś już nazwi-ska swo-jego ojca i ojczyma i przy-ją-łeś to, które sam wybra-łeś: Black. Potem dałeś je mnie. Two-rzysz spu-ści-znę bez skazy z prze-szło-ści, ale prze-szłość podąża za tobą. Tak naprawdę nie możemy się od niej uwol-nić.

Sły-szę za sobą sze-lest mate-raca.

– Nasi rodzice się znali?

Dom jest cichy i wycze-ku-jący, wie-czór i nasza miłość sple-cione ze sobą są jak wstrzy-many oddech.

– Zapła-ciła temu męż-czyż-nie gotówką – cią-gnę. – To był gruby stos bank-no-tów. Nie mogłam ode-rwać od nich wzroku, leżały mię-dzy nami na stole jak zie-lona cegła. Bar-dzo długo były-śmy biedne. Zaszo-ko-wało mnie, że miała tyle pie-nię-dzy, nie mówiąc o tym, że je odda-wała. Pamię-tam, jak ręka jej drżała, kiedy je kła-dła, ale tylko to ją zdra-dziło.

Prze-ry-wam, szu-ka-jąc w pamięci cze-goś wię-cej, ale to jest jak wyświe-tla-nie obrazu w kłę-bią-cej się mgłę. Widać tylko frag-menty obra-zów i wra-żeń. Nawet nie mogę być pewna, czy nie upiek-szy-łam tych wspo-mnień, żeby wypeł-nić luki. To się działo tak dawno temu, a ja byłam dziec-kiem odda-nym matce bar-dziej niż komu-kol-wiek.

Mil-czysz. Jesteś wystar-cza-jąco bystry, by wie-dzieć, że nie możesz wydo-być ze mnie prawdy o prze-szło-ści, a nie potra-fisz we mnie wąt-pić. To straszny dar być widzianą tak cał-ko-wi-cie, wie-dzieć, że jesteś świa-domy mroku, który spo-wija mnie jak kocha-nek. Być może nawet go akcep-tu-jesz. Może to jedyny spo-sób, w jaki funk-cjo-nu-jemy – jeśli jestem zma-to-wioną stroną pozła-ca-nej monety Lily. Wystar-cza-jąco podobna, by ochro-nić marze-nie, lecz na tyle odmienna, by pamięć o niej pozo-stała nie-tknięta.

Cho-ciaż wcale nie była taka krysz-ta-łowa, prawda?

Pod-no-sisz się z łóżka. Ze świe-tlika w łazience pada wystar-cza-jąco dużo świa-tła, aby zary-so-wać twoją wysoką, potężną syl-wetkę w odbi-ciu w oknie. Jeste-śmy dwoma cie-niami, spra-wia-jąc wra-że-nie, jak-by-śmy stali obok sie-bie, pod-czas gdy w rze-czy-wi-sto-ści dzieli nas cały pokój i całe życie tajem-nic.

– Tydzień wcze-śniej spa-ko-wała walizki. – Opuszką kciuka pocie-ram obrączkę pier-ścionka. – Ponie-waż nie spa-ko-wała moich rze-czy ani nie kazała mi tego zro-bić, wie-dzia-łam, że wyjeź-dza beze mnie. Nie pierw-szy raz zosta-wiała mnie samą. Gdy byłam na tyle duża, by włą-czyć tele-wi-zor i użyć mikro-fa-lówki, cza-sami nie było jej przez całą noc. Kiedy poszłam do gim-na-zjum, zaczęła zni-kać na dłu-żej. Dawała mi tro-chę pie-nię-dzy, zosta-wiała jedze-nie w lodówce i kazała codzien-nie cho-dzić do szkoły, żeby nie dzwo-niono do niej w mojej spra-wie, kiedy nie będzie mogła ode-brać. Kiedy teraz o tym myślę, nie jestem pewna, czy zamie-rzała wró-cić z Kolum-bii. Wiesz, ile twój ojciec zde-frau-do-wał. Mogła pomy-śleć, że w końcu sta-nie się bogata. Z pew-no-ścią twój tata musiał zda-wać sobie sprawę, że nie może wró-cić do domu i unik-nąć wię-zie-nia.

Ruch na plaży każe mi spoj-rzeć w dół. To mój sąsiad, wnuk Bena, Robert, patrzy na mnie z brzegu. Nie odsu-wam się, wie-dząc, że jestem tylko ciem-nym kształ-tem w cie-niu. Pamię-tam jego zapew-nie-nie, że widy-wał mnie tutaj w ciągu ostat-nich sze-ściu lat. Ogar-nia mnie przy-tła-cza-jące poczu-cie déjà vu i nagle kręci mi się w gło-wie.

Bar-dziej wyczu-wam twój ruch w moją stronę, niż go sły-szę, i wycią-gam rękę, żeby cię powstrzy-mać.

– Nie, wszystko w porządku. Pozwól mi skoń-czyć.

Nie znio-sła-bym tego, gdy-byś mnie teraz dotknął. Jestem uwię-ziona w prze-strzeni

mię-dzy dziew-czynką, którą byłam, a kobietą, którą jestem teraz, nie do końca jedną lub drugą, co spra-wia, że czuję się nie-zno-śnie i prze-ra-ża-jąco bez-bronna.

– Myślisz, że byli kochan-kami. – Pod-cho-dzisz bli-żej.

– Miłość nie miała z tym nic wspól-nego, przy-naj-mniej dla mojej matki. Nie była zdolna nikogo poko-chać. Sądzę, że widziała w twoim ojcu saldo na kon-cie, a on zoba-czył kobietę, któ-rej nie można się oprzeć. Męż-czyźni zabi-jali się dla niej, Kane. Wystar-czyło, by ski-nęła, a byli gotowi na każde sza-leń-stwo.

– Wie-rzę.

Patrzę, jak Robert się odwraca i rusza dalej plażą.

– Nie wyobra-żasz sobie, jaka ona była.

Obej-mu-jesz mnie od tyłu, ocie-ra-jąc się skro-nią o moją skroń.

– Czyżby?

– Jestem jej bladą imi-tacją.

– Pro-mie-nie-jesz, kiedy cię doty-kam. Twoje oczy świecą, kiedy na mnie patrzysz.

Powie-dzia-łeś, że jestem przy tobie bez-pieczna. Twoja cier-pli-wość w cze-ka-niu na odpo-wieź na pyta-nie jest nie-pod-wa-ża-l-nym dowo-dem. Opo-wia-da-nie o tym, jak nasze życia zaczęły się krzy-żo-wać, jest jak zdzie-ra-nie warstw mojego ciała. Czuję na skó-rze dmuch-nię-cie poca-lunku, co nie-mal wystar-cza, by dopro-wa-dzić mnie do sza-leń-stwa.

Twoje słowa są cie-płym szep-tem.

– Gdyby nie była zdolna do miło-ści, nie mogłaby być tak piękna jak ty.

Twoja akcep-ta-cja jest poczu-ciem bez-pie-czeń-stwa emo-cjo-nal-nego, w które nauczono mnie nie wie-rzyć. W odle-głym zakątku swego umy-słu sły-szę, jak matka kpi z mojego bez-na-dziej-nego sen-ty-men-ta-li-zmu, z nie-ga-sną-cej tęsk-noty za tobą. Jej melo-dyjny śmiech roz-brzmiewa we mnie echem. Oczami wyobraźni widzę ten bez-duszny błysk w tęczów-kach tak jaskra-wo-zie-lo-nych jak moje, spoj-rze-nie, które mówi, że wszystko roz-wija się tak, jak prze-wi-działa. Wszystko prze-wi-działa i we wszyst-kim maczała palce. Nikt jej nie uciekł. Nic jej nie zasko-czyło, a zwłasz-cza ja.

Pomimo jej bez-li-to-snego wycho-wa-nia, miłość dopa-dła mnie z zasko-cze-nia. Ma twoją twarz i prze-ma-wia twoim gło-sem. Czuję to, gdy twoja skóra ociera się o moją. Poko-na-łeś mnie. Kolejna nauczka. A po każ-dej lek-cji życia, którą prze-trwa-łam, coraz bar-dziej sta-wa-łam się uoso-bie-niem swo-jej matki.

– Chcę od cie-bie miliona odpo-wie-dzi. – Opie-rasz głowę o moją. – To, co spo-tkało mojego ojca, nie jest jedną z nich.

Dotyk two-jej nagiej klatki pier-sio-wej na moich odsło-nię-tych ple-cach roz-ta-pia chłód, który prze-nik-nął mnie do kości. Każde słowo pali mi gar-dło jak kwas, gdy je wypo-wia-dam.

– Twój ojciec miał sła-bość, a moja matka była praw-do-po-dob-nie jedyną kobietą zdolną ją wyko-rzy-stać. I moż-liwe, że twój ojciec zmie-nił zda-nie. Może po dro-dze na lot-ni-sko zdał sobie sprawę, że nie chce opusz-czać cie-bie ani życia, które zbu-do-wał, ale matka była zbyt bli-ska zdo-by-cia jego pie-nię-dzy, by pozwo-lić mu się wyco-fać. Coś poszło źle, Kane, i żadne z nich nie wsia-dło do tego samo-lotu. Wró-ciła do domu z pie-nię-dzmi i od tego czasu nikt już nie widział two-jego ojca.

Ramiona, któ-rymi mnie obej-mu-jesz, naprę-żają się.

– Pró-bu-jesz spra-wić, żebym poczuł się lepiej, bo być może nie mógł wró-cić? To nie zmie-nia wybo-rów, któ-rych doko-nał, opusz-cza-jąc żonę i dziecko, nisz-cząc doro-bek swego życia, ogra-bia-jąc i dopro-wa-dza-jąc do ban-kruc-twa biz-ne-so-wego part-nera i ruj-nu-jąc źró-dło utrzy-ma-nia swo-ich pra-cow-ni-ków... A wszystko dla kobiety nie-zdol-nej go

poko-chać, ale zdol-nej go zabić?

Wszystko w tobie – postawa, ton głosu i słowa – zdra-dza głę-bo-kie roz-go-ry-cze-nie i wście-kłość. Obu-rze-nie pło-nie w tobie jak ogień, jesz-cze bar-dziej roz-grze-wa-jąc twoje ciało.

Odchy-lam się ku tobie, wygi-na-jąc plecy, by złą-czyć je z twoją twardą klatką pier-siową, moje ramiona obej-mują twoje. Zbli-żam poli-czek do two-jego serca, ofe-ru-jąc tyle pocie-chy, ile tylko mogę.

– To nie zna-czy, że zasłu-żył na śmierć.

– Tego nie mówię. – Opie-rasz pod-bró-dek na czubku mojej głowy. – Wiem, jak to jest pra-gnąć kobiety bar-dziej niż powie-trza, ale on ni-gdy nie zyska mojego współ-czu-cia i ni-gdy mu nie wyba-czę. Jestem na two-jej łasce, bo mnie kochasz. Gdyby tak nie było, nie mia-łoby zna-cze-nia, jak bar-dzo cię kocham. Nie zruj-no-wał-bym dla cie-bie życia ani sobie, ani nikomu innemu.

– Prze-pra-szam, Kane.

– Nie prze-pra-szaj za niego.

– Prze-pra-szam, że nie powie-dzia-łam ci wcze-śniej. Powi-nie-neś był wie-dzieć, że uwa-żam, iż moja matka zabiła two-jego ojca. Nie mia-łam prawa ukry-wać przed tobą moich podej-rzeń, a zro-bi-łam to, bo jestem samo-lubna. Ponie-waż bałam się, że ta histo-ria może znisz-czyć naszą przy-szłość.

Twoja klatka pier-siowa unosi się, gdy głę-boko nabie-rasz powie-trza.

– To z powodu tej histo-rii odszu-ka-łaś mnie i „prze-pro-wa-dzi-łaś roz-po-zna-nie”.

– Nazy-wasz mnie twoim losem. Twoim prze-zna-cze-niem. Ale to nie zaczęło się od nas, tylko od nich.

– Czyny mojego ojca spro-wa-dziły cię do mnie, *Seta-reh*. Jak mógł-bym żało-wać, że sprawy nie poto-czyły się ina-czej, skoro rezul-ta-tem jest nasze mał-żeń-stwo?

– Byłoby w porządku, gdy-byś żało-wał.

– Ale tak nie jest. – Zmu-szasz mnie, bym spoj-rzała ci w twarz. – I nie będzie.

Odchy-lam głowę do tyłu i patrzę na twoją osza-ła-mia-jąco przy-stojną twarz. Dwie połówki mnie – kobieta, na którą wycho-wała mnie moja matka, i kobieta, która kocha cię na śmierć i życie – wal-czą ze sobą.

– Nie zamie-rzam uspra-wie-dli-wiać swo-jej matki, ale trzeba tro-chę wie-dzieć, kim była, żeby zro-zu-mieć resztę. Nie-na-wi-dziła męż-cyżn. Uwa-żała, że wszy-sczy jeste-ście z natury słabi, łatwo daje-cie sobą kie-ro-wać waszym kuta-som i nie można na was pole-gać. Mówiła to wszystko ze śmie-chem, jakby nie była przy tym śmier-tel-nie poważna, ale póź-niej zda-łam sobie sprawę, jak bar-dzo była pokan-ce-ro-wana. Nie sądzę, żeby two-jego ojca zabiła z pre-me-dy-ta-cją, ale myślę, że spodo-bało jej się to na tyle, że polu-biła mokrą robotę. Był pierw-szy, ale by-naj-mniej nie ostatni.

Moje wyzna-nie zawisa w powie-trzu mię-dzy nami, cięż-kie i mro-żące krew w żyłach. Twoje źre-nice się roz-sze-rzają, a opa-lona skóra bled-nie. Całe twoje ciało napina się jak cię-ciwa łuku. Zaci-skasz palce na moim bio-drze.

Obej-muję cię rów-nie mocno; palce opie-ram na two-ich twar-dych ple-cach, jak-bym chciała zatrzy-mać cię przy sobie, czego oczy-wi-ście nie mogę.

– Jedna z jej ofiar pro-wa-dziła inte-res, który był przy-krywką dla prze-stęp-czo-ści zor-ga-ni-zo-wanej, więc pie-nią-dze, które mu zabrała, fak-tycz-nie nale-żały do gang-sterów o nazwi-sku Val Laska. Val zapewne z łatwo-ścią namie-rzył pie-nią-dze i moją matkę. Ludzie, któ-rzy ją poznali, zwy-kle dobrze ją pamię-tali. Ale kiedy już to zro-bił, zako-chał się w niej, tak jak każdy inny męż-czy-zna, a ona zna-la-zła swo-jego króla. Dopeł-niali się wza-jem-nie, a on

uczy-nił ją jesz-cze bar-dziej nie-ludzka.

Wyobra-żam ich sobie razem. Żywili wobec sie-bie sza-cu-nek, uzna-nie dla swo-ich praw-dzi-wych oso-bo-wo-ści oraz strach. Ta kom-bi-na-cja była zabój-czym afro-dy-zja-kiem stwo-rzo-nym tylko dla nich.

A jeśli mamy być szcze-rzy, czy my jeste-śmy inni?

– Przed Valem jej ofiary zawsze były dobrymi mężami i ojcami – podej-muję. – To była część jej gry, spraw-dze-nie, czy facet, który ma wszystko, na-dal może być na tyle chciwy i samo-lubny, by chcieć wię-cej. Jeśli jej się oparli, pozwa-łała im żyć. Jeśli nie, umie-rali. Ale Val nie musiał być zwa-biony do pie-kła, on nim rzą-dził. Han-del ludźmi. Pro-sty-tu-cja nie-let-nich. Zabój-stwa na zle-ce-nie. Tor-tury sta-no-wiły roz-rywkę.

– Cał-kiem nie-zła par-tia. – Twój gniew zapra-wiony jest sar-ka-zmem. – Jak to na cie-bie wpły-nęło?

– Wła-ści-wie wcale. Matka zamiesz-kała z nim, zosta-wiła mnie tam, gdzie byłam i moje życie toczyło się dla mnie tak jak przed-tem, tyle że ona ist-niała w nim w mniej-szym stop-niu. Dawła mi pie-nią-dze, ubra-nia, jedze-nie i pła-ciła czynsz za moje miesz-ka-nie. Zaj-mo-wa-łam się sobą sama, co i tak zawsze robi-łam. Dopiero gdy doro-słam i zaczę-łam wyglą-dać jak ona, zain-te-re-so-wała się mną.

Wydaje mi się, że mówię i zacho-wuję się obo-jęt-nie, ale coś mnie zdra-dza. Twoje oczy zła-god-niały ze współ-czu-cia. Nie wiem, dla-czego nie prze-sta-wa-łam mówić. Mogłam zlek-ce-wa-żyć pyta-nie i powie-dzieć, że oczy-wi-ście wszystko skoń-czyło się dobrze. Chcia-łam tylko przed-sta-wić pełny obraz, żeby wyja-śnić sprawę dostawy kwia-tów. Ale się nie zamknę-łam i jeśli teraz się wyco-fam, zaczniesz wyobra-żać sobie rze-czy, któ-rych nie powi-nie-neś.

Może w skry-to-ści ducha chcia-łam powie-dzieć ci wię-cej.

Uno-szę głowę i koń-czę to, co zaczę-łam.

– Mniej wię-cej w cza-sie, gdy osią-gnę-łam doj-rza-łość, prze-stała postrze-gać mnie jako odrębną istotę. Tak jakby myślała o mnie jako o swoim klo-nie, nowym i ulep-szo-nym modelu, który będzie żył jej ide-al-nym życiem, ale bez błę-dów.

Oczy pieką mnie od łez.

– Kocha-łam ją, Kane. Zawsze będę ją kochać, pomimo tego, co zro-biła tobie, two-jej rodzi-nie i tylu innym ludziom. Z początku kocha-łam ją tak jak każde dziecko matkę, nawet jeśli nie potra-fiła trosz-czyć się o cokol-wiek, a co dopiero o malut-kiego czło-wieka. Póź-niej, jako doro-sła, zda-łam sobie sprawę, jak cenne były jej lek-cje, i czu-łam wdzięcz-ność, że mi ich udzie-liła. Uczy-niła mnie silną. Uczyła mnie o ludziach, o męż-czy-znach. Ni-gdy nie byłam naiwna czy łatwo-wierna. Ni-gdy nie zna-la-złam się bez-bronna w sytu-acjach z dra-pież-ni-kami.

– Nie musisz się wsty-dzić tego, co czu-jesz do matki – mówisz.

– Powie-działa mi, że mogę mieć na tym świe-cie wszystko, czego zapra-gnę, więc ni-gdy nie wyzna-cza-łam gra-nic tego, co mogę osią-gnąć. „Żyj tak, jak chcesz”, powie-działa. „Nie pozwól światu cię powstrzy-mać”. Na-dal sły-szę jej głos, gdy stoję przed jakąś decy-zją. Mówi mi, co powin-nam zro-bić, a jej wska-zówki, jakie-kol-wiek by były, zawsze dają mi siłę.

Patrzysz mi w oczy w pogłę-bia-ją-cej się ciem-no-ści.

– Nie jesteś taka jak ona, Lily.

– Naj-lep-sze czę-ści mnie są. Naj-gor-sze też.

– Kocham każdą cząstkę cie-bie. – Twoja dłoń gła-dzi mnie po ple-cach, kojąco, pod-czas gdy to cie-bie trzeba pocie-szać. – Powtó-rzę to tyle razy, ile będziesz potrze-bo-wać: nic nie może zmie-nić tego, co do cie-bie czuję. Dajesz rów-nież ludziom siłę. To jest twój dar.

Robię głę-boki wdech, a potem wypusz-czam powie-trze. Moje ciało miękko osuwa się w twoje obję-cia.

– A zatem – zaczy-nasz – nasz przy-ja-ciel Val... Duży facet, łysy i mający sła-bość do eks-tra-wa-ganc-kich samo-cho-dów?

Ogar-nia mnie lęk.

– Tak, to Val.

– Wysłał kwiaty, oso-bi-ście. – Zakła-dasz mi za ucho luźny kosmyk wło-sów. – Czy on chce cie-bie? Pie-nię-dzy? Jed-nego i dru-giego?

– Nie. Chce cie-bie... mar-twego.

Całe twoje ciało sztyw-nieje.

– Musisz zro-zu-mieć ich spo-sób myśle-nia, Kane. Z pozoru osią-gnę-łam wszystko, czego matka chciała dla mnie. Byłam nie-za-leżna, męż-czyźni sta-no-wili roz-rywkę i nie byłam za nikogo odpo-wie-dzialna. A potem zako-cha-łam się w tobie i wszystko się zmie-niło. Byłeś kata-li-za-to-rem, więc musia-łeś odejść. I cho-ciaż moja matka nie miała naj-mniej-szego poję-cia o miło-ści, wie-działa, że zabi-cie cię będzie ostat-nim eta-pem mojego roz-woju. Była-bym wtedy naprawdę bez-li-to-sna. – Zamy-kam oczy i opie-ram czoło o twoją pierś. – Gdyby coś ci się przy-da-rzyło, sta-ła-bym się tym, kim zawsze miała nadzieję, że będę: nią.

Przy-ci-skasz usta mocno do czubka mojej głowy.

– Nic mi się nie sta-nie.

– Val spełni życze-nie mojej matki. To jest prze-sła-nie tych kwia-tów: on poluje na cie-bie. Bo jeśli pozwoli mi cię mieć, zawie-dzie ją, a on nie zawo-dzi.

Prze-su-wa-jąc się tro-chę, sprawdzam, czy pozwo-lisz mi się odsu-nać. Ści-skasz mnie moc-niej, trzy-ma-jąc w miej-scu.

– Nie żałuj, że się we mnie zako-cha-łaś, *Seta-reh*. Wolę spędzić pięć minut z tobą, niż pięć-dzie-siąt lat z kimś innym.

Odpy-cham cię z gniewem.

– Niech cię szlag, Kane. Musisz posta-wić się na pierw-szym miej-scu! Przede wszystkim musisz kochać sie-bie. Nie akcep-tuj tego tak po pro-stu. Powi-nie-neś być wście-kły, że mój ego-izm nara-ził cię na śmier-telne nie-bez-pie-czeń-stwo.

Spo-glą-dasz na mnie z unie-sioną brwią.

– Prze-stań pie-przyć. Nie jestem w nastroju.

Ogar-nia mnie wście-kłość.

– Jestem tylko rucho-mym celem, czymś, na co nie-ustan-nie pró-bu-jesz zapra-co-wać, ponie-waż uwa-żasz, że nie zasłu-gu-jesz na miłość. Rodzice spra-wili, że nie bar-dzo wie-rzysz, że ktoś może cię kochać. Kim jesteś, jeśli nie jesteś męż-czy-zną, który stara się zasłu-żyć na Lily?

Pod-no-sisz rękę i odwra-casz się.

– Nie zaczy-naj tego pie-przo-nego psy-cho-beł-kotu.

Ja jed-nak nie mogę prze-stać. Nie reagu-jesz tak, jak tego oczekuję. Gdzie jest odraza? Gniew? Strach? Gdzie jest wście-kłość?

– Jeste-śmy współ-uza-leż-nieni. Wszystko w nas wzmac-nia nega-tywne zacho-wa-nia u tego dru-giego, nie widzisz?

– Czy wła-śnie przed-sta-wiasz mi stresz-cze-nie któ-re-goś z two-ich wykła-dów z psy-cho-lo-gii?

– Myślisz, że zdo-by-cie mojej miło-ści cię dopełni, ale to się stało obse-sją, która cię osła-bia.

– W porządku. Chcesz się kłó-cić? – Obra-casz się i sta-jesz przede mną. – Niech ci

będzie. Jestem wystarczająco wkurzony z powodu tych cholernych kwiatów. – Chwytasz mnie za ramiona i mocno potrząsasz. – Każdy człowiek na tym świecie jest trochę stuknięty. Ni-gdy nie czułaś się szczęśliwsza niż wtedy, kiedy byłaś ze mną. Bez ciebie ni-gdy nie stałbym się mężczyzną, którym jestem. Kogo to obchodzi, jeśli twoje zaburzenie robi coś z moim zaburzeniem i wzmocnienia cokolwiek, kurwa, chcesz? To nie jest szaleństwo, jeśli działa.

Noc zapadła jak całun. Dom jest cichy, ciemny strażnik chroniący nas przed światem zewnętrznym. Jesteś cieniem, twoje oczy błyszczą jak gwiazdy.

– Prze-stań – mówisz szorstko, puszczając moje ręce, by ująć w dłonie moją twarz.  
– Prze-stań już.

Nie zdaję sobie sprawy, że płaczę, dopóki nie otrzesz mi łez kciukami. Obsypujesz moją twarz miękkimi, delikatnymi pocałunkami, szepcząc słowa miłości i zrozumienia, na które nie zasługuję, a nawet ich nie chcę. Trzymam cię za nadgarstki, wchłaniając twoją ulewną miłość jak spieczona ziemia, bo masz rację. Udaję nam się. Uszczęśliwiamy się nawzajem. Ale nie tego dla ciebie chciałam. W tym idealnym świecie, o którym fantazjowaliśmy kilka dni temu, ni-gdy nie skrzywdzilibyśmy nikogo, a zwłaszcza siebie nawzajem.

Zwodniczym szepcącym kochanka nalegasz:

– Ile z tego, co mi powiedziałas, jest prawdą? Wystarczy przybliżony procent.

Odpycham twoją pierś, ale to jest jak odpychanie ceglanego muru.

– Jak możesz mnie o to pytać?

Gorzki uśmiech wykrzywia twoje usta.

– Kłamiesz tak, jak oddychasz, bez zastanowienia.

To nieprawda. Myślę o tym bardzo dużo. Czuję się urażona i stwierdzam drwiąco:

– Może wszystko, co ci powiedziałam, jest kłamstwem.

– Och, jestem pewien, że gdzieś tam jest prawda. – Kciukiem gładzisz moją kość policzkową. Patrzysz na moje usta, tę część mnie, która kłamie. Ale spojrzanie twoimi oczu jest pełne erotyzmu.

Chyba nie odkupiliśmy swoich grzechów w naszych poprzednich żywotach. Musi być jakiś powód, dla którego karma uznała za właściwe zamknąć nas razem w bezgranicznej miłości, za którą płaci się tak wielką cenę.

– Jak możesz mnie kochać, jeśli mi nie ufasz? – prowoкуюję.

Teraz uśmiechasz się pobłażliwie.

– Ufam ci bezgranicznie. To nie znaczy, że nie wiem, że rzadko mówiłaś mi prawdę. Jakie było ostatnie przybrane nazwisko twojej matki?

– Stephanie. Steph Laska. I zanim zapytasz – nie, nie wiem, czy Val to przyzwiśko, czy zdrobnienie.

– A twoje imię? Czy to Lily? Ivy? Violet? Rose? Żadne z wymienionych?

Mru-gam. Moja zdolność myślenia zahałowała z piskiem. Cisza staje się ogłuszającą. Czyje szkielety udało ci się odkryć?

Och, kochany, zdeprawowałam cię. Czy stałeś się moim odpowiednikiem? Mam się smucić czy cieszyć?

– To bez znaczenia – zapewniasz mnie, przez dłuższą chwilę dotykając ustami mojego czoła. Rękami rozcie-rasz moje nagie ramiona, żeby je rozgrzać.

Szaleje we mnie dzika, radośna nadzieja. Wciąż patrzysz na mnie z taką wściekłą miłością. W jakiś sposób, z jakiegoś powodu, kochasz mnie – daleką od ideału kobietę, którą naprawdę jestem.



– Jak umarła twoja matka? – Ton twego głosu jest uspo-ka-ja-jący i wyci-sza-jący. – Czy Val ją zabił?

Czy mia-łoby to zna-cze-nie, gdy-bym skła-mała? Komu by to zaszko-dziło?

– *Seta-reh* ... Powiedz mi, jak umarła twoja matka.

– To nie był Val. – Wzdy-cham. – To ja. Ja ją zabi-łam.



## AMY

Mam wra-że-nie, że zaraz się porzy-gam, wysia-da-jąc z limu-zyny i wal-cząc z obrzy-dliwą paniką, która spra-wia, że mam ochotę się napić albo wczół-gać z powro-tem do łóżka i nacią-gnąć koł-drę na głowę. Nie-na-wi-dzę tego, że sam widok budynku Cross-fire może znów wywo-łać we mnie traumę. Aliyah zabrała wszystko, co kie-dyś dawało mi radość i dumę, zmie-nia-jąc to w coś, przez co się instynk-tow-nie wzdry-gam.

Popra-wia-jąc spód-nicę, zatrzy-muję się na chod-niku i wygła-szam do sie-bie moty-wu-jącą prze-mowę. Dzi-siej-szy strój jest zde-cy-do-wa-nie bar-dziej w stylu Lily. Tovah zesta-wiła długą, powiewną czarną spód-nicę z butami typu *peep toe*, dopa-so-waną białą koszulą i małą, czarną skó-rzaną kami-zelką. Koł-nie-rzyk koszuli jest roz-pięty, two-rząc głę-boki dekolt. Tovah uznała to za sto-sowne, skoro reszta mojego ciała jest cał-ko-wi-cie zakryta i mam nie-duże piersi. Rowek mię-dzy nimi wypeł-niają war-stwy zło-tych łań-cu-chów ze zło-tym wisior-kiem zwi-sa-ją-cym nad kami-zelką. Złote kol-czyki w uszach i szminka „Krwawa Lily” dopel-niają cało-ści.

Przez cały wczó-raj-szy wie-czór i dzi-siej-szy ranek łama-łam sobie głowę nad tym, w co się ubrać. Powrót do Baha-ran po mojej ostat-niej wizy-cie jest bar-dzo trudny. Potrze-buję tro-chę pie-przo-nego współ-czu-cia po tym, przez co prze-szłam przez Aliyah, ale chcę też wygła-dać, jak-bym potra-fiła sobie pora-dzić z jej intry-gami i pro-wa-dzić swoją cho-lerną firmę. Zna-le-zie-nie cze-goś, co łączy mię-k-kość i zde-cy-do-wa-nie, wymaga wię-cej poczu-cia stylu niż ja naj-wy-raź-niej mam. O wiele łatwiej byłoby wło-żyć obci-słą sukienkę i kol-czyki. Bez względu na to, czy udało mi się uzy-skać odpo-wiedni efekt, czy nie, tym razem ścieżka dźwię-kowa w mojej gło-wie to nie Ariana Grande, ale Cre-edence Cle-ar-wa-ter Revi-val. Dzięki Lily, która ich naj-więk-sze hity prze-słała mi w pre-zen-cie, kiedy docho-dzi-łam do sie-bie po den-ty-stycz-nym kosz-ma-rze.

Ponie-waż ona też wraca do zdro-wia, a ja nie zamie-rzam być mniej tro-skliwą nie-wdzięcz-nicą, rów-nież wysła-łam jej pre-zent – pod-pi-sany egzem-plarz jed-nej ze szmir Suzanne. Chcia-łam dołą-czyć do tego butelkę wina, ale gdy zapy-ta-łam Witte’a, czy woli białe, czy czer-wone, powie-dział mi, że nie pije – ni-gdy.

– Ma jakąś aler-gię czy co? – zdzi-wi-łam się.

– Sądzę, że to od dawna ist-nie-jące pre-fe-ren-cje – odpo-wie-dział tym chłod-nym, wynio-słym tonem. Nie chciał mi nawet podać adresu, pod któ-rym Kane się z nią zaszył. Kazał kurie-rowi ode-brać książkę i dostar-czyć ją. Nie-na-wi-dzi mnie, ale to uczu-cie jest odwza-jem-nione.

Odwra-cam się, by wejść do Cross-fire, kiedy dostrze-gam, że w moją stronę zmie-rza Ryan Lan-don. Zatrzy-muję się. Szybko prze-ci-ska się przez grupę ludzi na rogu cze-ka-ją-cych na zmianę świa-teł. Ubrany w gra-na-towy gar-ni-tur w prążki, w jed-nej ręce trzyma kubek kawy na wynos, a w dru-giej czarną skó-rzaną teczkę. Na czole ma nie-ty-pową dla niego zmarszczkę. Ponie-waż jest naj-ła-god-niej-szym męż-czy-zną, jakiego kie-dy-kol-wiek spo-tka-łam, ta bruzda mię-dzy jego ciem-nymi brwiami jest oso-bliwa.

Cze-kam na niego. Zerka w moją stronę, myślami jest gdzie indziej, ale potem jego wzrok zatrzy-muje się na mnie z zaska-ku-ją-cym sku-pie-niem. Po dłuż-szej chwili jego przy-stojna twarz wygła-dza się i roz-ja-śnia w uśmie-chu. Spo-ty-kamy się pośrodku drogi i teraz ja

przyglądam mu się z uwagą. Tak, brakuje mu spek-ta-ku-lar-nego kolo-rytu Dariusa i dzi-kiej siły, którą emajuje Kane, mimo to jest bar-dzo atrak-cyjny. Wysoki i wyspor-to-wany, z sek-sow-nym uśmie-chem i pew-no-ścią sie-bie.

– Amy. – Zatrzy-muje się przede mną. – Przez chwilę przy-po-mi-na-łaś mi osobę, którą kie-dys zna-łem. Wspa-niale wyglą-dasz. Jak się mie-wasz?

– Fan-ta-stycz-nie, dzięki. – Teraz lepiej, bo wiem, że przez moment widział we mnie Lily, co wpra-wia mnie w eufo-rię. Kolor wło-sów, ubra-nie, szminka... To wszystko składa się w całość. Pod-eks-cy-to-wana tą myślą, pró-buję osią-gnąć ten sam pewny sie-bie ero-tyzm, któ-rym Lily tak umie-jęt-nie włada. – Ty też wyglą-dasz bar-dzo dobrze. Wpad-niesz na chwilę do biura?

Kiwa głową.

– Aliyah chce coś przeze mnie zała-twić.

– Dobrze, że przez cie-bie, a nie przeze mnie. Czy mógł-byś zająć ją na cały dzień? Może na tydzień? Resztę mojego życia?

Ryan się śmieje, a ten dźwięk jest cie-pły i głę-boki. Tak, on zde-cy-do-wa-nie jest sek-sowny.

– Być może uda mi się urwać jej tro-chę poranka, ale spo-ty-kam się z Angelą na lun-chu. Wej-dziemy na górę? – Idzie obok mnie i dzie-ku-jemy panu, który przy-trzy-muje dla nas drzwi.

– Co masz dzi-siaj w pla-nie?

– Prze-glą-dam kre-ację rekla-mową ECRA+, by się upew-nić, że są kom-plek-sowe. Potem spraw-dzę, czy uda nam się odświe-żyć media spo-łecz-no-ściowe Baha-ran. Od lat uży-wamy tych samych obra-zów, czcio-nek i kolo-rów. Czas coś zmie-nić, zwłasz-cza przed wielką pre-mierą.

Dobrze jest roz-ma-wiać o pracy, nawet jeśli w tej chwili nie mam o niczym zie-lo-nego poję-cia. Wycie-ram wil-gotne dło-nie o spód-nicę. Nie wydaje się, aby suple-ment, który rze-komo pomaga w detok-sy-ka-cji wątroby, w ogóle dzia-łał. Przy-naj-mniej zostało mi kilka środ-ków prze-ciw-bó-lo-wych.

– Cross zle-cił Baha-ran naj-bar-dziej uciąż-liwe zada-nia – stwier-dza, zatrzy-mu-jąc się przy sta-no-wi-sku ochrony.

Spo-glą-dam na straż-nika z unie-sioną brwią, pro-wo-ku-jąc go, by popro-sił mnie o wpi-sa-nie się. Odwza-jem-nia spoj-rze-nie, ale roz-sąd-nie trzyma język za zębami. Ma w rękach jakies urzą-dze-nie, szybko robi zdję-cie Ryanowi, dru-kuje iden-ty-fi-ka-tor dla gości i wsuwa go do okładki z klip-sem do przy-pi-na-nia.

– Pro-szę to zоста-wić, kiedy pan będzie wycho-dził.

Prze-wra-cam oczami.

– Ten pan nie jest idiotą. Bywał tu już wcze-śniej, ina-czej jego nazwi-ska nie byłoby na liście.

– W porządku, Amy. – Ryan uśmie-cha się do ochro-nia-rza. – Dzięki.

Prze-cho-dzimy przez koło-wro-tek i cze-kamy na windę.

– Wiesz, że współ-praca z Cros-sem – zaczy-nam, wie-dząc, że mówię za szybko, ale nie potra-fię zwol-nić – to sprawa Aliyah, prawda? Ona musi mieć kon-trolę.

– Może i tak, ale Cross nie zre-zy-gnuje z kon-troli nad niczym, chyba że będzie mu to paso-wało. Aliyah nie jest w sta-nie z nim rywa-li-zo-wać. Nie-wielu może.

– A ty?

– Pró-buję. Cza-sami wygry-wam. – Bły-ska zim-nym uśmie-chem, a ja czuję lekki dreszcz pożą-da-nia. Wiem, że Lan-Corp nie odnio-słaby suk-cesu, gdyby zawsze był nie-fra-so-bliwy i uprzejmy, ale chyba ni-gdy wcze-śniej nie zda-wa-łam sobie sprawy, że ma

w sobie coś naprawdę nie-bez-piecz-nego.

Ruszamy, by zache-kać przed windą, która przy-je-chała naj-wcze-śniej. Gdy kabina się opróż-nia, wcho-dzimy razem z innymi i sta-jemy z tyłu w rogu. Uświa-da-miam sobie, jak bar-dzo jest wyspor-to-wany. Jego ramię przy moim jest twarde, a mię-śnie rysują się nawet przez rękaw mary-narki.

– Teraz wysia-damy – mówi, gdy docie-ramy na dzie-wiąte pię-tro, i ludzie odsu-wają się, robiąc nam przej-ście.

Roz-sta-jemy się, gdy mijamy biuro Aliyah. Nie mogę się powstrzy-mać, żeby nie spoj-rzeć na boks Kane'a. Puste miej-sce przy jego biurku wydaje się czarną dziurą. Bra-kuje ener-gii, która zwy-kle wibruje w powie-trzu. Wszy-scy Arman-do-wie razem wzięci nie mogą zasta-pić Kane'a. Jest ser-cem tej firmy, jej siłą napę-dową. Entu-zjzm Kane'a roz-pala pra-cow-ni-ków i nikt inny nie budzi tego samego zapału, kiedy go tu nie ma.

Roz-wa-żam, czy nie przy-wi-tać się z Dariu-sem, ale posta-na-wiam tego nie robić. Nawet mu nie powie-dzia-łam, że idę dzi-siaj do pracy. Poca-ło-wa-łem go tylko na poże-gna-nie i patrzy-łam, jak wycho-dzi, zanim pobie-głam, żeby się przy-go-to-wać. Nie wiem, dla-czego nic mu nie powie-dzia-łam. Chyba nie chcia-łam, żeby mi to wyper-swa-do-wał albo zaczął dys-ku-sję o tym, jak postę-po-wać z matką, by unik-nać tarć.

Tak wła-śnie jest z Dariu-sem, chce, żebym radziła sobie z tar-ciem tylko wtedy, gdy jego kutas jest we mnie. Myślę, że powin-nam czuć się roz-piesz-czana, ale jestem pozba-wiona dzia-ła-nia. Bez-u-ży-teczna Amy. Par-skam smut-nym śmie-chem, gdy otwie-ram drzwi do swo-jego biura i zatrzy-muję się na progu.

Prawda, z którą zaczy-nam się mie-rzyć, jest taka, że zosta-łam zre-du-ko-wana do świad-cze-nia usług dmu-cha-nej lalki ero-tycz-nej. Przez połowę czasu, kiedy Darius się ze mną kocha, nawet nie zdaję sobie sprawy, że jestem pie-przona, dopóki orgazm nie przy-wraca mi świa-do-mo-ści. Od lat powta-rzam sobie, że mam cho-lerne szczę-ście, bo wyszłam za gorą-cego faceta z sil-nym popę-dem sek-su-al-nym, ale ostat-nio... sama nie wiem. Coś się zmie-niło. Jestem nie-spo-kojna. Zła. Czuję się, jak-bym miała na sobie skórę, która stała się za cia-sna, i chcę ją zerwać. Muszę, bo się duszę.

Górne świa-tła zapa-liły się, kiedy otwo-rzy-łam drzwi i roz-glą-dam się teraz po miej-scu, w któ-rym mam pra-co-wać. Gabi-net jest jesz-cze mniej-szy od tego, który mia-łam wcze-śniej. W naroż-nych mógłby sta-nąć kom-pak-towy samo-chód; w moim cudem zmie-ściłby się rower. Trzeba jed-nak przy-znać, że widok jest roz-le-glej-szy niż w tym, który ukradł mi Horn-sworth. Darius optycz-nie powięk-szył prze-strzeń, insta-lu-jąc otwarte szklane półki zamiast pó-łek na książki, które mia-łam wcze-śniej, zosta-wia-jąc miej-sce na małą sofę i sto-lik w rogu. Moje biurko zostało zre-du-ko-wane do małego, lustrza-nego mebelka z poje-dyn-czą szu-fladą i smu-kłymi nogami. Naprze-ciwko niego stoją dwa szare skó-rzane krze-sła dla gości. Jest też malutki srebrny barek z krysz-ta-ło-wymi karaf-kami i szklan-kami z rżnię-tego krysz-tału. Ślinka mi ciek-nie.

Półki zdo-bią zdję-cia Dariusa ze mną opra-wione w srebrne ramki, a nad bar-kiem wisi mój dyplom. Ściany są blado-błę-kitne, jak aksa-mitny fotel przy biurku i sofa. Wzdy-cham. Całość wygłąda ład-nie i kobieco, a kolory są bar-dziej w guście Dariusa niż w moim. Notuję, by kupić kilka natu-ral-nych krysz-ta-łów na półki. Usu-nię-cie barku i dyplomu, na któ-rym tylko mnie zależy, pozwoli stwo-rzyć prze-strzeń dla wyso-kiego, wąskiego dzieła sztuki.

Utkwi-łam wzrok w karaf-kach wypeł-nio-nych dro-go-cen-nym płyn-nym zapo-mnie-niem.

– Hej, jak się czu-jesz?

Odwra-cam się, sły-sząc zna-jomy głos i czuję przy-pływ ulgi.

– Och, dzięki Bogu wciąż tu jesteś, Cla-ricie.

Drobna blon-dynka się uśmie-cha.

– Wyglą-dasz rewe-la-cyj-nie. Świetny strój! Żałuję, że nie mogę nosić dłu-gich spód-nic.

Przy wzro-ście metr pięć-dzie-siąt Cla-ricie jest postury dziecka, ale ma ener-gię trzech męż-czyn. Była pierw-szą osobą, jaką zatrud-ni-łam w Social Cre-amery, i czuję się jak dupek, że o niej nie pomy-śla-łam.

– Tęsk-ni-li-śmy za tobą – mówi.

Ja też za sobą tęsk-ni-łam...

Pod-cho-dzę do niej i ją przy-tu-łam. Doty-ka-nie ludzi to nie moja bajka, ale potem przy-po-mi-nam sobie, jak Lily objęła mnie i trzy-mała z zaska-ku-jącą siłą w tych deli-kat-nie wyglą-da-ją-cych ramio-nach. Jej per-fumy, któ-rych teraz uży-wam, na jej skó-rze pachną wyraż-nie ina-czej. W każ-dym razie, kiedy Cla-ricie mnie ści-ska, myślę, że może powin-nam czę-ściej sto-so-wać przy-tu-la-nie jako tak-tykę. Jest intymne, ale i agre-sywne.

– No cóż, wró-ci-łam – mówię tak szybko, jak tylko można, czu-jąc ucisk w gar-dle. Kładę torebkę na biurku, bo nie ma tu odpo-wied-nio dużej szu-flady. Dariusz tro-skli-wie urzą-dzał dla mnie gabi-net, ale nie ma poję-cia, jakie potrzeby ma kobieta. – Po pierw-sze: muszę mieć loginy do udo-stęp-nia-nia pli-ków. Pró-bo-wa-łam swo-ich sta-rych haseł, ale nic nie dzia-łało.

Dziew-czyna kiwa głową.

– Zała-twię je.

Sia-dam na sofie i gestem zapra-szam ją, by do mnie dołą-czyła.

– Kto zarzą-dza dzia-łem kre-atyw-nym?

Cla-ricie zamyka drzwi. Ma na sobie obci-słe szare spodnie, gra-na-tową bluzkę w groszki i bale-riny. Jej kol-czyki to coś, z czym lubi się tro-chę bawić. Dziś to jaskra-wo-czer-wone akry-łowe kółka.

– Aliyah. Jeśli utrzy-my-wa-nie wszyst-kiego dokład-nie tak, jak to zosta-wi-łaś, nazwać kre-atyw-no-ścią.

– Zauwa-ży-łam. A co z pre-mierą kosme-ty-ków?

– Do przy-ję-cia. Bez-pieczna. – Cla-ricie siada. – Mamy Evę Cross i Rosanę Armand, więc nie potrzeba wiele, żeby-śmy zostali dostrze-żeni.

– W tym samym duchu, jak to, co pisa-łaś na eta-pie przy-go-to-waw-czym?

– Tak.

– Nie chcę kry-ty-ko-wać, ale to tro-chę... medyczne. – Znow wycie-ram dło-nie o spód-nicę i zauwa-żam, że zaczy-nają lekko drżeć.

Cla-ricie prze-wraca oczami.

– To dla-tego, że Aliyah chce pod-kre-ślić udział Baha-ran w opra-co-wa-niu for-muły. Marka Cross to luk-sus, doga-dza-nie sobie i hedo-nizm, więc opa-ko-wa-nie jest eks-klu-zywne i piękne. Aliyah oba-wia się, że kosme-tyki będą ucho-dzić za pro-dukt Cross Indu-stries, a Baha-ran, która wyko-nała więk-szość pracy nad ich stwo-rze-niem, sta-nie się czymś w rodzaju cichego part-nera.

– Rozu-miem. Pozwól, że zoba-czę co mamy do tej pory. – Obser-wuję, jak wstaje, zmu-sza-jąc się, by nie patrzeć na alko-hol.

Nie potrze-buję pier-do-lo-nego drinka, bo nie mam pro-blemu z piciem. Mam pro-blem z pamię-cią, a to dla-tego, że źle się odży-wiam, nie piję wystar-cza-ją-cej ilo-ści wody i nie ćwi-czę regu-lar-nie. Potrze-buję tylko przejść przez to oczysz-cza-nie i będę gotowa sta-wić czoło światu – i Arman-dom.

Tydzień lub dwa na zre-se-to-wa-nie się i głowa mi się oczy-ści. Powrót Lily był

stre-su-jący.

– Ilu z nas zostało? – pytam Cla-rice.

Przy-staje w drzwiach, z ręką na klamce.

– Troje. Z tobą czworo.

– Troje?! – Cho-lera. Gdy Baha-ran nas wchło-nęła, mie-li-śmy dwa-na-ścioro pra-cow-ni-ków na peł-nych eta-tach. – Co się stało?

Cla-rice wzru-sza ramio-nami.

– Aliyah dość szybko podzie-liła nas na dwie czę-ści i robiąc to, nie popeł-niła błędu. Pra-cu-jemy teraz tylko nad Baha-ran, więc...

– Cze-kaj. Co takiego?

– Tak, Amy. – Wzdy-cha ciężko i odgar-nia grzywkę z czoła. Nosi włosy krót-sze niż wcze-śniej, dłu-go-ści do pod-bródka z pod-wi-nię-tymi koń-cami. Pasują jej. – To dla-tego stra-ci-li-śmy połowę ludzi, któ-rych zatrud-niała Aliyah; nie spro-stali wyzwa-niu, jakim było przyj-mo-wa-nie nowych klien-tów. Teraz nie mamy nawet oddziel-nej strony inter-ne-to-wej.

Mam wra-że-nie, że gabi-net prze-chyla się na swo-jej osi. Na chwilę wszystko ciem-nieje. Krew szumi mi w uszach. Mój Boże. Dla-czego Dariusz nic nie powie-dział? Po co było mówić, że odzy-ska moją firmę, kiedy ta już nawet nie ist-nieje? Social Cre-amery zarzą-dzała kon-tami gwiazd muzyki pop i spor-tow-ców, cele-bry-tów i kor-po-ra-cji. Naszą spe-cjal-no-ścią był roz-wój i mogli-śmy za każ-dym razem powie-lać praw-dziwe wyniki z każ-dym klien-tem.

Jak można było pozwo-lić, by obró-ciła się w nicość?

– Hej. – Cla-rice robi kilka kro-ków w moją stronę. – Myśla-łam, że tego chcesz. Że sku-piasz się na rodzin-nym biz-ne-sie.

– Oni nie są moją rodziną! To prze-klęte pijawki, wysy-sające życie ze wszyst-kiego. – Przy-ci-skam zeszyt-w-niałe palce do czoła, gdzie od rana nara-stała migrena. – Cho-lera! Pozwo-li-łam Aliyah popy-chać mnie i wypchnąć. Tej głu-piej suce. Nie mogła znieść, że zbu-do-wa-łam coś wła-snymi siłami. Jedyne, co potra-fiła robić w swoim żało-snym, pie-przo-nym życiu, to wozić się na ple-cach męż-cyżn.

Cla-rice szybko zamyka drzwi.

Wstaję.

– Nie obcho-dzi mnie, czy sły-szy. Nie obcho-dzi mnie, kto słu-cha. Taka jest, kurwa, prawda.

– Nie powin-naś robić kolej-nej sceny.

– Czyżby? Roz-pi-rzę to miej-sce w drobny mak. – Wbi-jam paznok-cie we wną-trza dłoni. – Ja... Daj mi chwilę, dobrze?

– Tak. Dobra. Jasne. Ja... hm, zdo-będę dla cie-bie te loginy i resztę.

– Dzięki. – Obcho-dzę biurko, zer-ka-jąc na barek. Dla-czego to, do cho-lery, stoi w moim gabi-ne-cie, skoro nie zabie-gam o klien-tów? Nie wolno mi trzy-mać w domu alko-holu, ale mogę pić w pracy...?

– Hej... Amy?

Spo-glą-dam na nią.

Jej brą-zowe oczy są mięk-kie jak aksa-mit, ale szczęka twardo zary-so-wana.

– Zro-bi-łaś to raz. Możesz zro-bić znowu.

– Jasne – pry-cham, krę-cąc głową i odwra-ca-jąc się. Sły-szę zamy-ka-jące się drzwi. Sia-dam na fotelu przy biurku i odkry-wam, że poduszka jest twarda. Naj-wy-raź-niej korzy-sta-nie z niego nie było ocze-ki-wane.

Prze-no-szę wzrok na ścianę oddzie-la-jącą gabi-net Dariusa od mojego. Wście-kłość

bul-go-cze jak lawa w moich jeli-tach. Wpro-wa-dził mnie w błąd, zanie-dbał dzieło mojego życia i nie prze-ciw-sta-wił się matce. Jestem tak znie-sma-czona, że na wspo-mnie-nie tego, jak doty-kał mnie zale-d-wie kilka godzin temu, cierp-nie mi skóra. Co za żało-sny gno-jek.

Jak, do cho-lery, mam to napra-wić? Będę musiała zacząć od nowa. Czy chcę zacząć od nowa w Baha-ran? Z jed-nej strony zasłu-ży-łam na prawo do korzy-sta-nia z zaso-bów, które mam do dys-po-zy-cji. Z dru-giej powta-rza-nie błędu i ocze-ki-wa-nie innego wyniku to szczyt głu-poty. Naj-więk-szy pro-blem polega na tym, że Baha-ran, mój ostatni „klient”, jest mar-nym przy-kła-dem tego, jak mój zespół może zarzą-dzać komu-ni-ka-cją w mediach spo-łecz-no-ścio-wymi firmy. Sys-tem jest w zastoju, prze-sta-rzały i – co gor-sza – nudny.

Ale... mogę spr-a-wić, żeby zadzia-łał, cał-ko-wi-cie go prze-bu-do-wu-jąc. Wtedy mia-ła-bym naj-now-sze stu-dium przy-padku ogrom-nej poprawy. Dzięki pre-mie-rze nowej linii kosme-ty-ków zdo-będę mocne przy-kłady w dwóch zupeł-nie róż-nych bran-żach. Przy oka-zji pomogę Baha-ran, czego skąd-inąd nie chcę robić. Czy nie dałam im już wystar-cza-jąco dużo? Nie-mniej udo-wod-ni-ła-bym osta-tecz-nie, że Aliyah się myliła.

Druga moż-li-wość to po pro-stu wypier-da-łać stąd. Mogła-bym mówić, że Social Cre-amery odnio-sła tak duży suk-ces, że sprze-da-łam ją fir-mie Baha-ran i teraz buduję coś nowego. Mogę wyko-rzy-stać kilka nowych funk-cji i apli-ka-cji. Same plat-formy są tylko ele-men-tem skła-do-wym. Naj-waż-niej-szym czyn-nikiem jest zro-zu-mie-nie i dostar-cze-nie pożą-da-nego komu-ni-katu. Na-dal wiem, jak to zro-bić. Cla-ricie może pomóc mi z resztą.

Torebka zaczyna brzę-czeć na rogu biurka, więc się-gam po nią, szu-ka-jąc tele-fonu. Twarz kon-taktu na ekra-nie jest nie-za-po-mniana, mimo że minęły lata, odkąd widzia-łem go ostatni raz. Kie-dys mógł być przy-stojny, ale wydaje się znisz-czony. Nos ma krzywy po zła-ma-niu – lub kilku – które nie zostało pra-wi-dłowo nastawione. Brwi grube i nisko umiesz-czone, co jest zauwa-żalne z powodu łysiny czo-ło-wej. Usta są pełne i jędrne, ale ciemne oczy bez-na-miętne i lodo-wate. Ciało, do któ-rego należy ta twarz, jest cięż-kie i umię-śnione w spo-sób, który budzi strach.

- Amy Armand – mówię, odbie-ra-jąc połą-cze-nie.
- Ach... – nastę-puje chwila waha-nia. – Pró-buję się skon-tak-to-wać z Amy Searle.
- W głę-bo-kim gło-sie sły-chać wschod-nio-eu-ro-pej-ski akcent.
- To było moje panień-skie nazwi-sko. Od tam-tego czasu wyszłam za mąż. Miło znów pana sły-szeć, panie Laska.

## AMY

– Jak idą inte-resy w siłowni? – pytam mojego byłego klienta, sta-ra-jąc się nie zdra-dzać zbyt wiel-kiego entu-zja-zmu.

– Pamię-tasz mnie. – Valon Laska wygląda na zado-wo-lo-nego.

Opie-ra-jąc się na krze-śle, roz-wa-żam moż-li-wo-ści. To pod-czas lun-chu z Laską po raz pierw-szy spo-tka-łam Kane’a. Laska i ja zaj-mo-wa-li-śmy miej-sce z wido-kiem na drzwi i zasko-czył mnie nie-zwy-kły wzrost Kane’a, który wszedł z dwoma innymi džen-tel-me-nami w gar-ni-tu-rach i usiadł przy pobli-skim sto-liku. Był tak przy-stojny, że moje serce zamarło na chwilę, po czym zaczęło sza-leń-czo bić. Jego wzrok spo-tkał się z moim w chwili, gdy wszedł do środka, i czu-łam go na sobie przez cały posi-łek. Led-wie mogłam się skon-cen-tro-wać na pre-zen-ta-cji dla pana Laski.

Tego popo-łu-dnia poszłam z Kane’em do pen-tho-use’u i spędzone z nim godziny skoń-czyły się gabi-ne-tem w Baha-ran Phar-ma-ceu-ti-cals i odkry-ciem, że moja firma upa-dła, kiedy byłam w domu, sta-ra-jąc się być ide-alną żoną.

– Inte-resy są sta-bilne, odkąd nam pomo-głaś – odpo-wiada. – Moim pro-ble-mem jest teraz restau-ra-cja. Mogłoby być lepiej. Mia-łem nadzieję, że mnie wes-przesz, tak jak wcze-śniej.

Nie mam złu-dzeń co do Valona Laski. Nawet gdyby nosił znak mówiący, że jego inte-resy są podej-rzane jak cho-lera, nie byłoby to bar-dziej oczy-wi-ste. Cho-ciaż był wobec mnie uprzejmy, a nawet cza-ru-jący, brak życia w jego oczach uru-cho-mił dzwonki alar-mowe. Kane też mógł patrzeć na cie-bie w prze-ra-ża-jąco nie-obecny spo-sób, ale zawsze wie-dzia-łam, że jest w nim ogień. Laska ema-no-wał lodo-wa-tym chło-dem Sybe-rii.

Mimo to upo-rząd-ko-wa-nie kont spo-łecz-no-ścio-wych siłowni było łatwym zada-niem. Wystar-czyło kilka dni zdjęć i nowe logo. Potem kilka innych firm się-gnęło po podobne liftingi. Cla-ricie sko-men-to-wała, że sta-li-śmy się spraw-dzo-nym eks-per-tem od legal-nych inte-re-sów prze-stęp-czego pół-światka. Byłam tro-chę nie-ufna i poczu-łam ulgę, gdy sprawa z Dariu-sem szybko stała się poważna i pozwo-liła mi się wyco-fać. A teraz... Cóż, teraz sytu-acja wyglą-dała kom-plet-nie ina-czej. Przy-dałby mi się stały stru-mień nowych klien-tów, bez względu na to, co wła-ści-ciele ukry-wają za oknem wysta-wo-wym.

Valon Laska skie-ro-wał mnie na drogę do Arman-dów; mógłby mnie rów-nież usta-wić na dro-dze do wyj-ścia.

– Bar-dzo bym chciała znów dla pana pra-co-wać, panie Laska.

Szu-ka-jąc notat-nika, otwie-ram poje-dyn-czą szu-fladę biurka i mię-śnie sztyw-nieją mi tak, że prze-staję oddy-chać. Pomiesz-cze-nie ponow-nie kur-czy się do punk-ciku świa-tła. Czuję, jak krew ude-rza mi do głowy. Mój oddech staje się szybki i płytki.

Sze-roką szu-fladę wypeł-niają pre-zer-wa-tywy.

Ten dupek, któ-rego poślu-bi-łam, pie-przył się ze swoją asy-stentką w moim gabi-ne-cie! Jak wygod-nie. Zrób-cie sobie dobrego drinka, roz-luź-nij-cie się, a potem pie-prz-cie się jak kró-liki. Wbi-jam wzrok w kanapę, czu-jąc obrzy-dze-nie, że na niej sie-dzia-łam i posta-no-wi-łam się jej pozbyć.

– Amy? – pyta pan Laska. – Prze-pra-szam, nie pamię-tam two-jego nowego nazwi-ska.

– Wystar-czy Amy. I to ja prze-pra-szam. Szu-ka-łam dłu-go-pisu. Mam nowy gabi-net



i rze-czy nie leżą tam, gdzie je poło-ży-łam. Czy mógłby pan wysłać mi ese-me-sem adres strony restau-ra-cji? Przej-rzę pań-skie media spo-łecz-no-ściowe, a potem wpadnę i obej-rzę samo miej-sce.

– Zabierz ze sobą męża i zjedz-cie coś. Zosta-wię twoje nazwi-sko przy sta-no-wi-sku hostessy. Na koszt firmy. Powin-naś wie-dzieć, co masz pomóc sprze-dać.

– To bar-dzo miłe z pań-skiej strony. Dzię-kuję. – Mimo to prę-dzej pie-kło zamar-z-nie, niż zabiorę tam Dariusa. Cla-ricie zasłu-żyła na posi-łek za to, że została w fir-mie i zno-siła Aliyah. – Nie mogę się docze-kać naszej ponow-nej współ-pracy, panie Laska. Przy-go-tuję pro-po-zy-cję i przed-sta-wię ją do końca przy-szłego tygo-dnia.

– Będę jej wypa-try-wał. Do widze-nia.

Odkła-da-jąc tele-fon na pod-stawkę, patrzę na stos pre-zer-wa-tyw i zasta-na-wiam się, czy nabrać garść i rzu-cić je na biurko Alice, zanim ją walnę. Albo, jesz-cze lepiej, wtar-gnę do gabi-netu Dariusa i rzucę mu je pro-sto w twarz. Dawno nie mia-łam oka-zji sta-wić mu czoła.

Po pro-stu tego nie rozu-miem. Roz-kła-dam przed nim nogi, kiedy tylko tego chce. Dla-czego mu nie wystar-czam?

Roz-lega się sta-now-cze puka-nie do drzwi, które się otwie-rają i wcho-dzi Cla-ricie.

– Nie uwie-rzysz w zbieg oko-licz-no-ści – mówię – ale Valon Laska, facet od siłowni w Bronk-sie, wła-śnie dzwo-nił z nową pracą.

Dziew-czyna unosi brwi.

– Ten gang-ster?

Zamy-kam szu-fladę i na razie powstrzy-muję rosnącą wście-kłość. Czuję, jakby coś się we mnie oblu-zo-wało i grze-cho-tało tak gwał-tow-nie, że całe moje ciało się trzę-sie. Wstaję na drzą-cych nogach i ostroż-nie pod-cho-dzę do barku.

– Tego nie wiemy.

Cla-ricie opiera się o fra-mugę drzwi i rzuca mi spoj-rze-nie.

– Racja. Co mu powie-dzia-łaś?

– Że to zro-bimy. Masz ochotę na drinka?

– Hm, pew-nie. Tylko kapkę.

Jakim cudem Lily prze-cho-dzi przez życie z roz-my-słem trzeźwa? Mowy, kurwa, nie ma. Może jest uza-leż-niona. Oczy-wi-ście, pew-nie kiedy Kane pom-puje w nią orga-zmy swoim pysz-nym kuta-sem, dostaje dzięki temu cały rausz, któ-rego potrze-buje.

Drżącą ręką nale-wam dla sie-bie alko-holu na jeden palec, w myślach bijąc sobie brawo za powścią-gli-wość, a potem napeł-niam szklanekę Cla-ricie. Korek stuka o otwór karafki, kiedy ją zaty-kam.

Odkry-cie pre-zer-wa-tyw wytrą-ciło mnie z rów-no-wagi i muszę się uspo-koić. Mała kro-pelka nie naru-sza zasady zaka-zu-ją-cej picia przed piątą. Poza tym mam co świę-to-wać. Po szo-cie zażyję ten bez-u-ży-teczny pro-szek odtru-wa-jący.

– Będziemy potrze-bo-wać strony inter-ne-to-wej – myślę na głos – i nowej nazwy. Zamie-rzam osobno pra-co-wać dla Baha-ran i nad powtór-nym wpro-wa-dze-niem firmy na rynek. Potrze-buję two-jej pomocy. Czy jesteś gotowa łączyć dwie prace? Wystar-tu-jemy z Social Cre-amery 2.0, a potem obie będziemy mogły opu-ścić to pie-kło.

Bie-rze jedno z krze-seł dla gości i trzy-ma-ną w dłoni teczkę kła-dzie na brzegu biurka.

– Zawsze jestem otwarta na nowe wyzwa-nia, wiesz o tym. Ale potrze-buję pod-wyżki. Czy możesz mi zapła-cić za dodat-kową pracę?

– Tak, zadbam o to. – Sta-wiam przed nią szklanekę i wra-cam na swoje miej-sce za biur-kiem. Jako dyrek-tor finan-sowy Darius zaj-muje się pie-niędzmi i dostanę od niego to, czego zechcę. Jest mi coś winien. – Będą nam potrzebni pra-cow-nicy z zewnątrz. Ludzie,

któ-rzy na razie mogą pra-co-wać z domu.

– Jeśli będą pra-co-wać z domu, możesz sze-roko zakroić poszu-ki-wa-nia.

– Tak. Dzi-siaj dam ogło-sze-nia o pracę. – Zmu-szam się, by sączyć drinka zamiast łykać i wzdy-cham z ulgą, gdy zna-jome uczu-cie pie-cze-nia roz-grzewa zimne miej-sce we mnie, które tak mocno drży. To jest tak dobre, że mam ochotę wypić pełną szklankę. Ale nie zro-bię tego. – Mamy już pierw-szego klienta, więc musimy szybko stwo-rzyć zespół.

## ALIYAH

– Ryan. – Wstaję, gdy przy-stojny młody męż-czy-zna wcho-dzi do mojego gabi-netu, a mój uśmiech jest szczery. Cie-szy mnie nie tylko jego przy-by-cie. Ochrona ostrze-gła mnie rów-nież, że Amy znów przy-wlo-kła się do biura. Muszę pochwa-lić dziew-czynę za odwagę. Teraz zobaczmy, czy pokaże swoje praw-dziwe obli-cze po tym, jak wypije kilka drin-ków i zada sobie trud, aby otwo-rzyć szu-fladę biurka. – Bar-dzo ci dzie-kuję, że do mnie wpa-dłeś.

– Żaden pro-blem. – Ryan Lan-don bły-ska cza-ru-ją-cym uśmie-chem i ostroż-nie kła-dzie torbę na mojej kon-soli przy drzwiach. Wspa-niała skóra konia-ko-wej barwy zmię-kła i uela-stycz-niła się w uży-ciu. Kane nosi taką samą, tylko czarną. Swoją Ryan dostał od niego w pre-zen-cie po tym, jak zachwy-cił się jego torbą. – I tak chcia-łem poroz-ma-wiać z Kane'em. Czy jest na spo-tka-niu?

To pyta-nie pło-szy mnie na chwilę.

– Nie... Nie roz-ma-wia-łeś z nim ostat-nio?

– Gada-li-śmy ze sobą przed-wczo-raj. – Popra-wia dla wygody spodnie i mary-narkę, po czym siada na jed-nym z dwóch foteli dla gości sto-ją-cych przed moim biur-kiem. Zre-lak-so-wany i nie-świa-domy żad-nych pro-blem-ów, popija kawę na wynos.

Ryan jest typem męż-czy-zny, któ-remu kobiety lubią się przy-glą-dać. Wysoki i ciem-no-włosy, przy-jemny dla oka, solid-nie zbu-do-wany. Podob-nie jak w przy-padku Kane'a, jego ojciec nie dbał o bez-pie-czeń-stwo finan-sowe rodziny. Star-szy Lan-don zain-we-sto-wał i stra-cił wszystko w pira-mi-dzie finan-sowej Geof-freya Crossa. Posia-da-nie nie-so-lid-nych, samo-lub-nych i lek-ko-myśl-nych ojców to doświad-cze-nie, które nie-za-chwia-nie połą-czyło Kane'a i Ryana. Wydają się ufać sobie do pew-nego stop-nia, choć nie do końca, czemu trudno się dzi-wić, skoro obaj dora-stali z kata-stro-fal-nymi kon-se-kwen-cjami czy-jejś tak gigan-tycz-nej porażki, prze-zwy-cię-za-jąc je.

Pora-dzili sobie dobrze, choć na różne spo-soby. Ryan jest teraz żonaty, a Kane był wdow-cem, co ogra-ni-cza ich moż-li-wo-ści wspól-nego spę-dza-nia czasu, ale zawsze będą dbać o sie-bie nawza-jem. Nie-które przy-jaź-nie ze stu-denc-kich cza-sów trwają przez całe życie i wie-rzę, że tak będzie z nimi.

– Powie-dział ci, że jest w biu-rze?

– A kiedy go nie ma? Prak-tycz-nie mieszka tutaj. – Ryan jest wyraź-nie zdez-o-rien-to-wany moimi pyta-niami. Ja zaś jestem zain-try-go-wana, dla-czego w trud-nym momen-cie Kane nie oparł się bar-dziej na swoim naj-bliż-szym przy-ja-cielu. – Co się dzieje?

Sku-piam się na swo-ich kre-mo-wych spodniach typu palazzo i popra-wiam je, by ukryć, że myśli kłę-bią mi się w gło-wie. Przy-go-to-wy-wa-łam się do tego spo-tka-nia od kilku dni, dokład-nie pla-nu-jąc, jak przed-sta-wię sprawę prze-szło-ści Lily i uzy-skam pomoc Ryana, żeby pora-dzić sobie z ryzy-kiem. Teraz boję się powie-dzieć za dużo. Nie rozu-miem, dla-czego Kane nie wspo-mniał o swo-jej nie-obec-no-ści w biu-rze. Być może odda-lili się od sie-bie. Jeśli tak, ile chcę mu wyja-wić?

– Aliyah?

Pro-stuję się i posta-na-wiam zająć drugi fotel dla gości obok Ryana. Pozy-cja jest wszyst-kim i dla-tego chcę, żeby czuł się jak powier-nik.

– Znasz Kane'a od dawna – zaczy-nam.

– Można tak powie-dzieć. Mam wra-że-nie, że uni-wer-sy-tet Colum-bia był wieki temu.

– Zna-łeś Lily?

– Lily... – Ryan odwraca wzrok. – Tak, zna-łem ją.

– Dobrze zna-łeś?

Wygła-dza wyima-gi-no-waną zmarszczkę na spodniach, po czym spo-gląda na mnie.

– Była moją dziew-czyną, kiedy ich sobie przed-sta-wi-łem.

– Och. – A jed-nak stwier-dzam, że nie jestem bar-dzo zasko-czona. – Czy mógł-byś mi powie-dzieć, dla-czego zerwa-li-ście?

Patrzy na mnie zmru-żo-nymi oczami w spo-sób dla niego nie-ty-powy – przy-naj-mniej na tyle, na ile go znam.

– Dla-czego pytasz?

Zasta-na-wiam się, jak mówić prawdę, nie odkry-wa-jąc kart. W końcu Ryan i Kane są przy-ja-ciółmi, któ-rzy się sobie zwie-rzają – a przy-naj-mniej tak mi się wyda-wało – i żaden z nich nie czuje się zob-o-wią-zany do lojal-no-ści wobec mnie. Jeśli nie będę postę-po-wać ostroż-nie, zrażę do sie-bie ich obu.

– Ona ma nad nim potężną wła-dzę. Myślę, że gdy-bym ją lepiej rozu-miała, pozwo-li-łoby mi to lepiej zro-zu-mieć mojego syna.

Ryan wzdy-cha.

– Nie rozu-miem, jak to może pomóc, ale... To ona ze mną zerwała.

– Żeby być z Kane'em?

– Nie. Nie sądzę. – Na chwilę zaci-ska szczęki. – Szcze-rze mówiąc, nie wiem. Wiem, że nie byli ze sobą od razu po naszym roz-sta-niu, bo cały swój wolny czas spędzał ze mną. Prak-tycz-nie wpro-wa-dził się wtedy na kilka mie-sięcy. Nie znio-słem dobrze jej utraty. Topi-łem smutki w alko-holu i pro-wa-dzi-łem roz-wią-złe życie. Cią-gną-łem Kane'a ze sobą, żeby mieć wspar-cie moralne.

Upija kolejny łyk kawy i zauwa-żam, jak prze-kręca kciu-kiem obrączkę. Marsz-cząc brwi, patrzy pro-sto przed sie-bie, myślami będąc gdzie indziej.

– Wie-dzia-łem, że jej pra-gnął – mówi cicho. – Kilka razy przy-ła-pa-łem go na tym, jak na nią patrzył i było oczy-wi-ste, co czuł. Potem zaczął odrzu-cać zapro-sze-nia, żeby zro-bić coś wspól-nie. Ale każdy facet, któ-rego zna-łem, tro-chę się w niej pod-ko-chi-wał. On nie był jedyny.

– Nie prze-szka-dzało ci to?

– Co mia-łem zro-bić? Mając przy sobie cudowną, sek-sowną kobietę, trzeba się spo-dzie-wać, że inni męż-czyźni będą jej pra-gnąć w jakimś stop-niu. Kane zacho-wy-wał się z sza-cun-kiem. Wła-ści-wie było mi go żal.

– Czy mu współ-czu-łeś, kiedy się z nią oże-nił? – pytam bez ogró-dek. Może jest tam jakiś roz-dź-więk. Dobrze byłoby wie-dzieć, tak czy ina-czej.

– Nie wie-dzia-łem o tym aż do jej śmierci. O tym, że byli razem i się pobrali, dowie-dzia-łem się dopiero wtedy, gdy powie-dział mi, że nie żyje. – Prze-suwa dło-nią po fału-ją-cych cze-ko-la-do-wych wło-sach. – Ni-gdy nie widzia-łem ich razem, ani nawet sobie tego nie wyobra-ża-łem, więc raczej nie zapa-mię-ta-łem, co wtedy czu-łem. W tym cza-sie sprawy z Angelą wygła-dały już poważ-nie, więc...

Przy-glą-dam mu się i zauwa-żam jego nie-po-kój i wyćwi-czone zda-nia, jakby myślał o śmierci Lily wystar-cza-jąco czę-sto, by mieć gotową odpo-wieź. Nie wiem, co o tym sądzić i jak tego użyć. Baha-ran z pew-no-ścią nie odnio-słaby korzy-ści z napię-cia mię-dzy Kane'em a Ryanem. Lily spra-wia wystar-cza-jąco dużo kło-po-tów.

– Chcesz powie-dzieć, że to cię nie poru-szyło, kiedy się dowie-dzia-łeś? – pro-wo-kuję.

– Jasne. Oczywiście, że tak. Lily była kiedyś dla mnie ważna. Co mi przypomina, że po drodze spotkałem Amy – szepczę – i przez moment myślałem, że to Lily. Byłem kompletnie zaskoczony. – Upija kolejny łyk kawy. – Od dawna nie myślałem o Lily, a teraz dwa razy tego samego ranka... W każdym razie nie widzę w tym nic interesującego.

– To fascynujące.

Nie wiele lat temu, tuż przed tym, gdy miała poślubić Ryana, bogatego i odnośnie sukcesy dyrektora generalnego, Lily zdecydowała się wyjść za Kane'a, kiedy miał przed sobą niewielkie perspektywy i ogromny kredyt studencki do spłacenia. Sugerowałoby to, że naprawdę go kochała i prawdopodobnie nadal kocha. Można nazwać mnie cyniczną, ale po prostu nie mogę w to uwierzyć. Kobieta opisana w raporcie z dochodzenia Rampart nie działa bez ukrytego motywu. Nie mogę jednak ryzykować insynuacji ani bezpośrednich oskarżeń, które mogłyby trafić do niewłaściwej osoby. Lepiej sprawić, by Ryan wysnuł własne wnioski i pozwolić mu odejść.

– Kane pracował zdalnie przez ostatnie dwa miesiące – mówię.

– Naprawdę? – Jest wyraźnie zbity z tropu. – Cóż, z pewnością zasłużył na tyle urlopu, chociaż nie powiedziałbym, że praca zdalna to dni wolne. Jeśli o to się martwisz, mogę ci powiedzieć, że przez telefon brzmiał naprawdę dobrze, tak jak kiedyś. Nawet się śmiał i trochę mi podołczał. Powiedział, że wkrótce powinniśmy się napić. Nie robiliśmy tego od wieków.

Szczęka mi się zaciska. Mężczyźni to tacy głupcy. Ładna twarz i smukłe ciało tak łatwo potrafią wyłączyć ich zdrowy rozsądek i instynkt samoobrony. Słowa, że mój syn wydaje się teraz szczęśliwszy, niż był od lat, wywołują ból w mojej piersi. Do Lily nie czuję niczego poza odrazą.

– Stała partnerka seksualna zwykle poprawia nastrój – mówię złośliwie, nie mogąc się powstrzymać.

Ryan unosi brwi.

– Czyżby w końcu zaczął się z kimś spotykać? Brawo. Już zacząłem się o niego martwić. Przyznam, że miałem nadzieję, iż dzięki temu artykule z numeru o najseksowniejszych mężczyznach znajdzie się na celowniku kobiety, której nie będzie mógł się oprzeć.

Z każdym jego słowem czuję, jak temperatura spada, aż trzęsę się z zimna. Mój top jest krótki, z małymi bufiastymi rękawami zaprojektowanymi tak, że jedno ramię mam odsłonięte. Zaczęłam do góry włożyć włosy nie ogrzewają szyi. Uświadamiłam sobie, że mam gęsią skórę. Nie mał spojdziwiam się zobaczyć w powietrzu swój marzący oddech.

– Myśląc o tym – kontynuuje Ryan, opierając kostkę nogi na kolanie drugiej – nie mógłbym być na niego zły za Lily, nawet gdybym chciał. Miał ją krócej niż ja, a opłakuje o wiele dłużej.

Moim zdaniem jest zbyt wyrozumiałą. Nie ma mowy, żeby mój syn po prostu zapomniał powiedzieć o ponownym pojawieniu się żony, zwłaszcza swojemu najbliższemu przyjacielowi.

Czy Lily jest aż tak przebiegła? Czy celowo odizolowała Kane'a od wszystkich, którym na nim zależy, zaciągając uścisk, aż użyła pełną kontrolę? Mając władzę nad Kane'em, kontroluje pieniądze i Baharan. Już zdążyła odciągnąć go od domu i Witte'a. I zapewne było to aż nadto łatwe. Lata spania pod jej zdjęciem i otaczania się wspomnieniami o niej stworzyły grunt dla jeszcze głębszej obsesji. Tak jak jego ojciec i ja, Kane jest istotą seksualną i zbyt długo był sam, zbyt rzadko rozładowywał emocje z kobietami na jedną noc.

Czy go błagała? „Zostań ze mną w domu. Potrzebuję cię”. Zasu-ge-ro-wała, żeby wyjechali? „Jedźmy gdzieś, kochanie. Bądźmy sami, żeby się znów połączyć”.

Jak Kane mógł odmówić, skoro tak długo był zwa-rio-wany na jej punkcie?

Już teraz ma prawo do przy-naj-mniej połowy jego majątku. Jeśli zajdzie w ciążę, będzie w sta-nie wyszar-pać jesz-cze wię-cej.

Dziecko. Czy może być coś gor-szego?

Wiem, że nie będzie się zabez-pie-czał; ona jest jego żoną. Uży-cie pre-zer-wa-tyw, kiedy ją pie-przy, nawet nie przy-dzie mu do głowy, a za każ-dym razem, gdy widzia-łam ich oboje, było oczy-wi-ste, że myśli tylko o tym, by ją pie-przyć. Być może sam zas-ge-ro-wał wyjazd i pozo-sta-wie-nie Witte’a, żeby mniej spraw roz-pra-szało go w cza-sie sza-leń-czej rui. Jeśli cho-dzi o anty-kon-cep-cję, będzie pole-gał na niej, a dla-czego ona mia-łaby o to dbać?

– Czy cho-dziło o coś jesz-cze? – pyta Ryan.

Dobrze zna-jąc zarówno Kane’a, jak i Lily, Ryan może być jedyną osobą, która może dotrzeć do mojego syna. A może Kane z zazdro-ści wcale nie zechce słu-chać Ryana? Nie wiem co robić, jaki ruch wyko-nać.

– Aliyah?

– On jest z nią – wypa-łam. – To zna-czy z Lily. I choć mar-twię się o nią, bar-dziej nie-po-koi mnie fakt, że Kane ją przed tobą ukrywa.

– O czym ty mówisz? – Ryan pro-stuje się, jego orze-chowe oczy przy-bie-rają odcień głę-bo-kiej zie-leni.

– Kane nie poja-wił się w biu-rze, odkąd wró-ciła. Był z nią stale...

– Z kim?

– Z Lily!

– To nie-moż-liwe – oświad-cza, sztywno wypro-sto-wany. – Nie wiem, co chcesz...

– Wiem – mówię w pośpie-chu, pochy-la-jąc się ku niemu. – Ja też nie mogłam w to uwie-rzyć. To taka dzi-waczna sytu-acja, a Kane jest...

– Aliyah. – Jego głos brzmi jak trza-śnie-cie biczem. – Lily nie żyje.

– Nie-prawda, żyje. Nie wiemy, co się wyda-rzyło. Ma jakiś rodzaj amne-zji i...

Ryan nagle wstaje.

– Kto ci to powie-dział? Kane?

– Tak, oczy-wi-ście. Wyja-śnił to nam wszyst-kim.

Potrząsa szybko głową, gwał-tow-nie zaprze-cza-jąc.

– Zadzwo-nię do niego. Okła-muje cię. Nie wiem, dla-czego, ale kła-mie.

Widzę, że wyj-muje tele-fon i pod-ry-wam się na nogi.

– Ryan, pocze-kaj! Powi-nie-neś wie-dzieć wię-cej, zanim z nim poroz-ma-wiasz. Jest jakiś powód, dla któ-rego ją przed tobą ukry-wał. Musimy się zasta-no-wić...

– Aliyah, ja wiem, że on kła-mie! – Twarz mu zbła-dła. – Tu się dzieje coś bar-dzo złego. Coraz bar-dziej się o niego mar-twi-łam. Nie powi-nien wciąż być w tak głę-bo-kiej żało-bie. To trwa za długo. A te lilie, które ma na wszyst-kim...? To chore. On jest chory. Nie było go w biu-rze od dwóch mie-sięcy? Widzia-łaś się z nim? Roz-ma-wia-łaś?

Serce bije mi zbyt szybko, chwieję się i kręci mi się w gło-wie.

– Byłam w pen-tho-usie, oczy-wi-ście, żeby się z nią spo-tkać. A oni byli tutaj, żeby...

Powstrzy-muje mnie wycią-gniętą dło-nią.

– Pozna-łaś tę nową dziew-czynę?

– Lily! Ryan, nie słu-chasz mnie. Lily wró-ciła. Jest z Kane’em.

– To, kurwa, nie-moż-liwe! – krzy-czy, blada twarz oblewa mu się rumień-cem. – Lily nie żyje. Byłam z Kane’em, kiedy ziden-ty-fi-ko-wał ciało. Ziden-ty-fi-ko-wa-łam je razem z nim.

Była rów-nież moją dziew-czyną. Roz-po-znał-bym ją wszę-dzie.

– Co? Nie. To nie może... Rosana pytała Kane'a o ciało. Powie-dział, że go nie było. Że straż przy-brzeżna prze-stała szu-kać i uznała ją za zagi-nioną na morzu.

Ryan sta-wia kubek na kra-wę-dzi swojego biurka i chwytą je obiema rękami, ze spuszc-zoną głową.

– Tak, począt-kowo uznali ją za zagi-nioną. Ale potem jej ciało zostało zna-le-zione w sieci rybac-kiej. To było... – Jego musku-larne ramiona drżą. – Minęło kilka tygo-dni. Daw-niej piękna twarz była nie do pozna-nia i bra-ko-wało jed-nej ręki. Miała jed-nak odpo-wiedni wzrost. I była szczu-pła, nawet po tak dłu-gim prze-by-waniu w wodzie.

– Błęd-nie ziden-ty-fi-ko-wa-li-ście... kim-kol-wiek była. W tych oko-licz-no-ściach...

– Nie! Miała tatu-aże. Ogrom-nego feniksa na ple-cach. I nie był to popu-larny wzór – obra-zek, który wybie-rasz na ścia-nie w zakła-dzie. Przy-ja-ciel nary-so-wał go spe-cjal-nie dla niej. Jego czę-ści wciąż dawały się ziden-ty-fi-ko-wać na ciele. Nie spo-sób było pomy-lić ją z kimś innym.

Oddy-cham ostroż-nie przez usta, czu-jąc, że zaraz zwy-mio-tuję. Pamię-tam Lily w biblio-tece, ubraną w czarne spodnie i gor-set. Jej krót-kie, gład-kie włosy pozwa-lały poka-zać dużo skóry. Pamię-tam tatuaż. Nie można zapo-mnieć dzieła body art w takim roz-mia-rze. Pamię-tam, jak spoj-rza-łam na zdję-cie nad komin-kiem i zda-łam sobie sprawę, że są iden-tyczne – plecy Lily na zdję-ciu i plecy kobiety, która weszła do biblio-teki.

– Ma ten tatuaż – mówię ochry-płym gło-sem. – Kobieta, która jest z Kane'em.

Ryan pod-rywa i odwraca głowę, by spoj-rzeć na mnie przez ramię.

– Muszę się z nią zoba-czyć twa-rzą w twarz. Nie ma nikogo takiego jak Lily. Naj-lep-szy na świe-cie chi-rurg pla-styczny nie potra-fiłby jej odtwo-rzyć. Od razu się zorien-tuję. – Sły-chać, jak zgrzyta zębami. – Kim-kol-wiek jest ta kobieta, żeruje na smutku zde-spe-ro-wa-nego męż-czy-zny.

Szybko kiwam głową.

– Tak. Jest nie-bez-pieczna. Wie-dzia-łam to od chwili, w któ-rej ją zoba-czy-łam.

– Jest jakiś powód, Aliyah, dla któ-rego ukry-wał ją przede mną. Wie, że Lily nie żyje. Wie, że ja wiem. Jeśli opo-wie mi o tej kobie-cie, jego fan-ta-zja się nie utrzyma i roz-pad-nie. To etap żałoby: zaprze-cze-nie. Pierw-szy etap. Fakt, że Kane nie prze-szedł do następ-nego po tak dłu-gim cza-sie, jest poważ-nym sygna-łem ostrze-gaw-czym. On potrze-buje pomocy.

Prze-ły-kam żółć, która napły-neła mi do ust i usi-luję to wszystko zro-zu-mieć. Patrzy-łam na zdję-cie Lily setki razy. Kobieta, którą spo-tka-łam w biblio-tece Kane'a, ma jej twarz. Ryan nie będzie w sta-nie tego pojąć, dopóki sam jej nie zoba-czy. Podo-bień-stwo jest nie-by-wałe, cho-ciaż widać upływ czasu.

Kto był obiek-tem śledz-twa Gilesa Ram-parta – kobieta wydo-byta z Atlan-tyku czy ta, która obec-nie sypia z moim synem?

„Pukamy do drzwi, zada-jemy pyta-nia i szu-kamy”. Poka-zy-wali jej foto-gra-fię, pole-ga-jąc na pamięci ludzi, któ-rzy widzieli tę nie-moż-liwą do zapo-mnie-nia twarz. Aż nadto łatwo byłoby połą-czyć histo-rie tych dwóch rów-nie osza-ła-mia-ją-cych kobiet.

Moż-liwe, że kobieta, którą poślu-bił sześć lat temu, była osobą, za którą się poda-wała. Być może kobieta, którą nie-dawno odna-laźł, jest tą, którą Ram-part fak-tycz-nie badał.

„Za każ-dym razem, gdy badana jest jej prze-szłość, ktoś dowia-duje się, że jest poszu-ki-wana. Zada-jesz dużo pytań – wiele osób zaczyna o tym wie-dzieć”.

A co, jeśli ta kobieta dowie-działa się, że Kane jej szuka, myśląc, że jest jego żoną, i dostrze-gła oka-zję? Czy to moż-liwe, że losy dwóch róż-nych kobiet splo-tły się ze sobą? Sie-roty i oszustki?

Odwróciwszy się, Ryan wraca na swoje miejsce i pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Twarz ma napiętą i poważną.

– Zaczynaj od początku i opowiedz mi wszystko.





## WITTE

Idąc kory-ta-rzem za panem Blac-kiem, jestem zdu-miony doko-naną w nim zmianą. Ma na sobie ten sam gar-ni-tur, w któ-rzym wyje-chał z mia-sta, ale nie jest już tym samym czło-wie-kiem. Džen-tel-men, który wró-cił z Gre-en-wich ze swoją żoną, jest... odmło-dzony. Krok ma lekki i szybki, a ruchy zyskały nową płyn-ność. Jego włosy są nieco za dłu-gie, ale jest tak gładko ogo-lony, jak-bym oso-bi-ście dopil-no-wał tego zada-nia.

Zanim skręci do swo-jego gabi-netu, zerka w głąb kory-ta-rza w kie-runku salonu. Wiem, że szuka Lily. Nie ma jej w zasięgu wzroku, ale nie może się powstrzy-mać przed spraw-dze-niem. Z tru-dem prze-by-wał z nią w tym samym pokoju, zanim wyru-szyli do domu na plaży. Teraz trudno mu być bez niej.

Kiedy wró-ci-łem do pen-tho-use'u w ocze-ki-wa-niu na ich powrót, por-tier-nia przyj-mu-jąca pocztę prze-cho-wy-wała dla niej kil-ka-na-ście paczek – pudełka z salo-nów Tif-fany & Co., Hermès, Berg-dorf's i innych. Teraz je prze-gląda.

Sia-da-jąc przy biurku, pan Black gestem wska-zuje mi, żebym zajął jedno z krze-seł dla gości. Jego wzrok prze-biega po bla-cie: moni-tor uspio-nego kom-pu-tera, nagro-madzona poczta, którą otwo-rzy-łem i upo-rząd-ko-wa-łem na pod-kładce, opra-wione zdję-cie Lily leży odwró-cone spodem na wierzch. Zatrzy-muje na nim wzrok, ale, co cie-kawe, nie usta-wia go pra-wi-dłowo.

– Czy będzie pan regu-lar-nie odwie-dzać dom na plaży w nad-cho-dzą-cym sezo-nie? – pytam. – Powi-nie-nem zosta-wić go otwar-tym?

Przez moment wydaje się pogrą-żony w myślach, zdez-o-rien-to-wany. Potem jego spoj-rze-nie przy-tom-nieje. Patrzy na mnie i kiwa głową.

– Tak, niech będzie przy-go-to-wany.

Cze-kam, aż przej-dzie do bar-dziej pałą-cych spraw, które poru-szy-li-smy pod-czas naszych roz-mów tele-fo-nicz-nych zeszłej nocy i dziś rano, cho-ciaż mia-łem mniej niż dzień, aby roz-sze-rzyć nasze poszu-ki-wa-nia.

– A Val Laska? – pyta. – Wiem, że jest wcze-śnie, ale czy coś już mamy?

– Jego pełne imię i nazwi-sko to Valon Laska i potwier-dzi-łem jego toż-sa-mość jako czło-wieka, który wysłał kwiaty. Pani Black traf-nie opi-sała go jako gang-ster, cho-ciaż zakres i nik-czem-ność jego zbrodni pro-si-łyby o moc-niej-sze okre-śle-nie. Od dekad był objęty śledz-twem biura do walki z prze-stęp-czo-ścią zor-ga-ni-zo-waną i sprawa pozo-staje otwarta. Od czasu do czasu aresz-to-wano go, odsia-dy-wał krót-kie wyroki, ale wydaje się, że ma podej-rza-nie dużo szczę-ścia w uni-ka-niu surow-szej kary.

Pan Black koły-sze się w fotelu z łok-ciami opar-tymi na pod-łó-kiet-ni-kach i złą-czo-nymi czub-kami pal-ców. Jest w tym cień uśmie-chu.

– A więc była do pew-nego stop-nia szczerą.

– To rodzinna orga-ni-za-cja – kon-ty-nu-uję – z kil-koma kuzy-nami, sio-strzeń-cami, braćmi i tym podob-nymi. Nie ma żad-nych doku-men-tów poświad-cza-ją-cych, że Laska kie-dy-kol-wiek był żonaty, ani nie wia-domo, czy ma dzieci. Krążą jed-nak pogło-ski o żonie, która podobno jest bar-dziej prze-ra-ża-jąca od niego.

Wyj-muję komórkę, odblo-ko-wuję ją i kładę na pod-kładce na biurku ekra-nem do góry i z włą-czo-nym wyświe-tla-czem.

Pro-stuje się szybko i obraca fotel w stronę biurka. Zmru-żo-nymi oczami przy-gląda się wyświe-tla-nemu obra-zowi.

Zdję-cie zostało zro-bione przez śled-czych z biura do walki z prze-stęp-czo-ścią zor-ga-ni-zo-waną pod-czas inwi-gi-la-cji. Valon Laska jest nie do pomy-le-nia ze względu na swoją ogromną posturę. To typ mię-śniaka.

Sfo-to-gra-fo-wali go w zimowy dzień. Pługi śnieżne służb oczysz-cza-nia mia-sta zepchnęły brudny lód na skraj chod-ni-ków. Niebo było ciem-no-szare, zimne i mar-twe jak trup.

Laska wycho-dził na ulicę za kobietą na wpół ukrytą za cze-ka-ją-cym przy kra-węż-niku samo-cho-dem. Jest wysoka i ma kaskadę gład-kich czar-nych wło-sów się-ga-ją-cych poni-żej pasa. Grube futro zasła-nia jej figurę, a na gło-wie ma futrzaną papa-chę. Duże oku-lary prze-ciw-sło-neczne czę-ściowo skry-wają przy-ku-wa-jącą uwagę twarz, która jest tajem-ni-czo zna-joma. Jej skóra jest kre-mo-wo-blada, a usta to zmy-słowe krą-gło-ści pod-kre-ślone zabój-czo czer-woną szminką.

Mój pra-co-dawca nic nie mówi, wpa-tru-jąc się w zdję-cie sze-roko otwar-tymi, ciem-nymi oczami, w któ-rych nie widać nic oprócz szoku i prze-ra-że-nia.

– Z cza-sem dosta-niemy wię-ciej – mówię mu. – Biuro zostało roz-wią-zane kilka mie-sięcy temu, więc nie spo-dzie-wa-łem się, że będę miał coś dla pana tak szybko, ale mój kon-takt był w sta-nie dostar-czyć to zdję-cie. Zostało zro-bione kilka lat temu, zale-d-wie prze-cznicę od Cross-fire.

Odkłada mój tele-fon ostroż-nie, jakby ten mógł pęk-nąć, a potem ciężko opiera się w fotelu. Zamyka oczy.

– Od lat nikt nie widział Laski w Nowym Jorku – cią-gnę. – Uwa-żano, że mógł go zamor-do-wać rywal lub nawet ktoś z jego orga-ni-za-cji, kto chciał awan-so-wać. Jego ponowne poja-wie-nie się sześć mie-sięcy temu było nie-mi-łym zasko-cze-niem dla nowo-jor-skiej poli-cji. Jak dotąd w mie-ście nie widziano kobiety, ale moje kon-takty mówią, że musi być w pobliżu, ponie-waż są nie-roz-łączni. Nawet nie podej-rze-wają, że nie żyje. Czy pani Black mar-twi się odwe-tem lub że zosta-nie oskar-żona za zabój-stwo matki?

– Nie. Jak rozu-miem dyna-mikę ich rodziny, Steph Laska spo-dzie-wała się, że córka pój-dzie w jej ślady i w końcu ją zabije. Laska naj-wy-raż-niej to rozu-miał i akcep-to-wał. – Pan Black nie-spo-koj-nie bębni pal-cami w pod-łó-kiet-niki fotela. – Powie-dzia-łeś, że jakiś trop pro-wa-dzi do sklepu z uży-wa-nymi rze-czami?

– Prze-py-ta-li-śmy per-so-nel. Lily bywała tam regu-lar-nie przez krótki czas, zawsze pła-cąc gotówką, bank-no-tami o niskim nomi-nale. Naby-wała całe zestawy. Jeśli kupiła dzinsy, to do nich rów-nież buty, bluzkę i dodatki, co zga-dza się z tym, jak tutaj kom-ple-tuje swoją gar-de-robę. Żaden z pra-cow-ni-ków nie przy-po-mina sobie, żeby widział ją wcze-śniej niż pół roku temu. Była czę-stą klientką przez parę mie-sięcy, ale ostat-nio tam nie zaglą-dała – oczy-wi-ście dla-tego, że spę-dzała czas z panem.

Przy-glą-dam się mojemu pra-co-dawcy, mar-twiąc się. Czuję się bez-radny. Zły. Ener-gia, z którą wró-cił, opu-ściła go. Jest blady, usta ma zaci-śnięte i oto-czone zmarszcz-kami napię-cia. Ramiona obron-nie zgar-bione.

– Wspom-niał pan o roz-mo-wie z panią Black o swoim bez-pie-czeń-stwie – mówię łagod-nie. – Czy przy-kłady, które mi pan podał, to były jej wła-sne słowa?

– Tak.

– Dokładne?

– Tak, słowo w słowo. – Jego ton jest szorstki i twardy, wyraża nie-bez-pieczną mie-szanę fru-stra-cji i iry-ta-cji, znie-cier-pli-wie-nia i urazy.

Moje myśli krążą wokół tego, co mi powie-dział. Pod-skórna mikro-iniek-cja, otru-cie

w miej-scu publicz-nym, strze-lec wybo-rowy – pota-jemne metody zabój-stwa wyma-ga-jące środ-ków i facho-wego przy-go-to-wa-nia – oraz praw-do-po-dobne zagro-że-nia ze strony ulicz-nych prze-stęp-ców.

– Cie-kawe, że suge-ruje takie sce-na-riu-sze – zauwa-żam szcze-rze, ponie-waż musi być czujny, a to jest dość trudne, gdy miłość wymaga zre-zy-gno-wa-nia z wszel-kiej obrony. – Spo-dzie-wał-bym się przy-kła-dów mniej koja-rzo-nych ze szpie-go-stwem, a bar-dziej z natych-mia-sto-wym dzia-ła-niem, na przy-kład noży lub pisto-le-tów.

– Lubi filmy szpie-gow-skie – mówi z pod-szy-tym czu-ło-ścią roz-draż-nie-niem. Otwiera oczy i spo-głąda na mnie, a jego rysy znów łagod-nieją. – Bourne, Bond, Jack Ryan... tego rodzaju rze-czy.

Może to prawda, ale kobieta, którą znamy jako Lily, nie jest skłonna do prze-sady ani teatral-no-ści. Sta-ran-nie dobiera słowa, aby wyrzec naj-więk-sze wra-że-nie. Żałuję, że nie byłem przy tym, kiedy mówiła, co zro-biła, żebym mógł sły-szeć jej głos i czy-tać w jej oczach. Pod-stęp, któ-rego użyła dla zatar-cia śla-dów, jest prze-bie-gły i sto-so-wała go przez całe doro-słe życie, jeśli nie dłu-żej. Prze-wi-dy-wa-nie jej zamia-rów jest nie-moż-liwe, a to czyni ją szcze-gól-nie nie-bez-pieczną.

Lekki uśmiech pana Blacka znika.

– Dla-czego nie usta-li-li-śmy, gdzie się ukry-wała? Nie zna-leż-li-śmy jej z walizką, więc te wszyst-kie ubra-nia, które kupiła, muszą gdzieś być.

– Możliwe, że wyrzu-cała je po wło-że-niu. – Wiem, że nie odpo-wie-dzia-łem na jego pyta-nie.

Patrzy na mnie.

– Być może ktoś usu-nął jej rze-czy z miej-sca, w któ-rym prze-by-wała i miesz-ka-nie jest już puste – suge-ruję.

– Wła-ści-ciel lub zarządca – pod-po-wiada, ale z naci-skiem.

– Nie-wy-klu-czone. – Albo przy-ja-ciel, współ-nik, part-ner lub kocha-nek. On to wie; jest bystrym czło-wie-kiem. Ale opa-no-wała go obse-sja. Zbyt długo odci-nał się od miło-ści i rado-ści, koń-cząc każdy dzień i roz-po-czy-na-jąc następny, mając obraz bólu i smutku wiszący naprze-ciw łóżka. Głę-bia jego samot-no-ści i żalu spra-wiły, że był wyjąt-kowo otwarty na poja-wie-nie się wła-ści-wej kobiety.

Taka che-mia mię-dzy ludźmi zda-rza się nie-zwy-kle rzadko. Nie-które pary wymie-niają wiele mówiące spoj-rze-nia. Inne czują się swo-bod-nie z publicz-nym oka-zy-wa-niem uczuć. Ale te, które pro-mie-niują ero-tyczną che-mią, po pro-stu będąc bli-sko sie-bie, są nie-liczne. Gideon Cross i jego żona Eva są taką parą, podob-nie jak pan Black i Lily. Nie da się nie zauwa-żyć żądry, którą mój pra-co-dawca pło-nie w obec-no-ści żony. Lily ma co naj-mniej trzy tajne bro-nie: spra-wia, że mąż się śmieje, że czuje się kochany i szcze-śliwy. Jest cał-ko-wi-cie oca-ro-wany – można nawet powie-dzieć, że rzu-ciła na niego urok.

Wię-cej ukrywa, niż ujaw-nia, a pan Black na to pozwala, by zdo-być to, czego pra-gnie naj-bar-dziej: ją. Lily ma wszyst-kie odpo-wie-dzi, któ-rych on szuka, ale czeka, by ujaw-niła je w wybra-nym przez sie-bie cza-sie. To nie-mal gra mię-dzy nimi, kotem i myszą. W jakim celu?

– Otrzy-mała kilka paczek, kiedy pań-stwa nie było. Jedną z nich kurier dostar-czył od jubi-lera tutaj w mie-ście. Na para-go-nie wid-nieje płat-ność prze-le-wem. – Głę-boko żałuję, że jestem zwia-stu-nem kolej-nych złych wia-do-mo-ści. – Nie było żad-nych prze-le-wów ani wypłat z ład-nego z rachun-ków na rzecz tego sprze-dawcy lub na tę kwotę.

Nie-ru-cho-mieje na chwilę, a potem zaska-kuje mnie dzi-kim, sze-ro-kim uśmie-chem.

– Ma dostęp do innych kont. – Oczy mu błysz-czą, gdy znów koły-sze się w fotelu. – Kiedy peł-no-moc-nik do spraw nie-ru-cho-mo-ści powie-dział mi o LLC i jej akty-wach, nie

zga-dzało się to z tym, co wie-dzia-łem. Podej-rze-wa-łem, że były osobne konta. Lily nie odda-łyby, ot tak, klu-czy do kró-le-stwa, nawet swo-jemu mężowi.

– Pomy-śla-łem, że to może być pre-zent – pod-su-wam ostroż-nie. – Jak te kwiaty.

Zbywa tę sugę-stię bez-tro-skim mach-nię-ciem ręki.

– Byłaby już w tym pokoju i opo-wia-dała nam o tym. Nie, tam są fun-du-sze na wojnę, Witte, i wresz-cie spra-wi-łem, że poczuła się na tyle bez-piecz-nie, by to ujaw-nić.

Nie rozu-miem jego kon-klu-zji ani reak-cji. Dzika weso-łość. To pra-wie jak... chci-wość, a to nie ma sensu. Ani jego ufność, że Lily wyjawi, że dostała pre-zent od Laski, gdy podej-rzewa i wie o nie-zli-czo-nych innych oszu-stwach z jej strony.

Pamię-ta-łem o swo-jej roli we wspie-ra-niu pana Blacka, gdy podej-mo-wał pierw-sze decy-zje i prze-j-mo-wał kie-row-nic-two. Zapo-zna-wa-nie go ze wszyst-kimi aspek-tami życia wśród zamoż-nej elity tego wspa-nia-łego mia-sta to był główny punkt mojego kon-traktu.

W tym momen-cie posta-na-wiam jed-nak selek-tyw-nie ogra-ni-czyć prze-pływ infor-ma-cji o sytu-acji z Lily. W końcu kolejną czę-ścią mojej pracy jest zapew-nie-nie bez-pie-czeń-stwa mojemu pra-co-dawcy. Zro-bię to wbrew niemu, jeśli będzie trzeba.

Pro-stu-jąc się w fotelu, zaczyna prze-gląd-ać pocztę.

– Infor-muj mnie na bie-żąco, Witte.

– Oczy-wi-ście. – Wstaję zre-zy-gno-wany. – Nawia-sem mówiąc, pan Lan-don wie-lo-krot-nie pró-bo-wał się z panem skon-tak-to-wać, włą-cza-jąc w to wizytę tutaj. Kiedy do mnie zadzwo-nił, zasu-ge-ro-wa-łem, żeby spró-bo-wał na komórkę, ale powie-dział, że nie może się dodzwo-nić. Wyda-wał się dość zanie-po-ko-jony i zapy-tał o panią Black.

– Zosta-wił mi kilka wia-do-mo-ści gło-so-wych. Wie-dzia-łem, że moja matka w końcu się do niego zwróci, więc nie pro-si-łem jej, żeby tego nie robiła. Skon-tak-to-wa-łyby się z nim jesz-cze wcze-śniej. – Zgniata w kulkę zapro-sze-nie na ban-kiet dla zebra-nia fun-du-szy na kam-pa-nię poli-tyczną i cel-nie rzuca ją przez obręcz do koszy-kówki nad koszem na śmieci.

– Co mu powie-dzia-łeś?

– Ponie-waż było oczy-wi-ste, że nie dowie-dział się o pani Black od pana, uni-ka-łem potwier-dza-nia lub zaprze-cza-nia cze-mu-kol-wiek na jej temat i pora-dzi-łem mu, aby pyta-nia doty-czące pań-skiego życia oso-bi-stego kie-ro-wał do pana.

– Jesteś naj-lep-szy, Witte. Nie wiem, co bym bez cie-bie zro-bił. – Wypusz-cza ciężko powie-trze z płuc i kiwa głową. – Na razie wła-śnie to mu powta-rzaj.

Nie wiem dla-czego mój pra-co-dawca uni-kał kon-taktu ze swoim naj-bliż-szym przy-ja-cie-lem. Czy to dla-tego, że pan Lan-don spo-ty-kał się kie-dyś z Lily? To zazdrość czy uchy-la-nie się od odpo-wie-dzi?

– Jest jesz-cze coś...

– Cho-lera. – Znów zaczyna koły-sać się w fotelu. – Przy-po-mnij mi, dla-czego zosta-wi-li-śmy morze i plażę, żeby wró-cić do tego gówna.

Uno-sząc brwi, wzdy-cha i wygląda na uspo-ko-jo-nego.

– Pani Erika Fer-rari dwa razy pytała o pana w recep-cji – kon-ty-nu-uję. – Popro-si-łem Juliana, żeby mnie infor-mo-wał, gdyby pró-bo-wała się z panem skon-tak-to-wać w pracy, i zro-biła to. Dwu-krot-nie.

Prze-ciera dło-nią twarz. To nie pierw-szy raz, kiedy kobieta uga-nia się za nim po wspól-nej nocy. W prze-szło-ści oka-zy-wał ich fru-stra-cji okrutne lek-ce-wa-że-nie, a ja zawsze byłem tym, który radził sobie z póź-niej-szymi nie-zręcz-nymi inte-rak-cjami. Być może jego uczu-cia do Lily spra-wiły, że zaczął nieco bar-dziej liczyć się z innymi ludźmi.

– Nawet nie wiem, jak się z nią skon-tak-to-wać – mówi ponuro – ani co bym jej powie-dział, gdyby mi się to udało. Nie, to nie-prawda. Muszę prze-pro-sić. Moja żona

wyja-śniła mi tę kwe-stię.

– Naprawdę? Tak, to by leżało w jej cha-rak-te-rze. Postrzega wspól-notę kobiet jak walkę wyma-ga-jącą uzb-ro-je-nia i czuj-no-ści.

– Matka tak ją wycho-wała, a ja dałem dosko-nały przy-kład na to, że miała rację. Nie zno-szę nie-wier-no-ści. Nawet nie skon-tak-to-wa-łem się z Lily, dopóki Ryan nie zaczął poważ-nie trak-to-wać związku z Angelą, a teraz muszę powie-dzieć kobie-cie, którą wzię-łem do łóżka, że byłem wtedy żonaty, i na-dal jestem, i był-bym wdzięczny, gdyby nie naprzy-krzała się już mnie ani mojej żonie.

– Pań-ska sytu-acja jest nowa. Prawda jest wszyst-kim, co może pan ofia-ro-wać.

Śmieje się nie-we-soło.

– Nawet tego nie mam, prawda?

– Dam panu znać, jeśli znów spró-buje nawią-zać kon-takt. I poin-stru-uję recep-cję oraz Juliana, żeby zano-to-wali jej dane kon-taktowe.

Wycho-dzę i wra-cam do kuchni, aby roz-po-cząć przy-go-to-wa-nia do kola-cji. Zatrzy-muję się na progu salonu, widząc jedną z poko-jó-wek, Lacy, stu-diu-jącą opra-wione zdję-cie. Kiedy mnie zauważa, wzdryga się z miną wino-waj-czyni.

– Witte, prze-stra-szy-łeś mnie.

– Prze-pra-szam. Byłaś czymś pochło-nięta. – Scho-dzę do poło-žo-nego niżej salonu, zauwa-żyw-szy zdję-cia roz-miesz-czone teraz stra-te-gicz-nie w pomiesz-cze-niu. Jedno zdobi sto-lik boczny, a kilka innych stoi wśród przed-mio-tów na pół-kach z książ-kami ota-cza-ją-cych komi-nek.

– Wła-śnie je wysta-wiła – tłu-ma-czy nie-po-trzeb-nie dziew-czyna.

Ramki są wyko-nane ze sre-bra wyso-kiej próby, mięk-kiej grosz-ko-wa-nej skóry i cen-nego drewna. Każda usta-wiona jest tak, by gustow-nie kom-po-no-wała się z wystro-jem i innymi ele-men-tami deko-ra-cyj-nymi wokół. Myślę o pacz-kach dla pani Black i uświa-da-miam sobie, że nie-które z nich musiały zawie-rać ramki, a potem dzi-wię się, że tak pre-cy-zyj-nie zapa-mię-tała wnę-trze apar-ta-mentu.

Spla-tam ręce za ple-cami i przy-glą-dam się foto-gra-fiom. Wszyst-kie przed-sta-wiają pana i panią Black razem w chwi-lach intym-nej rado-ści i miło-ści. Na wszyst-kich jest para urze-czona sobą nawza-jem i – co naj-dziw-niej-sze – wszyst-kie są nie-dawne. Nie ma tu żad-nego z wcze-śniej-szych zdjęć prze-nie-sio-nych z domu na plaży, w któ-rym pan Black prze-cho-wuje więk-szość ich wizu-al-nej histo-rii.

Pokój cał-ko-wi-cie się zmie-nił. Dzięki tym kilku prze-my-śla-nym dodat-kom prze-strzeń jest teraz cie-pła, oso-bi-sta i zachę-ca-jąca. Robi wra-że-nie domu.

Rozu-miem, dla-czego Lacy jest urze-czona. Oboje sto-imy bez ruchu, zdu-mieni uka-za-nym na zdję-ciach męż-czy-zną. Ni-gdy nie widzia-łem, żeby mój pra-co-dawca wygła-dał tak dobrze, tak żywo. Jego osza-ła-mia-jąca prze-miana pra-wie wystar-czy, żebym chciał być tak samo roz-myśl-nie ślepy jak on.

Tak długo pra-gną-łem jego szczę-ścia. Boli mnie, że zna-lazł je z kobietą, która zła-mała mu serce i nara-ziła jego życie. To, że ją lubię, wpra-wia mnie w tym więk-szą roz-terkę.

Jest jed-nak pewien nie-po-ko-jący szcze-gół, do któ-rego jesz-cze nie wró-cił, cho-ciaż nie mogę sobie wyobra-zić, że o tym zapo-mniał: Lily wie-działa, że to on, kiedy zoba-czyła go na ulicy.

Jego żona go roz-po-znała, pamię-tała. A jed-nak nie wró-ciła do domu.

## AMY

Uczu-cie w chwili, gdy zimna wódka spływa do mojego pustego żołądka, jest jak orgazm. Zamy-kam oczy, wstrzy-muję oddech, palce u stóp pod-wi-jają się w szpil-kach. W tle szmeru dzie-sią-tek roz-mów sły-szę lekką muzykę. Zapa-chy czosnku i bazy-lii, ore-gano i tymianku zni-kają. Wzdy-cham, gdy alko-hol wnika w mój krwio-obieg mac-kami koją-cego cie-pła. Przez zde-cy-do-wa-nie zbyt krótką chwilę jestem dosko-nale szczę-śliwa.

– Dobrze, no nie?

Otwie-ram oczy i patrzę na bar-mana, który uśmie-cha się i opiera o bar w spo-sób, że ta bariera wydaje raczej zbędna. To nie jest naj-lep-sza wódka mar-tini, jaką piłam. Za dużo wermutu i poską-pił oli-wek. Mimo to jest słodki i flir-tuje, więc odwza-jem-niam uśmiech.

– Tak dobre, że wezmę jesz-cze jeden.

– Ciężki dzień? – pyta, pod-rzu-ca-jąc w powie-trzu pusty sha-ker i łapiąc go zwin-nie.

– Naj-gor-szy – kła-mię z uczu-ciem, bo znam zasady. Kie-li-szek mar-tini po pracy nie jest pro-ble-mem; dwa to ciężki dzień albo świę-to-wa-nie. Trzy to punkt, w któ-rym uśmiech bar-mana traci blask, a przy czwar-tym mar-tini facet prze-staje się uśmie-chać i pyta, czy chcesz, żeby ci zamó-wić tak-sówkę, by odwio-zła cię do domu.

Zdaję sobie sprawę, że dziś wie-czo-rem mogę dojść do trzech, jeśli wziąć pod uwagę, dla-czego jestem w tej restau-ra-cji.

– Już się robi – mówi, mru-gnąw-szy okiem. Jego wzrok prze-suwa się ponad moje ramię i widzę, jak unosi brwi i układa wargi, by cicho zagwiz-dać. Uśmie-cha się tak sze-roko, że two-rzą mu się dołeczki, a pełne uzna-nia spoj-rze-nie, któ-rym mnie obda-rzał, wyraża znacz-nie wyż-szą apro-batę dla nowo przy-by-łej osoby.

Plecy mi sztyw-nieją tuż przed tym, jak ręka, któ-rej się spo-dzie-wam, spo-czywa lekko na moim ramie-niu.

– Hej, prze-pra-szam, że się spóź-ni-łam – mówi Lily dziew-czę-cym gło-sem, któ-rym koja-rzy mi się z Jen-ni-fer Tilly. – Był kosz-marny korek.

Odwra-cam głowę, kiedy wcho-dzi w moje pole wide-nia. Ma na sobie czarną sukienkę mini w stylu halki i wspa-niałe sza-fi-rowe kimono z meta-licz-nym kwia-to-wym haftem. Poje-dyn-czy sznur pereł zwisa z jej szyi aż do bio-der, z węzłem pod biu-stem.

Wyciąga rękę, ocze-ku-jąc uści-sku i czuję w piersi wyraźny przy-pływ adre-na-liny wywo-łany lękiem. Skre-po-wana, zsu-wam się z baro-wego stołka, pra-wie na nią wpa-da-jąc. Jej uścisk jest silny i dłuż-szy niż pobieźny, ale i tak prze-rywa go pierw-sza. Nie-na-wi-dzę jej za to. Nie-na-wi-dzę za to, jak patrzył na nią bar-man, i dla-tego, że pro-mie-nieje, ponow-nie roz-ko-szu-jąc się wyją-ko-wym kuta-sem Kane’a. Czyż nie widy-wa-łam tego poran-nego bla-sku na wystar-cza-ją-cej licz-bie odrzu-co-nych przez niego kobiet, żeby to roz-po-znać?

Czy Lily pamięta te wszyst-kie okropne szcze-góły, które jej opo-wie-dzia-łam, gdy była nie-przy-tomna?

– Świet-nie wyglą-dasz! – wykrzy-kuje, obrzu-ca-jąc mnie przy-ja-znym spoj-rze-niem od stóp do głów. – Podoba mi się twój żakiet.

– Dzię-kuję. – Nie wie-dzia-łam, że spo-tkam się z Lily na drinka po pracy, więc nie ubra-łam się sto-sow-nie do oka-zji. Cho-ciaż ona jest w stroju na happy hour, ja mam na sobie spodnie i krótki, aksa-mity, zie-lony żakiet. Na szczę-ście to jeden z wybo-rów Tovah i nie tylko

Lily go skom-ple-men-to-wała.

– Masz piękne kimono – mówię, bo naprawdę go jej zazdroszczę i powinienam odwdzięczyć się jakąś miłą uwagą.

– Och, dziękuję. Ja też je lubię. Należało do mojej matki. – Wie-sza torebkę na haczyku pod barem.

Nie mam żadnych ubrań po matce. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek posiadała coś, co przy-po-mina rodzinną pamiątkę, jak ten lśniący jedwab udra-po-wany na Lily. Moja droga szwa-gierka ma wszystko, naprawdę wszystko. Tak, prze-żyła wypa-dek i straciła kilka odje-cha-nych lat, z któ-rych może się śmiać na impre-zach, ale tak naprawdę... jej życie jest cho-ler-nie ide-alne.

– Co ma być, ślicz-notko? – pyta ją bar-man, sta-wia-jąc moje nowe mar-tini obok poprzed-niego, które wypiliam tylko do połowy. – Wy obie uprzy-jem-nia-cie mi wie-czór. Geny w waszej rodzi-nie zapew-niają piękny widok.

Cze-kam, aż Lily go poprawi i powie, że po pro-stu wyglą-damy podob-nie, ale ona tylko mu dzie-kuje i zama-wia to samo co ja, tylko lep-sze – z więk-szą ilo-ścią solanki z oli-wek, z tylko odro-biną wermutu i dodat-ko-wymi oliw-kami.

A więc... Witte kła-mał, że jest abs-ty-nentką. Dla-czego? Chciał zepsuć mój pomysł na pre-zent, żeby jej był lep-szy?

Z przy-kle-jo-nym do ust uśmie-chem dopi-suję go do mojej czar-nej listy.

– Masz. – Mru-ga-jąc do niej, bar-man stuka knyk-ciami o kon-tuar i nie ma poję-cia, że jego napi-wek maleje z minuty na minutę. Serio, jego mar-tini jest gów-niane.

Lily prze-chyla się do mnie.

– Jak ci minął dzień?

Wzru-szam ramio-nami i się-gam po dru-giego drinka. Zmu-szam się, by upić łyczek zamiast pocią-gnąć haust, na co mam ochotę. Sta-ram się prze-trwać każdy dzień pracy, sto-su-jąc detoks, ale około pią-tej nie mogę znieść już ani jed-nej cho-ler-nej minuty trzeź-wo-ści.

– To była praca.

Z łok-ciem opar-tym na barze i pod-bród-kiem na dłoni wygląda ele-gancko, zre-lak-so-wana i pochło-nięta wszyst-kim, co mogę powie-dzieć. Gdyby tylko wie-działa, co mi cho-dzi po gło-wie...

– Opo-wiesz mi o tym? – zachęca. – Kane wspo-mniał, że mia-łaś agen-cję zarzą-dza-jącą mediami spo-łecz-no-ścio-wymi, którą wcie-li-łaś do Baha-ran...

– Nie wcie-li-łam. Została wchło-nięta i strawiona. – Patrzę na nią, zasta-na-wia-jąc się, jaki jest jej punkt widze-nia.

Lily spo-gląda na bar-mana, który podaje jej drinka, a potem sta-wia mię-dzy nami świeczkę. Wło-ska restau-ra-cja znaj-duje się na rogu ulicy naprze-ciw Cross-fire i z trzech stron ma okna od pod-łogi do sufitu. W porze lun-chu słońce zalewa wnę-trze tak, że trzeba spuszczać rolety, ale zapada wie-czór i świecezki migo-czą na wszyst-kich sto-li-kach. Pod-czas gdy Lily pró-buje swo-jego drinka przed bar-ma-nem, który czeka na jej apro-batę, ja korzy-stam z oka-zji i wychy-lam resztę pierw-szego mar-tini i odsu-wam kie-li-szek.

Kiedy znów spo-gląda na mnie znad kra-wę-dzi kie-liszka, żuję swoją samotną oliwkę.

– Kane poka-zał mi kre-ację rekla-mową na pre-mierę ECRA+ – mówi. – Jest naprawdę impo-nu-jąca.

– Dzięki. – Sta-ram się nie oka-zy-wać iry-tacji. Co ona, do dia-bła, wie? – Uwa-żam, że jest sztam-powa. Pra-cuję teraz nad czymś lep-szym.

– Co ci się nie podoba? – Lily wydaje się szcze-rze zain-te-re-so-wana.

– Nic. Kolory, obrazy, prze-kaz. Opa-ko-wa-nie, skład-niki che-miczne i nie-ska-zi-telne twa-rze Rosany i Evy nie wystar-czą, by kon-ku-ro-wać w świe-cie peł-nym cele-bry-tów, ale na tym wła-śnie się sku-piają. – Czuję ulgę, gdy bar-man zabiera mój pusty kie-li-szek. Jeden drink sto-jący przede mną wygląda o wiele lepiej.

– I jak chcesz to popra-wić?

Sta-ram się zapo-mnieć o iry-ta-cji jej nie-ustan-nymi pyta-niami. Lubię roz-ma-wiać o swo-jej pracy, nawet jeśli nie lubię roz-ma-wiać z nią. I uwa-żam, że jeśli odpo-wiem na kilka pytań, ona będzie musiała zro-bić to samo.

– Poka-zu-jąc pro-dukt w dzia-ła-niu, na każ-dej oso-bie, pod-kre-śla-jąc pro-blemy der-ma-to-lo-giczne, które wyka-zują poprawę. Cał-ko-wi-cie praw-dziwe, nie-prze-ra-biane zdję-cia i filmy. – Biorę kolejny łyk. Byłaby okropna jako amba-sa-dorka marki. – To nie jest ponowne wynaj-dy-wa-nie koła, ale mówie-nie ludziom tego, co powinni wie-dzieć: pro-dukt to nie tylko piękne opa-ko-wa-nie i nie uży-wają go tylko podzi-wiani przez nich influ-en-ce-ry. I że za tę cenę dostają coś naprawdę wyjąt-ko-wego.

Lily uśmie-cha się pro-mien-nie.

– Nie mogę się docze-kać, żeby to zoba-czyć.

Wypi-łam już dość płyn-nej odwagi.

– Dla-czego cię to obcho-dzi?

Pochyla się nad barem. Nogi ma skrzy-żo-wane i prze-chy-lone na bok. Przy tej krót-kiej sukience wyglą-dają, jakby miały kilo-metr dłu-go-ści. Tak blada skóra powinna być ośle-pia-jąco biała, ale ona wygląda po pro-stu pięk-nie, jakby stale oświe-tlona świa-tłem księ-życa.

– Myślę, że mogły-by-śmy pomóc sobie nawza-jem.

Uno-szę brwi ze zdu-mie-nia. Nie wyobra-żam sobie niczego, co mogłaby mi zaofe-ro-wać i czego bym chciała, chyba że pro-po-nuje mi rolę swo-jej kaska-derki dublerki do gim-na-styki na mate-racu Kane’a,

– Jak to?

– Czy Kane mówił ci kie-dyś, czym się zaj-muję?

Kręcę głową, co jest bar-dziej dyplo-ma-tyczne niż stwier-dze-nie, że jest wygodną waginą do pie-prze-nia.

– Spo-ty-kam ludzi. Jeśli mi się podo-bają i mają marze-nie, na któ-rym mogę zaro-bić, poma-gam im zacząć.

– Jesteś anio-łem biz-nesu – mówię, cedząc słowa. Czy ona uważa, że jestem głu-pia?

– Tak. Kiedy potra-fisz mądrze wybrać osoby, w które chcesz zain-we-sto-wać, jest to bar-dzo lukra-tywne. Jak wiesz, start-upy potrze-bują pomocy w zakre-sie komu-ni-ka-cji i reklamy spo-łecz-no-ścio-wej. Mogę skie-ro-wać te firmy do cie-bie, a ty pomo-żesz im udo-sko-na-lić ich markę i prze-kaz. Dzięki temu będą musiały się mar-twić o jedną rzecz mniej.

Przy-glą-dam jej się spod zmru-żo-nych powiek.

– Co będziesz z tego miała?

– Dzie-sięć pro-cent pro-wi-zji za pole-ce-nie, liczo-nej od ich wydat-ków w pierw-szym roku.

– Tylko dzie-sięć pro-cent?

Uśmie-cha się, zakła-da-jąc włosy za ucho.

– Pamię-taj, że po dru-giej stro-nie tej trans-ak-cji zostanę rów-nież nagro-dzona przy-spie-szo-nym wzro-stem i zwięk-szo-nymi zyskami z moich inwe-sty-cji.

Jej włosy uro-sły, odkąd ją pierw-szy raz zoba-czy-łam kilka tygo-dni temu, i teraz się-gają do ramion. W uszach ma wspa-niałe kol-czyki z sza-fi-rami i bry-lan-tami. Kamie-nie



mie-nią się obłąd-nie, odbi-ja-jąc świa-tło przy naj-mniej-szym ruchu.

– Nie zapo-mnij o potrój-nym zysku. – Upi-jam kolejny łyk, postu-ku-jąc stopą w barierkę ota-cza-jącą bar. – Baha-ran zaro-bi-łaby na tych kon-trak-tach i tobie też przy-pa-dłaby z tego część.

Coś w jej uśmie-chu bled-nie, budząc moją cie-ka-wość i uszczę-śli-wia-jąc mnie.

– Tak – przy-znaje nie-chęt-nie. – To prawda.

Zasta-na-wiam się, czy coś powie-dzieć, ale czemu by nie zdra-dzić jej tego sekretu? Od wielu dni biję się z myślami, roz-wa-ża-jąc, czy chcę zacząć od nowa. Pozo-sta-nie w Baha-ran ozna-cza, że moja ciężka praca i talent wzbo-gacą Kane’a i Lily. Decy-zja jest więc pro-sta: wyno-szę się stąd.

– No cóż – zaczy-nam – dowia-du-jesz się o tym pierw-sza: odcho-dzę z Baha-ran i zakła-dam nową firmę.

Lily unosi brwi, jakby była zasko-czona, ale... nie wydaje się zasko-czona.

– Nowa firma. To odważne posu-nię-cie.

– Posłu-chaj, nie zosta-wiam Baha-ran na lodzie. To, co przy-go-to-wują, jest w porządku, po pro-stu nie jest świetne i zamie-rzam to napra-wić, zanim sku-pię się na nowych przed-się-wzię-ciach.

– Po co jed-nak rezy-gno-wać z Social Cre-amery? Całej tej pracy, marki, daw-nych klien-tów...

Prze-su-wam pal-cem po kra-wę-dzi kie-liszka, zasta-na-wia-jąc się, czy to jest to, o co jej cho-dziło przez cały czas: skło-nić mnie do powie-dze-nia, jaką byłam idiotką, kiedy pod-pi-sa-łam te papiery i w efek-cie prze-pi-sa-łam na innych moją firmę.

– Nie wiesz, jak dzie-łają prze-ję-cia?

Wzru-sza ramio-nami i kimono zsuwa się jej z jed-nego ramie-nia ruchem tak dosko-nale uwo-dzi-ciel-skim, że zasta-na-wiam się, czy to ćwi-czyła.

– Oczy-wi-ście, ale czy-ta-łam twoją umowę z Baha-ran. Nie rozu-miem, dla-czego nie mia-ła-byś sko-rzy-stać ze swo-jej klau-zuli odstą-pie-nia od niej. Nie, to nie-prawda. Rozu-miem, że chcesz zacząć od nowa. Trudno mi sobie wyobra-zić, żeby praca z Aliyah była przy-jemna.

Pro-stuję się na stołku i zmu-szam do roz-luź-nie-nia chwytu na kie-liszku, by nie zła-mać jego nóżki.

– O czym ty mówisz?

Prze-staje się uśmie-chać i marsz-czy brwi.

– O którą sprawę ci cho-dzi?

Odsta-wiam kie-li-szek, bo mam ochotę chlu-snąć jej w twarz jego zawar-tość.

– O cho-lerną klau-zulę odstą-pie-nia od umowy!

Zmarsz-czone brwi uno-szą się teraz w wyra-zie zasko-cze-nia.

– Amy, nie znasz warun-ków swo-jej umowy z Baha-ran? – pyta powoli i ostroż-nie, jak-bym była bombą, która może wybuch-nąć w każ-dej chwili, i dokład-nie tak się czuję.

Spo-glą-dam w bok. Jestem nie-mile zasko-czona, widząc Horn-swor-tha, tego zło-dzieja cudzych gabi-ne-tów, dupka sie-dzą-cego przy drinku z kobietą zbyt ładną dla niego. Odwra-cam wzrok znie-sma-czona i zaska-kuje mnie widok Roge-lia, szefa ochrony Baha-ran. Pije drinka przy sto-liku z face-tem tak samo po woj-sko-wemu ostrzy-żo-nym, praw-do-po-dob-nie innym pra-cow-ni-kiem Baha-ran, ale nie mam pew-no-ści. A jedna z dziew-czyn z księ-go-wo-ści je kola-cję z trzema kole-żan-kami.

Hamuję złość. Nie daj Boże, żeby Aliyah donie-siono o tym, że znów stra-ci-łam pano-wa-nie nad sobą.

Biorę kolejny łyk, nabie-ram powie-trza i odpo-wia-dam:

– Minęło tro-chę czasu. Wtedy nie sądzi-łam, że kie-dy-kol-wiek posta-no-wię prze-stać być czę-ścią rodzin-nego biz-nesu.

Lily rów-nież upija łyk mar-tini, jakby nie było powodu, by się spie-szyć z wyja-śnia-niem mi sprawy.

– Masz moż-li-wość odzy-ska-nia marki Social Cre-amery dwa-dzie-ścia cztery mie-siące po zre-ali-zo-wa-niu umowy, jeśli firma prze-sta-nie funk-cjo-no-wać jako odrębny pod-miot. To wyjąt-kowa klau-zula, naprawdę bar-dzo inte-re-su-jąca, ale korzystna dla cie-bie. Zało-ży-łam, że twój zespół prawny umie-ścił ją, żeby cię chro-nić, a może Darius się tym zajął?

Czuję, że krew odpływa mi z twa-rzy. Sala kręci się jak karu-zela. Mam wra-że-nie, że wypi-łam cztery mar-tini i jestem w po-łowie pią-tego.

– Amy. – Lily kła-dzie dłoń na moim przed-ra-mie-niu. – Dobrze się czu-jesz?

Wyry-wam rękę. Nie było zespołu praw-nego, był Darius. Dla-czego mia-ła-bym nie ufać wła-snemu mężowi?

– Nic mi nie jest!

– Pozwól, że ci pomogę.

– Co chcesz z tego mieć? – rzu-cam ze zło-ścią, obra-ca-jąc się na stołku tak, by usiąść z nią twa-rzą w twarz.

– Jeste-śmy rodziną – mówi po pro-stu. – Jesteś moją sio-strą, nawet jeśli tylko przez mał-żeń-stwo. Nie mam innego rodzeń-stwa. Żad-nych kuzy-nów, cio-tek ani dziad-ków. Tylko Kane’a i, mam nadzieję, cie-bie.

„Jeste-śmy rodziną”. Pamię-tam, jak Kane powie-dział coś podob-nego. „Dobrze mieć rodzinę”. Totalna bzdura. Kto z nich zro-bił cokol-wiek, aby mnie przy-jąć z rado-ścią? Kiedy posta-wili mnie na pierw-szym miej-scu lub wsparli? Teraz Lily myśli, że możemy usiąść przy drinku, a ona od nie-chce-nia namie-sza mi w gło-wie dla zabawy?

– Rodzina – powta-rzam, z nie-sma-kiem wykrzy-wia-jąc usta. – Czy Kane ci powie-dział, że mnie zerznął? Przez dobre dwa-na-ście godzin, jak przy-pusz-czam. Czas się tro-chę zaciera, kiedy non stop prze-ży-wasz orgazm. Czy to nas czyni kumo-ter-ską rodziną?

Jest spo-kojna i chłodna, nie-wzru-szona moim gniewem.

– Tak, powie-dział mi.

Mam ochotę chwy-cić ją za włosy i wal-nąć jej twa-rzą o bar.

– Przy-kro mi. – Patrzy mi w oczy, żebym mogła widzieć jej szcze-rość. – I masz rację, zarzu-ca-jąc mi nie-sto-sowne żarty. Chcę ci pomóc, ponie-waż jesteś kobietą, która stra-ciła tro-chę wła-dzy, a to jest nie-bez-pieczne. I ponie-waż chcę ci to wynagro-dzić. Kane cię skrzyw-dził przeze mnie. Jest doro-słym męż-czy-zną i sam odpo-wiada za to, by ci zadość-uczy-nić, ale ja na-dal żałuję, że spra-wi-łam mu ból i tego, jak ten ból wpły-nął na cie-bie.

– Och, wspa-niale. Wła-śnie tego potrze-bo-wa-łam. Two-jego cho-ler-nego współ-czu-cia. – Pocią-gam duży łyk, delek-tu-jąc się pie-cze-niem w żołądku. Gestem zama-wiam kolej-nego drinka.

– Odrzuć moje współ-czu-cie – odpo-wiada. – Przyj-mij moją pomoc. Zre-wi-duję swoją ofertę. Zamiast pobie-rać pro-wi-zję za pole-ce-nie, zain-we-stuję bez-po-śred-nio w Social Crea-mery lub mogę zaofe-ro-wać ci pożyczkę.

– Mogę dostać pie-przoną pożyczkę!

Nie odrywa wzroku od mojej twa-rzy, upi-ja-jąc kolejny łyk.

– Czy Kane cię do tego namó-wił? – Sta-ram się powścią-gnąć gniew. Ona cał-ko-wicie panuje nad sobą i nad tą roz-mową, a im bar-dziej się wście-kam, tym bar-dziej wygła-dam,

jak-bym się nie kon-tro-lo-wała. – A może to był twój pomysł? Wycią-gnąć mnie z biura, żeby Kane nie widy-wał mnie codzien-nie? Czy to dla-tego nie wró-cił do pracy?

– Nie mar-twię się, że Kane ma bli-sko sie-bie jakąś kobietę. Nie mówię tego, żeby być okrutną. To po pro-stu prawda. A nie-zgoda mię-dzy nami tylko pomaga Aliyah. Nie jestem twoim wro-giem, Amy, ani rywalką. Możemy sobie pomóc i osią-gnąć zyski. To wszystko, co pro-po-nuję. Jeśli w jakiś spo-sób uda nam się zostać przy-ja-ciół-kami lub sojusz-nicz-kami, to tego też bym chciała.

Jakiś głos w mojej gło-wie mówi mi, że ona ma rację, że przy-dałby mi się ktoś sto-jący po mojej stro-nie. I z pew-no-ścią przy-dałby mi się dopływ gotówki. Nie wiem już, co myśleć o Dariu-sie. Kiedy jestem z nim, mam pew-ność, że mnie kocha. Jest jed-nak ten drugi syf. Czy to moż-liwe, że nie wie-dział o klau-zuli odstą-pie-nia od umowy? Czy mnie zwo-dził? I dla-czego?

Postawa Lily sub-tel-nie się zmie-niła. Nie potra-fię tego wyja-śnić, ale mam wra-że-nie, że jest w swoim żywi-ole. Silna, pewna sie-bie, sek-sowna. Rozu-miem, dla-czego Kane sza-leje na jej punk-cie i dla-czego ni-gdy wię-cej nie będę go miała. Przy-naj-mniej nie wtedy, gdy ona żyje...

– Prze-pra-szam, że byłam... zgryź-liwa – mówię z naci-skiem, wie-dząc, że naj-le-piej będzie naśla-do-wać Lily. Jestem silna, pewna sie-bie i sek-sowna. Pro-stuję ramiona i udaje mi się uśmiech-nać, kiedy bar-man zabiera mój pusty kie-li-szek i podaje mi nowego drinka. Nie uśmie-cha się ani nie nawią-zuje kon-taktu wzro-ko-wego. – Mia-łam ostat-nio kilka cięż-kich dni, a to dużo infor-ma-cji do prze-my-śle-nia naraz.

– W porząd-ku – zbywa to swo-bod-nym mach-nię-ciem ręki. Kamień, który dał jej Kane, odbija świa-tło i uświa-da-miam sobie, że ma czer-wono-pur-pu-rowy kolor ludz-kiego serca. – Nie musisz prze-pra-szać. Na zaufa-nie trzeba zasłu-żyć, a ja chcia-ła-bym zasłu-żyć na twoje.

Wyobra-zam sobie, jak jej serce bije w mojej dłoni, silne i pewne, nie-bo-jące się niczego. Potem zamy-kam palce, czu-jąc, jak gumo-waty mię-sień ugina się pod naci-skiem, aż gorąca krew w odcie-niu jej szminki spływa po moim przed-ra-mie-niu i ska-puje z łok-cia.

Jak-kol-wiek roz-koszna jest ta fan-ta-zja, mój puls przy-spie-sza, a w odle-głym zakątku umy-słu moje myśli pani-kują. Muszę prze-czy-tać tę umowę. Muszę wie-dzieć, co zawiera. Zli-zuję z ust zimną kro-plę wódki. Na szczę-ście już nawet nie czuję smaku wermutu.

– Która jest godzina? – pytam.

– Docho-dzi siódma.

– Och! Muszę iść – kła-mię. Ponie-waż nie wysie-dzę tu ani chwili dłu-żej, roz-ma-wia-jąc o niczym, czu-jąc się nie-udolna i bez-bronna. Czu-jąc się jak kre-tynka. Muszę dzia-łać i prze-jąć kon-trolę.

Muszę być jak Lily.

Zsu-wam się ze stoł-ka, chwy-tam swoje mar-tini i wychy-lam jed-nym hau-stem.

– Prze-pra-szam, że ucie-kam w ten spo-sób. Nie zda-wa-łam sobie sprawy, która jest godzina.

Uśmiech Lily wydaje się powoli zni-kać.

– Może mogły-by-śmy to kie-dyś powtó-rzyć? I nie roz-ma-wiać o inte-re-sach?

– Bar-dzo chę-tnie. – Pochy-lam się, by przy-ci-snąć usta do jej policzka. Przy-trzy-muję je tam odro-binę za dłu-go, bo ona tak pięk-nie pach-nie. Zasta-na-wiam się, czy zauwa-żyła, że uży-wam tych samych per-fum. Czy tęskni za swo-imi dłu-gimi wło-sami i z zazdro-ścią patrzy na moje. Jej skóra jest deli-katna i miękka. Gdy się odsu-wam, ma na policzku odcisk tej samej szminki, którą sama ma na ustach. – Pa!

Grze-biąc w torebce, rzu-cam pie-nią-dze na ladę i wybie-gam, jak-bym się spie-szyła.

Przy kra-węż-niku macham ręką i tak-sówka bez-tro-sko prze-cina pasy, by do mnie doje-chać. Wsia-dam, wycią-gam tele-fon i prze-glą-dam kon-takty, szu-ka-jąc adresu Ramina. Jako dyrek-tor do spraw praw-nych w Baha-ran może spraw-dzić, co jest w umo-wie, jeśli nie wie od razu. Zanim zdą-ży-łam powie-dzieć kie-rowcy, dokąd jedziemy, on już włą-czył się do ruchu.

Ramin mieszka w mod-nej dziel-nicy Meat-pac-king, w trzy-kon-dy-gna-cyj-ny-m budynku z cegły, w któ-rym daw-niej był maga-zyn. Gdy kie-rowca pod-jeź-dża i mówi, że jeste-śmy na miej-scu, szu-kam numeru domu, bo nie mogę w to uwie-rzyć. Spo-dzie-wa-łam się cze-goś ele-ganc-kiego i nowo-cze-snego jak jego gabi-net, cały w chro-mie i ciem-nych, męskich kolo-rach: rdza-wym, leśnej zie-leni i gra-na-cie. Ten budy-nek jest bar-dziej indu-strialny, z uchyl-ny-mi oknami, które więk-szość miesz-kań-ców trzyma otwarte.

Zatrzy-muję się na chod-niku, odzy-sku-jąc rów-no-wagę i zwi-ja-jąc włosy z tyłu i zapi-na-jąc spinką, by usu-nąć je z roz-grza-nej szyi. Korek uliczny był straszny, jak zawsze o tej porze. Trudno sobie wyobra-zić, że prze-je-cha-nie czte-rech kilo-me-trów może zająć wiecz-ność. Trwało to tak długo, że alko-hol zaczął porząd-nie dzia-łać, a jed-no-cze-śnie czuję, że mój rausz za chwilę znik-nie. Potrze-buję kolej-nego drinka.

Kiedy zbli-żam się do drzwi, por-tier rzuca się, by je przede mną otwo-rzyć.

– Hej, Lily. Jak się masz?

Jestem zdu-miona, że nazwano mnie nie-wła-ści-wym imie-niem, nie wspo-mi-na-jąc o tym, że użył wła-śnie tego. Patrzę na jego iden-ty-fi-ka-tor.

– Nazy-wam się Amy, Dev. Czy możesz dać znać Rami-nowi Ar...

– Już zadzwo-ni-łem – prze-rywa mi, dziw-nie na mnie patrząc. – Ocze-kuje pani.

Suche oczy mnie pieką i na chwilę zaci-skam powieki. Muszę je znów szybko otwo-rzyć, bo tro-chę się chwieję na wyso-kich obca-sach. Dla-czego, do kurwy nędzy, Lily nie może być śred-niego wzro-stu?

Ruszam kory-ta-rzem, ale roz-ga-łę-zia się na dwie strony, z dwoma róż-ny-mi rzę-dami wind.

– Hm... w którą stronę?

Dev patrzy na mnie ze zmarsz-czo-ny-mi brwiami, jego sze-roki uśmiech znik-nął.

– Na lewo.

– Okej... – Macham mu przez ramię i skre-cam w lewo. Ponow-nie zaglą-dam do tele-fonu, szu-ka-jąc numeru pię-tra i miesz-ka-nia.

Winda bar-dziej przy-po-mina towa-rową niż windę dla miesz-kań-ców i gości. Ponie-waż sta-no-wi-sko por-tiera było rów-nież indu-strialne, domy-ślam się, że to zamie-rzona este-tyka. Kiedy wysia-dam z kabiny, widzę, że beton na pod-ło-dze w kory-ta-rzu jest obro-biony tak, by wygła-dał jak kamień. Stu-kot moich obca-sów przy-po-mina wystrzały z pisto-letu. Przez chwilę zasta-na-wiam się, czy powin-nam skre-cić w lewo, czy w prawo, a potem staję przed drzwiami Ramina z pal-cem wycią-gnię-tym do dzwonka.

Zanim zdą-żę go naci-snąć, drzwi się otwie-rają.

– Hej. – Ramin nie zadał sobie trudu, by zapiąć guziki roz-porka dżin-sów, pod któ-rymi nie ma bie-li-zny. W kro-czu widać sta-ran-nie przy-strzy-żone ciemne włosy. – Już zaczy-na-łem się mar-twić.

– Hę?

Pod-cho-dzi do mnie, kiedy wciąż jestem zbyt oszo-ło-miona, by go ode-przeć, i jed-ny-m sil-ny-m ramie-niem obej-mu-jąc w talii, przy-ciąga mnie do sie-bie, a jego usta zamy-kają się na moich. Stoję znie-ru-cho-miała, zszo-ko-wana, zdez-o-rien-to-wana, gdy mnie całuje tak zaborczo, jakby moje usta nale-żały do niego, jego język wbija się głę-boko i obraca. Mru-czy cicho, a jego klatka pier-siowa wibruje przy moich pier-siach.

– To już pra-wie dwa tygo-dnie – narzeka, opie-ra-jąc czoło na moim.  
– Zabie-raj ode mnie ręce. – Jeśli się nad tym zasta-no-wić, to on też był dziwny w pracy.  
Zatrzy-muje się przy moim gabi-ne-cie i pyta, jak idą sprawy. Dosłow-nie codzien-nie.

Wciąga mnie do środka i zamyka za sobą drzwi.

– Co takiego zro-bi-łem, że się wku-rzy-łaś? Bo za cho-lerę nie wiem i mam dość bycia kara-nym.

Wcho-dzę do salonu. To loftowa prze-strzeń, ogromna, z uchyl-nymi oknami z trzech stron. Pew-nie kupił sąsied-nie miesz-ka-nie i oba połą-czył. Jedno szyb-kie spoj-rze-nie pozwala mi dostrzec łóżko przy prze-ciw-le-głej ścia-nie, stół jadalny i kuch-nię, a także prze-strzeń, którą zapla-no-wał jako salon z dywa-nem, sofą zło-żoną z kilku czę-ści i otwarty regał z zesta-wem kina domo-wego, który służy jako prze-groda.

Świece migo-czą na sto-liku do kawy, a dwa kie-liszki cze-kają obok butelki wina w wia-derku z lodem.

Obra-cam się, chcąc wyjść, zanim pojawi się jego naj-now-sza dziwka.

– Nie zajmę ci dużo czasu.

Ramin mruży oczy.

– To wła-śnie zamie-rzasz mi powie-dzieć? Nie przy-cho-dzisz tu. Nie dzwo-nisz. Tkwię tutaj, myśląc o tym, jak mój brat cię pie-przy, a kiedy w końcu się poja-wiasz, chcesz od razu wyjść?

Cała twarz tężeje mi ze zmie-sza-nia.

– Bra-łeś coś?

– Żałuję, że nie. – Idzie do kuchni.

Ruszam za nim. Sięga do szafki po kie-li-szek, z lodówki wyj-muje butelkę wódki i nalewa sobie drinka. Mnie nie pro-po-nuje.

– Nie wiem, jak długo jesz-cze to wytrzy-mam – mówi ze znu-że-niem, opie-ra-jąc się bio-drem o kuchenną wyspę i krzy-żu-jąc kostki u nóg.

Nie jestem zakon-nicą. Spa-łam z nim wczę-śniej, więc wiem, jak to jest być pod nim. Ramin pie-przy się, jakby krę-cił porno. Nie mogę powie-dzieć, że nie było to na swój spo-sób eks-cy-tu-jące. I jest atrak-cyjny, muszę przy-znać. Ład-niej-szy niż Darius i zupeł-nie nie przy-po-mina Kane’a. Jest bar-dziej nabity, ciało ma mocno umię-śnione. Nosi zawa-diacki kosmyk na czole i zwy-kle trzy-dniowy zarost ocie-nia-jący szczękę.

Sięga w dół, wsuwa dłoń w otwarty roz-po-rek dżin-sów i głasz-cze się z drwią-cym uśmie-chem.

– Przy-szłaś tylko popa-trzeć?

– Do jasnej cho-lery. – Odwra-cam się i znów przy-glą-dam się jego miesz-ka-niu, mimo że chcę tylko jego drinka. Przez otwarte okna wdzie-rają się odgłosy noc-nego mia-sta. W tym hała-sie jest coś ślepo irra-cjo-nal-nego. To mnie dener-wuje. – Przy-go-to-wa-łeś pro-jekt umowy naby-cia Social Cre-amery, prawda? A może to był ktoś inny z działu praw-nego?

Nie odpo-wiada od razu, więc odwra-cam się do niego. Wypro-stował się i odsta-wił drinka. Leniwe wyzwa-nie znik-nęło.

Jest bar-dzo czujny.

– Ja go napi-sa-łem. A co?

Opie-ram ręce na bio-drach. Chwieję się lekko w wyso-kich szpil-kach, więc je zdej-muję, cho-ciaż wiem, że przez to nie-wy-god-nie będzie znów je wło-żyć. Spoj-rze-nie Ramina ciem-nieje.

– Lily mówi, że jest tam klau-zula odstą-pie-nia od umowy.

Mruży oczy i pod-cho-dzi do mnie.

– Lily czy-tała umowę?  
– To się wydaje oczy-wi-ste. – Prze-wra-cam oczami. – Czy ona mówi prawdę?  
– W takim razie Kane dał jej dostęp do wszyst-kiego – stwier-dza. Ma bose stopy i jego chód jest płynny i pełen wdzięku.

Żałuję, że zdję-łam buty, bo teraz czuję się malutka i bez-bronna.

– Nie odpo-wia-dasz na pyta-nie.

– Znasz już odpo-wie-dź.

– Nie znam, kurwa!

Jego twarz pło-nie z gniewu.

– Oma-wia-li-śmy to kil-ka-na-ście razy! Od ponad roku ci mówi-łem, żebyś się wyco-fała.

Patrzę na niego przez dłuż-szą chwilę, zlo-do-wa-ciała pod cię-ża-rem gęstej mgły, która ści-ska mnie ze wszyst-kich stron. Język mam sztywny i zaschło mi w ustach. Serce wali w klatce pier-sio-wej. Gdy Ramin pod-cho-dzi do mnie, omi-jam go i pod-cho-dzę do wyspy. Chwy-tam jego drinka i upi-jam duży łyk. Zimna wódka roz-grzewa mi prze-łyk i ciężko opie-ram się o blat. Nie-do-brze mi. Nie jadłam nic od lun-chu. W gar-dle czuję smak żółci, która grozi podej-ściem do ust.

Gdy Ramin obej-muje mnie od tyłu, nawet nie drgnę. Jego nos i usta muskają moje włosy.

– Tęsk-ni-łem za tobą, kocha-nie. Cokol-wiek zro-bi-łem, żeby cię wku-rzyć, prze-pra-szam.

Nagle to do mnie dociera: oni wszy-scy mną mani-pu-lują.

To wspólny wysi-łek. Kane, Aliyah, Darius, Ramin. Może nawet Cla-ricie. Od lat jest posłuszną pra-cow-nicą Baha-ran. Czy Lily jest w to zamie-szana? Tylko ona powie-działa mi prawdę. A może to kłam-stwa?

Dla-czego? Jaki jest sens? Co chcą osią-gnąć?

Zapiera mi dech, gdy na myśl przy-cho-dzi mi inna moż-li-wość. A jeśli Lily też jest ofiarą? Może Kane dopro-wa-dził ją do sza-leń-stwa? Co, jeśli jej amne-zja dyso-cja-cyjna została wywo-łana przez to, że mącił jej w gło-wie? Nie tylko dzięki mistrzow-skiej umie-jęt-no-ści pra-nia mózgu, ale za pomocą jakiejś che-micz-nej sub-stan-cji swego taty, którą wycią-gnął z zaku-rzo-nego pudełka po butach.

Może nie-świa-do-mie biorę udział w jakiejś pró-bie kli-nicz-nej nowego leku? Cze-goś na mózg. Na alzhe-imera. Demen-cję. Schi-zo-fre-nię. A co, jeśli jestem kró-li-kciem doświad-czal-nym?

Jak się z tego wyrwiemy? Lily już raz się udało, ale Kane ją zna-lazł. Nie była mar-twa. Wie-dział, że w końcu ją wytropi. Dla-tego zacho-wał wszyst-kie jej ubra-nia. A kiedy ją znów zna-lazł, umie-ścił ochro-nia-rzy w szpi-talu i w apar-ta-men-cie, żeby nie mogła ponow-nie uciec.

Jak się wydo-stała dziś wie-czo-rem? Pew-nie tego chcieli. Może mnie spraw-dzają, czy pró-buję uciec. Muszę uwa-żać, dopóki nie będę mieć pew-no-ści.

Ręce Ramina błą-dzą wszę-dzie, pocie-rają mnie mię-dzy nogami, ugnia-tają moje piersi. Wpadł w tryb gwiazdy porno. Jego kutas jest taki twardy. Umiera z pra-gnie-nia, by mnie rznąć. Chce mojej gorą-cej cipy zaci-śnie-tej wokół jego fiuta. Nie może się docze-kać, żeby wytry-snąć we mnie swój ładu-nek.

Moje bro-dawki, które tak umie-jęt-nie szar-pie, są twar-dymi małymi czub-kami i struzka cie-płego pod-nie-ce-nia prze-pływa mi przez cipkę. Nie myślę o tym, ani o tym, jak dobrze Ramin pach-nie. Jakim cudem wszy-scy męż-czyźni z rodziny Arman-dów pachną tak

roz-kosz-nie, uwo-dzi-ciel-sko męsko? Kolejny zło-wrogi wytwór działu badań i roz-woju Baha-ran? Jakaś aro-ma-tyczna pigułka gwałtu? Moje powieki i koń-czyny stają się cięż-kie.

Nie mogę dopu-ścić, by się dowie-dzieli, że ich podej-rze-wam. Muszę uda-wać, że się z nimi zga-dzam, dopóki nie będę wie-działa wystar-cza-jąco dużo, by się do nich wszyst-kich dobrać. Myśląc o tym, płyn-nym ruchem obra-cam się twa-rzą do Ramina i zamy-kam oczy, gdy całuje mnie z miąż-dzącą siłą.

## ALIYAH

– Dziękuję – mówię do lokaja w libe-rii, gdy wska-zuje mi miej-sce na jed-nym z foteli sto-ją-cych mię-dzy dwoma łuko-wa-tymi oknami. Prze-zro-czy-ste firanki zapew-niają pry-wat-ność, a cięż-kie czer-wone zasłony ze zło-tymi frędz-lami obra-mo-wują widok na mia-sto. Jest połu-dnie, ale ogromne pomiesz-cze-nie oświe-tlają masywne żyran-dole ze sznu-rami krysz-ta-łów. Ozdobne gzymsy i sztu-ka-te-rie zdo-bią ściany, okna, sufit i drzwi. Wyczuwa się tu atmos-ferę daw-nej epoki, bogac-twa i pre-stiżu.

Ten pry-watny klub ist-nieje od połowy XIX wieku. W mie-ście liczą-cym ponad dzie-więć milio-nów miesz-kań-ców o jego człon-ko-stwo może się ubie-gać mniej niż tysiąc męż-cyżn. Praw-do-po-dob-nie ni-gdy wię-cej się tu nie poja-wię i jestem zdu-miona i zbul-wer-so-wana, że fał-szywa toż-sa-mość Lily nie blo-kuje jej wstępu do tak eks-klu-zyw-nych lokali. Kim jest męż-cyżna, który wpu-ścił ją jako swego gościa?

W sali roz-po-znaję kilka osób, które widzia-łam tylko w wia-do-mo-ściach tele-wi-zyj-nych lub na fil-mach. Pró-buję usiąść z taką samą swo-bodą i łatwo-ścią, ale plecy mam sztywne, a we krwi gotuje mi się wście-kłość. Zawsze ubie-ram się dobrze, ale dzi-siaj zach-o-wa-łam szcze-gólną sta-ran-ność, wie-dząc, że czeka mnie spo-tka-nie z Lily. Mój biały kom-bi-ne-zon z paskiem ma sze-ro-kie nogawki i pół-dłu-gie rękawy. Gor-set jest marsz-czony, aby pod-kre-ślić biust i koń-czy się tuż przy oboj-czyku, pod-czas gdy plecy są odsło-nięte do talii. Z klasą, ele-gancko, sek-sow-nie. Nie ustę-puję żad-nej kobie-cie w tym pomiesz-cze-niu.

Gdy zja-wia się kel-ner, zama-wiam szam-pana dla dwóch osób i spraw-dzam godzinę. Jesz-cze trzy minuty i Lily będzie spóź-niona.

Gdy-bym miała wybór, wola-ła-bym spo-tkać się w moim biu-rze. Ide-alne pole bitwy to zawsze miej-sce naj-bar-dziej zna-jome i daje prze-wagę tak-tyczną. Ale Kane by o tym usły-szał, a ja nie jestem gotowa wal-czyć z nimi oboj-giem. Jesz-cze nie. Chcę ją naj-pierw roz-gryźć, na osob-no-ści. Niech zoba-czy, z czym się mie-rzy. Moim dru-gim wybo-rem byłoby spo-tka-nie w hotelu na neu-tral-nym tere-nie, ale dała mi ten adres. Nie wie-dzia-łam, dokąd się wybie-ram, dopóki tu nie przy-je-cha-łam.

Szmer zakłó-ca-jący ciszę kie-ruje moją uwagę na drzwi do sali, gdy wcho-dzi Lily. Lokaj uśmie-cha się, roz-ma-wia-jąc z nią. Cho-ciaż moja synowa idzie zde-cy-do-wa-nym kro-kiem, uprzej-mie słu-cha, co męż-cyżna do niej mówi.

Jej czer-wona jedwabna spód-nica sięga nie-mal do kostek i przy każ-dym kroku lekko się wokół nich roz-sze-rza. Wzięła jedną z bia-łych koszul Kane’a, skrzy-żo-wała z przodu poły i zawią-zała koń-ce nisko na ple-cach. Rubiny zwi-sają jej z uszu, ota-czają szyję i nad-garstki, ale jakoś nie robi to wra-że-nia nad-miaru. To sty-li-za-cja na dzień, w któ-rej nie-wiele kobiet może dobrze wygła-dać.

– Pani już jest – infor-muje lokaj bez potrzeby, wycią-ga-jąc rękę w moją stronę, jakby mnie przed-sta-wiał.

– To piękne miej-sce. Dziękuję.

Zapo-mnia-łam ten głos. Patrząc na nią, można by się spo-dzie-wać, że będzie mówić jak Jes-sica Rab-bit, a nie słodka Betty Boop. Jed-nak kiedy się odzywa, ten głos nie tylko do niej pasuje, ale brzmi nie-bez-piecz-nie ero-tycz-nie. Jest koci-miętką dla Kane’a, a on zrobi wszystko, uwie-rzy we wszystko, żeby się nią roz-ko-szo-wać.



Lokaj uśmiecha się i lekko pochyla w ukłonie.

– Miło znów panią widzieć, Lily.

– Ciebie też, Ari.

Siada w fotelu naprzeciwko mnie, kładzie na stoliku czerwoną skórzaną koper-tówkę i krzyżuje swoje długie nogi.

– Ach... dobrze jest wybrać się do mia-sta. Uwielbiam pen-tho-use, ale cza-sami trzeba na trochę wyrwać się z domu.

– To pierwszy raz, kiedy opuściłaś Kane'a?

– Tak. – Śmieje się. – Choć-ciąż przy-jechał ze mną. Je tutaj lunch z Gideonem Cross-em.

Cross, oczywiście. Choć-ciąż to nie wyjaśnia, dla-czego lokaj wyda-wał się dobrze ją znać. I naj-wy-raź-niej tylko ja roz-wa-ża-łam ukrycie tego spo-tka-nia przed Kane'em. Mogłyśmy się spo-tkać w Baha-ran. Dla mnie tak byłoby o wiele lepiej.

Dwaj kel-ne-rzy przy-no-szą nam szam-pana w kubku z lodem i dwoma deli-kat-nymi kie-lisz-kami. Lily zama-wia wodę gazo-waną z cytryną.

– Pomyślałam, że wzniesiemy toast za twój powrót – mówię łagodnie, ukrywając iry-tację. Jest przekorną dziewczyną, naj-wy-raź-niej zamie-rza robić wszystko inaczej, niż ja chcę.

Jej uśmiech jest tak słodki, że aż bolą mnie zęby.

– Nie piję.

Machnięciem ręki odsyłam szam-pana i zamiast niego zama-wiam białą kawę.

Kiedy znów zostajemy same, uderzam szybko, by wyko-rzy-stać element zaskoczenia.

– Czy Kane wie, jak się naprawdę nazywasz?

Uśmiecha się spokojnie.

– Co sprawa, że nazwisko jest prawdziwe?

Zaciśkam usta. Nawet nie mru-gnęła.

– Uważam to za bardzo dziwne – mówię – że nie przeszkadza ci, że w prywatnych chwilach z mężczyzną, którego kochasz, on zwraca się do ciebie innym imieniem.

– Czy kiedykolwiek ci mówiłam, że go Kocham? – pyta z zaciekawieniem. – O ile pamiętam, ledwie wymieniłyśmy ze sobą kilka słów i nigdy nie rozmawiałyśmy o Kane.

Przesuwam się, odru-chowo prostując plecy.

– Lubisz uprawiać gierki.

– Tak. – Kołysze nogą w przód i w tył. – Jestem w nich bardzo dobra. Powinnaś sobie znaleźć innego przeciwnika.

Pojawiają się jej woda i moja kawa. Lily obdusza kel-nera anielskim uśmiechem.

– Czego chcesz? – pytam. – Ile chcesz?

Opierając przedramię na kolanie, pochyla się do przodu, a jej szmaragdowe spojrzanie jest ostre jak laser. Nie po raz pierwszy zauważam, jak chłodne i wycho-wane są te oczy. Kane tego nie widzi, bo ona zawsze stara się patrzeć na niego z żarem. Oczywiście, może nie musi tego udawać. Kane ma taką samą bujną seksualność jak jego ojciec, a kobiety nie mogą się jej oprzeć.

– Czego ty chcesz, Aliyah?

– Chronić mojego syna, rodzinę i moją firmę.

– Twoja motywacja nie jest aż tak szlachetna – stwierdza lekceważąco. – Łatwiej mogłaś rzucić Kane'em, kiedy był na wpół martwy z żalu i nie miał innego powodu, by żyć, poza Baha-ran. Chcesz się mnie pozbyć w nadziei, że znów się stanie pracocholikiem, ale mój

powrót zasad-ni-czo go zmie-nił. Nie możesz tego cof-nąć.

Się-gam po deli-katny spodek, na któ-rym stoi moja fili-żanka z kawą.

– Myślisz, że masz moc mani-pu-lo-wa-nia Kane'em? Ponie-waż jego cier-pie-nie z powodu innej kobiety dopro-wa-dziło go do roz-pa-czy, a ty zma-ci-łaś mu umysł sek-sem? To nie potrwa długo. Zmę-czysz się odgry-wa-niem roli, a on znuży się tobą.

Lily unosi brwi.

– Innej kobiety?

– Wiem o two-ich przy-bra-nych nazwi-skach. Wiem, że nie ma legal-nego spo-sobu, by pójść śla-dem pie-nię-dzy. Wiem, że nie jesteś Lily, ponie-waż straż przy-brzeżna zna-la-zła jej ciało. Robisz nie-sły-cha-nie skom-pli-ko-wany prze-kręt, ale popeł-niasz błędy.

Noz-drza jej się roz-sze-rzają, gdy głę-boko nabiera powie-trza, i roz-siada się wygod-nie w mięk-kim fotelu. Sub-telny sygnał, ale mimo wszystko odwrót. Czuję przy-pływ satys-fak-cji. Teraz już nie jest taka pewna sie-bie.

– Chcesz jego pie-nię-dzy – kon-ty-nu-uję, bo moje pierw-sze strzały były tak sku-teczne – i jesteś prze-świad-czona, że możesz się dorwać do przy-naj-mniej czę-ści z nich, ale zapo-mnia-łaś o zna-jo-myh Kane'a, z któ-rych wielu dobrze znało Lily. A zarząd Baha-ran i inwe-sto-rzy dopil-nują, żebyś nie wpły-neła na wyniki finan-sowe. I nie lek-ce-waż Gide-ona Crossa. Nie-mal neu-ro-tycz-nie oba-wia się złej prasy. Im dłu-żej będzie trwać ta twoja farsa, tym bar-dziej ludzie zechcą ją zakoń-czyć.

Znów zaczyna koły-sać nogą.

– Kochasz swo-jego syna?

– Oczy-wi-ście.

– Powiedz mi, dla-czego był tak bar-dzo samotny, kiedy pozna-łam go na stu-diach? Dla-czego sam obcho-dził swoje uro-dziny? Dla-czego nikt z was ni-gdy nie był na meczach, w któ-rych grał?

Szczęka mi się zaci-ska. Nie mogę uwie-rzyć, że roz-ma-wiał z nią o takich spra-wach. Jedna rzecz, jeśli osza-lał z pożą-da-nia. Co innego, jeśli jest naprawdę zaan-ga-žo-wany emo-cjo-nal-nie.

– Nie muszę ci się tłu-ma-czyć.

– Chcesz dostać ode mnie odpo-wie-dzi. – Pochyla się do przodu tak szybko, że czuję się fizycz-nie zagro-żona. – Oto jedna: to ty jesteś odpo-wie-dzialna za jego obse-sję na moim punk-cie. Ty pozby-łaś się go, kiedy to było dla cie-bie wygodne. Ty pozo-sta-wi-łaś go samemu sobie, tak jak Paul to zro-bił. Wy oboje zosta-wi-li-ście w nim pustkę, którą powinni wypeł-nić rodzice. A więc tak to jest. Ja go dopeł-niam.

– A to dobre! – Śmieję się, ale nie ma w tym weso-ło-ści. – Kane był doro-sły, kiedy opu-ścił dom, a ja mia-łam pełne ręce roboty z jego braćmi i Rosaną. Nic dziw-nego, że zawsze był popu-larny. Dziew-czyny wzdy-chały za nim już w szkole śred-niej, a sytu-acja się pogor-szyła, kiedy jego popęd sek-su-alny wsco-czył na wyso-kie obroty. Nie jestem w sta-nie zli-czyć, ile razy przy-ła-pa-łam go z dziew-czyną w jego pokoju. Dla-czego miałby chcieć spē-dzać uro-dziny z młod-szym rodzeń-stwem, skoro zamiast tego ktoś mógłby ssać jego fiuta? Po co się męczyć na kola-cji po meczu z rodziną spoza mia-sta, kiedy wszyst-kie te dziew-czyny cze-kały, by świę-to-wać pod nim?

W jej uśmie-chu poja-wia się lodo-waty chłód.

– W ogóle nie postrze-gasz go jako istoty, która ma uczu-cia, prawda? Czy to dla-tego, że jest mę-z-czy-zną, czy dla-tego, że ina-czej nie mogła-byś ze sobą żyć? To nie tylko okropna wymówka, ale także prze-czy two-jej logice co do moich inten-cji. Kobiety usta-wiają się w kolejce, żeby wsco-czyć mu do łóżka, a mnie zależy tylko na jego kon-cie ban-ko-wym?

Ni-gdy nie przy-szło ci do głowy, że może po pro-stu go pra-gnę? Ponie-waż cenisz pie-nią-dze bar-dziej niż Kane’a, nie wyobra-żasz sobie, że mogła-bym nie czuć tego samego.

Ostroż-nie sta-wiam fili-żankę na spodku i wstaję, patrząc jej w oczy.

– Popeł-niasz kolejny błąd, uwa-ża-jąc, że o niczym nie wiem. Lepiej pomyśl o kwo-cie odprawy, która pozwoli ci prze-trwać, zanim poszu-kasz kogoś mniej osa-mot-nio-nego niż Kane. Wykre-owa-łaś z sie-bie piękną kobietę. Nie będziesz miała pro-blemu ze zna-le-zie-niem kogoś innego.

– Lepiej, żebyś pra-co-wała ze mną nad tym, żeby Kane był szczę-śliwy.

Chwy-tam torebkę i okrą-żam sto-lik do kawy. Wło-ski na karku i rękach mi się jeżą. Piesz-czota powie-trza na moich nagich ple-cach, zazwy-czaj tak zmy-słowa, jest niczym duch.

Zatrzy-muję się przy jej fotelu.

– Pla-nuję dla cie-bie przy-ję-cie powi-talne. Zapra-szam wszyst-kich zna-jo-mych Kane’a i Lily. Rów-nież przy-ja-ciół Sage, Daisy i wszyst-kich innych kwia-to-wych imion, któ-rych uży-wa-łaś. To będzie nie-złe wyda-rze-nie. Możesz zadzwo-nić do tej swo-jej sty-listki i kupić nową sukienkę. Wkrótce dosta-niesz zapro-sze-nie. Dzięki za kawę.

Kiedy wycho-dzę z sali, na mojej twa-rzy poja-wia się lekki uśmiech, ale cała drzę.

– Aliyah.

Pewna sie-bie postawa, gdy odwra-cam się do niej, wymaga ogrom-nego wysiłku. Uno-szę brew w nie-mym pyta-niu.

Wykrzy-wia lekko usta. To takie sub-telne, ta zmiana w niej. Wygląda na abso-lut-nie spo-kojną. Na jej pięk-nej twa-rzy poja-wia się lekki, tajem-ni-czy uśmiech, jak-by-śmy były dwiema bli-skimi powier-ni-cami, cie-szą-cymi się chwilą zabawy. Ale ener-gia wokół niej się zmie-niła. Nawet z odle-gło-ści kilku metrów czuję chłód. Jej oczy, te jasne, błysz-czące szma-ragdy, stra-ciły swój pło-mień i stały się bez-duszne. Jest nie-bez-pieczna w inny spo-sób, niż wcze-śniej sądzi-łam.

– Nie zapo-mnij zapro-sić swo-ich wspól-ni-ków ze Seat-tle – mówi uprzej-mie. – Jestem pewna, że Kane nie może się docze-kać, by ich poznać.

Patrzę na nią. Nie wiem, na jak długo zamie-ram w bez-ru-chu, z zasty-głym uśmie-chem i zeszyw-niała. Boję się. Głę-boko w zaka-mar-kach duszy, do któ-rych nie chcę zaglą-dać.

Wycho-dząc, docie-ram do głów-nego holu, z kase-to-nową kopułą i podwój-nymi krę-tymi scho-dami. Mój syn je lunch gdzieś w tym budynku z pew-nym potęż-nym czło-wie-kiem. Kane praw-do-po-dob-nie try-ska dobrym zdro-wiem, poczer-wie-niały z zado-wo-le-nia, że posiada osza-ła-mia-jącą kobietę w każ-dej chwili gotową roz-ła-do-wać wszel-kiego rodzaju stres i napię-cie. Być może już ocze-kuje dzi-siej-szego wie-czoru, nie mając poję-cia, że zwi-nie się z wężem w swoim łóżku.

Wycią-gam z torebki zwiewny biały szal i z wyćwi-czoną szyb-ko-ścią owi-jam nim włosy i szyję, po czym wycho-dzę na ulicę. Zasta-na-wiam się, czy nie zadzwo-nić po tak-sówkę, ale docho-dzę do wnio-sku, że potrze-buję cze-goś moc-niej-szego niż kofe-ina. Dostrze-gam restau-ra-cję i bar na końcu ulicy i idę tam. Z dnia na dzień robi się coraz cie-plej, wil-goć w powie-trzu gęst-nieje z mie-siąca na mie-siąc. Słońce stoi wysoko na nie-bie, tak jasne, że żałuję, że nie mam oku-la-rów prze-ciw-sło-necz-nych. Z ulgą wcho-dzę do chłod-nego wne-trza restau-ra-cji i zatrzy-muję się na chwilę, pozwa-la-jąc przy-wyk-nąć oczom.

Hostessa, młoda kobieta w obo-wiąz-ko-wej małej czar-nej, uśmie-cha się.

– Dzień dobry. Czy ma pani rezer-wa-cję?

Zer-kam do baru.

– Przy-szłam tylko na drinka.

– Jest wolne miej-sce przy barze – mówi, ale ja już odcho-dzę. Zaj-muję jeden ze

stoł-ków baro-wych i zsu-wam szal. Jestem moc-niej wstrzą-śnięta, niż chcę to przy-znać. Kiedy wrócę do biura, zor-ga-ni-zuję pilne spo-tka-nie z Dariu-sem, a potem zadzwonię do Ryana. Skła-ma-łam na temat imprezy, ponie-waż nie mogłam znieść myśli, że wyjdę z klubu z pod-ku-lo-nym ogo-nem. Nie dam się zastra-szyć kobie-cie zbyt spryt-nej, by wyja-wić coś poży-tecz-nego i zbyt nie-bez-piecz-nej, żebym mogła sama sta-wić jej czoło.

Zama-wiam kie-li-szek pinot noir. W środku dnia powin-nam wziąć białe wino, ale czer-wone wydaje się mieć odpo-wied-nią powagę. Upi-jam pierw-szy łyk i wzdy-cham. Za barem jest tele-wi-zor i patrzę na ekran.

Głos jest wyci-szony, ale nie-po-trzebny, napisy na pasku prze-ka-zują infor-ma-cje wszyst-kim zain-te-re-so-wa-nym. Odwra-cam wzrok, zauwa-ża-jąc więk-szość pustych sto-li-ków w barze, cho-ciaż w restau-ra-cji panuje oży-wie-nie, a drzwi wej-ściowe czę-sto dzwo-nią.

– Tak myśla-łem, że to ty.

Plecy sztyw-nieją mi na dźwięk tego głosu. Pot poja-wia mi się na dło-niach i skó-rze głowy. Serce mi wali, nagły przy-pływ paniki i stra-chu przy-pra-wia mnie o zawrót głowy. Obra-cam się na stołku, modląc się, żebym się myliła i była po pro-stu zde-ner-wo-wana i roz-ko-ja-rzona.

To nie może być part-ner biz-ne-sowy Paula. Po pro-stu nie może.

Obró-ciw-szy się, widzę twarz z moich kosz-ma-rów. Robi mi się nie-do-brze.

Alex Gal-la-gher patrzy na mnie w ten zna-czący spo-sób, który spra-wia, że cierp-nie mi skóra.

– Ufar-bo-wane na blond włosy mnie zmy-liły, ale to ciało... – Prze-suwa języ-kiem po dol-nej war-dze. – Znam je bar-dzo dobrze.

Zaschło mi w ustach. Chcę krzy-czeć, ale bra-kuje mi śliny. Celowo się ze mną drażni. Moja głę-boka odraza go pod-nieca. Im bar-dziej mnie rani i poniża, tym wię-cej czer-pie przy-jem-no-ści.

Upi-jam łyk wina. Moja drżąca dłoń wstrząsa nim w kie-liszku. Chłodny tru-nek roz-luż-nia mi język.

– Odejdź ode mnie.

Były part-ner Paula tylko się uśmie-cha i sięga po kosmyk moich wło-sów. Szarp-nię-ciem ramie-nia unie-moż-li-wiam kon-takt.

– Nie doty-kaj mnie.

– Oj... nie bądź taka. Jeste-śmy sta-rymi przy-ja-ciółmi.

Pochyla się i jego zapach spra-wia, że trzęsę się z obrzy-dze-nia. Wszyst-kie obrazy, które zamknę-łam w głę-bo-kim, ciem-nym miej-scu umy-słu, wyta-czają się na zewnątrz. Lily uchy-liła wieko; głos, zapach i lek-ce-wa-żące spoj-rze-nie Alexa wywa-żają je sze-roko.

Nasza nie-na-wiść jest obo-pólna. Wyro-sła po tym, jak został part-ne-rem Paula. Na początku byłam pod-eks-cy-to-wana. Sta-no-wili świetny zespół, obaj atrak-cyjni i cha-ry-zma-tyczni, inte-li-gentni i ambitni. Mieli wspól-nie zre-wo-lu-cjo-ni-zo-wać branżę, a nasza przy-szłość zapo-wia-dała się bar-dzo obie-cu-jąco. Żona Alexa, Ingrid, i ja bawi-ły-śmy się i spę-dza-ły-śmy razem cały wolny czas. Była posą-gową blon-dynką, a jej córka złotą dziew-czyną. Kie-dyś wyobra-ża-li-śmy sobie, że Kane i Astrid mogliby zostać parą.

A potem wszystko zaczęło się zmie-niać. Paul zyski-wał więk-szą popu-lar-ność. Myśla-łam, że może po pro-stu dla-tego, że jego wzrost przy-ku-wał uwagę, tak jak jest w przy-padku Kane'a, ale Paul był rów-nież swo-bodny, skromny i miał auto-iro-niczne poczu-cie humoru. Był mniej agre-sywny niż Alex, bar-dziej wylu-zo-wany i zabawny. Zaczął otrzy-my-wać wię-cej zapro-szeń imien-nych niż jego part-ner. Roz-ma-wia-jąc pod-czas

spo-tkań biz-ne-so-wych, ludzie zwy-kle patrzyli na niego, a na Alexa tylko zer-kali.

Po kilku latach współ-pracy zaczęły się nie-sto-sowne komen-ta-rze.

„Zawsze wola-łem bru-netki”.

„Lubię kobiety z krą-gło-ściami”.

„Masz piękne usta. Założę się, że Paul uwiel-bia mieć w nich swego kutasa”.

Potem zaczęło się doty-ka-nie – ręka na kola-nie pod sto-łem i nie cał-kiem przy-pad-kowe muśnię-cia moich poślad-ków i piersi. Musia-łam uni-kać pozo-sta-wa-nia z nim sam na sam i zawsze sta-ra-łam się mieć koło sie-bie Paula lub Ingrid.

Nie wie-dzia-łam, jak wyja-śnić to Pau-lowi. To nie był zwy-klý sek-su-alny pociąg ani nawet zazdro-sne pożą-da-nie. To była tok-syczna mie-szanka urazy i zło-ści, a Alex nie miał jaj, by wyła-do-wać ją na Paulu. Sta-no-wi-łam tylko zastęp-stwo.

I kiedy Paul zosta-wił mnie samą i bez-bronną z Kane'em, nie mia-łam nic do zaofe-ro-wa-nia w zamian za nazwę Baha-ran i patenty che-miczne, za które Paul bez-po-śred-nio odpo-wia-dał. A dopiero co zruj-no-wany i roz-wie-dziony Alex miał spo-soby, aby zmu-sić mnie do zapła-ce-nia za wszyst-kie znie-wagi, które według niego zostały mu wyrzą-dzone.

Na-dal płacę. I będę pła-cić do końca życia.

Kła-dzie mi rękę na ramie-niu i całe moje ciało się bun-tuje. Wyry-wam ramię. Kie-li-szek w mojej dłoni gwał-tow-nie się prze-chyla. Cza-sza roz-bija się o blat baru, a krwi-sto-czer-wone wino roz-lewa się.

Moje ciało poru-sza się z wła-snej woli, wście-kłość wybu-cha w moim umy-śle nagłym pło-mie-niem. Alex krzy-czy roz-pacz-li-wie i brzmi to prze-ra-ża-jąco nie-ludzko.

Ból prze-szywa mi palce i dłoni. Instynk-tow-nie odry-wam rękę od jego źró-dła.

I patrzę z prze-ra-że-niem na widok wyszczer-bio-nego kie-liszka do wina z nóżką wysta-jącą z kro-cza Alexa Gal-la-ghera.



## LILY

Budzę się wcześniejsz od ciebie i leżę cicho w ciemności, przyglądając się, jak śpisz.

Jedną rękę zarzucałeś nad głowę; druga leży na twoim twarzym brzuchu. Prześciera dło opada nisko na biodra i owija się wokół ud, odsłaniając długie nogi. Kołdra leży między nami. Gdy śpisz, jest ci gorąco, promieniujesz ciepłem. Mnie jest zimno i potrzebuję ciężkich koców.

Jesteś, jak zawsze, głęboko podniecającą pokusą.

Sfortawalam cię już raz w tej pozycji. Jak mogłabym się oprzeć? Jesteś seksowny i potężny, nawet kiedy odpoczywasz. Twoje ciało jest mistrzowsko wyrzeźbione, tak doskonale zarysowane pod każdym względem. Nie wiem, jak udaje mi się znieść twoją siłę, gdy żądza trzyma cię w swoim nieubłagającym uścisku.

Powiedziałeś kiedyś, że kochanie się ze mną jest jak umieranie, i pewnie to prawda. Może wcale nie mogę przeżywać twojej miłości. Być może, niczym feniks, odrodzam się wciąż na nowo.

*La petite mort*, kochany. Jak sam powiedziałeś, mam nadzieję, że ostatecznie nie wydam z siebie w twoich ramionach.

To będzie dla nas ważny dzień.

Najdalej byliśmy od siebie wczoraj, kiedy jadłeś lunch na innym piętrze tego samego budynku. Dziś idziesz pracować do biura, a ja zostanę bez ciebie po raz pierwszy, odkąd wyszłam ze śpiączki. Wspólnie i bez dyskusji przyjeśliśmy tę miarę czasu: zanim odyskałam przytomność i po tej chwili. W pewnym momencie zdecydowałeś, że skupisz się tylko na tym, co jest później. Ale w takim razie skrywasz sekrety sprzed lat, prawda?

Wiedziałam, że kiedy zjesz lunch z Gideonem Crossem, zostaniesz wciągnięty z powrotem do korporacyjnego świata, który tak beztraktownie odrzuciłeś. Polowanie masz we krwi; potrzebę sciągania i smakowania zwycięstwa. Twoja wiedza o samym sobie jest w najlepszym przypadku elementarna. Mam nadzieję, że pomogę ci odkryć wszystkie twoje oblicza, dobrać twoje wewnętrzne piękno i pokochać ciebie tak głęboko, jak ty kochasz mnie.

Twój oddech się zmienia. Równe tempo zaczyna się przy szybkim, głębokim wdechu. Zamykam oczy i udaję, że śpię, gdy się wyciągasz, a potem odwracasz w moją stronę. Czuję twój wzrok na swojej twarzy i słyszę twoje westchnienie. W niektóre noce śpisz niespokojnie, a kiedy kochasz się ze mną, w twojej miłości jest coś gorączkowego. Czy śnisz o latach, kiedy byłeś sam? Nie wiem, jak zabrać od ciebie ten ból.

Opuszczasz moje łóżko i słyszę miękki odgłos twoich kroków, gdy idziesz do mojej łazienki. Porzucałeś swoją sypialnię z poprzednim Lily i teraz dzielisz ze mną mój pokój i łóżko. Twoje przybory toaletowe stoją przy mojej drzwiczce umywalki. Zachowałeś swoją garderobę, ale w mojej jest część, w której trzymasz kilka rzeczy. Lubię widzieć nasze ubrania razem.

Mój pokój pachnie teraz nami obojgiem. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję urządzić naszą sypialnię w taki sposób, żeby wyglądała jak naprawdę nasza. Mam nadzieję na wiele rzeczy. Z każdym mijającym dniem na więcej i więcej.

To jed-nak będzie moż-liwe tylko wtedy, gdy odniosę dzi-siaj suk-ces.

Prze-wra-cam się na swoją stronę łóżka i wkła-dam do ust mię-tówkę. Sły-szę szum wody w umy-walce. O czym myślisz w tych chwi-lach, gdy się przy-go-to-wu-jesz do kocha-nia się ze mną? Chcia-ła-bym móc czy-tać w two-ich myślach. To nie czyn-ność gole-nia się wywo-łuje erek-cję.

Woda zostaje zakrę-cona i moje bro-dawki tward-nieją. Mię-dzy nogami wagina wil-got-nieje z pra-gnie-nia. Dobrze mnie wyszko-li-łeś. Mój rytm dobowy nie-ro-ze-rwal-nie splótl się z twoim pożą-da-niem. Prze-krę-cam się na bok, gdy wra-casz zupeł-nie nagi i pod-nie-cony. Uśmie-cham się, gdy uno-sisz prze-ście-ra-dło i wsu-wasz się pod nie.

– Hej – mru-czysz, odwza-jem-nia-jąc mój uśmiech, gdy chwy-tasz mnie pod ramię i prze-su-wasz na śro-dek mate-raca. Okry-wasz moje ciało swoim, twoja skóra jest chłodna, ale ciało gorące. Twoja szczęka jest wil-gotna i wolna od zaro-stu.

Przy-ci-skasz usta do moich. Twój upa-ja-jący poca-łu-nek spra-wia, że jestem odu-rzona pod-nie-ce-niem.

Mija godzina, gdy padasz obok mnie na plecy, ocie-ka-jąc potem i ciężko dysząc. Całe moje ciało mrowi i pul-suje, nawet palce u stóp i czubki pal-ców dłoni. Obfita wil-goć pokry-wa-jąca mój srom dowo-dzi inten-syw-no-ści twego orga-zmu. Słońce wlewa się teraz przez ogromne, nie-za-sło-nięte niczym okno w łazience, nasy-ca-jąc pokój wystar-cza-jącą ilo-ścią świa-tła, by wyraż-nie widać było oto-cze-nie.

Wyma-cu-jesz moją dłoń i spla-tasz nasze palce.

– Nie spie-szy mi się z powro-tem do biura. Dosko-nale sobie radzę, pra-cu-jąc stąd.

Odwra-cam głowę i widzę twoje spoj-rze-nie. Twoje oczy wyra-żają tro-skę i tyle miło-ści, że zapiera mi dech w pier-siach. Mogę ukryć przed tobą wiele rze-czy, ale sama nie mogę się przed tobą ukryć. Widzisz mnie tak dobrze i tak jasno odczy-tu-jesz moje uczu-cia. Musia-łeś wyczuć mój nie-po-kój. Nie cier-pię tej obawy o nad-cho-dzące godziny, ale wiem, że błę-dem byłoby czuć spo-kój. Ten lęk pozwala mi zacho-wać czuj-ność i różni mnie od matki.

Uno-szę nasze sple-cione dło-nie do ust i całuję kostki two-ich pal-ców.

– Chcę tylko, żebyś był ostrożny. Bądź nad-mier-nie ostrożny, nawet jeśli przez to poczu-jesz się głu-pio. Zrób to dla mnie.

Patrzysz na mnie i odsu-wasz mi z policzka wil-gotne kosmyki wło-sów. Potem całujesz mnie deli-kat-nie i słodko.

– Zro-bię dla cie-bie wszystko, czy to będzie głu-pie, czy nie.

– Dzie-kuję.

– Pra-cuję nad naszym pro-ble-mem z Valem Laską. Zaj-muje się tym bar-dzo wielu moich ludzi. Nowo-jor-ska poli-cja też go ściga

– Wiem.

Twój uśmiech jest bar-dzo pewny sie-bie i nie-za-prze-czał-nie sek-sowny.

– Wszystko okej? Naprawdę?

– Przed chwilą mia-łam trzy orga-zmy, Kane – odpo-wia-dam z iro-nią. – Jest bar-dziej niż okej. Idź. Przy-go-tuj się. Może będę miała dla cie-bie nie-spo-dziankę, zanim wyru-szysz na pod-bój świata.

Uno-sisz brwi.

– Zdradź choć tro-chę.

– Nie. Rusz się, jeśli chcesz się dowie-dzieć.

Wyda-jesz z sie-bie prze-sadne, dłu-gie wes-tchnie-nie i wsta-jesz z łóżka.

– Czy kie-dy-kol-wiek zosta-wi-łem cię w nie-pew-no-ści?

– Tak czę-sto, jak to tylko moż-liwe, i wiesz o tym! – mówię ze śmie-chem.

Uprzejmie idziesz pod prysznic do swojej łazienki, żebym mogła przygoto-wać się w swojej. Suszę włosy i robię maki-jaż.

Wiem, że powin-nam się ubrać, ale nie mogę wykrze-sać z siebie ener-gii, żeby się potem prze-brać, bo będę musiała to zro-bić po twoim wyj-ściu. Zostaję więc w kimo-nie. Jest tyle do zro-bie-nia i tak wiel-kie ryzyko z tym się wiąże. Będę musiała wyko-rzy-stać cały swój poten-cjał. Muszę być tym wszyst-kim, czym mia-łam się stać zgod-nie z ocze-ki-waniami mojej matki.

Kiedy znów cię widzę, jest to twoje odbi-cie w lustrze mojej toa-letki. Witte nie-dawno obciął ci włosy, cho-ciaż dłu-go-ścią bar-dziej przy-po-mi-nają te, które носи-łeś na stu-diach, niż kiedy obu-dzi-łam się w szpi-talu. Wło-ży-łeś gra-na-towy, trzy-czę-ściowy gar-ni-tur, kosz-towny mate-riał ma lekki połysk. Kolor jest piękny, przy-po-mina ciemny sza-fir, a ty połą-czy-łeś go z per-ło-wo-szarą koszulą i kra-wa-tem. Lilie na spin-kach do man-kie-tów wywo-łują lek-kie ukłu-cie w moim sercu.

Jestem tak zafa-scy-no-wana tym, jak wytwor-nie i przy-stoj-nie wyglą-dasz, że zapo-mi-nam, co robi-łam, dopóki nie wyj-mu-jesz szczotki ze srebrną rączką z moich zdrę-twia-łych pal-ców. Bie-rzesz drugą taką samą z toa-letki i prze-jmu-jesz zada-nie – obiema rękami, w spo-koj-nym ryt-mie.

Przy-my-kam oczy, gdy ostroż-nie prze-cią-gasz sier-ścią dzika po moich wło-sach. Przy krót-kiej fry-zu-rze to nie to samo, prawda? Nie ma potrzeby uży-wać dwóch szczo-tek, ale ty to robisz i jesteś w tym bie-gły.

– Szcze-rze współ-czuję wszyst-kim innym kobie-tom na świe-cie – mówię. – Będą cię pra-gnąć, ale ni-gdy nie będą cię miały.

– Grasz na zwłokę. – Twój głos jest przy-ci-szony i cie-pły z roz-ba-wie-nia.

– Nie sły-sza-łeś o opóź-nio-nej gra-ty-fi-ka-cji?

– Tak, i to mi nie odpo-wiada.

– Nie-wąt-pli-wie. Zjedzmy śnia-da-nie, a potem...

Prze-ry-wasz szczot-ko-wa-nie moich wło-sów.

– Wysta-wiasz moją cier-pli-wość na próbę, *Seta-reh*.

Ni-gdy nie widzia-łam cię takiego nie-cier-pli-wego i wycze-ku-ją-cego jak dziecko na Gwiazdkę. To roz-koszne.

Śmie-jąc się, posta-na-wiam cię nie tor-tu-ro-wać. Zbyt ważne jest, by cię uszczę-śli-wić. Wstaję i pod-cho-dzę do noc-nej szafki. Sto-isz za mną, kiedy się odwra-cam, by dać ci małe, skó-rzane pudełko. Znów się śmieję.

– Jesteś okropny.

Z zado-wo-lo-nym z siebie uśmie-chem bie-rzesz je ode mnie.

– Nie o tym mówi-łaś godzinę temu.

– Nic nie mówi-łam godzinę temu.

– Potra-fię prze-tłu-ma-czyć twoje jęki. – Otwie-rasz pudełko i lekko prze-chy-lasz głowę. Ostroż-nie wycią-gasz zabyt-kowy zega-rek kie-szon-kowy z dewizką.

Zabie-ram pudełko, żebyś miał wolne ręce i przy-glą-dam się, jak otwie-rasz wieczko zegarka.

Czy-tasz inskryp-cję, bar-dzo cicho wyma-wia-jąc słowa.

– Sekundy, które ci zawdzię-czam i wiele wię-cej.

Zasta-na-wia-łam się, czy pamię-tasz, co mi powie-dzia-łeś w domu na plaży. Kiedy z tru-dem prze-ły-kasz ślinę, wiem, że tak. Zamy-kasz wieczko, kciu-kiem muskasz wygra-we-ro-wane obrazy Księ-życa i gwia-zdzi-stego nieba zdo-biące przód i tył koperty. Już wię-cej nie ma lilii. Zaci-skasz go w dłoni.



– Dziękuję – mówisz ochryplym głosem. – Będę o niego dbał.

Przyciągnij mnie do siebie i mocno całuj.

Przyśniadaniu pokazujesz zegarek Witte'emu. Ten zerka na mnie i uśmiecha się, jakby ten dar mu się podobał.

– To godny podziwu przedmiot i cudowny prezent.

Za twoim pozwoleniem przyciśnięta dewizka do dziurki na guzik w kamizelce i wsuwa zegarek do kieszonek. Oczywiście jestem nieobiektywna, ale dodatkowo w postaci łańcuszka uważam za bardzo seksowny.

Kiedy przychodzi czas, żebyś wyszedł, odprowadzam cię do drzwi i całuję na widzenie. To dla mnie wzruszające rozstanie, dlatego zwlekasz.

Przyglądasz się mojej twarzy. Bez wyświechtanych obcasów jestem od ciebie kilkanaście centymetrów niższa, a ty wydajesz się ogromny.

– Sprawiasz, że bardzo trudno cię opuścić, *Seta-reh*.

– Przepraszam. Nie chciałam. – Ścisnę cię za nadgarstki. – Przyśięgam, że nic mi nie jest. Mam Witte'a i milion rzeczy do zrobienia. Zanim się obejrzę, będziesz z powrotem w domu.

Wciąż na mnie patrzysz, wyrażając rozdzierający ból.

– Może po kolacji obejrzemy jakiś film? – proponuję. – Zobaczmy, jak długo uda nam się śledzić akcję, zanim zaczniemy obściskać się jak nastolatki.

Twój uśmiech nie dociera do oczu.

– Już się nie mogę doczekać.

Staję na palcach i cię całuję.

– Idź już, zanim cię zatrzymam. I bądź czujny. Miej oczy z tyłu głowy. Masz moje serce. Nie złam go.

– Ty mi obiecaj to samo.

Patrzę, dopóki winda nie zamyka cię w środku. Widzę dwóch ochroniarzy w eleganckich czarnych garniturach stojących po obu stronach wejścia i krótkim skinieniem głowy odpowiadają na ich spojrzenia. Potem zamkniętymi drzwiami i ciężko się o nie opieram.

Witte wychodzi zza rogu z kuchni i przygląda mi się z bliska. Wygląda na odświeżonego i pełnego energii. Czas, kiedy byliśmy w Connertycut, najwyraźniej mu służył. Nie mogę przestać myśleć, jak długo jeszcze zostanie z nami. Jestem ciekawa, czy teraz, kiedy masz żonę, by o ciebie dbała, rozważa nowe wyzwania. Mam nadzieję, że nie. Liczę na to, że zostanie na długie lata. Tak bardzo cię kocha i powinien mieć w swoim życiu wielu ludzi, którzy darzą cię miłością.

Jego twarz ma łagodny wyraz, kiedy pyta:

– Ma pani na coś ochotę? Może na herbatę? Sok? Jeszcze trochę kawy?

– Nie, dziękuję. – Prosiuję się. Teraz, kiedy cię tu nie ma, jest mi łatwiej. – Już nic mi nie trzeba.

– Wybiorę się dziś na targowisko po trochę zakupów na kolację i jutrzejsze śniadanie. Może zechciałyby pani do mnie dołączyć? Dobrze byłoby wiedzieć, co pani lubi.

– Wszystko robisz dobrze. Smażę mi wszystko, co przygotowałeś do tej pory, powinien dostać gwiazdkę Micheline. – Zadaję następne pytanie, jakbym jeszcze nie знаła jego planów. Witte ma swoje przyzwyczajenia, a ja byłam bardzo spostrzegawcza.

– Jak często chodzisz na targ?

– Bywa, że codziennie. Niekiedy tylko raz czy dwa w tygodniu.

– Myśl o dniu spędzonym w mieście jest bardzo kusząca, ale moja stylizacja nie długo

wpad-nie. Ma dla mnie jesz-cze kilka rze-czy. – Odsu-wam się od drzwi. – Chętnie będę ci towa-rzy-szyć, kiedy zapla-nu-jesz następne wyj-ście.

Mój dobór słów wywo-łuje jego uśmiech.

– To jest randka.

– Czy mógł-byś zadzwo-nić do kosme-tyczki, która zaj-mo-wała się mną wczę-sniej, i zapy-tać, czy mnie wci-śnie na któ-ryś dzień?

– Z przy-jem-no-ścią.

Idę do swego pokoju, po dro-dze obser-wu-jąc wła-sne odbi-cie w lustrza-nym kory-ta-rzu.

Poko-jówki już posłały łóżko. Zasta-na-wiam się, co teraz o tobie myślą. Po latach wdo-wień-stwa prze-ry-wa-nego tylko przy-go-dami na jedną noc, nasza pościel sta-nowi dowód, że jesteś męż-czy-zną, który cie-szy się swoją żoną wiele razy dzien-nie. Być może nie jest to aż taka nie-spo-dzianka, jeśli wziąć pod uwagę siłę two-jego sek-sa-pilu. A służba domowa widzi tak wiele intym-nych spraw. Nic się przed nimi nie ukryje.

Puka-nie Witte’a wydaje się roz-le-gać już po chwili.

– Tak, Witte?

– Kosme-tyczka, ma na imię Salma, mówi, że dziś rano klientka odwo-łała wizytę i może przy-je-chać już teraz. Czy to byłoby do przy-ję-cia, czy wola-łaby pani inny dzień?

Udaję zachwyty.

– Dziś rano będzie dosko-nale. Coś na poprawę samo-po-czu-cia, zanim się pozbie-ram.

Witte uśmie-cha się i kiwa głową.

Gdy znów go widzę, jest obła-do-wany pokrow-cami na ubra-nia i tor-bami z domów towa-ro-wych. Wcho-dzi do mojego pokoju za Tovah, która znów mnie zaska-kuje swoją wielką ener-gią w tak drob-nym ciele.

– Dzień dobry, Lily! Jak się masz? Piękne kimono! Z wielką klasą, a jed-no-cze-śnie bar-dzo sek-sowne. – Jej uśmiech jest olśnie-wa-jący. Dłu-gie, cze-ko-la-dowe loki two-rzą skom-pli-ko-wane upię-cie z war-ko-czy i zawi-ja-sów. Koper-towa sukienka bez ręka-wów ma wzór w cętki żyrafy, a szpilki są nie-bo-tycz-nie wyso-kie.

– Dzię-kuję. Ty też wyglą-dasz z wielką klasą i bar-dzo sek-sownie. – Uśmie-cham się do Witte’a, który wcho-dzi do mojej gar-de-roby ze swo-imi pakun-kami.

– Prze-cho-wy-wa-łam je dla cie-bie, odkąd wyje-cha-łaś z mia-sta – mówi Tovah, rzu-ca-jąc torebkę na fotel, na któ-rym zwy-kle sie-dzia-łaś, patrząc, jak śpię. – Pro-szę, powiedz mi, że wyle-gi-wa-łaś się na plaży, popi-ja-jąc wodę mine-ralną i drinki z małymi para-sol-kami.

– Brzmi uro-czo – przy-znaję – a ty musisz być jasno-widzką. Wyje-cha-li-śmy na plażę, ale reszty nie było. Czy to na-dal się liczy?

– Każda plaża się liczy, z para-sol-kami czy bez.

Witte wycho-dzi i zatrzy-muje się przy drzwiach na kory-tarz.

– Będę już ucie-kał. Uprze-dzi-łem recep-cję o wizy-cie Salmy, a Lacy otwo-rzy jej drzwi. Przy-go-to-wa-łem trzy sałatki z kur-czaka na lunch, znaj-dzie je pani w lodówce, jeśli będzie pani miała na nie ochotę. Spo-dzie-wam się wró-cić około trze-ciej.

– Myślisz o wszyst-kim, Witte. Bar-dzo dzię-kuję.

Kiedy wycho-dzi, Tovah opiera ręce na bio-drach.

– Gdzie zna-leźć takiego Witte’a?

– O to musisz zapy-tać Kane’a.

Klika zamek w drzwiach, sygna-li-zu-jąc, że zosta-ły-śmy same, i nasze uśmie-chy natych-miast zni-kają.

Tovah wzdy-cha ciężko.

– Wszy-scy o tym roz-ma-wia-li-śmy i sądzimy, że to nie jest odpo-wiedni moment.  
– To jest odpo-wiedni moment.  
– Wydaje się pospieszne.  
Idę do gar-de-roby.  
– Nie jest pospieszne. Pla-no-wa-li-śmy to od lat. Mogli-by-śmy to zro-bić przez sen.  
– Dopiero co potra-cił cię samo-chód! – Tovah rusza za mną. – W podej-rza-nych oko-licz-no-ściach. Byłaś w śpiączce, na miłość boską!  
– Nie zapo-mnia-łam o tym. – Otwie-ram pokro-wiec na ubra-nie i przy-glą-dam się zesta-wowi w środku. – To jest naprawdę dobre.  
– Pew-nie, że jest. Znam się na swo-jej pracy.  
Spo-glą-dam na nią i widzę, że przy-gryza dolną wargę.  
– Mam to, Tovah. Mamy to. To nor-malne, że się dener-wu-jesz, kiedy pla-no-wa-łaś coś od dawna i w końcu to się zaczyna dziać. Dziś rano ja też mia-łam pewne obawy.  
Pod-nosi ręce.  
– To znak! Powin-naś pocze-kać. Ustalmy nasze poło-że-nie. Miej stu-pro-cen-tową pew-ność.  
– Cze-ka-li-śmy wystar-cza-jąco długo. Aliyah zaczyna stwa-rzać pro-blemy. Musimy to prze-pro-wa-dzić, zanim wymy-śli spo-sób, aby to spie-przyć.  
Znów sły-chać puka-nie do drzwi sypialni, a potem głos Lacy.  
– Hej. Już poszedł.  
Wra-cam z Tovah do sypialni.  
Lacy staje w drzwiach.  
– I Salma już jest.  
Ubrana w džinsy i pomy-słowo podarty T-shirt zwią-zany na węzeł w talii, ponętna bru-netka wta-cza za sobą do sypialni różową walizkę na kół-kach. Ma nie-ska-zi-telny maki-jaż, ze sta-ran-nie zro-bioną kocią kre-ską na powie-kach i ide-al-nie gęstymi brwiami.  
– Mamy pew-ność, że Witte’a nie ma? – pytam.  
Lacy kiwa głową.  
– Wyje-chał z garażu i w ogóle.  
Salma patrzy na mnie gniew-nie.  
– Już się uma-lo-wa-łaś!  
– To wymaga wię-cej pracy – zapew-niam ją. – I potrze-buję pomocy z peruką. Uży-łam za dużo kleju, gdy zro-bi-łam to sama. Myśla-łam, że zerwę sobie skalp.  
Salma kręci głową i marsz-czy brwi z nie-za-do-wo-le-niem.  
– Hej – pro-te-stuję – nie patrz tak na mnie. Gdy-bym się nie uma-lo-wa-ła, Kane zostałby w domu, myśląc, że coś jest nie tak. Z dużym tru-dem prze-ko-na-łam go, żeby wyszedł.  
Klnie pod nosem po hisz-pań-sku.  
– On jest poważ-nym pro-ble-mem.  
– Wiem.  
Lacy opiera się o futrynę. Ubrana w szary strój poko-jówki, rude włosy zwią-zała w kok na karku. Zanim się ode-zwie, wydmu-chuje duży balon z gumy do żucia, który strzela.  
– Uwa-żamy, że to nie jest odpo-wiedni moment.  
– Sły-sza-łam – mówię cierpko, idąc do gar-de-roby po perukę. Kiedy wra-cam, wszyst-kie trzy patrzą na mnie. Zatrzy-muję się i poświę-cam im uwagę, któ-rej pra-gną. – Jak myśli-cie, ile jesz-cze szans dosta-niemy?  
– Przy-naj-mniej jesz-cze jedną – stwier-dza Salma, wyzy-wa-jąco uno-sząc głowę.  
Tovah krzy-żuje ramiona.

– Aliyah już stwa-rza pro-blemy.  
– Pie-przyć ją – mówi Lacy. – Ni-gdy nie lubi-łam tej suki. Kiedy nie pró-buje zacią-gnąć Witte’a do naj-bliż-szego łóżka, trak-tuje Beę i mnie jak psie gówno przy-kle-jone do jej pode-szwy.

– Jak się ma Bea? – pytam.

Lacy marsz-czy nos.

– Nic jej nie jest. Dziś rano z nią roz-ma-wia-łam. Źle się czuję z tym, że wczoraj zapra-wi-łam jej her-batę. Powie-działa, że całą noc spę-dziła w łazience.

– Jej pro-blemy z żołąd-kiem ustą-pią przed kola-cją. A ponie-waż nie chcemy, by w przy-szło-ści znowu zacho-ro-wała, naprawdę musimy się zbie-rać. Nie mamy dużo czasu.

Z ponu-rymi minami trzy-mamy się planu.

Okolo jede-na-stej kobieta w lustrze ma twarz mojej matki. Kon-tu-ro-wa-nie wyrzeź-biło moje kości policz-kowe i brodę. Grub-sza war-stwa cie-nia do powiek pogłę-bia oczo-doły. Gruby war-kocz czar-nych wło-sów opada mi na plecy.

Maki-jaż zakoń-czył prze-kszał-ca-nie mnie na jej podo-bień-stwo.

Wysoka, ciemna postać przy-ciąga mój wzrok do otwar-tych drzwi kory-ta-rza w głębi za nami.

– Hej, jesteś za wcze-śnie.

Wcho-dząc do pokoju, Roge-lio przy-gląda mi się z wyra-zem tro-ski na twa-rzy. Ma na sobie dzinsy i koszulkę dru-żyny Yan-kees zamiast któ-re-goś z ciem-nych gar-ni-tu-rów, które nosi w Baha-ran. Jego zwy-kle gładko ogo-lona szczeka jest pokryta kil-ku-dnio-wym zaro-stem, ostrzy-żone na jeża włosy zacze-sane do tyłu błysz-czącą pomadą, a na szyi ma gruby złoty łań-cu-szek. Bez-na-miętne, czujne spoj-rze-nie to jedyna rzecz, która odróż-nia go od przy-pad-ko-wego faceta na ulicy.

– Nie podoba mi się to. To nie jest w porządku.

– Ty też? – pytam cicho. Zawsze trak-tuję go poważ-nie. Jeste-śmy razem od bar-dzo dawna.

Kła-dzie rękę na moim ramie-niu.

– Jesteś zbyt piękna, *querida*.

– Tak jakby tego nie wie-działa. – Salma prze-wraca oczami, ostroż-nie paku-jąc na nowo swoją walizkę.

– To ona jest zbyt piękna – popra-wiam go. – To nie jest moja twarz. – W lustrze dostrze-gam zatro-skane twa-rze mojego zespołu. – Wy wszy-scy musi-cie mi zaufać.

Roge-lio widzi moją deter-mi-na-cję i ciężko wzdy-cha.

– W porządku. Ty tu rzą-dzisz.

Odwra-cam się na stołku przy toa-letce i spo-glą-dam na niego.

– Oszczę-dzi-łoby mi to tro-chę czasu, gdy-byś mógł otwo-rzyć sejf z biżu-te-rią. Czy potra-fisz go odblo-ko-wać odci-skiem palca?

– Oczy-wi-ście. Moja ekipa zaj-mo-wała się insta-la-cją.

– Pomogę mu – włą-cza się Tovah. Wycho-dzą przez moją gar-de-robę.

Nagle spo-strze-gam jakiś ruch w pokoju i widzę, że jeden dosko-nały kwiat czar-nej lilii w nie-wy-tłu-ma-czalny spo-sób odpadł z łodygi. Leży na bla-cie komody, pod buj-nym bukie-tem, naprze-ciw mnie. Prę-ciki roz-sy-pały się na błysz-czą-cej powierzchni w eks-plo-zji jasnej poma-rań-czy, która dziw-nie przy-po-mina roz-pry-ski krwi. Roz-lega się głu-che ude-rze-nie w okno i aż pod-ska-kuję prze-straszona. Salma prze-klina. Ptak ude-rza o szybę, dra-pie, by się jej uchwy-cić, trze-po-cze sza-leń-czo, aż wresz-cie zsuwa się z pola widze-nia.

– Jezu-sie, Maryjo i Józe-fie – szep-cze Salma, żegna-jąc się.

Dreszcz prze-cho-dzi mi po ple-cach.

– Idź pomóc Lacy – mówię.

Przy-ci-ska dłoń do brzu-cha, ukry-wa-jąc litery ukła-da-jące się w słowo PAN-TERA.

– Jesteś moją rodziną. Jeśli coś ci się sta-nie, będę drę-czyć twego ducha, a kiedy umrę, sko-pię ci tyłek.

Mocno się obej-mu-jemy. Salma pach-nie jak tru-skawki i szam-pan. Pociąga nosem, gdy szyb-kim kro-kiem opusz-cza pokój.

Tovah wraca, a za nią idzie Roge-lio. Dziew-czyna nie-sie ciężką nie-bie-ską torbę i pokle-puje ją po boku.

– Wszystko gotowe – mel-duje.

– Czas się ubrać.

Podaje torbę Roge-liowi i idzie za mną.

– Potra-fię ubrać się sama – mówię cierpko.

– Nie tym razem. Jeśli coś się spier-doli, to nie z powodu two-jej gar-de-roby.

Gdy koń-czymy, patrzę na sie-bie w lustrze. Szare spodnie z gra-na-to-wymi lam-pa-sami są wor-ko-wate i trzy-mają się tylko dzięki wąskiemu skó-rza-nemu paskowi. Bluzka z dłu-gimi ręka-wami ma jaśniej-szy odcień sza-ra-wego błę-kitu i na piersi naszywkę z wize-run-kiem orła. Ona też jest za duża, nawet z sili-ko-no-wym napier-śni-kiem, dzięki któ-remu wyglą-dam, jak-bym miała duży biust. Mój tyłek też jest wywa-to-wany i zasta-na-wiam się, jak będę sie-dzieć pod-czas jazdy.

– W tor-bie jest czapka i oku-lary prze-ciw-sło-neczne – instru-uje mnie Tovah. – Włóż je i nie zdej-muj.

– Rozu-miem.

Chwyta mnie za przed-ra-miona. Wło-ży-łam pła-skie, czarne buty orto-pe-dyczne. Na swo-ich nie-bez-piecz-nie wyso-kich obca-sach Tovah sięga mi led-wie do wyso-ko-ści oczu.

– Masz zadzwo-nić, jak tylko będziesz wolna.

– Zadzwo-nię – obie-cuję. – Prze-stań się mar-twić.

Ściąga usta i wiem, że wal-czy z chę-cią, by jesz-cze się kłó-cić.

– Okej – mówi w końcu. – Okej.

Wycho-dzę za nią z gar-de-roby, ale przy-staję na progu, gdy znika w kory-ta-rzu. Roge-lio cho-dzi tam i z powro-tem płyn-nym kro-kiem czło-wieka, który wytre-no-wał ciało tak, by stało się bro-nią. Opie-ram się o fra-mugę, krzy-żuję ręce i go obser-wuję.

– Wyglą-dasz gro-te-skowo – mówi.

– Czuję się gro-te-skowo.

Zatrzy-muje się i wbija we mnie wzrok z dru-giej strony pokoju. Potem bie-rze z łóżka torbę.

– Gotowa?

– Jak ni-gdy.

## LILY

Lacy czeka na mnie i Roge-lia przy fron-to-wych drzwiach, ner-wowo krę-cąc w dło-niach rączkę pie-rza-stej mio-tełki do kurzu.

– Widzimy się póź-niej – mówi.

Całuję ją w poli-czek.

– Zasta-nów się, co będziesz robić póź-niej. Może są miej-sca, do któ-rych zawsze chcia-łaś podró-žo-wać?

– Mam ich pełen segre-ga-tor.

Uśmie-cham się roz-ba-wiona.

– Pew-nie, że masz. Nie mogę się docze-kać, żeby go zoba-czyć.

Roge-lio przy-trzy-muje dla mnie otwarte drzwi i wycho-dzimy do holu z win-dami. Patrzy na dwóch sto-ją-cych tam męż-cyżn.

– Zaj-mij-cie się kame-rami. Ni-gdy mnie tu nie było. Ona w ogóle nie wycho-dziła.

Kiwają gło-wami, a jeden szybko udaje się do pomiesz-cze-nia gospo-dar-czego.

– Wsuń war-kocz pod koszulę – mówi Roge-lio, przy-glą-da-jąc mi się ponow-nie. – I włóż czapkę.

Robię, co mówi.

– Lepiej?

– Nie bar-dzo. – Wci-ska guzik, żeby przy-wo-łać windę. – Wolał-bym, żebyś pozwo-liła mi się tym zająć.

– Nikt inny nie wyszedłby z tego żywy.

Już wię-cej się nie odzywa, dopóki nie prze-jeź-dzamy przez par-king i nie ruszamy wyna-jętą fur-go-netką ze zmie-nio-nymi tabli-cami reje-stra-cyj-nymi. Samo-chód, który mnie potra-cił, też miał zmie-nione tablice. Ale to tylko zbieg oko-licz-no-ści. Nie-moż-liwe, żeby to było coś innego.

– Oto na jakim eta-pie na razie jeste-śmy – mówi Roge-lio ponuro, ze wzro-kiem utkwio-nym w drogę. – Rezer-wa-cja na lunch jest na dwu-na-stą trzy-dzie-ści. Laska wysłał wcze-śniej ese-mes do Amy, żeby to potwier-dzić. Ta wia-do-mość dotarła do klona, a ja odpo-wie-dzia-łem. Powie-dzia-łem Cla-ricie, że wygra-łem lunch dla dwojga w restau-ra-cji poło-žo-nej w kie-runku miej-sca potka-nia. Dziś koń-czy się data waż-no-ści, a ja się nie wyro-bię, więc zabie-rze Amy. Mój pro-gram śle-dzący w tele-fo-nie Amy da mi znać, jeśli gdzieś zbo-czą. Jeśli będzie śle-dzona, pomy-ślą, że od pół godziny jest w dro-dze. Kupuje nam to tro-chę czasu, ale nie-wiele.

Zdalny dostęp do pli-ków Baha-ran wymaga zain-sta-lo-wa-nia na urzą-dze-niu zastrze-żo-nego opro-gra-mo-wa-nia zabez-pie-cza-ją-cego. Roge-lio zarzą-dzał tą insta-la-cją dla wszyst-kich Arman-dów i stwo-rzył nam dostęp do infor-ma-cji. Dzięki temu dostrze-gli-śmy naszą szansę po tym, jak Val nawią-zał kon-takt.

Polo-wa-li-śmy na niego od lat i w końcu sam do nas przy-szedł.

– Mam już swo-jego czło-wieka na miej-scu spo-tka-nia – kon-ty-nu-uje. – Natłu-ści szklankę do wody. Mamy nadzieję, że szklanka się wyśli-zgnie i woda roz-leje, ale nawet gdyby tak się nie stało, tłuszcz jest zabar-wiony i płami. Mówi-łaś, że Laska jest pedan-tyczny, więc uży-cie ser-wetki tak czy owak nie wystar-czy. Dam ci sygnał i wtedy ruszysz. Łazienki są

poje-dyn-cze i dla obu płci. Wszyst-kie zamki są naru-szone. Mocne ude-rze-nie bio-drem i znaj-dziesz się w środku. A wtedy będzie-cie tylko ty i Laska, nikt wię-cej.

Kiwam głową.

– Val będzie miał ochronę roz-sta-wioną w całej restau-ra-cji. Jeśli zaczną podej-rze-wać cie-bie albo two-jego czło-wieka...

– Wiem, co robię. Mój zespół też. Ty jesteś spoza ligi.

– Nie spie-przę tego.

Spo-glą-dam przez okno, pró-bu-jąc pojać, gdzie jestem i co robię. Grupa uczniów podąża ulicą za nauczy-cie-lem. Jakaś para całuje się przy drze-wie. Dostawca krzy-czy na kie-rowcę, który zapar-ko-wał samo-chód „na dru-giego”. To wszystko jest takie sur-re-ali-styczne. Zalane słoń-cem mia-sto, które tętni życiem, wydaje się obra-zem z kosz-maru. Szy-der-czą obiet-nicą nor-mal-no-ści, by skon-tra-sto-wać rze-czy-wi-stość z głęb-szym hor-ro-rem.

Patrzę na swój ślubny pier-ścio-nek i nie mam serca go zdjąć. Obra-cam go, by ukryć kamień we wną-trzu dłoni.

– Prze-ra-bia-li-śmy to milion razy.

– Twoja despe-ra-cja zmniej-sza twoją prze-wagę. Jeśli on cię zaata-kuje, nie będziesz...

– Nie zaata-kuje.

Roge-lio ude-rza dło-nią w kie-row-nicę i krzy-czy:

– Nie wiesz tego! Uwa-żasz, że samo-chód potra-cił cię przy-pad-kiem, ale nikt z nas tego nie lek-ce-waży. I minęły tygo-dnie, odkąd to ćwi-czy-li-śmy. Tygo-dnie, kiedy wra-ca-łaś do zdro-wia. Tyle lat cze-ka-nia i pla-no-wa-nia, a ty nie znaj-du-jesz czasu, żeby się przy-go-to-wać!

– Czasu, żeby i on się przy-go-to-wał – zauwa-żam spo-koj-nie. – Myślisz, że moment jego powrotu do mia-sta to zbieg oko-licz-no-ści? Że zatrud-nił Amy wcze-śniej i rów-nież przez przy-pa-dek? To spo-tka-nie z nią w restau-ra-cji, któ-rej nie jest wła-ści-cie-lem, nie było zamie-rzone? Tu cho-dzi o coś więk-szego.

– No jasne! Ale to wciąż zbyt ryzy-kowne.

– To zawsze będzie ryzy-kowne! – Opa-dam na opar-cie sie-dze-nia, przy-ci-ska-jąc dłoń do czoła. – Wiesz, jak wy wszy-scy mi to utrud-nia-cie, pani-ku-jąc aku-rat dzi-siaj? Dla-czego nie innego dnia? Jeśli teraz coś może pozba-wić nas szans, to wy, tak bar-dzo mnie dener-wu-jąc, kiedy muszę być czujna i szybka!

– Nie tylko dzi-siaj. – Roge-lio pod-jeż-dża do kra-węż-nika, par-kuje i wyłą-cza sil-nik. Odpi-na-jąc pas, odwraca się do mnie. Mocno zaci-ska usta, a w oczach ma bła-ga-nie.

– Roz-ma-wia-li-śmy o tym od mie-sięcy.

– Za moimi ple-cami?

– Nie byłaś w pełni dostępna! – odcina się. – Nie jeste-śmy tymi samymi sie-ro-tami, które wyszu-ka-łaś. Teraz jeste-śmy inni – dzięki tobie. Był czas, kiedy myśl o zemście na two-jej matce i Lasce poma-gała nam wszyst-kim iść do przodu. A potem pomo-głaś nam odkryć nasze talenty i zapew-ni-łaś edu-ka-cję, aby uczy-nić je cenio-nymi na rynku. Dałaś nam nową rodzinę. Mamy teraz sie-bie. Może to wystar-czy, *querida*. Może to, że wszy-scy będziemy czy-nić dobro, sta-nie się naj-lep-szą zemstą.

Przy-glą-dam mu się z uwagą. Pozwa-lam, by jego słowa do mnie dotarły.

– Szkoda, że wcze-śniej tego nie powie-dzia-łeś. Nie zmu-sza-ła-bym was, żeby-ście zaszli tak daleko.

– Do jasnej cho-lery! – Obiema rękami chwyta kie-row-nicę i mocno nią potrząsa. – Teraz naprawdę mam ochotę cię udu-sić. Wiesz, że ni-gdy nie pozwo-li-li-by-śmy, żebyś zro-biła to sama. Mówię ci tylko, że nie musisz tego robić dla nas. Nie jesteś nam nic winna. To,

co twoja matka i Laska uczy-nili naszym rodzi-nom... Nie jesteś za to odpo-wie-dzialna.

Kiwam głową, po czym wycią-gam szminkę w tak bla-dym odcie-niu nude, że moje usta cał-kiem zni-kają.

– Po wszyst-kim będziemy musieli zapla-no-wać rodzinny wie-czór. Wyrzu-cić to z sie-bie.

– Jed-nak nie rezy-gnu-jesz.

– Muszę ura-to-wać Kane’a – mówię po pro-stu. – Muszę spró-bo-wać.

– W porządku. – Wyciąga rękę i kiedy podaję mu swoją, ści-ska ją mocno. – Limu-zyna będzie cze-kać na zewnątrz przy kra-węż-niku.

– Rozu-miem.

Z kon-soli w desce roz-dziel-czej wyj-muje małe pudełko i podaje mi je.

– Tu masz słu-chawkę. Powiem ci, kiedy masz zacząć iść. Do tego czasu siedź z tyłu.

I włóż te prze-klęte oku-lary!

Roge-lio sięga mię-dzy sie-dze-nia, wyciąga czapkę z dasz-kiem od Guc-ciego i wkłada ją. Spraw-dza, czy coś nie jedzie, po czym otwiera drzwi i szybko wysiada. Prze-cho-dzę na tył fur-go-netki i patrzę, jak kie-ruje się w dół i za róg ulicy. Potem wkła-dam duże oku-lary prze-ciw-sło-neczne i parę nie-bie-skich ręka-wi-czek ochron-nych.

– Na zewnątrz w drzwiach stoi facet – szep-cze Roge-lio przez słu-chawkę. – I dwaj taj-niacy po dru-giej stro-nie ulicy.

Odru-chowo kiwam głową, po czym kpię z sie-bie w duchu. W fur-go-netce już robi się gorąco. Sili-ko-nowe wypeł-nie-nia dodat-kowo mnie grzeją. Kro-ple potu spły-wają ze mnie struż-kami. Mam poczu-cie, że mój maki-jaż jest mazi-sty i że też za chwilę spły-nie.

Sku-piam się na swoim dys-kom-for-cie, na tym, jak skóra mnie szczy-pie. Nie mogę myśleć o tobie. Nie mogę ryzy-ko-wać, że zacznę kwe-stio-no-wać plan, nad któ-rym pra-co-wa-łam latami. Może się nie udać i akcep-tuję to. Ale muszę spró-bo-wać. Dla cie-bie. Dla nas.

– Ruszaj.

To słowo jest wysy-czane, ale brzmi jak krzyk. Sły-szę je, nawet pomimo swego ury-wa-nego odde-chu i sza-lo-nego bicia serca. Spraw-dzam, czy ktoś nie patrzy i wyska-kuję z fur-go-netki, szybko zasu-wa-jąc jej drzwi. Popra-wiam na ramie-niu ciężką nie-bie-ską torbę i podą-żam śla-dem Roge-lia. Idę ener-gicz-nym kro-kiem, zde-cy-do-wa-nie, ale kulę ramiona, jak-bym przez całe życie czuła się skrę-po-wana swoim wzro-stem. Widzę, że ludzie scho-dzą mi z drogi szyb-ciej niż wtedy, kiedy nie mam na sobie mun-duru listo-noszki. Nie są bar-dziej przy-ja-ciel-sczy, ale wydaje się, że mają świa-do-mość, że listo-nosz powi-nien wygry-wać w grze „kto stchó-rzy pierw-szy” dla pie-szych.

Zanim dotrę do restau-ra-cji, mijam dwa sklepy i zatrzy-muję się w każ-dym z nich, pod-rzu-ca-jąc nie-chciane reklamy owi-nięte gum-kami. Pani w papier-ni-czym pyta, czy jest jakiś spo-sób na ogra-ni-cze-nie zalewu tych śmieci. Mówię jej, żeby wrzu-ciła to do pojem-nika do recy-klingu.

Kiedy wycho-dzę na zewnątrz, słońce wydaje się ośle-piać, nawet pomimo moich ciem-nych, za dużych oku-la-rów prze-ciw-sło-necz-nych. Nie mogę dostrzec czło-wieka Vala ani gli-nia-rzy. Ludzie jedzący przy sto-li-kach na chod-niku po dru-giej stro-nie ulicy są pochło-nięci oży-wioną roz-mową. Ci, któ-rzy nie roz-ma-wiają, wpa-trują się w ekrany tele-fo-nów.

Dzwo-nek przy drzwiach restau-ra-cji wydaje cichy dźwięk, kiedy je otwie-ram. Mam już w ręce plik reklam i kupo-nów. Widzę sze-ro-kie plecy Vala zni-ka-jące w kory-tarzu na wprost przede mną.



– Dzięki – mówi hostessa, bio-rąc pocztę i wpy-cha-jąc ją pod pul-pit. Jest drobną bru-netką, pra-wie tak drobną jak Tovah, ale bar-dziej krą-głą.

– Mogę sko-rzy-stać z waszej toa-lety? – pytam, wysu-wa-jąc dolną szczękę tak, by zgryz zmie-nił moją twarz i pogłę-bił głos.

– Oczy-wi-ście. Z powro-tem i pro-sto. Może wodę z lodem na wynos?

Jestem zasko-czona jej życz-li-wo-ścią.

– Nie trzeba, ale dzięki.

Restau-ra-cja jest szer-sza niż głęb-sza, z kuch-nią wzdłuż tyl-nej ściany. Pod-łoga jest z kamie-nia, który widział wię-cej dzie-się-cio-leci niż ja, a boksy zwra-cają uwagę bogato rzeź-bio-nymi para-wa-nami zapew-nia-ją-cymi pry-wat-ność; zadbano też, by po bokach umie-ścić wie-szaki na płasz-cze i torebki.

To wszystko, co zauwa-żam, gdy wra-cam, jak-bym się spie-szyła. Nie chcę się nikomu ani niczemu zbyt dokład-nie przy-glą-dać. Nie widzę Roge-lia, ale nie wąt-pię, że tam jest. Nie wiem, który z kel-ne-rów lub pomoc-ni-ków kel-nera może być jego czło-wie-kiem. Gdy docie-ram do kory-ta-rza, zdejmuję oku-lary prze-ciw-sło-neczne i czapkę, wpy-cha-jąc je do torby pocz-to-wej. Trzy-ma-jąc w niej rękę, sprawdzam zawar-tość. Czuję cię-żar nie-ska-zi-tel-nych klej-no-tów owi-nię-tych w satynę.

– Jest w dru-giej toa-le-cie – mówi Roge-lio. – Pocz-e-kaj, aż odwró-cimy uwagę.

Mijam pierw-szą łazienkę. Widząc drugą, zwal-niam kroku. Jest trze-cia, a dalej wej-ście do kuchni. Sły-szę za sobą trzask i tłu-kące się szkło. Gdy roz-lega się zbio-rowe wes-tchnie-nie, ude-rzam bio-drem w dru-gie drzwi, czuję, że ustę-pują i wpa-dam do środka.

Reszta się dzieje za sprawą mgli-stej pamięci mię-śnio-wej. Rzu-cam się naprzód, wyko-rzy-stu-jąc siłę gra-wi-ta-cji. Jak na tak dużego męż-czy-znę Val poru-sza się jak ninja. W mgnie-niu oka jest sprę-żony i gotowy do ataku. Nagle spo-strzega moją twarz i się zatrzy-muje. Jest sekunda roz-po-zna-nia i rado-ści.

Nie tracę ener-gii na wycią-ga-nie noża. Z całą siłą roz-pędu wbi-jam go przez torbę w jego klatkę pier-siową. War-stwy ubra-nia ustę-pują pod strasz-li-wie ostrym szty-le-tem, ale ciało sta-wia opór, po czym ostrze ociera się o kość.

Ćwi-czy-łam na wystar-cza-ją-cej licz-bie mar-twych świń, by poznać siłę potrzebną do tego zada-nia. Ale ele-ment życia – ury-wany oddech i gorąca, lepka krew... Nie jestem na to przy-go-to-wana. Nie jestem przy-go-to-wana na śmierć.

Miło-sier-nie pró-buję uło-żyć go na pod-ło-dze, ale jest zbyt ciężki i pra-wie pociąga mnie ze sobą. Odsu-wam się, kiedy sie-dzi na kafel-kach z wycią-gnię-tych nogami, i zamy-kam drzwi. Spo-dzie-wam się, że Val nie żyje. Jeśli celo-wa-łam dobrze, nóż tkwi w jego sercu. Oddy-cha jed-nak płytko, a na jego twa-rzy poja-wia się uśmiech.

– Nie pozwolę ci go zabić – mówię, kuca-jąc mię-dzy jego roz-ło-żo-nymi nogami. Nie mam na to czasu. Muszę wyjąć nóż i zosta-wić Vala, by się wykrwa-wił. Zara-biał na życie, wyko-rzy-stu-jąc kobiety i dzieci, im młod-sze, tym lepiej. Znisz-czył tak wiele żyć i chce zakoń-czyć twoje. Nie zasłu-guje na litość ani na moje waha-nie. – Nie chcia-łam się w nim zako-chać, ale tak się stało.

Chi-cho-cze char-ko-tli-wie i krew spływa mu z kącika ust. To upiorne. Jak w hor-ro-rze.

– Łódź – rzezi, wypusz-cza-jąc szkar-łatną bańkę śliny, która pęka i się roz-pry-skuje.

– Znajdź ją.

– Co? Val... Co powie-dzia-łeś?

– Twoja matka – szcze-rzy zakrwa-wione zęby – będzie... d...dumna.

– Powiedz jej, że ją pozdra-wiam – mówię cicho – kiedy dołą-czysz do niej w pie-kle.

On jed-nak recho-cze, a błysk w jego oczach spra-wia, że czuję nagły ucisk w żołądku.

Mój wzrok z nie-po-ko-jem bada jego twarz, ale jego spoj-rze-nie traci ostrość i gaśnie. Po chwili powie-trze wypeł-nia gry-zący, amo-nia-kalny zapach moczu i bar-dziej odra-ża-jąca woń kału.

Obiema rękami wyry-wam nóż z jego piersi, uwal-nia-jąc torbę. Krew prze-siąka tka-ninę jego mar-ko-wej koszuli. Otwie-ram torbę na pod-ło-dze, zdejmuję grube ręka-wiczki i wrzu-cam je do środka. Wstaję i ściąg-gam buty, jed-no-cze-śnie roz-pi-na-jąc pasek, potem zapię-cia mocu-jące sztuczne pośladki. Dalej idą koszula oraz napier-śnik i zostaję w prze-po-co-nym body. Jedwabna koper-towa sukienka w kolo-rze stra-żac-kiej czer-wieni wkłada się błę-ska-wicz-nie.

– Jeśli jesz-cze żyjesz, to się, kurwa, pospiesz! – roz-ka-zuje Roge-lio wście-klým szep-tem. – I zabierz jego komórkę.

Wycie-ram cie-li-stą szminkę papie-ro-wym ręcz-ni-kiem i wrzu-cam go do torby. Drżącą ręką pociąg-gam usta czer-wo-nym błysz-czy-kiem i roz-pusz-czam war-kocz, wsu-wa-jąc stopy w szpilki. Szar-pię się z biżu-te-rią i wpa-dam w panikę, gdy upusz-czam kol-czyk do umy-walki. Na szczę-ście Tovah wybrała to, co wygodne: otwarte bigle, długi naszyj-nik, który mogę wło-żyć przez głowę i bran-so-letkę w kształ-cie obrę-czy.

Patrzę w lustro. Na wło-sach mam zała-ma-nia od war-ko-cza, któ-rych moja matka ni-gdy by nie tole-ro-wała. Skóra lśni od potu, szminka wycho-dzi poza kon-tur ust, a na sukience jest roz-dar-cie od noża. Robię głę-boki wdech i wypusz-czam powie-trze. Wsu-wam tele-fon Vala do koper-tówki w tym samym odcie-niu, co sukienka, i zоста-wiw-szy pocz-tową torbę na pod-ło-dze, wycho-dzę na kory-tarz.

Prze-cho-dzi mę-zczy-zna z mio-tłą i wpa-dam w popłoch. Wtedy wska-zuje głową w stronę wyj-ścia i wiem, że jest z Roge-liem. Odcho-dząc, sły-szę, jak za mną otwie-rają się drzwi do łazienki. Pozbę-dzie się torby pocz-to-wej. Val będzie tam leżeć, dopóki ktoś nie odkryje jego zwłok. To nie potrwa długo.

– Bądź tak uprzejma i wypier-da-laj stam-tąd! – war-czy Roge-lio.

Pro-stuję ramiona i opusz-czam restau-ra-cję, tak jak zro-bi-łyby to moja matka, jak-bym była naj-pięk-niej-szą kobietą, jaka kie-dy-kol-wiek cho-dziła po ziemi. Cesa-rzowa świata. Jakby wszy-scy wokół mnie mieli zna-cze-nie tylko wtedy, gdy raczę poświę-cić im swoją uwagę.

Prze-cho-dząc przez salę, czuję na sobie spoj-rze-nia ludzi Vala. Sta-jąc na chod-niku, czuję wię-cej spoj-rzeń. Czarna limu-zyna pod-jeż-dża do kra-węż-nika i tylne drzwi otwie-rają się od wewnątrz. Scho-dzę z chod-nika i wsia-dam. Nie mam czasu zamknąć drzwi. Robi to za mnie pręd-kość, z jaką samo-chód przy-spie-sza.

Tovah sie-dzi obok mnie. Z nie-po-ko-jem przy-gląda się mojej twa-rzy.

– Nie mogłam się docze-kać.

– Widzę. – Wyj-muję komórkę Vala i wyłą-czam ją, żeby nikt nie mógł jej namie-rzyć.

– Zro-bione?

– Tak.

– O Boże. – Opiera się w fotelu, blada i oszo-ło-miona. – O Boże. Ten chory skur-wiel wresz-cie nie żyje.

Sięga po moją dłoń i mocno ją trzyma. Wiem, co to zna-czy. Śmierć jej ojca nastą-piła, zanim Val poja-wił się w życiu mojej matki, mimo to czuje, że spra-wie-dli-wo-ści stało się zadość. Jak powie-dział Roge-lio, jeste-śmy rodziną – zwią-zaną nie-sa-mo-witą wspól-notą i palą-cym pra-gnie-niem zemsty, jeśli nie spra-wie-dli-wo-ści.

Ojciec Tovah nie zdał u mojej matki jej nik-czem-nego testu moral-no-ści. Val tor-tu-ro-wał matkę Lacy i naka-zał na niej zbio-rowy gwałt z powodu byłego chło-paka,

którego ta nie widziała od ponad roku. Brat Salmy miał nie-szczę-ście zwró-cić uwagę mojej matki. Roge-lio stracił sio-strę, którą upro-wa-dziła grupa han-dla-rzy ludźmi kie-ro-wana przez Vala.

– Zadzwo-nię do pozo-sta-łych – mówi Tovah.

Jest nas jesz-cze wię-cej poza Nowym Jor-kiem. Tak wiele rodzin znisz-czo-nych przez nie-na-sy-cony ape-tyt Valona i Ste-pha-nie Lasków na śmierć i bogac-two.

Lacy nadała nam przy-do-mek The Aven-gers – Mści-ciele. Każdy czło-nek zespołu miał swój udział w naszym dzi-siej-szym suk-ce-sie. Gdyby tylko był to komiks, w któ-rym mogli-by-śmy pisać nasze histo-rie i ryso-wać nasze zakoń-cze-nia. Tyle czasu, ener-gii i poświę-ce-nia. Tak wiele prze-rwa-nych ludz-kich ist-nień. Wszystko po to, by zabić jed-nego bez-dusz-nego czło-wieka.

W Valu nie było nic war-tego oca-le-nia. To, że choć tro-chę go opła-kuję, jest dowo-dem mojej wewn-tryz-nej zgni-li-zny. Opie-ko-wał się mną na swój pokrę-cony spo-sób, kiedy nie mia-łam nikogo innego, kto by się tym zajął. Nie robił tego z miło-ści i nie leżało to w moim naj-lep-szym inte-re-sie, ale zawsze to było coś.

Spo-gląd-dam przez okno. Cho-ciaż Tovah wydaje się spo-kojna, jest mi zimno. Zaci-skam zęby, żeby nimi nie szczę-kać, ale to nie pomaga. Roz-cie-ram ramiona, pró-bu-jąc je roz-grzać. Opie-ram głowę o zagłó-wek sie-dze-nia i zamy-kam oczy. Adre-na-lina, która dała mi tak wielką siłę w tam-tej łazience, odpły-nęła i jestem wyczer-pana. Moje koń-czyny są cięż-kie. Powieki opa-dają.

– Chodź. Wło-żymy cię tu i roz-grze-jemy.

Mru-ga-jąc, odkry-wam, że znaj-duję się w swo-jej łazience. Jestem naga. Paru-jąca woda wypeł-nia głę-boką wannę. Tovah trzyma mnie z jed-nej strony, Lacy z dru-giej. Dygo-czę, jakby użyto na mnie defi-bry-la-tora, a dwie niż-sze kobiety krzy-czą prze-straszone, usi-lu-jąc utrzy-mać mnie w pio-nie.

– Pie-przyć to – mówi Roge-lio i sły-szę jego kroki na żył-ko-wa-nym mar-mu-rze.

– Pró-bo-wa-łem dbać o twoją skrom-ność, *querida*, ale jeśli upad-niesz i się zra-nisz, Black dosta-nie szału.

Uświa-da-miam sobie, że straci-łam poczu-cie czasu razem z frag-men-tem nie-daw-nej pamięci. Przy-po-mi-nam sobie tylko, jak jecha-li-śmy do domu, ale w mię-dzy-cza-sie mie-li-śmy wstęp-nie przy-go-to-waną zmianę samo-chodu i ubrań, po któ-rej wró-ci-li-śmy do pen-tho-use'u. Plan był usta-lony. Gdzieś po dro-dze mój umysł się wyłą-czył.

Lacy usuwa się z drogi. Roge-lio pod-nosi mnie i prze-nosi do wanny. Syczę z dys-kom-fortu, gdy moje lodo-wate stopy zanu-rzają się w wodzie, która wydaje się wrząca, ale on nie prze-staje wkła-dać do niej mojego bez-wład-nego ciała. W wodzie moja skóra staje się jasno-ró-żowa. Para nie-sie zapach aza-lii.

Roge-lio przy-gląda mi się uważ-nie, nie spuszcza-jąc ze mnie wzroku.

– Jesteś w szoku. Będziesz sie-działa w gorą-cej wodzie, a tym-cza-sem Salma zdej-mie ci perukę i cały ten syf z twa-rzy. Napij się moc-nej kawy. Powie-dział-bym ci, żebyś dodała tro-chę brandy, jed-nak wiem, że tego nie zro-bisz. Ale jeśli kie-dy-kol-wiek byłby czas na drinka, to wła-śnie teraz.

Kiedy zaczyna się pro-sto-wać, chwy-tam go za nad-gar-stek.

– Nikomu nic się nie stało? – pytam.

– Wszystko jest w porządku.

Sia-dam, obej-mu-jąc rękami ugięte nogi. Salma przy-ta-cza do wanny swoją walizkę.

– Prze-słu-chi-wano mnie – wyja-śnia Roge-lio, odwra-ca-jąc się ple-cami i odcho-dząc kawa-łek dalej, aby zapew-nić mi pry-wat-ność. – Zwy-kła rutyna. Przez cały czas byłem

widoczny w sys-te-mie ujed-no-li-co-nej komu-ni-ka-cji za pomocą swo-jego tele-fonu, więc praw-do-po-dob-nie już ze mną skoń-czyli. Prze-py-tają wszyst-kich pra-cow-ni-ków i przyj-rzą się mojemu czło-wie-kowi w restau-ra-cji, ale wszy-scy widzieli, jak zmiata potłu-czone szkło, kiedy nastą-pił atak.

Wzdy-cham z ulgą. Wanna stoi rów-no-le-gle do okna i opie-ram poli-czek na kola-nach, patrząc na Cen-tral Park i Har-lem w oddali. Miliony ludzi zaj-mują się swo-imi zwy-kłymi, codzien-nymi spra-wami, nie mając poję-cia, że wła-śnie ode-bra-łam czło-wie-kowi życie.

– Jak na razie plan się spraw-dza – zapew-nia. – Moje źró-dło w nowo-jor-skiej poli-cji mówi, że lubią tam twoją matkę za to zabój-stwo, ponie-waż zaob-ser-wo-wali, jak w biały dzień wycho-dzi z restau-ra-cji. Jeste-śmy już w kopii zapa-so-wej zaso-bów Laski w chmu-rze i usu-wamy wszystko, co może mieć zwią-zek z tobą. Wła-dze nie wie-dzą, że Steph Laska miała córkę i niech tak zosta-nie. Jeśli ktoś zwróci na to uwagę, adres IP należy do poli-cji nowo-jor-skiej, więc nie będzie zasko-cze-nia.

– Jak zwy-kle wszyst-kiego dopil-no-wu-jesz.

– To mój zakres obo-wiąz-ków. Posłu-chaj... Jestem z cie-bie dumny. Dzień-kuje za to, co dla nas wszyst-kich zro-bi-łaś. Poroz-ma-wiamy póź-niej. Aliyah od wczó-raj do mnie wydzwa-nia. Byłoby lepiej, gdy-byś nie wspo-mniała o wspól-ni-kach ze Seat-tle; będzie się zasta-na-wiać, skąd masz tę infor-ma-cję. Muszę zatrzeć ślady i zabrać się do pracy.

– Odchyl głowę do tyłu – roz-ka-zuje Salma, trzy-mając w dłoni spray do usu-wa-nia kleju.

– Roge-lio. – Opie-ram szyję o brzeg wanny i wbi-jam wzrok w sufit. Żyłki na mar-mu-rze w rogu przy umy-walce wyglą-dają jak paję-czyna. – Muszę wie-dzieć, czy w chmu-rze Vala jest coś o łodzi. Zdję-cia, wzmianki... cokol-wiek.

– Zamknij oczy – instru-uje Salma.

– Jakiego rodzaju łodzi? Cho-dzi o jacht?

– Praw-do-po-dob-nie mała łódź. Żaglówka. – Nagle gorąca woda nie jest wystar-cza-jąco cie-pła, by zwal-czyć uczu-cie zimna, i zaczy-nam drzeć. – Kazał mi zna-leźć łódź.

– Twoją łódź? – pyta ostro.

– Nie wiem. Może.

– To jakiś chory żart. Jedy-nym spo-so-bem, żeby zna-leźć szczątki łodzi, jest zej-ście na dno oce-anu.

– Nie był w sta-nie dow-cip-ko-wać.

– Okej – mówi krótko. – Rozej-rzymy się.

– Jest coś jesz-cze... Możliwe, że ona żyje.

– Kto?

– Wiesz, kto – odpo-wia-dam ze znu-że-niem. – Jestem pewna, że kiedy Val zoba-czył moją twarz, przez uła-mek sekundy pomy-ślał, że jestem nią. Nie wyglą-dał na wstrzą-śnie-tego.

– Nie możesz tego wie-dzieć. Rzu-ci-łaś się na faceta z nożem. W takiej chwili wszystko jest instynk-towne, dla cie-bie i dla niego. Nie da się niczego wyczy-tać z wyrazu twa-rzy.

– Powie-dział, że będzie ze mnie dumna. Nie że byłaby, ale że będzie.

– To nic nie zna-czy – rzuca Salma, wcie-ra-jąc spray w linię moich wło-sów.

– Leżał na pod-ło-dze w łazience z nożem w sercu – prze-ko-nuje Roge-lio. – To, że w ogóle coś powie-dział, świad-czy o tym, że był silny jak byk. Umie-rał i bre-dził. Nie wspo-mi-na-jąc o tym, że jesteś w szoku. To, co myślisz i czu-jesz, co pamię-tasz lub nie... to wszystko mie-sza ci się w gło-wie. Pamię-taj, naoczni świad-ko-wie w więk-szo-ści są nie-wia-ry-godni.

– Zapo-mnij o tym, co widzia-łam. Przyj-mij to, co czu-łam. Okej?

– Nie ma mowy, żeby żyła, *querida*. Wiem, że czuła-byś się lepiej, gdy-byś pocho-wała jej ciało, ale pod-czas sztormu wypa-dła za burtę daleko w morzu. Szanse, że prze-żyła, są zni-kome.

– Ja prze-ży-łam.

– Nie mia-łaś kuli w piersi!

– Roge-lio, pro-szę.

Wzdy-cha ciężko.

– Jeśli Laska kon-tak-to-wał się z twoją matką, dowody będą w jego tele-fo-nie. Jeśli tam są, znaj-dziemy je.

– Ona ma wiele przy-bra-nych nazwisk. Może nawet uży-wać męskiego imie-nia. Ona i Val mogą uży-wać jakie-goś szy-fru albo...

– Wiem, czego szu-kać. Dam ci znać, jeśli coś znaj-dę. Biżu-te-ria wró-ciła już do sejfu.

– Dzie-kuję.

Słu-cham, jak odcho-dzi, a potem sły-szę zbli-ża-jące się lżej-sze kroki Tovah. Salma znów iry-tu-jąco szar-pie skórę mojej głowy.

Kiedy Witte wraca, wta-cza-jąc do kuchni dru-ciany wózek wypeł-niony zaku-pami, sie-dzimy przy kuchen-nym stole i jemy sałatki. Lacy pra-cuje w odle-głej czę-ści miesz-ka-nia, odkąd zespół ochrony poin-for-mo-wał nas o powro-cie Witte'a. Tovah, Salma i ja czy-tamy na table-cie plot-kar-ski blog i śmie-jemy się ze zdję-cia Toma Hid-dle-stona w pod-ko-szulku z napi-sem „Kocham T. S.”, czyli jego dziew-czynę Tay-lor Swift.

– Czy Kane wło-żyłby coś takiego dla cie-bie? – pyta Tovah.

– Ni-gdy – odpo-wia-dam z naci-skiem.

Wszyst-kie trzy wybu-chamy śmie-chem, Witte się uśmie-cha, a ja mam wra-że-nie, że jestem w jakiejś sit-co-mo-wej wer-sji swego życia. Nic nie wydaje się praw-dziwe. Sałatka, nad którą Tovah i Salma roz-pły-wają się w zachwy-tach, sma-kuje tak, jak-bym jadła wil-gotne kawałki tek-tury. Mój żołą-dek bun-tuje się prze-ciwno tra-wie-niu cze-go-kol-wiek, ale zmu-szam go do posłu-szeń-stwa. Mogę skło-nić swoje ciało do robie-nia wielu rze-czy, przed któ-rymi instynk-tow-nie się wzbra-nia.

– Udało mi się kupić piękne, doj-rzałe tru-skawki – mówi Witte. – Mogę je podać ze świeżą bitą śmie-taną, jeśli zostało wam tro-chę miej-sca na deser.

– Brzmi fan-ta-stycz-nie – odpo-wia-dam.

– Masz może brata, Witte? – pyta Tovah. – Pro-szę, powiedz, że tak.

– Albo syna? – żar-tuje Salma.

To wszystko jest tak strasz-nie, prze-ra-ża-jąco nor-malne. Odgry-wam swoją rolę, powta-rza-jąc sobie, że zro-bi-łam, co musia-łam, aby utrzy-mać to nie-ocze-ki-wane życie z tobą.

Gdy wra-casz do domu, cze-kam przy drzwiach. Otwie-rają się, wcho-dzisz do środka, a ja rzu-cam się na cie-bie tak jak na Vala – z całych swo-ich sił. Odchy-lasz się do tyłu, upusz-czasz torbę i chwy-tasz mnie ze śmie-chem. Moje stopy odry-wają się od pod-łogi.

– No tak... Zde-cy-do-wa-nie lubię wra-cać do domu i do tego, *Seta-reh*. – Obda-rzasz mnie mło-dzień-czym uśmie-chem, a potem głę-bo-kim, cudow-nym poca-łun-kiem. – I tęsk-ni-łem za tobą jak sza-lony. Pra-wie bar-dziej, niż mogłem znieść.

I kiedy mam cię w ramio-nach, myślę, że to wszystko było tego warte. Mam nadzieję, że naj-gor-sze już za nami. Boję się też, że tak nie jest.

## WITTE

Man-hat-tan lśni jak dia-menty na czar-nym aksa-mi-cie, gdy mia-sto roz-ciąga się wokół pen-tho-use'u. Nad-ciąga burza. Wie-żo-wiec, w któ-rym miesz-kamy, skrzypi, koły-sząc się w podmu-chach coraz sil-niej-szego wia-tru. Kro-ple desz-czu ude-rzają w okna, przy-kle-ja-jąc się do szyb jak łyzy. W oddali widzę bł-y-ska-wicę. Bły-ski nisz-czy-ciel-skiego piękna na chwilę oświe-tlają kłę-biące się chmury, a potem zanu-rzają je w głę-bo-kiej czerni.

Mój pra-co-dawca sie-dzi przy biurku i patrzy na ekran mojej komórki. Chwilę wcze-śniej wziął prysz-nic i prze-brał się w czarne jedwabne spodnie i taki jak one szla-frok prze-wią-zany w pasie. Jego włosy wciąż są wil-gotne.

Zakry-wa-jąc usta dło-nią, pogrą-żony w myślach, robi wra-że-nie nie-obec-nego. Na czole ma głę-boką zmarszczkę.

Zasta-na-wiam się, czy widzi to, co ja. Kobieta, która zosta-wiła ciało Valona Laski na zakrwa-wio-nej pod-ło-dze toa-lety, trzyma koper-tówkę pod pra-wym ramie-niem. Na poprzed-nim zdję-ciu Ste-pha-nie Laska nosiła przed-mioty pod lewym. Róż-nica nie jest bez zna-cze-nia, jeśli weź-mie się pod uwagę lewo- i pra-wo-ręcz-ność oraz natu-ralną ten-den-cję do pozo-sta-wia-nia domi-nu-ją-cej ręki nie-ob-cią-żo-nej.

Lily jest lewo-ręczna.

Pan Black wstaje i oddaje mi komórke.

– Jutro omó-wię z nią sprawę jego śmierci.

Cze-kam, aż powie coś wię-cej, ale on okrą-ża biurko.

Zatrzy-muje się przy mnie. Jeste-śmy zwró-ceni w prze-ciw-nych kie-run-kach. Kła-dzie mi rękę na ramie-niu.

– Dziś wydaje się kru-cha. Czu-łem to rano i roz-wa-ża-łem pozo-sta-nie w domu. Nie chcę się teraz dener-wo-wać, bo to ją zmar-twi. Wróćmy więc do tego jutro rano, dobrze? To wystar-cza-jąco szybko.

– Oczy-wi-ście. – Nie zauwa-ży-łem kru-cho-ści, o któ-rej mówi. Bez-po-śred-nio po jego wyj-ściu była tro-chę melan-cho-lijna, ale Tovah i Salma pod-nio-sły ją na duchu. Szczę-śli-wie się zło-żyło, że miały czas, kiedy Lily naj-bar-dziej potrze-bo-wała roz-rywki.

Dla-czego kobieta mająca dzie-siątki przy-ja-ciół wołała spę-dzać czas z nie-zna-jo-mymi, to kolejna zagadka.

W każ-dym razie muszę jesz-cze raz podzię-ko-wać Lacy za pole-ce-nie tych dwóch kobiet. W ciągu tych kilku lat, kiedy była z nami, Lacy udo-wod-niła, że jest cenną człon-ki-nią mojego per-so-nelu domo-wego, a to, co robi, wykra-cza poza jej obo-wiązki.

Mój pra-co-dawca zatrzy-muje się na progu kory-ta-rza.

– Gideon Cross pole-cił mi psy-cho-loga – dok-tora Lyle'a Peter-sena. Sprawdź, czego możesz się o nim dowie-dzieć, dobrze?

– Oczy-wi-ście.

On idzie do żony, a ja robię ostatni wie-czorny obchód. Wnę-trze pen-tho-use'u jest ciemne i ciche. Pory-wi-sty wicher świsz-cze w tune-lach wia-tro-wych pod pod-ło-gami wie-żowca, a bł-y-ska-wice roz-świe-tlają niebo pod chmu-rami. Deszcz pada teraz nie-prze-rwa-nie i ude-rza o szyby.

Z szafki w przed-sionku windy odbie-ram rze-czy dostar-czone z pralni che-micz-nej

i kiwam głową dwóm straż-ni-kom, któ-rzy na-dal piją kawę, którą im wcze-śniej przy-nio-słem. Zasta-na-wiam się, czy mój pra-co-dawca będzie teraz widział potrzebę zatrud-nia-nia ochrony. Muszę go prze-ko-nać, że na razie naj-le-piej zosta-wić wszystko bez zmian. Na-dal nie jestem pewien, czy zagro-że-nia nie ma wewnątrz, ale ostroż-ność jest naj-star-szym dziec-kiem mądro-ści, jak napi-sał kie-dyś Vic-tor Hugo.

Idę kory-ta-rzem z lustrza-nymi ścia-nami do pry-wat-nej czę-ści apar-ta-mentu, którą pan Black dzieli teraz z żoną, jak myśle-li-śmy, na zawsze dla niego utra-coną. Przy-staję na progu jego daw-nej sypialni, chło-nąc atmos-ferę opusz-cze-nia. Codzien-nie odświe-żamy pokój, tak jak cały pen-tho-use, a jed-nak stwa-rza poczu-cie zanie-dba-nia. Przy-pusz-czam, że dla-tego, że ni-gdy tak naprawdę nie miał w sobie życia. Było to miej-sce zastoju, tęsk-noty, która pochła-niała wszelką nadzieję.

Lily przy-wo-łuje ze swo-jego miej-sca na ścia-nie, uwo-dzi-ciel-ska syrena wabiąca męża, by dołą-czył do niej w chwili, która trwa bez końca. Ni-gdy się nie zmie-nia ani nie sta-rzeje, nie żyje ani nie umiera.

Patrzę na nią. Ten obraz, jak zwy-kle, przy-kuwa moją uwagę. Ona jest tajem-nicą tak głę-boką i roz-le-głą jak ocean, zagadką, która pozo-staje nie-roz-wią-zana. Lawina pytań zaprzęta mi głowę, nie dając spo-koju.

W gar-de-ro-bie pana Blacka wie-szam jego ubra-nia, potem usta-wiam równo buty i wyrów-nuję ich sznu-rówki. Burza nad-ciąga znad Atlan-tyku i bły-ska-wice coraz czę-ściej prze-ci-nają niebo. Sły-szę głosy i pod-cho-dzę do otwar-tych drzwi salonu.

Tele-wi-zor jest włą-czony, blask ekranu odbija się od róż-nych lustrza-nych powierzchni. Leżą razem, pan Black i kobieta, któ-rej imie-nia nie znamy. On roz-cią-gnięty w rogu sofy. Ona oparta o jego nagą klatkę pier-siową. Oglą-dają jakiś nie-praw-do-po-dobny pościg moto-cy-klowy, w któ-rym ubrani w skóry męż-czyźni strze-lają do sie-bie mię-dzy pędzą-cymi pojaz-dami. On ją obej-muje, koją-cymi ruchami głasz-cząc jej ramiona. Jej dłu-gie, smu-kłe nogi są owi-nięte ple-dem, on odrzu-cił szla-frok na szez-long. Nogawki spodni ma pod-cią-gnięte do połowy łydek.

Bły-ska-wica roz-ja-śnia pokój eks-plo-zją odbi-tego świa-tła. Chwilę póź-niej grzmot roz-lega się tak gło-śno, że się wzdry-gam. Wszystko wibruje.

Ona gło-śno chwyta powie-trze, a on się śmieje, obej-mu-jąc ją moc-niej. Gdy odchyła ku niemu twarz, przez długą chwilę wpa-truje się w nią z uśmie-chem. Pio-run ude-rza ponow-nie, oświe-tla-jąc dwoje kochan-ków w chwili głę-bo-kiej więzi.

Czy nie zasta-na-wia-łem się kie-dyś, jak nie-po-wstrzy-ma-nym żywio-łem musiał być pan Black, mając u boku żonę? Gdy burza ryczy, a wie-żo-wiec jęczy, zdaję sobie sprawę, że się myli-łem. Razem są okiem cyklonu, bez-piecz-nym i spo-koj-nym. Pod-czas gdy wokół nich sza-leją znisz-cze-nie i chaos, zna-leźli schro-nie-nie w sobie nawza-jem.

Wyco-fuję się po cichu.

Mój pra-co-dawca ma rację – jutro i we wszyst-kie następne dni będzie dość czasu, by odkryć tajem-nice, które wciąż pozo-stają pogrze-bane.



## Podziękowania

Stwo-rze-nie *So Close* wyma-gało dużo cięż-kiej pracy i nie mogła-bym tego doko-nać bez moich redak-to-rek: Maxine Hitch-cock, Hilary Sares i Clare Bow-ron. Dzię-kuję rów-nież mojej agentce, Kim-berly Wha-len z The Wha-len Agency, która prze-ka-zy-wała mi opi-nie na temat licz-nych wer-sji robo-czych tej książki.

Jestem bar-dzo wdzięczna Tomowi Weldo-nowi i Louise Moore za ich wspar-cie. Publi-ko-wa-nie moich książ-żek w wydaw-nic-twie Micha-ela Jose-pha zawsze spra-wiało mi radość i jestem wdzięczna wszyst-kim człon-kom zespołu, któ-rzy zaj-mują się nimi z wielką tro-ską.

Dzię-kuję rów-nież moim redak-tor-kom z Bril-liance Audio – She-ryl Zaje-chow-ski i Liz Pear-sons, oraz cudow-nym zespo-łom wydaw-nictw: Heyne, J'ai Lu, Psi-cho-gios, Świat Książki, Har-per Hol-land, Poli-ti-kens i Kaew-karn.

Wspa-niała kon-cep-cja okładki jest dzie-łem Frauke Spa-nuth z Croco Desi-gns. Mia-łam szczę-ście, że tak wspa-niała artystka pra-cuje ze mną nad moimi powie-ściami od pra-wie dwóch dekad. Jestem jej wdzięczna za dosko-nałe wizu-alne przed-sta-wie-nie mojej histo-rii, która zain-spi-ro-wała piękną okładkę wyda-nia bry-tyj-skiego i państw Wspól-noty Naro-dów.

Wiele rze-czy prze-śla-duje boha-te-rów *So Close*: dawne wybory, wady cha-rak-teru i cho-roby psy-chiczne, by wymie-nić tylko kilka. Pod tym wzglę-dem bli-ska jest im Rebecca de Win-ter. Ta postać z powie-ści Daphne du Mau-rier zaszcze-piła we mnie głąb-sze uzna-nie dla nie-do-sko-na-łych kobiet oraz zro-zu-mie-nie, że mał-żeń-stwo może zmie-nić poczu-cie wła-snej war-to-ści zarówno w dobry, jak i ponury spo-sób.

Pry-wat-nie nie pora-dzi-ła-bym sobie w trud-nych chwi-lach bez moich dzieci: Justina, Jacka i Shanny, które doda-wały mi otu-chy. A także bez wspar-cia moich dro-gich przy-ja-ciół: Karin Tabke, Chri-stine Green i Tiny Route.

I na koniec jestem wdzięczna moim czy-tel-ni-kom. Dzię-kuję wam za obser-wo-wa-nie, jak prze-ska-kuję mię-dzy gatun-kami i eks-pe-ry-men-tuję z nowymi dla mnie spo-so-bami opo-wia-da-nia histo-rii. Jestem pisarką, która uwiel-bia pró-bo-wać nowych rze-czy, roz-wi-jać się i nie-ustan-nie sta-wiać sobie wyzwa-nia, aby pra-co-wać coraz lepiej i wyobra-żać sobie coś lep-szego. Jestem bar-dzo wdzięczna za to, że mam odbior-ców, któ-rzy chcą w tym podró-żo-wać razem ze mną. Ta lojal-ność jest cen-nym darem. Dzię-kuję za wasze wspar-cie!



